

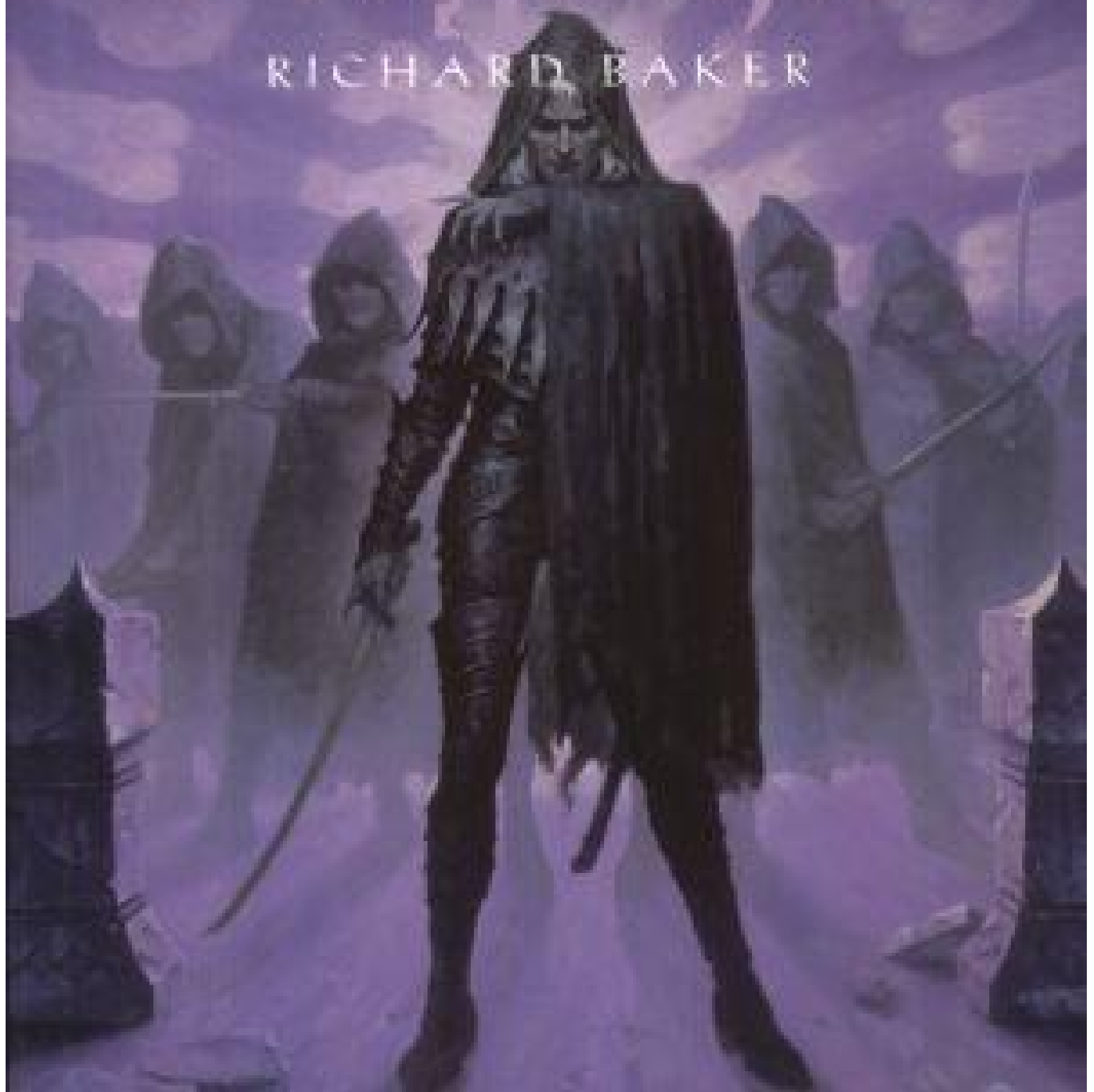
FORGOTTEN REALMS

H. R. Salvatore
przedstawia

WOJNA PAJĘCZEJ KRÓLOWEJ KNEGA III

Potępienie

RICHARD BAKER



Dla Lynna R. Bakera juniora

1942 -2002 Z Bogiem, Tato

Podziękowania

*Dziękuję Philipowi Athansowi za rozmach i cenę, jaką musiał za to zapłacić,
Bohowi Salvatore za to, że podzielił się swoją działką, i Edowi Greenwoodowi za to, że
podzielił się swoim światem.*

*A, i specjalne podziękowania dla Kim za to,
że ze mną wytrzymała oraz dla Alex i Hanny, od których codziennie uczę się czegoś
nowego.*

Pożywienie skończyło się, a wraz z nim ciepło. Wszystko było wydrążone i puste oprócz chęci wydostania się na zewnątrz. Był to najbardziej uporczywy zew, ledwo uchwytnie pragnienie przeradzające się w desperację.

Osiem drobnych odnóży odpowiedziało na to błagalne wezwanie. Osiem drobnych odnóży uderzyło we wklęsłą ścianę. Grzmocąc i rozdzierając, kierując się jaśniejszym odcieniem szarości w tym mrocznym miejscu.

W błoniastej powierzchni pojawił się otwór i osiem odnóży skoncentrowało ataki na tym właśnie punkcie, wyczuwając słabość. Słabości niemożna było tolerować. Słabość należało wykorzystać, natychmiast i bez litości.

Jedno za drugim, dziesiątka za dziesiątką, tysiąc za tysiącem, milion za milionem, drobne odnóży wynurzyły się po raz pierwszy na mglistą przestrzeń pomiędzy wszechświatami, wrywając ze swoich kulistych więzień. Gnane głodem i ambicją, strachem i instynktowną niczemnością, miliony arachnidów stoczyły swoją pierwszą bitwę z ustępliwą, błoniastą barierą. Trudno ją było nazwać godnym przeciwnikiem, lecz walczyły z gwałtownością wypływającą ze świadomości, że pierwszy, który wydostanie się na wolność, będzie miał ogromną przewagę nad pozostałymi: będzie wiedział, że są - wszystkie - głodne.

I że nie mają nic do zjedzenia oprócz siebie nawzajem.

Ciepłe jajo znikło, zostało pożarte. Ciche chwile samotności, przebudzenia, przyływu świadomości, minęły. Ściany służące za schronienie i osłonę stały się przeszkodą i niczym więcej. Miękka skorupa odgradzała je od pożywienia, od nieuniknionej bitwy, od nasycenia na tyłu różnych poziomach.

Od władzy.

I tego, przede wszystkim, błogosławione i przekłete potomstwo nie mogło znieść. Więc walczyły, rwały, drapały i gramoliły się na zewnątrz.

Żeby jeść.

Żeby się wspinać.

Żeby dominować.

Żeby zabijać.

Żeby stać się...

ROZDZIAŁ 1

Tumany pyłu i piachu świszczały nad starymi czerwonymi murami. Halisstra owinęła się szczelniej piwafwi lecz nadal dygotała na chłodnym wietrze. Noc była zimna, zimniejsza niż jaskinie i pieczary głęboko pod powierzchnią świata, a wicher zawodził żałośnie pośród kruszejących ruin, przyczajonych martwo i cicho pośród jałowych wzgórz. Niegdyś wznosiło się tu wspaniałe miasto. Strzaskane kopuły i chwiejące się kolumnady szeptały o dumnej i zręcznej rasie, dawno wymarłej. Ogromne bastiony wciąż opierały się pustynnemu wichrowi, a utracone kikuty wież wnosiły się ku niebu. W innych okolicznościach Halisstra mogłaby całymi dniami przechadzać się cichymi ścieżkami pośród potężnych ruin i kontemplować ich dawno zapomnianą opowieść, ale w tej chwili znacznie większa i bardziej przerażająca tajemnica napełniała ją podziwem i trwogą. Ponad czarnymi sylwetkami walących się wież i pochylonych murów morze gwiazd migotało niczym zimne okruchy lodu na czarnym i bezkresnym nieboskłonie.

Oczywiście nasłuchiwała się o czymś takim przez całe życie. Rozumiała pojęcie otwartego nieba zastępującego sklepienie jaskini i wiedziała czym są niedorzecznie odległe punkciki światła nad jej głową, ale siedzieć na otwartej przestrzeni i oglądać taki widok na własne oczy to była zupełnie inna sprawa. Przez całe swoje dwustuletnie życie nigdy nie oddaliła się od Ched Nasad dalej niż na kilkadziesiąt mil i z pewnością nigdy nie zbliżyła się do powierzchni na odległość mniejszą niż kilka mil. Tylko nieliczne mroczne elfy z Miasta Połyskliwych Pajęczyn zapuszczały się na powierzchnię. Jak większość drowów ignorowały wszystko, co nie obracało się wokół niekończących się intryg, spisków i pozbawionych skrupułów knozań, którymi wypełnione było życie w Ched Nasad.

Wpatrywała się w migoczące światełka nad głową, delektując się gorzką ironią losu. Diamentowe punkciki i bezkresne nocne niebo były prawdziwe. Istniały od niepamiętnych czasów, na długo zanim podniosła na nie wzrok na tej wymarłej mroźnej pustyni i z pewnością będą nadal istnieć długo po jej śmierci. Ale Ched Nasad, miasto, w którym się urodziła, miasto, którego konflikty, sojusze i losy pochłaniały całkowicie wszystkie jej zdolności intelektualne i uwagę przez całe jej życie, przestało istnieć. Nie minął nawet dzień, jak stała na wysokim balkonie domu Nasadra i patrzyła z przerażeniem na płonące kamienie i walące się pałace, obserwując upadek swojego miasta. Ched Nasad, ze swoimi wspaniałymi kamiennymi ulicami i pełnymi mrocznego piękna pałacami przyczepionymi do ścian przepaści - Ched Nasad, ze swoją budzącą grozę arogancją i nieposkromioną pychą, pełnymi mrocznego piękna szlacheckimi domami i nieustającym kultem Pajęczej Królowej - Ched Nasad, centrum egzystencji Halisstry, przestało istnieć.

Halisstra z westchnieniem oderwała wzrok od nieba nad głową i wstała. Była wysoka jak na drowkę, mierzyła prawie pięć i pół stopy, i smukła niczym rapier. Choć jej rysom brakowało ponętnej, niemal drapieżnej zmysłowości, jaka charakteryzowała wiele szlachetnie urodzonych drowek, była piękna w surowy, wyważony sposób. Nawet po wielu godzinach zacieklej walki i rozpaczliwej ucieczki przed nieprzyjacielem, pożogą i klęską Halisstra poruszała się z chłodną bezwiedną gracją, spokojnym opanowaniem kobiety urodzonej, by być królową.

Ziarenka piasku biły w jej atramentowo czarną zbroję, wiatr szarpał płaszczem, usiłując go z niej zerwać. Halisstra dobrze знаła wilgotne, chłodne ruchy powietrza w rozległych podziemnych przestrzeniach, ale pustynne miasto chłostały niezmordowane, siekące podmuchy, które co chwila uderzały w nią z innej strony. Odepchnęła od siebie myśli o wietrze, gwiazdach i minach, i cicho wróciła do pozostałych. Schronili się przed wichurą za wielkim murem, na niewielkim placu usianym połamanymi kolumnami. Na jednym końcu dziedzińca wznosiły się ruiny wspaniałego pałacu. Żadne sprzęty nie przetrwały wieków burz piaskowych pustoszących miasto, lecz kolumnady i dziedzińce, wysokie komnaty i dumne sale wskazywały na to, że niegdyś była to siedziba jakiejś potężnej rodziny, być może nawet władców lub panów tego miejsca. Niedaleko, w obrębie smaganych wiatrem murów, wznosił się pusty kamienny portal, sklepienie przejście z osobliwego czarnego kamienia, w którym mieściła się magiczna brama wiodąca z powrotem do Ched Nasad. Przez ten właśnie portal Halisstra i pozostali uciekli z upadającego miasta drowów.

Zatrzymała się i przyjrzała szóstce towarzyszy. Danifae, jej dworka, klęczała z jednej strony z zamkniętymi oczyma i opanowaniem rysującym się na idealnej twarzy. Mogła drzemać lub czekać ze spokojem na dalszy rozwój wypadków. Przed piętnastu laty Danifae, kapłanka wprowadzona z miasta Eryndlyn, została podarowana Halisstrze jako służka. Młoda, piękna i bystra, Danifae pogodziła się ze

swoją niewolą z zaskakującą godnością. Tak naprawdę nie miała wyboru - srebrny medalionik na jej sercu wiązał dziewczynę potężnym zaklęciem. Co działo się za tymi błyszczącymi oczami i idealnymi rysami nawet Halisstra nie potrafiła odgadnąć, ale Danifae służyła jej tak wiernie i kompetentnie, jak wymagały tego nałożone na nią więzy, a może nawet wierniej. Halisstra czuła się o wiele lepiej już choćby dlatego, że Danifae wciąż jej towarzyszyła.

Obecność pozostałej piątki towarzyszy ani trochę nie przyczyniała się do poprawy jej samopoczucia. Wydarzenia ostatnich dni w Ched Nasad sprawiły, że Halisstra dołączyła do drużyny podróżników z odległego Menzoberranzan, miasta będącego kolejno wrogiem, rywalem, partnerem handlowym, a w końcu zarządcą Ched Nasad. Quenthel Baenre siedziała pogrążona we własnych myślach, owinięta ciasno płaszczem. Siostrzana kapłanka Pajęczej Królowej należała do domu Baenre, klanu rządzącego Menzoberranzan. Quenthel, rzecz jasna, nie sprzyjała Halisstrze tylko z tego względu, że obie były kapłankami Lolth. Większość szlachetnie urodzonych drowek służyło Pajęczej Królowej i przez całe życie walczyło o pozycję i palmę pierwszeństwa w służbie bogini. Takie były drowy, taki wzór postępowania podyktowała im Lolth. Jeśli Pajęcza Królowa chciała nagradzać tych ze swoich sług, którzy okazali się najbardziej bezlitośni i najbardziej ambitni, cóż innego pozostawało mrocznemu elfowi?

Quenthel była pod wieloma względami typową drowką, początkującą matriarchinią, która łączyła w sobie pobożność w służbie Lolth z fizycznym pięknem, siłą charakteru i całkowitą bezwzględnością. Z piątki podróżników z Menzoberranzan to ona stanowiła dla Halisstry największe zagrożenie. Halisstra była również córką matki opiekunki i kapłanką Lolth, wiedziała więc dobrze, że musi bacznie obserwować Quenthel. Chwilowo były sojuszniczkami, ale niewiele było trzeba, by Quenthel uznała, że Halisstra będzie jej bardziej przydatna w charakterze niewolnicy, branki lub po prostu martwa.

Quenthel cieszyła się bezwzględny oddaniem Jeggreda, olbrzymiego draeglotha należącego do domu Baenre. Draegloth był półdemonem, półdrowem, synem starszej siostry Quenthel i jakiegoś bezimiennego mieszkańca Otchłani. Jeggred, czteroręki potwór przez cały czas starający się pohamować swoje mordercze skłonności, górował znacznie wzrostem nad pozostałymi elfami. Twarz miał drowią i chodził wyprostowany, ale jego ciemnoskórą pierś, ramiona i łędwie porastało lśniące srebrzyste futro, a szpony miał długie i ostre jak sztylety. Halisstra nie obawiała się Jeggreda, ponieważ stwór słuchał we wszystkim Quenthel i bez wyraźnego rozkazu kapłanki nie tknąłby jej nawet palcem. Mógł stać się narzędziem, które zada jej śmierć, jeśli Quenthel wyda mu taki rozkaz, ale nie było sensu traktować go inaczej niż oręż Quenthel.

Czarodziej Pharaun bardzo intrygował Halisstrę. Zgłębianie wiedzy tajemnej było domeną, którą, podobnie jak fechtunek, pozostawiano tradycyjnie mężczyznom. Potężny czarodziej budził pewien szacunek nawet pomimo swojej płci. Halisstra słyszała o kilku przypadkach matek opiekunek ważnych domów rządzących jedynie za zgodą potężnych czarodziejów należących do rodziny, ale zawsze uważała takie sytuacje za perwersyjne i niebezpieczne. Pharaun zachowywał się właśnie tak, jak gdyby posiadał podobną władzę i wpływy. Tak, spełniał rozkazy Quenthel całkiem szybko, ale zawsze z sardonicznym uśmiechem lub nieszczerą uwagą, a czasami jego lekceważąca postawa graniczyła z otwartym buntem. To oznaczało, że był kompletnym głupcem mało prawdopodobne, skoro został wysłany w niebezpieczną podróż do Ched Nasad - albo był na tyle potężny, by przeciwstawić się wrodzonemu despotyzmowi szlachetnie urodzonej drowki takiej jak Quenthel. Pharaun wydał się Halisstrze potencjalnym sojusznikiem o decydującym znaczeniu, gdyby okazało się, że ona i Quenthel nie są w stanie dojść do porozumienia.

Halisstra odniosła wrażenie, że Ryld Argith jest dla Pharauna tym, czym Jeggred dla Quenthel. Potężnie zbudowany fechtmistrz, dorównujący jej wzrostem, biegle władał każdym rodzajem broni. Halisstra przekonała się o tym na własne oczy podczas ucieczki z Ched Nasad. Jak większość mężczyzn odnosił się do Quenthel z należnym szacunkiem. Halisstra uznała to za dobry znak. Gdyby zaszła taka potrzeba, Ryld mógł z łatwością przejść na stronę innej kobiety wysokiego rodu. Nie mogła liczyć na to, że zwróci się przeciwko Pharaunowi lub Quenthel, ale drowy czystej krwi były mniej stałe niż przeciętny draegloth...

Ostatnim i najmniej ważnym członkiem drużyny Menzoberranzańczyków był zwiadowca, Valas Hune. Niski i skryty, niewiele mówił, ale wiele zauważał. Halisstra знаła ten typ. Użyteczny przy wykonywaniu zadań, w których nie miał sobie równych, nie chciał mieć nic wspólnego z machinacjami kapłanek i matriarchiń i robił wszystko, co w jego mocy, żeby trzymać się z dala od polityki wielkich domów. W tej chwili Valas pochylał się nad kupką suchego zielska, starając się rozniecić ogień.

- Czy jest szansa, że będziemy ścigani? - zapytał Ryld wśród świstu lodowatego wiatru.
- Wątpię - wymamrotała Quenthel. - Cały dom runął w dół po tym, jak użyliśmy portalu. Jakim cudem ktoś mógł ruszyć naszym śladem?

- To nie jest niemożliwe, droga Quenthel - odparł Pharaun. - Wykwalifikowany czarodziej jest w stanie sprawdzić, dokąd prowadził portal. Może nawet naprawić go na tyle, żeby z niego skorzystać. Przypuszczam, że zależy to od tego, jak bardzo za nami tęsknią w Ched Nasad. - Spojrzał na Halisstrę i zapytał: - Jak sądzisz, pani? Czy nie uważasz, że twoi pobratymcy będą nas obwiniać za niefortunne wypadki kilku ostatnich godzin? Czy nie zrobią wszystkiego, co w ich mocy, żeby się zemścić?

Halisstra popatrzyła na niego. To pytanie nie miało sensu. Czy mógł pozostać przy życiu ktoś, kto chciałby zrzucić winę za atak duergarów na drużynę z Menzoberranzan? Dom Melarn upadł, dom Nasadra również. Zdała sobie nagle sprawę z wielkiego znużenia, jakie ogarnęło jej ciało, ciężaru leżącego na sercu i mgły spowijającej umysł, pozwoliła więc sobie opaść na piasek naprzeciwko pozostałych.

- Ktokolwiek pozostał w Ched Nasad, ma teraz większe zmartwienia niż miejsce waszego pobytu - zdołała powiedzieć.

- Oho, dama pokazała ci, gdzie twoje miejsce, Pharaunie - roześmiał się Ryld. - Cały świat nie kręci się wokół twojej osoby.

Pharaun skwitował przytyk sardonicznym uśmiechem i lekceważącym gestem.

- I dobrze - powiedział lekko. Odwrócił się w stronę Valasa, który cierpliwie krzesał iskry nad kupką chrustu. - Jesteś pewny, że to rozsądne? Ogień będzie widoczny z daleka.

- O ile się nie mylę, jest trochę po północy - odrzekł zwiadowca, nie podnosząc oczu. - Jeśli wydaje wam się, że teraz jest zimno, zaczekajcie do pory przed świtem. Potrzebujemy ognia, bez względu na ryzyko.

- Skąd wiesz, która jest godzina - zapytała Quenthel. - I jak zimno ma się zrobić?

Valas skrzeszał iskry i szybko osłonił ją własnym ciałem przed wiatrem. Za chwilę chrust zajął się jasnym płomieniem. Zwiadowca ostrożnie podsycał płomień suchymi gałązkami.

- Widzicie układ gwiazd na południu? - zapytał. - Sześć gwiazd przypominających koronę? To zimowe gwiazdy. O tej porze roku wschodzą wcześniej i zachodzą późno. Zauważ, pani, że teraz znajdują się blisko zenitu.

- Podróżowałaś już po powierzchni - stwierdziła Quenthel.

- Tak, pani - odparł krótko Valas.

- Skoro jest środek nocy, co to za luna na niebie? - zapytała. - To z pewnością świt.

- Późny wschód księżyca.

- To nie słońce wschodzi? Jest takie jasne!

Valas spojrział w górę, uśmiechnął się chłodno i rzekł:

- Gdyby to było słońce, pani, gwiazdy zniknęłyby już z połowy nieba. Zaufaj mi, to księżyc. Jeśli tu zostaniemy, wkrótce przekonasz się czym jest słońce.

Quenthel umilkła, zapewne rozgoryczona własną pomyłką. Halisstra nie miała jej tego za złe - sama ją popełniła.

- Nasuwa się oczywiste pytanie - odezwał się Pharaun. - Przypuszczalnie nie chcemy tu długo zostać. Co w takim razie powinniśmy zrobić?

Umyślnie spojrział na Quenthel Baenre, rzucając jej wyzwanie.

Quenthel nie podjęła tematu. Wpatrywała się w srebrzystą lunę na wschodzie, jak gdyby nie usłyszała pytania. Księżycowe cienie, blade niczym duchy, zaczęły wyrastać spod zwietrzałych murów i walących się kolumn. Były tak niewyraźne, że tylko oczy drowów przyzwyczajone do ciemności panujących w Podmroku były w stanie je dostrzec. Quenthel nabrała w dłoń piachu i pozwoliła mu przesypać się między palcami, patrząc, jak wiatr rozwiewa srebrny strumień. Halisstrze po raz pierwszy przyszło do głowy, że Quenthel i pozostali Menzoberranzańczycy mogą odczuwać takie samo znużenie, taki sam smutek, jaki ciążył na jej sercu, nie dlatego, że odczuwali jej stratę, ale dlatego, że rozumieli, iż byli świadkami straty, wielkiej i straszliwej.

Milczenie przeciągało się długo, aż w końcu Pharaun poruszył się i otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Quenthel zimnym, wzgardliwym tonem odezwała się jednak pierwsza.

- Co zrobimy, Pharaunie? Zrobimy to, co ja uznam za stosowne. Jesteśmy wyczerpani i poranieni, a ja nie mam magii, żeby odnowić nasze siły i wyleczyć rany. - Skrzywiła się i pozwoliła, by resztki piasku

przesypała jej się przez palce. - Teraz odpoczywajcie. Jutro podejmę decyzję.

* * *

Setki mil od pustynnych ruin inny mroczny elf stał w kolejnym zrujnowanym mieście.

Było to miasto drowów, sterczący bastion z czarnej skały wyrastający ze ściany przepastnej, mrocznej rozpadliny. Niegdyś była to potężna forteca wybudowana na skalistym szczycie wzgórza, tyle że przechylona na bok, tak że zwisała nad przepaścią, gdzie wyły plugawe wichry, wiejące z niezgłębionej otchłani ku niewidocznym pieczarom na górze. Chociaż wieże i iglice twierdzy wychylały się śmiało nad przerażającą przepaścią, sama budowla nie sprawiała wrażenia kruchej ani mogącej się oderwać. Jej ogromna skalna przypora była jedną z kości świata, grubą ostrogą trzymającą się tak pewnie ściany rozpadliny, że tylko zniszczenie samego Torilu mogłoby ją naruszyć.

Nieliczni uczeni, którzy o nim pamiętali, nazywali to miejsce Chaulssin, Miastem Wężowych Cieni, a i tak większość z nich zapomniała, skąd się wzięła ta nazwa. W mrocznej fortecy na krawędzi otchłani mieszkali cienie. Atramentowe plamy nocy czarniejsze niż serce drowa skręcały się i przepływały z wieży do wieży. Szepcząca ciemność prześlizgiwała się jak gigantyczny wygłodniały smok po iglicach i otwartych galeriach martwego miasta. Od czasu do czasu żywe cienie pożerały fragmenty miasta, zaciągając jakiś pałac lub świątynię głęboko w chłód poza kręgami świata.

Nimor Imphraezl wspinał się niespiesznie opustoszałymi galeriami Chaulssin, niepomny na żywe czarne zasłony tańczące i wijące się w mrocznych zakątkach miasta. Nieznośny skowyt niezmordowanej wichury szalejącej za murami miasta targał jego płaszczem i rozwiewał długie, srebrne włosy, ale on nie zwracał na to uwagi. To było jego miejsce, jego azyl, a tutejsze niebezpieczeństwa i szaleństwo były po prostu znajome i nie zasługiwały na uwagę. Nimor przybrał postać szczupłego, niemal chłopięcego drowa, co oznaczało, że był niski i smukły jak trzcina. Czubek jego głowy ledwo sięgał nosa typowej drowki, a każda nieco wyższa elfka przerastała go o głowę.

Pomimo niepozornej sylwetki, Nimor dosłownie emanował władzą. Jego drobna postać zdawała się tryskać siłą i zabójczą szybkością nieprzystającą do jego ciała. Twarz miał wąską, acz przystojną, niemal piękną, a nosił się z wyjątkową arogancją szlachetnie urodzonego drowa, który nie znał strachu przed niczym. Tę rolę, rolę drowa ze szlacheckiego domu, księcia zrujnowanego miasta, odgrywał bardzo dobrze. Jeśli był kimś innym, kimś więcej, cóż... nieliczne mroczne elfy, które mieszkaly tu wraz z nim, były bardzo podobne.

Nimor dotarł do końca galerii, wszedł do środka twierdzy i zaczął się wspinać po wielkich schodach wyciosanych we wnętrzu monolitycznej ostrogi, do której przylgnęło Chaulssin. Kakofonia wichrów natychmiast przeszła w odległy, lecz głęboki szum, świszczący i przenikający na wskroś. W Chaulssin nie było takiego miejsca, gdzie można by się ukryć przed tym dźwiękiem. Położył dłoń na rękojeści rapiera i wszedł po czarnych spiralnych stopniach do wielkiej, ciemnej komnaty, sklepionej katedry cieni w sercu miasta. Migoczące pochodnie wiecznego ognia w obejmach z brązu rzucały blade, czerwone plamy światła na żebrowe ściany, smugi czerwieni niknące w czerni kopuły. Tam w górze cienie tworzyły prawdziwy gąszcz, skłębiony tuman czerni, którego nawet wzrok Nimora nie był w stanie przebić.

- Nimorze. Spóźniłeś się.

Siedmiu ojców opiekunów Jaezred Chaulssin stojących w kręgu na środku komnaty odwróciło się jak jeden mąż, żeby spojrzeć na nadchodzącego Nimora. Po przeciwnej stronie kręgu stał dziad opiekun Mauzzkyl, czerstwy staruszek o szerokich ramionach, wypukłej piersi i przerzedzających się włosach, tworzących nad czołem głębokie zakola.

- Ojcowie opiekunowie nie czekają, aż Namaszczone Ostrze Jaezred Chaulssin raczy ich zaszczyścić swą obecnością - odezwał się Mauzzkyl.

- Czcigodny opiekunie, moje spóźnienie było nieuniknione - odparł Nimor.

Zajął w kręgu miejsce, które czekało na niego, nie kłaniając się z żadnemu z pozostałych drowów i nie oczekując tego od nich. Jako Namaszczone Ostrze odpowiadał tylko przed dziadem opiekunem i miał w Jaezred Chaulssin wyższą pozycję niż jakikolwiek ojciec opiekun oprócz Mauzzkyla.

- Przybyłem niedawno z Menzoberranzan - dodał - gdzie zostałem najdłużej jak mogłem, aby obserwować bieg wydarzeń.

- Jak wygląda sytuacja? - zapytał ojciec opiekun Tomphael. Był szczupły i elegancki, podobny z

wyglądu do Nimora, ale przedkładał szaty czarodzieja nad kolczugę wojownika i cechowała go pewna ostrożność, która czasem graniczyła z tchórzostwem. - Jak tam nasza rewolta?

- Nie tak dobrze, jak mógłbym chcieć, ale zgodnie z moimi oczekiwaniami - przyznał Nimor. Tomphael bez wątpienia już o tym wiedział, nie na darmo zajmował się wieszczaniem. Czy ojcowie opiekunowie chcieli przyłapać Namaszczone Ostrze na ukrywaniu porażki? Nimor prawie się uśmiechnął na myśl o podobnej naiwności. - Niewolnicy zostali rozgromieni bez większych trudności. Gromph Baenre zainteresował się sytuacją i wygląda na to, że jego agenci zabili lub przepędzili naszego przyjaciela illithilicza. Dobra wiadomość jest taka, że obnażyliśmy słabość czcicielek pajaków przed pospółstwem Menzoberranzan, co wygląda obiecująco, a kapłanki były tak miłe, że zużyły znaczną część zgromadzonej przez siebie magii, aby stłumić powstanie własnych niewolników. W ten sposób miasto zostało osłabione.

- Mogłeś wziąć bardziej bezpośredni udział w wydarzeniach - stwierdził opiekun Xorthaul, noszący czarną tunikę kapłana. - Gdybyś zamordował lokajczyków arcymaga...

- Sponsorowana przez nas rebelia i tak zostałaby stłumiona, a ja zbyt wcześnie obudziłbym ich czujność - przerwał mu Nimor. - Pamiętaj, opiekunie Xorthaul, że to od samego początku miała być tylko prosta finta, którą łatwo odbić, a która pozwoli nam oszacować prawdziwą siłę matek opiekunek Menzoberranzan. Następny cios przedrze się przez zastawę i wgryzie głęboko w ciało. - Postanowił zmienić temat i zmusić kogoś innego do obrony. - Jako że przybyłem ostatni, nie wiem, jak wygląda sytuacja w pozostałych miastach. Co z Eryndlynem? I Ched Nasad?

Twarze wykrzywiły okrutne, zimne uśmiechy. Nimor zamrugał. Nieczęsto ojcowie opiekunowie stawali wobec wydarzenia, z którego mogli wspólnie czerpać satysfakcję. Sam opiekun Mauzzkyl przekazał mu wieści.

- W Eryndynie wszystko przebiega zgodnie z planem. Ojciec opiekun Tomphael przyniósł nowiny podobne do twoich, ale w Ched Nasad... z Ched Nasad ojciec opiekun Zammzt powraca okryty chwałą.

- Naprawdę? - zapytał przeciągle Nimor, który wbrew sobie był pod sporym wrażeniem tej wiadomości.

Powściągnął przyływ pałacej zazdrości i zwrócił się w stronę Zammzta, mrocznego elfa o tak pospolitej powierzchowności, że mógłby być zbrojmistrzem lub płatnerzem, zwykłym rzemieślnikiem stojącym tylko nieco wyżej od niewolnika. Zammzt założył tylko ramiona na piersi i skinął głową na potwierdzenie słów opiekuna Mauzzkyla.

- Co się stało? - zapytał Nimor. - Ched Nasad nie powinno było upaść tak łatwo.

- Jak się okazało, Nimorze, bomby spopielające kamień dostarczone nam przez twoich sojuszników duergarów miały piorunujący efekt w zetknięciu ze skamieniałymi pajęczynami, na których zbudowano Ched Nasad - odpowiedział Zammzt z udawaną skromnością. - Tak jak płomień pożera pajęczynę, tak ogień spalający kamień pochłonął szkielet miasta. Kiedy ich zamki i pałace zaczęły spadać na dno pieczary jak strzępy płonącego papieru, mieszkańcy Ched Nasad nie byli w stanie zorganizować porządnej obrony. Żaden znaczący punkt obronny nie przetrwał pożaru i tylko nieliczne wojska szlacheckich domów zdołały uciec z pożogi, aby walczyć o jaskinię.

- Co zostało z miasta?

- Obawiam się, że niewiele. Pożar przetrwało kilka odosobnionych dzielnic i budowli wzniesionych w bocznych jaskiniach. Jeśli chodzi o mieszkańców miasta, zgaduję, że połowa zginęła podczas upadku, a trzecia część uciekła do zewnętrznych tuneli, gdzie bez wątpienia czekają ich różne niesympatyczne przygody. Większość ocalałych należy do tych pomniejszych domów, które są sprzymierzone z nami, lub tych, które szybko doceniły obrót wypadków.

Nimor pogładził podbródek i rzekł:

- A więc z dwudziestotysięcznego miasta pozostały przy życiu tylko trzy tysiące?

- Nieco mniej, po tym jak z miasta uciekli niewolnicy - odparł Zammzt, uśmiechając się drapieżnie. - Ze służek pajęczycy nie przeżyła żadna.

- Pewna liczba kapłanek Lolth uciekła prawdopodobnie razem z tymi, którzy czmychnęli w Podmrok - zastanawiał się na głos Nimor. - Nie wszystkie zginą w tunelach. Niemniej jednak to wspaniałe wieści, ojcze opiekunie. Uwolniliśmy pierwsze miasto spod władzy Lolth. Inne wkrótce pójda w jego ślady.

Ojciec opiekun Xorthaul, kapłan w kolczudze, prychnął na znak sprzeciwu.

- Jaki sens ma usuwanie wyznawców Lolth z miasta, skoro trzeba je w tym celu zrównać z ziemią?

- zapytał. - Możemy teraz rządzić Ched Nasad, ale rządzą tylko dymiącymi zgliszczami i kilkoma rozczarowanymi nędznikami.

Mauzzkyl przestał z nogi na nogę i odparł ostro:

- To nie ma znaczenia, Xorthaulu. Rozmawialiśmy już o kosztach, jakie przyjdzie nam ponieść. Dziesięciolecia, ba, nawet wieki niedoli nic nie znaczą, jeśli tylko uda nam się osiągnąć nasz cel. Nasz pan jest cierpliwy. - Czcigodny opiekun uśmiechnął się twardym, okrutnym uśmiechem. - W ciągu dwóch krótkich miesięcy osiągnęliśmy coś, na co nasi ojcowie należący do Jazred Chaulssin pracowali przez stulecia. Z radością spaliłbym tuzin Ched Nasad w całym Podmroku, gdybym dzięki temu zdołał wyzwolić naszą rasę spod władzy Pajęczej Królowej. Z Ched Nasad może i zostały ruiny, ale kiedy miasto znów się wzniesie, wzniesie się na nasz obraz i podobieństwo, a jego społeczeństwo zostanie ukształtowane przez nasze przekonania i będziemy nim potajemnie kierować. Nie jesteśmy zwykłymi skrytobójcami i anarchistami, Xorthaulu, jesteśmy zimną i zdecydowaną dłońią, która odstrzela słabeuszy. Jesteśmy ostrzem, które rzeźbi historię.

Zebrane elfy kiwnęły głowami, przyznając mu rację. Mauzzkyl zwrócił się twarzą do Nimora.

- Nimorze, moje Namaszczone Ostrze, Menzoberranzan woła o oczyszczający ogień, który strawił Ched Nasad. Nie zawieź nas.

- Czcigodny opiekunie, zapewniam cię, że was nie zawiodę - odrzekł Nimor. - Przygotowałem już mój następny ruch. Zawarłem porozumienie z jednym z wielkich domów. Poprzą nas, ale żądają potwierdzenia naszej determinacji i umiejętności. Jestem pewny, że zdołałam ich o tym przekonać. Za kilka dni jeden z domów Menzoberranzan zostanie pozbawiony matki opiekunki, a kolejny zostanie przez nas usidlony.

Mauzzkyl uśmiechnął się z zimną aprobatą.

- W takim razie życzę pomyślnych łowów, Namaszczona Klingo.

Nimor złożył ukłon i odwrócił się. Za sobą słyszał kroki rozchodzących się ojców opiekunów powracających do własnych ukrytych domów w miastach rozproszonych po całym Podmroku. Tajemne stowarzyszenia Jazred Chaulssin istniały w przynajmniej jednym pomniejszym domu większości drowich miast. Każdy ojciec opiekun sprawował absolutną władzę nad zmaganiem wiary i płci, która istniała ponad pokoleniami, wiekami i zapiekłą nienawiścią, jaką jeden drow żywił do drugiego. Rażącym wyjątkiem było Menzoberranzan. Tam poprzednia opiekunka Baenre sprawująca tak długo władzę absolutną nigdy nie pozwoliła na pojawienie się domu skrytobójców. Podczas gdy ośmiu ojców opiekunów wracało do miast, gdzie mieli na swoje zawołanie tuziny wiernych zabójców i kapłanów bóstw nienawidzących Lolth, Nimor Imphraezl wracał do Menzoberranzan sam, aby kontynuować dzieło zniszczenia.

* * *

Wschód słońca był wspaniały i straszliwy zarazem. Godzinę przed świtem zaczęło się robić coraz jaśniej, w miarę jak gwiazdy blakły na żółtym niebie, a lodowate podmuchy pustynnego wicheru słabły, aż nastąpiła kapryśna cisza. Halisstra czekała, spoglądając ze szczytu walącego się, na wpółzasypanego piachem, muru. Na długo zanim słońce pokazało się nad horyzontem, zdumiała ją to, jak daleko sięga wzrokiem, wyławiając ciemne sylwetki poszarpanych górskich szczytów, które mogły być oddalone równie dobrze o dziesięć, co o sto mil. Kiedy słońce wreszcie wzeszło, przypominało fontannę płynnego złota eksplodującą nad jałowym krajobrazem i w jednej chwili całkowicie oślepiło Halisstrę. Jęknęła i przycisnęła dłonie do oczu, które bolały od tego jednego krótkiego spojrzenia tak, jak gdyby ktoś wbił jej w głowę rozżarzone do czerwoności sztylety.

- To było niemądre, pani - wymamrotała stojąca nieopodal Danifae. - Nasze oczy nie zostały stworzone do oglądania takich widoków. Mogłaś sobie zrobić krzywdę... a bez łaski Lolth może być trudno wyleczyć taki uraz.

- Chciałam zobaczyć świt - odpowiedziała Halisstra.

Odwróciła się plecami do wschodzącego słońca i osłoniła oczy, po czym opadła lekko na piach w cieniu wielkiego muru, gdzie była w stanie znieść blask słońca, ale co będzie w środku dnia? Czy będą w ogóle w stanie cokolwiek zobaczyć, czy też wszyscy zostaną całkowicie oślepieni?

- Kiedyś - powiedziała - nasi przodkowie spoglądali na świat w świetle dnia, nie obawiając się słońca. Chodzili bez strachu pod niebem, pod płomieniami dnia, a ciemność była czymś, co napawało ich

strachem. Czy jesteś w stanie to sobie wyobrazić?

Danifae uśmiechnęła się przymilnym uśmiechem, który nie sięgał oczu. Halisstra знаła dobrze ten wyraz twarzy. Służka przybierała go, aby zadowolić swą panią, przytakując uwadze, na którą nie znajdowała odpowiedzi. Danifae wskazała ruchem głowy zrujnowany pałac i jego podwórcę.

- Mistrzynie Baenre wezwała Pharauna i pozostałych - oznajmiła branka. - Zapewne chce postanowić, co robić dalej.

- Wysłała cię po mnie? - zapytała Halisstra z roztargnieniem.

- Nie, pani.

Halisstra podniosła gwałtownie głowę. Danifae wzruszyła nieśmiało ramionami.

- Pomyślałam, że może jednak zechcesz do nich dołączyć.

- Rzeczywiście - odparła Halisstra.

Wyglądziła fałdy płaszcza i jeszcze raz omiotła wzrokiem walące się ruiny, które rozciągały się jak okiem sięgnąć. W długich cieniach poranka szczyty murów płonęły oranżem, a za nimi zalegał mrok. Ponieważ wiatr ucichł, Halisstra zdała sobie sprawę z wszechogarniającej czujności, zadawnionej wrogości, czającej się gdzieś pomiędzy murami i popękаныmi kopułami.

Dwie kobiety zawróciły do obozowiska i cicho dołączyły do rozmawiających towarzyszy. Quenthel zerknęła na nie, kiedy podchodziły, ale nie odrywała uwagi od pozostałych.

- Dowiedzieliśmy się, że kapłanki w Ched Nasad utraciły przychylność Lolth tak samo jak my. Nie dowiedzieliśmy się, dlaczego. Wiemy też, że domy sprzymierzone z nami poprzez handel i krew postanowiły przywłaszczyć sobie naszą własność, bardzo nam teraz potrzebną, i odwróciły się od nas. Nie udało nam się przywrócić transportów do Menzoberranzan...

- Trudno nas za to winić - przerwał jej Pharaun. - Miasto zostało doszczętnie zniszczone. Utrzymywanie kontaktów handlowych z Ched Nasad ma wątpliwy sens.

Quenthel mówiła dalej, jak gdyby czarodziej w ogóle się nie odezwał.

- I wreszcie znaleźliśmy się w jakiejś zapomnianej przez bogów części Świata Ponad, nie wiadomo jak daleko od domu, prawie bez zapasów i to na środku nieprzyjaznej pustyni. Czy dobrze podsumowałam naszą sytuację?

Valas poruszył się niespokojnie.

- Wszystko się zgadza oprócz ostatniego punktu. Wydaje mi się, że znajdujemy się gdzieś na pustyni zwanej Anauroch, dokładniej w jej północno-wschodniej części. O ile się nie mylę, Menzoberranzan leży jakieś pięćset mil na zachód od nas i... nieco niżej, ma się rozumieć.

- Byłeś tu już kiedyś?

- Nie - odparł zwiadowca - ale w Faerunie jest niewiele pustyni, zwłaszcza położonych tak daleko na północ, więc prawdopodobnie wylądowaliśmy na Anauroch. Czterdzieści, pięćdziesiąt mil na zachód stąd wznosi się pasmo ośnieżonych szczytów, które za dnia widać dość wyraźnie. Moim zdaniem to Szare Wierchy albo Góry Nether. To mogłyby być Góry Lodowe, ale gdybyśmy trafili tak daleko na północ, byłibyśmy na Wysokim Lodzie, a nie na tym piaszczystym i skalistym odcinku Wielkiej Pustyni.

- Nauczyłem się polegać na twoim zmyśle orientacji, ale nie uśmiecha mi się perspektywa maszerowania pół tysiąca mil przez krainy powierzchni, żeby dostać się do domu - powiedział Ryld Argith, pocierając dłonią przystrzyżone krótko włosy. Poruszał się sztywno, posiniaczony i poobijany pod kolczugą po ich desperackiej ucieczce z Ched Nasad. - Na drodze stoją nam cytadele Adbar, Sundabar i Silverymoon, a nie kochają tam naszej rasy.

- Niech tylko spróbują nas zatrzymać - warknął Jeggred. - Będziemy podróżować nocą, kiedy ludzie i elfy światła są ślepi. Nawet jeśli natkniemy się na nich, cóż, mieszkańcy powierzchni są słabi. Nie boję się ich. Ty też nie powinieneś.

Ryld zachnął się, urażony uwagą draegloth, ale Quenthel uciszyła go uniesieniem dłoni.

- Zrobimy to, co będzie konieczne - powiedziała. - Jeśli będziemy musieli przez najbliższe dwa miesiące skradać się przez krainy powierzchni pod osłoną ciemności, tak właśnie zrobimy.

Odwróciła się z gracją i odeszła kilka kroków, przyglądając się z zadumą otaczającemu ich dziedzińcowi.

Towarzysze umilkli, każde z nich wpatrywało się w plecy Quenthel. Pharaun podniósł się z ziemi i owinał ciasniej piwafwi szczupłą pierś. Czarny płaszcz łopotał na przenikliwym wietrze.

- Pytanie, które nie daje mi spokoju - powiedział mag - to czy wypełniliśmy powierzoną nam misję. Nie zachwyca mnie perspektywa mozolnej wędrówki do Menzoberranzan, gdzie po kilkumiesięcznej

nieobecności nie będziemy się mogli pochwalić niczym oprócz wiadomości o upadku Ched Nasad.

- Żadna z kapłanek Pajęcej Królowej nie zna odpowiedzi, których szukamy - odpowiedziała Quenthel. - Wrócimy do Menzoberranzan. Mogę mieć tylko nadzieję, że bogini wyjawi przyczynę swojego milczenia, kiedy uzna to za stosowne.

Pharaun skrzywił się.

- Ślepa wiara jest marną namiastką planu, który pomógłby nam znaleźć odpowiedzi, których szukamy.

- Wiara w boginię to wszystko, co nam pozostało - warknęła Halisstra. Przysunęła się pół kroku do mistrza Sorcere. - Zapomniałeś, gdzie twoje miejsce, skoro zwracasz się do wysokiej kapłanki Lolth w podobny sposób. Nie zapominaj się znowu.

Pharaun otworzył usta, szukając riposty, która bez wątplenia jeszcze bardziej zaogniłaby sytuację, ale Ryld, który siedział obok niego, po prostu odchrząknął i podrapał się po brodzie. Czarodziej zawahał się chwilę pod wzrokiem towarzyszy i wzruszył ramionami.

- Chciałem tylko powiedzieć, że jest dla mnie jasne, iż Pajęcza Królowa chce, abyśmy sami odkryli powód jej milczenia.

- Jak twoim zdaniem mamy się za to zabrać? - zapytała Quenthel. Założyła ręce na piersi i obróciła się, mierząc Pharauna groźnym spojrzeniem. - Na wypadek gdybyś zapomniał, przypominam, że już od wielu miesięcy staramy się zbadać przyczynę jej milczenia.

- Ale nie wyczerpaliśmy jeszcze wszystkich dostępnych sposobów, nieprawdaż? - rzekł Pharaun. - W Ched Nasad rozmawialiśmy o poszukaniu pomocy kapłana Vhaerauna, być może Tzirika, znajomego mistrza Hune. Bądź co bądź, my drowy, oprócz Lolth czcimy także inne bóstwa. Czy jest aż taką niedorzecznością przypuszczać, że inny bóg może wyjaśnić niezwykle milczenie Lolth?

Tworzący krąg towarzysze znieruchomieli. Podobne słowa rzadko padały w Menzoberranzan. Niewielu ośmielało się wypowiadać takie myśli na głos w obecności kapłanek Pajęcej Królowej.

- Nie widzę potrzeby, aby błagać o przysługę jakiegoś heretyka czczącego nędznego bożka - stwierdziła Quenthel. - Wątpię, by Lolth zwierzała się ze swoich zamysłów pomniejszonym potęgom.

- Zapewne masz rację - powiedział Pharaun. - Tobie z pewnością się z nich nie zwierza.

Jegged warknął na czarodzieja, który podniósł rękę w pojedynczym geście, przewracając oczami.

Valas obliznął nerwowo wargi.

- Większość z was spędziła prawie całe życie w Menzoberranzan, jak przystało drowom o waszej pozycji. Podróżowałem więcej od was i byłem w miejscach, gdzie potajemnie, a czasem nawet otwarcie, wolno czcić bogów innych niż Lolth. - Zwiadowca zauważył pośepniejące oblicze Quenthel i chmurną twarz Halisstry, wzdrygnął się, ale brnął dalej. - Pod mądrymi rządami matek opiekunek kult bogów innych niż Lolth nie mógł rozkwitnąć w Menzoberranzan, więc możecie nie mieć najlepszego zdania o podobnych praktykach, ale mogę potwierdzić, że kapłani pomniejszych bóstw naszej rasy potrafią rzucać czary i otrzymują pomoc od swoich bogów.

- Gdzie znajdziemy Tzirika? - zapytał Valasa Ryld.

- Kiedy ostatni raz go widziałem, mieszkał pośród wygnańców w odległej krainie zwanej Labiryntem, sto mil na południe i zachód od Mrocznego Zammiora. Oczywiście było to jakiś czas temu.

- Pośród wygnańców - parsknęła Halisstra.

Nie tylko ona wyraziła swoje obrzydzenie. W niemającej końca grze toczonej przez wielkie domy drowów byli też oczywiście przegrani. Większość umierała, ale niektórzy wybierali ucieczkę zamiast śmierci, decydując się na nędzną i podłą egzystencję w odległych rejonach Podmroku. Inni opuszczali swoje rodzinne miasta z różnych powodów - między innymi dlatego, że czcili bóstwa inne niż Lolth. Nie chciało jej się wierzyć, że ktoś na tyle słaby, by uciec z własnego miasta, mógłby im jakoś pomóc.

- Sami rozwiążemy nasze problemy - oświadczyła.

Pharaun spojrział na Halisstrę, a w jego oczach tańczyły ironiczne iskierki.

- Zapomniałem, że wiesz pani, czym jest nieszczęście utraty rodzinnego miasta - zauważył. - Podziwiam skwapliwość, z jaką włączyłaś się do „naszej” dyskusji i „naszych” problemów. Twoja bezinteresowność jest godna podziwu.

Halisstra zasznurowała usta, dotknięta jego słowami. Setki, a nawet tysiące uciekinierów z Ched Nasad rozproszyło się po tyluż tunelach, kryjówkach i grotach wokół miasta. Większość z nich zginie w paszczach bezrozumnych potworów lub będzie pędzić nędzny żywot niewolników pojmanych przez

drowy z innych miast, duergarów albo jeszcze bardziej przerażające rasy Podmroku, takie jak łupieżcy umysłów czy abolethy. Tylko nieliczni mogli liczyć na to, że uda im się przeżyć dzięki własnej pomysłowości i przedsiębiorczości. Domy często brały pod swoje skrzydła pokonanego wroga, który udowodnił swoją przydatność. Dom Melarn przestał istnieć. Dokądkolwiek Halisstra się teraz uda, będzie musiała zaczynać od zera. Przewaga, jaką dawało jej urodzenie, bogactwo i potęga jej miasta, wszystko to nie miało już znaczenia.

Ostrożnie rozważała swoją odpowiedź, świadoma tego, że otaczające ją drowy przysłuchują się jej z wielką uwagą.

- Oszczędź mi swojej litości - syknęła ostro, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. - O ile się nie mylę, Menzoberranzan grozi podobny los jak Ched Nasad w przeciwnym wypadku nie przybyliście szukać naszej pomocy. Nasze kłopoty są waszymi problemami, czyż nie?

Jej słowa odniosły spodziewany efekt. Czarodziej odwrócił wzrok, a pozostali Menzoberranzańczycy poruszyli się nerwowo, obserwując nawzajem swoje reakcje. Quenthel wzdrygnęła się w widoczny sposób, ściągając usta we wściekłym grymasie.

- Przestańcie, oboje - rozkazała, odwracając się do Valasa. - Ten wypędzony kapłan Vhaerauna... dlaczego miałby nam pomóc? Nie wydaje mi się, żeby był życzliwie nastawiony do naszej sprawy.

- Nie wiem, pani - odparł Valas. - Mogę tylko zaprowadzić was do niego. Co wydarzy się potem, zależy od was.

Na zrujnowanym dziedzińcu zapadła cisza. Słońce stało dwa palce nad horyzontem i oślepiające snopy czystego światła wpadające przez sypiące się otwory strzelnicze w wysokich murach przecinały mrok zrujnowanego dworu. Ruiny nie były wcale tak opustoszałe, jak wydawało się Halisstrze. Słyszała ciche odgłosy małych stworzeń czołgających się po piachu i kamieniach, niewyraźne i niknące w oddali.

- Labirynt leży zaledwie sto mil od Mrocznego Zammiora? - zapytała Quenthel. Zwiadowca kiwnął głową. Kapłanka założyła ręce na piersi i zamyśliła się. - I tak będziemy wracać tamtędy do domu. Pharaunie czy dysponujesz magią, która mogłaby skrócić naszą podróż? Zbrojne przebijanie się przez królestwa na powierzchni nie odpowiada mi bardziej niż fehmistrzowi.

Czarodziej uśmiechnął się chytrze i wstał, mile polectany prośbą o pomoc.

- Teleportacja jest ryzykowna - rzekł. - Po pierwsze faerzress Podmroku sprawia, że zaklęcia transportujące są niebezpieczne. Poza tym nigdy nie byłem w Labiryncie i nie mam pojęcia, dokąd miałbym podróżować. Próba mogłaby się nie powieść. Znam jednak czar, który mógłby nas zmienić w istoty lepiej przystosowane do podróży. Może gdybyśmy byli smokami albo gigantycznymi nietoperzami, czymś, co dobrze lata w nocy... - Czarodziej popukał się palcem w brodę, rozważając tę możliwość. - Osoba, którą skłonilibyśmy do posłużenia nam za wierzchowca, musiałaby nim pozostać, dopóki nie odmienię jej z powrotem, rzecz jasna, a i tak oznaczałoby to kilkadziesiąt dni podróży. Albo... znam zaklęcie pozwalające wędrować przez cienie. To niebezpieczne i nie mógłbym przenieść nas prosto do Labiryntu, bo nigdy tam nie byłem, a czaru najlepiej używać, aby dostać się w znajome miejsca. Mógłbym za to przenieść nas do Mantol-Derith, które znajduje się u wybrzeży Mrocznego Zammiora. To znacznie skróciłoby naszą podróż.

- Dlaczego nie wspomniałeś o tym wcześniej, kiedy rozmawialiśmy o miesiącach podróży po powierzchni? - zapytał Jeggred, potrząsając głową z irytacją.

- Jeśli sobie przypominasz, nie zdecydowaliśmy wtedy jeszcze, dokąd mamy ruszać - odparł Pharaun. - Zamierzałem zaproponować swoje usługi w stosownej chwili.

- Przecież mogłeś nas przenieść z Menzoberranzan do Ched Nasad - zauważył Ryld. - Dlaczego, na litość boską, szliśmy tam na piechotę?

- Ponieważ mam powody, by obawiać się planu cieni. Gdy byłem młodszy i bardziej impulsywny, przekonałem się na własnej skórze, że wędrowanie przez cienie nie chroni wcale przed stworami zamieszkującymi krainę mroku. Prawdę mówiąc, niewiele brakowało, a zostałbym pożarty przez istotę, której nie mam już ochoty spotykać. - Czarodziej uśmiechnął się kwaśno i dodał: - Oczywiście traktuję wędrowkę przez cienie jako ostatnią deskę ratunku. Proponuję ją tylko dlatego, że moim zdaniem jest nieco mniej niebezpieczna niż długa podróż po powierzchni.

- Zachowamy wszelkie środki ostrożności - zapewniła Quenthel. - Zaczynamy.

- Nie tak szybko. Muszę przygotować zaklęcie. Będę potrzebował około godziny.

- Więc zrób to bez zwłoki - poleciła Quenthel. Rozejrzała się po ruinach i osłoniła oczy. - Im szybciej znajdziemy się z powrotem pod ziemią, tym lepiej.

ROZDZIAŁ 2

Kiedy Pharaun schronił się w mrocznej, cichej komnacie, żeby przestudiować grimoiry i przygotować zaklęcia, reszta drużyny zebrała swój ekwipunek i zaczęła się przygotowywać do wymarszu. Byli zupełnie nieprzygotowani do długiej podróży po powierzchni. Halisstra i Danifae nie miały żadnych bagaży ani prowiantu. Menzoberranzańczycy przezornie zabrali swoje plecaki przed ucieczką z Ched Nasad, ale długa podróż do Miasta Połyskliwych Pajęczyn uszczupliła ich zapasy.

Kiedy czekali na Pharauna, Halisstra postanowiła przyjrzeć się uważniej ruinom. Przejawiała pewne zamiłowanie do nauki, a przechadzka po starożytnej metropolii była dobrym sposobem na oderwanie się myślami od ostatnich tragicznych godzin jej rodzinnego miasta. Pozostali krzątali się przy zwijaniu obozowiska lub czekali cierpliwie w jak najgłębszym cieniu. Halisstra zebrała te kilka przedmiotów, które udało jej się wziąć z Ched Nasad i wyszła poza zrujnowany dziedziniec. Jej wzrok padł na Danifae, która klęczała w milczeniu w cieniu powalonej arkady, spokojnie przyglądając się jej odejściu.

Halisstra przystanęła.

- Chodź, Danifae - zawołała.

Nie miała ochoty zostawiać służącej wśród Menzoberranzańczyków. Danifae służyła jej wiernie od lat, ale okoliczności się zmieniły.

Służka podniosła się zwinnie i ruszyła za nią. Halisstra poprowadziła ją przez niszczącą skorupę pałacu otaczającego dziedziniec, skąd wyszły na szeroki bulwar przecinający serce starego miasta. Przez godzinę od świtu zdążyło się już nieco ocieplić, ale powietrze było nadal przeraźliwie zimne, a kryształowa czystość nieba jeszcze bardziej potęgowała otaczającą jasność. Obie kobiety przez dłuższą chwilę stały oślepienie słońcem.

- To na nic - wymamrotała Halisstra. - Mrużę oczy tak mocno, że nawet nie widzę przed twarzą własnej dłoni.

Nawet kiedy zdołała otworzyć oczy, widziała tylko jasne, bolesne plamy.

- Valas twierdzi, że z czasem można przywyknąć do słonecznego światła - powiedziała Danifae. - Trudno mi w to uwierzyć, kiedy już zobaczyłam je na własne oczy. To dobrze, że wkrótce powrócimy do Podmroku. - Halisstra usłyszała za plecami cichy odgłos dartego materiału i Danifae wcisnęła jej w dłoń pas materii. - Przewiąż sobie oczy, pani. Może to pomoże.

Halisstrze udało się zrobić z kawałka ciemnego materiału prowizoryczną zasłonę. Rzeczywiście pomagała osłabić wściekły blask słońca.

- Już lepiej - oznajmiła.

Danifae oderwała jeszcze jeden pasek i przewięzała nim oczy, a tymczasem jej pani przyglądała się ruinom. Halisstra odniosła wrażenie, że pałac, w którym się schronili, był jednym z okazalszych budynków, co układało się w sensowną całość. Magiczne portale niełatwo było stworzyć i często znajdowały się w dobrze ukrytych i pilnie strzeżonych miejscach. Wzdłuż frontu pałacu ciągnęła się kolumnada, a po drugiej stronie bulwaru wznosiła się kolejna wspaniała budowla - świątynia, a może jakiś pałac. W stylu budynku było coś znajomego.

- Netheryjska architektura - orzekła. - Widzisz kwadratowe podstawy kolumn i ostrołukowe okna?

- Myślałam, że netheryjskie miasta unosiły się w powietrzu i zostały doszczętnie zniszczone przez jakiś magiczny kataklizm - odparła Danifae. - Jak mogły przetrwać do naszych czasów?

- Może to jedno z państw, które powstały po tym, jak wielkie mythallary dawnych netheryjskich miast przestały działać - podsunęła Halisstra. - Miały wiele podobnych cech architektonicznych, ale były bardziej zwyczajne, mniej magiczne.

- Tam jest coś napisane - powiedziała Danifae, wskazując palcem fasadę zrujnowanego budynku. - Tam... nad kolumnami.

Halisstra podążyła wzrokiem za jej ręką.

- Tak - powiedziała. - To netheryjski.

- Potrafisz to odczytać? - zapytała Danifae.

- Uczyłam się kilku języków. Wspólnej mowy mieszkańców powierzchni, wysokiego netheryjskiego, illuskańskiego, a nawet podstaw mowy smoków - odparła Halisstra. - Nasze biblioteki skrywają fascynujące historie i potężną wiedzę zapisaną w językach innych niż drowi. Wyrobiłam sobie nawyk studiowania podobnych ksiąg ponad wiek temu, kiedy wierzyłam, że znajdę w nich jakiś

zapomniany czar albo sekret, który może okazać się użyteczny przeciwko moim rywalom. Nie znalazłam ich wiele, ale odkryłam, że lubię się uczyć dla samej wiedzy.

- Co w takim razie oznacza ten napis?

- Nie jestem pewna znaczenia niektórych słów, ale napis brzmi chyba tak:

*Wysoka Izba Sprawiedliwości, Hlaungadath
W Świetle Prawdy Pierzchają Kłamstwa.*

- Cóż za sentymentalna bzdura.

Halisstra wskazała otaczające ich ruiny.

- Widzisz, dokąd ich to zaprowadziło. Ale znam tę nazwę. Hlaungadath. Oglądałam mapy powierzchni świata. Valas trafnie określił nasze położenie.

- Nawet mężczyzna potrafi od czasu do czasu zrobić coś dobrze - stwierdziła Danifae.

Halisstra uśmiechnęła się i odwróciła, szukając wśród ruin innych interesujących budowli.

Coś płowego szybko umknęło przed jej spojrzeniem. Halisstra zamarła, wpatrując się w wyrwę w kamiennym murze nieopodal, gdzie jeszcze przed chwilą coś widziała. Nic się tam nie ruszało, ale z innej strony dobiegł ją odgłos osypującego się gruzu. Nie odwracając wzroku, dotknęła ramienia Danifae.

- *Nie jesteśmy tu same, pokazała na migi. Wracamy do reszty - szybko.*

Razem wycofały się z ruin gmachu sądu i wyszły z powrotem na ulicę. Odwróciły się, chcąc wrócić tą samą drogą, którą przyszły, kiedy coś długiego i niskiego, pokrytego łuską w kolorze piasku, wśliznęło się na bulwar. Krótkie skrzydła stwora nie były w stanie utrzymać go w powietrzu, ale potężne szpony i rozwarta paszcza były o wiele lepiej rozwinięte. Smok zatrzymał się i uniósł łeb, aby lepiej przyjrzeć się stojącym przed nim drowkom, po czym syknął z zadowoleniem. Ogromny, potężny stwór, którego oczy lśniły sprytem i złośliwością, od czubka nosa do koniuszka ogona mierzył przynajmniej pięćdziesiąt stóp.

- Niech Lolth ma nas w swojej opiece! - sapnęła Danifae.

Elfki zaczęły się wycofywać w innym kierunku, pod kątem prostym do pałacu, gdzie czekali ich towarzysze. Smok ruszył za nimi ospale, przy każdym kroku jego cielsko przelewało się z boku na bok.

- Próbuje odciąć nas od pozostałych - warknęła Halisstra.

Wyczuła za plecami twarde kamień i zaryzykowała szybki rzut oka przez ramię. Zostały przyparte do budynku, wzdłuż którego przesuwali się teraz, usiłując trzymać potwora na dystans. Kilka stóp dalej otwierał się ciemny zaułek. Halisstra zawahała się przez jedno uderzenie serca, a potem chwyciła Danifae za nadgarstek i wbiegła jak najszybciej w wąski otwór.

W ciemnej uliczce coś na nie czekało. Zanim Halisstra zdołała wyhamować, przed nią stanęła na tylnych łapach wysoka złota istota, półlew, półkobieta, piękna i pełna wdzięku. Z zimnym, okrutnym uśmiechem wyciągnęła rękę i pogłaskała policzek Halisstry. Jej dotyk był chłodny, kojący i Halisstra natychmiast poczuła, jak uchodzi z niej cały strach, determinacja, cała siła woli. Odruchowo podniosła rękę, żeby odepchnąć dłoń istoty.

- Nie bójcie się - odezwała się istota czarującym głosem. - Połóżcie się i odpocznijcie trochę. Jesteście między przyjaciółmi, nic złego wam nie grozi.

Halisstra stała jak sparaliżowana, zdając sobie sprawę, że słowa istoty nie mają sensu, ale pozbawiona zostaje siły woli, która pozwoliłaby jej stawić im opór. Danifae pociągnęła ją ku sobie i wymierzyła jej siarczasty policzek.

- To lamia! krzyknęła. - Próbuje cię omamić!

Lamia warknęła z wściekłości, jej piękne rysy stały się nagle twarde i okrutne.

- Nie opierajcie się - powiedziała ostrzejszym tonem.

Halisstra czuła, jak zakłęcie istoty obezwładnia ją, odbierając jej stanowczość, usiłując podporządkować ją swojej woli. Wiedziała, że jeśli się podda, dobrowolnie zgodzi się na własną śmierć, a nawet położy się bezradnie na ziemi, kiedy lamia będzie ją pożerać, jeśli ta tylko ją o to poprosi, ale bolesny policzek otrzeźwił ją na tyle, że odepchnęła od siebie słodkie słowa lamii.

- Jesteśmy drowkami - wykrztusiła. - Tacy jak ty nie zdołają nagiąć nas do swej woli.

Lamia obnażyła z wściekłością kły i wyciągnęła z pochwy na biodrze brązowy sztylet, ale Halisstra i Danifae wycofały się z ciemnej uliczki na słońce.

- *Smok zniknął, pokazała na migi Danifae.*

Halisstra pokręciła głową i odparła:

- *Iluzja. Zostałyśmy oszukane.*

Coś nadal unosiło się nad środkiem ulicy, migoczące blado widziadło, zbliżone wielkością do stwora, którego widziały wcześniej. Jakby z oddali słyszały jego sykliwe protesty.

- Iluzja - prychnęła ze wstrętem Danifae.

Syki smoka wgryzały im się w umysł, a do nich dołączyły inne, jeszcze bardziej natarczywe szeptki i cienie. Zrujnowane budynki wydawały się rozmywać i znikać, zastępowane przez zupełnie inne budowle. Mroczne i przerażające istoty unosiły się nad stertami gruzu, odcinając im odwrót. Pojawiły się widmowe drowy odziane w olśniewające szaty, uśmiechnięte i szczęśliwe, próbujące je przekonać, że wraz z nimi mogą się oddawać błogim rozkoszom jeśli tylko najpierw się poddadzą.

Stąpając miękko, lamia wyszła za nimi na ulicę, trzymając sztylet za plecami.

- Możecie opierać się nam przez jakiś czas - wymruczała - ale w końcu złamiemy wasz opór. - Znów wyciągnęła do nich rękę. - Nie chcecie, bym oddaliła wasze troski? Nie pozwolicie, żebym znów was dotknęła? Będzie o tyle prościej.

Szybki, zwinny ruch przykuł uwagę Halisstry. Zerknęła w lewo. Kolejna lamia, tym razem samiec, wskoczyła na mur, odcinając im drogę ucieczki. Stwór był opalony i przystojny, gibki i płowy, i uśmiechał się do nich okrutnie.

- Wasza podróż musiała być długa i męcząca - powiedział złocistym głosem. - Nie chcecie opowiedzieć mi o swoich przygodach? Chcę wiedzieć o nich wszystko.

Z ciemnej bramy sądu wyłoniła się trzecia lamia.

- Tak, opowiedzcie nam - zagruchał potwór. - Czy może być miłszy sposób na spędzenie dnia? Odpocznijcie, odpocznijcie i pozwólcie nam zająć się wami.

Oparł się na wielkiej włóczni i uśmiechnął do nich rozkosznie.

Halisstra i Danifae wymieniły spojrzenia i rzuciły się do ucieczki.

* * *

Gromph Baenre, arcymag Menzoberranzan, był niezadowolony. Chociaż rewoltę niewolników udało się stłumić bez większych problemów, niepokoił go wielce fakt, iż tylu drowów zawiązało przymierze przeciwko matkom opiekunkom. Mało tego, sprzymierzili się z rasami niewolników, aby zwrócić się przeciwko miastu. Świadczyło to o rozpaczliwym lęku od dawna tłumionym i jeszcze czymś - niewidocznym wrogu, który znalazł sposób, by dać owemu lękowi wyraz i misję do spełnienia. Po prostu drowom współpraca przychodziła z takim trudem, że nie byłyby w stanie przygotować w tajemnicy zorganizowanej rebelii na taką skalę.

Czujna cisza, która okryła miasto po stłumieniu powstania i śmierci illithilicza, wydawała się Gromphowi wroga i zwodnicza.

Wstał zza biurka i zamyślony zaczął chodzić po swojej komnacie. Kyorli, szczur chowaniec, przyglądał mu się z chłodną obojętnością, przeżuując plaster sera rothe.

Nie wiedzieć czemu, widok szczura przypomniawszy arcymagowi, że od dawna nie miał wieści od Pharauna. Arogancki fircyk donosił ostatnio, że w Ched Nasad panuje chaos. Chyba nadszedł już czas, żeby sprawdzić, co u niego słychać.

Gromph wkroczył sklepionym przejściem w otwarty szyb i lewitując, wzniósł się do pokoju, który służył mu jako komnata jasnowidzenia. Z konieczności była nieco gorzej osłonięta niż inne części jego siedziby - potrzebował pewnej dozy magicznej przejrzystości, by móc błędzić umysłem po szerokim świecie otaczającym jego pałac. Dotarł do komnaty i usiadł ze skrzyżowanymi nogami przed niskim stolikiem, na którym spoczywała wielka kryształowa kula.

Uczynił wiekowymi dłońmi magiczny gest, mamrocząc słowa aktywujące kulę i rozkazał:

- Pokaż mi Pharauna Mizzryma, zuchwalca, który wierzy, że któregoś dnia zajmie moje miejsce.

Ostatnia uwaga nie była konieczna, ale Gromph poczuł się lepiej, mogąc przed przystąpieniem do wieszczenia dać upust swej irytacji.

Kula zmętniała, wypełniła się skłębioną szarą mgłą, po czym eksplodowała niezapowiedzianym blaskiem. Gromph zaklął i odwrócił wzrok. Przez chwilę myślał, że Pharaun wymyślił jakiś nowy czar mający zniechęcić jego wrogów do szpiegowania, ale arcymag rozpoznał wkrótce ten wyjątkowy blask. Światło dzienne.

Zachodząc w głowę, co też mistrz Sorcere robi na powierzchni, Gromph osłonił oczy i zajrzał uważniej w kulę. Zobaczył Pharauna siedzącego w cieniu walącego się muru, jak studiuje księgi z

zaklęciami. W zasięgu wzroku nie widać było żadnych mrocznych elfów, które towarzyszyły czarodziejowi, choć Gromph widział w pobliżu przejście prowadzące na nienawistnie jasny dziedziniec. Mała postać Pharauna podniosła głowę znad ksiąg i zmarszczyła brwi. Czarodziej wyczuł, że ktoś go śledzi, czego można się było spodziewać po tak biegłym w swym rzemiośle magu. Pharaun uczynił w milczeniu kilka gestów i obraz rozmył się. Pharaun rzucił zaklęcie blokujące jasnovidzenie, choć były spore szanse, że nie ma pojęcia, kto go obserwuje.

- Myślisz, że tak łatwo mi się wymkniesz? - zapytał Gromph, wpatrując się w szarość.

Zetknął obie dłonie palcami i rzucił własne zaklęcie, mentalny przekaz prosto do umysłu zbłąkanego czarodzieja.

- *Gdzie jesteś? Co zaszło w Ched Nasad? Co teraz zamierzasz?*

Skupił się, przygotowując się na odpowiedź Pharauna - zaklęcie przesyłało odpowiedź odbiorcy w ciągu kilku minut. Mijały sekundy. Gromph wyjrzał przez wysokie, wąskie okna komnaty jasnovidzenia, czekając na odpowiedź młodego czarodzieja.

Poczuł lekkie jak piórko dotknięcie słów Pharauna pojawiających się w jego umyśle:

- *Anauroch. Ched Nasad zburzone przez rebeliantów i bomby zapalające. Ich również dotknęło milczenie Lolth. Szukamy kapłana Vhaerauna w nadziei na odpowiedzi.*

Kontakt urwał się po tych 21 słowach. Zaklęcie nie pozwalało na dłuższe rozmowy, ale Pharaun odpowiedział na pytania Grompha z niezwykłą u niego precyzją.

- Ched Nasad zburzone? - wyszeptał Gromph.

Rewelacja ta zasługiwała na natychmiastowe zbadanie. Odwrócił się znów w stronę kryształowej kuli i zażądał, żeby pokazała mu Miasto Połyskliwych Pajęczyn. Po chwili mgła ustąpiła, ukazując oczom arcymaga krajobraz po bitwie.

Tam gdzie niegdyś znajdowało się Ched Nasad, pozostały tylko szczątki skamieniałych pajęczyn spływające powoli w czarną otchłań jak topiące się szkło z rurki szklarza. Z posępnych pałaców i przyczepionych do ścian pieczary zamków nie zostało prawie nic.

- Niech Lolth ma nas w swojej opiece - wymamrotał Gromph, którego zemdlilo na ten widok.

Nie kochał Miasta Połyskliwych Pajęczyn, ale nieszczęścia, jakie spadły na Ched Nasad, mogły wkrótce spaść na Menzoberranzan. Ched Nasad było miastem prawie tak wielkim i potężnym jak Menzoberranzan, ale Gromph na własne oczy widział jego całkowitą ruinę. Byłby zaskoczony, gdyby w mieście ocalał choć jeden budynek z dwudziestu.

Gromph zmienił pole widzenia kuli, szukając jakichś oznak życia, ale główna pieczara opustoszała. Zobaczył wiele spalonych ciał wśród tłących się rumowisk, ale wszystkie drowy, które przeżyły pożar miasta, musiały się schronić w pobliskich jaskiniach. Gromph nie był w stanie zobaczyć ich poprzez swój kryształ, więc po jakimś czasie zdecydował, że dalsze próby nie mają sensu i pozwolił, by kula znów zasnęła się mgłą. Przez długi czas siedział w milczeniu, wpatrując się nieobecny wzrokiem w pociemniałą sferę.

- Czy powinien powiedzieć o tym Triel? - zapytał sam siebie, kiedy wreszcie otrząsnął się z zadumy.

Wiedział coś, o czym matka opiekunka prawdopodobnie nie wiedziała, a to zawsze otwierało nowe możliwości. Problem polegał na tym, że Gromph nie miał pojęcia, jakie korzyści mógłby wyciągnąć z zachowania tej wiedzy dla siebie, a ryzyko zatajenia uzyskanych informacji było oczywiste. Wiedząc, że milczenie Lolth rozciąga się poza Menzoberranzan, mógł stanowić dla kapłanki bezpośrednie zagrożenie - gdyby był do tego skłonny - ale nawet gdyby przeciwstawił całą siłę Sorcere rządzącym domom, co by na tym zyskał w razie wygranej? Dymiące zgliszcza Ched Nasad mówiły same za siebie. A zresztą powiązania mistrzów szkoły czarodziejów z poszczególnymi domami ukróciłyby z miejsca podobną niedorzeczność.

- Nie, - zdecydował Gromph. - Nie jestem rewolucjonistą chcącym obalić stary porządek - w każdym razie jeszcze nie.

Poza tym przyczyną wszystkich kłopotów był najprawdopodobniej jakiś nowy podstęp samej Lolth. Gromph nie byłby wcale zdziwiony, gdyby Pajęcza Królowa umilkła w niewytłumaczalny sposób tylko po to, żeby sprawdzić, kto spróbuje wykorzystać chwilową „słabość” jej kapłanek. To oznaczało, że prę dzej czy później Lolth znudzi się swoją grą i ponownie obdarzy swoje kleryczki względami. A kiedy to się stanie, biada każdemu, kto okazał się na tyle głupi, by okazać chwiejność swego przywiązania do ustalonego porządku. Nie, najmądrzejsze, co mógł zrobić, to przekazać Triel to, czego się dowiedział i

dopilnować, by opiekunka Baenre nie zachowała tej wiedzy dla siebie. Słowa Pharauna oddawały w ogromnym skrócie wielkie niebezpieczeństwo grożące Menzoberranzan, a Gromph nie chciał, żeby zapamiętano go jako arcymaga, który pozwolił, żeby jego miasto zostało zrównane z ziemią.

Westchnąwszy wstał i bezszelestnie opuścił się szybem w dół. Miał nadzieję, że Triel zajmuje się właśnie czymś niestosownym, tak by mógł cieszyć się drobną przyjemnością przeszkodzenia jej w takiej chwili w celu przekazania wieści, które nie mogły zaczekać.

* * *

- Pytanie nie brzmi, dokąd powinniśmy się teraz udać - zauważył Pharaun z kwaśną miną. - Pytanie brzmi, jak ująć z Hlaungadath z życiem. - Mistrz Sorcere był wyczerpany. Krew i pot zmieszane z piaskiem utworzyły na jego twarzy brudną skorupę, a był tak zmęczony, że zdołał tylko zwałić się na ziemię w cieniu długiego, niszczonego muru. Ponieważ zużył już dawno wszystkie zaklęcia przydatne w walce, trzymał w dłoni ciekłą różdżkę z czarnego żelaza, którą przyzywał błyskawice. Mag spojrzął na niebo, chcąc sprawdzić, kiedy zapadnie zmrok, ale szybko odwrócił wzrok. - Czy to przekłete słońce nigdy nie zajdzie?

- Wstawaj czarodzieju - rozkazała Quenthel. - Odpoczynek oznacza śmierć.

Ona też trzęsła się z wyczerpania, ale trzymała się na nogach. Pokryte posoką węże, którymi zakończone były długie rzemienie jej bicia, wciąż zwijały się i syczały groźnie, ale z paskudnego rozcięcia nad lewym okiem kapłanki wciąż sączyła się krew, a dwa rzędy wgniecionych i zmiażdżonych ogniw w jej kolczudze dowodziły, jak bliska była śmierci ze szponów jakiegoś ogromnego monstrum o szarej skórze i pajęczych oczach.

- Pod wpływem zmęczenia jest się bardziej podatnym na siłę sugestii i iluzję lamii - powiedziała Halisstra. - Lepiej zginąć w walce niż znaleźć się we władzy takiej istoty.

Była w podobnym stanie jak pozostali. Wraz z Danifae przeżyły początkowe spotkanie z potworami i już od wielu godzin drużyna uciekała przed nimi pustymi ulicami pośród ruin. Najpierw wielkie stado lamii próbowało omamić ich swoją mocą, ale drowy mające się na baczności przed takimi magicznymi sztuczkami nie były łatwą zdobyczą. Halisstra i pozostali nastawili się na starcie z lamiami, ale lamie - zdradzieckie i tchórzliwe istoty wycofały się z walki i wysyłały przeciwko drużynie drowów omamionych czarami niewolników. Lamiom może i brakowało waleczności, ale z pewnością nie brakowało jej mantikorom, asabim, gargulcom i innym stworom.

- Żadna z tych opcji mi nie odpowiada - warknęła Quenthel. Obróciła się powoli i przyjrzała uważnie murom i otaczającym ich budynkom, szukając drogi ucieczki. - Tam. Zaraz za tamtymi budynkami widzę otwartą pustynię. Może zaprzestaną pościgu, jeśli opuścimy miasto.

- To nieroztropne, pani - powiedział Valas. Kucnął przy sklepieniu przejściu prowadzącym do ich tymczasowego schronienia, wypatrując następnego ataku. - Kiedy znajdziemy się poza murami, będą wiedzieć, gdzie jesteśmy. Na pustyni będziemy widoczni jak na dłoni, nawet w naszych piwafwi - nie są przeznaczone do noszenia w świetle dziennym na otwartej przestrzeni. Powinniśmy pozostać w ukryciu.

Ryld ze znużeniem pokiwał głową. Stał przy innym wyjściu, opierając swój wielki miecz na ramieniu.

- Otoczyłyby nas i przytłoczyły - stwierdził mistrz Melee-Magthere. - Najlepiej zostanemy w obrębie ruin i miejmy nadzieję, że lamie... cholera. Mamy towarzystwo.

Gdzieś w labiryncie walących się murów osypał się gruz, gdy coś wielkiego zbliżyło się do ich kryjówek.

- Uważajcie na iluzje - przypomniała Halisstra.

Zważyła w dłoni buzdycan i pociągnęła za tarczę, upewniając się czy jest dobrze umocowana do ramienia. Za nią sprężyła się do ataku Danifae z długim sztyletem w dłoni. Halisstra nie była zachwycona koniecznością uzbrojenia branki, ale w tej chwili potrzebna im była każda pomoc, a w dobrze rozumianym interesie Danifae leżało zrobienie wszystkiego, żeby nie padli ofiarą mieszkańców Hlaungadath.

Lamie spróbowały nowego wybiegu. W wyrwę w murze strzeżoną przez Jeggreda potwory rzuciły grupę jaszczuropolodnych asabich, dzikich stworów, które sycząc z wściekłości rzuciły się na draeglothę, ściskając w pokrytych łuską dłoniach sejmitary i bułaty. Trzy następne zwarły się z Valasem, podczas gdy zza murów wyłoniła się para gargulców, które opadły na środek zrujnowanego budynku za plecami

Rylda, każdym uderzeniem wielkich czarnych skrzydeł wzbijając tumany kurzu. Fehmistrz obrócił się z przekleństwem na ustach, by stawić czoło nowemu zagrożeniu.

Jeggred zawył z wściekłości i skoczył na spotkanie szturmującym asabim, odbijając błyskające w słońcu klingi, kłapiąc szczęką i rozrywając jaszczurzych wojowników wielkimi szponami. Białowłosej demon siał swoimi czterema ramionami straszliwe spustoszenie, ale nawet on był już zmęczony. Dosięgały go ciosy, spod których normalnie wymknąłby się ze swą niezwykłą szybkością. Żle zablokował cios sejmity, który pozostawił na jego lewej ręce długą, krwawiącą szramę od łokcia do nadgarstka. Kolejne ostrze skaleczyło go w tors, z którego trysnęła krew, płamiąc czerwienią porośniętą białym futrem pierś. Draegloth ryknął rozjuszony i zdwoił wysiłki.

Odpierającemu ataki gargulców Ryldowi pospieszyły z pomocą Halisstra i Quenthel. Quenthel smagnęła jednego z nich biczem. Węże owinęły się wokół zakończonych szponami nóg stwora i zatopiły zęby w kamiennym ciele, ale gargulec zaczął bić wściekle skrzydłami, usiłując wzbic się w powietrze i zwałił kapłankę z nóg. Pharaun uniósł różdżkę, aby porazić potwora śmiertelnie błyskawicą, ale wykonał półobrót i padł na ziemię z prawym przedramieniem przeszytym bełtem z kuszy. Różdżka wypadła mu z dłoni.

- Dachy! - krzyknął czarodziej.

Halisstra odsunęła się od gargulców i mrużąc oczy, spojrzała w jasne niebo, wypatrując nowych napastników. W odległości czterdziestu, może pięćdziesięciu jardów na szczycie muru przyczaiły się płowe plamy, garstka lamii uzbrojonych w ciężkie kusze, które przyglądały się bacznie starciu, szukając okazji do strzału. Ich piękne twarze wykrzywiały ohydne grymasy. Drowka zobaczyła, jedna z nich wycelowała w Rylda. Bełt świsnął tuż obok głowy fehmistrza, odłupując kawałek miękkiej kamiennej ściany. Ryld uskoczył w bok.

- Niech ktoś unieszkodliwi strzelców! - warknął, usiłując dosięgnąć mieczem gargulce.

Sekundę później w kierunku Rylda poleciały kolejne dwa bełty. Jeden odbił się od jego napierśnika, ale drugi ugodził go w prawy bok, kiedy wznosił ramiona do ciosu Rozpruwaczem, i zaklinował się pod pachą. Ryld zatoczył się dwa kroki w tył i runął w pył.

Halisstra poderwała z ziemi różdżkę Pharauna.

- Pomóż Quenthel - rozkazała Danifae.

Wycelowała różdżkę czarodzieja w lamie na wysokim murze. Znała się trochę na takich magicznych przedmiotach - w zwykłych okolicznościach starałaby się ukryć ten talent przed pozostałymi, ale znaleźli się w rozpaczliwej sytuacji. Wymówiła tajemne słowo i fioletowa błyskawica trafiła w pierwszą z brzegu lamie, zrzucając ją z muru w gradzie pokruszonych kamieni. Grom rozszedł się echem po pokrytych pyłem ruinach. Wycelowała w następną lamie, ale potwory nie były głupie. Natychmiast zeskoczyły na ziemię, ukrywając się za murem przed kolejnymi błyskawicami.

Z cienia wyłonił się Pharaun, który powrócił do walki uzbrojony w inną różdżkę. Ta miotała pioruny ogniste, które skierował w gargulce nad głową. Skrzecząc z bólu, potwory odleciały, ale ten zatruty przez żmije Quenthel nie zdążył daleko uciec, zanim skrzydła odmówiły mu posłuszeństwa. Runął w dół pomiędzy ruiny w pewnej odległości od towarzyszy.

Valas uśmiercił swojego ostatniego przeciwnika dwuręcznym ciosem, który nieomal rozplątał stwora na dwie części. Jeggred stał na kupie ciał asabich, robiąc ciężko bokami. Czarodziej ogarnął wzrokiem pole bitwy i zauważył leżącego na ziemi Rylda.

- Cholera - wymamrotał.

Ukląkł obok fehmistrza i przewrócił go na plecy. Ryld umierał. Z rany od tkwiącego w piersi bełtu płynęła krew, wojownik walczył o każdy oddech, z jego poszarzałych usta sączyła się krwawa ślina. Czarodziej sposepniał i podniósł oczy na Quenthel.

- Zrób coś - powiedział. - Potrzebujemy go.

Quenthel z lodowatą miną założyła ręce na piersi.

- Niestety, Lolth odmawia mi w tej chwili zaklęć leczących, a ja zdążyłam już zużyć prawie całą magię uzdrawiającą, jaką zabrałam w podróż. Nie mogę wiele dla niego zrobić.

Halisstra zmrużyła oczy, zastanawiając się. Po raz kolejny nie podobało się jej to, co miała zamiar za chwilę zrobić, ale ujawnienie sekretu miało swoje zalety. Jeśli udowodni Menzoberranzańczykom swoją użyteczność, nie będą chcieli się jej pozbyć.

Poza tym, pomyślała, i tak już pewnie wiedzą.

- Odsuńcie się - powiedziało cicho. - Potrafię mu pomóc.

Quenthel i Pharaun spojrzeli na nią podejrzliwie.

- Jak? - zapytała Quenthel. - Chcesz powiedzieć, że Lolth jest ci nadal przychylna?
- Nie - odparła Halisstra. Uklękła obok Rylda i zbadła go. Musiała działać szybko. Jeśli wojownik umrze, nie będzie już w stanie mu pomóc. - Lolth odmawia mi czarów tak samo jak tobie i zapewne każdej innej kapłance naszej rasy. Potrafię jednak leczyć w inny sposób.

To powiedziawszy, zaczęła śpiewać. Był to osobliwie melancholijny tren, mroczny i niesamowity, odwołujący się do tak charakterystycznego dla drowów umiłowania piękna, ambicji i niecnym czynów. Modulując głos i kształtując starożytne słowa pieśni, wzywając magię lamentu, Halisstra położyła dłoń na bęlcie i wyrwała go z rany.

Ryld zadygotał i wybałuszył oczy, na rękę Halisstry trysnęła krew, ale rana zasklepiła się, tworząc pomarszczoną bliznę. Fechmistrz, odzyskawszy przytomność, zaczął kaszleć.

- Co się stało? - jęknął.
- Ja też chciałabym wiedzieć - odparła Quenthel. Przyglądała się podejrzliwie Halisstrze. - Czy to było to, co myślę?

Halisstra kiwnęła głową i wstała, wycierając ręce z krwi.

- Jest tradycją mojego domu, że te elfki, które mają odpowiednie predyspozycje, mogą studiować sztukę bae'qeshel, mrocznych minstrelów. Jak widzieliście, pieśni mają wielką moc, choć niewiele drowów chce ją poznawać. Szkołę się w sztuce minstrelów.

Ryld usiadł, przypatrując się swojemu napierśnikowi i zakrwawionemu bęltowi leżącemu w piachu. Podniósł oczy na Halisstrę.

- Uzdrowiłaś mnie? - zapytał.

Halisstra wyciągnęła do niego rękę i pomogła mu wstać.

- Jak zauważył twój przyjaciel Pharaun, za bardzo cię potrzebujemy, żeby pozwolić ci umrzeć.

Ryld spojrział jej w oczy, myśląc nad odpowiedzią. Rzadko który drow okazywał komuś wdzięczność. Fechmistrz zastanawiał się zapewne, jak postąpi Halisstra, jeśli ją jej okaże. Oszczędziła mu poważniejszych rozterek, odwracając się do Pharauna i oddając mu jego żelazną różdżkę.

- Proszę - powiedziała. - Upuściłaś ją.

Pharaun pochylił głowę i odparł:

- Przyznaję, że mnie zaskoczyłaś, ale słyszałem, jak śpiewasz w Ched Nasad. To wstyd, że nie zorientowałem się wcześniej.

- Pozwól mi obejrzeć swoje ramię - poprosiła.

Znów zaśpiewała uzdrawiającą pieśń, lecząc ranę Pharauna.

Zbadałaby również pozostałych i pomogła im w miarę możliwości, ale przerwała jej Quenthel.

- Nikt już nie umiera - zaburczała wysoka kapłanka. - Musimy uciekać, inaczej wrogowie znów nas dopadną. Valasie, ty prowadź. Kieruj się ku zewnętrznym murom, żeby móc wydostać się na pustynię, jeśli postanowimy uciekać.

- Doskonale, mistrzyni Baenre - zgodził się zwiadowca. - Zrobię, jak każesz.

ROZDZIAŁ 3

Książę Kaanyr Vhok, półdemon zwany Dzierżącym Berło, stał na wysokim balkonie nad starą krasnoludzką odlewnią i oglądał swoich zbrojmistrzów przy pracy. Wielka huta stanowiła niegdyś serce upadłego królestwa Ammarindaru. Pieczara, w której się mieściła, była przeogromna, a jej sklepienie podtrzymywały dziesiątki kolumn rzeźbionych na kształt smoków, które żarzyły się gniewną czerwienią płomieni i krwawym blaskiem przetapianego metalu. Powietrze wypełniał stukot młotów i ryk pieców hutniczych. Dziesiątki zwałistych tanarukków, bydłał spłodzonych przez orki i demony, uwijało się w pocie czoła na dnie jaskini. Może i brakowało im umiejętności oraz zakłęć krasnoludów, które kiedyś tu pracowały, ale żołnierze Kaanyra Vhoka instynktownie wytwarzali śmiercionośny oręż nasycony mroczną wiedzą.

Sam Kaanyr doskonale pasował do tej piekielnej scenerii. Wysoki i potężny, miał posturę umięśnionego ludzkiego wojownika i siłę kamiennego olbrzyma. Skórę miał czerwoną i gorącą w dotyku, a tak twardą, że odbijało się od niej żelazo. Był uderzająco przystojny, choć z jego oczu wyzierała niegodziwość, a zęby miał czarne jak węgiel. Nosił złoty napierśnik, a w pokrytych runami pochwach przy pasie dwa krótkie miecze z czarnego żelaza. Uśmiechnął się z dzikim zadowoleniem, spoglądając na gromadzącą się w dole armię.

- Dowodzę teraz prawie dwoma tysiącami tanarukków - powiedział przez ramię - i mam jeszcze tyle samo orków, ogrów, trolli i olbrzymów na swoje rozkazy. Myślę, kochanie, że nadszedł czas, abym wypróbował moje siły.

Aliisza pozwoliła sobie na uśmiech i przysunęła się bliżej, przyciskając się do boku księcia. W jej żyłach również płynęła krew demonów. Była alu-demonem, zrodzonym z sukkuba i ludzkiego czarodzieja. Z jej łopatek wyrastały skrzydła gładkie jak czarna skóra, ale poza tym była smagła i uwodzicielska, zmysłowa i ponętna, półdiablica, której powabowi niewielu śmiertelnych mężczyzn było się w stanie oprzeć. Była również sprytna, kapryśna i biegła w sztukach magicznych, a zatem świetnie nadawała się na towarzyszkę życia spłodzonego przez demony wodza takiego jak Kaanyr.

- Menzoberranzan? - zamruczała, wodząc koniuszkiem palca po wzorze na jego pancerzu.

- Oczywiście. W Ched Nasad nie pozostało nic wartego zachodu. - Kaanyr zmarszczył brwi i popatrzył w dal. - Jeśli mroczne elfy są pozbawione opieki swojej pajęcznej bogini i nie potrafią skończyć ze swoimi ustawicznymi waśniami, mam okazję sięgnąć po wielkość, jakiej zawsze pożałowałem. Zawładnąwszy ruinami Ammarindaru, odkryłem, że chcę czegoś więcej. Podoba mi się pomysł podporządkowania sobie miasta drowów.

- Inni zdążyli już na to wpaść - zauważyła Aliisza. - Menzoberranzańczyk, z którym rozmawiałam w Ched Nasad, sugerował, że w jego mieście wybuchło wielkie powstanie niewolników sponsorowane przez kogoś z zewnątrz. Myślę, że duergarscy najemnicy, którzy walczyli w Ched Nasad, po zdobyciu miasta nie oddaliby go domowi, który ich wynajął. Przypuszczam, że gdyby ich bomby nie zadziałały tak dobrze, w Ched Nasad rządziłby teraz klan Xornbane.

- Albo ja - rzekł Kaanyr i zmrużył oczy. - Gdybyś wcześniej zdała mi raport z sytuacji, mógłbym wysłać moją armię przeciwko Ched Nasad, kiedy drowy i duergarowie byli już wyczerpani walką.

Aliisza oblizła wargi.

- Straciłbyś wszystkie siły wysłane do miasta - powiedziała. - Twój tanaruk mógłby przeżyć pożar, zgoda, ale spadające ulice zniszczyły wszystko. Uwierz mi, nie straciłeś w Ched Nasad żadnej okazji.

Kaanyr nie odpowiedział. Wyplątał się z objęć Aliiszy, przeskoczył lekko nad balustradą balkonu i spłynął na dno odlewni. Książę nie miał skrzydeł, ale krew demonów płynąca w jego żyłach pozwalała mu unosić się w powietrzu samą siłą woli. Aliisza spochmurniała i skoczyła za nim, rozpościerając szeroko czarne skrzydła, żeby złapać w nie gorące wyziewy buchające z dołu. Kaanyr wciąż dąsał się o Ched Nasad, a to niedobrze. Gdyby kiedykolwiek się nią znudził, z pewnością byłby zdolny uśmiercić ją w jakiś makabryczny sposób, nie dbając o ich minioną zażyłość. Był zdolny do wszystkiego, jeśli stracił panowanie nad sobą.

Półdemon opadł na ziemię obok piaskowej formy odlewniczej wypełnionej płynnym żelazem. Obok stało dwóch tanarukków, śledzących uważnie zalewanie form. Kaanyr ukucnął przy rozgrzanym do białości metalu i zamieszał go palcami. Żelazo było na tyle gorące, że kontakt z nim okazał się nieprzyjemny, więc po chwili strząsnął je z palców i wytarł o udo.

- Dobrze żelazo - odezwał się do tanarukków. - Tak trzymać, chłopcy.
Wyprostował się i ruszył dalej. Aliisza sfrunęła na kamienno dno jaskini i dołączyła do niego.
- Martwi mnie jedna rzecz - zastanawiał się na głos Kaanyr. - Dlaczego duergarowie z klanu Xornbane zdradzili dom, który ich wynajął i spalili całe miasto? Czy była to zwykła kłótnia o zapłatę? Czy może od samego początku zamierzali zniszczyć Ched Nasad? Jeśli tak, czy stał za tym Horgar Steelshadow? Czy to księżę Gracklstugh wysłał swoich najemników, żeby zniszczyli miasto, czy może klan Xornbane zrobił to dla kogoś innego?
- Czy ma to jakieś znaczenie? - zapytała Aliisza, zrównując się z nim. - Miasto zostało doszczętnie zniszczone. Wielkie domy Ched Nasad zginęły, nie zostało też przy życiu wielu członków klanu Xornbane.
- Ma, ponieważ zastanawiam się czy duergarowie z Gracklstugh zamierzają teraz zaatakować Menzoberranzan - powiedział Kaanyr. - Zgromadziłem tu spore siły, ale nie wierzę, by udało mi się zdobyć Menzoberranzan, chyba że mroczne elfy pogrążą się w totalnym chaosie i bezradności. Jeśli duergarowie też zamierzają ruszyć na Menzoberranzan, moje możliwości są niemal nieograniczone.
- Ach - szepnęła Aliisza. - Mógłbyś sprzedać swoje usługi mrocznym elfom, szarym krasnoludom, obu stronom, albo żadnej z nich. Hm, to bardzo interesujące.
- Cena, jakiej zażądam, wzrasta wraz z liczbą wojowników, którymi dowodzę i moją odległością od Menzoberranzan, ale to zależy od planów szarych krasnoludów. - Półdemon roześmiał się głośno. - Nie mam ochoty stanąć u bram Menzoberranzan przeciwko silnemu i zjednoczonemu miastu drowów, bez żadnych sojuszników u boku.
- Dlaczego odnoszę wrażenie, że znów chcesz mnie dokądś wysłać? - nadąsała się Aliisza. Leniwie owinęła Kaanyra rozpostartymi skrzydłami, zatrzymując go i wyciągnęła rękę, żeby odwrócić go do siebie. - Dopiero co wróciłam.
- Bystra jesteś - powiedział Kaanyr z uśmiechem. - Tak, mam zamiar wysłać cię z kolejną misją. Ale tym razem nie będziesz musiała się czaić i ukrywać. Odwiedzisz Horgara Steelshadow, następcę tronu Gracklstugh, jako moja osobista wysłanniczka - z misją dyplomatyczną, jeśli wolisz. Dowiedz się czy szare krasnoludy zamierzają zaatakować Menzoberranzan. Jeśli tak, powiadom ich, że chciałbym się do nich przyłączyć. Jeśli nie... cóż, spróbuj ich przekonać, że w ich dobrze pojętym interesie leży zniszczenie Menzoberranzan, dopóki mroczne elfy są słabe.
- Krasnoludy nie zechcą mi się zwierzać.
- To oczywiste. Jednak jeśli planują atak, będą chciały mieć we mnie sojusznika. Jeśli ataku nie planują, fakt, że gotów jestem się z nimi sprzymierzyć, może okazać się dla nich decydujący. Nie życzą Menzoberranzan dobrze, więc nie musisz się martwić, że poprą drowy.
- Wysłanniczka... - wymamrotała Aliisza. - To brzmi lepiej niż szpieg, co? Chyba mogę przekazać im twoje posłanie, mój słodki, dziki Kaanyrze, ale może powinieneś przekonać mnie jakoś do szybkiego powrotu, hm?
- Kaanyr objął ją potężnymi ramionami i musnął nosem zagłębienie jej obojczyka.
- Doskonale, moja droga - huknął. - Choć czasem mam wrażenie, że jesteś zupełnie nienasycona.

* * *

Po godzinie rozpaczliwej ucieczki przez ruiny sponiewieranej drużynie udało się wreszcie ukryć przed potworami rządzącymi Hlaungadath. U stóp przysadzistej kwadratowej wieży mroczne elfy znalazły zasypane piachem schody prowadzące do chłodnych, ciemnych katakumb pod miastem. Pokrzepione tym odkryciem, zapuściły się w labirynt pogrzebanych pod ziemią świątyń, podziemnych studni i rozbrzmiewających echem kolumnad z brązowego kamienia, aż wreszcie zaszyły się głęboko pod ziemią w porzuconej komnacie, która wyglądała na od dawna nieużywaną. Było to posępne i ponure miejsce, ale nie dokuczały im tu oślepiające słońce i kontrolujące umysł potwory, a niczego więcej nie było im trzeba.

- Pharaunie, przygotuj szybko swoje zaklęcia - rozkazała Quenthel, omiótłszy wzrokiem komnatę. - Halisstro, ty i Ryld staniecie tu na warcie. Jeggred, ty i Valas będziecie pilnować tamtego korytarza.
- Obawiam się, że zajmie to trochę czasu - powiedział czarodziej. Uczynił przeproszający gest. - Byłem gotów zasiąść nad moją księgą czarów po tym, jak udało mi się trochę wypocząć na dziedzińcu pałacu na powierzchni, ale niegościnnieść naszych gospodarzy sprawiła, że czuję się nieco znużony.

Muszę odpocząć jakiś czas, zanim będę w stanie przygotować zaklęcia.

- Wszyscy jesteście zmęczeni - warknęła Quenthel. - Nie mamy czasu na odpoczynek. Natychmiast przygotuj zaklęcia!

Węże jej bicza zwinęły się i zasyczały, podekscytowane.

- To bez sensu, droga Quenthel. Musicie utrzymać naszych wrogów z dala ode mnie, zanim nie dojdę do siebie.

- Skoro jest taki bezsilny - zagrział Jeggred - nadarza się świetna okazja, żeby ukarać go za jego aroganckie zachowanie i liczne wykroczenia.

- Głupi stworze - prychnął Pharaun. - Zabij mnie, a wszyscy zginiecie na tym spalonym słońcem pustkowiu nim minie dzień. A może nagle stałeś się biegły w sztuce tajemnej?

Jeggred zjeżył się, ale Quenthel uspokoiła go jednym spojrzeniem. Draegloth oddalił się, aby objąć wartę w przeciwnym końcu długiej zakurzonej komnaty, gdzie przyczał się za stertą gruzu obok wejścia. Valas westchnął i Potruchtął w jego stronę.

- Przygotuj zaklęcia najszybciej jak potrafisz, czarodzieju - poleciła kapłanka, panując nad głosem pomimo dławiącej ją wściekłości. - Nie mam już cierpliwości do twoich żartów. Oddaj Halisstrze różdżkę przywołującą błyskawice na wypadek gdyby okazała się nam potrzebna do odparcia kolejnego ataku.

O zmęczeniu Pharauna świadczył fakt, że nawet nie próbował mieć ostatniego słowa. Odwrócił się do Halisstry i z kwaśnym uśmiechem upuścił na jej dłoń czarną żelazną różdżkę.

- Chyba już wiesz, jak jej używać. Oczywiście będę chciał dostać ją z powrotem, więc spróbuj nie wyczerpać do końca jej możliwości. O nową nie jest łatwo.

- Użyję jej tylko w ostateczności - zapewniła Halisstra.

Odprowadziła wzrokiem czarodzieja, który znalazł sobie zacienione miejsce obok wielkiej kolumny, pod którą usiadł ze skrzyżowanymi nogami, opierając się o chłodny kamień. Wsadziła różdżkę za pas. Quenthel usadowiła się pod przeciwległą ścianą, obserwując Pharauna, jak gdyby chciała się upewnić czy nie udaje znużenia. Ryld Argith wstał i ruszył w stronę korytarza prowadzącego z powrotem na opanowaną przez potwory powierzchnię, podpierając się swoim wielkim mieczem.

Halisstra miała już ruszyć za nim, ale Danifae zapytała:

- Czy mam stanąć tu na straży, pani?

Dziewczyna klęczała na zapyłonej posadzce pomiędzy czarodziejem a kapłanką, ze sztyletem zatkniętym za pas. Podniosła oczy na Halisstrę z całkowicie obojętnym wyrazem twarzy, niczym uosobienie niewinności.

Kapłanka Melarn powstrzymała grymas niezadowolenia. Uzbrojenie branki było równoznaczne z przyznaniem się do tego, że nie ma dość siły, by zmusić ją do posłuszeństwa i przypuszczała, że w przyszłości Danifae trudno będzie zmusić do dalszej uległości. Dziewczyna patrzyła z anielskim spokojem, jak jej pani rozważa propozycję. Halisstra czuła też na sobie wzrok Quenthel i siłą woli powstrzymała się przed zerknięciem na kapłankę Baenre, żeby sprawdzić czy ta pochwała jej odpowiedź.

- Możesz zatrzymać sztylet do obrony własnej... na razie - zezwoliła Halisstra. - Nie ma potrzeby, żebyś stała na straży. Nie pozwalaj sobie w przyszłości na podobne propozycje.

- Oczywiście, pani - odparła Danifae.

Twarz dziewczyny była pozbawiona emocji, ale Halisstrze nie spodobał się zamyślony wyraz jej oczu.

Czy pętające ją więzy wytrzymają? - zastanawiała się Halisstra.

W sercu domu Melarn, otoczona zewsząd wrogami, Danifae nie ośmieliłaby się zrzucić magicznego przymusu, który ją niewolił, nawet gdyby była w stanie to zrobić. Ale sytuacja uległa zmianie. Dbałość, z jaką Danifae zwracała się do swojej pani na oczach Quenthel, nie umknęła uwadze Halisstry. Bez oparcia w swoim domu i mieście Halisstra mogła utracić wszystko to, co uważała za swoje - życie, sojuszników i dobytek, czyli również Danifae. Myśl ta sprawiła, że czuła się pusta i krucha jak kawałek przegniłej kości.

Co będzie, jeśli Danifae rzeczywiście postanowi sprawdzić wytrzymałość pętających ją więzów? - zastanawiała się. Czy Quenthel pozwoli Halisstrze zachować władzę nad dziewczyną, czy też interweniuje, aby pozbawić ją resztek pozycji? I czy Quenthel była w stanie uwolnić Danifae i uznać samą Halisstrę za swoją brankę?

Dziewczyna przyglądała się Halisstrze spod opuszczonych powiek, skromna i piękna. Cierpliwa.

- Idziesz? - zapytał Ryld. Stał u wylotu korytarza, czekając.

- Oczywiście - odpowiedziała Halisstra, z trudem opanowując grymas gniewu.

Umyślnie odwróciła się plecami do służki i ruszyła za Ryldem tunelem prowadzącym do ich kryjówki. Chwilowo była bezpieczna. Danifae w żaden sposób nie była w stanie zdjąć z szyi srebrnego medalionu. W chwili, w której go dotykała, zakłęcie sprawiało, że wszystkie jej mięśnie sztywniały, dopóki nie zrezygnowała z próby. Nie mogła też poprosić o jego zdjęcie kogoś innego, ponieważ w chwili, w której zaczynała o nim mówić, język kołowaciał jej w ustach. Tak długo, jak medalion opasywał jej szyję, Danifae była zmuszona służyć Halisstrze, a nawet oddać za nią życie. Danifae dobrze znosiła tę niewolę, ale Halisstra nie miała najmniejszego zamiaru zdejmować medalionu w obecności Menzoberranzańczyków, o ile w ogóle była skłonna to zrobić.

Zajęli z Ryldem pozycje w niewielkiej rotundzie, mrocznym i przestronnym pomieszczeniu, skąd mogli uważnie obserwować dojście do kryjówki towarzyszy, pozostając niewidoczni. Owinięci piwafwi, byli właściwie nie do odróżnienia od ciemnych ścian dookoła. Pomimo kapryśnego chaosu i palącej ambicji płonącej w sercu każdego drowa, każdy mroczny elf potrafił wykazać się cierpliwością i żelazną dyscypliną, gdy wykonywał ważne zadanie, więc Ryld i Halisstra stanęli na straży, czekając i nasłuchując w milczeniu.

Halisstra spróbowała oczyścić umysł ze wszystkich doznań oprócz tych, jakich dostarczały jej zmysły, ale głowę wypełniały jej myśli, których nie była w stanie odpędzić. Uświadomiła sobie, że poczynając od tego dnia cokolwiek jej się przytrafi, jej sukces lub porażka będą zależały tylko i wyłącznie od jej własnego sprytu, siły i bezwzględności. Niezadowolenie domu Melarn nie miało znaczenia. Jeśli chciała wzbudzać szacunek, musiała sprawić, żeby strach wzbudzało niezadowolenie Halisstry Melarn. Wszystko dlatego, że Lolth postanowiła poddać próbie swoje najwierniejsze służki. Z powodu kaprysu bogini dom Melarn z Ched Nasad, którego władczyni od niepamiętnych czasów ofiarowywały krew i kosztowności na ołtarze Pajęczej Królowej, został strącony z piedestału.

Dlaczego? - zastanawiała się Halisstra. - Dlaczego?

Odpowiedzi oczywiście nie było. Kapłanki Lolth nie musiały pojmować jej machinacji, a próby, jakim je poddawała, potrafiły być naprawdę okrutne. Halisstra zgrzytnęła zębami, usiłując uwolnić się od świadczących o słabości rozterek. Jeśli Pajęcza Królowa postanowiła sprawdzić wiarę Halisstry, pozbawiając ją wszystkiego, co ta uważała za drogie, żeby przekonać się czy córka domu Melarn potrafi to wszystko odzyskać, Halisstra stanie na wysokości zadania.

- *Masz ochotę o tym porozmawiać?* - pokazały dyskretnie palce Rylda w skomplikowanym języku migowym mrocznym elfów.

- *O czym ?*

- *O tym, co cię trapi. Coś cię dręczy, kapłanko.*

- *Żadnego mężczyzny nie powinno to interesować,* odparła.

- *Oczywiście. Jak zawsze.*

Ich spojrzenia spotkały się w małej komnacie. Halisstra była zaskoczona, widząc, jak twarz Rylda krzywi się w dziwnym połączeniu gorzkiej rezygnacji i kwaśnego rozbawienia. Przyglądała mu się uważnie, zastanawiając się, co mogło go skłonić do nawiązania rozmowy.

Był bardzo wysoki i mocno zbudowany jak na mężczyznę, równie wysoki jak ona. Jego krótko przycięte włosy stanowiły wśród drowów egzotyczną pozę, dziwny przejaw ascetycznej surowości u przedstawiciela rasy rozmiłowanej w pięknie i elegancji. Drowy były bezwzględnie pragmatyczne w swoich kontaktach z innymi, ale nie w dbałości o wygląd zewnętrzny. Większość mężczyzn w otoczeniu Halisstry dbała do przesady o swoją powierzchowność, lubując się w subtelnej gracji i zabójczych podstępach. Pharaun był ucieleśnieniem tego typu osobowości. Ryld, uświadomiła sobie, bardzo się od niego różnił.

- *Dobrze walczysz, zaczęła. Nie były to przeprosiny, rozmawiała przecież z mężczyzną, ale zawsze było to już coś. Mogłeś pozwolić mi umrzeć w Ched Nasad, a jednak ryzykowałeś życiem, żeby mnie uratować. Dlaczego?*

- *Zawarliśmy umowę. Wyprowadziłaś nas z pałacu, a my pomogliśmy ci uciec.*

- *Tak, ale przecież ja wypełniłam już swoje zobowiązania względem was. Nie musieliście dotrzymywać waszej części umowy.*

- *Nie musieliśmy.* Ryld uśmiechnął się blado i przeszedł na cichy szept. - *Poza tym wygląda na to, że zrobiłem to we własnym interesie, jako że niecałą godzinę temu to ty ocaliłaś mi życie. Oboje jesteśmy swoimi dłużnikami.*

Halisstra zaśmiała się tak cicho, że nikt oddalony o więcej niż dziesięć stóp nie mógł tego usłyszeć.

- *Nie jesteśmy rasą dotrzymującą umów*, pokazała na migi.

- *Przekonałem się o tym niejednokrotnie*, odparł fechtmistrz. Przez jego twarz przemknął grymas bólu i Halisstra zainteresowała się, komu zaufał mistrz Melee-Magthere i dlaczego zrobił coś równie głupiego. Zanim zdążyła zapytać, poprosił: - Opowiedz mi o bae'qeshel. Nic o nich nie wiem.

- Zgodnie z tradycją - wyszeptala - nasi czarodzieje, szermierze i klerycy kształcą się w akademiach. Dotyczy to większości drowich miast. Nie słyszałeś o bae'qeshel dlatego, że szkolenie bardek jest tajemnicą. Przekazujemy nasze sekrety z pokolenia na pokolenie, jedna mistrzyni jednej uczennicy.

- Myślałem, że szlacheckie domy nie potrzebują zwykłych minstrelów.

- Bae'qeshel nie są zwykłymi minstrelkami - odpowiedziała Halisstra przyciszonym głosem. - Jesteśmy dumną i starożytną sektą, bae'qeshel telphraezzar, Pieśniarkami Mrocznej Królowej. Jestem kapłanką Lolth tak jak pozostałe elfki z mojego domu, ale zostałam wybrana, aby przez długie lata młodości zgłębiać tę sztukę. Czczę boginię nie tylko służąc jej jako kapłanka, ale również zanosząc do niej pieśni naszej rasy, które są miłe jej uszom. Dom Melarn zawsze z dumą szkolił w każdym pokoleniu jedną bae'qeshel, aby służyła Lolth.

- Skoro wasze pieśni są miłe Lolth, dlaczego działają, skoro inne zaklęcia przestały działać? - zapytał Ryld.

- Ponieważ nasze pieśni mają moc same w sobie, tak jak czary magów. Wznosząc nasze pieśni, nie ukierunkowujemy boskiej mocy Królowej Pajaków. Niestety, moje umiejętności w tym względzie są niczym w porównaniu z boską mocą, jaką mogłabym władać w imieniu Lolth, gdyby tylko raczyła obdarzyć mnie znów swoją łaską.

- Niemniej jednak to interesujący talent - wymruczał Ryld. Zerknął w korytarz prowadzący do komnaty, w której czekali pozostali. - Jest dość cicho. Możliwe, że trzeba będzie jeszcze trochę poczekać. O ile znam Pharauna, będzie potrzebował kilku godzin, żeby odzyskać siły. Powiedz, grywasz w save?

* * *

Nimor przyłgął w cieniu gigantycznego stalaktytu, jednego z wielu skalnych kłków wystających ze sklepienia wielkiej pieczary mieszczącej Menzoberranzan. Strop jaskini przecinały stare korytarze i niebezpieczne ścieżki, a w wielu stalaktytach wyrzeźbiono pełne mrocznego piękna zamki i pałace, jeszcze bardziej spektakularne przez swą śmiałą arogancję. Tylko drowy ośmiały się budować swoje domostwa w kruchych kamiennych soplach zawieszonych tysiąc stóp nad dnem pieczary. Szlachetnie urodzone mroczne elfy często posiadały wrodzoną moc lub magiczne ozdoby, które uwalniały je od lęku wysokości, niestraszne im więc były zawrotne urwiska, które przeraziłyby nietoperze. Ich niewolnicy i słudzy nie mieli tyle szczęścia i życie w podniebnych iglicach musiało być dla nich wyjątkowo stresujące. Ważniejsze stalaktyty były oczywiście magicznie chronione przed nieuchronnym upadkiem i nic im nie groziło, dopóki magia nie przestała działać, ale pod stropem pieczary zwisało kilka dumnych starych pałaców, zakurzonych i opustoszałych, własność domów na tyle niewprawnych w Sztuce, że nie udało im się utrzymać zaklęć, dzięki którym nadawały się do zamieszkania. Właśnie w takim miejscu czaił się Nimor, wychylając się nad ciemną otchłanią, aby przyjrzeć się celowi swojej misji.

Dom Faen Tlabbar, trzeci dom Menzoberranzan, wyrastał z dna pieczary trochę na lewo od miejsca, w którym przyczaił się skrytobójca. Pałac pochłonał kilka wielkich stalagmitów i kolumn, a jego eleganckie balustrady i strzeliste przypory zdawały się zadawać kłam podtrzymującej go sile potężnych wież i bastionów z ciemnego kamienia. Siedziba Faen Tlabbarów była jedną z największych i najdumniejszych spośród tych posiadłości w Menzoberranzan, które nie mieściły się na wysokim płaskowyżu Qu'ellarz'orl, w najbardziej prestiżowej dzielnicy podziemnego miasta. Pałac Faen Tlabbar wspinał się po południowej ścianie wielkiej pieczary Menzoberranzan, a jego najwyższe wieże wystawały nieco ponad poziom płaskowyżu, w którego cieniu się wznosił, jak gdyby matki opiekunki trzeciego domu chciały zajrzeć przez jego krawędź i obserwować z zawiścią posiadłości mające szczęście znaleźć się tuż obok wywyższonego domu Baenre.

Była to trafna analogia politycznych manewrów domu Faen Tlabbar. Tylko dwa domy stały wyżej od niego w mrocznej hierarchii Menzoberranzan. Baenre, pierwszy i Barrison Del'Armgo, drugi. Nimor

przypuszczał, że matka opiekunka Tlabbar ma względem swojego domu wysokie aspiracje. Del' Armgo, drugi dom, był silny, ale miał nielicznych sojuszników. Baenre, najsilniejszy, już od wielu stuleci nie był tak słaby jak teraz. Domy takie jak Faen Tlabbar spoglądały na Baenre, wspominając wieki bezgranicznej arogancji, upokarzającej protekcjonalności i zastanawiając się czy nadszedł już czas, by kilka pomniejszych domów zrzeszyło się, aby położyć raz na zawsze kres hegemonii Baenre.

To dopiero byłoby widowisko rozmarzył się Nimor.

Podejrzał, że przy takim scenariuszu zniechęceniu Baenre mogą się okazać silniejsi, niż sądzą ich rywale, ale i tak oznaczało to straszliwy rozlew krwi i wiązało się z upadkiem kilku ważniejszych domów, bo było pewne, że Baenre tonąc, pociągną za sobą innych. Oczywiście byłoby to bardzo na rękę Namaszczonemu Ostrzu Jaездred Chaulsinn.

Była to jednak pieśń przyszłości. Nimor zamierzał zadać Faen Tlabbarom głęboki i bolesny cios, a nie podżegać ich przeciwko domowi Baenre. Ghenni Tlabbar, opiekunka trzeciego domu, miała zginąć od jego ostrza. Jej krew miała kupić zdradę na wielką skalę i włożyć w rękę skrytobójcy sztylet, który zamierzał wbić w serce Menzoberranzan.

Uwagę Nimora przykuło ciche szuranie i brzęk kolczug. Wycofał się bezszelestnie w cień i czekał cierpliwie, przyglądając się oddziałowi wojowników Tlabbar dosiadających wielkich jaszczurów wierzchowych, który wspinał się po małym, nieobrobionym stalaktycie. Błede gady miały na szponiastych łapach wielkie przysawki, które pozwalały im utrzymać się nawet na najbardziej stromej powierzchni, i wiele szlacheckich domów Menzoberranzan wykorzystywało stworzy do patrolowania wysokich zakątków wielkiej pieczary. Faen Tlabbarowie słynęli ze swojej jaszczurczej jazdy. Ukryty na skalnej półce skrytobójca obserwował ich patrole od ponad godziny, uważnie wyliczając czas pojawienia się kolejnych.

W samą porę, pomyślał Nimor. Staliście się przewidywalni.

Jeźdźcy, uzbrojeni w kusze i lance, posuwali się gęsiego właśnie okrążyli mały stalaktyt, sprawdzając sklepienie pieczary. Zgodnie z przypuszczeniem Nimora ich dowódca skręcił w lewo i zginął za załomem kamiennej iglicy, znikając mu z oczu.

- Wpadasz w rutynę, kapitanie - wyszeptał Nimor do oddalającego się oddziału. - Nawet takiego nieustraszonego elfa jak ja mogłaby zniechęcić perspektywa waszego nieoczekiwanego powrotu.

Jednym bezgłośnym susem Nimor zeskoczył ze stalaktytu i runął w wieczną noc.

Przypadek chciał, że dom Tlabbar prawie nie podtrzymywał stropu wielkiej pieczary i znajdujących się nad nią jaskiń. Tylko jedna wielka kolumna i dwa małe stalaktyty łączyły go ze sklepieniem, co oznaczało, że tuż nad dachem pałacu znajdowało się coś w rodzaju martwej strefy. Była to słabość, którą Nimor zamierzał wykorzystać. Czarny płaszcz rozpostarł się na wietrze, zimne powietrze omiotło jego twarz. Nimor obnażył zęby w dzikim uśmiechu, delektując się długimi sekundami wielkiego skoku. Ciało skrytobójcy płonęło mrocznym ogniem jego dziedzictwa, pragnął zrzucić z siebie młodzieńczą postać, ale czas jeszcze nie nadszedł.

Spadając, wymówił bezgłośnie słowa zaklęcia, które uczyniło go niewidzialnym, a gdy strzelista iglica głównego pałacu zaczęła się do niego zbliżać w zastraszającym tempie, spowolnił upadek i zaczął lewitować. W niespełna sześć uderzeń serca od momentu, w którym zeskoczył z opuszczonego stalaktytu, Nimor wylądował na kalenicy stromej dachu, niewidzialny i niezauważony. Przez chwilę nasłuchiwał czy nie został odkryty, a potem cicho jak śmierć ruszył w stronę głównej części pałacu.

Mroczne elfy z domu Faen Tlabbar były świadome faktu, że są podatne na atak z powietrza i czujni strażnicy przechadzali się po blankach i kopułach pałacu, wyglądając intruzów. Nimor omijał ich ostrożnie. Ci, którzy potrafili dostrzec niewidzialnego wroga a było ich sporo nie mieli zwyczaju wyglądać niewidzialnych wrogów, którzy przemykali się w cieniu z biegiem mistrza skrytobójcy. Nimora bardziej martwiły różne magiczne bariery chroniące dom. Z przyzwyczajenia osłaniał się zaklęciami neutralizującymi różne formy magii wykrywającej, ale i one nie były doskonałe.

Kiedy skradał się wzdłuż stromej, krytego dachówką dachu kwadratowej baszty, otoczyła go zielono-złota poświata. Faen Tlabbarowie, podobnie jak wiele innych domów, używali magii do oświetlenia i upiększenia barokowych wieżyc i balkonów swoich siedzib. Nimor położył się na brzuchu, głową w dół i wysunął jeszcze dalej, wyęzając słuch. Pod sobą spodziewał się zobaczyć strażnika i wejście do posiadłości. Członkowie Jaездred Chaulsinn przez dziesięciolecia badali za pomocą magii rozkład i osłony wielkich domów w wielu drowich miastach, a szczupły skrytobójca uważnie przestudiował zapiski i rysunki domu Tlabbar sporządzone przez jego bractwo. Informacje były

oczywiście niepełne i nieaktualne, ponieważ niektóre części zamku były całkowicie osłonięte przed jasnowidzeniem, a Jaerred Chaulssin nie badało domów Menzoberranzan od bardzo dawna. Nimor wolałby zaktualizować swoje informacje poprzez wręczenie łapówki lub schwytanie jednego ze strażników, ale po prostu nie miał już na to czasu.

Usłyszał ciche kroki na ganku pod okapem dachu, na którym leżał. Dwóch, zgadywał, przynajmniej jeden w kolczudze. Musiał działać szybko jeden okrzyk mógł oznaczać koniec jego samodzielnego napadu na pałac. Wysunął się jeszcze dalej i zobaczył pod nawisem dachu wygiętą w łuk galeryjkę. Po lewej ręce ganek przechodził w klatkę schodową prowadzącą na niższy poziom umocnień, zaś po prawej kończył się po prostu czarnymi drzwiami. Drzwi były otwarte. Dokładnie pod nim stał drow w zbroi, spoglądający na dziedziniec w dole.

Nimor obserwował go przez trzydzieści pełnych uderzeń serca, planując atak i cichutko wysuwając sztylet z pochwy. Była to klinga z zielonkawoczarnej magicznej stali, lśniąca w migotliwym blasku błędnych ogników. Potem, wciąż niewidzialny, stoczył się z dachu i wylądował za plecami strażnika.

Stopy skrytobójcy uderzył głucho o kamienne płyty posadzki. Strażnik zaczął się odwracać, otwierając usta do krzyku, ale Nimor jednym bezlitosnym ruchem zatkał mu usta dłonią i wbił sztylet w podstawę czaszki. Ostrze zgrzytnęło, trafiając na kość i strażnik po prostu osunął się w ramiona Nimora, martwy.

Nimor ostrożnie upuścił bezwładne ciało na ziemię i spojrzał na drugiego wartownika w strażnicy, elfa odzianego w szaty czarodzieja. Mag obejrzał się, słysząc szelest i zobaczył, jak jego towarzysz zgina się w pół i pada na ziemię bez żadnej widocznej przyczyny - Nimor był wciąż niewidzialny.

- Zilzmaer? - zapytał ostro. - Co się dzieje?

Nimor przypadł do niego i wbił mu zakrwawiony nóż pod podbródek, unieruchamiając szczękę i przebijając mózg. Mag targnął się gwałtownie kilka razy, zadygotał i umarł.

- Cii - syknął skrytobójca. - Nic takiego. Śpij.

Położył czarodzieja obok jego towarzysza i ruszył ciemnym przejściem prowadzącym do pałacu. Z nożem w dłoni zaczął się skradać korytarzem, ale po kilku krokach natrafił na niewidzialną, niematerialną barierę, która tarasowała przejście równie skutecznie jak kamienny mur.

Nimor zmarszczył brwi, zebrał się w sobie i jeszcze raz spróbował przejść, ale bariera zatrzymała go w pół kroku.

- Psiakrew - wymamrotał. - Blokada.

Pałacu Tlabbarów, a przynajmniej jego wnętrza, strzegł potężny trwały czar, który uniemożliwiał wrogom wtargnięcie do środka. Nimor potrafił ominąć lub dezaktywować niektóre magiczne pułapki, ale nie był w stanie obejść blokady.

To tłumaczy otwarte drzwi, pomyślał. Tlabbarowie ufają swoim magicznym zabezpieczeniom. Co teraz?

Nimor schował nóż do pochwy i przyjrzał się korytarzowi. Zakłęcie broniące wstępu do budynku lub na jakiś teren mogło być skonstruowane na wiele różnych sposobów, ale jeśli Tlabbarowie chcieli poruszać się swobodnie po własnym pałacu, bariera musiała być łatwa do pokonania - być może za pomocą jakiegoś przedmiotu, a może hasła. Nimor szybko przeszukał ciała zabitych przez siebie strażników, ale nie znalazł niczego, co wyglądało jak amulet umożliwiający przejście przez blokadę.

To może być cokolwiek, pomyślał. Zapinka płaszcza, magiczna moneta w sakiewce, kolczyk albo naszyjnik...

Uznał, że nie ma czasu na eksperymenty. Wziął martwego czarodzieja pod pachę, po czym wrócił na korytarz i spróbował przejść na drugą stronę. Tym razem nie napotkał oporu, jak gdyby blokada zniknęła.

W takim razie jest to coś, co Tlabbarowie noszą na sobie, zdecydował Nimor.

Przez chwilę zastanawiał się czy nie przerzucić sobie trupa maga przez ramię i nie zabrać go ze sobą, na wypadek gdyby musiał pokonać w zamku kolejną barierę, ale zrezygnował z tego pomysłu. Ostrożność i szybkość były jego największymi atutami, a targanie ze sobą trupa było pozbawione finezji. Poza tym było mało prawdopodobne, że Tlabbarowie mają w swoim pałacu więcej niż jedną blokadę, albo że obie otwierają jednym kluczem. Bezceremonialnie upuścił czarodzieja na ziemię po drugiej stronie drzwi i ruszył dalej.

Przejście otwierało się na długi, wysoki korytarz biegnący nad jedną z sal. Wzdłuż ścian ciągnęły

się drzwi z drewna zurkh, prowadzące do gabinetów, komnat mieszkalnych i innych pomieszczeń, o ile stare mapy Nimora były dokładne. Zignorował je, przemknął szybko korytarzem i dotarł do wąskich schodów na jego końcu, które prowadziły na niższy poziom. Na schodach trafił na magiczny glif blokujący przejście, ale wyczuł pułapkę jeszcze zanim znalazł się na tyle blisko, by ją uaktywnić. Po prostu przeskoczył nad poręczą i opadł lekko na stopnie w dół. Schody zstępowały w dół szerokim łukiem i wychodziły na lśniący czarny korytarz prowadzący do pałacowej świątyni. Posadzka korytarza wyłożona była czarnym marmurem, który lśniłby jak lustro, gdyby paliło się jakieś światło. W niewielkiej odległości przed sobą zobaczył dwóch strażników stojących na warcie przy wielkich podwójnych drzwiach prowadzących do sanktuarium Lolth.

Nimor uśmiechnął się niewidzialnym uśmiechem i pogratulował sobie wyczucia czasu. W środku musiała się znajdować matka opiekunka, a może także jej córki, odprawiające jakiś pusty rytuał na cześć swojej niemej bogini.

Starając się pozostać niezauważonym, Nimor jeszcze raz rozejrzał się wokół, żeby upewnić się, czy nikt się nie zbliżył. Przyjrzał się uważnie dwóm wartownikom przy drzwiach. Wyglądali na młodych oficerów, pysznie odzianych, by godnie pełnić zaszczytną funkcję strażników matki opiekunki, ale Nimor nie dowierzał własnym oczom. Ci dwaj byli kimś więcej, niż wydawali się na pierwszy rzut oka, był tego pewny. Postanowił ominąć ich, jeśli tylko będzie to możliwe.

Zebrawszy się w sobie, Nimor uniósł lewą dłoń, na której lśnił pierścień czarny jak gagat. Pierścień cieni był chyba jego najbardziej użyteczną bronią, przedmiotem, który posiadał różne przydatne magiczne właściwości. Przywołał jedną z nich i wtopił się w mrok czarnego korytarza, by wyjść po drugiej stronie drzwi do świątyni, w najświętszym sanktuarium domu Tlabbar.

Świątynia niemal w całości wypełniała centralny poziom wielkiego pałacu, a jej wysoką kopułę zdobiły wysadzone gagatami srebrne grawerunki przedstawiające pajęcze insygnia Lolth. Świątynia była oświetlona posępną srebrzystą poświatą, aby tym lepiej uwidocznili przepych, z jakim dom Tlabbar ozdobił kaplicę Pajęczej Królowej. Nimor z zachwytem podziwiał złote cacka i inkrustowane klejnotami wizerunki.

Matka opiekunka Ghenni i jej dwie córki leżały przed ogromnym czarnym posągiem milczącej bogini, korząc się przed Lolth i bez wątplenia zaklinając ją, by przywróciła ich domowi swoje względy. W środku nie było nikogo oprócz nich. Widocznie matka opiekunka uznała, że jej strażnicy i słudzy nie powinni widzieć, jak ona sama i jej córki modlą się na leżąco. Informacje Nimora o Faen Tlabbarach po raz kolejny okazały się ścisłe.

Skrytobójca dobył bezszelestnie rapiera i zbliżył się, obserwując ofiary. Ghenni była uderzająco piękną drowką o zmysłowym ciele i kociej gracji, dzięki czemu wyglądała lepiej niż niejedna elfka młodsza o sto lat. Spod jej szmaragdowych szat błysnęła czerń kolczugi i Nimor uśmiechnął się. Najwyraźniej bez opieki Pajęczej Królowej nawet matka opiekunka silnego domu nie czuła się bezpieczna w swoim pałacu.

Ghenni przerwała modły, zaniepokojona czymś - jakimś odgłosem, cieniem, może tylko przecuciem. Uniosła się na kolana i rozejrzała dookoła z uwagą.

- Sil'zet, Vadalma - syknęła. - Nie jesteśmy same.

Obie dziewczyny natychmiast przerwały modły, wciąż rozciągnięte na zimnej kamiennej posadzce. Rozejrzały się niespokojnie. Ghenni wstała ostrożnie, sięgając po różdżkę przy pasie.

- Kim jesteś? - zapytała. - Kto ośmiela się zakłócać nam modły?

Nimor nie odpowiedział, tylko przysunął się bliżej. Matka opiekunka nie widziała go, był tego pewien, ale kiedy zbliżył się do niej na wyciągnięcie miecza, poczuł, jak w komnacie materializuje się jakaś obecność. W powietrzu pod kopułą nabrała kształtów jakaś niewidoczna demoniczna siła.

- Strzeż się, matko - wysyczał lodowaty głos. - Zbliży się do ciebie niewidzialny skrytobójca.

Na obronę matki opiekunki domu Faen Tlabbar trzeba powiedzieć, że nie stchórzyła. Kiedy jej córki zrywały się z ziemi, Ghenni postąpiła dwa kroki do tyłu i uczyniła różdżką kilka spiesnych gestów, wykrzykując słowo-rokaz. Z różdżki wystrzeliła kula kipiącej czerni, która wybuchła za plecami Nimora, tworząc atramentową plamę lodowatych cieni kłasnających wszystko wokół siebie niczym wygłodniałe zwierzę spragnione ofiary. Skrytobójca zlekceważył zakłęcie, ponieważ już skakał do przodu. Precyzyjnym pchnięciem rapiera przeszył Faen Tlabbar na wylot. Czarna jak noc klinga, długie ostrze z niematerialnego cienia, przeszła przez kolczugę matki opiekunki, jak gdyby w ogóle jej tam nie było. Efekt, zgodnie z oczekiwaniami, był zabójczy. Przekręcił ostrze w sercu i uśmiechnął się, szczerząc

zęby, choć wciąż nie była go w stanie zobaczyć.

- Pozdrowienia, matko opiekunko - syknął na głos. - Może znajdziesz odpowiedzi, których szukasz, kiedy dotrzesz do czarnych piekieł Lolth.

Ghanni stęknęła, z ust puściła jej się krew. Zatoczyła się do tyłu, zaciskając palce na tkwiącym w sercu ostrzu, przewróciła oczami i zwała się na ziemię. Nimor wyciągnął z niej rapier i obrócił się w stronę córki z lewej, Sil'zet, podczas gdy demon nabierał kształtu nad ciałem Ghenni. Był to szkielet spowity zielonym płomieniem, uzbrojony w żarzący się na czarno sejmitar z bladej kości.

Demon najwyraźniej widział Nimora doskonale, ponieważ natychmiast na niego natarł. Zaatakował dzikim ciosem w głowę, przed którym Nimor po prostu się uchylił, ale stwór z zaskakującą szybkością złożył się do następnego sztychu i ciał, mierząc w talię. Nimor skrzywił się i odskoczył w tył. Za plecami demona Sil'zet rozwinęła zwój, a Vadalma schyliła się po różdżkę matki, jednocześnie zasłaniając się sztyletem.

- Nie ujdiesz z tej komnaty z życiem, skrytobójco - krzyknęła Vadalma. - Straż! Do mnie!

Nimor usłyszał strażników mocujących się z drzwiami do kaplicy. Zrobił unik i pobiegł przed siebie, trzymając szkielet na dystans i unikając starcia z nim. Zabicie demona stróża nie miało sensu. Zostało mu już niewiele czasu i chciał go jak najlepiej wykorzystać. Skrytobójca zrobił jeden szybki krok, przetoczył się pod zastawą demona i zerwał z ziemi tuż obok Sil'zet, która właśnie zaczynała odczytywać zaklęcie ze zwoju. Wbił jej sztylet w krzyż, jednocześnie odbijając czarnym rapierem sejmitar szkieletu. Sil'zet wrzasnęła z bólu i szarpnęła się do tyłu, ale Nimor fachowo podstawił jej nogę. Upadła na posadzkę, zwijając się z bólu. Nimor zatopił jej sztych rapiera w zagłębieniu obojczyka.

Tym razem demon ukarał go za okazane mu lekceważenie. Skrzecząc z wściekłości, uderzył kościanym mieczem, zostawiając na łopatkę elfa długie, palące rozcięcie, gdy ten spróbował wywinąć się spod ciosu. Nimor zgrzytnął zębami z bólu i przetoczył się w bok, zanim stwór zdołał go rozplatać na dwoje.

Vadalma wykrzyczała słowo aktywujące różdżkę i na oślep cisnęła w Nimora płamą cienia, której hebanowe macki, zimne i ostre jak brzytwy, rozcięły skórę skrytobójcy.

Do komnaty wpadli strażnicy z obnażonymi mieczami. Ich twarze były zimne i pozbawione wyrazu. Zbliżyli się do Nimora z niezwykłą szybkością, wymachując klingami i śledząc jego poruszenia gwałtownymi ruchami głów, jak gdyby zdradzało go sapanie i szuranie butów.

Wypełniłem zadanie, uznał Nimor.

Ghenni nie żyła, a Sil'zet umierała. Dławiła się własną krwią, kopiąc obcasami marmurową posadzkę. Żałował, że nie udało mu się zabić Vadalmy, ale demon i strażnicy - kimkolwiek byli komplikowali sytuację.

Krzywiąc się z rezygnacją, Nimor cofnął się kilka kroków i zniknął dzięki mocy swojego pierścienia, by pojawić się chwilę później w pobliżu ganku, przez który dostał się do zamku. Blokada nadal uniemożliwiała mu ucieczkę jednym międzywymiarowym skokiem, ale skrytobójca chwycił po prostu ciało czarodzieja, które zostawił przy drzwiach i przebiegł na drugą stronę. Rana na plecach okropnie piekła, a nogi bolały tam, gdzie chlasnęły go lodowate macki kuli, ale Nimor wziął głęboki oddech i uśmiechnął się triumfalnie.

- Szczęściarze - odezwał się do trupów leżących mu u stóp. - Kiedy Tlabbarowie ustalą, że strzeżliście drzwi, przez które dostałem się do środka, będziecie zadowoleni, że jesteście martwi.

Ciała nie odpowiedziały. Nigdy tego nie robiły.

Spojrzał na magiczną poświatę nad blankami pałacu, wsłuchując się w krzyki zgrozy dobiegające ze środka. Z przyjemnością rozkoszowałby się nimi jeszcze dłużej, ale pościg musiał już być blisko. Z westchnieniem zacisnął w pięści czarny pierścień i zniknął.

ROZDZIAŁ 4

Halisstra i Ryld rozegrali dwie partie, korzystając z małej podróźnej planszy, którą fehmistrz nosił w sakwie przy pasie. Ryld Argith wygrał obie, choć Halisstra okazała się godnym przeciwnikiem. Zawsze miała smykałkę do choć już po kilku ruchach wiedziała, że gra z mistrzem. Mijały długie, milczące godziny i nic nie wskazywało na to, że lamie odkryły ich kryjówkę.

- *Nie mogę uwierzyć, że przestały nas ścigać,* - powiedziała Halisstra pod koniec drugiej partii.
- *Zabiliśmy wielu z ich ulubionych niewolników. Lamie nie dbały o ich życie i może zostało ich tak niewiele, że nie mają szans porządnie przeszukać miasta.* - Ryld uśmiechnął się zimno. - *Zresztą lamii też kilka zabiliśmy. Może nie zależy im wcale tak bardzo na odnalezieniu nas.*
- *Byle zostawiły nas w spokoju,* - odparła Halisstra.

Kiedy sava przestała już pochłaniać ją bez reszty, uświadomiła sobie, że jest straszliwie głodna. Przed wschodem słońca zjedli skromne śniadanie składające się z resztek zapasów zabranych z Ched Nasad, ale Halisstra była pewna, że dzień ma się już ku końcowi. Drowy znosiły głód lepiej niż inne rasy, ale zażarta walka, a potem wiele godzin czujnego wyczekiwania pozbawiły ją sił.

- *Umieram z głodu,* powiedziała na migi. *Nic nie słyszać. Prześliznę się z powrotem do obozu i przyniosę trochę zapasów. Miej się na baczności.*

Fehmistrz skinął głową i wyszeptał:

- *Wracaj szybko.*

Halisstra wstała i owinęła się ciasniej piwafwi. Korytarz był ciemny i cichy, tak jak od wielu godzin. Starając poruszać się jak najciszej, chyłkiem przekradła się z powrotem do komnaty, gdzie pozostali czekali, aż Pharaun przygotuje swoje zaklęcia. Przed sobą słyszała przytłumione głosy Quenthel i Danifae rozmawiających w zrujnowanej galerii.

Na serce Halisstry padł cień. Nie przychodziło jej do głowy wiele tematów, na jakie Quenthel i Danifae mogły rozmawiać.

Nie powinnam była zostawiać ich samych, zbesztala się w duchu. Pozwoliłam Quenthel rozkazywać mi jak mężczyźnie!

Specjalnie podkrađła się bliżej niczym cichy cień w ciemnościach. Widziała Pharauna siedzącego pod ścianą, owiniętego kocem, pogrążonego głęboko w Zadumie, z powiekami opuszczonymi ciężko do połowy oczu. Quenthel i Danifae siedziały blisko siebie, odwrócone lekko od czarodzieja, przez co znajdowały się blisko korytarza, w którym stała Halisstra.

- *I co zrobisz, kiedy wrócimy do Menzoberranzan, dziewczyno? Myślisz, że na twoją panią czeka tam jakieś zaszczytne stanowisko?* - zapytała Quenthel pogardliwym, zjadliwym szeptem.
- *Nie wiem, pani* - odparła Danifae po dłuższej chwili. - *Jeszcze nie wybiegałam myślą tak daleko w przyszłość.*
- *Bzdura. Rozmyślasz nad tym od momentu, kiedy zobaczyłam cię w sali audiencyjnej domu Melarn. Właściwie gotowa jestem zgadywać, co też chodzi ci po głowie. Zastanawiasz się, jak wrócić do domu Yauntyrr w Eryndlynie, z Halisstrą Melarn jako swoją branką.*
- *Nie śmiem myśleć o podobnych rzeczach...*
- *Quenthel roześmiała się okrutnie.*
- *Zostaw swoje niewinne protesty dla kogoś bardziej naiwnego, dziewczyno. Wciąż nie odpowiedziałas mi na moje pytanie. Dlaczego miałabym zabrać ciebie i twoją panią do Menzoberranzan?*
- *Mam nadzieję* - powiedziała Danifae drżącym głosem - *że będę miała okazję przekonać cię o mojej użyteczności, żebyś mogła pozwolić mi sobie służyć.*
- *Widzę, że tym razem nie ośmieliłaś się odpowiedzieć w imieniu swojej pani* - prychnęła Quenthel.
- *Powinnam więc nagrodzić twoje bezczelne wiarołomstwo, udzielając ci schronienia w domu Baenre, kiedy wiem, że jesteś tylko oportunistyczną żmiją, która opuści swoją panią, kiedy tylko najdzie ją na to ochota?*
- *Źle mnie oceniasz, pani* - rzekła Danifae. - *Tradycja przysposabiania najlepszych i najbardziej użytecznych szlachcianek z pokonanego domu należy do zwyczajów naszego ludu. Moja pani i ja...*
- *Myślę* - przerwała jej Quenthel - *że bardzo dobrze cię oceniłam. Jesteś służalczą kokietką, która nie miała dość siły, żeby obronić się przed pojmaniem w niewolę. Jesteś dla mnie bezużyteczną ozdobą, niczym więcej - albo bardzo cierpliwą i bardzo przebiegłą pochlebczynią, a w tej sytuacji też nie miałabym pożytku z przyjęcia cię do mojego domu.* - *Oparła się plecami o ścianę, uśmiechając szyderczo*

do Danifae. - Może po prostu powinnam powiadomić o tej rozmowie Halisstrę. Wątpię, czy twoja pani będzie zadowolona, kiedy się dowie, na jak wiele sobie pozwalasz w jej imieniu. Bądź co bądź, podobne zachowanie jest u służącej bardzo niemile widziane.

- Masz do tego prawo, pani - odpowiedziała Danifae, pochylając głowę w ukłonie. - Możesz postąpić ze mną, jak zechcesz. Mogę tylko oddać się do twojej dyspozycji. - Podniosła wzrok i oblizwała wargi. - W niewoli zrozumiałam naturę władzy, co to znaczy mieć nad kimś władzę absolutną. Jeśli sama nie mogę mieć takiej władzy, pozostaje mi tylko oddać się pod opiekę kobiety, która również rozumie. Halisstra Melarn jest moją panią, ale tylko tak długo, jak ty na to pozwalasz. Kiedy zechcesz przemyśleć tę kwestię, proszę, byś pozwoliła mi zademonstrować moje zalety i zasłużyć na przywilej bycia twoją niewolnicą. Ty, lepiej niż moja pani, wiesz, czym jest sprawowanie władzy.

- Skończ z tymi bezsensownymi pochlebstwami, dziewczyno - powiedziała Quenthel. Wstała i podeszła bliżej, z uśmiechem na ustach pochylając się złowieszczo nad klęczącą dziewczyną. - Już ci mówiłam, że twoja śliczna buzia mnie zwiedzie.

- Błagam cię, pani - wyszeptwała Danifae. Pochyliła się do przodu, muskając twarzą uda Quenthel i oplatając ramionami jej kolana. - Zrobię wszystko, żeby zasłużyć na twoją przychylność. Błagam cię.

Zakończony wężowymi splotami bicz Quenthel związał się i czochrał srebrne włosy Danifae. Mistrzynie Akademii stała w milczeniu z tym samym zimnym uśmiechem na ustach. Potem pochyliła się i delikatnie ujęła Danifae pod brodę, zaglądając jej uważnie w oczy.

- Zrozum - powiedziała cicho. - Wiem dokładnie do czego zmierzasz i nie wygrasz ze mną. Kobiety z domu Baenre są twardsze od niedojd z domu Melarn. Ciesz się każdym uderzeniem serca, dziewczyno, bo w chwili, w której przestaniesz mnie bawić, umrzesz.

Quenthel wyplątała się z uścisku branki i podjęła niespokojną wędrówkę po zakurzonej komnacie. Danifae wstała i wróciła na to samo miejsce, w którym zostawiła ją Halisstra, gdzie uklękła z wdziękiem, czekając.

Ukryta w ciemnym korytarzu Halisstra cicho wypuściła powietrze z płuc, rozluźniając zdrtwiałe członki. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest spięta.

Co powinnam teraz zrobić? - pomyślała.

Przez długie lata, jakie Danifae spędziła w jej służbie, Halisstra nieraz korzystała z wdzięków dziewczyny, aby zaskarbić sobie czyjaś przychylność. Jeśli każe Danifae wytłumaczyć, dlaczego ośmieliła się zagadnąć Quenthel pod nieobecność swojej pani, wiedziała, co ta jej odpowie. Będzie twierdzić, że po prostu starała się wybać, co Quenthel myśli o Halisstrze, udając nielojalność wobec domu Melarn, co w tych okolicznościach było prawdopodobną wymówką. Danifae mogła się upierać, że po prostu mówiła Quenthel to, co tamta chciała usłyszeć, aby ocenić czy w domu potężnej kapłanki znajdzie się miejsce dla niej i jej pani. Najprawdopodobniej zakończy pokornymi przeprosinami i poprosi Halisstrę, aby odebrała jej życie, jeśli jej postępowanie rozgniewało szlachetną panią.

Z drugiej strony czy nie było równie prawdopodobne, że Danifae rzeczywiście próbowała podejść Quenthel? Jeśli służka znalazła sposób wyzwolenia się z magicznych więzów, potrzebowała aprobaty Quenthel, inaczej wolność mogła ją kosztować utratę życia. Było całkiem możliwe, że wyłącznie chimeryczność szlachetnie urodzonej kapłanki powstrzymywała Danifae przed próbą wyzwolenia się spod zaklęcia. Gdyby Danifae odzyskała wolność i poprosiła Quenthel o jej zagwarantowanie, Baenre mogła zabić dziewczynę za jej zarozumiałstwo. Każdy drow z rozkoszą rozbudziłby marzenia niewolnika, tylko po to, żeby zniweczyć je dla chwili mrocznej przyjemności.

Jeszcze dzień wcześniej Halisstra nazwałaby Danifae swoją najcenniejszą własnością. Była jej winna nie tylko bezwzględna wierność, ale służyła za powierniczkę, a może nawet kogoś w rodzaju przyjaciółki... nawet jeśli jej lojalność była wymuszona w magiczny sposób. Miały wspólne rozrywki i razem uknuły wiele intryg. Danifae chętnie zgodziła się pójść z nią na dobrowolne wygnanie i była gotowa dzielić z nią trudy podróży w charakterze służącej. Oczywiście zapłaciłaby straszną cenę, gdyby pozostała w domu Melarn po ucieczce Halisstry, ale czy nie wykazała się przypadkiem nadgorliwością?

- Boję się stawić czoła własnej służącej - wyszeptwała Halisstra. - Lolth rzeczywiście pozwoliła mi nisko upaść.

Z zadrą skrzętnie ukrytą w sercu, Halisstra wróciła tą samą drogą, którą przyszła. Nie była już głodna, ale musiała to zrobić, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Odwróciła się i podeszła bardziej otwarcie do kryjówki drużyny, pozwalając, by lekkie szuranie podeszew butów na przysypanych piaskiem kamieniach rozległo się w martwym, nieruchomym powietrzu komnaty. Pozwoli Quenthel i Danifae

myśleć, że nic nie słyszała, ale od tej chwili będzie je bacznie obserwować.

* * *

Nimor Imphraezl szedł pomiędzy wspaniałymi pałacami i poszarpanymi stalagmitami Qu'ellarz'orl, okutany zakapturzonym piwafwi. Nosił kupieckie insygnia, podszywając się pod dobrze sytuowanego mieszczanina załatwiającego na płaskowyżu interesy z najdumniejszymi szlacheckimi domami. Było to kiepskie przebranie, gdyż przy jego pewnym kroku i nonszalanckim sposobie bycia i tak każdy musiał go wziąć za szlachcica. Kostium ten często przywdziewali wysoko urodzeni mężczyźni, kiedy chcieli zachować anonimowość. Znał zaklęcia, które mogły nadać mu taki wygląd, jaki tylko przyszedłby mu do głowy, ale Nimor odkrył już dawno temu, że najprostsze przebrania są często najlepsze. Większość elfich domostw strzegli obrońcy, którzy zauważyliby przybycie kogoś spowitego iluzją, ale wykrycie zwykłego przebrania wymagało przyziemnej czujności, o której niektóre mroczne elfy nie pamiętały.

Minął dwóch zbrojnych z domu Baenre idących w przeciwnym kierunku. Szlachetnie urodzeni młodzieńcy przyglądali mu się z nieskrywanym zaciekawieniem i lekką podejrzliwością. Nimor ukłonił się głęboko i wymienił z nimi puste uprzejmości. Młodzieńcy raz czy dwa obejrżeli się za nim przez ramię, ale szli dalej. Chłopcy z domu Baenre nie szukali już zwady, dopóki nie byli pewni swojej przewagi. Nimor kluczył trochę po drodze, chcąc mieć pewność, że nie przyszło im do głowy go śledzić. Po raz ostatni cofnął się, aby zgubić ewentualnych szpiegów, po czym ruszył w stronę otoczonego wysokim murem pałacu prawie na samym środku płaskowyżu i zbliżył się do ufortyfikowanej bramy.

Dom Agrach Dyr, piąty dom Menzoberranzan, wybudowano wokół dziewięciu kamiennych iglic wznoszących się w obrębie wielkiej wyschniętej fosy. Każdy skalny kiel łączący się z sąsiednim murem ze wzmocnionego adamantytem kamienia, niewyobrażalnie smukłym i silnym. Łuki przyporowe, ostre i piękne, łączyły naturalne wieżycy z tymi zbudowanymi przez drowy, tworząc w centrum kompleksu pałacowego zbitą gęstwinę minaretów i wież strzelających na setki stóp w górę. Otaczającą zamek przepaść spinał jednym eleganckim łukiem pozbawiony balustrady most.

Nimor wszedł na most i zbliżył się otwarcie do bramy. Na jego końcu czekało nań kilku uzbrojonych w miecze strażników i dwóch czarodziejów, którzy wyglądali na biegłych w swojej sztuce.

- Stój! - Zawołał kapitan straży. - Kim jesteś i co cię sprowadza do domu Agrach Dyr?

Skrytobójca zatrzymał się z uśmiechem. Wyczuwał miriady wymierzonych w siebie zaklęć, mogących przyprawić go o śmierć, gdyby nagle przyszło mu do głowy udzielić jakiejś całkowicie niestosownej odpowiedzi.

- Nazywam się Reethk Vaszune, jestem dostawcą magicznych ingrediencji i odczynników - odpowiedział, kłaniając się i rozkładając szeroko ramiona. - Zostałem wezwany przez Sędziwego Dyr, aby omówić z nim warunki sprzedaży.

Kapitan straży wyraźnie się rozluźnił.

- Pan uprzedził nas o twoim przybyciu, Reethku Vaszune. Tędy, proszę.

Nimor ruszył za kapitanem przez kilka wielkich sal i wysokich, rozbrzmiewających echem komnat w sercu wielkiego pałacu. Kapitan zaprowadził go do małego saloniku, starannie urządzonego i zdobionego egzotycznymi koralami i wapieniami rzeźbionymi w motywy kuo-toa, rybich stworów zamieszkujących niektóre podziemne morza Podmroku. Dość egzotyczny, by świadczyć o smaku i zamożności domu, pokój emanował butą.

- Otrzymałem wiadomość, że mistrz Dyr wkrótce do nas dołączy - oznajmił kapitan straży.

Chwilę później w ścianie naprzeciwko otworzyły się płynnie ukryte drzwi, w których ukazał się Sędziwy Dyr. Wiekowy czarodziej był rzeczywiście zgrzybiały, co jest u elfów, nie mówiąc już o drowach, rzadko spotykanym widokiem. Wspierał się na wielkiej lasce z czarnego drewna, a jego hebanowa skóra wydawała się cienka i delikatna jak pergamin. W oku czarodzieja płonąła jasna, zimna iskra, zdradzająca pokłady żywotności i ambicji, które pomimo podeszłego wieku nie zostały jeszcze do cna wyczerpane.

- Jesteśmy zachwyceni, widząc was tak szybko z powrotem, mistrzu Reethk - odezwał się suchym, trzeszczącym głosem leciwy drow. - Czy zdobyłeś może rzeczy, o których rozmawialiśmy?

- Wierzę, że będziesz zadowolony, lordzie Dyr - odparł Nimor.

Zerknął na kapitana straży, który patrzył na starego czarodzieja, chcąc się upewnić, czy może już

odejść. Dyrz odprawił go lekkim ruchem dłoni, po czym uczynił kolejny gest i wymówił tajemne słowo, otaczając komnatę sferą pelżającej ciemności, która syczała i jęczała jak żywa istota.

- Mam nadzieję, młodzieńcze, że wybaczysz mi te środki ostrożności, ale chcę, żeby ta rozmowa pozostała między nami - wycharczał sędziwy drow. - Podśluchiwanie wydaje się być naszą drugą naturą.

Powłócząc nogami, doszedł do rzeźbionego misternie krzesła i opadł na siedzenie, pozornie nie dbając o to, że przy okazji odsłonił przed Nimorem pomarszczony kark.

- Rozsądna zapobiegliwość - ocenił Nimor.

Staruszek uważa, że jestem niegroźny, odnotował skrytobójca. Albo jest bardzo ufny, co jest mało prawdopodobne, albo bardzo pewny siebie. Skoro odizolował nas obu od reszty świata, to albo nie potrafi ocenić mojej siły, albo ja jego.

- To pewność siebie - powiedział sędziwy czarodziej - a ty nie potrafisz ocenić mnie, ponieważ oboje jesteśmy czymś więcej niż wydawałoby się na pierwszy rzut oka. - Dyrz znów zaśmiał się chrapliwie. - Tak, znam twoje myśli. Nie dożyłem tak podeszłego wieku przez nieostrożność. A teraz usiądź. Porzućmy te błahostki i przejdźmy do interesów.

Nimor rozłożył ręce, przyznając mu rację i usiadł na krześle naprzeciw starego czarodzieja. Starannie uporządkował myśli, skrzętnie ukrywając mroczniejsze sekrety w zakamarkach, do których nie miał zamiaru sięgać, kiedy Dyrz będzie studiował jego umysł i skupił całą uwagę na omawianych kwestiach.

- Z pewnością słyszałeś o niefortunnym zgonie matki opiekunki domu Faen Tlabbar - odezwał się skrytobójca. - I jej córki Sil'zet?

- Nie umknęło to mojej uwadze. Można się było spodziewać, że Tlabbarowie pobiegną poskarżyć się radzie. Ciekaw jestem, co spodziewali się osiągnąć, szukając pomocy u pozostałych matek opiekunek?

- Być może owładnął nimi żal - odparł Nimor.

Powoli sięgnął do sakiewki przy boku, pozwalając czarodziejowi zauważyć ten ruch. Z sakiewki wyciągnął zwieńczoną pojedynczym rubinem platynową broszę w kształcie podwójnego łuku Faen Tlabbarów i położył ją na stole.

- Brosza samej matki opiekunki, którą zdołałem dla ciebie ukraść. Mam nadzieję, że masz skuteczne osłony przeciwko jasnowidzeniu, lordzie Dyrz. Czarodzieje Tlabbarów z pewnością poszukają tego amuletu przy pomocy całej magii, jaką dysponują.

- Głupcy błądzący w ciemnościach - wymruczał Dyrz. - Pięćset lat temu zapomniałem więcej, niż cały ich dom pełen czarodziejów odcyfrował przez wszystkie lata nauki.

Wyciągnął wychudzoną rękę po broszę i zważył ją w dłoni.

- Jestem pewien, że potrafisz sprawdzić jej autentyczność - rzekł Nimor.

- Och, wierzę ci skrytobójco. Nie wydaje mi się, żebyś chciał mnie oszukać, ale zajmę się tym później, dla pewności.

Czarodziej odłożył broszę na stół i odchylił się na oparcie fotela. Nimor czekał cierpliwie, aż Dyrz usadowi się wygodnie, pukając długim, chudym palcem w laskę i uśmiechając się z zadowoleniem.

- A więc - odezwał się w końcu wiekowy czarodziej - podczas naszego ostatniego spotkania zażądałem, abyś zademonstrował mi zasięg i umiejętności swojego bractwa, usuwając jednego z wrogów mojego domu, co zrobiłeś. Zasłużyłeś na wysłuchanie. A więc czego Jaezred Chaulssin chce od domu Agrach Dyrz?

Nimor poruszył się i rzucił czarodziejowi szybkie spojrzenie. Dyrz był rzeczywiście świetnie poinformowany, skoro znał tę nazwę. Znało ją niewiele osób spoza bractwa. Nimor pilnie unikał wymieniania jej, kiedy po raz pierwszy spotkał się ze starcem. Zastanawiał się, jakie wskazówki podsunął czarodziejowi i czy może pozwolić, by Dyrz dysponował tą wiedzą.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków, chłopcze - ostrzegł go Dyrz. - Nie zdradziłeś mi niczego, czego nie wiedziałem już wcześniej. Byłem świadomy istnienia Domu Cieni już od pewnego czasu.

- Jestem pod wrażeniem - rzekł Nimor.

- Wręcz przeciwnie, uważasz, że to czcze przechwałki - Dyrz wskazał palcem własną skroń i uśmiechnął się zimno. - Nie mam skłonności do blefowania ani zgadywania na chybił trafił. Dawno temu dostrzegłem pewien wzór obejmujący swym zasięgiem kilka wielkich miast naszej rasy i wywnioskowałem, że istnieje tajemne stowarzyszenie pozornie słabych domów, wszystkich słynących z biegłości swoich skrytobójców, rządzonych ponoć przez mężczyzn, które pozostawały ze sobą w tajnym

sojuszu. Rodziny, które inaczej zostałyby pochłonięte przez ambitne rywalki, przetrwały wskutek sprzyjających i nagłych zgonów wszystkich ewentualnych wrogów. Uważam za ironię losu fakt, że każdy dom należący do Jaerred Chaulssin musi być z definicji uważany za najnikczemniejszy rodzaj zdrajcy miasta, które ma nieszczęście go gościć. Przedkładanie lojalności wobec własnego domu nad lojalność wobec własnego miasta nie jest jakimś wyjątkowo odrażającym występkiem, rzecz jasna, ale przyznawanie się do więzów lojalności z domem w zupełnie innym mieście to już inna sprawa, nieprawdaż?

- Wydajesz się znać wszystkie nasze tajemnice - odparł Nimor, próbując zachować czysty umysł.

Przyglądał się uważnie czarodziejowi, starając się nie pozwolić mu odczytać kalkulacji, jakie przeprowadzał w głowie.

- To nie do końca prawda - rzekł Dyrr. - Wiele bym dał, żeby dowiedzieć się, jak wasze bractwo zarządza swoimi domami, w czym leży wasza prawdziwa siła i kto rządzi waszym stowarzyszeniem. Wzięliście nazwę od miasta Chaulssin, które osunęło się w cień wiele setek lat temu. Zastanawia mnie znaczenie tej nazwy.

Wie więcej, niż możemy pozwolić, pomyślał Nimor.

Podniósł gwałtownie wzrok na starego czarodzieja, uświadamiając sobie, że Dyrr musiał usłyszeć tę myśl. Sędziwy mag przyglądał mu się tylko swoim słabym wzrokiem i skinął głową. Skrytobójca odzyskał panowanie nad myślami i postanowił zmienić temat.

- Ze względu na naszą przyjaźń przypominam, że byłoby najlepiej dla wszystkich zaangażowanych, gdybyś z posiadaną wiedzą nie robił nic, co mogłoby zwrócić czyjakolwiek uwagę. Uważamy, że lepiej będzie, jeśli nasze tajemnice nie zostaną ujawnione.

- Zrobię, co uznam za stosowne. Nie chcę jednak ściągnąć na siebie waszego gniewu. Niedobrze byłoby mieć w Jaerred Chaulssin wroga.

- Byłoby to nie tyle niedobre, lordzie Dyrr, co niechybnie zabójcze.

- Być może. W każdym razie zachowam twoją tajemnicę dla siebie.

Stary drow zaśmiał się cicho, zaciskając pomarszczone dłonie na lasce.

- Przejdźmy do interesów, młodzieńcze. Ty i twoi towarzysze wykazaliście się niemałymi umiejętnościami, mordując matkę opiekunkę Tlabbar, wroga mojego domu. Bardzo dobrze, jestem pod sporym wrażeniem. Czego chcecie od Agrach Dyrrów?

- Potrzebuję sojusznika w Menzoberranzan, lordzie Dyrr i mam powody, by sądzić, że ty możesz być tym sprzymierzeńcem. - Nimor pochylił się lekko do przodu, uśmiechając się chytrze. - W mieście toczą się wydarzenia, które doprowadzą do upadku domów postawionych wyżej od twojego. Jeśli zechcesz wziąć w nich udział, przekonasz się, że dom Agrach Dyrr staje przed wielką szansą zarządzania miastem według własnego uznania. Uważamy, że możesz nam pomóc pokierować Menzoberranzan w nadchodzących trudnych chwilach.

- A jeśli odmówimy, zginiemy?

Nimor wzruszył ramionami.

- Biorąc pod uwagę niepewną sytuację - rzekł Dyrr - waham się poprzeć sprawę, o której niewiele wiem.

- To zrozumiałe. Oczywiście udzielę stosownych wyjaśnień, ale ufam, że w tych niepewnych czasach opowiesz się za podjęciem agresywnych i zdecydowanych kroków, aby zyskać pewność, na której ci zależy. Narzuć swoją wizję wydarzeniom, zamiast pozwalać im ograniczać twoją wyobraźnię.

- Łatwo powiedzieć, młodzieńcze, trudniej wprowadzić w czyn - stwierdził Dyrr.

Sędziwy czarodziej zamilkł na dłużej, zatapiając w nonszalanckim skrytobójcy groźne spojrzenie. Nimor spojrzał mu w oczy bez mrugnięcia powieką, ale przyłapał się na tym, że znów zastanawia się, jakie ukryte przewagi ma wysoki mag. Dyrr znów się uśmiechnął, zapewne czytając Nimorowi w myślach i poruszył się na krześle.

- A więc dobrze, książę Chaulssin. Zaciekawileś mnie. Wyjaśnij dokładnie, co masz na myśli i jaki masz plan, a ja powiem ci czy dom Agrach Dyrr poprze wasze śmiałe przedsięwzięcie.

* * *

- Podejdźcie bliżej, drodzy przyjaciele - powiedział Pharaun z emfazą - a ja wyjaśnię wam kilka spraw, o których musicie pamiętać, kiedy będziemy wędrować przez cienie.

Czarodziej stał pewnie na środku komnaty z rękami założonymi na piersi, nie zdradzając nawet cienia wyczerpania rozpaczliwą ucieczką. Wybudziwszy się z Zadumy tuż przed zachodem słońca, prawie przez godzinę przygotowywał dziesiątki zaklęć ze swojej kolekcji podróży ksiąg.

Choć nikt nie kwapił się podejść do czarodzieja, wszyscy patrzyli na niego z uwagą. Pharaun uśmiechnął się z zadowoleniem, ucieszony jak nigdy okazywanym mu zainteresowaniem. Założył ręce za plecami, jak gdyby nauczał nowicjuszy w Sorcere i zaczął:

- Kiedy będziemy gotowi, poprowadzę was ścieżką biegnącą brzegiem Skraju - granicą Planu Cieni. Będziemy podróżować szybko i drobne niedogodności takie jak ośnieżone szczyty, wygłodniałe potwory czy tępi ludzie nie będą stanowić dla nas żadnego kłopotu. Przypuszczam, że marsz do Mantol-Derith zajmie nam jakieś dziesięć, dwanaście godzin, o ile się nie zgubię i nie wyprowadzę was na paskudną śmierć na jakimś niecywilizowanym planie z dala od Faerunu.

- Nie dodałeś mi otuchy, Pharaunie - westchnął Ryld.

- Och, jeszcze nigdy nie zgubiłem się w Jądrze Cieni i nie znam czarodzieja, któremu by się to przytrafiło. Oczywiście, o takim nieszczęśniku nie usłyszeliśmy już nigdy więcej, więc może nieudana próba wędrówki przez cienie tłumaczy zniknięcie pewnego młodego maga, którego znałem...

- Do rzeczy - warknęła Quenthel.

- Doskonale. Należy zapamiętać dwie ważne rzeczy. Po pierwsze, podczas wędrówki nie musimy obawiać się niczego, co należy do tego świata, ale nie zyskujemy żadnej specjalnej ochrony przed zagrożeniami Planu Cieni. Zamieszkują go istoty, które będą próbowały uniemożliwić nam przejście, jeśli je napotkamy. Spotkałem jedną z nich, kiedy ostatnim razem podróżowałem w ten sposób i niewiele brakowało, a byłaby to ostatnia z moich wspaniałych przygód.

- Po drugie i najważniejsze, nie traćcie mnie z oczu. Trzymajcie się blisko mnie i idźcie za mną. Jeśli podczas wędrówki przez Plan Cieni stracie ze mną kontakt, prawdopodobnie będziecie się błąkać po jego ponurych bezdrożach przez całą wieczność albo dopóki nie pożre was coś strasznego, co stanie się prędzej niż później. Ja będę musiał się skupić na podtrzymaniu zaklęcia i nawigowaniu, więc nie gubcie się, chyba że wam życie nie mile, wówczas nie krępujcie się zapuszczać w głąb Jądra.

- Czy lamie mogą pójść za nami? - zapytał Ryld, nie odrywając wzroku od korytarza prowadzącego do ruin na powierzchni.

- Nie, chyba że mają czarodzieja równie biegłego i czarującego jak ja, który na dodatek zna czar pozwalający śledzić wędrujących przez cienie, którego ja nie znam - uśmiechnął się Pharaun. - Będziesz mógł strząsnąć z butów pył powierzchni, przyjacielu Ryldzie. Nie przejmujcie się już niebezpieczeństwami, które grożą nam w tym miejscu i zaczniście martwić tym, co może nas spotkać na Skraju. - Czarodziej omiół ich wzrokiem i kiwnął głową. - A więc dobrze. Weźcie się za ręce. Świetnie, Jeggred, możesz jednocześnie złapać za ręce nas wszystkich, co? I nie ruszajcie się, kiedy będę rzucać czar.

Pharaun uniósł ramiona i zaczął mamrotać magiczne sylaby, tkając zaklęcie.

Halisstra stała pomiędzy Danifae i Valasem, trzymając ich za ręce. W wielkiej podziemnej komnacie zrobiło się nagle jeszcze ciemniej, jeśli było to w ogóle możliwe w nieoświetlonym pomieszczeniu pod ziemią. Drowy widziały całkiem dobrze nawet w największych ciemnościach, ale Halisstrze wydawało się, że w powietrzu wisi jakaś pomroka. Wyglądało to tak, jak gdyby Pharaunowi udało się jedynie wyczarować ciemność spowijającą drużynę, ale kiedy uważniej przyjrzała się otoczeniu, uświadomiła sobie, że nie znajduje się już w Faerunie. Nadprzyrodzony ziąb wgryzał się w jej odsłoniętą skórę, promieniując z zimnego pyłu pod jej stopami. Wysokie, pokryte runami kolumny biegnące wzdłuż galerii zmieniły się w swoje powykręcane karykatury wyłaniające się z posadzki komnaty.

- Dziwne - wyszeptwała. - Spodziewałam się czegoś... innego.

- Takie już są cienie, droga pani - odezwał się Pharaun. Jego głos wydawał się płaski i odległy, chociaż stał nie dalej niż sześć stóp od niej. - Ten plan nie ma własnej substancji. Składa się z ech naszego własnego świata i innych, dziwniejszych miejsc. Stoimy w cieniu ruin nad nami, ale nie są to te same ruiny, przez które się przedzieraliśmy. Lamie i ich niewolnicy tutaj nie istnieją. Pamiętajcie, trzymajcie się blisko siebie i nie traćcie mnie z oczu.

Czarodziej ruszył korytarzem prowadzącym na powierzchnię. Halisstra zamrugnęła ze zdziwieniem. Mag, który odwrócił się od nich i zrobił jeden mały krok, nagle znalazł się na drugim końcu pomieszczenia, a następny krok zaniósł go niebezpiecznie daleko w głąb korytarza. Pospieszyła za nim, żeby nie stracić go z oczu, ale pojedynczy krok wystarczył, by komnata rozmazała się jej w oczach.

Znalazła się tak blisko Pharauna, że musiała powstrzymać impuls cofnięcia się o krok, co groziło jeszcze większym oddaleniem się od niego.

Czarodziej prychnął, rozbawiony jej zmieszaniem i powiedział:

- Twoje zainteresowanie moją osobą pochlebia mi, pani, ale nie musisz iść tak blisko. - Zaśmiał się lekko. - Rób krok, kiedy ja go robię, a będzie ci łatwiej.

Zrobił kilka wolnych, odmierzonych kroków, czekając, aż reszta drużyny zrozumie, o co w tym chodzi, i już za chwilę wszyscy maszerowali zapyłonymi ulicami Hlaungadath pod zimnym i bezgwiezdnym niebem. Każdy krok katapultował Halisstrę o czterdzieści, może pięćdziesiąt stóp. Czarne sylwetki zrujnowanych budowli nachylały się nad nimi ze wszystkich stron, tłocząc się na skraju ulic, jak gdyby chciały osaczyć podróżników, ale z każdym krokiem zmieniały się w ciemne plamy i znikwały w oddali.

Za murami zrujnowanego miasta Pharaun zatrzymał się na chwilę, żeby sprawdzić czy wszyscy są. Ruchem głowy wskazał pustynię ciągnącą się aż po stoki ośnieżonych gór na zachodzie i ruszył szybkim krokiem, narzucając im forsowne tempo, które przeczyło jego zmanierowaniu i awersji do trudów podróży. Halisstra, która wreszcie mogła rozprostować nogi, zaczynała dostrzegać, jak szybko się poruszają. Po pięciu minutach marszu zostawili netheryjskie miasto ligę za sobą, ciemną plamę na niewyraźnym wzniesieniu. Po trzydziestu minutach góry, które z ulic Hlaungadath przypominały daleką zaporę ośnieżonych szczytów, górowały nad nimi niczym szaniec nocy.

Wędrówka przez cienie ułatwiała też pokonywanie trudnych odcinków terenu. Pharaun bez wahania przekroczył stromy wąwóz, jak gdyby ten w ogóle nie istniał. Magia jego zaklęcia i dziwny plan, który przemierzali, sprawiły, że bezpiecznie postawił stopę po drugiej stronie przeszkody. Wspinaczka po długich, poszarpanych stokach wiodących na szczyt gór nie nastroczała więcej trudności niż przejście po kamieniach przez strumień.

- Powiedz mi, Pharaunie - odezwała się po pewnym czasie Quenthel - dlaczego wlekliśmy się do Ched Nasad przez niebezpieczne tunele Podmroku, skoro mogłeś użyć tego zaklęcia, żeby skrócić naszą podróż?

Nawet w mroku panującym na Skraju Halisstra wyczuwała gniew w głosie Baenre.

- Z trzech powodów, piękna Quenthel - odparł Pharaun, nie odrywając oczu od niewidocznej ścieżki, której się trzymał. - Po pierwsze, o nic takiego mnie nie prosiłaś. Po drugie, czarodzieje z Ched Nasad zabezpieczyli się przed tego typu najściami. I wreszcie, jak już mówiłem, Skraj jest niebezpiecznym miejscem. Zaproponowałem to dopiero wtedy, gdy uznaliśmy, że maszerowanie przez wiele miesięcy przez rozprażoną słońcem powierzchnię jest jeszcze mniej zachęcającą perspektywą.

Quenthel zdawała się rozważać słowa czarodzieja. Góry zniknęły w oddali, a wokół nich zaczęły się pojawiać sękaty czarne drzewa.

- Oczekuję, że w przyszłości sam będziesz udzielał mi użytecznych informacji lub sugestii w stosownym czasie - oświadczyła mistrzyni Arach-Tinilith. - Twoja powściągliwość może nas wszystkich kosztować życie. Czy jest ono warte mizernej przyjemności, jaką czerpiesz ze świadomości, że wiesz coś, czego my nie wiemy?

W ciemnej twarzy mistrza Sorcere błysnęły zęby, ale szedł dalej, nie odpowiadając. Na jakiś czas zajął się na nawigacją. Ponieważ zwykle był najbardziej rozmownym członkiem drużyny, kiedy skupił się na podtrzymywaniu zaklęcia, wśród grupki elfów zapanowała niecodzienna cisza. Maszerowali ostrożnie, idąc gęsiego za czarodziejem. Podróż w ciemnościach rozciągnęła się w czasie tak, że równie dobrze mogły mijać godziny, jak dni. Halisstra przyłapała się na rozważaniu przedziwnego pomysłu, iż jest to prawdziwy świat, prawdziwa substancja rzeczywistości, zaś bezbarwna, nijaka skostniałość jej własnego świata jest iluzją. Odkryła, że wcale jej to nie przeszkadza.

Po długim czasie Pharaun podniósł rękę i zarządził postój. Stali na szarym kamiennym mostku przerzuconym nad głębokim wąwozem, którego dołem sączyła się ciemna, bulgocząca struga. Niedaleko na tle bezkłęskowego nieba rysowały się czarne mury opustoszałego miasta, które bardziej przypominało fortecę niż gród. Grube mury przebito licznymi bramami, nad którymi sterczały wieżyczki wartownicze.

- Jesteśmy w połowie drogi - oznajmił mag. - Proponuję półgodzinny odpoczynek, a może posiłek, jeśli coś nam jeszcze zostało. - Będziemy mogli uzupełnić zapasy, kiedy dotrzemy do Mantol-Derith.

Ryld wskazał opustoszały zamek.

- Co to za miejsce?

- To? - Pharaun zerknął przez ramię. - Kto wie? Może to echo jakiegoś miasta na powierzchni, a może odbicie jakiejś zupełnie innej rzeczywistości. Cienie takie właśnie są.

Drużyna skuliła się pod niskim kamiennym murkiem mostku i zjadła mizerny posiłek składający się z resztek kurczących się zapasów. Wszechobecny ziąb tego miejsca wyssał całe ciepło z ciała Halisstry, jak gdyby kamienie pod stopami elfki chciały wyssać z niej życie. Mrok zwarzył im humory, niwecząc każdą próbę nawiązania rozmowy i utrudniając nawet skupienie myśli. Kiedy nadszedł czas wymarszu, Halisstra była zaskoczona ospałością, jaka wkradła się w jej członki. Jedynie upartym i skoncentrowanym wysiłkiem woli zdołała się zmusić do wyruszenia w drogę.

Wyruszyli w niekończącą się noc i zdążyli odejść spory kawałek od starego mostu, kiedy Halisstra uświadomiła sobie, że ktoś za nimi idzie. Z początku nie była tego pewna. Cokolwiek szło ich śladem, umiało się skradać, a otępiający wpływ Cienia sprawiał, że nie była pewna czy rzeczywiście coś usłyszała. Wydawało jej się, że słyszy szepty i chichoty w ciemnościach, obecność manifestującą się w poruszeniach stojącego powietrza, słabych podmuchach wiatru za ich plecami. Odwróciła się i przyjrzała ścieżce, szukając ich prześladowcy, ale zobaczyła tylko znużone twarze towarzyszy.

Valas, który zamykał pochód, spojrzał jej w twarz, kiedy znalazł się obok.

- *Ty też to wyczuwasz?* zapytał na migi.

- Co to jest? - zastanawiała się na głos Halisstra. - Jakiego rodzaju istoty zamieszkują miejsce takie jak to?

Zwiadowca wzruszył ramionami ze znużeniem.

- Istoty, których Pharaun ma podstawy się obawiać, co mnie martwi. - Wyciągnął ręce i odwrócił ją w stronę reszty drużyny. Była zaskoczona tym, jak daleko zdążyli odejść przez tę krótką chwilę, jaką zajęła im rozmowa. - Chodź, nie chcemy, żeby nas zostawili. Może to coś, co nas ściga, zadowolony się wędrowaniem za nami.

Przyspieszyli kroku, żeby dogonić pozostałych i w tej chwili ich prześladowca zaatakował. Z cienia za nimi wyłoniła się ogromna postać utkana z czystej ciemności, czarny, pozbawiony twarzy olbrzym mierzący ponad dwadzieścia stóp. Pomimo ogromnych rozmiarów, stwór sunął bezszelestnie w ich stronę, poruszając się z przedziwną zwinnością. W miejscu oczu miał dwa lśniące srebrne owale. Długie, pająkowate szpony wyciągnęły się w stronę Halisstry i Valasa. Jego świszczący szepot nappełnił ich umysły ohydny obrazami, takimi jak tłuste blade robaki wijące się w zgniłym mięsie.

- Pharaun, zaczekaj! - krzyknęła Halisstra.

Olbrzym zbliżał się do niej. Wymacała buzdygan, a stojący obok niej Valas zaklął i wyciągnął swoje zakrzywione noże, przyjmując bojową pozycję. Od stwora ciągnęło przyprawiającym o mdłości, namacalnym zimnem, takim jak ziąb, który panował w całej tej krainie, ale o wiele bardziej skoncentrowanym i złowrogim. Mroczny olbrzym zadrgał, przyjmując niemal oleisty wygląd i skoczył do przodu.

Zanim Halisstra zdążyła ponownie ostrzec towarzyszy, cios jego szponiastej pięści obalił ją na ziemię. Potwór wbił straszliwe spojrzenie swoich białych oczu w Valasa. Zwiadowca Bregan D'aerthe wrzasnął z przerażenia i odwrócił wzrok, upuszczając jeden kukri. Drugi zwisał bezwładnie z jego dłoni. Jeggred ryknął wyzywająco i skoczył na potwora z wystawionymi pazurami. Mroczny olbrzym powalił półdemon na ziemię jednym uderzeniem długiej, czarnej ręki. Draegloth zerwał się na równe nogi i skoczył na stwora, chcąc go wypatroszyć, ale długie, czarne bruzdy, jakie pozostawił na jego brzuchu i udach, zamknęły się zaraz po tym, jak szpony draeglotha przejechały po ciele olbrzymia. Jeggred zawył z zawodu i ponowił bezowocny atak.

- Odsuń się, głupcze! - krzyknął Pharaun, który znalazł się tuż obok. - To nocny wędrowiec. Tylko potężna magia może go zranić.

Czarodziej wyskandował zabójcze zaklęcie i jasnozielona błyskawica trafiła stwora w sam środek torsu, ale śmiercionośna energia po prostu spłynęła po czarnej skórze potwora, nie czyniąc mu żadnej krzywdy.

- *Wasze czary są bezużyteczne,* - wyszeptał mroczny i straszliwy głos w głowie Halisstry. - *Wasz oręż jest bezużyteczny. Należycie do mnie, głupie drowy.*

- To się jeszcze okaże - warknęła Halisstra.

Zerwała się z ziemi i rzuciła naprzód z wzniesionym buzdyganem. Broń była magiczna i miała nadzieję, że okaże się na tyle potężna, by zranić stwora. Długie ramię zakończone śmiercionośnymi szponami zamachnęło się na nią, ale Halisstra przetoczyła się dołem i wyrznęła nocnego wędrowca w

kolano. Buzdygan eksplodował z hukiem gromu w rozbłysku aktywnego światła. Nocny wędrowiec nie wydał z siebie żadnego dźwięku, ale kolano załamało się pod nim i olbrzym zachwiał się.

Bicz Quenthel przeciął ze świstem powietrze, trafiając stwora w twarz. Żmije wgrzyły się w ciemne mięso, zostawiając wielkie, ociekające krwią rany, ale potwór wydawał się nie dbać o śmiertelność truciznę krążącą w bacie. Najwyraźniej nawet najsilniejsza trucizna nie była w stanie zaszkodzić materii, z jakiej był stworzony.

Tańcząc wokół potwora, Ryld ciął go swoim lśniącym wielkim mieczem. Nocny wędrowiec sięgnął po broń szermierza, chcąc mu ją wyrwać, ale mistrz Melee-Magthere odskoczył w tył i jednym dzikim ciosem odrąbał stworowi ramię. Nocny wędrowiec wrzasnął bezgłośnie, a jego zbolący krzyk przeszył na wskroś ich umysły. Ignorując pozostałych, stwór wbił wściekle spojrzenie w Rylda i wyczarował spod czarnej ziemi pod stopami chmurę ohydneho, ciemnego oparu.

Halisstra poruszała się po omacku, usiłując odszukać potwora. Opar parzył jej nozdrza niczym wotriol i wgrzyzał się w oczy, paląc żywym ogniem. Wytrzymała jednak i poczuła, że olbrzym staje tuż nad nią. Wzniosła buzdygan i znów uderzyła, mierząc w nogi stwora. Za plecami usłyszała syk bicia Quenthel, rozrywającego ciemne ciało. Wielkie czarne szpony przeorały chmurę oparu, zawadzając o tarczę Halisstry i obalając ją na ziemię.

- Jest tutaj! - zawołała w nadziei, że ktoś inny dołączy do walki, ale kwaśna mgła paliła jej gardło niczym ogień.

Zmrużyła oczy i patrząc spod przymkniętych powiek znów zamachnęła się na potwora. Trująca wola nocnego wędrowca okryła ją płachtą szaleństwa, usiłując odebrać jej rozum, ale wytrzymała ten nowy atak, zadając cios za ciosem.

Miecz Rylda przeciął mrok niczym biała brzytwa, otwierając straszliwe rany w ciele potwora. Czarna ciecz rozbryznięła się niczym krople trucizny, a przewiercające umysł szeptu nocnego wędrowca przeszły w piekielny wrzask, który doprowadził Halisstrę na sam skraj obłądzenia - a potem zapadła cisza.

Poczuła, że istota nagle znika, jej ciało eksploduje w mroku, a cuchnąca mgła zaczyna się rozpraszać.

Wciąż potykając się i dławiąc trującym czarnym oparem przywołanym przez stwora, Halisstra wydostała się z ciemnego obłoku i upadła na kolana, usiłując nabrać tchu. Płuca bolały ją tak, jak gdyby napiła się płynnej siarki. Kiedy wreszcie była w stanie znowu otworzyć oczy i rozejrzeć się wokoło, odkryła, że większość towarzyszy jest w podobnym stanie.

Ryld opadł na głaz i wyczerpany opierał się na swoim wielkim mieczu. Quenthel stała tuż obok, z dłońmi na kolanach, kaszląc okropnie.

Kiedy w końcu udało jej się zaczerpnąć tchu, wysoka kapłanka podniosła wzrok na Pharauna.

- Czy właśnie coś takiego spotkałeś wcześniej?

Czarodziej skinął głową.

- Nocni wędrowcy. Przemierzają Skraj. Stwory nieumarłej ciemności, zło wcielone. Jak widzieliście, potrafią być... przerażające.

Mistrzyni Akademii wyprostowała się i zatknęła z powrotem bicz za pas.

- Chyba rozumiem, dlaczego nie chciałeś podróżować w ten sposób - powiedziała.

Pomimo zmęczenia, mag nadał się z dumy.

- Uważaj, Quenthel - powiedział szyderczym tonem. - Prawie przyznałeś, że mogę się na coś przydać.

Oczy wysokiej kapłanki zwężyły się, Baenre wyprostowała się dumnie. Najwyraźniej nie miała ochoty być przedmiotem docinków czarodzieja. Jakby nieświadomy jej piorunującego spojrzenia, Pharaun szerokim gestem wskazał rozpościerającą się przed nimi bezkształtną ciemność.

- Nasza droga prowadzi teraz przez cień naszego własnego Podmroku - rzekł. - Sugeruję zdwoić wysiłki i zakończyć wędrówkę jak najszybciej, bo w pobliżu może być więcej nocnych wędrowców.

- Cholernie pokrępiająca myśl - syknął Ryld. - Jak daleko jeszcze?

- Nie więcej niż godzina, może dwie - odparł Pharaun.

Czarodziej poczekał, aż pozostałe mroczne elfy wstaną i znów ruszą za nim. Ryld i Valas, na których padło straszliwe spojrzenie nocnego wędrowca, wydawali się poszarzali ze zmęczenia i z trudem trzymali się na nogach.

- Chodźcie - ponaglił ich Pharaun. - Mantol-Derith to nie Menzoberranzan, ale to najbardziej cywilizowane miejsce, jakie widzieliśmy od wielu dni i raczej nikt nie będzie tam dybał na nasze życie... Przynajmniej nie od razu.

ROZDZIAŁ 5

Nic nie niepokoiło ich przez resztę wędrówki poprzez cienie i wkrótce po ataku nocnego wędrowca opuścili Skraj i powrócili do swojego świata, wylaniając się na dnie wąskiego, podziemnego wąwozu. Jego ściany poznaczone były różnymi znakami i wiadomościami pozostawionymi przez zatrzymujących się tu podróżnych. Najwyraźniej było to często uczęszczane obozowisko w pobliżu jaskini kupców. Drużyna odpoczęła tu kilka godzin, aby rozgrzać członki zziębnięte podczas przebywania w zdradliwym chłodzie Skraju. Odpocząwszy, opuścili wąwóz i ruszyli długim tunelem o gładkich ścianach, który ciągnął się w ciemnościach przez wiele mil, od czasu do czasu otwierając się na boczne jaskinie.

Valas prowadził, ponieważ znał drogę, którą podróżowali i miejsce, do którego zmierzali. Po rozpalonym niebie powierzchni i mrokach Planu Cieni zwykle niebezpieczeństwa Podmroku wydawały się dobrymi znajomymi. To był ich świat, miejsce, do którego należeli, nawet ci spośród nich, którzy rzadko opuszczali swoje rodzinne miasta.

Po przemaszerowaniu jakichś dwóch mil Valas zarządził krótki postój i ukląkł, żeby naszkicować w pyle drogi mapę.

- Do Mantol-Derith zostało nie więcej niż pół mili. Pamiętajcie, to miasto kupieckie, gdzie różne rasy zawierają między sobą transakcje handlowe. Nie władamy Mantol-Derith, nikt nim nie włada, więc rozsądek nakazuje unikać obrażania kogokolwiek, chyba że pali wam się do bójki, przez którą zmarnujemy tylko czas. Zastanawiałem się też, jak dostać się z kupieckiej pieczary do siedziby domu Jaelre w Labiryncie. Stąd nasza droga musi prowadzić przez Gracklstugh, miasto szarych krasnoludów.

- Pod żadnym pozorem nie zbliżymy się do Gracklstugh - zaznaczyła natychmiast Quenthel. - Szare krasnoludy zniszczyły Ched Nasad. Nie widzę powodów, by dać się im zamordować.

- Nie mamy wielkiego wyboru, pani - odparł Valas. - Znajdujemy się na północ od królestwa duergarów, zaś Labirynt leży kilka dni drogi na południowy-zachód od miasta. Nie możemy ominąć miasta od południa, ponieważ drogę zagradza nam Mroczne Zammioro, a duergarowie patrolują jego wody. Obchodzenie miasta od północy oznacza przynajmniej dwadzieścia dni ciężkiej podróży przez tunele, których dobrze nie znam.

- Po co więc wybraliśmy tę drogę? - wymruczał Jeggred. - Równie dobrze mogliśmy wrócić do Menzoberranzan.

- Gracklstugh wciąż leży pomiędzy nami a domem Jaelre, wszystko jedno czy jesteśmy w Mantol-Derith, czy w Menzoberranzan - odezwał się Pharaun. Puknął palcem w trzy punkty na naszkicowanej naprędce mapce Valasa. - Konfrontacja z szarymi krasnoludami jest nieunikniona w obu przypadkach. Pytanie brzmi czy ośmielimy się przejść przez Gracklstugh, czy nie.

- Czy potrafiłbyś przeprowadzić nas przez miasto, wędrując przez cienie? - zapytała Danifae. Pharaun skrzywił się.

- Nigdy nie podróżowałam przez Mantol-Derith w tym kierunku, a najlepiej wędrować przez cienie po znanym terenie. W każdym razie nie byłbym zdziwiony, gdyby duergarowie zabezpieczyli swoje państwo przed podróżnymi przemierzającymi je na innych planach.

- Czy jesteśmy pewni, że szare krasnoludy będą miały coś przeciwko nam? - zapytał Ryld. - Kupcy z Menzoberranzan dość często podróżują do Gracklstugh, a szare krasnoludy przywożą swoje towary na bazar w Menzoberranzan. Możliwe, że Gracklstugh nie ma nie wspólnego z duergarskimi najemnikami, którzy zaatakowali Ched Nasad.

- Nie usłyszałam nic, co przekonałoby mnie do przejścia przez Gracklstugh. - Quenthel krótkim gestem nakazała pozostałym ciszę. - Wolałabym nie liczyć na gościnność szarych krasnoludów, nie po upadku Ched Nasad. Ominiemy miasto od północy, ufając, że mistrz Hune znajdzie drogę.

Halisstra zerknęła na Rylda i Valasa. Zwiadowca gryzł wargi, usiłując znaleźć wyjście z sytuacji, zaś fehmistrz po prostu opuścił z rezygnacją wzrok.

- Od pieczary Mantol-Derith dzieli nas mila, góra dwie? - spytała Halisstra, wskazując rysunek.

- Tak, pani - potwierdził Valas.

- I bez względu na to, jaką decyzję podejmiemy, nie możemy jej ominąć? Zwiadowca Bregan D'aerthe po prostu skinął głową.

- Może więc powinniśmy przed podjęciem decyzji zasięgnąć języka w pieczarze kupców? - zaproponowała Halisstra. Czowała na sobie wzrok Quenthel, ale nie podniosła na nią oczu. - Może

natrafimy tam na duergarskich kupców, którzy rzucą nieco światła na interesującą nas kwestię. Jeśli nie, i tak musimy się tam zaopatrzyć, zanim wyruszymy na pustkowie Podmroku.

- Rozsądna propozycja - poparł ją Pharaun. - W Mieście Kling stacjonuje z tuzin kompanii najemników. Czy nie jest możliwe, że duergarowie, z którymi walczyliśmy w Ched Nasad, zostali wynajęci przez dom drowów i nie mieli żadnych powiązań z Gracklstugh?

- Wyświadczyli Gracklstugh przysługę, niszcząc miasto - powiedziała ponuro Quenthel. Wstała i oparła ręce na biodrach, wciąż wpatrując się w rysunek na ziemi. Zastanawiała się przez chwilę, po czym starła go gniewnie stopą. - Zobaczymy, czego dowiemy się w Mantol-Derith. Zależy nam na czasie, a skoro możemy uniknąć dwudziestu czy trzydziestu dni podróży okrężną drogą, warto zaryzykować, ale jeśli usłyszymy cokolwiek, co wskazywałoby na to, że Gracklstugh jest dla nas zamknięte, wyruszymy na pustkowie.

Valas Hune kiwnął głową.

- Dobrze, mistrzyni. Myślę, że uda nam się tamtędy przedostać, chyba że duergarowie są w stanie otwartej wojny z Menzoberranzan. Miałem już do czynienia z szarymi krasnoludami i nie ma takiej rzeczy, której nie sprzedałyby za odpowiednią cenę. Odszukam w Mantol-Derith duergarskiego przewodnika i spróbuję się czegoś dowiedzieć.

- Dobrze - zgodziła się Quenthel. - Zaprowadź nas do duergarów i...

- Nie, pani, nie „nas” - przerwał jej zwiadowca. Wstał i otrzepał dłonie z piasku. - Większość duergarów nie przepada za drowami w ogóle, nie mówiąc już o szlachetnie urodzonych drowach, a jeszcze bardziej nie znosi kapłanek Pajęczej Królowej. Wasza obecność tylko skomplikuje sytuację. Będzie lepiej, jeśli sam poprowadzę negocjacje.

Quenthel zmarszczyła brwi.

Jegged, stojący zaraz za nią, huknął:

- Mógłbym pójść razem z nim, żeby mieć na niego oko, pani.

Na myśl o tym Pharaun parsknął śmiechem.

- Skoro kapłanka Lolth działa szaremu krasnoludowi na nerwy, jak myślisz, jak zareagowałyby na twój widok?

Draegloth zjeżył się, ale Quenthel potrząsnęła głową.

- Nie - powiedziała - czarodziej ma rację. Znajdziemy jakieś miejsce, gdzie zaczekamy i może uda nam się czegoś dowiedzieć, kiedy Valas zajmie się szczegółami.

Podjęli marsz i wkrótce dotarli do Mantol-Derith. Miasto było znacznie mniejsze, niż Halisstra się spodziewała. Pieczara miała sześćdziesiąt, siedemdziesiąt stóp wysokości i może dwa razy tyle na szerokość, choć ciągnęła się wiele setek jardów. Halisstra przywykła do ogromu wąwozu, w którym wybudowano Ched Nasad, a opowieści o innych skupiskach podziemnej cywilizacji zwykle wspominały o pieczarach szerokich na kilka mil. Mantol-Derith byłoby w mieście drowów co najwyżej boczną jaskinią.

Było też znacznie mniej tłoczne, niż się spodziewała. Targi w jej ojczystym mieście zawsze były bardzo gwarne, pełne pospólstwa i załatwiających sprawunki niewolników. Targ w mieście drowów zazwyczaj tętnił życiem, energią i aktywnością, nawet jeśli te właściwości zostały w szczególny sposób zniekształcone, by odpowiadać zmysłowi estetycznemu społeczności drowów. Mantol-Derith było w porównaniu z nimi ciche i ponure. Tu i ówdzie siedziały lub kucwały grupki kupców, ale towary trzymali zamknięte w skrzyniach za plecami, zamiast wystawić je na pokaz. Nikt nie krzyczał, nie zachwalał swoich towarów, nie śmiał się. Interesy zawierano tu szeptem i po kryjomu.

W Mantol-Derith zebrały się różne istoty. W kątach jaskini handlowało kilku drowów, w większości pochodzących z Menzoberranzan, jeśli Halisstra prawidłowo odczytała herby na ich towarach. Łupieżcy umysłów o lśniącej wilgocią bladofioletowej skórze szybowali z miejsca na miejsce, poruszając mackami wyrastającymi z głowy. W jednym miejscu skupiła się garstka posępnych svirfneblinów, obserwujących drowy z nieskrywaną niechęcią. Oczywiście sporo było też duergarów. Niskie i barczyste, szare krasnoludy trzymały się w małych grupkach, rozmawiając ze sobą w swoim gardłowym języku.

Halisstra szła zaraz za Pharaunem, przyglądając się każdej mijanej grupce. Kiedy zapuścili się dalej w głąb targowiska, zauważyła, że czarodziej rozmawia na migi z Valasem.

- *Niewielu tu dzisiaj kupców*, stwierdził czarodziej. *Gdzie się wszyscy podziali?*

Valas zerknął przez ramię, żeby upewnić się, że Quenthel nie patrzy i odparł:

- *Chaos w Menzoberranzan oznacza mniej kupujących. Mniej kupujących oznacza mniej*

sprzedających. Anarchia wyraźnie nie służy handlowi.

Zwiadowca odwrócił się, żeby przyjrzeć się uważnie grupce duergarów, po czym rzucił przez ramię reszcie drużyny:

- Idźcie dalej. Zaraz natraficie na gospodę. Wkrótce spotkam się tam z wami.

Cicho podszedł do grupy krasnoludów, wykonując złożonymi przed sobą rękoma dziwny gest powitania, po czym wdał się z duergarskimi kupcami w prowadzoną szeptem rozmowę. Reszta drużyny ruszyła dalej.

„Gospodę”, o której wspomniał zwiadowca, znaleźli w wilgotnym przewężeniu jaskini na południowym krańcu Mantol-Derith. Tam zgryźliwa krasnoludzka niewiasta terroryzowała garstkę niewolnych goblinów, bezlitośnie goniąc ich od jednej roboty do drugiej. W okolicy dymiło kilka małych palenisk, nad którymi gotowały się gary gęstego gulaszu doglądane przez znękanych kuchcików. Inni niewolnicy zajmowali się odszpuntowywaniem beczulek grzybnego piwa lub skradzionych z powierzchni trunków, obsługując milczących klientów, którzy siedzieli wokół palenisk na płaskich kamieniach mających służyć za krzesła. Solidne drzwi ze skamieniałych grzybnych włókien albo zardzewiałych żelaznych płyt zamykały szczeliny w pobliskich ścianach. Halisstra domyśliła się, że prowadzą do pokojów gościnnych gospody. Pokoje za takimi drzwiami były z pewnością bezpieczne, ale nie była sobie w stanie wyobrazić, że są wygodne.

- Bardzo tu... rustykalnie - stwierdziła.

Przez jedną straszliwą chwilę zastanawiała się czy jest jej przeznaczone spędzić resztę wygnańczego życia w podobnej norze.

- Jest jeszcze bardziej uroczo, niż kiedy byłem tu ostatnim razem - powiedział Pharaun z wymuszonym uśmiechem. - Krasnoludzka nazywa się Dinnka, a ta bezimienna przydrożna gospoda, która do niej należy, oferuje najlepsze kwatery w całym Mantol-Derith. Otrzymacie tu jedzenie, ogień i schronienie trzy rzeczy, których brakuje na pustkowiach Podmroku - i to za niewygórowaną opłatą.

- Lepsze to niż odpoczynek w ruinach rojących się od potworów - zauważyła Quenthel.

Ruszyła przodem, prowadząc pozostałych ku jednemu z palenisk. Siedziały wokół niego trzy niedźwieżuki, najprawdopodobniej wyszkoleni najemnicy, sądząc po jakości ich uzbrojenia. Włochate stwory pochylały się nad wielkimi skórzanymi bukłakami z grzybnym piwem, przegryzając udźcami rothe. Jeden po drugim, wojownicy podnieśli wzrok na nadchodzącą piątkę drowów i Jeggreda. Quenthel założyła ręce na piersi i spojrzała na stwory ze wzgardą.

- A więc? - zapytała.

Niedźwieżuki warknęły, odstawiając piwo i mięso, a ich wielkie pięści opadły na trzonki zatkniętych za pasy toporów. Ten ruch przykuł uwagę Halisstry. Prawie w całym Podmroku każdy niedźwieżuk przy zdrowych zmysłach natychmiast zwolniłby miejsce. Może te nie były niewolnikami drowów - najwyraźniej, skoro przebywały w Mantol-Derith, ale zapuszczała się w podobne miejsca w pobliżu Ched Nasad wystarczająco często, żeby wiedzieć, iż istoty takie jak niedźwieżuki szybko uczyły się schodzić z drogi naprawdę niebezpiecznym mieszkańcom Podmroku, takim jak szlachetnie urodzone mroczne elfy.

- A więc co? - warknął największy z trójki. - Drwiny drowów nie wystarczą, żeby przegonić nas z naszych miejsc.

- Myślicie, że możecie nami pomiatać? - dodał drugi. - Wy, drowy, nie jesteście już takie straszne jak kiedyś. Może powinniście nas przekonać, dlaczego mamy robić, co nam każecie.

Quenthel odczekała chwilę, po czym wypowiedziała jedno słowo:

- Jeggred.

Draegloth skoczył na pierwszego niedźwieżuka. Parą drobniejszych ramion przycisnął mu ręce do ciała, uniemożliwiając dobyte broni. Jednym bojowym ramieniem przytrzymał mocno głowę stwora, a pazury drugiej zatopił w jego twarzy. Najemnik wrzasnął coś w swoim nieokrzesanym języku, usiłując wyrwać się draeglothowi. Jeggred wyszczerzył zęby, wbił pazury w twarz wrzeszczącego stwora i mocno szarpnął do tyłu, odrywając przednią część jego czaszki. Krew i mózg zbryzgały towarzyszy niedźwieżuka, którzy zerwali się na równe nogi, dobywając mieczy i toporów.

Jeggred opuścił drgające ciało i spojrzał na pozostałą dwójkę.

- Następny? - zamruczał.

Dwa pozostałe przy życiu niedźwieżuki cofnęły się chwiejnym krokiem i rzuciły do ucieczki, zdjęte ślepą trwogą. Jeggred potrząsnął białą grzywą i odrzucił trupa na bok, po czym usiadł przy ogniu.

Poczęstował się kawałkiem pieczeni upuszczonej przez niedźwieżuka, a drugą ręką podniósł jeden z ich bukłaków.

- Niedźwieżuki... - wymruczał.

- Hej, wy!

Gburowata karczmarka - Dinnka - biegła w ich stronę ze wściekłą miną.

- Ci trzej nie uregulowali jeszcze rachunku - zaczęła narzekać. - Jak, na wszystkie demony, mam odzyskać od nich moje złoto?

Ryld schylił się i odczepił od pasa niedźwieżuka sakiewkę. Rzucił ją Dinncce.

- To powinno wystarczyć - powiedział fehmistrz - a za resztę otwórz nam rachunek. Zamawiamy dobre wino i więcej jedzenia.

Duergarka złapała sakiewkę, ale nie ruszyła się z miejsca.

- Nie podoba mi się, że odstraszcacie mi klientów, drowie. I zabijacie ich. Następnym razem mordujcie u siebie w domu.

To powiedziawszy, odeszła, już po drodze wydając rozkazy służącym jej goblinom.

Halisstra odprowadziła ją wzrokiem, a potem spojrzała na pozostałych i zapytała na migi:

- *To było dziwne. Słyszeliście, co powiedział niedźwieżuk?*

- Masz na myśli to, że drowy nie są już tak straszne jak kiedyś? - zapytał Ryld, po czym przeszedł na migowy. - *Czyżby wieści o upadku Ched Nasad dotarły tu tak szybko? Minęło zaledwie kilka dni, a Mantol-Derith dzieli od Miasta Połyskliwych Pajęczyn wiele dni drogi.*

- Możliwe, że wieści rozeszły się za sprawą magii, - podsunęła Halisstra. - A może... miał na myśli coś innego. Może wiedzą już coś o naszych nadzwyczajnych kłopotach.

To bardzo niepokojący scenariusz, pomyślała Halisstra. Szare krasnoludy i łupieżcy umysłów byli groźnymi nieprzyjaciółmi, znającymi wiele sekretów sztuki czarodziejskiej. Gdyby oni dostrzegli słabość drowów, nie byłoby w tym nic zaskakującego, ale skoro zwykłe najemne niedźwieżuki znały sytuację Ched Nasad i Menzoberranzan, wieści musiały się rozejść szerokim echem.

Gobliny wróciły do ich paleniska obładowane nieco lepszymi przekąskami niż te zaserwowane niedźwieżukom oraz dzbanami chłodnego wina z jakiejś powierzchniowej winnicy. Drobnymi niewolnicami podnieśli cielsko martwego niedźwieżuka i zawlekli je w ciemność. Mroczne elfy nie zwracały na nich uwagi. Niewolnicy byli tak niegodni zainteresowania, że równie dobrze mogliby nie istnieć. Członkowie drużyny jedli i pili w milczeniu, zatopieni we własnych myślach.

Po jakimś czasie dołączył do nich Valas, któremu towarzyszył szary krasnolud. Duergar miał stalowoszarą brodę i powyżej brwi ani jednego włosa na głowie. Nosił kolczugę i groźnie wyglądający toporek przy boku. Jego twarz szpeciły trzy wielkie pofałdowane blizny, które wykrzywiały prawą stronę jego twarzy w maskę bólu. Nie miał też jednego ucha. Mógł być kupcem, najemnikiem albo górnikiem prosty ubiór nie zdradzał, czym się zajmuje.

- To Ghevel Coalhewer - przedstawił krasnoluda Valas. - Jest właścicielem łodzi zacumowanej niedaleko stąd na Mrocznym Zammiorze. Jutro zabierze nas do Gracklstugh.

- Oczekuję zapłaty z góry - ostrzegł krasnolud. - I chcę, żebyście wiedzieli, że mam kontrakt na zadośćuczynienie z moją gildią. Jeśli macie zamiar poderżnąć mi gardło i wyrzucić mnie przez burtę do Zammiora, będziecie ścigani.

- To się nazywa zaufanie - skwitował Pharaun z uśmiechem. - Nie mamy żadnego interesu w obrabowaniu pana, panie Coalhewer.

- Mimo to zachowam ostrożność. - Duergar spojrzał na Valasa i powiedział: - Wiesz, gdzie szukać łodzi. Zapłaćcie mi teraz i spotkamy się tam jutro rano.

- Skąd mamy wiedzieć, że nie chcesz nas ograbić, krasnoludzie? - zagrmiał Jeggred.

- Rabowanie drowów to żaden złoty interes, chyba że ktoś ma pewność, że ujdzie mu to na sucho - odparł krasnolud. - To może się oczywiście zmienić, ale nie dość szybko, żebym podejmował dziś takie ryzyko.

Valas potrząsnął sakiewką przed duergarem i podał mu ją. Krasnolud natychmiast wysypał jej zawartość na dużą, pomarszczoną dłoń, szacując wartość klejnotów, zanim wrzucił je z powrotem do woreczka.

- Musi wam się spieszyć, inaczej wasz człowiek ubiłby korzystniejszy interes. Wy drowy nie potraficie docenić dobrego klejnotu.

Odwrócił się i zniknął w ciemnościach.

- Więcej go już nie zobaczysz - powiedział Jeggred. -- Nie trzeba było mu płacić.
 - Nalegał - odparł Valas. - Mówił, że chce mieć pewność, że nie zabijemy go, żeby odzyskać opłatę.
 - Zwiadowca popatrzył za duergarem i wzruszył ramionami. - Nie wydaje mi się, żeby chciał nas oszukać. Gdyby był duergarem tego pokroju, nie pożyłby długo w Mantol-Derith. Tutejsi nie lubią być oszukiwani.
 - Przeprowadzi nas bezpiecznie przez Gracklstugh? - zapytał Ryld.
Valas rozłożył ręce.
 - Musimy mieć przy sobie jakieś dokumenty czy listy, które dla nas załatwi. To chyba coś w rodzaju kupieckiej licencji.
 - Nie przewozimy żadnych towarów - zauważył sucho Pharaun. - Czy takie wytłumaczenie nie jest grubymi nićmi szyte?
 - Powiedziałem mu, że rodzina pani Quenthel prowadzi w Eryndlynie interesy, które chce osobiście skontrolować, a jeśli wszystko będzie w porządku, może być zainteresowana wynajęciem duergarów, którzy przetransportują jej dobra przez terytorium Gracklstugh. Zasugerowałem też, że może mu się opłacić wzięcie udziału w tym przedsięwzięciu.
- Pharaun nie miał czasu odpowiedzieć, ponieważ w jaskini rozległ się tupot wielu stóp. Mroczne elfy oderwały wzrok od ognia i zobaczyły nadchodzącą grupę niedźwiedźków prowadzonych przez dwóch najemników, którzy uciekli kilka minut wcześniej. Zaraz za nimi szło przynajmniej kilkunastu ich towarzyszy, dzierżących topory i nabijane szpikulcami kiścienie. Z ich oczu wyzierała żądza mordy. Pozostali goście karczmy Dinnki zaczęli się wymykać, szukając bezpieczniejszej okolicy. Zwaliste humanoidy mamrotały i warczały coś do siebie w swoim gardłowym języku.
- Powiedzcie mi - zapytał Valas - czy ktoś zabił, okaleczył albo poniżył niedźwiedźka, kiedy rozmawiałem z Coalhewerem? - Zwiadowca rzucił okiem na pozostałych i Jeggreda, który wzruszył ramionami. - Czy wyraziłem się niejasno, kiedy odradzałem wszczynanie bójk?
 - Doszło do nieporozumienia w kwestii miejsc siedzących - wyjaśniła Quenthel.
Ryld wstał, przerzucił sobie płaszcz przez ramię, żeby nie przeszkadzał mu w walce i powiedział:
 - Można się było domyślić, że w okolicy jest ich więcej.
 - Czas przywołać te głupie stwory do porządku - oświadczyła Halisstra.
Quenthel wstała i wyciągnęła zza pasa bicz o pięciu rzemieniach, przyglądając się nadchodzącym wojownikom z kwaśnym uśmiechem.
 - Jeggred? - zapytała.

* * *

Gromph Baenre stał na balkonie wysoko nad Menzoberranzan, przyglądając się bladej magicznej poświacie spowijającej miasto drowów. Czekał prawie od godziny i jego cierpliwość była już na wyczerpaniu. W innych okolicznościach godzina w jedną czy drugą stronę nie miałyby dla wiekowego elfa żadnego znaczenia, ale tym razem było inaczej. Arcymag czekał w strachu, obawiając się przybycia tego, który wezwał go na to potajemne spotkanie. Gromph nie był przyzwyczajony do tego uczucia, ale odkrył, że wcale go to nie obchodzi. Oczywiście przedsięwziął radykalne kroki dla ochrony własnej osoby, otaczając się szeregiem potężnych zaklęć ochronnych i starannie dobranymi magicznymi przedmiotami. Arcymag nie miał całkowitej pewności, że te środki ostrożności odstraszą tego, który miał się z nim spotkać w tym opustoszałym, wietrznym miejscu.

- Gromph Baenre - przywitał go zimny i ochrypły głos. Jeszcze zanim zdążył się odwrócić, wyczuł obecność tego drugiego, lodowaty ziąb, który zdołał przeniknąć przez jego osłony, zapach wielkiej i straszliwej magii. - Jak to dobrze, że przyjąłeś moje zaproszenie. Minęło wiele czasu, nieprawdaż?

Leciwy czarodziej Dyrr wyłonił się z cienia na tyłach balkonu, wspierając się na wielkiej lasce. Jego stopy zdawały się w ogóle nie poruszać, gdy wśród szelestu szat sunął naprzód nie szybciej niż powłóczący nogami starzec.

Wśród ambitnych drowek z własnego domu Dyrr przybierał postać czcigodnego starca w fantastycznym wieku, ale wzrok Grompha przeniknął te pozory. Dyrr był martwy, martwy od wielu wieków. Z sędziwego maga nie zostało nic prócz zakurzonych kości okrytych porwanymi strzępami zmumifikowanego ciała. Jego dłonie były szponami szkieletu, szaty miał spłowiałe i zetłałe, a zamiast twarzy szczyrzyła się ohydnie czaszka, w której czarnych oczodołach płonęły jasnozielone płomienie jego

potężnego ducha.

- Widzę, że moja powierzchowność nie zwiodła cię - wychrypiął Licz. - Prawdę mówiąc, byłbym rozczarowany, gdyby można cię było tak łatwo omamić, arcymagu.

- Lordzie Dyrr - powiedział ostrożnie Gromph. Pochylił głowę, nie odrywając wzroku od Licza. - Prawdę mówiąc, jestem zaskoczony widząc cię wciąż wśród nas. Doszły mnie słuchy, że wciąż żyjesz, jeśli mogę tak to ująć, w ukryciu swego domu. Czasem miałem wrażenie, że czyjaś doświadczona ręka kieruje sprawami Agrach Dyrów, ale nie spotkałem nikogo, kto by cię widział od niemal dwustu lat, a od naszej ostatniej rozmowy upłynęło prawie dwa razy tyle czasu.

- Cenię sobie prywatność i zachęcam do tego samego moich spadkobierców. Będzie najlepiej dla wszystkich zainteresowanych, jeśli mój udział w rządzeniu domem pozostanie tajemnicą. Nie chcielibyśmy chyba zdenerwować matek opiekunek?

- Oczywiście. Z doświadczenia wiem, że nie przepadają za niespodziankami.

Licz wybuchnął straszonym, mrożącym krew w żyłach, śmiechem. Przysunął się bliżej i stanął obok Grompha, aby spojrzeć na miasto. Arcymag poczuł się bardzo nieswojo w obecności nieumarłej istoty i znów było to uczucie, którego nieczęsto doświadczał.

Jakie sekrety przechowuje ten chodzący duch w swojej pustej czaszce? - zastanawiał się Gromph.

- Co wie o tym mieście, czego nikt inny już nie pamięta? Na jakie samotne i straszliwe wyżyny wiedzy tajemnej wspiał się sam w ciągu posępnych wieków swej nieumarłej egzystencji?

Pytania te nie dawały Gromphowi spokoju, ale postanowił odsunąć je od siebie na chwilę.

- A więc, lordzie Dyrr, poprosiłeś o spotkanie. O czym będziemy rozmawiać?

- Zawsze byłeś nad podziw bezpośredni, młody Baenre - powiedział Licz. - Wśród drowów to miła odmiana. A zatem do rzeczy: co sądzisz o trudnościach, które ostatnio spadły na nasze piękne miasto? A dokładniej, co powinniśmy zrobić w sprawie bezsilności, jaka ogarnęła rządzącą kastę kapłanek?

- Co powinniśmy zrobić? - zapytał Gromph. - Trudno powiedzieć, skoro pytanie powinno brzmieć: co możemy zrobić? Nie leży w mojej mocy poproszenie Królowej Pajęczyny Demonów, by znów obdarzyła łaską swoje kapłanki. Lolth robi to, na co ma ochotę.

- Jak zawsze. Nie twierdziłem, że mogłoby być inaczej. - Licz urwał, zatapiając spojrzenie zielonych płomieni w arcymagu. - Co widzisz, kiedy spoglądasz dziś na Menzoberranzan, Gromphie?

- Nieład. Niebezpieczeństwo. Zaprzeczenie.

- A może okazję?

Gromph zawahał się chwilę.

- Tak, oczywiście.

- Zawahałeś się. Nie zgadzasz się ze mną?

- Nie, nie o to chodzi.

Arcymag zmarszczył brwi, starannie dobierając słowa. Nie chciał urazić tak potężnej zjawy. Dyrr zachowywał się w uprzejmy sposób, ale umysł nie zawsze dobrze znosił wieki bycia nieumarłym. Musiał zakładać, że Licz jest zdolny do wszystkiego.

- Lordzie Dyrr - zaczął - z pewnością zauważyłeś, że podstępom Pajęcznej Królowej nie ma końca. Jedyнным pewnikiem w naszym życiu jest to, że Lolth jest kapryśnym i wymagającym bóstwem, boginią, która uwielbia boleśnie nas doświadczać. A jeśli jej milczenie jest tylko wybiegiem, mającym na celu wypróbowanie jej wiernych? Czy nie jest prawdopodobne, a nawet bardzo prawdopodobne, że Lolth pozbawiła swoje kapłanki względów, żeby sprawdzić, jak zareagują? Albo - co gorsza - aby sprawdzić, czy nieprzyjaciele kleryczek ośmielą się wyjść z ukrycia i zaatakować otwarcie jej służki? Jeśli tak, jaki los czeka kogoś na tyle głupiego, by sprzeciwić się Pajęcznej Królowej, kiedy ta znudzi się swoją próbą i znów obdarzy kapłanki pełnią władzy, równie niespodziewanie, jak pozbawiła je względów? Nie miałbym ochoty zostać na tym przyłapanym. Ani trochę.

- Twój wywód jest logiczny, ale wydaje mi się, że pozwoliłeś, by nawyk ostrożności skrępował twoje myśli - rzekł Dyrr. - Mógłbym się prawie z tobą zgodzić, drogi chłopcze, gdyby nie jeden szczegół. Przez ponad dwa tysiące lat, jakie spędziłem na tym świecie, jeszcze nigdy nie widziałem niczego podobnego. Owszem, przypominam sobie kilka przypadków, gdy Lolth odmówiła swoim kapłankom czarów przez kilka dni i wiele przypadków, gdy przestała darzyć względami kapłanki jednego z domów, wydając je ich wrogom, ale nigdy nie opuściła całej naszej rasy na wiele miesięcy. - Licz podniósł zamysłony wzrok. - Nie jest to właściwy sposób traktowania własnych wyznawców. Jeśli kiedykolwiek osiągnę boskość, spróbuję traktować ich lepiej.

- Co właściwie proponujesz, lordzie Dyrr?
- Na razie nic, ale zastanawiam się, młody Baenre, czy możemy pozwolić bezsilnym kapłankom rządzić dalej miastem. Ty i ja wciąż władamy wielką i straszliwą mocą, czyż nie? Nie utraciliśmy naszych tajemnych umiejętności, ani nie utracimy ich w przyszłości. Może nadszedł czas zatroszczyć się o bezpieczeństwo naszej cywilizacji, obronę naszego miasta, przejmując rządy, których matki opiekunki nie są już w stanie sprawować. Z każdą godziną naszemu miastu grozi coraz większe niebezpieczeństwo. Mamy w końcu rywali spoza Mrocznego Władztwa, inne rasy i krainy, które nam zagrażają.
- I właśnie dlatego nie jestem pewien czy magowie powinni się zwrócić przeciwko kapłankom - odparł Gromph. - Jedyne, co może nas jeszcze bardziej osłabić, to początek wojny domowej. Aby uniknąć losu, jaki spotkał Ched Nasad, musimy podtrzymywać istniejący porządek, dopóki kryzys nie minie.
- I myślisz, że kapłanki albo sama Pajęcza Królowa podziękują ci za twoje ślepe posłuszeństwo? - Dyrr odwrócił się z powrotem do Grompha i popukał szkieletem palca wskazującego w pierś arcymaga. Gromph wzdygnął się mimo woli. - Masz potencjał, młody Baenre. Jesteś utalentowany i interes domu Baenre nie przesłania ci interesów Menzoberranzan. Wykorzystaj te cechy i rozważ starannie, jak postąpić w najbliższych dniach. Nadchodzi wydarzenia, dzięki którym możesz osiągnąć wielkość albo upaść. Dokonaj właściwego wyboru.
- Gromph zrobił ostrożny krok w tył, zawisając w powietrzu nad ogromną jaskinią.
- Obawiam się, że muszę się zająć Narbondelem, lordzie Dyrr. Pozwolę sobie odejść... i przemyślę dokładnie twoje słowa. Może być, że oceniłeś sytuację trafniej ode mnie.
- Płonący wzrok licza odprowadził Grompha, który zniknął w ciemnościach, opadając cicho ku miastu w dole. Rzeczywiście musiał przemyśleć starannie słowa licza. Uprzejmością i ostrożnością mógł zwieść Dyrra jeden raz, ale nie może tego robić w nieskończoność. Gromph nie miał wątpliwości, że przy następnym spotkaniu licza będzie oczekiwał innej odpowiedzi.

* * *

Mroczne Zammioro było dziwnym i straszonym miejscem. Halisstrę i jej towarzyszy spowiała ciemność, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczyła, przestrzeń tak rozległa, że jej niewidoczne zakątki budziły w niej dojmujący niepokój. Wielkie pieczary drowów często mierzyły w poprzek wiele mil i mieściły wielotysięczne miasta, ale - o ile Coalhewer nie przesadzał - jaskinia Mrocznego Zammiora mierzyła w poprzek ponad sto mil i miała tysiące mil wysokości. Wielkie wyspy, wysokie jak góry, podtrzymywały potężne sklepienie, tworząc w ciemności przypominające kły archipelagi. Wody Zammiora prawie całkowicie wypełniały tę ogromną przestrzeń. Żeglując po jego powierzchni, często mieli strop nie dalej niż rzut włócznią nad głowę, a pod stopami wiele setek, a może tysięcy stóp mrocznych tajemnic. Było to bardzo nieprzyjemne uczucie.

Łódź Coalhewera też nie napawała ich otuchą. Była to asymetryczna jednostka wykonana głównie z desek wyciętych ze zdrewniałych trzonów pewnego gatunku podziemnego grzyba i pociągniętych lakierem, aby je wzmocnić i usztywnić. Drewno zurkh tworzyło szeroką platformę, która unosiła się na kiści pęcherzy jakiegoś wielkiego wodnego grzyba. Całą konstrukcję spinały metalowe obejmy wykonane przez szare krasnoludy.

Cztery ogromne szkielety - za życia ogry, może trolle - stały w przypominającym studnię zagłębieniu na środku łodzi, obracając bez końca dwa wielkie wały korbowe napędzające dwa koła wodne. Bezrozumne nieumarłe stwory nigdy się nie męczyły, nigdy nie narzekały, nigdy nie zwalniały tempa, chyba że na żądanie Coalhewera, popychając łódź naprzód w ciszy, którą mącił jedynie szmer wody przelewającej się przez koła oraz trzask poruszających się kości. Szary krasnolud stał tuż przy rufie na niewielkim mostku, na tyle wysokim, by koła wodne nie zasłaniały mu widoku. Wpatrywał się w ciemność przed sobą, z ramionami założonymi na szerokiej piersi, zachowując swoje myśli dla siebie.

Pasażerowie siedzieli na zimnym, niewygodnym pokładzie albo chodzili po nim tam i z powrotem, nie dochodząc nigdy do pozbawionej burty krawędzi platformy. Podróż z Mantol-Derith przebiegała powoli, ponieważ łódź nie należała do najszybszych, zaś Coalhewer musiał ostrożnie omijać miejsca, gdzie strop jaskini opadał tak nisko, że nie było już miejsca dla łodzi.

Valas większość czasu spędzał na mostku obok krasnoluda, uważnie obserwując obrany przez niego kurs. Pharaun siedział ze skrzyżowanymi nogami u podstawy podwyższenia, pogrążony głęboko w

Zadumie, zaś Ryld i Jeggred stali na wachcie, pierwszy na bakburcie, drugi na sterburcie, pilnując, by żaden z mieszkańców Zammiora nie zbliżył się do nich niezauważony. Kapłanki trzymały się razem, pogrążone w Zadumie albo zatopione we własnych myślach spoglądały na ciemne wody.

Spędzili w ten sposób prawie pełne dwa dni, zatrzymując się tylko po to, żeby zjeść skromny posiłek albo pozwolić kapitanowi odpocząć. Coalhewer wykazywał nadzwyczajną ostrożność, gdy chodziło o palenie jakiegokolwiek światła i kazał im rozpałać ogień w małym pudełku, które osłaniało płomienie.

- Światło przyciąga zbyt wiele istot - wymruczał. - Nawet palenisko może być niebezpieczne.

Po trzecim takim posiłku, późnym popołudniem drugiego dnia podróży, Halisstra poszła na dziób łodzi, aby móc obserwować Zammioro, nie musząc przy tym patrzeć na któregoś z towarzyszy. Podczas zażartej bitwy, ucieczki z Hlaungadath i wędrówki przez Plan Cieni nie miała wiele czasu, żeby zastanowić się i ogarnąć swoje nowe położenie. Puste godziny wsłuchiwania się w cichy szum wody oraz owadzie skrzywienie szkieletów napędzających łódź, podczas których nie miała się czym zająć, pozwoliły jej powrócić myślami do upadku Ched Nasad.

Jaki los spotkał mój dom? - zastanawiała się. - Czy komukolwiek z naszych sług i żołnierzy udało się uciec z Ched Nasad? Czy są razem i kto im przewodzi? A może wszyscy zginęli w płomieniach pośród ruin?

Śmierć matki opiekunki Melarn czyniła Halisstrę głową domu zakładając, że żadna z jej młodszych kuzynek nie obwołała się ich zwierzchniczką. Jeśli jedna z nich to zrobiła, Halisstra była pewna, że bez problemu zdoła odebrać jej przywództwo. Zawsze była ulubioną córką domu Melarn, najstarszą, najsilniejszą i wiedziała, że jej kuzynki nie mogą odebrać jej tego, co należy jej się z racji urodzenia.

Ale było bardzo prawdopodobne, że z jej dziedzictwa nie pozostało nic prócz pyłu i gruzu na dnie wielkiego wąwozu Ched Nasad. Nawet jeśli część członków jej domu uciekła czy chciała ich odszukać i wraz z nimi pędzić nędzny, niebezpieczny żywot wygnańców?

Nie tak miało być, pomyślała. Miałam w swoim czasie zająć miejsce mojej matki i sprawować władzę, którą sprawowała ona, a przed nią jej matka. Tysiące sznurków, za które pociągano w Ched Nasad, miało się kończyć u moich stóp. Wystarczyłoby słowo, spojrzenie, zmarszczenie brwi, by spełniano moją najmniej istotną zachciankę. Zamiast tego jestem pozbawioną korzeni włóczęgą.

Dlaczego, Lolth? - krzyknęła w myślach. - Dlaczego? Czym cię obrażyliśmy? Jaką słabość okazałyśmy?

Kiedyś Halisstra słyszała w sercu mroczne podszepty Pajęczej Królowej, ale teraz to miejsce było puste. Lolth nie chciała jej odpowiedzieć. Nie chciała nawet ukarać Halisstry, która miała czelność domagać się odpowiedzi.

Jeśli Lolth naprawdę ją opuściła, co z nią będzie, kiedy umrze tak jak reszta jej domu? Halisstra przez całe swoje życie wierzyła, że służąc wiernie Królowej Pajęczyny Demonów jako kapłanka i bae'qeshel zasłuży sobie po śmierci na wysoką pozycję we władztwie Lolth, ale co czeka ją teraz? Czy jej wykorzeniona dusza będzie przestawać z innymi nieszczęsnymi duszami, o które po śmierci nie upomniał się żaden bóg, skazana na zgaśnięcie i prawdziwą, wieczną śmierć w szarej próżni przeznaczonej dla niewiernych? Halisstra wzdygnęła się przerażona. Wiara w Lolth była trudna i nie było w niej miejsca dla słabeuszy, ale kapłanka mogła oczekiwać, że po śmierci zostanie wynagrodzona za usługi oddane za życia bogini. Jeśli to przestało być prawdą...

Danifae podeszła do niej zmysłowym krokiem i uklękła. Śmiało spojrzała w twarz Halisstry i nie spuściła wzroku.

- Smutek jest jak słodkie wino, pani. Jeśli wypijesz go trochę, masz ochotę napić się więcej, a folgowanie sobie w obu tych przyjemnościach nigdy nie wychodzi nikomu na dobre.

Halisstra odwróciła wzrok, usiłując wziąć się w garść. Nie miała ochoty dzielić się swoimi obawami z Danifae.

- Słowo smutek nie oddaje tego, co dzieje się w moim sercu - powiedziała. Odkąd wyruszyliśmy w tę niekończącą się podróż, myślałam prawie wyłącznie o tym. Ched Nasad było czymś więcej niż miastem, Danifae. Było snem, mrocznym i wspaniałym snem Pajęczej Królowej. Wspaniałe pałace, powietrzne ulice, domy pełne bogactw, dumy i ambicji, wszystko spopielone w ciągu kilku krótkich godzin. Miasto, jego opiekunki i ich córki, przepiękne pałace z pajęczych nici, wszystko stracone, i dlaczego? - Zamknęła oczy, walcząc z palącym bólem w piersi. - To nie krasnoludy nas zniszczyły. Sami

to zrobiliśmy.

- Nie będę opłakiwać upadku Ched Nasad - rzekła Danifae. Halisstra podniosła gwałtownie wzrok, bardziej dotknięta beznamietnym tonem dziewczyny niż jej słowami. - Było miastem pełnym wrogów, których większość jest teraz martwa, a pozostali uciekli jako żebracy na pustkowie Podmroku. Nie, nie będę opłakiwać Ched Nasad. Kto, oprócz garstki jego pozostałych przy życiu mieszkańców, będzie po nim płakać?

Halisstra wołała nie odpowiadać. Wiedziała, że nikt nie będzie żałować miasta drowów, nawet inne mroczne elfy. Takie już były drowy. Silni przeżywali, a słabi odpadali z gry, zgodnie z wolą Pajęczej Królowej. Danifae odczekała długą chwilę, zanim znów się odezwała.

- Czy zastanawiałaś się, co teraz zrobimy?

Halisstra spojrzała na nią.

- Nasze losy są już związane z Menzoberranzańczykami, czyż nie?

- Dziś tak, ale czy jutro nasze i ich cele będą wspólne? Co zrobisz, jeśli Lolth przywróci nam swoje względy? Dokąd pójdziesz?

- A jakie to ma znaczenie? - spytała Halisstra. - Pewnie wrócę do Ched Nasad i zbiorę tych, którzy ocalili. Będzie to trudne zadanie, więcej niż mogę mieć nadzieję osiągnąć w ciągu jednego życia, ale z błogosławieństwem Pajęczej Królowej dom Melarn może jeszcze znów zaistnieć.

- Myślisz, że Quenthel pozwoli ci na to?

- Dlaczego miałyby dbać o to, co zrobię z resztą mojego życia? Zwłaszcza jeśli spędzę je na mozolnym odbudowywaniu domu na dymiących zgliszczach mojego miasta? - zapytała gorzko Halisstra.

Danifae rozłożyła tylko ręce. Halisstra zrozumiała. Czy Baenre musiała mieć powód, żeby coś zrobić? Menzoberranzańczycy uratowali je z ruin Ched Nasad, to prawda, ale wystarczyło słowo Quenthel, żeby stali się ich oprawcami lub zabójcami. Branka zerknęła na pozostałych, którzy medytowali lub trzymali wachtę, po czym przeszła na język migowy, starannie ukrywając to przed resztą towarzyszy.

- *Może powinniśmy się zastanowić, jak sprawić, by Menzoberranzańczycy nie mogli się bez nas obejść*, powiedziała. *Nadejdzie godzina, kiedy nie będziemy już chciały polegać na lasce Quenthel.*

- *Ostrożnie* - ostrzegła Halisstra.

Usiadła prosto i umyślnie opanowała chęć obejrzenia się przez ramię. Danifae spiskując, czuła się jak w swoim żywiole, ale Halisstra nie miała wątpliwości, że jeśli Quenthel zacznie podejrzewać, iż ona i Danifae planują podkopać jej autorytet czy nawet ograniczyć jej wolność wyboru podejmie szybkie i drastyczne kroki, aby wyeliminować dostrzeżone zagrożenie.

- *Proponujesz niebezpieczną rzecz, Danifae. Quenthel nie zawaha się zabić uzurpatorki, a jeśli ja zginę...*

- *Ja również nie przeżyję, skończyła za nią Danifae. Dobrze znam warunki mojej niewoli, pani. Jednak brak działań w obliczu niebezpieczeństwa jest równie ryzykowny jak to, co mam zamiar zaproponować. Wysłuchaj mnie, a potem możesz zdecydować, czego ode mnie chcesz.*

Halisstra zmierzyła dziewczynę wzrokiem, badając idealne rysy jej twarzy i ponętną figurę. Myślała o rozmowie Quenthel z Danifae, którą podsłuchiwała w katakumbach Hlaungadath. Oczywiście mogła jednym słowem przerwać knowania Danifae. Mogła nawet zmusić ją do tego poprzez magię medalionu, ale wtedy nie dowiedziałyby się, co takiego wymyśliła.

- *Dobrze* - stwierdziła. - *Powiedz mi, co masz na myśli.*

ROZDZIAŁ 6

Gracklstugh, podobnie jak Menzoberranzan, wybudowano w jaskini. Jednak inaczej niż w mieście mrocznych elfów, w stalagmitach mieściły się tu wielkie cuchnące huty i odlewnie, a nie eleganckie pałace szlacheckich rodzin. W powietrzu wisiał kwaśny odór, a cała pieczara rozbrzmiewała nieustannie odgłosami pracy rykiem płomieni, metalicznym brzękiem żelaza uderzającego o żelazo i szumem ścieków odprowadzających nieczystości z krasnoludzkich pieców hutniczych. W odróżnieniu od Menzoberranzan, oświetlonego jedynie delikatną magiczną poświatą ozdabiającą pałace drowów, Gracklstugh jarzyło się odbitym ogniem płomieni, a od czasu do czasu błyskiem rozgrzanego do białości metalu wlewanego do form. Było to wyjątkowo nieprzyjemne miejsce, uwłaczające każdemu wysoko urodzonemu drowowi. Halisstrze najbardziej przypominało piekielną kuźnię.

Na wschodnim krańcu Gracklstugh strop wielkiej pieczary obniżał się gwałtownie, łącząc się z ogromną zatoką Mrocznego Zammiora i czyniąc z miasta podziemny port - choć tylko nieliczne rasy Podmroku korzystały z wodnych szlaków handlowych takich jak Mroczne Zammioro. Wskutek tego przystań i nabrzeżne magazyny miasta duergarów stanowiły jedną z jego najbiedniejszych i najbardziej niebezpiecznych dzielnic. Coalhewer zacumował swoją makabryczną łódź na końcu sypiącego się kamiennego nadbrzeża, przy którym stało kilka podobnych jednostek.

- Zabierajcie swoje rzeczy, żywo - warknął krasnolud. - Im mniej rzucacie się w oczy, tym lepiej. W Mieście Kling wyznawcy pajęczycy powinni przemykać się chyłkiem, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Valas rzucił pozostałym szybkie spojrzenie i pokazał na migi:

- *Żadnego przelewu krwi! Tu nie ujdzie nam to na sucho.*

Zwiadowca zarzucił sobie plecak na ramię i ruszył za krasnoludem wzdłuż nabrzeża, owijając się szczelnie piwafwi, aby ukryć przypasane na biodrach miecze.

Pharaun spojrzał na Jeggreda i rzekł:

- Nie spodoba ci się tu, półdemonie. Co będziesz robił, nie mogąc wypatroszyć żadnych bezbronnych istot?

- Będę zabijał czas, zastanawiając się, jak zamordować ciebie, czarodzieju - huknął draegloth.

Jeggred westchnął jednak ciężko i przykrył białą grzywą długą opończą, garbiąc się i starając nie rzucać w oczy. Reszta drużyny ruszyła za nimi. Klucząc zrujnowanymi ulicami portowej dzielnicy, doszli do przypominającej fortecę gospody kilka przecznic dalej. Szyld w krasnoludzkim i wspólnym podistot nazywał to miejsce Zimną Odlewnią. Zajazd składał się z kamiennego muru otaczającego kilka wolnostojących blokhauzów. Towarzysze zatrzymali się przed główną bramą, tuż obok zagrody z wielkimi, cuchnącymi jaszczurami jucznymi.

- Niezbyt kusząca perspektywa - wymamrotał Pharaun. - Lepsze to jednak niż kamienna posadzka jaskini.

Valas naradził się szybko z Coalhewerem, po czym odwrócił się do reszty mrocznych elfów i powiedział cicho:

- Coalhewer i ja załatwimy bezpieczny wyjazd z miasta i zajmiemy się aprowizacją. Prawdopodobnie konieczne będzie wręczenie kilku łapówek, aby otrzymać odpowiednie licencje, co może zająć trochę czasu. Zostaniemy tu przynajmniej cały dzień, może dwa.

- Mamy tyle czasu? - zapytał Ryld.

- To zależy od pani Quenthel - rzekł Valas - ale następny etap podróży może trwać wiele dni. Niczego nie osiągniemy, umierając z głodu po kilkudziesięciu dniach błąkania się po pustkowiach Podmroku.

Quenthel przyjrzała się ponurej gospodzie duergarów i podjęła decyzję.

- Zostaniemy tu dwie noce i wyruszymy pojutrze wczesnym rankiem - oznajmiła. - Zostałabym dłużej, ale nie mam ochoty zawierzać naszych losów dalszej gościnności duergarów. Wydarzenia toczą się zbyt szybko, nie możemy zwlekać.

Spojrzała na zwiadowcę i Coalhewera, który stał nieopodal, obserwując ulicę z ramionami założonymi na piersi i ostentacyjnie nie wsłuchując się w rozmowę mrocznych elfów.

- *Czy to miejsce jest bezpieczne?* - zapytała na migi. - *Czy krasnolud nas nie zdradzi?*

- *Dość bezpieczne*, odparł zwiadowca. *Ukryj Jeggreda. Reszta nie powinna mieć problemów tak długo, jak będzie unikać konfrontacji.* Zerknął na Coalhewera i dodał: *Krasnolud dobrze wie, że*

wynagrodzimy go hojnie za jego usługi, ale jeśli uwierzy, że chcemy go zabić zamiast mu zapłacić, bez wątpienia znajdzie sposób, żebyśmy wszyscy zostali aresztowani. Wie, że jesteśmy kimś więcej niż kupcami, ale nie obchodzi go, co nas tu sprowadza, pod warunkiem, że otrzyma swoją zapłatę.

- Pozbędziemy się go jakoś? - zapytał Ryld.

- Zbyt niebezpieczne, powiedział Valas. Będę miał na niego oko do końca pobytu w mieście.

- Na wszelki wypadek weź ze sobą Rylda - poleciła Quenthel.

Ryld kiwnął głową i pociągnął za pasek plecaka, żeby ułożyć mu się lepiej między łopatkami.

- Jestem gotowy w każdej chwili - oznajmił.

- Nie powiem, żebym pogardził towarzystwem, jeśli wpadnę w tarapaty - odrzekł Valas. - No, nie każmy panu Coalhewerowi czekać. Jeśli jutro do południa nie otrzymacie od nas wieści, zakładajcie najgorsze i jak najszybciej uciekajcie z miasta.

Zwiadowca oddalił się pospiesznie, Ryld szedł krok za nim. Dołączyli do Coalhewera i zapuścili się w głąb miasta.

- To twoja pogoda ducha tak nas w tobie urzekła, Valasie - rzucił Pharaun do pleców zwiadowcy. - Ja też mam kilka spraw do załatwienia. Muszę znaleźć w tym ponurym miejscu kogoś, kto ujdzie za sprzedawcę magicznych odczynników, aby uzupełnić moje komponenty.

- Wracaj szybko - powiedziała Quenthel. Spojrzała na Halisstrę i Danifae. - Wy nie idziecie?

- Jeszcze nie - odparła Halisstra. - Skoro już tu jesteśmy, spróbuję kupić Danifae broń i pancerz. Wrócimy, kiedy będzie odpowiednio wyekwipowana.

- Myślałam, że nie życzysz sobie, żeby twoja branka walczyła za ciebie - powiedziała Quenthel, mrużąc oczy i kalkulując coś w myślach.

- Uznałam, że tak długo jak Danifae jest nieuzbrojona, mam wobec niej pewne zobowiązania. Nie chcę, by moja własność została uszkodzona bez powodu.

Halisstra mogła prawie wyczuć kielkujące w Quenthel podejrzenia. Baenre w milczeniu gładziła trzonek bicia, przyglądając się uważnie mieszkance Ched Nasad i jej służce.

Dobrze, pomyślała Halisstra. Niech się zastanawia, jaką władzę mam nad Danifae, że nie boję się jej uzbroić. Lekka niepewność może sprawić, że wydamy się jej bardziej użyteczne.

- Nie odchodźcie daleko i nie wpakujcie się w jakieś kłopoty - ostrzegła Quenthel. - Nie będę miała skrupułów, żeby wyruszyć dalej bez was, jeśli okaże się to konieczne.

Skinęła na Jeggreda i wmaszerował do Zimnej Odlewni, najwyraźniej nie zaprzatając już sobie głowy mieszkankami Ched Nasad i Eryndlynu.

Halisstra nie była w stanie zapanować nad uśmiechem satysfakcji, kiedy Quenthel, a wraz nią Jeggred, zniknęli jej z oczu.

Wymieniła spojrzenia z Danifae i obie zagłębiły się w miasto duergarów.

Choć Coalhewer zapewniał, że miasto jest otwarte dla przedstawicieli wszystkich ras, o ile przynoszą ze sobą złoto, Halisstra nie potrafiła przekonać samej siebie, że dwie mroczne elfki są tu naprawdę bezpieczne. Niskie, krępe krasnoludy tłoczące się na ulicach załatwiały swoje sprawy z posępną stanowczością, która Halisstrze ani trochę nie przypadła do gustu. Nie śmiały się, nie przechwalały, ani nawet nie wymieniały zawołanych gróźb. Zamiast tego patrzyły groźnie na przechodniów wszystkich ras, w tym własnej, stąpając ociężale w ciężkich kolczugach z dłońmi zaciśniętymi na trzonkach młotów i toporów zatkniętych za grube pasy. Dopiero kiedy Halisstra i Danifae minęły na ulicy pół tuzina przedstawicieli innych ras, zaczęły się rozluźniać.

Halisstra zatrzymała się pomiędzy dwoma przerobionymi na huty stalagmitami i rozejrzała dookoła.

- Tam. Znam krasnoludzki słabo, ale te szyldy oznaczają chyba płatnerzy.

Ruszyły w dół ulicą, która była właściwie ścieżką wijącą się pomiędzy stalagmitami. Minąwszy wielkie kamienne słupy, znalazły się na czymś przypominającym swego rodzaju rynek otoczony niskimi, umocnionymi budynkami z kamienia. Tam znalazły sklep, przed którym wystawiono pod kupieckim szyldem dziesiątki pancerzy i różnych rodzajów broni.

- Wygląda obiecująco - powiedziała Halisstra. Schyliła się i weszła do środka przez niskie drzwi, Danifae za nią.

Sklep zapełniony był bojowym rynsztunkiem wszelkiego rodzaju, w większości krasnoludzkim, choć nie brakowało też wyrobów innych ras - ciężkich żelaznych ostrzy orogów, kuo-toańskich pancerzy wykonanych z łusek jakiejś wielkiej bladej ryby i czarnych mithralowych kolczug drowiej roboty. Dwaj

dobrze uzbrojeni duergarowie uwijali się przy składaniu półpłytywnej zbroi na ławce po jednej stronie drzwi. Obrzucili Halisstrę i Danifae podejrzliwymi spojrzeniami, kiedy te weszły do środka i obserwowali je uważnie, gdy kapłanka i jej służka oglądały wystawione na sprzedaż wyroby.

- Pani - zawołała Danifae.

Halisstra odwróciła się i zobaczyła, że dziewczyna wpatruje się w całkiem porządną drowią kolczugę noszącą godło jakiegoś pomniejszego domu, którego nie знаła. Obok wisiał pasujący do niej puklerz i morgensztern z czarnej stali. Głowica oręża miała kształt twarzy demona o poskręcanych, kolczastych rogach. Halisstra ostrożnie wyszeptwała słowa zaklęcia wykrywającego i uśmiechnęła się, zadowolona z rezultatu. Broń i zbroja były magiczne - nie jakoś wyjątkowo, ale i tak nie spodziewała się znaleźć w tym mieście niczego lepszego czy nawet równie dobrego.

- Co możecie nam powiedzieć o tym morgensternie i pancerzu? - zapytała sprzedawców.

Duergarowie przerwali pracę. Mogli być bliźniakami, Halisstra miała trudności z ich rozróżnieniem.

- Zdobyłcie wojenne - wychrypiał jeden z nich. - Kapitan w służbie Bairda Thrazgada sprzedał je nam kilka miesięcy temu. Nie wiem, jak je zdobył.

- Są magiczne - powiedział drugi krasnolud. - Będą drogie. Bardzo drogie.

Halisstra podeszła do lady i wyłowiła z kolczugi małą sakiwkę. Przejrzała jej zawartość i wybrała kilka pięknych szmaragdów, które położyła na kontuarze.

- Umowa stoi?

Szary krasnolud wstał i podszedł bliżej, żeby przyjrzeć się kamieniom. Skrzywił się i powiedział:

- Więcej. Znacznie więcej.

Halisstra wytrzymała jego spojrzenie. Nie zdołała wiele wynieść ze swojego domu, zanim upadł, i po prostu nie mogła marnować ocalonego majątku z powodu chciwości szarego krasnoluda, nie jeśli miała inny wybór.

- Danifae, przyjrzyj się jeszcze raz kolczudze - rzuciła przez ramię. - Upewnij się, że właśnie takiej potrzebujesz.

Danifae bezbłędnie odczytała jej intencje. Dziewczyna chwyciła morgensztern i zważyła go w dłoni. Zgodnie z oczekiwaniami Halisstry drugi krasnolud zaniepokoił się, widząc tak cenny towar w rękach mrocznej elfki. Przerwał pracę i podszedł do Danifae, stając pomiędzy nią a drzwiami. Danifae natychmiast zaczęła dopytywać się o rynsztunek, podziwiając kolczugę, poddając w wątpliwość siłę zaklęć i ogólnie rzecz biorąc zajmując krasnoluda rozmową.

- Przyjmę szmaragdy ważące pięć razy tyle - oznajmił duergar przy ladzie. - I muszą to być dobre kamienie.

- Świetnie - powiedziała Halisstra.

Zrzuciła z pleców skórzany pokrowiec i położyła go na ladzie. Zdjąwszy go delikatnie, wyjęła swoją lirę, mały gięty instrument ze smoczej kości, o strunach z mithralowego drutu i pokryty mithralowymi zdobieniami.

- Jak widzisz, to bardzo kunsztowne cacko - rzekła.

Wzięła instrument do ręki i przeciągnęła palcami po strunach, jak gdyby chciała zademonstrować jego właściwości, nucąc przy tym cicho pieśń bae'qeshel. Krasnolud zagapił się na nią, a potem cofnął ze zgrozą, kiedy zdał sobie sprawę, że rzuca zaklęcie. Zanim zdołał ostrzec towarzysza, magia pieśni zawładnęła już nim bez reszty.

- Co tam się dzieje? - zapytał duergar pilnujący Danifae.

- Powiedz przyjacielowi, że wszystko jest w porządku - wyszeptwała Halisstra przez ladę. - Nie chcesz liry.

- W porządku - powiedział pierwszy krasnolud. - Proponuje lirę, ale nie przyjmujemy jej.

- Oczywiście, że nie - burknął drugi. - Widzisz tu gdzieś jakieś instrumenty?

Ponownie skupił uwagę na Danifae, która zapytała go, jak najlepiej dbać o kolczugę w wilgotnych miejscach.

- W tej chwili - zwróciła się Halisstra do omamionego krasnoluda - nastąpiła drobna różnica zdań, ale jestem pewna, że uda nam się dobić targu. Sprzedasz nam rynsztunek, który ogląda moja służąca. Czy przyjmiesz szmaragdy jako zaliczkę? Wrócę za kilka dni z okrągłą sumką, aby wyrównać rachunek.

- Kamienie mogę uznać za zaliczkę - przyznał kupiec - ale mój wspólnik nie będzie zachwycony. Pomyśli, że nie masz zamiaru wrócić.

- W takim razie niech myśli, że zapłaciłam pełną kwotę, to nie będzie cię niepokoił - powiedziała Halisstra.

Zastanawiała się jeszcze przez chwilę, a potem nachyliła się ku niemu i spojrzała mu w oczy.

- Wiesz - powiedziała cicho - gdyby coś przydarzyło się twojemu wspólnikowi, mógłbyś prowadzić interes na własnych zasadach. Mógłbyś zatrzymać wszystkie zyski dla siebie, co?

W oczach kupca pojawił się chciwy błysk.

- Chyba masz rację - rzekł. - Nie wiem, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem!

- Cierpliwości - poradziła Halisstra. - Możesz to zrobić w każdej chwili w dniu dzisiejszym. - A, i byłabym wdzięczna, gdybyś nie wspominał nikomu, że ja i moja przyjaciółka robiłyśmy z tobą interesy. Niech to pozostanie między nami.

* * *

Nimor opuścił Menzoberranzan, niosąc różnego rodzaju opłaty i odznaki świadczące o tym, że Reethk Vaszune zawarł umowę na dostarczanie czarodziejom domu Agrach Dyrre odczynników i komponentów magicznych na wypadek, gdyby miał kłopoty z wydostaniem się z miasta. Szczegóły porozumienia, jakie rzeczywiście zawarł, przechowywał wyłącznie w głowie. Namaszczone Ostrze Jaezred Chaulssin był bardzo zadowolony ze spraw, jakie udało mu się załatwić przez kilka ostatnich dni. Choć pomoc domu Agrach Dyrre nie była mu bezwzględnie potrzebna, wsparcie wiekowego mistrza miało mu znacznie ułatwić czekające go zadanie.

Nimor wysliznął się z Qu'ellarz'orlu do małej bocznej jaskini, przez którą mógł opuścić Mroczne Władztwo. Przez kilka ostatnich miesięcy poznał całkiem dobrze labirynt korytarzy otaczających wielkie miasto i szybko odnalazł ciemne, spokojne miejsce, nieobserwowane przez obrońców miasta. Namaszczone Ostrze wyciągnął rękę w stronę gładkiej ściany tunelu. Na jego lewej ręce lśnił Pierścień Cieni, mały krążek atramentowej ciemności, który bardziej przypominał otwór w materii świata niż ozdobę. Oprócz innych właściwości, pierścień umożliwiał mu wędrówkę przez Plan Cieni, tym samym uwalniając od wielu ograniczeń, jakie nakładałaby nań piesza podróż.

Postąpił krok w kierunku ściany i zniknął, pojawiając się na Skraju. Miejsce, do którego zmierzał, dzieliło od Menzoberranzan niewiele więcej niż sto mil. W przeszłości odbywał tę podróż kilka razy i rzadko zajmowała dłużej niż godzinę. Żaden syn Chaulssin nie musiał obawiać się wędrówki poprzez cienie, więc Nimor w trakcie podróży rozważał wartość sojuszu z Agrach Dyrrem i zastanawiał się czy leciwy czarodziej rządzący w sekrecie domem rzeczywiście postąpi tak, jak obiecał.

Nimor nie potrafił powiedzieć, jak długo szedł mroczną ścieżką, którą pierścień wykuwał w Skraju, ale w końcu dróżka zaczęła skręcać ku ziemskiemu światu. Było niemal niemożliwością określić upływ czasu na Skraju, ale zakłęcie działało tak, że utworzona przez nie ścieżka kończyła się w odpowiednim czasie, w wybranym miejscu. Skrytobójca położył dłoń na rękojeści rapiera i wykonał ostatni krok, który przeniósł go przez zasłonę mroku do wielkiej, sklepionej komnaty o ścianach z idealnie dopasowanych kamiennych bloków. Do pomieszczenia prowadziły tylko jedne drzwi, wielki żelazny portal wzmocniony zakłęciami. Nimor wyciągnął spod koszulki koleczej duży klucz z brązu i włożył go w dziurkę w drzwiach, które otworzyły się ze zgrzytem zardzewiałych zawiasów.

Za drzwiami znajdowała się wielka mroczna sala oświetlona rozpalonymi do czerwoności węglami w żelaznych koszach. Podobnie jak poprzednie pomieszczenie, komnata wykonana była z ociosanych kamieni. Sufit podtrzymywały masywne kolumny, ale w odróżnieniu od podobnych komnat w pałacach drowów, nie było tu żadnych zdobień ani dekoracji. Nimor wyczuwał obecność strażników, choć ci woleli się nie ujawniać.

- To ja, Nimor Imphraezl - powiedział. - Powiadomcie księcia, że przybyłem.

Wokół niego pojawiło się kilku strażników, którzy zrzucili zakłęcie niewidzialności. Duergarowie byli niżsi od drowa o głowę, ale byli szercy w barach, mieli długie tułowia, grube i krótkie nogi oraz mocno umięśnione ramiona. Nosili czarne zbroje płytowe oraz topory bojowe i tarcze z godłem Gracklstugh. Jedna ze strażniczek, na której stopień wskazywał jedynie pojedynczy złoty pasek na hełmie, przyglądała mu się uważnie.

- Książę polecił nam zaprowadzić cię do apartamentów gościnnych. Wkrótce cię wezwie.

W jej ustach zaproszenie zabrzmiało jak rozkaz.

Skrytobójca założył ramiona na piersi i pozwolił się poprowadzić dwóm strażnikom z osobistej Kamiennej Gwardii księcia. Duergarowie przyglądali się mu niespokojnie, jak gdyby spodziewali się

jakiegoś podstępu. Prawdę mówiąc, drowy i szare krasnoludy nie przepadały za sobą pomimo tego, że Menzoberranzan i Gracklstugh sąsiadowały ze sobą od tysiącleci. Szare krasnoludy i mroczne elfy stoczyły kilka zażartych wojen o panowanie nad mierzącą ponad sto mil jaskinią i wąwozem pomiędzy dwoma miastami. Fakt, że przez ostatnie sto lat z okładem zaniechano działań wojennych, oznaczał tylko tyle, że obie rasy nabrały niechętnego szacunku do siły nieprzyjaciela, ale ich wzajemna nienawiść bynajmniej nie zelżała.

Strażnicy powiedli go przez labirynt korytarzy pałacu Gracklstugh i zaprowadzili do sporego apartamentu w nieużywanej części fortecy. Umeblowanie było proste i funkcjonalne, odpowiadające smakowi duergarów. Aby skrócić oczekiwanie, Nimor podszedł do wąskiego okienka wychodzącego na otaczające pałac miasto szarych krasnoludów. Miasto było tak samo paskudne jak zwykle, cuchnący kocioł dymu i hałasu.

Po pewnym czasie Nimor usłyszał w korytarzu zbliżające się kroki, a gdy się odwrócił, zobaczył wchodzącego do komnaty Horgara Steelshadow, któremu towarzyszyła dwójka Kamiennych Gwardzistów.

- Ach - powiedział mroczny elf, pochylając głowę. - Życzę miłego dnia, książę. Co słyhać w Mieście Kling?

- Wątpię czy w ogóle cię to obchodzi - odparł Horgar. Jak na władcę tak potężnego miasta książę był pod wieloma względami osobą niczym się niewyróżniającą. Wyglądał prawie tak samo jak towarzyszący mu duergarowie o posępnym spojrzeniu i łysych czaszkach. Dzierżył berło, symbol zajmowanego stanowiska, ale nie nosił zbroi i tylko to odróżniało go od jego ochroniarzy. Gestem nakazał strażnikom pozostać przy drzwiach, a sam podszedł do Nimora, aby porozmawiać z nim półgłosem. - A więc? Jakie wieści?

- Wierzę, że znalazłem sojuszników, których szukałem w Menzoberranzan, drogi książę. Silny dom niemogący się doczekać obalenia obecnego porządku, który ma jednak nienaganną opinię. Zbliży się godzina twojego zwycięstwa.

- Hm. Dom Zuavirr chętnie najął naszych ludzi w Ched Nasad, ale tylko niedobitki klanu Khorrla Xornbane'a powróciły do domu. Nie wątpię, że ty i ten twój Zammzt sączyliście Khorrlowi do uszu te same słowa, kiedy najmowaliście jego kompanię.

- Xornbane poniósł godne ubolewania straty, ale prawdę mówiąc, nie spodziewaliśmy się, że wasze bomby zapalające okażą się aż tak skuteczne w zetknięciu ze skamieniałymi ulicami Ched Nasad. Gdyby nie ten nieprzewidywalny szczegół, Khorrl Xornbane zdobyłby miasto wraz z Zuavirrami.

Krasnoludzki książę skrzywił się, a broda zjeżyła mu się jak szczotka.

- Ostrzegałem Khorrla, że mroczne elfy nie mają w zwyczaju wynagradzać hojnie najemników, zwłaszcza krasnoludów. Nie pozwolę naszej kolejnej kompanii narazić się na podobne niebezpieczeństwo. Klan Xornbane stanowił ósmą część sił naszego miasta.

- Nie potrzebuję pojedynczej kompanii najemników, książę, choćby nie wiem jak dużej i bitnej - zapewnił go Nimor. - Potrzebuję całej twojej armii. Wymaszeruj ze wszystkimi swoimi siłami, a nie będziesz musiał obawiać się porażki.

- Wciąż pachnie mi to podstępem.

Nimor zmarszczył brwi.

- Książę Horgarze, jeśli obawiasz się podejmować ryzyko, rzadko wygrywasz w kości. Masz możliwość osiągnięcia czegoś wielkiego, ale nie mogę ci obiecać, że sukces jest gwarantowany, ani że nasze przedsięwzięcie pozbawione jest ryzyka.

- Nie rozmawiamy o kilku monetach będących stawką w głupiej grze - zachnął się książę duergarów. - Rozmawiamy o moim tronie będącym stawką w wojnie, która może przybrać obrót, który wcale nie będzie mi w smak. Nie próbuj wpłynąć na moją decyzję pustymi uwagami o ryzyku i wygranej.

- A więc dobrze, nie będę, ale zaznaczę, że przy naszym ostatnim spotkaniu postawiłeś tylko jeden warunek, zanim zgodzisz się poprowadzić swoją armię na Menzoberranzan godny zaufania sojusznik wewnątrz miasta. Zapewniłem ci takiego sojusznika. Kiedy będziesz miał lepszą okazję uderzyć na zagrożenie, jakie stanowi dla twojego królestwa silne Menzoberranzan? Kapłanki są bezsilne, przeżyły już kosztowne powstanie niewolników, a ja zapewniłem ci wsparcie wielkiego domu. Czego jeszcze nam brakuje, książę?

Duergar nachmurzył się i odwrócił, aby spojrzeć na Gracklstugh. Stał tak dłuższą chwilę, pogrążony w zadumie. Nimor widział, że się waha i postanowił zarzucić haczyk.

Zniżając głos, podszedł bliżej i powiedział:

- Czy znasz lepszy sposób umocnienia swojej pozycji względem buntowniczych wielmożów, których się obawiasz, niż zajęcie ich kampanią wojenną poza twoimi granicami? Nawet jeśli nie uda ci się zdobyć Menzoberranzan, staranny plan powinien dać ci gwarancję, że siły najbardziej niebezpiecznych lordów znajdą się w samym ogniu walk. Prawdę powiedziawszy, wierzę, że jesteś w stanie za jednym zamachem odnieść wielkie zwycięstwo nad Menzoberranzan i rozbić siły najbardziej buntowniczych szlachciców.

Duergarski książę chrząknął i przyjrzał się uważnie Nimorowi.

- Pozwalasz sobie na bardzo wiele, elfie - rzekł. - Co takiego chcesz osiągnąć, niszcząc Menzoberranzan? Dlaczego próbujesz mnie do tego namówić?

Skrytobójca wyszczerzył zęby w uśmiechu i poklepał duergara po ramieniu. Gwardziści poruszyli się niespokojnie, niezadowoleni z podobnej poufałości.

- Mój drogi książę Horgarze, odpowiedź jest prosta - odparł Nimor. - Zemsta. Twoja armia ma być narzędziem mojej zemsty. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że nie zrównasz Menzoberranzan z ziemią tylko dlatego, że cię o to proszę, więc muszę dostarczyć ci motywacji do zrobienia tego, na czym mi zależy. Pracowałem długo i ciężko, żeby doprowadzić do sytuacji, w której armia Gracklstugh mogłaby uderzyć na miasto, którego nienawidzę, łącznie z rozwiązaniem drobnej kwestii bezmyślnej długowieczności twojego ojca. Czy mam wyrażać się jaśniej?

- Zapłaciłem ci za okazaną pomoc setką bomb zapalających - odparł krasnoludzki książę, nasrożywszy się. - Nie wspominaj już o śmierci... mojego ojca. Gdybym doszedł do wniosku, że możesz chcieć wywierać na mnie jakiś wpływ przez tę historię, musiałbym dopilnować, żeby wszelkie informacje, jakie posiadasz, nie ujrzały nigdy światła dziennego. Zrozumiano?

- Och, ta uwaga nie miała nic oznaczać, Horgarze. Zauważyłem tylko, że wyświadczyłem ci w przeszłości przysługę i w przyszłości też mogę się okazać użyteczny. Czy mogę więc liczyć na armię Gracklstugh, czy nie?

Horgar Steelshadow, książę Gracklstugh, niechętnie skinął głową.

- Przybędziemy - powiedział. - A teraz wyjaśnij mi, kto dokładnie będzie nam sprzyjał w Menzoberranzan i jak będzie nam w stanie pomóc?

* * *

Ryld czuł na swoich szerokich plecach nienawistne spojrzenia, gdy szedł za Valasem i Coalhewerem przez ulice krasnoludzkiego miasta. Czuł się bardzo nieswojo. Przewyższał każdego szarego krasnoluda o dobre dwadzieścia cali, a czarna jak węgiel skóra i atramentowe piwafwi wcale nie pomagały mu wtopić się w tłum. Trzej podróżnicy szli przez dzielnicę płatnerzy wąską uliczką, mijając po obu stronach kuźnie na otwartym powietrzu, gdzie duergarowie w skórzanych fartuchach kuli żarzący się metal. Ryld znał się trochę na dobrej stali i na pierwszy rzut oka rozpoznał, że krasnoludy znają się na swoim rzemiośle.

Fechmistrz przyspieszył kroku i zrównał się z Valasem.

- Dokąd idziemy? - zapytał najciszej jak się dało, ale tak, by towarzysz usłyszał go pośród dzwonienia młotów. - Myślałem, że musimy zdobyć coś w rodzaju oficjalnej licencji czy przepustki. Czy nie powinniśmy iść do sądu?

- Gdybyście chcieli otrzymać królewską licencję, owszem - odpowiedział mu Coalhewer - ale zajęłoby to wam wiele miesięcy i kosztowało fortunę w łapówkach. Nie, zabieram was do siedziby klanu lorda Muzgardta. Da wam list uwierzytelniający, który pozwoli wam dotrzeć tam, dokąd chcecie.

Ryld kiwnął głową. W Menzoberranzan sytuacja wyglądała dość podobnie.

- Jaki zasięg będzie miał list Muzgardta? - zapytał Valas. - Czy pozwoli nam wydostać się z władztwa Gracklstugh?

- Klan Muzgardt jest klanem kupieckim. Handluje piwem i innymi trunkami w całym Głębinowym Królestwie, a czasem sprowadza do miasta zagraniczne napoje - wino drowów, brandy svirfneblinów, a nawet wino z powierzchni, tak w każdym razie słyszałem. Znajdziesz ich ludzi w całym księstwie. - Coalhewer roześmiał się paskudnie i dodał: - Oczywiście Muzgardt sprzedaje też przepustki tym, którzy tego potrzebują. Lubi złoto.

Ryld uśmiechnął się. Coalhewer był chciwym, zachłannym osobnikiem według wszelkich

standardów. Chciwość Muzgardta musiała być rzeczywiście czymś godnym uwagi, skoro krasnolud taki jak Coalhewer o niej wspominał.

Doszli do końca uliczki płatnerzy i znaleźli się w pobliżu Mrocznego Zammiora, choć nieco dalej na północ wzdłuż wybrzeża. Przed nimi stał wielki zrujnowany browar zbudowany z niezwiązanych zaprawą kamieni, które tworzyły ściany pomiędzy skamieniałymi trzonami gigantycznych grzybów. W środku parowały ogromne miedziane kadzie, napełniające powietrze ciężkim zapachem drożdży. W pobliżu stały dziesiątki miedzianych beczulek, a wszędzie roiło się od krępkich szarych krasnoludów, robiących zacier z grzybów, mieszających fermentującą masę i napełniających baryłki świeżo uwarzonym piwem.

- Druga miłość krasnoluda zaraz po złocie - oznajmił Coalhewer z krzywym uśmiechem. - Tak, chłopcy Muzgardta odwalają kawał dobrej roboty.

Krasnolud wprowadził Rylda i Valasa do środka, minął ogromne kadzie i doszedł do niewielkiej chałupy na tyłach browaru. Stało przed nią dwóch szarych krasnoludów w ciężkich kolczugach i z groźnie wyglądającymi toporami w rękach. Strażnicy obrzucili drowy groźnymi spojrzeniami i sięgnęli po broń.

- Czego? - warknął jeden z nich.

- Thummud - odparł Coalhewer. - Mamy dla niego propozycję interesu.

- Zostańcie tutaj - powiedział pierwszy strażnik.

Zanurkował pod poszarpaną zasłoną zawieszoną w drzwiach i wrócił chwilę później.

- Thummud przyjmie was, ale drowy będą musiały zostawić broń przy drzwiach. Nie ufa im.

Ryld spojrzął na Valasa i pokazał na miği:

- *Nie obawiasz się zasadzki?*

- *Coalhewer wie, odpowiedział zwiadowca, że mamy jeszcze pięciu towarzyszy, w tym zdolnego czarodzieja i draeglothę. Nie sądzę, by wprowadził nas w pułapkę - ale i tak zachowaj ostrożność.*

- Dość tego migania paluchami - warknął strażnik. - Mówcie tak, żebyśmy mogli was zrozumieć, jeśli macie coś do powiedzenia.

- Zawsze - powiedział na głos Ryld do Valasa.

Zmierzył duergara twardym spojrzeniem, ale zdjął Rozpruwacza z ramion i oparł wielki miecz o ścianę. Odpiął też od pasa krótki miecz i postawił go obok.

- Większe ostrze jest przeklęte - powiedział. - Chcicie wiedzieć, co się stanie, jeśli weźmiecie je do ręki?

Valas odłożył krótki łuk oraz strzały i upuścił kukrisy na ziemię. Duergarowie obszukali oba mroczne elfy, na wypadek gdyby ci ukryli jednak jakiś oręż, po czym wprowadzili ich do ponurej kryjówki. Pomieszczenie było czymś w rodzaju biura, wszędzie walały się księgi rachunkowe i akta. Za wielkim pulpitem stał jeden z najgrubszych szarych krasnoludów, jakiego Ryld kiedykolwiek widział, brzuchaty człowieczek o grubych rękach i opadających ramionach. Duergarowie pomimo niskiej, potężnej postury mieli raczej żyłastą budowę ciała i szerokie ramiona, ale browarnik Thummud był okrągły jak jedna z jego beczulek.

- Coalhewer - powiedział na powitanie. - Co możesz dla mnie zrobić?

- Mam tu drużynę mrocznych elfów, które potrzebują licencji handlowej od Muzgardta - odparł Coalhewer. - Woleliby nie czekać na królewską przepustkę.

- O jaki handel chodzi?

- Handlujemy głównie kamieniami szlachetnymi - odparł Valas. - Chcemy rozpocząć regularny transport przez Podziemne Królestwo. Musimy mieć zapewnioną swobodę poruszania się i kontaktowania z wieloma osobami, a jak już mówił Coalhewer, nie chcemy czekać miesiącami na królewską licencję.

- W takim razie jesteście głupi albo kłamiecie. Aby otrzymać przepustkę od lorda naszego klanu, będziecie musieli zapłacić dziesięć razy tyle, co za królewską przepustkę. Większość znanych mi kupców nic zgodziłaby się na coś takiego.

Valas zerknął na Rylda, a potem znów spojrzął na Thummuda.

- No dobrze. Nasi rywale robią tu niezłe interesy i chcemy wybadać ich dostawców, żeby spróbować ich przekonać do sprzedawania swoich towarów nam zamiast im. Królewska licencja nie pozwoliłaby nam na to, nieprawdaż?

Thummud prychnął.

- Raczej nie.
- Możesz pomóc moim klientom, czy nie? - spytał Coalhewer. - Czy mam iść do klanu Ironhead, a może Anvilthew?
- Klan Muzgardt może będzie mógł wam pomóc - powiedział po dłuższej chwili Thummud. - Będzie was to kosztować sto sztuk złota za osobę wymienioną na przepustce i nie dostaniecie jej dzisiaj. Coalhewer zerknął na mrocznych elfów. Ryld kiwnął głową.
- Zapłacą lordowi tyle, ile będzie trzeba - powiedział duergarski żeglarz - ale chcą ją otrzymać jak najszybciej.
- To, czego chcą twoi klienci, nie ma znaczenia - odpowiedział Thummud, wzruszając ramionami. - Muszę przedstawić ich sprawę lordowi, zanim wypiszę przepustkę.
- Nigdy wcześniej tego nie robiłeś!
Tłusty krasnolud założył ręce na piersi i zacisnął zęby w upartym grymasie. Zmierzył Coalhewera i mroczne elfy gniewnym spojrzeniem.
- Żołnierze księcia zbyt uważnie sprawdzają ostatnio nasze przepustki. Horgar dał wszystkim do zrozumienia, że chce wiedzieć, kto przebywa w Królestwie i dlaczego, naciska też na przywódców klanowych, żeby przestali wydawać przepustki. Myślę, że uda nam się zdobyć pozwolenie dla twoich klientów, ale najpierw muszę otrzymać błogosławieństwo Muzgardta. Wróćcie jutro albo pojutrze.
Coalhewer wymamrotał coś pod nosem, ale nie spierał się dłużej. Ruchem głowy wskazał zasłonę i wyprowadził Rylda i Valasa na zewnątrz. Mroczne elfy zabrały swój oręż i po kilku minutach zostawili browar za sobą.
- Co mamy o tym myśleć? - zastanawiał się na głos Valas. - Znasz jakiś inny klan, który mógłby nam pomóc, Coalhewerze?
- Może, ale skoro Horgar stara się ograniczyć liczbę nieoficjalnych przepustek, wszędzie będziecie mieli problemy z ich zdobyciem. - Krasnolud podrapał się po brodzie. - Będę musiał zasięgnąć języka, ale lepiej, żeby was przy tym nie było.
Ryld popatrzył na Valasa, który zastanawiał się długo, zanim wyraził zgodę, ale nawet wtedy fechmistrz nie miał pewności, że jego pobratymiec wierzy w lojalność ich przewodnika.

ROZDZIAŁ 7

Kiedy Halisstra i Danifae wróciły do Zimnej Kuźni, okazało się, że Quenthel wynajęła jedno z większych skrzydeł gospody, wolnostojący budynek z własną salą wspólną i ośmioma pokojami na dwóch piętrach. Całe skrzydło wyglądało na zbudowane i urządzone tak, by dogodzić upodobaniom drowów. Sprzęty były dopasowane do gości wzrostu drowów, a nie krasnoludów, pomieszczenia bogato ozdobiono arrasami i sutymi dywanami, a wszystkie drzwi miały zamki. Mroczne elfy nie potrzebowały wielu godzin nieprzerwanego snu jak inne rasy, ale tylko nieliczne czuły się bezpiecznie i komfortowo w głębokiej, sennej Zadumie, jeśli nie odpoczywały za zamkniętymi drzwiami.

Reszta drużyny, z wyjątkiem Pharauna, rozłożyła się na dywanach lub siedziała przy stole we wspólnej sali, spożywając obfity posiłek i popijając go winem ze srebrnych karafek. Pancerze i plecaki stały pod ścianami, ale broń znajdowała się w zasięgu ręki.

Halisstra uniosła brew, przyglądając się uczcie rozstawionej na bocznym stole. Ogromna pieczeń z rothe, kilka gomółek pleśniowego sera i dymiące półmiski duszonych grzybów przypomniały jej, od jak dawna nie miała w ustach porządnego posiłku.

- Jedzenie jest bezpieczne? - zapytała.

- Masz nas za głupców? - prychnęła Quenthel. - To jasne, że je sprawdziliśmy. Za pierwszym razem karczmarz wysłał nam beczkę zatrutego wina, ale złożyliśmy zażalenie u kierownictwa - Jeggred podniósł wzrok i uśmiechnął się, szczerząc kły, więc Halisstra odgadła, jak wyglądało owo zażalenie - i całą tę ucztę otrzymaliśmy gratis w ramach rekompensaty. Korzystaj.

Halisstra sprawdziła jednak jedzenie sama, używając magicznego pierścienia, który nosiła właśnie w tym celu. Próby otrucia zdarzały się zbyt często wśród szlachetnie urodzonych drowów, by móc uznać jakikolwiek posiłek za bezpieczny. Zadowolona, nałożyła sobie jedzenie i usiadła przy stole. Danifae zrobiła to samo i usiadła na niskiej sofie obok Quenthel.

- Widzę, że czarodziej jeszcze nie wrócił. A wam poszczyściło się? - zapytała Valasa, jedząc.

Zwiadowca siedział ze skrzyżowanymi nogami obok drzwi. Pas, za którym nosił kukrisy, poluzował, ale nie zdjął go z wąskich bioder. Sączył z kubka grzane wino i przeżuwał w zamyśleniu kawałek chleba.

- Można to tak ująć - powiedział. - Fechmistrz i ja nie spotkaliśmy się z otwartą wrogością, ale nie załatwiliśmy wszystkiego, choć próbowaliśmy przekonać krasnoludy, że zależy nam na czasie. - Potrząsnął sakiewką noszoną przy pasie. - Nie wiem czy oznacza to, że dzieje się coś niezwykłego, ale Coalhewer nie był zachwycony.

- Gdzie krasnolud? - zapytała Danifae.

- Chciał sprawdzić czy uda mu się zdobyć przepustkę innymi kanałami.

- Ufasz mu?

- Nie do końca, ale bez jego pomocy byłoby nam trudno. - Zwiadowca skrzywił się. - Granie z krasnoludami w otwarte karty to zupełnie inna sprawa. Gdybym został przyłapany na próbie podrobienia przepustek, wyszedłbym na szpiega. I wy wszyscy również, jako moi towarzysze.

- Prawdziwi szpiegowie próbowaliby przeniknąć do Gracklstugh w bardzo podobny sposób - odezwał się Ryld z kąta, gdzie oparł Rozpruwacza o ścianę, tak by mieć go pod ręką.

- To prawda, ale pamiętaj, że Coalhewer sam jest kimś w rodzaju szmuglera. Wcale nie zależy mu na tym, żeby księżę zainteresował się nami - odparł Valas. - W każdym razie fechmistrz i ja uzgodniliśmy, że uzupełnimy zapasy, tak aby być gotowi do wymarszu, kiedy tylko Coalhewer zdobędzie dla nas przepustkę.

- Wygląda na to, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy - zauważyła Halisstra. - Ja w każdym razie mam dość rozpalonych słońcem pustyń, otepiających krain cieni i spania na gołych kamieniach. Jeśli mamy wkrótce powrócić na ponure i pozbawione wygód pustkowia, mam zamiar skorzystać tu z wszelkich dostępnych dobrodziejstw cywilizacji.

Halisstra uniosła kielich, żeby Danifae dołała jej wina. Branka uniosła się bezszelestnie i ponownie napełniła kielich swej pani.

- Pij, skoro masz ochotę, ale nie pozwól, by wino zmaściło ci rozum - ostrzegła Quenthel ze swojej sofy. - W tym paskudnym mieście otaczają nas sami wrogowie.

- A czy kiedykolwiek otaczają nas prawdziwi przyjaciele? - prychnął Ryld.

Halisstra roześmiała się cicho.

- Rzeczywiście, Ryldzie, ale dziś w nocy możemy spać spokojnie, pokrzepieni świadomością, że żadne z nas nie ufa pozostałym i że niedaleko cychają groźni wrogowie, którzy zniszczyliby nas, gdyby tylko mogli. Czy chcielibyśmy, aby było inaczej?

Danifae zaniósła karafkę Quenthel. Nie zwracając uwagi na falujące lekko źmije przy biczu wysokiej kapłanki, spuściła oczy i nachyliła się, aby napełnić winem jej kielich.

- Musimy używać przyjemności, kiedy nadarza się ku temu okazja - dodała. - Czy nie to jest celem władzy?

Halisstra sączyła wino, przyglądając się tej scenie. Danifae nie założyła nic pod koszulkę kolczą z czarnego mithralu, jako że nabyła ją bez skórzanego kaftana. Halisstra zaproponowała jej, rzecz jasna, jeden ze swoich i nie miała wątpliwości, że rankiem Danifae go przyjmie. Ale teraz czarna skóra dziewczyny lśniła zza metalowej siatki, a jej pełne, okrągłe piersi kołysały się kusząco za stalowym pancerzem, kiedy pochyliła się, żeby dolać Quenthel wina. Obecni w pokoju mężczyźni nie mogli oderwać od niej wzroku. Nawet Jeggred, ogromna czteroręka bestia, wydawał się urzeczony wdziękiem i urodą dziewczyny. Valas zmarszczył brwi i zajął się natłuszczaniem kukrisów, wyczuwając widocznie niebezpieczeństwo tej chwili i usuwając się z właściwą sobie ostrożnością. Ryld natomiast...

Ryld patrzył na nią. Halisstra z trudem opanowała zaskoczenie, kiedy ich spojrzenia się spotkały. Wbili w siebie wzrok. Jego spojrzenie było chciwe, intensywne i Halisstra wiedziała, że występ Danifae nie umknął jego uwadze, ale zamiast gapić się na dziewczynę w metalowej kolczudze, fehmistrz patrzył na nią.

Ryld uśmiechnął się lekko i wykonał dłonią nieznaczny gest:

- *Interesujące zagranie.*

- *Nie rozumiem, co masz na myśli,* odparła Halisstra, choć zdawała sobie sprawę, że fehmistrz dobrze wie, że kłamie.

Znów skupiła uwagę na Danifae, która uklękła obok Quenthel, pijąc własne wino. Rozmowy umilkły. Ryld wyjął podróżną planszę do savy, żeby zagrać z Valasem, podczas gdy pozostali delectowali się chwilą wytchnienia.

W końcu powrócił Pharaun z garścią zwojów pod pachą. Zażartował kilka razy z fehmistrza, próbując go zdekoncentrować, ale robił to bez przekonania, po czym oddalił się do swojej komnaty. Ryld i tak wygrał, choć zwiadowca Bregan D'aerthe walczył dzielnie.

- To był długi dzień - odezwała się Quenthel. - Idę do moich komnat. Jeggred, Valas, dziś wy dwaj staniecie na warcie. Dwaj pozostali będą trzymać wartę jutro.

Wstała i przeciągnęła się, a tuż przed wyjściem z komnaty rzuciła Danifae przeciągłe spojrzenie.

- Chyba zrobię to samo - powiedziała Danifae.

Branka zerknęła na Halisstrę, uśmiechnęła się niewinnie i wyszła szybko za Quenthel. Ryld odłożył planszę do savy i poszedł do swojego pokoju, a Valas i Jeggred rzucili monetą, żeby ustalić, komu przypadnie pierwsza warta. Halisstra wstała, owinęła się piwafwi i poszła na górę do swojego pokoju. Zatrzymała się na chwilę pod drzwiami Quenthel, nasłuchując wystarczająco długo, by usłyszeć coś, co mogło być cichym jękiem lub szelestem ubrania, ale zaraz ruszyła dalej. Źmije Quenthel mogły jej donieść, że ktoś podsłuchuje pod drzwiami.

Spryciara, pomyślała Halisstra. Uwiedzenie Quenthel było przebiegłym i śmiałym posunięciem.

W Ched Nasad Halisstra często posyłała Danifae, żeby ta uwiodła rywalkę. Nawet najbardziej pragmatyczna kapłanka miała swoje ulubienice, a elfką, nawet zimną i wyrachowaną, można było czasem manipulować, znając jej sekretne upodobania. Halisstra wątpiła, by Danifae udało się zdobyć realny wpływ na Quenthel, ale w najgorszym wypadku mistrzyni Arach-Tinilith miała teraz powód, żeby nie porzucać Halisstry i jej służki. Oczywiście, gdyby usługi Danifae okazały się dla Quenthel zbyt cenne, mogła próbować przywłaszczyć sobie brankę, ale Halisstra gotowa była podjąć takie ryzyko.

Nawet gdyby Danifae sama zachęcała do tego Baenre... Halisstra pomyślała o srebrnym medalionie na szyi dziewczyny i uśmiechnęła się. Dopóki Danifae nie zdoła się uwolnić spod wiążącego ją zaklęcia, nie może nic zrobić, gdyż śmierć Halisstry oznacza jej własną. Na razie czuła, że może polegać na wierności Danifae.

Halisstra znalazła swój pokój i rozebrała się do snu, kładąc pancerz na skrzyni w sąsiednim pomieszczeniu i zostawiając buzdygan w zasięgu ręki.

Pogrążyła się w Zadumie, myśląc o Quenthel i Danifae.

Aliisza jechała ulicami Gracklstugh w żelaznym palankinie niesionym przez cztery ogry i eskortowanym przez tuzinów tanarukków. Mieli oni na sobie zbroje z wypolerowanego żelaza i byli uzbrojeni w wielkie miecze z paskudnie zakrzywionymi hakami. Jeden z nich niósł złoty proporzec ozdobiony herbem Kaanyra Vhoka - berłem w zaciśniętej rękawicy. Dwa razy tyle krasnoludzkich wojowników eskortowało poselstwo, nie spuszczając podejrzliwego wzroku z czarnego palankinu i jego pasażerki. Alu-demonowi pochlebiało trochę ich zainteresowanie, choć mogłaby się bez niego obejść. Sama poruszałyby się o wiele szybciej, ale wielkie wejście do miasta szarych krasnoludów mogło skłonić duergarów do potraktowania jej poważnie. Poza tym dostarczało jej rozrywki.

Podróż z sal starego Ammarindaru nie była ani wyjątkowo szybka, ani łatwa. Aliisza i jej wojownicy przez pięć dni parli ostro naprzód krasnoludzkimi gościńcami, aby dotrzeć na brzeg Mrocznego Zammiora, a trzy następne zajęło im znalezienie duergarskiej łodzi, którą je przepłynęli. Była już znużona miotaniem się na wszystkie strony po całym Podmroku na rozkaz Kaanyra Vhoka. Z drugiej strony w ten sposób udawiała Kaanyrowi swoją przydatność, a możliwość opuszczenia od czasu do czasu jego boku może wcale nie była taka zła. Półdemon niecierpliwie wyglądał jej powrotu, a ona miała okazję pofolgować swojemu zamiłowaniu do... różnorodności.

Gracklstugh, miasto ryczących pieców hutniczych i śmierdzących wyziewów, wyglądało jak jedna wielka kuźnia. Aliiszy wydało się nieco podobne do ogromnej odlewni w ruinach Ammarindaru, z tą różnicą, że kuźnia Kaanyra Vhoka stanowiła zaledwie drobny ułamek królestwa szarych krasnoludów.

Co za paskudne miejsce, pomyślała Aliisza. Jednak ogrom pracy wokół niej był przytłaczający. Kilka razy zauważyła, jak w warsztatach składano z olbrzymich części maszyny obłącznicze. Ched Nasad mogło być o wiele bardziej urokliwe i zdradliwe, ale Gracklstugh było silne. Krasnoludzkie umiejętności i determinacja wydawały się niemal dorównywać magii i okrucieństwu drowów.

Szare krasnoludy skierowały jej eskortę ku wielkiej fortecy wydrążonej w potężnym stalagmicie. Kamienne szańce i żelazne wieżyczki broniły ukośnych murów krasnoludzkiego zamku. Kiedy ogry wnosiły ją przez otwartą bramę królewskiego pałacu, nie zdołała opanować impulsu, który kazał jej spojrzeć w górę na potężną bramę i śmiercionośne mechanizmy gotowe zmiążdżyć każdy atak. Sama miała kilka dróg ucieczki, gdyby zaszła taka potrzeba, ale wiedziała, że żaden z jej wojowników nie wydobędzie się z pałacu, jeśli szare krasnoludy postanowią ich nie wypuszczać.

Pochód zatrzymał się w wielkiej ponurej sali z posadzką z wypolerowanych kamiennych płyt.

- Wygląda na to, że jestem na miejscu - powiedziała do siebie Aliisza.

Zastukała w ściankę palankinu i ogry postawiły go ostrożnie na ziemi. Alu-demon zaczekała, aż lektyka przestanie się kołysać, po czym wyszła z niej, prostując się i rozpościerając skrzydła.

Podszedł do niej krasnoludzki oficer w gładkiej czarnej tunice noszonej na zbroję.

- Mówiłaś, pani, że chcesz zobaczyć się z księciem - powiedział.

- Najszybciej, jak to będzie możliwe - odparła Aliisza. Tę samą rozmowę przeprowadziła już dzisiaj kilka razy z różnymi duergarskimi porucznikami i kapitanami.

- Kim jesteś, pani?

- Jestem Aliisza, przybywam z poselstwem od Kaanyra Vhoka, Dzierżącego Berło, pana Ammarindaru i władcy Twierdzy Piekielnej Bramy. Ufam, że wasz książę uzna wiadomości od mego pana za warte wysłuchania.

Oficer skrzywił się z powątpiewaniem.

- Oni zostają tutaj - powiedział, wskazując głową orszak Aliiszy. - Proszę za mną.

Aliisza spojrzała na dowódcę swojej eskorty, starego sponiewieranego tanarukka z brakującym kłębem.

- Ty i twoi wojownicy zaczekacie tutaj - rozkazała. - Może mi to zająć trochę czasu.

Ruszyła za kapitanem duergarów w głąb fortecy, eskortowana przez kolejne pół tuzina krasnoludzkich żołnierzy. Postanowiła myśleć o nich jak o gwardii honorowej. Wspięli się po szerokich schodach, które mogłyby robić wrażenie, gdyby krasnoludy zadały sobie trud ich ozdobienia i w końcu wkroczyli do sali tronowej, której wysoko sklepiony sufit podtrzymywały wielkie kamienne kolumny.

Na końcu komnaty stała grupka szarych krasnoludów. Po sposobie, w jaki się poruszały, i zimnym spojrzeniu ich oczu Aliisza odgadła, że są ważnymi doradcami i szlachcicami, ale odziani byli nader skromnie. Pośród nich stał pierwszy krasnolud, jakiego do tej pory widziała, który nosił jakieś ozdoby,

krzepki mężczyzna w lśniącej kolczudze noszonej pod czarną tuniką wyszywaną złotem. Na jego łysej głowie spoczywał złoty diadem, a warkocze brody spinały złote pierścienie.

Kapitan eskortujący Aliiszę gestem nakazał jej się zatrzymać i podszedł bliżej, żeby wyszeptać coś księciu na ucho. Władca szarych krasnoludów spojrzał gniewnie na Aliiszę, po czym wystąpił naprzód z grubymi ramionami założonymi na piersi.

- Witamy w Gracklstugh - powiedział, choć jego twarde spojrzenie mówiło jej, że nie jest tu wcale mile widziana. - Jestem Horgar Steelshadow. Czego chce ode mnie Kaanyr Vhok?

Wyrobiony towarzysko to on nie jest, pomyślała Aliisza.

Z drugiej strony nie spotkała jeszcze krasnoluda, który miałby dobre maniere. Postanowiła nie owijać niczego w bawełnę i nie tracić czasu na pochlebstwa czy subtelności, ponieważ było jasne, że wszelkie jej wysiłki spełzną na niczym. Ukłoniła się lekko i wyprostowała.

- Kaanyr wysłał mnie, żebym zadała kilka pytań o wydarzenia w Ched Nasad, a może także wybadła kilka innych spraw - odrzekła. Spojrzała na pozostałe szare krasnoludy stojące w pobliżu. - Czy wszyscy tu obecni cieszą się twoim zaufaniem?

Horgar zmarszczył brwi i wymamrotał coś po krasnoludzku. Kilku doradców czy też szlachciców oddaliło się, powracając do swoich obowiązków. Z tyłu zostało dwóch ciężkozbrojnych gwardzistów w czarnych tunikach oraz jeszcze jeden krasnolud o pobliźnionej twarzy, noszący zbroję i płaszcz oznaczony czerwonym symbolem, który wyglądał na jakąś ważną personę.

- Moi gwardziści zostają - oznajmił Horgar, po czym wskazał krasnoluda o twarzy pokrytej bliznami. - To przywódca klanowy Borwald Firehand, marszałek armii Gracklstugh.

Borwald odpowiedział na skinienie głowy Aliiszy wściekłym spojrzeniem. Wzruszyła ramionami i wróciła do rozmowy, postanawiając odpowiedzieć bezpośrednio na bezpośredniość.

- Klan duergarów - Xornbane, czy tak? - zaatakował miasto drowów Ched Nasad, przyspieszając jego upadek. Kaanyr Vhok zastanawia się, czy skłoniłeś ich do tego.

- Klan Xornbane to najemnicy - odpowiedział Borwald. Blizna szpecąca bok jego łysej głowy biegła od kości policzkowej i kończyła się trzy cale za uchem, pozostawiając widoczne wgłębienie. - Bez względu na to, co robili w Ched Nasad, była to sprawa natury handlowej, a nie polityki Podziemnego Królestwa. Powinnaś rozmawiać o tym z nimi.

- Zrobiłabym to, ale trudno odszukać ocalałych - odrzekła Aliisza. - Z tego co wiemy, nie mogli się wydostać z miasta, które sami podpalili. - Znów spojrzała na Horgara Steelshadow i zapytała: - A więc, czy zniszczyli Ched Nasad z twoim błogosławieństwem?

- Z moim błogosławieństwem? - Księżę duergarów zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział: - Nie martwi mnie wcale to, że Miasto Połyskliwych Pajęczyn upadło, ale nie wysłałem tam w tym celu klanu Xornbane. Khorrla Xornbane'a wynajęła jedna z matek opiekunek Ched Nasad, aby pomógł jej zniszczyć dom znajdujący się w hierarchii wyżej od jej własnego. Nie chciałem się mieszać w sprawy Xornbane'ów.

- W takim razie wybrali wyjątkowo złą taktykę. Oddali swojej zleceniodawczyni dymiące zgliszcza, odnosząc przy tym straszliwe straty - zauważyła Aliisza.

- Obawiam się, że miałem w tym swój drobny udział - odezwał się z boku melodyjny głos.

Z cienia kolumny wyłoniła się szczupła postać, niski, zgrabny drow o kocim wdzięku. Był to przystojny mężczyzna, nieskazitelnie odziany w czernie i szarości, noszący przy pasie pasujące do siebie rapier i sztylet.

- W imieniu moich towarzyszy - powiedział przybysz - dostarczyłem oddziałom Khorrla bomby zapalające, które okazały się nad wyraz skuteczne podczas powstania niewolników w Menzoberranzan. Oczywiście nawet nie przyszło mi do głowy, że zniszczą całe Ched Nasad.

Aliisza uniosła brew.

- Nie spodziewałam się znaleźć mrocznego elfa w konfidencji z księciem duergarów.

- Jestem kimś w rodzaju najemnika - odparł elf - który ma za zadanie wprowadzić pewne zmiany w kilku domach Ched Nasad i Menzoberranzan. - Obdarzył ją słabym uśmiechem, który nie sięgał oczu. - Nazywam się Nimor.

- Nimor - powtórzyła Aliisza. - Bez względu na to, jak jest twój cel, w Ched Nasad rzeczywiście udało ci się przeprowadzić pewne zmiany. Jakie masz zamiary względem Menzoberranzan?

Horgar poruszył się niespokojnie i zapytał:

- Dlaczego interesuje to Kaanyra Vhoka?

- Gdybyśmy wiedzieli, że ktoś zamierza zaatakować Ched Nasad, zaproponowalibyśmy mu naszą pomoc - odrzekła Aliisza. - Mój pan zwietrzył w trudnościach mrocznych elfów okazję. Gdyby ktoś rozważał próbę obalenia Menzoberranzan, chętnie wzięlibyśmy współników do tego interesu.

- Wątpię, by nasze królestwo potrzebowało kilku setek hołoty czającej się w porośniętych grzybem ruinach.

Aliisza opanowała ogarniającą ją irytację. Są duergarami, powiedziała sobie, nieokrzesanymi i ordynarnymi. Tacy po prostu są.

- Twoje informacje są trochę nieaktualne - stwierdziła. - Mój pan dowodzi ponad dwoma tysiącami zaprawionych w bojach tanarukków, z których każdy jest silny jak ogr i trzy razy bystrzejszy. Zbudowaliśmy odlewnie i zbrojownie, być może nie tak wspaniałe jak te w Gracklstugh, ale wystarczają, żeby uzbroić naszych żołnierzy. Mamy też oddziały pomocnicze - niedźwieżuki, ogry, olbrzymy i inne stwory - liczniejsze niż nasz legion tanarukków. - Wbiła wzrok w Borwalda i dodała: - Nie dorównujemy siłą Podziemnemu Królestwu, Firehandzie, ale moglibyśmy stawić czoła krasnoludom mającym nad nami dwukrotną przewagę liczebną i stoczyć z nimi zażartą bitwę. Oczerniając Znękany Legion Kaanyra Vhoka narażasz się na niebezpieczeństwo.

- Jestem świadom rosnącej potęgi Kaanyra Vhoka - wymruczał Horgar, szarpiąc brodą. - Mów otwarcie. Czego chce twój pan?

Zero subtelności, stwierdziła z ubolewaniem Aliisza. Kaanyr mógł równie dobrze posłać zamiast niej tępego ogra.

- Kaanyr Vhok chce wiedzieć czy masz zamiar pomaszerować na Menzoberranzan. Jeśli tak, pragnie się do ciebie przyłączyć. Jak już mówiłam, uważam, że Znękany Legion może się okazać cennym sojusznikiem.

- Możemy nie chcieć sojuszu z wami, nawet jeśli rzeczywiście mamy taki zamiar - powiedział Horgar. - Możemy myśleć, że mamy dość sił, aby dostać to, czego chcemy i nie musimy dzielić się zdobyczami.

- Możecie tak myśleć - zgodziła się Aliisza. - Jeśli macie rację, mroczne elfy z Menzoberranzan powinny poszukać sojuszników przeciwko wam. Ciekawe, do kogo mogłyby się zwrócić o pomoc?

- Zgniótłbym Kaanyra Vhoka, gdyby zrobił coś równie głupiego - warknął Horgar. - Wracaj do swojego pana i powiedz mu...

- Chwileczkę, książę Horgarze - odezwał się Nimor, stając pomiędzy duergarem a alu-demonem. - Nie działajmy pochopnie. Powinniśmy starannie przemyśleć posłanie pani Aliiszy, zanim udzielimy jej odpowiedzi.

- Nie ucz mnie, jak dbać o interesy mojego królestwa, drowie! - warknął Horgar.

- Oczywiście, mój książę, ale bardzo chciałbym omówić z tobą szczegółowo tę kwestię. - Nimor odwrócił się do Aliiszy i rzekł: - Zakładam, że zechcesz pozostać tu jako gość księcia, kiedy my będziemy rozmawiać o propozycji twojego pana?

Aliisza tylko się uśmiechnęła. Pozwoliła, by jej wzrok zatrzymał się dłużej na postaci mrocznego elfa. Była pewna, że gdyby miała okazję, przekonałaby go do zalet swojej propozycji, choć wyczuwała, że ten Nimor jest kimś więcej niż wydawał się na pierwszy rzut oka. Niestety, Horgar i jego marszałek Firehand byli mniej podatni na jej wyjątkowe talenty. Mogła poczekać dzień czy dwa, żeby przekonać się czy Nimor zdoła poprzeć jej argumenty.

Książę duergarów przyglądał się jej, rozważając słowa Nimora. W końcu ustąpił.

- Możesz zostać, dopóki nie rozważę twojej oferty. Rozkażę kapitanowi przygotować dla ciebie kwatery. Twoi żołnierze będą musieli pozostać w koszarach obok mojej straży. Nie będą mieli wstępu na zamek.

- Będę potrzebowała służących.

- Dobrze, możesz zatrzymać dwóch, jeśli chcesz. Reszta odchodzi.

Horgar spojrział na koniec sali i skinął ręką. Kapitan podbiegł do niego truchtem.

- Porozmawiamy znowu, kiedy podejmę decyzję - oświadczył.

- W takim razie będę do twojej dyspozycji - odpowiedziała mu, ale mówiąc, patrzyła na Nimora.

* * *

- Dziś nie da rady - powiedział Thummud z klanu Muzgardt do Rylda, Valasa i Coalhewera. Tęgi

duergar stał z drewnianym młotkiem w ręku, ostrożnie zapieczętowując świeżą beczułkę grzybnego piwa.
- Spróbuję jeszcze raz za dzień czy dwa.

Coalhewer zaklął pod nosem, ale dwa pozostałe drowy wymieniły zaniepokojone spojrzenia. Uwadze Rylda nie umknął fakt, że kilkunastu duergarów pracowało ciężko tuż obok miejsca, w którym stał Thummud, a pod fartuchami wielu z nich zauważył błysk żelaza, którego nie sposób było pomylić z niczym innym. Wyglądało na to, że browarnik nie lubi ryzykować.

- To samo mówiłeś wczoraj - powiedział Ryld. - Czas mija.
- To nie mój problem - odparł Thummud. Skończył przybijając wieko i położył młotek na baryłce. - Musicie zaczekać, czy się wam to podoba, czy nie.

Valas westchnął i sięgnął po sakiewkę przy pasie. Potrząsnął nią znacząco i postawił obok.

- Znajdziesz w niej kamienie szlachetne warte dwa razy tyle, na ile się umawialiśmy. - Będą twoje, jeśli zdobędziesz dla nas dzisiaj przepustkę.

Thummud zmrużył oczy.

- Teraz zastanawiam się, co naprawdę chodzi wam po głowach - powiedział wolno. - Nic uczciwego, to pewne.

- Potraktuj to jak osobistą premię - powiedział cicho Ryld. - Twój pan oczekuje dwustu sztuk złota na głowę i dopilnujesz, żeby tyle dostał. Nie musi wiedzieć, że była jakaś nadwyżka, prawda?

- Nie mogę wam niczego obiecać - przyznał Thummud ze wzruszeniem ramion - ale lord wyraził się bardzo jasno. Naraziłbym się staremu Muzgardtowi, gdybym ubił z wami ten interes. Zapłaciłbym za to głowę. - Browarz zastanowił się chwilę i dodał: - Lepiej, żeby to były trzy albo cztery dni. W mieście pełno księżących, nie chcę, żeby zauważyli, jak przychodzicie tu dzień w dzień.

Tęgi krasnolud zarzucił sobie ciężką beczułkę na ramię i odszedł, zostawiając dwóch mrocznych elfów i Coalhewera wśród posępnych pracowników browaru.

- I co teraz? - zapytał Valasa Ryld.

- Radziłbym wam wracać do karczmy i czekać - mruknął Coalhewer. - Nic wam nie przyjdzie ze sterczenia tutaj. Wróćcie za kilka dni.

- Quenthel nie będzie zachwycona - stwierdził Ryld, wciąż zwracając się do zwiadowcy.
Valas mógł tylko wzruszyć ramionami.

Dwa drowy i ich przewodnik opuścili browar Muzgardta, zatopieni we własnych myślach. Maszerowali tak pewien czas, zostawiając browar daleko za sobą.

- Zaczynam się zastanawiać czy nie powinniśmy sami wypisać sobie przepustki - powiedział cicho Valas. - W końcu długo nie będzie nam potrzebna.

- To zły pomysł - stwierdził Coalhewer. - Możecie podrobić pismo, które będzie wyglądało jak trzeba, ale potrzebujecie błogosławieństwa Muzgardta. Jeśli zostanieie zatrzymani, będą chcieli się upewnić czy macie błogosławieństwo lorda. Tego nie otrzymacie, dopóki Muzgardt wam go nie da.

- Szlag by to trafił - wymamrotał Valas.

Ryld zaczął się zastanawiać, co o tym wszystkim myśleć. Albo Coalhewer specjalnie wprowadził ich w ślepią uliczkę, albo trudności z uzyskaniem przepustek nie były udawane. Co do pierwszej możliwości, Ryld nie widział powodów, dla których Coalhewer mógłby chcieć zatrzymać drużynę w Gracklstugh. Być może krasnolud chciał zastawić na nich jakąś pułapkę, ale skoro tak, miał już chyba dość okazji, żeby ich zaskoczyć? Z drugiej strony, jeśli Coalhewer i Thummud nie uknuli wspólnie jakiegoś podstępu, dlaczego książę wybrał akurat moment przybycia drużyny do Gracklstugh, aby ograniczyć swobodę poruszania się obcokrajowców po królestwie?

Ponieważ ma przed nimi coś do ukrycia, to jasne, zdecydował Ryld. Co takiego chciał ukryć przed wzrokiem osób z zewnątrz?

Ryld stanął jak wryty na środku ulicy. Valas i Coalhewer zatrzymali się kilka kroków dalej i odwrócili, patrząc na niego.

- O co chodzi? - zapytał Valas.

- Ty i ja mamy sprawę do załatwienia - oznajmił Ryld, po czym zwrócił się do ich przewodnika: - Przyjdź do gospody jutro rano.

Coalhewer sposepniał.

- Dobrze - powiedział. Duergar odwrócił się i ruszył ulicą, mamrocząc pod nosem: - Nie miejcie do mnie pretensji, jeśli zostanieie aresztowani za to, co chcecie zrobić. Nie wstawię się za wami. Będę na łodzi, gdybyście mnie potrzebowali.

- O co chodzi? - Zapytał Valas, kiedy krasnolud zniknął w ciemnej uliczce.
- *Książę ogranicza swobodę ruchu zagranicznym kupcom i podróżnikom*, - odpowiedział Ryld. - *Nie chce, żeby po świecie rozeszły się wieści. Myślę, że armia Gracklstugh jest gotowa do wymarszu.*
- Valas zamrugął.
- *Tak sądzisz?*
- *Postąpiłbym tak samo* - odparł Ryld. - *Pytanie brzmi, jak się o tym przekonać.*
- Rozejrzał się po ulicy. Jak zwykle każdy szary krasnolud w zasięgu wzroku patrzył na mroczne elfy z nieskrywaną wrogością.
- *Próba potwierdzenia twoich podejrzeń czyni z nas właśnie takie osoby, jakich szukają żołnierze księcia*, - zauważył Valas. Żyłasty zwiadowca zmarszczył brwi, zastanawiając się. - *Co musiałbyś zobaczyć, żeby potwierdzić swoje obawy?*
- *Tabor*, - odpowiedział od razu Ryld. - *Wozy, jaszczury juczne, coś w tym rodzaju. Nie zbierałbyś tego wszystkiego w jednym miejscu, gdybyś nie miał w planie wymarszu. Potrzebowałbyś dużo miejsca.*
- *Zgoda*, - potwierdził Valas.
- Valas zmarszczył brwi i zamyślił się, bezwiednie szarpiąc talizmany i amulety noszone przy ubraniu.
- *Chcesz zaryzykować?* - zamigał.
- Ryld rozejrzał się po ulicy. Thummud dał im dość jasno do zrozumienia, że przez co najmniej kilka najbliższych dni ich sytuacja się nie zmieni, a to nie mogło ucieszyć Quenthel. Jeśli Gracklstugh miało zamiar uderzyć na Menzoberranzan, chciał o tym wiedzieć, zanim krasnoludzka armia wyruszy z miasta. Duergarowie nie byli niewolniczą hołotą, którą wielkie domy mogą zmiażdżyć od niechcenia. Armia Miasta Kling, zamierzająca zaatakować drowy, musiała być duża, silna i zdyscyplinowana, a Ryld nie chciał nawet myśleć, co taka armia może zrobić z jego rodzinnym miastem.
- *Chodźmy*, odparł.
- Valas kiwnął głową i natychmiast ruszył przed siebie. Zamiast skierować się do nabrzeżnej dzielnicy i Zimnej Kuźni, zapuścił się głębiej w miasto, w stronę serca jaskini. Przez pewien czas kluczyli śmierzdzącymi ulicami i ciemnymi zaułkami, mijając kwartały handlowe, gdzie duergarscy rzemieślnicy i kupcy prowadzili sklepy w ściśniętych kamiennych budynkach. Robiło się późno i ruch na ulicach krasnoludzkiego miasta nieco zelżał. Dwa mroczne elfy wyszły wreszcie na ulicę biegnącą wzdłuż długiej rozpadliny czy przepaści oddzielającej wyższe, mniej dostępne dzielnice miasta od walących się nabrzeżnych kwartałów. Nad rozpadliną przerzucono liczne kamienne mosty, łączące wąskie ulice po jednej i po drugiej stronie. Przed każdym mostem stał oddział czujnych duergarskich żołnierzy, zagradzający drogę na drugą stronę rozpadliny.
- Zwiadowca wciągnął Rylda w mrok uliczki i skinieniem głowy wskazał szczelinę i mosty.
- *Bruzda Laduguera*, pokazał na migi. *Zwana też Rozpadliną. Wszystko, co znajduje się po zachodniej stronie, jest zamknięte dla obcokrajowców. Daleko po drugiej stronie znajduje się kilka bocznych jaskiń, dobrze chronionych przed wzrokiem osób postronnych, które mogą służyć za miejsce zbierania się wojsk.*
- Ryld przyjrzał się z namysłem zwiadowcy Bregan D'aerthe, zastanawiając się, skąd wie tak dużo na temat części miasta, która podobno jest zamknięta dla obcych.
- *Rozumiem, że już tu byłeś?* zapytał Ryld.
- *Podróżowałem kilka razy przez Gracklstugh.*
- Ciekawe czy jest takie miejsce, w którym nie był, pomyślał Ryld. Przesunął się, nadal pozostając w cieniu, żeby mieć lepszy widok na strzeżone mosty. Potrafił nie rzucać się w oczy, kiedy było to potrzebne, ale nie podobały mu się te wąskie, pozbawione balustrad kładki. W chwili, w której postawiło się na nich stopę, nie dawały już żadnej osłony.
- *Jak dostaniemy się na drugą stronę?* - zapytał.

* * *

- Valas skończył wiązać węzły i przysunął się bliżej, wkładając jedną stopę w dolną pętlę i przekładając prawe ramię przez najwyższą.
- *Wznosząc się, trzymaj się blisko stalagmitu* - powiedział. - *Potrzebna nam będzie osłona.*
- Ryld kiwnął głową i bezwiednie podniósł rękę, żeby dotknąć insygniów przyczepionych do piersi.

Potwierdzały jego tożsamość mistrza Melee-Magthere i, podobnie jak zapinki oraz brosze wielu szlacheckich domów, umożliwiały lewitację. Valas nie wątpił, że Ryld długo i wytrwale walczył o prawo do ich noszenia.

Magia broszy, zgodnie z jego przewidywaniami, okazała się wystarczająco silna, by unieść ciężar ich obu. Bez żadnego wysiłku wzniesli się w górę, ginąc w dymie i mroku wyższych partii Gracklstugh, aż w końcu opary przesłoniły ulice w dole. Ze szczytu wielkiej jaskini dno wydawało się spowite mgłą i dymem, a w setkach miejsc wszędzie wokół nich żarzące się płomienie tworzyły płonące czerwone kręgi.

- Jest lepiej niż myślałem - stwierdził Valas. - Dym i opary trochę nas osłoniły.

- Ale oczy mi od nich łzawią - powiedział Ryld. Dotarł do sklepienia, które okazało się pełne zagłębień i nierówności. - W którą stronę?

- W prawo. Tak, właśnie tam.

Valas wskazał ruchem podbródka północną ścianę miasta, trzymając stopę i ramię w sporządzonych przez siebie strzemionach ze sznurka. Ryld ostrożnie odwrócił się twarzą do stropu i zaczął się po nim podciągać ręka za ręką, jak gdyby wspinał się po pionowej ścianie. Zwiadowca poruszył się, żeby poprawić się w strzemionach, nie spuszczać oczu z dna jaskini i udzielając fechmistrzowi wskazówek.

- Jeden szary krasnolud władający zaklęciem anulującym dałby nam ostro popalić - zauważył Ryld.

- Nie czujesz się trochę niepewnie?

- Nigdy nie miałem lęku wysokości, ale nie mówmy już o tym, dobrze?

Ryld zachichotał.

Od wielu dni ich podróż nie obfitowała w żadne ciekawe wydarzenia. Wyzwanie, jakim było szpiegowanie w mieście duergarów, zaprzętało ich teraz bez reszty.

- Trochę bardziej w lewo - polecił Valas, otrząsając się z zamyślenia. - Gdzieś tutaj na ścianie jaskini powinna być półka biegnąca w dobrą stronę.

Ryld posłuchał i obaj ostrożnie wrócili do pozycji pionowej, po czym zaczęli się opuszczać wzdłuż obniżającego się sklepienia jaskini, aż dotarli do miejsca, gdzie zaczynało ono opadać pionowo w dół, tworząc ścianę. Tam jaskinię okrążała stara, zwietrzała półka skalna przypominająca okap starej tawerny. Fechmistrz patrzył z powątpiewaniem, ale kiedy się zbliżyli, Valas wyplątał się z węzłów, zeskoczył lekko w dół i przycałił w rozpadlinie jak chudy pająk.

Ryld poszedł w jego ślady, trochę mniej zgrabnie. Ledwie się mieścił, ale na szczęście miał swoje insygnia, na których mógł polegać, gdyby osunął się nagle w dół.

Valas sunął pewnie naprzód szczeliną, która opadała gwałtownie w dół i znikwała za ostrym zakrętem, za którym zaczynała się następna jaskinia.

Gramolący się za nim Ryld zaklął cicho, strącając stopą luźne kamienie, które spadły z grzechotem z urwistej ściany. Kuźnie i młoty Gracklstugh zagłuszyły ich upadek, poza tym wciąż znajdowali się nad Bruzdą Laduguera. Kamienie stoczyły się w przepaść i znikły.

Valas, znajdujący się już na zakręcie, spojrzał przez ramię.

- *Ostrożnie*, pokazał na migi. *Podejdz tu i spojrz.*

Ryld doczołgał się do zwiadowcy i położył na brzuchu, żeby nie spaść z występu. Półka opadała ku bocznej jaskini i gwałtownie skręcała. Ze swojego miejsca sto lub więcej stóp nad ziemią widzieli sporą pieczarę, długą na trzysta, czterysta stóp i mierzącą o połowę mniej wszere. Boczne ściany ociosano tak, by tworzyły koszary mogące pomieścić dużą liczbę żołnierzy, ale dno, otwarte i równe, stanowiło doskonałe miejsce do wojskowej musztry.

Cała jaskinia pełna była wozów i jucznych jaszczurów. Wszędzie uwijały się setki duergarów, mocujących wielkie kosze na plecach gadów, ładujących furgony i przygotowujących maszyny oblężnicze do podróży. Szkodliwe wyziewy miejskich hut nie wystarczały, by ukryć ciężki odór zwierzęcych odchodów. Powietrze wypełniały posykiwania i chrapliwe skrzeki jaszczurów.

Valas zaczął liczyć furgony i zwierzęta juczne, próbując oszacować wielkość sił mających wyruszyć z miasta. Po kilku minutach wreszcie oderwał od nich wzrok.

- Coś pomiędzy dwoma i trzema tysiącami? - zapytał Ryld.

Zwiadowca zmarszczył brwi.

- Myślę, że trochę więcej, może nawet cztery tysiące, ale możliwe, że reszta taborów gromadzi się w pobliskich jaskiniach.

- Czy cokolwiek wskazuje na to, że nie wybierają się do Menzoberranzan ?

- Nie jesteśmy ich jedynymi wrogami. Ale i tak mi się to nie podoba.
- Ja też nie wierzę w zbiegi okoliczności - wyszeptał Ryld. Ostrożnie zaczął się odczołgiwać do tyłu, próbując nie zrzucić więcej kamyków. - Sugerowałbym sprawdzenie innych jaskiń, ale myślę, że i tak zobaczyliśmy więcej, niż życzyliby sobie duergarowie, a nie chciałbym kusić losu. Wracajmy powiedzieć o tym pozostałym.

ROZDZIAŁ 8

- Powinniśmy się stąd wynieść - warknął Jeggred. Białe futro miał umazane czerwonym winem, a pysk uwalany gorącym tłuszczem z pieczonego mięsa rothe. Draegloth źle znosił długie wyczekiwanie i z trudem wytrzymał całe dwa dni zamknięcia w Zimnej Kuźni. - Możemy wymknąć się z miasta, zanim zauważą, że zniknęliśmy.

- Obawiam się, że nie będzie to wcale takie proste - powiedział Ryld. Klęczał przy swoim plecaku, napełniając worki najwolniej psującymi się potrawami z bufetu. Worki wrzucał do zięjącego czernią kręgu leżącego obok niego na ziemi - magicznego otworu, który można było nosić przy sobie, jak gdyby był kawałkiem ciemnego materiału. Można w nim było przechowywać setki funtów ekwipunku i zapasów, choć nic nie ważył. - Może ty tego nie zauważyłeś, ale jestem pewien, że nie tylko ja dostrzegłem szpiegów obserwujących gospodę. Zanim przejdziemy ćwierć mili, otoczą nas duergarscy żołnierze.

- Co z tego? - zapytał draegloth. - Nie boję się żadnych krasnoludów!

- Duergarowie to nie gobliny czy gnolle, zbyt głupie, żeby wykorzystać swoją liczebność, zbyt niezdarne i brutalne, żeby mieć jakieś szanse w pojedynku jeden na jednego. Spotykałem duergarskich szermierzy prawie równie dobrych jak ja. Bez wątpienia skrzyknięto by przeciwko nam kilku takich rębajłów, a wśród duergarów zdarzają się też biegli magowie i klerycy.

- Nie powinniśmy byli wchodzić do krasnoludzkiego miasta - stwierdziła Halisstra. - Co za beznadziejne wycucie czasu.

Pospieszyła założyć pancerz, silnie magiczną kolczugę z godłem domu Melarn na piersi. Zastanawiała się czy nie lepiej będzie poczekać jeszcze kilka dni, żeby osłabić czujność krasnoludów. Z drugiej strony, jeśli będą zwlekać zbyt długo, zawsze istniała szansa, że kupiec, którego zaczarowała, odzyska rozum i zawiadomi o całym zajściu władze. Gdyby po prostu zamordowały obu kupców... ale nie, gdyby zostały przyłapane, już dawno przypłaciłyby to życiem.

Pociągnęła za długą połę kolczugi i poruszyła nią, żeby ułożyła się lepiej na ramionach.

- Mistrzu Argith, kiedy armia duergarów wymaszeruje? - zapytała Halisstra.

- Wkrótce - odparł Ryld. - Nie mogą długo trzymać tyłu jucznych jaszczurów zaprzęgniętych do wozów. Pytanie brzmi, ile czasu minie, zanim będzie można normalnie podróżować. Jeśli spróbujemy ich przeczekać, możemy tu tkwić wiele dni.

- Tkwić albo stracić życie - ostrzegła Danifae.

- Wyruszymy natychmiast - oznajmiła Quenthel, rozstrzygając dyskusję.

Mistrzynie Akademii ubierała się do walki z posępną miną. Żmije przy biczu wiły się z ekscytacji.

- Znowu nasuwa się to samo pytanie: którędy pójdziemy? - spytał Ryld.

Fechmistrz skończył pakować prowiant, podniósł otwór, zwinął go ciasno i wsunął do plecaka.

- Potrafię wrócić tą samą drogą do Mantol-Derith - zaproponował Pharaun - ale trudno będzie się stamtąd ruszyć. Nie znam drogi do Labiryntu, więc wędrowka przez Plan Cieni bez wątpienia oznacza dziwny i niewesoły koniec. Jest was zbyt dużo, żebym mógł teleportować nas wszystkich naraz, więc ta możliwość też raczej odpada, chyba że ktoś ma ochotę tłumaczyć się krasnoludom z nagłego zniknięcia reszty drużyny.

- A czar ukrywający naszą prawdziwą tożsamość? - zapytał Ryld.

- Niestety - odrzekł czarodziej - szare krasnoludy są bardzo odporne na iluzje wszelkiego rodzaju.

- Gdyby tylko przejrzały iluzję i zobaczyły grupę mrocznych elfów... - dodała Halisstra.

- Najlepiej będzie uczynić nas wszystkich niewidzialnymi - zdecydował mistrz Sorcere. - Tak, to będzie najlepsze rozwiązanie tej łamigłówki. Przypomina mi to trochę...

- Dość tego - Quenthel poruszyła się na krześle i zwróciła do Valasa: - Czy musimy wyruszyć do Labiryntu stąd, czy będziesz potrafił znaleźć drogę wokół Gracklstugh, jeśli trochę się cofniemy?

- Okrążenie miasta zajmie kilka kolejnych dni - odpowiedział zwiadowca - ale przeprowadzę was przez granice Gracklstugh.

- Doskonale - rzekła Quenthel. - Wrócimy na nabrzeże i skorzystamy z łodzi Coalhewera. To najprostszy sposób na wydostanie się z miasta i o ile się nie mylę, brzeg Zammiora będzie gorzej strzeżony niż tunele. Czy wszyscy są uzbrojeni? - Omiotła wszystkich wzrokiem. Nikt nie prosił o więcej czasu, więc kapłanka Baenre skinęła głową z aprobatą i zwróciła się do Pharauna: - Co musimy zrobić, żeby zakłęcie zadziało?

- Złapcie się za ręce i trzymajcie blisko mnie - polecił Pharaun - ale jeśli się oddalicie, niestety staniecie się widzialni. Nie będę odpowiedzialny za żadne trudności, które z tego wynikną.

W pełnym rynsztunku, z plecakami zarzuconymi na plecy, wszyscy oprócz Valasa złapali się za ręce i czekali. Mistrz Sorcere, stojący w środku, wysyczał kilka dźwięcznych słów i wykonał dłońmi magiczne gesty. Wszyscy zniknęli. Halisstra czuła dłoń Danifae na swoim lewym ramieniu, a sama prawą ręką ścisnęła kirys Rylda, ale w pokoju widziała tylko Valasa.

- Czy jesteś gotowy, mistrzu Hune? - zapytał niewidzialny Pharaun.

Valas skinął lekko głową. Był ubrany w swój najlepszy strój, koszulę z jedwabiu przedzionego przez pająki, prostą kamizelę kolczą i ciemne spodnie. Piwafwi przerzucił w zawiadacki sposób przez jedno ramię. Kilka odznak i talizmanów przyczepionych tu i ówdzie do ubrania - osłony i amulety pół tuzina innych ras - stanowiły dopełnienie jego stroju.

- Postoję jeszcze chwilę na dziedzińcu. Postarajcie się szybko opuścić gospodę. Będę wzbudzał mniej podejrzeń, jeśli nie pozostanę tam zbyt długo. Dołączę do was na łodzi Coalhewera za dziesięć minut.

- Będziesz śledzony - zauważył Ryld.

Valas Hune wyglądał na szczerze urażonego.

- Nikt żywy nie jest w stanie mnie śledzić, kiedy ja sobie tego nie życzę - rzekł.

Valas wyszedł na dziedziniec, otwierając z rozmachem drzwi ich pokoju, po czym przeciągnął się leniwie. Halisstra poczuła, że Ryld rusza naprzód i zrobiła to samo, następując mu prawie na pięty. Na karku czuła ciepły oddech Danifae.

Zwiadowca Bregan D'aerthe wyszedł przez bramę gospody i skręcił w lewo ku centrum miasta, a Halisstra i pozostali, zataczając niezdarny okrąg, ruszyli w prawo, z powrotem do przystani. Ulice nie były wyludnione, ale nie było też na nich tłoczno. Większość duergarów wróciła już do swoich brudnych domostw po długim dniu spędzonym w miejskich hutach i odlewniach. Gdyby towarzysze musieli uciekać na początku albo pod koniec dnia pracy, zdradzić ich mógł zwykły przypadek - zajęty krasnolud wpadający na ich, przemykający się ulicą, niewidzialny łańcuch.

Halisstra zaryzykowała rzut oka przez ramię na Valasa, który szedł szybkim krokiem w przeciwnym kierunku, sprawiając wrażenie lekko zaniepokojonego. Było to lepsze niż całkowita nonszalancja, która w miejscu takim jak Gracklstugh byłaby zupełnie nie na miejscu. Zauważyła też krasnoludzkiego tragarza, który, gdy zwiadowca go mijał, zarzucił sobie na ramię baryłkę brandy i ruszył za nim. Z pozoru zwykły robotnik zatrudniony do przenoszenia towarów z jednej części miasta do drugiej. Valas nie mógł go przeoczyć, uznała. Najemnik był zbyt spostrzegawczy, żeby przegapić szpiega.

Choć Halisstra spodziewała się w każdej chwili usłyszeć wrzawę podniesioną przez ukrytych obserwatorów, nikt nie zatrzymywał ich, dopóki nie dotarli do portu. Kiedy biegli przez kamienne nabrzeże w stronę przycumowanych przy nim dziwacznych łodzi, ku jej zaskoczeniu Ryld zatrzymał się nagle jak wryty. Halisstra weszła na niego, zanim zauważyła, że stanął. Danifae wpadła na nią i cała kolumna przystanęła.

- Mamy kłopoty - wyszeptał Pharaun. - Zza rogu następnej przecznicy wyszedł właśnie patrol duergarów w barwach księcia. Też jest niewidzialny, a w naszą stronę prowadzi ich krasnolud wyglądający mi na czarodzieja.

- Widzą nas? - huknął Jeggred. - Co z ciebie za pożytek, magu?

- Istnieją zaklęcia pozwalające widzieć to, co niewidzialne - odrzekł Pharaun. - Właśnie takiego używam, dzięki czemu widzę strażników, choć wy ich nie widzicie. Nasuwa się pytanie, jaki jest pożytek z w...

- Hej, wy tam! Rozproście wasz czar i odłóżcie broń! - zawołał dowódca krasnoludzkiego patrolu. Na spokojnej ulicy rozległ się szcęk broni, choć Halisstra nadal nie widziała żadnych duergarów. - Jesteście aresztowani!

- Jeggred, Ryld, Pharaun - zajmijcie się nimi - rozkazała Quenthel. - Danifae, Halisstra, zostajecie ze mną.

Pomknęła wzdłuż nabrzeża, odzyskując widzialność w chwili, w której znalazła się poza zasięgiem magicznego wpływu Pharauna. Jeggred i Ryld rzucili się w przeciwnym kierunku.

W rękę fechmistrza pojawił się jak za sprawą zaklęcia Rozpruwacz. Pharaun wykrzyczał krótką frazę, która sprawiła, że powietrze nabrzeża zadrgało i chwilę później fala światła omyła przeciwny

koniec ulicy, ukazując uzbrojonych duergarów. Mistrz Sorcere rzucił natychmiast następny czar i sam stał się widzialny, gdy skierował czarny promień w czarodzieja stojącego pomiędzy żołnierzami. Purpurowa lanca trafiła krasnoludzkiego maga w środek piersi i wrogi mag zwałił się na ziemię jak marionetka, której odcięto sznurki.

- Następnym razem najpierw atakujcie, a potem rzucajcie wyzwania - zaszydził Pharaun. Zaczął rzucać kolejny czar, a draegloth i fechmistrz wpadli w szeregi nieprzyjaciela, rąbiąc i siekąc z zapamiętaniem.

Halisstra pobiegła za Quenthel wzdłuż nabrzeża i zeskoczyła na łódź Coalhewera. Ogromne nieumarłe szkielety stały nieruchomo w swoim zagłębieniu na środku kadłuba niczym bezwładne maszyny czekające na rozkaz. Śpiący pod mostkiem szmugler poruszył się i usiadł na cienkim pościeliu, chwytając za ręczny toporek leżący tuż obok.

- Kto to? - ryknął, podnosząc się z ziemi. - Dlaczego...?

Urwał, obalony na pokład kopniakiem Quenthel, której but wyrznął go w środek piersi.

Baenre uniosła bicz, żeby z nim skończyć, ale Halisstra zawołała:

- Zaczekaj! Może być nam potrzebny do uruchomienia łodzi.

- Uwierzyłaś w tę jego opowieść? - zapytała Quenthel, nie odrywając oczu od krasnoluda. - To jasne, że chciał, żebyśmy wierzyli, że jest nam potrzebny do sterowania łodzią.

- Być może, ale nie możemy teraz ryzykować - powiedziała Halisstra. - Wyszlibyśmy na głupców, gdybyśmy przebili się przez patrol książęcych żołnierzy i nie potrafili opuścić nabrzeża.

- Popadliście w książęcą niełaskę, co? - zadrwił Coalhewer. Wstał powoli i uśmiechnął się dziko. Nagły rozbłysk błyskawicy i huk gromu na końcu przystani obwieścił przybycie posiłków. - Jeśli mnie zabijecie, nie uda wam się uciec. Jestem ciekawy, ile mi zapłacicie za zabranie was stąd?

Quenthel zjeżyła się i byłaby uśmierciła go na miejscu, ale Halisstra stanęła pomiędzy nimi.

- Jeśli nas tu złapią - powiedziała kapłanka Melarn - uczynimy cię współwinnym wszystkich zarzutów, jakie zostaną nam postawione, krasnoludzie. A teraz odbijaj.

Coalhewer wpatrywał się w trzy mroczne elfki z twarzą wykrzywioną wściekłością.

- Potraktowałem was uczciwie i co mnie spotyka? - warknął. - Nie powinienem był się z wami zadawać!

Obrócił się, żeby odrzucić liny mocujące makabryczną łódź do nabrzeża, wydając krótkie rozkazy ogromnym szkieletom pośrodku pokładu.

Quenthel popatrzyła na Halisstrę zmrużonymi oczyma i zapytała:

- Po co oszczędzać krasnoluda? Wiesz, że kłamie.

Halisstra wzruszyła ramionami.

- Zawsze możesz zabić go później, jeśli będziesz miała ochotę.

Kiedy koła łopatkowe po bokach łodzi zaczęły się obracać, Ryld i Jeggred dobiegli do nich i zeskoczyli na pokład. Pazury półdemonów i Rozpruwacz ociekały krwią. Pharaun dołączył do nich chwilę później, zamknawszy koniec nabrzeża ścianą ryczących płomieni broniących żołnierzom dostęp.

- Długo ich to nie powstrzyma, to pewne - oświadczył czarodziej. - Mają tam trzech albo czterech magów, którzy wkrótce ugaszą ogień. Uciekajmy stąd, zanim zaczną ciskać zaklęciami w naszą krypcę.

Ryld przyglądał się ścianie ognia na końcu kei z chmurną miną.

- Zdajesz sobie sprawę, że w ten sposób odciąłeś Valasowi drogę ucieczki - wycodził, zgrzytając zębami. - Potrzebujemy go, Pharaunie. Nie możemy go tu zostawić.

- Pochlebiasz mi, mistrzu Argith.

Z cienia rufy wyłonił się Valas poprawiający piwafwi.

- Skąd, na piekła Lolth, się tu wzięłeś? - zapytał fechmistrz, mrugając i przecierając oczy.

- Wszedłem na pokład zaraz za trzema damami - wyjaśnił zwiadowca. Spojrzał po towarzyszach, delektując się nieskrywanym zdumieniem na ich twarzach, po czym skłonił się lekko i machnął lekceważąco ręką. - Jak już mówiłem, niełatwo mnie śledzić ani namierzyć, kiedy sobie tego nic życzę. Poza tym odniosłem wrażenie, że wasza trójka poradzi sobie z żołnierzami księcia bez mojej pomocy.

Mistrz Melee-Magthere prychnął i włożył Rozpruwacza do pochwy na plecach. Odwrócił się w stronę nabrzeża, które zniknęło szybko w ciemnościach. Wzdłuż nabrzeża nadal błyskały płomienie, oświetlając przedziwne sylwetki krasnoludzkich łodzi, których załogi wyroiły się na pokładach, wykrzykując rozkazy i wypełniając polecenia książęcych żołnierzy.

- Mam nadzieję, że nasza łódź jest szybsza od ich łodzi - powiedział Ryld.

- Nie ma się czym martwić - zawołał Coalhewer z mostka. - To najszybsza łódź na Mrocznym Zammiorze. Żadna z tych barek nie jest nas w stanie dogonić.

Wydał jeszcze jeden rozkaz ogromnym szkieletem napędzającym łódź i nieumarłe potwory zdwoiły wysiłki, obracając wały korbowe coraz szybciej i szybciej, aż pod kołami zakipiła biała piana. Miasto duergarów zniknęło w ciemnościach za nimi. O jego istnieniu świadczył tylko czerwony poblask na sklepieniu jaskini.

- Sytuacja bardzo się skomplikowała - zastanawiała się na głos Quenthel. - Ostatnią rzeczą, jakiej trzeba teraz Menzoberranzan, jest wojna z duergarami.

- Zmieniamy kurs? - zapytał Ryld. - Trzeba ostrzec Menzoberranzan przed armią duergarów. Mistrzynie Arach-Tinilith zamyśliła się na chwilę.

- Nie. To, co robimy, jest ważniejsze, a jeśli się nie mylę, Pharaun potrafi ostrzec arcymaga. Czyż nie tak, czarodzieju?

Mistrz Sorcere uśmiechnął się tylko i rozłożył ramiona.

* * *

Ciche kroki Nimora idącego przez książęcą twierdzę odbijały się echem w pustych korytarzach. Co jakiś czas mijał dwójki posępnych strażników w ciężkich zbrojach i z halabardami w garści i zastanawiał się czy kiedykolwiek nudzi im się patrzeć na nagie kamienne ściany podczas pełnienia obowiązków.

Najprawdopodobniej nie, uznał. Duergarowie byli po prostu zupełnie nieczuli na tego typu sprawy.

W dłoni trzymał małą kopertę, którą przekładał z roztargnieniem między palcami. Pani Aliisza z Dworu Dzierżącego Berło (najbardziej pomysłowy tytuł, jaki Nimor kiedykolwiek słyszał) zaprosiła go na kolację do swoich komnat, dodając, że szare krasnoludy jeszcze nie zaprosiły jej na żaden bankiet ani kolację. Nimor nie łudził się, że towarzystwo przy kolacji jest jedyną rzeczą, jaką Aliisza ma w planach. Dotarłszy do pokoi przyznanych wysłanniczce Dzierżącego Berło, włożył zaproszenie z powrotem do kieszonki na piersi i zastukał dwa razy do drzwi.

- Proszę - zawołał łagodny głos.

Nimor wszedł do środka. Aliisza czekała za stołem zastawionym nader wystawnym posiłkiem, którego dopełnienie stanowiła butelka wina ze Świata Ponad i dwa napelnione już kieliszki. Aliisza miała na sobie lejącą spódnicę z czerwonego jedwabiu i ciasny gorset obszyty czarną koronką. Kolory te pasowały do jej urody, zauważył, a nawet do jej miękkich czarnych skrzydeł.

- Pani Aliiszo - powiedział, kłaniając się - schlebiasz mi. Jestem pewien, że posiłek nie pochodzi z kuchni księcia.

- Ilość wędzonego sera rothe i chleba z czarnej mąki, jaką można zjeść, ma swoje granice - odparła. Wzięła w dłoń kieliszki z winem i podeszła bliżej, żeby podać mu jeden z nich. - Przyznaję, moja świta przeczesła miasto w poszukiwaniu gospód i tawern gotowych dostarczyć posiłek godny podniebienia elfa.

Nimor odebrał kieliszek i zakołysał nim, podnosząc go, aby powąchać. Pozwoliło mu to nie tylko docenić bukiet wina, ale też sprawdzić czy nie zostało ono zatrute jedną ze znanych mu subtelných trucizn. Otruć go byłoby i tak trudno, ale nie wyczuł żadnych dziwnych zapachów.

- Jestem ci winien podziękowanie, droga pani. Ostatnio wiele podróżowałem i musiałem zadowalać się bardzo skromnymi posiłkami.

Sącząc własne wino, Aliisza, skinięciem głowy, wskazała stół.

- W takim razie czemu nie kontynuować rozmowy przy jedzeniu?

Nimor zajął miejsce naprzeciw półdemonowi i zaczął jeść. Jedną z konsekwencji jego prawdziwej natury była zaskakująca zdolność jedzenia znacznie więcej niż można by się spodziewać po mrocznym elfie jego drobnej budowy i umiejętności znoszenia długich przerw między posiłkami. Pieczeń z rothe w sosie grzybowym była w środku ciepła, krwista i bardzo smaczna, małe ślepe rybki nieco za słone, jak na jego gust, a wino, wytrawne i mocne, świetnie podkreślało smak pieczeni.

- A więc, czemu zawdzięczam tę przyjemność? - zapytał między kęsami.

- Zaintrygowałaś mnie, Nimorze Imphraezlu. Chcę dowiedzieć się kim jesteś i czyje interesy reprezentujesz.

- Kim jestem? Podałem ci moje prawdziwe imię - odparł Nimor.
- Nie taką odpowiedź miałam na myśli - Aliisza pochyliła się do przodu, nie odrywając od niego wzroku. - Miałam na myśli to, komu służysz. Co tutaj robisz?
Nimor poczuł lekkie trzepotanie na granicy myśli, jak gdyby próbował sobie przypomnieć coś, co chwilowo uleciało mu z pamięci. Oparł się wygodnie na krzesło i uśmiechnął do alu-demonu.
- Mam nadzieję, że mi wybaczysz, droga pani, ale niedawno prowadziłem rozmowę, podczas której mój rozmówca potrafił czytać mi w myślach, więc dziś wieczór zabezpieczyłem się na podobną ewentualność. Nie odczytasz odpowiedzi z mojego umysłu.
Aliisza zmarszczyła brwi.
- Teraz zastanawiam się, jakie to myśli musisz tak skrzętnie ukrywać, Nimorze. Obawiasz się, że nie spodobałoby mi się to, co bym odkryła?
- Wszyscy mamy swoje sekrety. - Nimor zakołysał kieliszkiem, delektując się znów bukietem wina. Nie miał, rzecz jasna, zamiaru zdradzać jej całej prawdy, ale to, co planował powiedzieć, nosiło w tych okolicznościach znamiona prawdy. - Należę do pomniejszego domu w Menzoberranzan, domu o niecodziennych zwyczajach nieaprobowanych przez matki opiekunki - zaczął. - Między innymi nie podporządkowujemy się tyranii naszych czczących Lolth krewniaczek i łączą nas od dawna silne więzy z pomniejszymi domami o podobnych zwyczajach w kilku innych miastach. Podajemy się za nisko postawionych kupców, ale naszą prawdziwą naturę i umiejętności utrzymujemy w tajemnicy.
- Umiejętności?
- Jesteśmy skrytobójcami, pani, i jesteśmy bardzo dobrzy w tym, co robimy.
Aliisza nachyliła się do przodu i oparła delikatny podbródek na dłoni, badając Nimora swym ciemnym, szelmowskim spojrzeniem.
- Więc co skrytobójca z Menzoberranzan robi w Gracklstugh, doradzając Horgarowi Steelshadow, który szykuje swoje wojska do wojny? - zapytała. - Czy nie jest to najohydniejszy rodzaj zdrady?
Nimor wzruszył ramionami i odparł:
- Chcemy obalić istniejący porządek. Nie jesteśmy w stanie pokonać wielkich domów naszego miasta bez wojska, a Gracklstugh ma najsilniejszą armię w tej części Podmroku. Gdy tylko stało się jasne, że Lolth opuściła swoje kapłanki, uświadomiliśmy sobie, że mamy niepowtarzalną okazję zadać wielkim domom śmiertelny cios. Robimy wszystko, co w naszej mocy, aby Horgar zrozumiał, że nasza szansa jest jego szansą.
- Nie boisz się, że duergarowie nie zechcą opuścić miasta drowów, kiedy już je podbiją?
- Oczywiście - powiedział Nimor - ale szczerze mówiąc, zależy nam na upadku domów Pajęczej Królowej do tego stopnia, że gotowi jesteśmy zaryzykować zdradę krasnoludów. Nawet gdyby Gracklstugh zwróciło się przeciwko mojemu domowi i okupowało Menzoberranzan przez sto lat i tak przetrwamy, i w swoim czasie odzyskamy miasto.
Aliisza wstała z gracją i podeszła do wąskiego, przypominającego szparę okna wychodzącego na miasto.
- Naprawdę sądzisz, że Pajęcza Królowa pozwoli swojemu miastu upaść? Jak skończy się atak szarych krasnoludów, jeśli kapłanki Lolth nagle odzyskają swą moc?
- Jesteśmy długowieczną rasą, pani. Mój dziad oglądał na własne oczy wydarzenia mające miejsce tysiąc lat temu. Nie zapominamy przeszłości jak inne rasy. We wszystkich naszych legendach, przy całej naszej wiedzy, nigdy nie spotkaliśmy się z milczeniem tak całkowitym i długotrwałym. Nawet jeśli ono również okaże się tymczasowe, cóż, dostarcza nam okazji, jaka zdarza się tylko raz na kilka tysięcy lat, nieprawdaż? Jak moglibyśmy nie uderzyć w takiej chwili?
- Może masz rację. Rozmawiałam już z innymi drowami, które również uważają, że to niezwykła i niemająca precedensu sytuacja. - Aliisza spojrzała na niego przez ramię i dodała: - W Ched Nasad zetknęłam się z misją wysoko postawionych Menzoberranzańczyków, którzy przybyli tam w nadziei, że uda im się odkryć przyczyny milczenia Lolth. Przewodziła im Quenthel Baenre, mistrzyni Arach-Tinilith.
- Słyszałem o misji pani Quenthel. A więc udało im się dotrzeć do Ched Nasad?
- Po przejściu przez terytorium Kaanyra Vhoka, tak. Dotarli tam w samą porę, by być świadkami upadku miasta.
- Czy ktokolwiek z nich przeżył?
Aliisza wzruszyła ramionami.
- Nie jestem pewna. To nie była drużyna zwykłych rębajłów. Jeśli komukolwiek udało się uciec z

walącego się miasta, to właśnie im.

Nimor zastukał palcem w stół, zastanawiając się. Czyżby misja Quenthel miała jakieś znaczenie? Nimor uznał, że matki opiekunki postanowiły pozbyć się na jakiś czas z miasta mistrzyni Arach-Tinilith, na wypadek gdyby miała jakieś niebezpieczne aspiracje. A jednak drużyna stanowiła dziką kartę, nieznaną czynnik, który bractwo Jazred Chaulssin powinno wziąć pod uwagę. Drużyna potężnych mrocznych elfów przemierzająca Podmrok mogła spowodować różne problemy.

- Czy znaleźli jakieś odpowiedzi na swoje pytania? - zapytał.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odpowiedziała Aliisza. Odwróciła się od okna i wróciła do stołu, po czym zmieniła temat. - Odniosłam wrażenie, że bardzo zależy ci na przekonaniu księcia do mojej sprawy. Mogę zapytać dlaczego?

Skrytobójca poruszył się na krześle i odchylił na oparcie, wbijając w nią wzrok.

- Mówiliśmy już o tym - rzekł. - Albo Gracklstugh jest wystarczająco silne, by pokonać Menzoberranzan, albo nie. Jeśli nie, wówczas Znękany Legion Kaanyra Vhoka może przeważać szalę zwycięstwa na naszą stronę. Jeśli jest wystarczająco silne, Znękany Legion może służyć do temperowania zapędów Horgara. Nie chcielibyśmy, żeby książę zapomniał o szczegółach naszej umowy.

- A dlaczego Znękany Legion miałby wam służyć za armię?

- Ponieważ Horgar nie sprzymierzy się z wami, jeśli nie przekonam go, że lepiej, żeby tanarukowie Kaanyra Vhoka walczyli u jego boku, niż atakowali go z flanki - odrzekł Nimor. - Poza tym twój pan nie chce siedzieć w domu, kiedy ważyć się będą losy Menzoberranzan. Wysłał cię tu, żebyś skłoniła duergarów do ataku na Menzoberranzan, nieprawdaż?

Aliisza ukryła uśmiech, pociągając łyk wina.

- Tak, masz rację - przyznała. - A więc poprosisz duergarów, żeby przyjęli naszą pomoc?

Skrytobójca przyglądał się alu-demonowi, rozważając pytanie. Agrach Dyrr był użytecznym sojusznikiem, ale wątpił, by piąty dom Menzoberranzan miał dość sił, aby odeprzeć atak armii Horgara, gdyby zaszła taka konieczność. Kolejna siła na polu bitwy zwiększała szanse Jazred Chaulssin, a przy trzech frakcjach zawsze istniała możliwość związania dwóch przeciwko trzeciej w takiej konfiguracji, która służyłaby celom bractwa. W ekstremalnym przypadku Jazred Chaulssin mogło zaangażować w walkę własne siły, ale nie były one liczne, a zawsze lepiej wyczerpać najpierw zasoby sojusznika niż własne.

- Sądzę - powiedział w końcu - że Horgar nie będzie miał szans odmówić przyjęcia twojej pomocy. Czy znasz miejsce zwane Słupami Żalu?

Aliisza zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

- To wąwóz pomiędzy Gracklstugh a Menzoberranzan - rzekł Nimor - miejsce, wobec którego mam wielkie plany. Jestem pewien, że niektórzy zwiadowcy Kaanyra Vhoka wiedzą, gdzie to jest, a ja dopilnuję, żebyś je odnalazła. Wracaj do Kaanyra Vhoka i spraw, by jak najszybciej doprowadził Znękany Legion pod Słupy Żalu. Będziesz miała swoją szansę wziąć udział w zniszczeniu Menzoberranzan. Jeśli książę wykaże się całkowitym brakiem rozsądku, będziesz miała jeszcze inne możliwości, ale uważam, że Horgar przyjmie twoją pomoc, kiedy natknie się na twoje siły w polu.

- Brzmi ryzykownie.

- Ryzyko jest ceną okazji, pani. Nie da się go uniknąć.

Aliisza mierzyła go ciemnym spojrzeniem.

- Dobrze - powiedziała - ale ostrzegam, że Kaanyr będzie na mnie wściekły, jeśli przeze mnie wyprowadzi swoją armię na jakieś pustkowia Podmroku i ominie go cała zabawa.

- Nie zawiodę cię - obiecał Nimor. Pociągnął duży łyk wina i odsunął się z krzesłem od stołu. - Wygląda na to, że dobiliśmy targu, pani Aliiszo. Dziękuję za wyśmienitą kolację i miłe towarzystwo.

- Tak prędko wychodzisz? - zapytała Aliisza i nadąsała się nieco.

Przysunęła się bliżej, w jej oczach zapłonęły figlarne ogniki i Nimor przyłapał się na tym, że wodzi wzrokiem po jej zmysłowych krągłościach. Pochyliła się, kładąc ręce na podłokietnikach fotela i owinęła go skrzydłami. Z wdziękiem pochyliła się jeszcze niżej, aby skubnąć ustami płatek jego ucha, przyciskając się do niego swoim miękkim, gorącym ciałem.

- Skoro skończyliśmy rozmawiać o interesach, Nimorze Imphraezlu, nadszedł czas na przyjemności - wyszeptała mu do ucha.

Nimor wciągnął w nozdrza rozkoszny zapach jej perfum, a jego ręce zaczęły błądzić po jej ciele, gładząc biodra i przyciągając ją jeszcze bliżej.

- Skoro nalegasz - wymruczał, całując zagłębienie jej szyi.
Zadrżała mu w ramionach, a on sięgnął ku sznurówkom gorsetu.

* * *

Toporne koła łopatkowe po bokach łodzi Coalhewera klekotały głośno w ciemnościach, burząc czarną wodę i zostawiając za sobą smugi białej piany. Wielkie szkielety w zagłębieniu na środku pokładu pochylały się i wstawały, pochylały i wstawały, z dłońmi zaciśniętymi na korbach wprawiających koła w ruch. Zawzięcie, niezmordowanie, wykonywały swoją bezrozumną pracę, zmuszane do niej przez nekromantyczną magię, która ożywiła je lata, a może dziesięciolecia temu. Halisstra nie знаła się na żegludze, ale wydawało jej się, że łódź Coalhewera utrzymuje tempo, któremu trudno będzie dorównać. Zaryzykowała rzut oka przez ramię, żeby sprawdzić, czy jej towarzysze nie zauważyli żadnych oznak pościgu. Ryld, Jeggred i Pharaun stali razem na rufie, obserwując, co się dzieje z tyłu. Quenthel siedziała na wielkiej skrzyni tuż pod przypominającym szafot mostkiem, również spoglądając w kierunku Gracklstugh. Valas stał na mostku obok Coalhewera, pilnując, żeby duergarski kapitan utrzymywał niezgrabną łódź na pożądanym kursie.

Halisstra i Danifae stały na oku, wypatrując przeszkód, na które mogli się wpakować. Halisstra nie kwestionowała takiego podziału ról. Mężczyzn najlepiej było ustawić pomiędzy resztą drużyny a ewentualnym zagrożeniem, zaś Pharaun był prawdopodobnie ich najlepszą bronią na wypadek pościgu z Gracklstugh.

Miasto przestało już być widoczne, na horyzoncie rysowała się tylko długa, czerwona smuga. Na otwartej przestrzeni czarnych wód Mrocznego Zammiora płomienie krasnoludzkich kuźni widać było z odległości wielu mil, co przypominało Halisstrze o nienaturalnie dobrej widoczności w Świecie Ponad. Przez parę godzin płynęli na południowy-wschód od nadbrzeża Gracklstugh, nie zauważając żadnych oznak pogoni, ale Halisstra nie mogła pozbyć się wrażenia, że jeszcze nie wymknęli się duergarom. Niechętnie podjęła obserwację bezkresnego mroku rozpościerającego się przed łodzią i sprawdziła czy kusza jest gotowa do strzału.

Halisstra uważnie zbadła swoją połowę horyzontu, zaczynając od wód tuż przed dziobem i wybiegając spojrzeniem coraz dalej, aż w końcu nawet jej drowie oczy nie były w stanie rozróżnić niczego w ciemnościach, po czym znów spojrzała na dziób i zaczęła od nowa. Co jakiś czas ze stropu jaskini opadały w dół wielkie stalaktyty lub kolumny i zanurzały się w atramentowo czarnej wodzie, tworząc olbrzymie kamienne słupy, które łódź musiała omijać. Gdzie indziej poszarpane szczyty stalagmitów wystawały nad powierzchnię niczym włócznie. Coalhewer opływał je szerokim łukiem, tłumacząc, że przy każdej skale wyłaniającej się z Zammiora mogły się znajdować pod wodą dwie kolejne.

Nie mogę uwierzyć, że kulę się na pokładzie krasnoludzkiej łodzi, uciekając z miasta, którego jeszcze trzy dni temu nie widziałam na oczy - wymamrotała Halisstra, przerywając długą ciszę. - Trzy tygodnie temu byłam spadkobierczynią wielkiego domu w szlachetnym mieście. Dziesięć dni temu zostałam więźniarką, zdradzoną przez małostkowość Faeryl Zuavirr, a teraz jestem bezdomną włóczęgą, która ma tylko zbroję na grzbiecie i kilka drobiazgów w plecaku. Nie mogę tylko pojąć, dlaczego.

- Odmiana losu nie jest dla mnie niczym obcym - odezwała się Danifae. - Jaki sens ma dochodzenie przyczyn? Taka jest wola Pajęczej Królowej.

- Czyżby? - zapytała Halisstra. - Dom Melarn trwał od dwudziestu wieków albo dłużej; tylko po to, by upaść, kiedy cała nasza rasa popadła w niełaskę Lolth. Tylko pod jej nieobecność nasi wrogowie mogli nas pokonać.

Danifae nie odpowiedziała, zresztą Halisstra wcale tego nie oczekiwała. Wypowiedziana myśl była niebezpiecznie bliska herezji. Sugerować, że coś wydarzyło się wbrew woli Lolth, oznaczało wątpić w potęgę Pajęczej Królowej i kwestionować jej moc skazywania niewiernych słabeuszy na śmierć i potępienie. Los czekający niewiernych w życiu pozagrobowym był zbyt straszny, by ośmielała się o nim myśleć. Jeśli Lolth nie zabrała duszy wyznawcy do swej boskiej siedziby pośród Pajęczyny Demonów, dusza drowa była skazana na ból i zapomnienie na jałowych pustkowiach, gdzie sądzeni byli najróżniejsi umarli. Tylko nabożny szacunek i idealna służba mogły skłonić Mroczną Królową do wstawienia się za nieszczęśnikiem i obdarzenia go życiem po śmierci, wieczną egzystencją wśród boskich zastępów Lolth. Oczywiście, myślała Halisstra, jeśli Lolth nie żyje, potępienie i zapomnienie stają się nieuniknione,

nieprawdą?

Poblądła na tę myśl i zadrżała z przerażenia, wstała więc szybko i odeszła od mostka, aby ukryć twarz przed pozostałymi.

Nie wolno mi tak myśleć, powiedziała sobie. Lepiej oczyścić umysł z wszelkich myśli, niż popełnić błuznierstwo.

Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech, starając się odegnać od siebie targające nią wątpliwości.

- Mamy kłopoty - oznajmił Ryld stojący na tyłach pokładu. Fechmistrz ukląkł i wbił wzrok w ciemność za łodzią. - Trzy łodzie, podobne do tej.

- Widzę je - powiedział Pharaun. Spojrzał na mostek. - Panie Coalhewer, wydawało mi się, iż twierdziłeś, że to najszybsza łódź na Mrocznym Zammiorze. Rozumiem, że trochę przesadziłeś?

Krasnolud skrzywił się w ciemności.

- Aż do dziś żadna mnie jeszcze nie przegoniła, więc skąd miałem wiedzieć, że jest inaczej?

Rzucił plugawą wiązką przekleństw i zaczął chodzić z jednego końca mostka na drugi, nie odrywając oczu od ścigających ich łodzi.

- Skracają dystans dosyć wolno - zauważyła Quenthel po dłuższej chwili. - Dogonienie nas zajmie im trochę czasu.

Halisstra odwróciła się i przedostała za mostek, żeby spojrzeć wstecz. Ledwie widziała ścigające ich łodzie. Płynęły w odległości strzału z łuku, czarne zjawy odcinające się niewyraźnie na tle gasnącej czerwonej smugi miasta. Na dziobie każdej z nich migotały białą rozbryzgi piany.

Podniosła wzrok na duergara i zapytała:

- Nie możemy płynąć szybciej?

Coalhewer zaburczał i machnął ręką w stronę szkieletów napędzających łódź.

- Kazałem im pracować najszybciej jak potrafią - powiedział. - Moglibyśmy wyrzucić coś za burtę, ale trudno powiedzieć, czy coś by to dało.

- Jak daleko do południowej ściany jaskini? - zapytała Quenthel.

- Nie znam dobrze tych wód. Jakies trzy mile.

- Więc utrzymuj ten kurs - postanowiła Baenre. - Kiedy wylądujemy na brzegu, będziemy mogli wymknąć się pościgowi albo sami wybrać miejsce do walki, jeśli nie zdecydujemy się uciekać.

- A co z moją łodzią? - zaniepokoił się Coalhewer. - Zdajecie sobie sprawę, ile za nią zapłaciłem?

- Jestem pewna, że cię tu nie zapraszałam, krasnoludzie - odpowiedziała Quenthel.

Odwróciła się plecami do duergara i usiadła, patrząc na zbliżające się łodzie pościgu i głaszcząc bezwiednie bicz.

Łódź pruća fale, a w miarę jak ścigające ich łodzie były coraz bliżej, z wody wystawało coraz więcej stalagmitów. Halisstra i Danifae uważnie wypatrywały przeszkód na drodze, ale Halisstra nie mogła oprzeć się pokusie zerkania co kilka minut przez ramię, żeby sprawdzić, jak daleko jest pogoń. Za każdym razem łodzie były nieco bliżej, aż wreszcie mogła rozróżnić drobne postacie uwijające się na pokładach. Kwadrans po tym, jak pokazały się za łodzią Coalhewera, duergarskie jednostki zaczęły do nich strzelać ciężkimi bełtami, które wpadały z sykiem w kilwater i wielkimi ognistymi kulami wystrzelowanymi z katapult, które przelatywały nad łodzią i roztrzaskiwały się o wilgotne kolumny, zaśmiecając wodę wokół.

- Płyn zygzakiem - poleciła Quenthel krasnoludowi. - Nie chcemy, żeby trafił nas jeden z tych pocisków.

- Dogonią nas wtedy szybciej - zaprotestował Coalhewer, ale zaczął kręcić kołem, starając się uniknąć utrzymywania zbyt długo tego samego kursu.

- Ryld, Valas, ostrzelajcie pierwszą łódź. Nie zużyjcie więcej niż połowy strzał i bełtów. Mogą nam być potrzebne później. - Quenthel rozejrzała się i skinęła na Halisstrę. - Ty też, Halisstro. Danifae, trzymasz wachtę na dziobie. Pharaun, odpowiedz katapultom.

Stojący na mostku Valas odwrócił się i zaparł nogami o deski pokładu, nakładając strzałę na cięciwę. Wycelował w pierwszą łódź i wypuścił strzałę. Ryld i Halisstra zrobili to samo zaraz po nim. Długie uderzenie serca później mała postać szarego krasnoluda wyrzuciła ramiona w górę i wypadła przez burtę, znikając pod bijącymi wodę łopatkami. Inne krasnoludy rozpierzchły się w poszukiwaniu kryjówek, osłaniając się wielkimi metalowymi tarczami.

Pharaun wystąpił naprzód i śmiałym gestem wskazał pierwszą łódź, wykrzykując słowa zaklęcia. Z koniuszków jego palców wyprysnął pomarańczowy koralik płomienia, który przemknął nad ciemną

wodą z prędkością strzały. Wydawało się, że zniknął w ciemności, pochłonięty przez ogrom pierwszej łodzi... i nagle cały jej dziób stanął w olśniewającym wybuchu płomieni, które ogarnęły przód pokładu z rykiem odbijającym się echem w całej jaskini. Spowici ogniem duergarowie miotali się i potykali w oddali, przeważnie wypadając lub wyskakując za burtę.

- Dobra robota! - zawołała Quenthel.

Nawet Jeggred zaryczał z radości, ale chwilę później brzęcząca kula błękitnej energii uniosła się znad drugiego okrętu i pomknęła w ich stronę. Pharaun rozpoczął zakłęcie odbijające, ale nie zdążył sparować ciosu i łódź Coalhewera otoczyły oślepiające pręgi błyskawic. Powietrze rozbrzmiało hukami gromów i eksplozji, gdy łuki wyładowań elektrycznych podpaliły beczułki, baryłki i osprzęt pokładowy, osmalając ze skwierczeniem żywe ciało. Halisstra krzyknęła głośno i zwała się na pokład, ugodzona piorunem w prawe biodro, a Ryld runął w drgawkach na deski z żarzącym się na biało-niebiesko napierśnikiem.

Szkielety wiosłowały niezmordowanie, popychając łódź naprzód.

Pharaun wyszarpnął zza pasa różdżkę i cisnął gromem w łódź, która rzuciła w nich kulą błyskawic. Z pierwszej łodzi poleciał na nich meteor oślepiającego ognia, przeskakujący nad wodą z taką zajadłością, jak gdyby był żywą istotą. Łut szczęścia sprawił, że pocisk uderzył w występ skalny i wybuchł za nimi, pozostawiając na powierzchni wody plamę płonącej cieczy. Trzecia łódź znów wystrzeliła z katapulty, posyłając w ich stronę przypominającą kometę kulę ognistą, która śmignęła nad mostkiem i eksplodowała w niewielkiej odległości od dziobu.

- Niech będą przekłeci - warknął Coalhewer. - Jesteśmy w ich zasięgu!

- Wygląda na to, że mają nade mną przewagę liczebną - krzyknął Pharaun pomiędzy zakłęciami. - Może powinniśmy spróbować uciec?

Nad ich głowami przeleciały ze świstem strzały. Część odbiła się od łodzi, a część wbiła w pokład z ciężkim łup!

- Halisstro - zawołał czarodziej - możesz wziąć moją różdżkę - tę, którą trzymam - i ostudzić zapędy maga z pierwszej łodzi?

Halisstra zlekceważyła palący ból w biodrze i powlokła się na rufę. Wzięła z ręki czarodzieja żelazną różdżkę i skierowała ją w pierwszą łódź, wykrzykując słowo-rokaz. W powietrzu rozległ się trzask elektryczności i rozszedł zapach ozonu, a w stronę ścigającej ich łodzi pomknęła błyskawica, która rozbłysła tylko bezsilnie, zderzając się z osłoną przeciw zakłęciom wzniesioną przez duergarskich czarodziejów.

Pharaun wyskandował słowa kolejnego czaru i za nimi pojawiła się gęsta mlecznobiała mgła, której tumany zasnuły wody Zammiora z zaskakującą prędkością. Niemal natychmiast rozpostarła się za rufą niczym ściana bieli, całkowicie przesłaniając ścigające ich łodzie.

- Tak - powiedział czarodziej. - To powinno ich na trochę zatrzymać.

- To mgła. Czy po prostu nie przepłyną przez nią na drugą stronę? - zapytał Ryld.

- To nie jest zwykła mgła, przyjacielu. Jest na tyle gęsta, żeby zatrzymać strzałę w locie. Ale przede wszystkim jest bardzo kwaśna, tak że każdy, kto w niej zabłądzi, zostanie powoli przeżarty. - Czarodziej uśmiechnął się i założył ręce na piersi. - A niech mnie, dobry jestem.

Quenthel otworzyła usta, zapewne chcąc nie zgodzić się z pyszałkowatym czarodziejem, kiedy z dziobu rozległ się krzyk Danifae:

- Stać! Przed nami skały! Stać!

- Cholera jasna! - zaklął Coalhewer. - Cała wstecz. Cała wstecz, kościste półgłówki!

Szkielety zwolniły mordercze tempo, nie będąc w stanie zatrzymać od razu ciężkich kół i powoli zaczęły obracać je w drugą stronę. Nie czekając na nie, krasnolud skrzyknął ostro sterem, żeby ominąć czarną linię ostrych skał. Wyglądało na to, że Zammioro robi się coraz płytsze, biegnąc na spotkanie opadającemu stropowi. Po prawej i lewej, jak okiem sięgnąć, ciągnęło się wybrzeże. Łódź zatrzymała się niezgrabnie, a prawa burta odbiła się od zaokrąglonej na szczęście skały. Wstrząs przewrócił wszystkich stojących na pokładzie, a Halisstra o mały włos nie wypadła przez burtę.

- Co teraz? - zapytał Ryld, zbierając się z ziemi. - Przyparli nas do ściany jaskini.

- Kiedy szare krasnoludy wydostaną się z twojej mgły? - warknęła Quenthel do Pharauna.

- Za kilka minut - odpowiedział. - Mogą oczywiście zawrócić i ominąć ją.

Pharaun wpatrywał się intensywnie w swoje dzieło. W oddali duergarowie wrzeszczeli z bólu, ale zdradliwa biała mgła tłumiła ich okrzyki.

- Zakłęcie nie zabije ani nie unieszkodliwi wszystkich - dodał czarodziej - i raczej nie zatopi łodzi.
- Tutaj wysiadamy - oznajmiła Quenthel. Wskazała ścianę jaskini. - Schowamy się przed nimi w tamtych skałach. Łódź wyślemy w tamtą stronę - wskazała na wschód - żeby ludzie księcia ruszyli za nią w pościg.
- Nie będę waszą przynętą! - warknął Coalhewer. - Wpakowaliście mnie w tę kabałę, to teraz mnie z niej wyciągnijcie!
- Ignorując krasnoluda, mroczne elfy pospiesznie zrzuciły plecaki na mokre skały pod dziobem. Jeggred zeskoczył w lodowatą wodę i wydostał się na brzeg, a zaraz za nim zrobili to samo Ryld i Pharaun. Valas zbiegł z mostka i również zeskoczył na dół.
- Marnujesz mój czas - powiedziała Quenthel do kapitana. - Płyn i licz na uśmiech losu albo zostań i walcz z draeglothem.
- Zeskoczyła lekko na głazy w dole, a chwilę później dołączyły do niej Halisstra i Danifae.
- Ale jeśli... bądźcie przekłeci na pełne pajaków Piekła Lolth! - zaklął Coalhewer.
- Wbiegł z powrotem na mostek i podniesionym głosem zaczął wydawać rozkazy wiosłującym szkieletom. Łódź oddalała się powoli od skał.
- Jeśli mnie złapią - krzyknął do nich - powiem im, gdzie was znaleźć!
- Quenthel zmrużyła oczy. Miała już skinąć na Jeggreda, ale Halisstra potrząsnęła głową i zaczęła cichą, monotonną pieśń bae'qeshel. Zebrała w sobie całą siłę woli i cisnęła nią w sinego z wściekłości krasnoluda.
- Uciekaj, Coalhewerze - syknęła. - Uciekaj jak najszybciej i nie pozwól się złapać. Jeśli cię dogonią, uciekaj wplaw, nie daj się złapać żywcem.
- Niewidoczne sploty zakłęcia opadły na krasnoluda niczym zabójcza trucizna. Wpatrywał się z otwartą gębą w Halisstrę, a potem obrócił się na pięcie, żeby wyprowadzić łódź na otwarte wody, zanim uniesie się mgła. Quenthel spojrzała na Halisstrę i uniosła brew.
- Wydawało mi się, że najlepiej będzie, jeśli ucieknie, tak jak chcieliśmy - wyjaśniła Halisstra, zbierając szybko swoje rzeczy i brnąc w stronę głazów i stalagmitów nad linią wody.
- Quenthel była krok za nią. Z pluskiem wydostały się na brzeg i ukryły za wielką skałą w chwili, w której ze śmiercionośnej mgły wysunął się dziób pierwszej łodzi duergarów, wciąż żarzącej się czerwienią węgla będących pozostałością kuli ognistej, którą Pharaun cisnął w barkę. Mroczne elfy otuliły się ciasno swoimi piwafwi i znieruchomiały, obserwując duergarów wyłazących z najróżniejszych kryjówek, w których schroniły się przed kwaśną mgłą.
- Jeden z szarych krasnoludów wskazał coś ręką i krzyknął, a pozostali przyłączyli się do wrzawy. Skręcając ostro, łodzie obróciły się i ruszyły za znikającą barką Coalhewera.
- Świetnie, pokazał Pharaun. *Obawiałem się, że śledzą nas za pomocą magii. Wygląda na to, że pan Coalhewer wyświadczy nam jednak ostatnią przysługę.*
- *Jak myślisz, co się stanie, kiedy go złapią?* - zapytał Ryld.
- Łodzie duergarów znalazły się już poza zasięgiem słuchu.
- To zależy od tego czy umie pływać - odparła Halisstra.

ROZDZIAŁ 9

Po długim całodziennym marszu, przerwany tylko po to, żeby Pharaun mógł wreszcie wysłać Gromphowi wiadomość o armii Gracklstugh, drużyna dotarła do Labiryntu. Skończyły się kręte, niezbadane korytarze, a zaczęły proste, mierzące wiele mil tunele poprzecinane długimi, wyciosanymi w skale drogami i małymi, kwadratowymi komnatami. Coalhewera, jego łódź i pościg z Gracklstugh zostawili dwadzieścia mil za sobą.

Tunele były wydrążone w czarnym bazalcie, zimnej, ostrej skale powstałej z zastygłej u zarania świata magmy. Od czasu do czasu drużyna natrafiła na ogromne pionowe szczeliny głębokie na sto stóp, gdzie tunele kończyły się nagle pionową ścianą. Wyciosane w niej stopnie, nierówne i niebezpieczne, prowadziły na inny poziom, gdzie znajdowała się dalsza część tunelu. Całe płaty skorupy świata zapadły się lub popękały, przecinając stare magmowe korytarze i pozostawiając olbrzymie, mroczne szczeliny sięgające w głąb ziemi. Nad niektórymi z nich przerzucono smukłe kamienne mosty, inne obiegały prymitywne ścieżki wyciosane w twardej skale ścian. Którędy by nie poszli, od wybranej przez nich drogi odchodziły kolejne korytarze albo kręte tunele o gładkim dnie, tak że po godzinie Halisstra musiała przyznać, że kompletnie się zgubiła.

- Teraz rozumiem, dlaczego nazywają to miejsce Labiryntem - powiedziała cicho, kiedy szli wzdłuż wąskiej półki nad jedną z rozpadlin.

- Jest gorszy niż ci się wydaje - odparł idący przodem Valas. Zatrzymał się, żeby zbadać drogę przed nimi i kolejny tunel otwierający się z boku. - Ma prawie dwieście mil z północy na południe i prawie połowę tego ze wschodu na zachód. Większość wygląda dokładnie tak jak tutaj, płatanina wydrążonych przez lawę kanałów, wyciosanych ręcznie tuneli i tysiąca ich odgałęzień i rozwidleń.

- Jak w takim razie chcesz odnaleźć dom Jaelre? - zapytał Ryld. - Znasz to miejsce na tyle dobrze, że masz je w małym palcu?

- W małym palcu? Bynajmniej. Można tu spędzić całe życie i nigdy nie zobaczyć wszystkiego, ale trochę o nim wiem. Kilka prostszymi drogami biegną uczęszczane trasy karawan, choć nie znajdujemy się w pobliżu żadnej z nich. Niewielu podróżnych zapuszcza się w Labirynt ze wschodu, tak jak my. - Zwiadowca wysunął się nieco naprzód i przesunął dłoń po ścianie, tuż obok miejsca, gdzie otwierał się drugi tunel. Pod jego palcami rozżarzyły się zielonym światłem stare, dziwne symbole. - Na szczęście jego budowniczości wycięli w ścianach runy dla rozpoznania swoich tajnych dróg. To kod znaków obowiązujący w całym Labiryncie. Rozwiązałem ich zagadkę, kiedy byłem tu ostatnim razem. Nie podróżowałem tunelami, przez które teraz idziemy, ale wydaje mi się, że wiem, jak stąd do nich dotrzeć.

- Posiadasz wiele talentów - zauważył Pharaun.

- Kto wyciosał te tunele? - zapytała Halisstra. - Jeśli to miejsce jest tak wielkie, jak twierdzisz, musiało być swego czasu potężnym królestwem, ale na pierwszy rzut oka mogę stwierdzić, że tych znaków nie zostawiły drowy. Ani duergarowie, illithidy czy abolethy.

- Minotaury - odparł Valas. - Nie wiem, jak dawno temu ich władztwo rozkwitło albo upadło, ale w przeszłości miały tu swoje królestwo.

- Minotaury? - zadrwiła Quenthel. - To dzikie bestie. Nie mają dość rozumu ani cierpliwości, żeby wykonać taki ogrom pracy, nie mówiąc już o zbudowaniu wielkiego królestwa.

Valas wzruszył ramionami.

- Teraz może to i prawda, ale tysiąc lat temu, kto wie? Znalazłem w tym rejonie wiele ich szczątków i artefaktów. Rogate czaszki są bardzo charakterystyczne. Moi przyjaciele z domu Jaelre mówili mi, że wiele minotaurów wciąż włóczy się po dzikich i nieużywanych korytarzach Labiryntu, a wśród nich są demoniczne bestie uzbrojone w potężną magię. Ich patrole toczą regularne potyczki z potworami.

- Ciekawe, czy w trakcie naszych podróży trafimy kiedykolwiek do krainy pełnej pogodnych, cywilizowanych ludzi szczerze zatroskanych o naszą pomyślność i gotowych służyć nam pomocą - mruknął Pharaun. - Zaczynam nabierać przekonania, że nasze piękne miasto leży na dnie beczki pełnej jadowitych węży.

- Jeśli tak, jesteśmy szybsi, silniejsi i bardziej jadowici niż jakikolwiek inny wąż w tej beczce - odpowiedziała Quenthel z uśmiechem. - Ruszajmy dalej. Jeśli w pobliżu są jakieś minotaury, lepiej żeby nie wchodziły w drogę dzieciom Menzoberranzan.

Jeszcze kilka kolejnych godzin szli przez niekończące się ponure komnaty i kręte korytarze, zanim

zatrzymali się, żeby odpocząć i odzyskać siły. Obszar Labiryntu, który właśnie przemierzali, wydawał się opuszczony. Niewiele wskazywało na to, że w ciągu ostatnich lat przechodziły tędy jakieś istoty, nawet bezrozumne drapieżne stwory Podmroku. Powietrze było nadnaturalnie nieruchome i ciche. Za każdym razem gdy prowadzone szeptem rozmowy cichły na chwilę, cisza tego miejsca wydawała się otaczać towarzyszy, osaczając ich w przedziwnie wrogi sposób, jak gdyby same skały nie mogły znieść ich obecności.

Po wyznaczeniu Valasa i Rylda do pełnienia warty, reszta owinęła się w swoje piwafwi i ułożyła najwygodniej jak potrafiła na ziemnym, kamiennym dnie jaskini. Halisstra pozwoliła powiekom opaść do połowy i pogrążyła się w głębokiej Zadumie, śniąc o niekończących się tunelach i przedziwnych sekretach pogrzebanych pod ziemią. We śnie wydawało jej się, że słyszy słaby, odległy szelest albo szept w ciszy, jak gdyby mogła usłyszeć więcej, gdyby tylko odsunęła się nieco od pozostałych i sama zapuściła w mrok. Chociaż powietrze było całkowicie nieruchome i martwe, wyczuła odległy szum wiatru daleko w korytarzach, niski jękliwy dźwięk łaskoczący skraj świadomości jak coś ważnego, o czym zapomniała. Szepty Lolth często docierały do wiernych w taki właśnie sposób, jako świszczące westchnienia niemej woli napełniające kapłankę świadomością pragnień królowej demonów.

Nadzieja i strach obudziły się w sercu Halisstry, która znalazła się na granicy snu i jawy.

- Czego sobie życzysz, Bogini? - krzyknęła w myślach. - Powiedz mi, jak dom Melarn może znów wkraść się w twoje łaski? Powiedz mi, jak odbudować Ched Nasad. Zrobię wszystko, czego zażadasz!

- Niewierna córko, - odpowiedział jej szeptem wiatr. - Głupi słabeuszu.

Przerażenie wyrwało Halisstrę z Zadumy, kapłanka usiadła prosto, serce waliło jej w piersi jak młotem.

To tylko sen, przekonywała samą siebie. Śniłam o tym, czego pragnęłam i czego się obawiałam, ale nic więcej się nie stało. Pajęcza Królowa nie przemówiła. Nie potępiła mnie.

Obok pozostali leżeli na ziemi lub siedzieli pogrążeni w głębokiej medytacji, odpoczywając, a nieco dalej stał na warcie Ryld, nieruchoma barczysta postać w mroku. Córka domu Melarn spuściła wzrok i wsłuchiwała się w dziwny odgłos wiatru, otoczona ciemnością, którą jej lud uczynił swoją.

- Lolth milczy - wyszeptła. - Usłyszałam tylko wiatr, nic więcej.

Dlaczego Bogini nas opuściła? Dlaczego pozwoliła Ched Nasad upaść? Czym zasłużyliśmy sobie na jej złość? - zastanawiała się Halisstra. Oczy piekły ją od gorzkich łez. Czy okazaliśmy się jej niegodni? Znow zerwał się wiatr, tym razem bliżej, głośniejszy. To nie był już gwizd ani szelest. Przywodził jej na myśl odległe, głębokie wołanie rogu, może wielu rogów, i wciąż narastał. Halisstra zmarszczyła brwi, zaintrygowana. Czy była to jakaś dziwna właściwość Labiryntu, wichry wiejące przypominającymi rury korytarzami? Podobne zjawiska zdarzały się też w innych częściach Podmroku. Czasem wiatry potrafiły ogołocić korytarz z wszelkiego życia, takie były nagłe i porywiste. Ten mamrotał, gulgotał i dudnił, niczym wiele rogów grających naraz...

Halisstra zerwała się na równe nogi. Ryld wpatrywał się w tunel, którym się tu dostali, z lśniącym Rozpruwaczem w dłoni.

- Słyszysz je? - zawołała do Rylda. - Minotaury nadchodzą!

- Myślałem, że to wiatr - burknął wojownik. - Obudź pozostałych.

Pobiegł korytarzem w kierunku nadciągającej zgrai, nawołując Valasa, który stał na warcie z drugiej strony. Halisstra chwyciła plecak i zarzuciła go szybko na ramiona, budząc pozostałych krzykami, a nawet kopniakiem, gdy któryś z towarzyszy ociągał się z wyjściem z głębokiego transu.

Przygotowała kuszę, nakładając bełt i wpatrując się jednocześnie w tunel.

Podłoga pod jej stopami drżała. Tupot ciężkich kroków, twardych jak skała, i głębokie ryki oraz prychnięcia raz po raz odbijały się echem, napełniając korytarz grzmącą kakofonią. Gorący zwierzęcy odór zaatakował jej nozdrza i wtedy zobaczyła je pędzącą zgraję dziesiątków zwalistych bydła, ogromnych potworów o głowach byków, zmierzwionych kudłach i wielkich kopytach, które ścisnęły w grubych, umięśnionych pięściach potężne topory i kiścienie.

Ryld i Valas, ogarnięci nawalą, śmigali jak jaskółki miotane huraganem, walcząc wściekle o życie z krwiożerczymi dzikusami. Halisstra szybko wymierzyła i strzeliła z potężnej kuszy w pierś jednego z potworów, ale stwór był tak opętany żądzą mordy, że po prostu zlekceważył bełt tkwiący w jego grubym torsie. Nałożyła następny bełt na magicznie naciągniętą kuszę, ale strzał zepsuł jej Jeggred, który rzucił się w wir walki.

- Jeggred, idioto, za dużo ich! - krzyknęła.

Draegloth zlekceważył ją i rzucił się na atakującą hordę. Przez chwilę jego ogrom i trzęsąca nim furia pozwoliły mu powstrzymać szarżę minotaurów, ale nad jego porośniętymi białym futrem ramionami i błyskającymi ostrzami Rylda i Valasa widziała dziesiątki kolejnych włochatych potworów, pełne klów pyski ryczące wyzywająco i przekrwione z wściekłości ślepie. Niektóre padały pod ciosami Rozpruwacza, zakrzywionych noży Valasa i pazurów Jeggreda, ale opętane bitewnym szałem minotaury, które mogły powstrzymać tylko najpoważniejsze obrażenia, parły naprzód, starając się dopaść intruzów. Halisstra przesunęła się w bok i strzeliła raz jeszcze, a Danifae dołączyła do niej, strzelając z własnej kuszy. Quenthel, która znalazła się tuż za Jeggredem, smagała śmiercionośnym biczem potwory zagrażające draeglothowi, zaś Pharaun wykrzyczał magiczne słowo, ciskając jasną kulą trzeszczącej energii w sam środek watahy minotaurów. Sfera wybuchła z hukiem grzmotu, a z niej wystrzeliły jasne łuki błyskawic, zwęglając część minotaurów na żużel i wypalając wielkie czarne rany w innych.

W oślepiającym świetle eksplozji Halisstra zobaczyła w tylnych szeregach coś wyższego i smuklejszego niż minotaury, demoniczną istotę nie, kilka demonów - popychających wściekłe potwory do walki. Wielkie czarne skrzydła spowijały istoty cieniem, a ich ciemne rogi żarzyły się czerwienią od gorąca.

Korytarz wypełniły wściekłe wrzaski i ryki, żelazo uderzało o żelazo tak szybko i głośno, że Halisstra ledwo usłyszała własny krzyk:

- Tam są demony!
- Widzę je - odparła Quenthel. Cofnęła się kilka kroków i chwyciła Pharauna za ramię. - Możesz się ich pozbyć?
- Nie przygotowałem takiego czaru - odpowiedział czarodziej. - Poza tym pozbycie się demonów nie wyciągnie nas z tej opresji. Myślę, że...
- Nie obchodzi mnie, co myślisz! - wydarła się Quenthel. - Jeśli nie potrafisz przegnać demonów, zamknij przejście!

Pharaun skrzywił się, ale usłuchał i zaczął przygotowywać kolejne zaklęcie. Halisstra przeładowała kuszę i poszukała kolejnej okazji do czystego strzału. Ryld przysiadł i przeciął ścięgna podkolanowe minotaurowi atakującemu go toporem wystarczająco dużym, żeby rozplątać na dwoje kowadło i wypatroszył stwora wyprowadzonym z dołu cięciem przez brzuch. Jeden z minotaurów obalił na ziemię Valasa, podcinając mu nogi łańcuchem. Gdyby zwiadowca w ostatniej chwili nie odtoczył się w bok, potwór rozgniółby mu czaszkę na miazgę.

Jeden z demonów kryjących się za plecami walczących minotaurów cisnął w mroczne elfy wiązką zielonych piorunów ognistych. Jeden z nich rozproszył się, trafiając na wrodzoną Quenthel odporność na magię, zaś dwa pozostałe poparzyły Pharauna i Danifae gryzącym ogniem. Czarodziej zdołał jednak jakimś cudem dokończyć zaklęcie.

Coś, co Halisstra uznała za rodzaj niewidzialnej bariery, zmusiło większość minotaurów i ich demonicznych panów do cofnięcia się. Tylko para walczących na samym przodzie wojowników została nagle odcięta od sojuszników. Podczas gdy większość stworów o byczych głowach rzucała się na niewidzialną ścianę wyczarowaną przez Pharauna, usiłując przebić się przez nią za pomocą prymitywnego, niezgrabnego oręża, mroczne elfy szybko powaliły minotaury, które miały pecha zostać po ich stronie.

Po kilku chwilach wrzaski i odgłosy walki ucichły, przechodząc w stłumiony, głuchy ryk minotaurów po drugiej stronie ściany, które kotłowały się i wygrażały drowom bronią. Nagle minotaury odwróciły się wszystkie naraz i popędziły tam, skąd przybiegły. Na ziemi pozostało kilkanaście martwych ciał.

Ryld cofnął się ostrożnie, pomagając Valasowi wstać. Jeggred stał, dysząc i krwawiąc z kilkunastu drobnych ran.

- Jak długo wytrzyma ta ściana? - zapytała Quenthel.
- Nie dłużej niż kwadrans - odparł Pharaun. - Demony, gdyby chciały, pewnie potrafiłyby się przez nią przedostać, ale przypuszczam, że prowadzą minotaury okrężną drogą, żeby zaatakować nas z innej strony. Czy mogę zaproponować, żebyśmy oddalili się stąd, zanim odkryją, jak ominąć wyczarowaną przeze mnie barierę?

Quenthel rzuciła mu chmurne spojrzenie.

- Dobrze. Ruszajmy.

* * *

Gdyby w naturze Grompha Baenre leżało okazywanie niepokoju poprzez chodzenie tam i z powrotem po własnym sanktuarium, spędziłby w ten sposób większą część ostatniej godziny. Zamiast tego wpatrywał się w kryształową kulę spoczywającą na środku jego komnaty jasnowidzenia, weryfikując raport Pharauna. Jak dokładnie ujął to mistrz Sorcere?

- Powinszowania, potężny Gromphie. Może zainteresuje cię fakt, że armia Gracklstugh właśnie maszeruje na Menzoberranzan. Kontynuujemy naszą misję. Powodzenia!

- Arogancki fircyk - wymamrotał do siebie Gromph. Ten chłopak nie miał za grosz szacunku dla starszych.

Oczywiście zanim popędził w panice do matek opiekunek, postanowił najpierw potwierdzić raport Pharauna starannymi poszukiwaniami i badaniami. Mleczna kula ukazała oczom maga uroczą scenę - długą kolumnę krasnoludzkich wojowników maszerujących przez Podmrok. Wielkie jaszczury juczne dźwigały ciężkie toboły z prowiantem i przeróżne piekielne akcesoria wojenne. Machiny oblężnicze toczyły się powoli za długim szeregiem niewolnych ogrów.

Nawet rzucenie okiem na maszerującą armię nie było proste, ponieważ duergarscy czarodzieje starali się osłonić przemieszczające się księżące wojska przed wrogimi magami.

Gromph jednakże był wyjątkowo biegłym wieszczem. Zajęło mu to trochę czasu, ale w końcu przeniknął osłony krasnoludzkich czarodziejów.

Gromph przyglądał się uważnie tej scenie, notując w pamięci najdrobniejsze szczegóły - insygnia maszerujących żołnierzy, dokładny rozmiar i stan mijanych przez nich tuneli, kadencję krasnoludzkich pieśni marszowych. Chciał mieć absolutną pewność, że zna rozmiary i bezpośredniość zagrożenia, zanim zawiadomi o nim Radę, jako że matki opiekunki będą z pewnością oczekiwać, że odpowie im na wszystkie pytania, jakie mogą im przyjść do głowy. Najbardziej drażliwym pytaniem, rzecz jasna, było to, ile zajęłoby mu wykrycie maszerującej armii, gdyby Pharaun Mizzrym nie znalazł się przypadkiem w Gracklstugh. Duergarowie mogli z powodzeniem pokonać połowę odległości pomiędzy ich miastami, zanim armię wykryłby jakiś patrol wysuniętego posterunku.

- A niech to - zaburczał mag.

Bez względu na to czy Menzoberranzan było na to gotowe, następne zagrożenie zbierało się już w mrocznych czeluściach duergarskiego władztwa sto mil na południe od miasta. Gromph westchnął i postanowił, że lepiej mieć już z głowy wątpliwą przyjemność przekazania Radzie tego, co zobaczył. Wstał, jednym płynnym ruchem poprawił szaty i wziął do ręki ulubioną laskę. Chciał stawić się przed matkami opiekunkami, emanując całkowitą pewnością siebie, zwłaszcza że przynosił im tak złe wieści.

Miał już wejść w kamienny szyb na końcu komnaty i zstąpić do swoich komnat w Sorcere, kiedy poczuł znajome, przyprawiające o dreszcze doznanie. Ktoś śledził go w magiczny sposób - niemałe osiągnięcie, zważywszy na kroki, jakie przedsięwziął w celu zapobieżenia podobnym incydentom. Gromph zaczął tkać zaklęcie, żeby przeszkodzić szpiegowi, ale powstrzymał się. Nie robił niczego, co chciałby ukryć, a był ciekaw czy krasnoludzki czarodziej zdołał wykryć jego własne zaklęcia jasnowidzące.

- Masz ochotę coś mi powiedzieć - zapytał powietrza - czy mam cię oślepić?

- *Zachowaj zaklęcie na później, rozległ się w jego głowie zimny, chrapliwy głos. Ponieważ od ponad tysiąca lat nie mam w czasie oczu, raczej nie możesz mi zaszkodzić.*

- Lord Dyr - powiedział Gromph, marszcząc brwi. - Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

I jak mnie znalazłeś? - zastanowił się w duchu, uważając jednak, by nie wypowiedzieć pytania na głos.

- *Chciałbym podjąć rozmowę, którą zaczęliśmy kilka dni temu, młody Gromphie, odpowiedział głos licza. Zamierzam rozwinąć moją wcześniejszą propozycję, opisując bardziej szczegółowo moje plany. Skoro oczekuję od ciebie zaufania, sam powinienem dać ci jego dowód.*

- W rzeczy samej. Chętnie wyświadczyłbym ci tę przysługę, ale muszę się pilnie spotkać z Radą. Może moglibyśmy wrócić do tej rozmowy nieco później?

Gromph rozejrzał się po pokoju i jego wzrok padł na kryształową kulę w wykuszu okna. Sfera opalizowała perłową zielenią.

No tak, oczywiście, uświadomił sobie mag. Znalazł mnie tutaj, gdzie moje osłony przed wrogim wieszczęciem są osłabione przez przejrzystość komnaty jasnowidzenia. Muszę wymyślić jakiś sposób ochrony przed podobnymi incydentami, który jednocześnie nie będzie krępował mojej swobody.

- *Obawiam się, że muszę rozmawiać z tobą teraz, nalegał Dyr. Nie zajmę ci wiele czasu, a wierzę,*

że będziesz zadowolony, iż wysłuchałeś mnie przed spotkaniem z naszymi spiskującymi elfkami. Czy mogę do ciebie dołączyć?

Gromph zatrzymał się i tłumiąc wściekły grymas podniósł wzrok na niewidoczną istotę, która go obserwowała. Zaproszenie istoty takiej jak Dyrr do swoich czarodziejskich komnat nie było decyzją, jaką mógł podjąć od ręki. Bez względu na to czy wiekowy czarodziej rzeczywiście wiedział coś, co Gromph chciał usłyszeć, było pewne, że matki opiekunki nie będą zachwycone, musząc czekać na jego przybycie. Postukał palcem w wielką drewnianą laskę stojącą obok, zastanawiając się dobrze. Bardzo nie chciał urazić Dyrra, a trudno było powiedzieć, co lic może uznać za obraźliwe po wielu wiekach bycia nieumarłym. Poza tym Gromph znajdował się we własnym sanktuarium, gdzie dysponował różnymi rodzajami magicznej broni...

- Doskonale, lordzie Dyrr. Ale naprawdę muszę nalegać, żeby nasza rozmowa była krótka, ponieważ mam do Rady wyjątkowo pilną sprawą.

Kilka stóp przed arcymagiem powietrze zaczęło kipieć i brzęczeć, a zaraz potem rozległ się trzask i stanął przed nim wiekowy licz. Stwór opierał się na lasce potężnej podporze wykonanej z czterech adamantytowych prętów skręconych wokół siebie i związanych na górze, i na dole. W powietrzu obok jego łokcia unosił się niewielki puklerz z czarnego metalu, któremu nadano kształt twarzy demona wykrzywionej w uśmiechu idioty. Dyrr nie zadał sobie trudu przybrania postaci żywej istoty i stał przed nim jako potworny szkielet o oczach czarnych jak śmierć.

- Witam, arcymagu. Przepraszam za kłopot, jaki ci sprawiłem - powiedział licz. Wbił w Grompha spojrzenie pustych oczodołów. - Jakież to powód skłonił cię dziś do poproszenia o audiencję u matek opiekunek, młody Gromphie?

- Z całym szacunkiem, lordzie Dyrr, uważam, że sprawa ta przeznaczona jest dla ich uszu, nie twoich. A więc jaką niecierpiącą zwłoki propozycją masz dla mnie?

- Jak sobie życzysz - rzekł Dyrr. - Na Menzoberranzan maszeruje z południa armia - szare krasnoludy najwidoczniej usłyszały o naszych kłopotach i postanowiły skorzystać z nadarzającej się okazji.

- Tak, wiem - warknął Gromph. - Właśnie dlatego muszę natychmiast wyjść. Jeśli nie masz mi nic więcej...

Ruszył w stronę kamiennego szybu prowadzącego do jego komnat.

- Cieszę się, że moje wieści nie są dla ciebie zaskoczeniem - powiedział licz. - Gdybyś nie wiedział o armii duergarów, musiałbym dopilnować, żebyś się o tym nie dowiedział, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Dyrr odwrócił się w stronę pleców Grompha ze straszliwym zgrzytem i szczękiem ocierających się o siebie kości. - Pamiętasz z pewnością, jak kilka dni temu rozmawialiśmy o chwili, kiedy będziesz musiał podjąć decyzję. Ten moment właśnie nadszedł.

Gromph zatrzymał się i obrócił ostrożnie. Miał nadzieję, że liczowi chodzi o coś innego, ale wyglądało na to, że Dyrr uparł się poruszyć tę kwestię.

- Decyzję, lordzie?

- Nie udawaj, że nie rozumiesz. Wiem, że jesteś na to zbyt inteligentny. Chcę tylko, żebyś wstrzymał się ze swoim raportem jeszcze kilka dni, potem możesz biec w panice do kapłanek z wieścią o armii duergarów u naszych bram. Prawdę mówiąc, przysłużył się moim planom, jeśli zrobisz to o czasie i w sposób dogodny dla mnie.

- Wystawię miasto na niebezpieczeństwo - powiedział Gromph.

- Już jest w niebezpieczeństwie, młody Gromphie. Chcę tylko narzucić jakiś porządek temu, co nieuniknione. Mógłbyś mi się bardzo przydać w nadchodzących dniach...

- Rozumiem - rzekł Gromph.

Zmrużył oczy, rozważając różne alternatywy. Mógł udać zgodę i postąpić tak jak chciał, ale w ten sposób na pewno ściągnąłby na siebie gniew licza i to w czasie, i miejscu wybranym przez Dyrra. Mógł od razu odmówić, co skończyłoby się śmiertelnym pojedynkiem mającym rozstrzygnąć, czyja wola zwycięży.

Mogę też zgodzić się naprawdę, pomyślał. Kto powiedział, że nie możemy przekształcić sił zbierających się przeciwko miastu w użyteczny chaos, cenny podstęp? Z pewnością dojdzie do ogromnych strat, ale Menzoberranzan, które wyłoni się z takiej próby krwi i ognia może stać się lepszym, silniejszym miastem, miastem oczyszczonym z bezlitosnej tyranii sadystycznych kapłanek i rządzonego przez zimną, pozbawioną emocji inteligencję pragmatycznych czarodziejów. Każde okrucieństwo może

posłużyć racjonalnemu celowi, każdy eksces może zostać ukrócony, aby stworzyć miasto, które nie traci sił na własne wewnętrzne zmagania. Czy takie miasto nie było godne jego wierności?

Czy w takim mieście znajdzie się miejsce dla domu Baenre? - zapytał sam siebie.

Żadna rewolucja, o jakiej marzył Dyrr, nie mogła się zakończyć niczym innym, jak tylko całkowitym unicestwieniem pierwszego domu Menzoberranzan. Choć Gromph nie znosił swych sióstr i nienawidził wielu afektowanych krewniaków zamieszkujących zamek Baenre, nie byłby sobą, gdyby pozwolił jakiemuś pomniejszemu domowi pozbawić jego szlachetną i starożytną rodzinę najwyższej władzy w Menzoberranzan. Mógł odpowiedzieć tylko w jeden sposób.

Gromph szybko uniósł rękę i posłał w stronę licza straszliwą salwę jaskrawych kolorów, zaklęcie, które przygotowywał z taką starannością i mozołem, że wystarczył najśłabszy akt woli, by je rzucić. Barwy nigdy nie widziane w mroku podziemnego miasta przeszły jego komnatę, a każdy niósł inną zgubę, zarazę lub energię. Drżący snop elektryczności przemknął tak blisko Dyrra, że po jego zetknięciu szatach przeskoczyły z trzaskiem drobne błyskawice wyładowań, zaś jasnopomarańczowy promień poparzył wiekową istotę kwasem wystarczająco silnym, żeby stopić skałę. Trzeci promień, przeraźliwie fioletowy, odbił ożywiony puklerz licza. Odpierając atak, tarcza chichotała jak niegrzeczne dziecko.

- Jestem arcymagiem Menzoberranzan - ryknął Gromph. - Nie jestem niczym chłopcem na posyłki!

Dyrr odskoczył, wyjąc chrapliwie z wściekłości, gdy kwas z sykiem bryzgał wokoło, wżerając się w jego długowieczne ciało. Zapach palonej kości wypełnił komnatę czarodzieja ohydny smrodem. Gromph przeszedł do zaklęcia odpychającego, które miało skierować czary rzucone przez Dyrra przeciw niemu samemu. Arcymag był przygotowany na to, że będzie musiał się uciec do każdego podstępu, każdego wybiegu, każdego wyrafinowanego i śmiertelniegroźnego zaklęcia, jakim rozporządził, aby pokonać istotę tak potężną jak lord domu Agrach Dyrr.

Gromph skończył czar odpychania w chwili, w której Dyrr z zaskakującą szybkością doszedł do siebie i smagnął go czarnym promieniem niszczącej energii, który pozbawiłby arcymaga ogromnej części sił żywotnych, gdyby trafił w cel. Zamiast tego hebanowy promień odbił się od tarczy Grompha i uderzył Dyrra w środek torsu. Miało to jednak niespodziewany efekt. Zamiast uszczuplić siły życiowe starożytnego licza, trzeszcząca czarna energia napełniła lorda Agrach Dyrr swoją straszliwą mocą. Licz roześmiał się w głos.

- Sprytne posunięcie, Gromphie, ale obawiam się, że nietrafione. Zaklęcie dotkliwie rani żywe istoty, ale wzmacnia nieumarłych!

Arcymag zaklął pod nosem i uderzył ponownie, tym razem kierując w śmiejącego się licza ohydny zielony promień, który wypalił w mostku Dyrra idealnie okrągły otwór, spopielając nieumarłe ciało i kości. Licz znów zaskrzeczał z bólu, o ile nieumarła istota odczuwała takowy, i odskoczył w bok, zanim Gromph zdołał go rozkawałkować.

Kiedy arcymag rozpoczął kolejne zaklęcie, Dyrr wyrzucił się z siebie słowa mrocznego i morderczego zaklęcia, które wczepiło się pazurami w Grompha, wysysając zachłannie jego płyny żywotne i wybielając jego skórę tysiącem igiełek agonii. Gromph jęknął z bólu, przerwał rzucanie zaklęcia, zatoczył się na marmurową ławkę i upadł ciężko na podłogę.

Niech będzie przeklęty, pomyślał. Muszę jakoś zyskać na czasie.

Na szczęście znajdował się w swoim sanktuarium, otoczony dziesiątkami rodzajów broni, których mógł użyć.

Gromph oparł się na łokciu i warknął:

- Shashune! Zniszcz go!

W wykuszu komnaty ożył wysoki posąg czterorękiego szermierza wyciosany z idealnie czarnego obsydianu, który wyszedł na środek komnaty, potrząsając i uderzając o siebie czarnymi klingami jak żywy wojownik.

Dyrr cofnął się kilka kroków do tyłu i wymówił jedno słowo, po czym uniósł się w powietrze, poza zasięg obsydianowego golema, ale Gromph wykorzystał tę okazję, żeby wezwać najbardziej niszczycielski czar, jaki znał, i rzucić go na unoszącego się pod sklepieniem licza. Z wyciągniętych dłoni maga wyprysło osiem kul oślepiąco białej energii, które uderzyły w nieumarłego czarodzieja i wybuchły z ogłuszającym hukiem, zostawiając w jego szczątkach wielkie ziejące dziury. Eksplodujące meteory uszkodziły dość poważnie sanktuarium Grompha, rozwalając w drzazgi dwa stare regały i odrywając jedno ramię obsydianowemu golemowi, jak gdyby statua była zabawką popsutą przez rozwydrzone dziecko. Gromph wrzasnął triumfalnie, gdy fragmenty szkieletu Dyrra spadły ze stukotem

na podłogę.

Wokół unoszącego się w powietrzu licza wzbił się tuman kurzu, czaszka opadła mu na pierś, zupełnie jak gdyby ożywiająca go magia zawiodła, ale koścista istota wróciła do siebie z zadziwiającą szybkością.

- Moje stare kości nie są całą moją istotą, Gromphie - wychrypiał. - Twoje ataki na nic się nie zdadzą.

Zaintonował następne zaklęcie, ale arcymag znów uderzył, usiłując rozproszyć wszystkie zaklęcia i czary odpychające, chroniące licza. Zaklęcie Dyrra nie zadziało i licza opadł na ziemię, gdzie znalazł się w zasięgu klingi czekającego nań posągu.

Golem rzucił się do przodu. Masywny konstrukt z całkowicie obojętnym wyrazem twarzy zasypał licza gradem potężnych ciosów trzech pozostałych ramion. Komnata rozdzwoniła się brzękiem stali. Gromph obnażył zęby w dzikim uśmiechu.

- Może nie jesteś przywiązany do swojego gnijącego trupa, ale trudno ci będzie rzucać zaklęcia, kiedy zostaniesz rozczłonkowany i zakopany w dziesięciu różnych grobach - zawołał. - Byłeś głupcem, wyzywając mnie tutaj na pojedynek!

Gromph zbliżył się, szukając wyrwy, przez którą mógłby rzucić zaklęcie.

Dyrr zniósł dwa, potem trzy potężne ciosy zadane przez ogromny posąg, chwiejąc się, gdy jego kości pękały i trzaskały. Puklerz o twarzy demona śmigał na wszystkie strony, śmiejąc się piskliwie i blokując kolejne uderzenia kamiennego konstrukt. Czarodziej cofnął się o krok, stanął pewniej na nogach i rozpostarł szeroko ramiona. Jego lśniące czarne szaty roziskrzyły się i wyrzuciły z siebie śmiercionośny wir ostrych jak brzytwa kling, które pocięły kamiennego golema na kawałki i poszatkowały stoły, sprząty i książki.

Ostrza rozplatały też potężne zaklęcia ochronne arcymaga, raniąc go w kilkunastu miejscach, ale nie na tyle głęboko, by zabić. Mrugając zalewanymi krwią powiekami, Gromph padł plackiem na ziemię, aby uchylić się przed dyskiem latających ostrzy, a jego golem zwałił się na posadzkę i rozsypał w stertę bezwartościowych kamiennych odłamków.

Dyrr krzyknął triumfalnie i przyskoczył do arcymaga, wymachując adamantytową laską z zadziwiającą szybkością i zwinnością. Gromph krzyknął ze zdumienia i odtoczył się w bok w samą porę, by uniknąć dwuręcznego ciosu, który rozszczępił marmurową płytę posadzki.

- Takie zachowanie nie przystoi magom o naszej pozycji! - zawył Gromph, zbierając się z ziemi.

Dyrr nie odpowiedział, tylko skoczył za nim, wielkimi dwuręcznymi machnięciami laski zrzucając wszystko ze stołów i regałów.

Gromph wykrzyczał zaklęcie, który wyrwało liczowi broń z ręki i cisnęło nią przez komnatę z taką siłą, że adamantytowa laska utkwiała z drzeniem w ścianie komnaty niczym włócznia rzucona przez olbrzyma.

Kiedy Dyrr starał się odzyskać równowagę, Gromph skorzystał z okazji, żeby otoczyć się potężną osłoną przed zaklęciami, skrzącą się sferą, która całkowicie niweczyła wszystkie czary oprócz tych najpotężniejszych. Wzmocniony w ten sposób, przebiegł szybko w myślach różne inkantacje, szukając takiej, która okaże się najskuteczniejsza w starciu z lordem Agrach Dyrr.

- Ach - rzekł Dyrr, przyglądając się migoczącej kuli. - Doskonała osłona, młody Gromphie, ale przepuszczalna dla kogoś o moich umiejętnościach.

Licza wymamrotał słowo straszliwej mocy i z wyciągniętymi pazurami puścił się pędem przed siebie. Nie zważając na ochronne zaklęcie Grompha, zanurzył rękę w rozmigotanej kolorowej kuli i chwycił arcymaga za ramię. Gromph wrzasnął z przerażenia, gdy moc zaklęcia licza uderzyła w niego z całą siłą, zmieniając ochronną sferę w pyłki mrugającego światła i usztywniając wszystkie jego mięśnie.

- Gromphie Baenre, zostałeś pokonany - zaintonował Dyrr. Jego nagie zęby lśniły na tle wielkiej i strasznej ciemności pustej czaszki.

Arcymag omiół stojącego nad nim licza jednym długim spojrzeniem, a potem zaczął spadać. Nie mogąc się poruszyć, runął prosto w dół przez podłogę, przez migające komnaty i pokoje Sorcere, przez ziejącą czerń skały pod wieżą, miastem, światem. Przez jedną przeraźliwą chwilę Gromph czuł się jak na dnie bezdennej studni, wpatrując się przez niezliczone mile ciemności w maleńką jak łebek szpilki nemezis przyglądającą mu się z góry. Ciemność otoczyła go i wzięła w swoje objęcia.

* * *

W komnatach arcymaga w Sorcere licz Dyrr stał, patrząc na punkt w podłodze, na który skazał Grompha Baenre. Gdyby był śmiertelnym magiem, z trudem łapałby oddech, drżał ze zmęczenia, a może nawet padł od śmiertelnych ran odniesionych w zażartym pojedynku, ale magia wiążąca jego nieumarłe ścięgna i kości nie była podatna na słabości żywych.

- Czekaj, młody Gromphie - powiedział do pustego miejsca. - Może jeszcze mi się do czegoś przydasz, za wiek a może dwa.

Wykonał szybki gest i znikł.

* * *

W czarnych kamiennych korytarzach raz po raz rozlegał się łoskot gromu, grzmot tak głęboki i przenikający do głębi trzewi, że Halisstra bardziej go czuła niż słyszała. Skuliła się w cieniu wielkiego kamiennego łuku i zerknęła na drugą stronę sali. W jej przeciwnym krańcu, poniżej drużyny drowów, garstka zwalistych monstrów zebrała się z ziemi i rozbiegła w poszukiwaniu kryjówek. Kilka minotaurów wciąż leżało wśród gruzu, jaki pozostał po zawaleniu się niższej części komnaty.

- To ich powstrzymało - zawołała do towarzyszy. - Ale przegrupowują się.

- Zjadłoby bydłaki - burknął Pharaun.

Czarodziej skrył się za wysoką kamienną kolumną, krzywiąc się ze zmęczenia. Przez ostatnie półtora dnia towarzysze pokonali co najmniej trzydzieści mil, maszerując niekończącymi się korytarzami Labiryntu, ścigani przez nieprzeliczone hordy minotaurów i baphitaurów. Dwa razy niewiele brakowało, by mroczne elfy wpadły w diabelnie sprytną pułapkę polegającą na odcięciu tunelu, którym uciekali.

- Zostało mi już niewiele takich czarów - oświadczył czarodziej. - Musimy znaleźć miejsce, gdzie będę mógł odpocząć i przygotować więcej zaklęć.

- Odpoczniesz, kiedy wszyscy będziemy odpoczywać, czarodzieju - warknęła Quenthel. Baenre i jej bicz były zbryzgane posoką, a na pancerzu kapłanki, w miejscach, gdzie zabójcze ciosy zostały z ledwością odbite, pojawiło się kilka paskudnych wgnieceń. - Jesteśmy blisko Jaelre. Musimy być. Ruszajmy dalej, zanim minotaury zorganizują następny atak.

Pozostałe drowy wymieniły spojrzenia, ale podniosły się z ziemi i weszły za Valasem i Quenthel w następny korytarz. Ten po jakichś czterystu jardach otwierał się na następną wielką salę, tym razem z wysokimi kanelowanymi kolumnami i posadzką wyłożoną dobrze dopasowanymi kamiennymi płytami. Wzdłuż ścian jaskini wznosiły się kręte schody, prowadzące na długie, osłonięte galerie, gdzie paliły się bladym światłem magiczne ogniki oświetlające pomieszczenia, które mogły być kiedyś warsztatami, kupieckimi domami lub po prostu skromnymi domostwami żołnierzy lub rzemieślników.

- Znow siedziby drowów - zauważył Ryld. - I znow opuszczone. Jesteś pewien, że to właściwe miejsce, Valasie?

Zwiadowca kiwnął głową ze znużeniem, przyciskając prawą dłoń do płytkiej, lecz krwawiącej silnie rany na lewym ramieniu.

- Byłem już kiedyś w tej jaskini - odparł. - To siedziby Jaelre. Na górze mieszkało kilku zbrojmistrzów, a przy tamtej ścianie była karczma, w której się zatrzymałem. Pałac szlachty znajduje się na końcu następnego korytarza.

Quenthel wbiegła po krótkich, zakręconych schodach i zajrzała do jakiegoś sklepu o ciemnych, pustych oknach. Zaklęła i przeszła obok kilku następnych, zaglądając do każdego, zanim zeszła na dno jaskini.

- Skoro to siedziby Jaelre, gdzie na wszystkie demony piekieł podziali się sami Jaelre? - zapytała. - Czyżby przeklęte minotaury zarżnęły ich wszystkich?

- Wątpię - powiedziała Halisstra. - Nie stoczono tu żadnej bitwy - zauważylibyśmy jakieś ślady. Nawet gdyby minotaury wyniosły stąd wszystkie ciała, widać by było ślady spalenizny, popękane kamienne płyty, szczątki połamanej broni. Myślę, że Jaelre opuścili to miejsce z własnej woli.

- Kiedy byłeś tu ostatni raz, Valasie? - zapytał Ryld.

- Prawie pięćdziesiąt lat temu - odpowiedział zwiadowca. - Wcale nie tak dawno. Jaelre często staczali wtedy potyczki z minotaurami, a te jaskinie były chronione przez fizyczne i magiczne osłony. - Uważnie przyjrzał się wielkiej sali. - Pozwólcie mi pójść przodem. Może w pałacu uda mi się znaleźć coś, co wyjaśni tę zagadkę.

- Mamy ci towarzyszyć? - zapytał Ryld.

- Lepiej nie. Do pałacu prowadzi tylko jedno wejście, a jeśli minotaury wrócą w większej liczbie,

wpadniemy w pułapkę. Zostańcie na zewnątrz, żebyście mogli uciec w razie potrzeby. Wrócę za kilka minut.

Zwiadowca wszedł się w mrok, zostawiając towarzyszy w opuszczonej sali.

- Chyba zgadzam się z panią Melarn - odezwał się Ryld. - Wygląda na to, że Jaelre zabrali wszystko co cenne i odeszli stąd.

- Tyle zachodu na darmo - stwierdził Pharaun. - Jeśli jest coś bardziej rozczarowującego niż bezowocny trud i znój, to nie wiem, co to jest.

Towarzysze stali przez chwilę w milczeniu, każdy zajęty własnymi myślami.

Halisstra słaniała się z wyczerpania, nogi miała miękkie jak z waty. Uniknęła poważniejszych obrażeń, ale z drugiej strony przez ostatnich kilka godzin prawie zupełnie wyczerpała swoje zasoby magicznej mocy, otumaniając pieśniami bae'qeshel atakujące hordy, wzmacniając nimi towarzyszy i tamując upływ krwi z najcięższych ran.

Ciszę przerwał Jeggred przyczajony za ich plecami u wylotu tunelu prowadzącego do poprzedniej komnaty.

- Jeśli zwiadowca zaraz nie wróci, znów będziemy musieli walczyć - oznajmił. - Nie słyszę już za nami minotaurów, co oznacza, że idą okrężną drogą, żeby zająć nas z innej strony.

- Chyba nauczyliśmy je już, żeby nie zbliżać się do nas długimi, prostymi tunelami - zauważył Ryld. Rozejrzał się po jaskini Jaelre wprawnym okiem. - Lepiej nie dać się im przyłapać na otwartej przestrzeni. Rozniosą nas samą przewagą liczebną.

- A jeśli to ślepy zaułek? - zapytała cicho Danifae.

- To niemożliwe - zaproponowała Quenthel. - Gdzieś w tych jaskiniach dowiemy się, dokąd uciekli Jaelre i pójdziemy za nimi. Zaszłam za daleko, żeby wracać do Menzoberranzan z pustymi rękoma.

- Bardzo to wszystko pięknie - rzekł Pharaun. - Czuję się jednak w obowiązku zauważyć, że jesteśmy wyczerpani i prawie zużyliśmy całe nasze magiczne zasoby. Błąkanie się po tych salach i korytarzach, aż minotaury zdołają schwytać nas w pułapkę i zabić, jest czystą głupotą. Czemu nie przyczaimy się w jednym z tych rzemieślniczych domów - powiedzmy, na tamtej galerii - i nie odpoczniemy, dopóki nie będziemy gotowi do dalszej drogi? Myślę, że uda mi się ukryć naszą obecność przed naszymi prześladowcami.

Oczy Quenthel zapłonęły ogniem, gdy odpowiedziała:

- Odpoczniemy, kiedy ja uznam to za stosowne. Na razie ruszamy dalej.

- Chyba nie rozumiesz, co mówię... - zaczął Pharaun, wstając i mówiąc krótkimi, urywanymi słowami.

- Chyba nie rozumiesz, co rozkazuję ci zrobić! - warknęła Quenthel. Obróciła się twarzą do czarodzieja i podeszła do niego. Rzemienie jej biczu wily się z ekscytacji. - Masz przestać kwestionować na każdym kroku moje przywództwo.

- Przestanę, kiedy zaczniesz dowodzić inteligentnie - odparł Pharaun, który wreszcie stracił panowanie nad sobą. - A teraz posłuchaj...

Jeggred zerwał się z dzikim warknięciem i chwycił go za barki wielkimi pazurami bojowymi, odciągając go od Quenthel i ciskając na ziemię.

- Okaż trochę szacunku! - zagrzmiał draegloth. - Zwracasz się do wysokiej kapłanki Quenthel Baenre, mistrzyni Arach-Tinilith, mistrzyni Akademii, mistrzyni Tier-Breche, pierwszej siostry domu Baenre z Menzoberranzan... ty bezczelny psie!

Oczy Pharauna miotają błyskawice, kiedy poderwał się na równe nogi. Maską dobrego humoru opadła z jego twarzy, pozostawiając wyłącznie zimną, ogromną złość.

- Nigdy więcej nie podnoś na mnie ręki - wysyczał.

Zwieszono wzdłuż boków dłonie czarodzieja poruszały się, gotowe cisnąć w draeglotha groźnymi zaklęciami. Jeggred sprężył się do skoku.

Quenthel zmieniła uchwyt na biczu i podeszła bliżej. Żmije zwijały się i wyskakiwały do przodu, atakując w podnieceniu powietrze. Ryld położył jedną dłoń na rękocyści Rozpruwacza i przyglądał się całej trójce z beznamiętnym wyrazem twarzy.

- To jakieś szaleństwo - wymamrotała Halisstra, cofając się z kuszą skierowaną w ziemię. - Musimy współpracować, jeśli chcemy wyjść stąd żywi.

Quenthel otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, może wydać rozkaz nakazujący Jeggredowi rzucić się na czarodzieja bez względu na konsekwencje, ale w tej samej chwili wrócił biegiem Valas.

Zwiadowca zatrzymał się, jednym spojrzeniem ogarniając całą sytuację.

- Co tu się dzieje? - zapytał ostrożnie.

Kiedy nikt nie odpowiedział, Bregan D'aerthe powiódł wzrokiem po towarzyszach.

- Nie mogę w to uwierzyć. Czy przez ostatnie czterdzieści godzin nie dość wam było walki? Jak możecie w ogóle myśleć o wyczerpaniu resztek sił, resztek magii, resztek waszej krwi, o wymordowaniu się nawzajem, kiedy przebiliśmy się już przez połowę przeklętego Labiryntu?

- Nie mamy ochoty wysłuchiwać twoich połajanek, najemniku - powiedziała Quenthel. - Milcz. - Rzuciła Pharaunowi wściekle spojrzenie i zatknęła bicz za pas. - Walczenie tu ze sobą nie ma sensu.

- Zgoda - powiedział Pharaun i była to chyba najbardziej zwięzła wypowiedź elokwentnego maga, jaką Halisstra usłyszała od chwili, gdy go poznała. Czerpiąc z zupełnie nieoczekiwanych zasobów dyscypliny, czarodziej powściągnął gniew i wyprostował się, rozluźniając ręce. - Nie pozwolę, żeby traktowano mnie jak zwykłego goblina. Tego nie zniosę.

- A ja nie pozwolę, żeby wciąż mnie drażniono i wyśmiewano - odparła Quenthel. - Mistrzu Hune - zwróciła się do Valasa - czy znalazłeś coś w pałacu?

Zwiadowca spojrział nerwowo na Quenthel i Pharauna, podobnie jak Halisstra i Danifae.

- Owszem - odparł. - W głównej sali pałacu znajduje się duży portal. Z odczytanych śladów wnoszę, że przeszło nim wiele osób. Podejrzewam, że dom Jaelre znajduje się gdzieś po jego drugiej stronie, w nowej siedzibie.

- Dokąd prowadzi portal? - zapytał Ryld.

Valas wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, ale jest jeden sposób, aby to sprawdzić.

- Dobrze - powiedziała Quenthel. - Natychmiast sprawdzimy znaleziony przez ciebie portal, zanim wrócą minotaury i ich demony. Za kilka minut każde miejsce będzie lepsze od tego.

Obrzuciła ostatnim długim spojrzeniem Pharauna, który miał dość oleju w głowie, żeby odwrócić wzrok.

Halisstra wypuściła z płuc powietrze, które, choć nie zdawała sobie z tego sprawy, wstrzymywała.

ROZDZIAŁ 10

- Tego się nie spodziewałem - powiedział Pharaun.

Czarodziej westchnął i usiadł na kamieniu, pozwalając plecakowi osunąć się na porośniętą mchem ziemię. Drużyna stała u wylotu niskiej jaskini, której strop otwierał się na skąpany w świetle dnia las gdzieś na powierzchni. Portal Jaelre znajdował się kilkaset jardów za nimi, w wilgotnej, krętej pieczarze kończącej się wielkim lejem krasowym o stromych ścianach zarzuconych omszałymi głazami, między którym szemrały spływające z góry strumyczki zimnej wody.

Dzień był bardzo pochmurny - właściwie padał lekki deszcz - i chmury, w połączeniu z panującym w lesie mrokiem, pomagały złagodzić nieznośny blask słońca. Dzień nie był aż tak jasny jak ten, który przeżyli pod bezchmurnym niebem pustyni Anauroch dziesięć dni temu, ale oczom od dawna przywykłym do całkowitych ciemności Podmroku rozproszone światło słoneczne wydawało się tak ostre jak błysk gromu.

- Idziemy dalej? - zapytał Ryld. Rozpruwacza schował do pochwy przerzuconej ukośnie przez plecy, ale trzymał w ręku kuszę i mrużąc oczy wpatrywał się wysokie zielone drzewa. - Minotaury szybko odgadną, dokąd poszliśmy.

- To bez znaczenia - powiedział Pharaun. - Portal został skonstruowany tak, żeby służyć wyłącznie drowom. Naszym przyjaciółom w Labiryncie wyda się wyłącznie gładką skalną powierzchnią. Rozsądne posunięcie ze strony Jaelre, choć na ich miejscu nie wykluczyłbym możliwości ataku ze strony własnej rasy.

- Jesteś tego pewny? - zapytała Quenthel.

Czarodziej kiwnął głową.

- Zbadałem portal, zanim w niego wkroczyliśmy. Wskakiwanie na oślep w portal to zły zwyczaj i powinien być zarezerwowany tylko dla sytuacji wyjątkowych, takich jak ucieczka przed niechybną śmiercią z walącego się miasta. I uprzedzając wasze pytania: tak, możemy wrócić tą samą drogą. Portal działa w obie strony.

- Nie spieszo mi wracać do Labiryntu. Lepsza już spalona słońcem powierzchnia - mruknęła Halistra.

Ruszyła dnem leja, przyglądając się lasowi nad głową. Powietrze było chłodne i zauważyła, że w pobliżu rosną głównie drzewa iglaste, drzewa, które zimą pozostają zielone, jeśli dobrze pamiętała. Pomiędzy nimi trafiały się tu i ówdzie nagie drzewa innego rodzaju, drzewa o smukłych białych pniach i tylko garstce postrzępionych czerwonych i brązowych liści tworzących w koronie nieregularną kępę.

Martwe? - zastanawiała się. Czy tylko zrzuciły listowie na zimowe miesiące? Czytała wiele o Świecie Ponad, zamieszkujących go ludach, roślinach i zwierzętach, zmieniających się porach roku, ale była ogromna różnica pomiędzy czytaniem o czymś, a zobaczeniem tego na własne oczy.

- Gdzie na powierzchni wylądowaliśmy? - zapytała Quenthel.

Valas długo wpatrywał się w drzewa i wyciągał szyję, spoglądając spod zmrużonych powiek na świecący blado kłęb chmur przesłaniających słońce. Obrócił się powoli, żeby przyjrzeć się zboczowi pobliskiego wzgórza. W końcu ukląkł i przesunął palcami po miękkim zielonym mchu porastającym głazy u wylotu jaskini.

- Północny Faerun - orzekł. - Jest wczesna zima. Nie widać słońca na tyle dobrze, żeby ocenić jego pozycję na niebie, ale z całą pewnością je czuję, podobnie jak my wszyscy, jak przypuszczam. Znajdujemy się na mniej więcej tej samej szerokości co krainy nad Menzoberranzan, z tolerancją do kilkuset mil na północ lub na południe, tak mi się wydaje.

- A więc gdzieś w Wysokim Lesie, tak? - zapytała Danifae.

- Możliwe. Drzewa mają nieco inny wygląd. Podróżowałem po powierzchni w pobliżu naszego miasta i z tego, co pamiętam, tutejsze rośliny wyglądają nieco inaczej niż te w Wysokim Lesie. Od Menzoberranzan może nas dzielić spory kawałek drogi.

- Wspaniale - wymamrotał Pharaun. - Podróżujemy przez Podmrok do Ched Nasad, jesteśmy zmuszeni skorzystać z portalu, który wyrzuca nas na powierzchnię setki mil od domu, wracamy do Podmroku przez cienie i niebezpieczeństwa, tylko po to, żeby przejść przez kolejny portal, który wyrzuca nas na powierzchnię, możliwe że jeszcze dalej od naszego miasta. Może mogliśmy po prostu dojść tutaj z Hlaungadath, rezygnując z wątpliwej przyjemności wędrowania przez Plan Cieni, zniewalającej gościnności Gracklstugh i czarującej wycieczki przez rojącą się od minotaurów Labirynt.

- Humor ci się poprawia, Pharaunie - zauważył Ryld. - Sarkazm znów zaczął ci dopisywać.
- To ostrzejszy oręż od twego miecza, przyjacielu, i równie zabójczy, jeśli właściwie używany - powiedział czarodziej. Przesunął palcami po torsie i wzdrygnął się. - Czuję się na wpółmartwy. Za każdym razem, kiedy się obracałem, jakieś zwaliste bydlę o byczym łbie usiłowało rozplatać mnie na pół toporem albo przyspilić włócznią do ziemi. Czy mogę poprosić cię o jedną z twoich pieśni uzdrawiających, droga pani? - zwrócił się do Halisstry.
- Nie lecz jego obrażeń - warknęła Quenthel. Wciąż stała z jedną dłonią przyciśniętą do piersi, a spomiędzy jej palców sączyła się krew. - Nikt nie jest śmiertelnie ranny. Oszczędzaj swoją magię.
- To właśnie miałem na myśli... - zaczął Pharaun, podnosząc się z głazu i patrząc na Quenthel spoode łba.
- Przestańcie! - krzyknęła Halisstra. - Wyczerpałam moc moich pieśni, więc nie ma to znaczenia. Kiedy odzyskam magiczną moc, wyleczę wszystkich, którzy tego potrzebują, bo głupotą jest dalsza podróż w takim stanie. Do tego czasu będziemy musieli zdać się na zwykłe metody. Danifae, pomóż mi opatrzyć rany.
- Branka podeszła do stojącego nieopodal Jeggreda i gestem poleciła mu usiąść, zrzucając z ramion plecak, żeby wydobyć z niego bandaże i maści. Draegloth nie protestował, co było wiadomą oznaką tego, jak bardzo jest wyczerpany.
- Halisstra spojrzała na pozostałych i uznała, że czarodziej najbardziej potrzebuje jej pomocy. Zmusiła go, żeby usiadł z powrotem na głazie i wyciągnęła własne zapasy bandaży. Obejrzała ramię, które Jeggred poszarpał pazurami do żywego mięsa i zaczęła nakładać na nie maść zakupioną w Gracklstugh.
- Będzie piekło - uprzedziła miłym głosem.
- Pharaun zmełł w ustach plugawe przekleństwo i podskoczył jak dźgnięty ożogiem, krzycząc z bólu.
- Zrobiłaś to specjalnie! - powiedział oskarżycielskim tonem.
- Oczywiście - odparła Halisstra.
- Podczas gdy ona i Danifae zajmowały się pozostałymi, Valas wdrapał się na górę wąską ścieżką biegnącą po ścianie leja. Zbadał uważnie ziemię i przystanął na chwilę, wpatrując się w zamyśleniu w las dookoła.
- Halisstra spojrzała na niego i zapytała:
- Odkryłeś coś interesującego, mistrzu Hune?
- Z jaskini do lasu prowadzi ścieżka - odpowiedział Bregan D'aerthe - ale nie potrafię powiedzieć, dokąd poszli Jaelre. Krzyżuje się tutaj kilka drózek wydeptanych przez zwierzęta, ale żadna z nich nie wygląda na używaną przez jakiś lud.
- W pałacu Jaelre w Labiryncie twierdziłeś, że znalazłeś znaki świadczące niezbiecie, że skorzystali z portalu. Jak to możliwe, że po tej stronie nie ma żadnych śladów? - dopytywała się Quenthel.
- Pył i piach w Podmroku potrafią przechować czyjeś ślady przez wiele lat, pani. Na powierzchni nie jest to takie proste. Pada deszcz, śnieg, nieuczyszczane ścieżki szybko zarastają trawą. Gdyby Jaelre przechodzili tędy w ciągu ostatnich dziesięciu czy dwudziestu dni, pewnie zauważyłbym ich ślady, ale jeśli przechodzili tędy pięć albo dziesięć lat temu, wszystkie ślady dawno już zniknęły.
- Nie zaszli daleko po powierzchni - zastanawiała się na głos Quenthel. - Nie mogą być daleko stąd.
- Zapewne masz rację, pani - rzekł Valas. - Jaelre z pewnością woleli wędrować w nocy, w dzień pozostając pod osłoną drzew. Jeśli to bardzo duży las - Wysoki Las, a może Cormanthor - mogą być setki mil stąd.
- To bardzo pokrzepiająca myśl - wymamrotał Pharaun. - Po co w ogóle się tu pchali? Nie przyszło im do głowy, że mieszkańcy powierzchni zaszlachtują ich równie skwapliwie jak minotaury?
- Kiedy znałem ich lata temu, Tzirik i jego pobratymcy wspominali od czasu do czasu o powrocie na powierzchnię - powiedział Valas. Odwrócił się plecami do lasu i lekko zeskoczył na dno leja. - Odzyskanie Świata Ponad jest częścią doktryny Pana w Masce, a dowódcy i władcy domu Jaelre zastanawiali się czy nie potraktować tak zwanego Odwrotu naszych oślepionych światłem pobratymców jako zachęty do uznania opuszczonych przez nich ziem za swoje.
- Czy w Ched Nasad nie przyszło ci do głowy, że twoi znajomkowie-heretycy mogą postanowić spełnić swoje mrzonki i opuścić tę czarną, spustoszoną przez demony norę, którą nazywali domem? - zapytała Quenthel. - Czy nie przyszło ci wtedy do głowy, że możesz nas prowadzić w ślepią uliczkę?

Zwiadowca Bregan D'aerthe poruszył się nerwowo pod spojrzeniem Quenthel i powiedział:

- Nie widziałem lepszego wyjścia, pani. Nie, jeśli naprawdę chcemy dociec prawdy.
- Tak bardzo chciałeś rozwikłać zagadkę milczenia Pajęczej Królowej, że postanowiłeś postawić na to, iż twój przyjaciel Tzirik wciąż mieszka w Labiryncie, chociaż wiedziałeś, że jego dom od lat planuje stamtąd uciec? - zapytał Ryld. - Naraziliśmy się na wiele niebezpieczeństw w mieście duergarów i krainie minotaurów, żeby zaspokoić twoją ciekawość.
- Może wcale nie mieliśmy odnaleźć tego Tzirika - powiedziała Quenthel. - Może mistrz Hune przez ostatnie kilkadziesiąt dni starał się odciągnąć nas od prawdziwego celu naszej misji i może wcale nie robił tego przez przypadek.
- Kiedy zastanawialiśmy się nad powrotem do Menzoberranzan - przypomniał Jeggred - to Bregan D'aerthe namawiał nas na odszukanie tego kapłana Tzirik, heretyckiego kapłana, o którym żadne z nas oprócz Valasa nigdy nie słyszało. - Draegloth podniósł się i odtrącił Danifae na bok, mrużąc oczy i zaciskając cztery szponiaste łapy w pięści. - Wszystko stało się jasne. Nasz przewodnik jest heretykiem czczącym Vhaerauna i wiernie służył Panu w Masce, narażając nas przez wiele dni na niepotrzebne niebezpieczeństwa.
- To absurd - zaprotestował Valas. - Nie poprowadziłbym Bregan D'aerthe do obrony Menzoberranzan, gdybym był wrogiem miasta.
- Przecież to klasyczny wybieg - mruknęła Danifae. - Przedstaw swoim ofiarom agenta, który ma na nie sprowadzić zagładę, dostarczając im powodów, by mu ufać. W twoim wypadku zostało to wyjątkowo umiejętnie przeprowadzone.
- Nawet gdyby tak było - powiedział Valas - dlaczego nie wydałem was duergarom w Gracklstugh? Albo nie zostawiłem na pastwę minotaurów w Labiryncie? Mogłem pozwolić wam umrzeć, zamiast opóźniać podróż. Gdybym był waszym wrogiem, możecie być pewni, że właśnie tak bym postąpił.
- Być może ściągnąłbyś na siebie niebezpieczeństwo, zdradzając nas w Gracklstugh albo Labiryncie - podsunął Pharaun. - Wysunąłeś jednak przekonujący argument we własnej obronie.
- Gładkie kłamstwa zdrajcy, ot co - warknął Jeggred. Spojrzał na Quenthel. - Rozkazuj mi, pani. Czy mam go rozszarpać na sztuki?

Valas opuścił ręce na rękojeści kukrisów i oblizał wargi. Był szary ze strachu, ale oczy błyskały mu gniewem. Wszyscy pozostali spojrzeli na Quenthel, która wciąż stała oparta o głaz. Milczała, słysząc tylko plusk deszczu w lesie i ćwierkające w oddali ptaki.

- Na razie powstrzymam się od osądu - orzekła, wpatrując się w zwiadowcę. - Jeśli jesteś wobec nas lojalny, potrzebujemy cię, żeby odszukać Tzirika, o ile kapłan Vhaerauna w ogóle istnieje, rzecz jasna, ale dobrze ci radzę, mistrzu Hune, odnaleźć szybko Jaelre i ich wysokiego kapłana.
- Nie mam pojęcia, gdzie mogą być - powiedział Valas. - Równie dobrze możesz mnie skazać teraz i czekać na odpowiedź Bregan D'aerthe.

Quenthel i Jeggred wymienili długie spojrzenie. Draegloth uśmiechnął się, w ciemnym pysku draeglotha błysnęły ostre jak szpilki kły.

Halisstra nie była pewna, co ma myśleć, jako że знаła zwiadowcę od ledwie dziesięciu dni i nie wiedziała, co mogło lub nie mogło się wydarzyć w Menzoberranzan, zanim Menzoberranzańczycy przybyli do Ched Nasad. Miała jednak pewność, że wszyscy będą żałować, jeśli Quenthel każe zabić Valasa i okaże się, że zwiadowca jest im jednak nadal potrzebny albo potężna gildia najemników postanowi zemścić się za śmierć swojego zwiadowcy.

- Jak najlepiej zlokalizować Jaelre? - zapytała, próbując zmienić temat rozmowy na mniej niebezpieczny.

Valas zawahał się.

- Jak zauważyła pani Quenthel, raczej nie odeszli daleko. Możemy prowadzić poszukiwania po spirali, aż natrafimy na jakiś ślad.
- Plan ten wydaje się męczący i żmudny - stwierdził Pharaun. - Nie zachwyca mnie perspektywa błąkania się bez celu po tych oślepiających lasach.
- Możemy znaleźć jakiegoś mieszkańca powierzchni i pociągnąć go za język - podsunął Ryld. - Zakładając, ma się rozumieć, że ktoś w ogóle mieszka w pobliżu i zna miejsce pobytu Jaelre.
- Musielibyśmy wyruszyć na poszukiwania mieszkańców powierzchni, bo jak na złość żadnych nie ma w pobliżu - zauważył Pharaun. - Twój plan nie różni się znacząco od planu mistrza Hune.
- Co w takim razie proponujesz? - zapytała Quenthel lodowatym tonem.

- Pozwól mi odpocząć i przestudiować moje księgi. Rano przygotuję zaklęcie, które może wyjawia mi miejsce pobytu naszego zagubionego domu heretyckich wygnańców. - Uniósł rękę, by uprzedzić kapłankę Baenre i dodał: - Wiem, wiem, wolałabyś ruszać w drogę już teraz, ale jeśli uda mi się wywieszczyć cel naszych poszukiwań, oszczędzi nam to wielu godzin marszu w niewłaściwym kierunku. Zaś uroczą pani Melarn zyska szansę zregenerowania mocy magicznej i wyleczenia nas z najpoważniejszych obrażeń.

- Twoje zaklęcia mogą ci niczego nie wyjawiać - powiedziała Quenthel. - Wiadomo, że magia tego rodzaju jest nieprzewidywalna.

Pharaun tylko na nią popatrzył.

Quenthel spojrzała na niebo nad głową, mrugając w bezlitosnym szarym świetle przenikającym przez chmury. Westchnęła i znów popatrzyła na pozostałych, na długo zatrzymując wzrok na Danifae. Branka niemal niezauważalnie skinęła głową, tak że Halisstra nie była nawet pewna czy rzeczywiście coś widziała.

- Dobrze więc - oznajmiła w końcu mistrzyni Arach-Tinilith. - I tak rozsądniej będzie poczekać na osłonę ciemności, rozbijemy zatem obóz w jaskini na dole, gdzie przekłete światło słoneczne nie będzie nam się aż tak bardzo dawać we znaki. Mistrzu Hune, masz trzymać się blisko mnie, dopóki nie znajdziemy tego twojego Tzirika.

* * *

Nimor Imphraezl szedł szybko wąską półką, mając po prawej długi szereg maszerujących duergarów, a po lewej czarną czeluść. Przeprowadzenie kilkutyśięcnej armii przez mroczne i pozbawione światła drogi Podmroku było ogromnym przedsięwzięciem, a wiele węższych, bardziej bezpośrednich tras było po prostu nieprzejezdnych dla takiej liczby wojsk. Pozostawały wyłącznie najobszerniejsze jaskinie i tunele, a te trasy często oznaczały niebezpieczeństwa, których można by uniknąć, przemieszczając się bocznymi korytarzami.

Droga przylegała do grani wielkiego podziemnego wąwozu biegnącego na północ przez czterdzieści mil od Gracklstugh. Armia szarych krasnoludów maszerowała tego dnia dopiero od dwóch godzin, a już zdążyła stracić jucznego jaszczura - i pięciu żołnierzy, którzy mieli pecha znaleźć się obok zwierzęcia - który padł ofiarą roju głodnych yrthaków atakujących górską drogę dźwiękowymi eksplozjami.

Niewielka strata, stwierdził Nimor, ale każdy dzień przynosił jakiś nieszczęśliwy wypadek i armia powoli zaczynała topnieć. Prawdę powiedziawszy, skrytobójca Jaerred Chaulssin nie zdawał sobie wcześniej sprawy, jak wielkiego wysiłku wymaga przeprowadzenie wielkiej, dobrze wyposażonej armii przez Podmrok. Wielokrotnie podróżował podziemnymi drogami sam lub w towarzystwie niewielkiej grupy kupców albo zwiadowców, z małym bagażem, korzystając z sekretnych skrótów i sobie tylko znanych kryjówek ukrytych wzdłuż głównych tras podróży. Po przemaszerowaniu kilku dni razem z armią, mając aż nadto okazji, by obserwować pomniejsze przeszkody, trudności i wyzwania, jakich nawet sobie wcześniej nie wyobrażał, Nimor nabrał szacunku dla skali, na jaką zakrojono wojenną wyprawę. Duergarom musiało bardzo zależeć na tym, żeby zadać śmiertelny cios zagrożonym sąsiadom, skoro godzili się na ogromne straty w zwierzętach, żołnierzach i materiałach niezbędnych na polu bitwy.

Skrytobójca minął niebezpieczny zakręt i zrównał się z dyliżansem księcia lewitującym żelaznym kadłubem mierzącym trzydzieści stóp długości i dziesięć szerokości, który za sprawą magii unosił się nie tylko nad ziemią, ale poruszał się również w kierunku wskazanym przez kontrolujące go krasnoludy. Paskudny czarny pojazd był najeżony kolcami dla obrony przed napastnikami i uzbrojonymi otworami, przez które pasażerowie mogli ciskać pociski lub zabójcze zaklęcia. Dyliżans miał kilka dużych, przesłoniętych okiennicami okien, które były teraz otwarte i przez nie Nimor dostrzegł krzątających się w ciszy dowódców duergarów i ich adiutantów. Pojazd służył przebywającemu w polu księciu za centrum dowodzenia, tron i sypialnię. Było to idealne ucieleśnienie podejścia krasnoludów do tworzonych przez nie przedmiotów, stwierdził Nimor, urządzenie wykonane z kunsztem i nasycone potężną magią, ale całkowicie pozbawione wdzięku i piękna.

Lekkim susem wskoczył na stopień dyliżansu i wszedł do środka przez grube żelazne drzwi. Wewnątrz błękitne kule emanowały przytłumionym światłem, oświetlając wielki stół, na którym leżała mapa tuneli i jaskiń pomiędzy Gracklstugh a Menzoberranzan. Tu lordowie i dowódcy krasnoludów śledzili marsz swojej armii i planowali nadchodzące bitwy. Skrytobójca jednym spojrzeniem ogarnął

różnych oficerów i służbę, po czym zwrócił się w stronę podwyższenia na środku dyliżansu. Pan Miasta Kling siedział za wysokim stołem ze swoimi najważniejszymi doradcami i nadzorował układanie planów.

- Dobre wieści, mój książę - oznajmił Nimor, wkraczając w krąg kapitanów i gwardzistów otaczających Horgara Steelshadow. - Otrzymałem wiadomość, że arcymag Menzoberranzan, stary Gromph Baenre we własnej osobie, został wyeliminowany z rozgrywanej przez nas partii savy. Matki opiekunki nie spodziewają się jeszcze, że zbliżamy się do ich terytorium.

- Skoro tak twierdzisz - odparł opryskliwie władca duergarów. - Dotychczasowe doświadczenia z mrocznymi elfami podpowiadają mi, żeby nie wykluczać arcymaga z gry, dopóki nie zginie od mojego własnego młota.

Zebrane wokół Horgara krasnoludy pokiwały głowami, przyglądając się Nimorowi z nieskrywaną podejrzliwością. Drow renegat mógł być użytecznym sojusznikiem w wojnie z Menzoberranzan, ale nie oznaczało to wcale, że widzieli w nim godnego zaufania współnika.

Nimor zauważył złoty dzban stojący obok wysokiego stołu i napełnił winem wielki kielich.

- Gromph Baenre nie jest jedynym biegłym w sztuce czarodziejem w Menzoberranzan - warknął Borwald Firehand. Niski i krępy nawet jak na szarego krasnoluda, marszałek zacisnął wielkie, mocne dłonie na krawędzi stołu i pochylił się nad nim, mierząc skrytobójcą gniewnym spojrzeniem. - Ta ich przeklęta szkoła czarodziejów jest pełna utalentowanych magów. Twoi sprzymierzeńcy pospieszyli się, drowie. Od Menzoberranzan wciąż dzieli nas piętnaście dni drogi, a śmierć Grompha wywoła alarm.

- Rozsądna uwaga, ale nie do końca słuszna - powiedział Nimor. Pociągnął z kielicha głęboki łyk, rozkoszując się tą chwilą. - Wkrótce zorientują się, że Gromph zniknął, to pewne, ale zamiast skierować magiczne spojrzenie na Podmrok i wyglądać zbliżających się nieprzyjaciół, każdy mistrz Sorcere będzie bezskutecznie poszukiwał arcymaga i spiskował przeciwko swoim kolegom. Kiedy armia księcia będzie się zbliżać, najpotężniejsi magowie w mieście będą śledzić uważnie poczynania rywali, a niektórzy z pewnością spróbują zamordować swoich kolegów, aby zająć wolne stanowisko arcymaga.

- Mistrzowie Sorcere z pewnością odłożą na bok osobiste ambicje, kiedy uświadomią sobie zagrażające im niebezpieczeństwo - powiedział książę. Przerwał Nimorowi oszczędnym gestem i dodał: - Tak, wiem, twierdzisz, że jest inaczej, ale roztropniej będzie przygotować się na konfrontację z dobrze zorganizowaną magiczną obroną miasta. Był to jednak celny cios, bardzo celny.

Wstał i przepchnął się między swoimi przywódcami klanowymi i gwardzistami do stołu z mapą, dając Nimorowi znak, żeby do niego dołączył. Skrytobójca okrążył stół, aby wysłuchać słów władcy duergarów. Horgar pokazał ich trasę grubym palcem.

- Jeśli czarodzieje z Menzoberranzan nie wykryją naszego pochodzenia - rzekł Horgar - powstaje pytanie, w którym momencie zauważą niebezpieczeństwo?

Lord Borwald przepchnął się do stołu i wskazał jakąś jaskinię.

- Zakładając, że nie natkniemy się na żadne patrole drowów, pierwszym punktem, gdzie spotkamy nieprzyjaciela, jest ta jaskinia zwana Dylematem Rhaztta. Menzoberranzańczycy od dawna utrzymują tam mały posterunek obserwacyjny, gdyż jest to jedna z niewielu dróg dość szerokich, żeby mogła z nich korzystać armia. Nasza awangarda powinna tam dotrzeć za kilka dni. Potem droga rozwidła się i będziemy musieli podjąć pierwszą trudną decyzję. Możemy wybrać drogę na północ, przez Słupy Żalu albo okrążyć Słupy od zachodu, co wydłuży nasz marsz przynajmniej o sześć dni. Słupy będą prawdopodobnie obsadzone przez drowy i możemy je oblegać w nieskończoność.

- Słupy Żalu... - powtórzył Horgar. Książę targał siwą brodę, przyglądając się mapie. - Kiedy drowy dowiedzą się, że nadchodzimy, z pewnością przesuną tam swoje oddziały i będą bronić przełęczy. A zatem wybór tej drogi nie ma sensu. Pójdziemy okrężną trasą od zachodu, żeby zająć miasto z drugiej strony. Nadłożymy drogi, ale nic się na to nie poradzi.

- Wręcz przeciwnie, myślałem o wybraniu krótszej trasy - powiedział Nimor. - Przejście przez Słupy Żalu skróci marsz o sześć dni, a kiedy będziecie już po drugiej stronie, znajdziecie się na progu Menzoberranzan. Jeśli wybierzecie zachodnie przełęczce, przyjdzie wam maszerować przez o wiele trudniejszy teren.

Władca duergarów prychnął.

- Może nie podróżowałeś tędy wcześniej, Nimorze. To ty wybrałeś trudną drogę, skoro chciałeś sfinansować Słupy Żalu. Wąwóz zwęża się tam i stromo podchodzi pod górę. Wylot zagradzają dwie wielkie kolumny, pomiędzy którymi biegnie wąska droga. Nawet niewielkie siły drowów mogą bronić tej przełęczy w nieskończoność.

- Możesz ubiec Menzoberranzańczyków, księżę - powiedział skrytobójca. - Zdobę dla ciebie posterunek w Dylemacie Rhazzta. Pozwolimy obrońcom zdać raport o zbliżającej się armii duergarów, ale zanim wieść ta dotrze do matek opiekunek, twoje siły pospieszą do Słupów Żalu, by zastawić tam śmiertelną pułapkę. Tam rozniesiesz armię władczyń miasta, wysłaną, aby bronić przełęczy.
- Skoro możesz zdobyć posterunek, drowie, po co w ogóle pozwolić żołnierzom wysłać ostrzeżenie? - warknął Borwald. - Lepiej zachować nasze nadejście w tajemnicy.
- Szczyt zdrady - rzekł Nimor - nie polega na pozbawieniu nieprzyjaciela informacji, ale na pokazaniu mu tego, co chce zobaczyć. Nawet pomimo zaaranżowanego przez nas zamachu na czarodziejów, wkrótce i tak zauważą, że się zbliżamy. Najkorzystniej dla nas będzie kontrolować okoliczności, w jakich władczynie Menzoberranzan dowiedzą się o księżęcej armii, a może nawet przewidzieć ich reakcję.
- Zaintrygowałeś mnie. Mów dalej - powiedział Horgar.
- Żołnierze z Menzoberranzan spodziewają się, że pochód armii zbliżającej się tą drogą zostanie zahamowany przez siły broniące Dylematu Rhazzta, dzięki czemu miasto będzie miało czas na obsadzenie gardzieli przy Słupach Żalu siłami na tyle licznymi, by odeprzeć każdy następny atak. Sugeruję, żebyś pozwolił żołnierzom z posterunku złożyć raport i ostrzec władczynie Menzoberranzan. Zanim matki opiekunki zmobilizują wojska, które będą mogły się z tobą zmierzyć, weźmiemy Dylemat Rhazzta szturmem. Na drowy zaczekamy przy Słupach Żalu.
- Twój plan ma dwa zasadnicze mankamenty - odezwał się Borwald ze wzgardą. - Po pierwsze zakładasz, że możemy w każdej chwili zdobyć posterunek. Po drugie, uważasz, że matki opiekunki wyślą nam swoją armię na spotkanie, zamiast czekać w mieście na oblężenie. Wiele bym dał, żeby się dowiedzieć, jak zamierzasz dokonać tych dwóch rzeczy.
- W prosty sposób - odparł skrytobójca. - Posterunek upadnie, ponieważ większość jego załogi została ściągnięta do utrzymywania porządku w mieście. Większość żołnierzy, która pozostała, należy do domu Agrach Dyr. Dlatego nalegałem, żebyście wybrali tę drogę. W odpowiednim czasie posterunek zostanie oddany w wasze ręce.
- Wiedziałeś o tym, zanim wyruszyliśmy - rzekł Horgar. - W przyszłości masz dzielić się ze mną takimi informacjami w stosowniejszej chwili. Co byśmy zrobili, gdyby po drodze spotkał cię jakiś wypadek? Musimy dokładnie wiedzieć, jak możesz nam pomóc i kiedy.
- Nimor roześmiał się cicho.
- Naszej przyszłej przyjaźni dobrze by zrobiło, księżę Horgarze, gdybyś od czasu do czasu zadał sobie pytanie, jak pomocny mogę się okazać.

* * *

Halisstra wybudziła się z Zadumy i odkryła, że jest zziębnięta i przemoczona. Przez noc na las spadła leciutka warstwa jakiejś paskudnej substancji, która musiała być śniegiem, przykrywając każdą gałąź cienką warstwą skrzącej się bieli. Nowość tego doświadczenia szybko jej się opatrzyła, zwłaszcza kiedy dotarło do niej, że jej ubrania i piwafwi są przesiąknięte lodowatą wodą. Rzeczywisty śnieg na powierzchni był znacznie mniej nęcący niż jakikolwiek opis tego zjawiska, jaki przeczytała w zaciszu domowej biblioteki.

Niebo znów zaciągnęło się szarymi chmurami, ale było jaśniej niż poprzedniego dnia - wystarczająco jasno, by dawało się to drowom we znaki. Ponieważ Quenthel nie wygoniła ich na światło słoneczne zaraz po tym, jak Pharaun odpoczął i przestudiował swoje magiczne księgi, większość dnia spędzili ukryci głęboko w jaskini. Drużyna zabrała się za zwijanie obozowiska dopiero po południu, kiedy słońce zaczynało się już chylić ku zachodowi.

- Przypomnijcie mi, żebym poszukał metody zgaszenia tej piekielnej kuli - powiedział Pharaun, wpatrując się spod przymrużonych powiek w ciężkie od śniegu chmury. - Wciąż tam jest za tymi wszystkimi błogosławionymi chmurami i razi mnie w oczy.

- Nie jesteś pierwszym drowem, któremu jego światło sprawia ból - odparła Quenthel. - Im więcej na nie narzekasz, tym bardziej mnie ono drażni, więc zachowaj swoje narzekania dla siebie i zabierz się za rzucanie czarów.

- Oczywiście, o potężna mistrzyni - odpowiedział Pharaun zgryźliwym tonem.

Odwrócił się i oddalił spiesznie, omijając ośnieżone kamienie i głazy, zanim Quenthel zdobyła się na odpowiednią ripostę. Baenre wymamrotała pod nosem ohydne przekleństwo, obróciła się i zajęła

obserwowaniem Danifae, która chowała jej posłanie i koce do swojego plecaka. Reszta drużyny milczała jak zaklęta, udając, że nie zauważyła niczego, co wydarzyło się pomiędzy Quenthel i Pharaunem, czy Quenthel i Danifae. Zebrali swoje rzeczy i zwinęli obóz.

Halisstra podniosła swój tobolek i ruszyła za Pharaunem dnem leja, wdrapując się za nim ukrytą ścieżką prowadzącą do lasu. Stojąc na polanie otaczającej zapadlisko, gdzie wylot jaskini podkopał zbocze wzgórza, odkryła, że las jest bardzo gęsty i napiera na nich ze wszystkich stron. Wszędzie, gdzie spojrzęła, wznosiła się ściana drzew i krzewów, zielona bariera pozbawiona znaków charakterystycznych, odległych szczytów, które umożliwiłyby orientację w terenie, nie było tu nawet wysypanych piaskiem ulic biegnących według regularnego planu. Nawet w najbardziej krętych jaskiniach Podmroku miało się ograniczony wybór - naprzód lub wstecz, prawo - lewo, góra - dół. W lesie mogła pójść w każdym kierunku i nie dojść donikąd. Było to niepokojące i nieznanne jej uczucie.

Zakończyła uważne oględziny zalesionego zbocza i spojrzęła na Pharauna. Reszta drużyny też mu się przyglądała, siedząc lub kucając na piętach i osłaniając twarze dłońmi w oczekiwaniu na wskazówki czarodzieja.

- Jeśli coś powiem - odezwał się Pharaun, wpatrując się w drzewa i mówiąc przez ramię - cokolwiek, zapamiętajcie to dokładnie. Mogę nie zrozumieć tego, co widzę.

Rozpostarł szeroko ramiona i zamknął oczy, szepcząc chrapliwe sylaby zaklęcia i obracając się powoli dookoła.

Halisstrę ogarnęło niesamowite wrażenie działania magii, doznanie niemal namacalne, a jednak niesłychanie odległe. Zerwał się dziwny, zimny wiatr, który zaszumiał w koronach drzew, przyginając je najpierw w jedną, potem w drugą stronę, wzmagając się z każdą chwilą. Czapy śniegu poruszyły się i spadły z gałęzi, gdy dziwny powiew przeszedł w dziką, gwizdzącą wichurę. Halisstra uniosła rękę, aby osłonić oczy przed tumanami kurzu i piachu. Przez to wszystko słyszała głos Pharauna, który robił się coraz głębszy i potężniejszy, w miarę jak zaklęcie zaczynało żyć własnym życiem i wydawało się wyrwać mu się z gardła. Straciła grunt pod nogami i osunęła się niezdarnie na jedno kolano, włosy łopotały jej wokół głowy jak żywa istota.

Magia zaklęcia wieszczącego uniosła Pharauna w powietrze. Z rozpostartymi wciąż ramionami obracał się w powietrzu, targany podmuchami wiatru. Oczy miał puste i srebrne, zwrócone ku niebu. Wokół ciała czarodzieja zaczął się tworzyć nimb zielonej energii i mag zawył z bólu. Błyskawice szmaragdowego ognia wystrzeliły z otaczającej go aureoli, smagając i bijąc w okoliczne głązy. Każdy zielony promień wchodził w skałę jak rapier w ciało, rozszczepiając je i rozłupując z ogłuszającym hukiem. Tam gdzie trafiły zielone pioruny, na uszkodzonych głązach pojawiały się czarne runy albo wzory, jak gdyby wytrawione kwasem w odsłoniętej skale. Halisstrę bolały oczy od patrzenia na nie. Zawieszony w powietrzu na środku polany Pharaun zaczął mamrotać straszliwym głosem, którego nie były w stanie zagłuszyć wichura ani gromy.

- Pięć dni na zachód stąd płynie rwąca rzeczka - zaintonował czarodziej. - Skręćcie na południe i podążajcie w górę jej biegu przez kolejny dzień, aż dotrzecie do bram twierdzy Minauth. Mieszka tam sługa Pana w Masce. Pomoże wam i zdradzi was, choć w sposób, jakiego się nie spodziewacie. Każde z was prócz jednego dopuści się zdrady, zanim wasza misja zostanie wypełniona.

Zaklęcie przestało działać. Wicher ucichł, zielona energia rozproszyła się, a Pharaun runął w dół, jak gdyby zleciał z dachu. Czarodziej upadł krzywo na twardą ziemię i zwinął się w kłębek, z twarzą w zimnej brei przykrywającej ziemię. Kiedy echa gwałtowności zaklęcia zapadły się w ośnieżony las, czarne runy wyryte w głązach i kamieniach również zbladły, odpadając płatkami czarnego kurzu, który wyparował w kilka chwil.

Reszta drużyny wyprostowała się i wymieniła ponure spojrzenia.

- Teraz rozumiem, czemu nie spieszyło mu się z rzucaniem tego czaru - zauważył Ryld.

Podszedł do Pharauna, złapał go za jedno poruszające się słabo ramię, odwrócił go na wznak i sprawdził, czy nie odniósł żadnych obrażeń. Mag spojrzęła na niego i zdołał przywołać na twarz słaby uśmiech.

- Mamy zatem dobre i złe wiadomości - powiedział. - Przynajmniej wygląda na to, że Tzirik żyje.

- Wskazówki są jasne - powiedział ostrożnie Valas. - Myślę, że utrzymanie kursu na zachód nie sprawi mi kłopotu.

- Co miało oznaczać to ostatnie zdanie? - zapytał Jeggred Pharauna, ignorując Valasa. - To o zdradzie?

Draegloth zacisnął pięści.

- Że każde z nas kogoś zdradzi? Nie mam pojęcia - odparł czarodziej. Zakaszłał i usiadł prosto, zbywając pomoc Rylda machnięciem ręki. - W naturze magii leży udzielanie tajemniczych przepowiedni takich jak ta, przerażających zagadek, których nie masz szans rozwikłać, dopóki nie staje się nagle jasne, że to, czego się obawiałeś, właśnie się wydarzyło. - Zachichotał kwaśno. - Jeśli tylko jedno z nas nie planuje w najbliższej przyszłości dopuścić się straszliwej zdrady, chciałbym wiedzieć, które z nas się obja. Zszarga nam opinię, jeśli nie zachowa ostrożności.

Halisstra przyglądała się pozostałym towarzyszom, odnotowując beznamienne twarze i zamyślane spojrzenia. Danifae, gdy napotkała jej wzrok, odpowiedziała lekkim uśmiechem i strzeliła szarymi oczami w kierunku Quenthel, tak szybko i skrycie, że nikt oprócz Halisstry tego nie zauważył.

Choć czarodziej łatwo przeszedł do porządku nad dokładnym słowami przepowiedni, nie była zachwycona wieścią, że wszyscy jej towarzyszy popełnią w przyszłości jakąś zdradę. Albo raczej wszyscy z jednym wyjątkiem. Tylko dlatego, że sama nie planowała w najbliższym czasie nikogo zdradzać, nie oznaczało wcale, że nie skorzysta z nadarzającej się okazji. Nie doszłaby do godności pierwszej córki domu Melarn, gdyby nie rozwinęła w sobie bezlitosnego instynktu do tego typu spraw. Halisstra nie wątpiła, że gdyby Ched Nasad nie legło w gruzach, kiedyś z pewnością zaczęłaby spiskować przeciwko własnej matce, aby przejąć władzę nad domem. Opiekunka Melarn w ten sam sposób i z tego samego powodu pozbyła się wiele setek lat temu babki Halisstry. Taka była wola Pajęcznej Królowej.

- Cóż - powiedział Pharaun, wstając. Wciąż drżał. Odebrał swój tobolek od Rylda, ruszając się zwawo. - Wygląda na to, że wskazałem nasz cel podróży. Gdzie leży zachód, mistrzu Hune?

Valas wskazał ruchem głowy bliższy kraniec polany i rzekł:

- Kilka tropów zwierzęcych prowadzi mniej więcej w stronę zachodzącego słońca.

- W drogę - zarządziła Quenthel. - Im szybciej wyruszymy, tym szybciej dotrzemy na miejsce. Nie mam ochoty spędzić ani godziny dłużej niż to konieczne w tej spalonej światłem krainie. Panie Hune, jak zwykle przypadnie ci rola przewodnika. Panie Argith, będziesz towarzyszył zwiadowcy. Halisstra, zamykasz pochód i masz oko na to, co dzieje się z tyłu.

Halisstra zmarszczyła brwi i poruszyła się niespokojnie. To było zadanie dla mężczyzny. Przez ostatnie kilka dni podróży pochód zwykle zamykał Jeggred. Uwadze Halisstry nie umknął fakt, że dzięki tej zmianie kolejności Jeggred pozostawał blisko Quenthel, gdzie mógł bronić kapłankę Baenre przed ewentualnym atakiem. Zauważyła też, że Quenthel nazwała Valasa i Rylda „panami”, ją zaś tylko Halisstrą.

Protesty nie miały, rzecz jasna, sensu, zaczęła więc, aż reszta towarzyszy ruszy gęsiego w las, idąc ścieżką Valasa. Zdjęła kuszę z ramienia i upewniła się, że broń jest gotowa do użycia. Pozwoliła pozostałym oddalić się o pięćdziesiąt jardów i ruszyła za nimi.

ROZDZIAŁ 11

Las na powierzchni okazał się dziwnym i niepokojącym miejscem. W miarę jak drużyna oddalała się od skraju polany, splątane poszycie zniknęło, ustępując miejsca bezkresnej zielonej przestrzeni pełnej okrągłych pni wznoszących się ku górze niczym kolumny w sali pałacu drowów gdzieś w Krainach Pod. Tu i ówdzie leżały stare zwalone pnie, pokryte jasnozielonym mchem. Niektóre były tak wielkie, że drużyna musiała obchodzić mierzące setki stóp kolosy, albo przedzierać się nad lub pod nimi. Śnieżny pył okrył ziemię, a z gałęzi nad głową kapą miarowo woda. W przeciwieństwie do pozbawionej życia pustyni Anauroch, las wypełniały nie tylko potężne drzewa i splątane głogi, ale również wszelkiego rodzaju małe ptaki i zwierzęta. Kilka razy wydawane przez nie dźwięki przyprawiły ją niemal o atak serca, ale szybko nauczyła się rozpoznawać kilka ptasich wołań i odgłosów zwierząt, i zaliczać je do kategorii rzeczy nieistotnych.

Z początku obawiała się, że łatwo straci z oczu idących przodem towarzyszy, ale po wyjściu z gęstwiny otaczającej zdarzające się niekiedy polany poszycie składało się głównie z paproci i innych zielonych roślin rzadko sięgających wyżej pasa. Nad lasem zapadła ciemność, zaczęła lepiej widzieć i czuła się coraz pewniej.

Drowy maszerowały przez całą noc i zatrzymały się tuż przed świtem, aby rozbić obóz w ruinach starej baszty, której białe kamienie popękały i obrosły mchem. Gładkie, delikatnie żyłkowane mury charakteryzowały się wyjątkową elegancją formy, a nadproże dawno nieistniejących drzwi pokrywał wzór kwitnącej winorośli bez wątpienia robota elfów zamieszkujących powierzchnię. Pharaun sprawdził, czy nad basztą nie wiszą zakłęcia niebezpieczne dla drowów, po czym drużyna rozbiła obóz, żeby przeczekać boleśnie jasne godziny dnia. Quenthel poleciła Jeggredowi i Pharaunowi stanąć na warcie, zaś pozostali mogli nacieszyć się cieniem i bezpieczeństwem, jakie dawały dziurawe podłogi i wdzięczne mury zrujnowanej baszty.

O zmierzchu zjedli, zwinęli obóz i znów wyruszyli w drogę, maszerując w takiej samej kolejności jak poprzednio. W ten sam sposób spędzili dwie następne doby, odpoczywając, kiedy słońce świeciło na niebie i podróżując nocą. Valas zdołał nawet ustrzelić małe kopytne zwierzę tuż przed świtem trzeciej nocy podróży i Halisstra była zaskoczona odkryciem, że miało miękkie i soczyste mięso, smaczniejsze niż mięso z młodego rothe.

Pod koniec dnia niebo znów zaciągnęło się chmurami, ciemniejszymi i gęstszymi niż poprzednio, i o zmierzchu, kiedy elfy przygotowywały się do wymarszu, zaczął padać miękki śnieg, wilgotny i ciężki. Było niesamowicie cicho, jak gdyby cały las wstrzymał oddech, nie chcąc przeszkadzać w takiej chwili. Halisstra czujnie obserwowała otoczenie, po każdym tuzinie kroków odwracając się, aby zbadać szlak za plecami, a czasem szła przez kilka minut tyłem, zerkając do przodu tylko po to, żeby się nie przewrócić. Jeśli przepowiednia Pharauna była trafna, powinni dotrzeć do rzeczki nad ranem, a może następnej nocy, co oznaczało, że od domu Jaelre i kapłana Vhaerauna dzieli ich tylko dzień drogi.

W chwili, w której cel ich podróży znalazł się na wyciągnięcie ręki, Halisstrze przyszło do głowy, że nie zna powodów, dla których heretyk miałby im pomóc. Valas był może jego starym znajomym, ale żaden kleryk Pana w Masce nie pomoże kapłance Lolth z dobroci serca. Trzeba będzie zapłacić jakąś cenę, tego Halisstra była pewna. Skarby? Quenthel i jej towarzysze nieśli wiele cennych klejnotów. Był to najprostszy i najwygodniejszy sposób przenoszenia bogactw przez pustkowia Podmroku. Halisstra również wypchała nimi kieszenie, uciekając z Ched Nasad. Wątpiła jednak, by potężnego wyznawcę Vhaerauna można było tak łatwo kupić.

W grę może wchodzić przymus, mogą też wyświadczyć mu jakąś przysługę, aby uzyskać jego pomoc. Danifae przydawała się czasem w takiej sytuacji. Każdy drow miał przynajmniej jednego wroga, któremu chciał zaszkodzić.

Uświadomiła sobie, że została trochę w tyle, przyspieszyła więc kroku, żeby dogonić drużynę. Z łatwością puściła się truchtem przez mrok, rozgarniając butami śnieg, dopóki nie zobaczyła przed sobą zwalistej postaci Jeggreda i mniejszych kształtów towarzyszy. Zwolniła i odwróciła się, żeby rzucić okiem na wydeptaną przez nich ścieżkę.

Ktoś tam był.

Ze wszystkich stron słyszała ciche odgłosy miękkich kroków skradających się przez las, a potem wszystkie dźwięki ucichły jak ucięte nożem i zapadła całkowita, niczym niezmacona cisza, która musiała być magiczna.

Halisstra syknęła ostrzegawczo, ale nic nie usłyszała. Chwyciła za kuszę. Ścieżką pędził prosto na nią wysoki, chudy elf o skórze białej jak śnieg, trzymający w jednej ręce zakrzywiony topór bojowy, a w drugiej krótszy ręczny toporek. W mroku nocy oczy świeciły mu jak zielona śmierć.

- Uważajcie! - krzyknęła, próbując ostrzec towarzyszy, ale znów nic nie przerwało martwej ciszy.

Bez chwili wahania okręciła się i wystrzeliła z kuszy w Jeggredda, od którego dzieliło ją jakieś pięćdziesiąt jardów. Celowała nieco w bok, więc zamiast trafić go między łopatki, belt wbił się z drzeniem w drzewo obok głowy półdemonia. Draegloth podskoczył i wrzasnął - tak się domyślała, bo nic nie słyszała - ale, co ważniejsze, odwrócił się, żeby zobaczyć, co się za nim dzieje i dostrzegł zachodzące ich od tyłu elfy.

Chwilę później elfi topornik dopadł Halisstrę, kreśląc w powietrzu dwoma zakrzywionymi ostrzami śmiertelny wzór ze lśniącej stali. Krzyczał też coś, może był to okrzyk bojowy. Halisstra podniosła kuszę, żeby odbić pierwszy cios dłuższego topora, odskoczyła poza zasięg krótszego i pospiesznie dobiła buzdyganu, zsuwając z ramienia tarczę. Błady elf znów doskoczył do niej, dążąc do zwarcia. Zaczęli się okrążać, wymieniając zręczne ciosy, które nie trafiały celu.

Halisstra widziała kolejne kształty w zielonych pancerzach przemykające lasem w jej stronę, w ciemności błyskały ich miecze i włócznie. Zdwoiła wysiłki i przeszła do ofensywy w nadziei, że uda jej się go pobić, zanim otoczą ją wrogowie.

Raząco jaskrawe światło eksplodowało na ścieżce za nią, wypełniając mroczny las bolesnym blaskiem dnia. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, zanim zakłęcie zupełnie ją oślepiło, była grupa elfów i ludzkich wojowników mknących w jej stronę, aby włączyć się do walki.

Pozostało jej tylko jedno wyjście. Unosząc tarczę, żeby zyskać na czasie, przykucnęła, zebrała z ziemi u swoich stóp garść błota i suchych liści i nasyciła je magiczną ciemnością, korzystając z mocy, jaką posiadał każdy drow. Na jej tarczę, zupełnie bezgłośnie, spadło ciężkie uderzenie, ale ona szybko odbiegła od topornika, trzymając się tuż przy ziemi i szukając drogi po omacku. Niektórzy z jej wrogów z pewnością czekali, aż wychynie z nieprzeniknionej ciemności - przynajmniej Halisstra zrobiłaby tak na ich miejscu. Najmądrzejsze, co mogła zrobić, to pozostać wewnątrz niej najdłużej jak się da, w nadziei, że mieszkańcy powierzchni nie mają więcej zakłęb potrafiących zniweczyć lub rozproszyć wyczarowane przez nią pole ciemności.

Jak każdy drow szlachtetnego rodu, Halisstra wiedziała dokładnie, jak długo utrzyma się wyczarowana przez nią kopuła ciemności. Potrafiła podtrzymać magiczny mrok przez prawie trzy godziny. Jeśli przyczai się gdzieś na dłużej, mieszkańcy powierzchni mogą równie dobrze uznać, że się im wyśliznęła. Mogła przynajmniej przeczekać zakłęcie ciszy wiszące nad tym terenem. Kiedy odzyska słuch, łatwiej jej będzie zdecydować, co robić dalej.

Z buzdyganem w dłoni, poruszając się po omacku, dotarła do jakiegoś drzewa, oparła się o pień i usiadła, żeby zaczekać.

* * *

Nimor stał cierpliwie przed drzwiami komnaty, w której obradowała Rada, zwiesiwszy ciężko ramiona i przybrawszy znużony wyraz twarzy. Bądź co bądź, powinien sprawiać wrażenie zmęczonego. Przebrany za oficera domu Agrach Dyr, rzekomo wy dostał się z bitwy w Dylemacie Rhazta, aby zanieść wieść o ataku Gracklstugh matkom opiekunkom. Oczywiście załoga z domu Agrach Dyr oddała posterunek bez walki, ale matki opiekunki jeszcze o tym nie wiedziały.

Udawanie stosownej dozy wyczerpania, rozpaczy i determinacji przychodziło mu z trudem, zwłaszcza że serce biło mu z podniecenia i cały drżał z niecierpliwości. Snute od dawna plany nabrały wreszcie rozmachu i powoli zmierzały ku straszliwej realizacji. Poprzez własne wysiłki i trudy zmienił losy dwóch wielkich miast. Oba zmierzały chwiejnie, acz w nieunikniony sposób ku strasznej kolizji, którą wyobraził sobie już wiele miesięcy temu, a z każdą godziną wydarzenia nabierały rozpędu i wymagały coraz mniejszej pomocy z jego strony. Wkrótce będzie mógł raz jeszcze zniknąć ze sceny i przygotować się na zebranie owoców swojej pracy.

Aby zająć się czymś w trakcie oczekiwania na wezwanie Rady, Nimor przyglądał się uważnie sali, w której stał. Nigdy nie wiadomo, kiedy pamiętane jak przez mgłę drzwi czy wybór wyjścia może zadecydować o życiu lub śmierci. Sala Petycji, jak nazywało się to miejsce, stanowiła przedsiónek tajnej sali obrad matek opiekunek. Same szlachtetnie urodzone panie rzadko tędy przechodziły. Znały różne sekretne i magiczne sposoby przemieszczania się ze swoich pałaców i zamków bezpośrednio na salę

obrad. Sala Petycji była miejscem, gdzie wszyscy, którzy mieli jakąś sprawę do Rady, czekali na zaproszenie opiekunek. Oczywiście była ona prawie pusta.

Drow, który czegoś potrzebował, po prostu prosił o to jedną z matek opiekunek i to bardzo ostrożnie i z szacunkiem. Tylko drowy wezwane przed oblicze Rady czekały w Sali Petycji, ale znów każdy, kto został wezwany, zapewne zdał już wcześniej raport jednej z matek opiekunek. Miejsce najczęściej służyło za poczekalnię osobom mającym jakiś interes do rady, zanim zostały wezwane, aby zdać raport, przedstawić swoją prośbę, a częściej bronić się przed przedstawionymi zarzutami i wysłuchać wyroku.

Wewnątrz sali stało szesnastu dumnych wojowników i czarodziejów, po dwóch z każdego domu, którego opiekunka zasiadała w radzie. Pozornie pełnili funkcję straży chroniącej całą radę, ale tak naprawdę każdy z nich przez większość czasu obserwował mężczyzn z rywalizujących domów, pilnując czy nie zanosi się przypadkiem na jakiś niespodziewany atak.

Posadzka, cała z czarnego polerowanego marmuru w złote żyłki, lśniła w przyćmionym świetle osadzonych w suficie sfer, w których płonął magiczny ogień, a wielkie fryzy biegnące wzdłuż ścian przedstawiały historię założenia Menzoberranzan.

Kilku niższych rangą urzędników biegło po sali, płaszcząc się przed każdym, kto zasługiwał na podobną czołobitność i lekceważąc każdego, kto na nią nie zasługiwał. Nimor, noszący zbroję niższego rangą oficera domu Agrach Dyrr, plasował się gdzieś pomiędzy tymi dwoma kategoriami.

Ku jego wielkiemu zaskoczeniu kazano mu czekać tylko czterdzieści minut, nim jeden z szambelanów podszedł do niego i wskazał mu drzwi.

- Rada czeka na twój raport, kapitanie - oznajmił.

Nimor wszedł za urzędnikiem do sali obrad, kłaniając się ośmiu wysokim tronom ośmiu matek opiekunek. Każdej towarzyszyła jedna lub dwie córki, siostrzenice lub faworyty. Wielkie sklepienie przejście z boku komnaty prowadziło do mniejszych kaplic i pomieszczeń przylegających do sali obrad, dokąd można było odesłać służące i sekretarzy, gdyby matki opiekunki chciały coś przedyskutować na osobności.

- Matki opiekunki, kapitan Zhayemd z domu Agrach Dyrr - ogłosił Szambelan.

Nimor złożył ponownie ukłon i zgięty w pół, ukradkiem przyglądał się matkom opiekunkom.

Triel Baenre siedziała, oczywiście, na samym środku. Drobną i ładniutką, wydawała się za młoda na to zaszczytne stanowisko, choć oczywiście miała setki lat. Obok niej siedziała Mez'Barris Armgo z domu Del'Armgo, a dalej było miejsce, które zajmowała kiedyś matka opiekunka domu Faen Tlabbar. Nimor musiał powstrzymać uśmiech, ale zatrzymał nieco dłużej spojrzenie na młodej elfce siedzącej na miejscu Ghanni - Vadalmie, piątej córce domu. Albo pierwsze cztery pozabijały się nawzajem, kłócąc się o stanowisko matki, pomyślał, albo młoda Vadalma była sprytniejsza niż wyglądała.

Naprzeciw nowej opiekunki Faen Tlabbar siedziała Yasraena Dyrr, wdzięczna i gibka, ze swobodą zajmująca miejsce należące do niej od śmierci Auro'pol.

- Widzę, że przybył mój kapitan - zwróciła się Yasraena do członkiń rady. - Witaj, Zhayemd. Wiele dzisiaj przeszedłeś, ale obawiam się, że musimy poddać cię jeszcze jednej próbie, zanim będziesz mógł udać się na zasłużony spoczynek. Przekaż Radzie wieści, jakie przyniosłeś mi wcześniej.

- Jak sobie życzysz, czcigodna opiekunko - powiedział Nimor. Przebiegł wzrokiem po twarzach szlachetnie urodzonych elfek i udał zdenerwowanie. - Matki opiekunki, przybyłem z garnizonu w Dylemacie Rhazsta. Zostaliśmy zaatakowani przez wielkie siły duergarów i ich sprzymierzeńców, w tym derro, durzagony, olbrzymy i wiele oddziałów niewolniczych. Przypuszczam, że będziemy w stanie odpierać ich ataki dopóty, dopóki duergarowie nie zdecydują się zrobić użytku ze swoich machin oblężniczych.

- Znam to miejsce - odezwała się Mez'Barris Armgo. - To trzy, cztery dni drogi na południe od miasta. Czy twoje wieści są tak nieaktualne? Dlaczego wasi czarodzieje nie ostrzegli nas za pomocą magii, zamiast wysyłać ciebie?

- Nasz czarodziej zginął podczas pierwszego ataku, opiekunko Del'Armgo. Miał nieszczęście prowadzić patrol i najwyraźniej padł ofiarą zbliżających się duergarów. Kiedy pani Nafyrra Dyrr dowodząca naszym oddziałem uświadomiła sobie, że nie mamy jak przekazać ostrzeżenia, natychmiast wysłała mnie do Menzoberranzan. Wszystkie te wydarzenia miały miejsce dziś rano.

- Odpowiedziałeś tylko na jedno z pytań, które ci zadałam, kapitanie - zauważyła matka opiekunka domu Barrison Del'Armgo. - Dylemat Rhazsta został zaatakowany dziś rano, ale posterunek leży

trzydzieści mil na południe stąd, podróż tutaj zajmuje kilka dni.

Nimor udał, że się waha i umyślnie zerknął na Yasraenę Dyr, jak gdyby szukał u niej pomocy. Matka opiekunka domu Agrach Dyr po prostu skinęła głową.

- Skorzystałem z dość niepewnego portalu, aby skrócić podróż z kilku dni do kilku godzin, opiekunko Del'Armgo - wyjaśnił. - Portal znajduje się w odległości paru mil od naszej placówki i trochę trudno się go używa, ponieważ działa z przerwami. Wychodzi na nieużywaną jaskinię w Mrocznym Władztwie. Mój dom wie o nim od jakiegoś czasu, ale nie ufaliśmy jego magii na tyle, by z niego korzystać w sytuacjach innych niż nadzwyczajne.

- Jestem pewna, że Barrison Del'Armgo zna podobne portale w okolicach miasta - zauważyła Yasraena Dyr. - Wybaczcie, jeśli nie wspomnieliśmy o istnieniu akurat tego aż do dziś.

- Portal jest nieistotny - odezwała się Triel Baenre, zbywając sprawę machnięciem ręki. - Kapitan dotarł tu, aby zdać raport, to wystarczy. Powiedz, jakie spostrzeżenia poczyniłeś odnośnie krasnoludzkiej armii.

- Zgaduję, że liczy gdzieś pomiędzy trzema a czterema tysiącami szarych krasnoludów, plus trochę niewolników, głównie orków i ogrów. Wśród atakujących zauważyliśmy proporce ośmiu kompanii i wiele innych trzymany w rezerwie. Oczywiście może być ich więcej, albo duergarowie spróbowali nas oszukać, walcząc pod fałszywymi sztandarami.

- To rajd - wymruczała Prid'eesoth Tuin z domu Tuin'Tarl. - Krasnoludy próbują po prostu wybać twoją placówkę, kapitanie.

Nimor przestąpił z nogi na nogę, starając się sprawiać wrażenie zdecydowanego, poważnego i unizonego sługi.

- Pani Nafyrra uważa inaczej, opiekunko Tuin - rzekł Nimor. Odpieraliśmy rajdy krasnoludów wiele razy, ale były niczym, w porównaniu z gwałtownym atakiem przypuszczonym na nas dziś rano. Jeśli nie oblega nas cała armia Gracklstugh, to niewiele już brakuje.

- Jak silny jest twój garnizon? - zapytała Yasraena Dyr.

- Nasz garnizon liczy prawie osiemdziesięciu wojowników i mamy doskonałą pozycję obronną, czcigodna opiekunko. Możemy wytrzymać kilka dni, ale placówka upadnie, kiedy duergarowie wytoczą swoje maszyny oblężnicze albo użyją magii odpowiedniego rodzaju.

- Nie będę wcale zdziwiona, jeśli się okaże, że ten atak duergarów to tylko wyjątkowy agresywny rajd - odezwała się Vadalma Faen Tlabbar. - Jestem pewna, że opiekunka Dyr powiadomiła nas o tym, co jej żołnierze uznali za fakt, ale może powinniśmy zbadać tę sprawę dokładniej, zanim zareagujemy w ślepej panice. Zwykle potwierdzenie raportu, co najmniej. Kiedy już należycie ocenić skalę zagrożenia, Rada może się zastanawiać, jak najlepiej mu zaradzić.

- W innych okolicznościach nasza młodsza siostra miałaby rację, proponując dokładniejsze zbadanie sytuacji - odezwała się Yasraena. Została dobrze poinstruowana. Nimor spuścił wzrok, żeby ukryć uśmiech. - Jednak moi oficerowie twierdzą, że jeśli chcemy stawić czoła armii duergarów, najlepiej będzie zastąpić jej drogę przy Słupach Żalu, pomiędzy miastem a Dylematem Rhazta. Silna armia wysłana szybko na miejsce zdoła utrzymać słupy i odeprzeć każdy atak, ale jeśli będziemy zbyt długo zwlekać, duergarowie dotrą tam przed nami. Zrezygnujemy z bardzo znaczącej przewagi pozycyjnej. Oczywiście powinniśmy z należytym pośpiechem spróbować potwierdzić raport, ale kiedy my będziemy tym zajęte, nasi żołnierze powinni już maszerować.

- Czy nie powinniśmy po prostu zaczekać na atak tutaj, w jaskini? - zapytała Mez'Barris Armgo. - Możemy z łatwością wzmocnić prowadzące do niej drogi, a armia duergarów będzie miała trudności z otoczeniem całego miasta, dopóki cała nasza armia pozostanie wewnątrz.

- Jeśli pozwolimy szarym krasnoludom zaatakować miasto - powiedziała jedna z matek opiekunek - zaraz po nich pojawią się u naszych bram armie illithidów, abolethów i humanoidów. Mamy wielu wrogów. Pamiętajcie, co wydarzyło się w Ched Nasad.

Osiem wysokich kapłanek wymieniło posępne spojrzenia.

- Rada musi szybko podjąć jakąś decyzję - powiedziała Triel Baenre, przerywając milczenie. - Nie mamy wiele czasu, jeśli chcemy wydać duergarom bitwę poza granicami miasta. Rozkażę więc połowie sił Baenre przygotować się do wymarszu. Wam radzę zrobić to samo. Jeśli postanowimy czekać na atak w mieście, nie musimy jeszcze stawiać żołnierzy w stan gotowości, ale jeśli postanowimy wyruszyć, musimy to zrobić jak najszybciej.

- Jestem za zdecydowaną i agresywną obroną miasta - oznajmiła Yasraena Dyr. - Ostra reakcja

teraz może powstrzymać kolejne ataki w przyszłości. Rozkażę połowie sił domu Dyrn przygotować się do natychmiastowego wymarszu. - Przyjrzała się uważnie pozostałym matkom opiekunkom i dodała: - Zakładając, rzecz jasna, że także inne domy zgodzą się wziąć na siebie ryzyko i towarzyszyć nam. Albo wszystkie poczynimy takie same zobowiązania, albo nikt.

- Dom Baenre gwarantuje domowi Agrach Dyrn swoją pomoc aż do zakończenia ekspedycji - powiedziała szybko Triel.

Nimor kiwnął głową ze zrozumieniem. Spodziewał się, że głowa najsilniejszego domu w Menzoberranzan postanowi w tym przypadku świecić przykładem. Przede wszystkim studziła w ten sposób drapieżne zapędy innych domów, pokazując, że Baenre powzięli stanowcze i zdecydowane kroki, by zapewnić miastu bezpieczeństwo. Triel bardzo potrzebowała takiego potwierdzenia swojej siły.

Spojrzała na różnych gwardzistów, doradców i gości przebywających w komnacie i powiedziała:

- Matki opiekunki muszą przedyskutować na osobności, jak najlepiej odpowiedzieć na ten zdradziecki atak. Zostawcie nas.

- Kapitanie Zhayemd - rzekła Yasraena Dyrn - chciałabym, żebyś objął dowództwo nad kontyngentem domu Agrach Dyrn i natychmiast przygotował się do podróży. Wiem, że dziś stawileś już czoło wielkim niebezpieczeństwom, ale znasz świetnie pole bitwy, a ja pokładam w tobie całkowite zaufanie.

- Będę ci służył, pani, najlepiej jak potrafię - rzekł Nimor. - Z pomocą bogini przegnam wrogów miasta z naszego terytorium.

Jeszcze raz ukłonił się głęboko matkom opiekunkom i cicho wysunął się z komnaty.

* * *

Odgłosy lasu powróciły nagle, co oznaczało, że zakłęcie ciszy przestało działać. W wierzchołkach drzew szumiał wiatr, gdzieś niedaleko szemrał strumyk, a w ciemnościach słychać było szelesty i szuranie małych leśnych stworzeń - lub większych, które potrafiły się skradać - poruszających się w pobliżu. Halisstra nasłuchiwała przez długi czas w nadziei, że uda jej się ustalić czy mieszkańcy powierzchni poszli już sobie, albo że walczą z jej towarzyszami gdzieś niedaleko, ale nie słychać było ani szczęku mieczy, ani głośnych zakłóc rozdzierających nocną ciszę. Nie słyszała żadnych rozmów, które pomogłyby jej zdecydować czyjej wrogowie zostawili ją, czy też przyczaili się gdzieś poza granicami magicznego mroku, czekając, aż się z niego wyłoni. Halisstra potrafiła być bardzo cierpliwa, kiedy zachodziła taka konieczność. Przywykła też do trudów i niebezpieczeństw, ale nerwowe napięcie, z jakim starała się zidentyfikować i skategoryzować każdy najcichszy dźwięk, jaki docierał do jej uszu, sprawiło, że po jej twarzy zaczęły wkrótce spływać kropelki potu.

Gdyby Quentel i pozostali byli gdzieś w pobliżu, usłyszałabym ich, uznała. W trakcie walki musieli się stąd oddalić.

Serce zabiło jej mocniej w piersi na myśl o błakaniu się samej po nieprzebytych lasach, gdzie była znienawidzonym wrogiem każdej istoty zamieszkującej powierzchnię.

Lepiej już zginąć, próbując odszukać pozostałych, postanowiła. Przynajmniej wiem, dokąd idą, muszę tylko utrzymać właściwy kierunek.

Najpierw musiała się wydostać z ciemności, w której się schroniła. Postanowiła nie rozpraszać magicznego mroku, który miał sam zniknąć za jakąś godzinę, góra dwie. Istniała niewielka szansa, że jej wrogowie czekają w ukryciu, aż ciemność zniknie. Halisstra pogrzebała w sakiewce przy pasie i wyciągnęła z niej smukłą różdżkę z kości słoniowej. Obmacała ją bardzo dokładnie, żeby upewnić się, że to ta, której potrzebuje, a potem stuknęła się nią w pierś i wyszeptwała pojedyncze słowo.

Choć siedząc na ziemi w magicznej ciemności nie była w stanie tego sprawdzić, magia różdżki uczyniła ją niewidzialną. Wstała najciszej jak potrafiła, kuląc się przy każdym szeleście i szczęknięciu kolczugi i zaczęła się stopniowo oddalać.

Wyszła w noc znacznie szybciej, niż się spodziewała - wyglądało na to, że siedziała nie dalej niż sześć, siedem stóp od skraju ciemności. Przeświadczona o swojej niewidzialności, wyprostowała się i rozejrzała dookoła. Las wyglądał prawie tak jak przedtem, tyle że nie było widać ani śladu jej towarzyszy, leśnych ludzi ani elfów, które ich zaatakowały. Wschodził księżyc i jego srebrzysty blask zalał poszycie lasu. Jak najszybciej i jak najciszej ruszyła na zachód - a przynajmniej taką miała nadzieję. Wkrótce natrafiła na pole zażartej walki, jeśli dobrze odczytywała znaki. Kilka wielkich, czarnych

kręgów wypalonych w ziemi wciąż się jeszcze tliło. W innych miejscach paru elfów i odzianych na zielono ludzkich wojowników leżało tam, gdzie poległo, trupy nosiły w większości ślady miecza, buzdyganu i pazurów. Nigdzie nie było widać drowów.

Halisstra spróbowała sobie przypomnieć, ilu bladych elfów i ich ludzkich sprzymierzeńców widziała, i wychodziło jej, że zliczyła piętnastu, może dwudziestu mieszkańców powierzchni.

- Ciekawe, gdzie są wasi towarzysze? - zapytała poległych wojowników, zanim ruszyła dalej.

Zdążyła przejść zaledwie pół mili przez oświetlony księżycowym blaskiem las, kiedy wpadła w zasadzkę. W jednej chwili przemykała pomiędzy drzewami, szybko i pewnie, chcąc dogonić resztę drużyny i znajome niebezpieczeństwa wiążące się z ich misją, a w następnej tuż przed nią pojawił się elfi czarodziej, który po prostu wyszedł z pnia drzewa i rzucił w nią zaklęciem, wykrzykując słowa mocy i gestykulując.

- Szybko! - krzyknął. - Mamy ją!

Czar niewidzialności natychmiast prysł, zniweczony przez czarodzieja z powierzchni, a spomiędzy zarośli i pni drzew wszędzie dookoła wypadło nagle kilkunastu bladych elfów odzianych na zielono ludzi. Skoczyli ku niej z żądzą mordu wypisaną na twarzach, napełniając las okrzykami bojowymi i wrzaskami triumfu.

Uświadomiwszy sobie beznadziejność swojego położenia, Halisstra warknęła z wściekłością rozjuszonego drowa i ruszyła na spotkanie wojownikom z powierzchni, zdecydowana drogo sprzedać własną skórę.

Pierwszym przeciwnikiem na jej drodze był potężny człowiek z czarną szczeciniastą brodą, walczący dwoma krótkimi mieczami. Zaatakował z półobrotu, mierząc jednym ostrzem w oczy, żeby podniosła tarczę, a drugim nisko, aby ugodzić ją, gdy się odłoni. Halisstra po prostu odchyliła się w bok i z całej siły wyrzuciła buzdyganem w jego wyciągnięte lewe ramię, miażdżąc kość i wytrącając mu miecz ze zranionej ręki. Mężczyzna stęknął z bólu, ale nie dał za wygraną. Cofał się niechętnie, wciąż siekąc i tnąc mieczem, który mu pozostał.

Trzej jego towarzysze zbliżyli się, aby zająć Halisstrę ze wszystkich stron, zmuszając ją do defensywy - musiała ograniczyć się do odbijania ciosów włóczni i mieczów tarczą albo parowania ich magicznym buzdyganem. Po lesie rozeszło się echo stali uderzającej ze szczękiem o stal.

- Weźcie ją żywcem, jeśli dacie radę - zawołał czarodziej. - Lord Dessaer chce się dowiedzieć, kim są ci przybysze i skąd pochodzą.

- Łatwiej powiedzieć niż zrobić - wystękał pierwszy szermierz, wciąż niedający za wygraną pomimo straty klingi. - Nie wygląda, jakby chciała się poddać.

Halisstra warknęła z wściekłości i gwałtownie obróciła się w stronę elfa z lewej, prześlizgując się obok ostrza jego włóczni i nacierając na niego. Elf cofnął się i spróbował zwrócić przeciwko niej włócznię, ale już go miała.

Z okrzykiem zimnej satysfakcji wyrzuciła go buzdyganem w grzbiet nosa. Broń opadła ze śmiertelnie gromem i rozwalila czaszkę ofiary, która runęła bezwładnie na ziemię.

Zapłaciła jednak za to agresywne posunięcie chwilę później, kiedy szermierz za jej plecami wbił jej sztych miecza w lewą łopatkę, choć z kocią gracją spróbowała się wywinąć od ataku. Stał ze chrzęstem otarła się o kość, a Halisstra krzyknęła z bólu, tracąc czucie w ramieniu, w którym trzymała tarczę. Chwilę później strzała wypuszczona przez stojącego nieco z boku łucznika wbiła jej się w tył prawej łydki i noga załamała się pod nią.

- Mamy ją, chłopcy! - krzyknął elf z dwoma mieczami.

Wzniósł ostrze do kolejnego ciosu, ale Halisstra upadła na ziemię i przetoczyła się w bok, miażdżąc mu lewe biodro kolejnym grzmącym uderzeniem buzdyganu. Elf wrzasnął, zachwiał się i miotając się, runął w śnieg.

Halisstra spróbowała się podnieść, ale czarodziej uderzył w nią oślepiającą błyskawicą. Siła zaklęcia poderwała ją z ziemi i cisnęła nią przez powietrze, upuszczając w mały, lodowaty strumyk. Cała dygotała, obolała od energii uwolnionej przez czarodzieja, czuła też wyraźny swąd osmalonego ciała.

Podźwignęła się na jedno ramię i odpowiedziała mu pieśnią bae'qeshel, śmiertelnie ostrym akordem, który odarł korę z drzew i wzbudził w powietrzu kłębiący się tuman śniegu. Elfi czarodziej zaklął i okrył się płaszczem, osłaniając oczy i starając się wytrzymać zabójczą pieśń.

Halisstra rozpoczęła następną pieśń, ale wojownicy dopadli jej z pluskiem i barczysty brodac uciszył ją silnym kopniakiem w szczękę, który obalił ją z powrotem na ziemię. Na chwilę zrobiło jej się

ciemno przed oczyma, a kiedy znowu była w stanie coś zobaczyć, wymierzone w nią były nie mniej niż cztery ostrza. Zwalisty szermierz patrzył na nią znad szyby miecza.

- Możesz się bronić dalej - wyrzucił z siebie. - Nasi klerycy mogą równie dobrze przepaść twój trup.

Halisstra próbowała oczyścić umysł z rwącego bólu i dzwonienia w uszach. Rozejrzała się i zobaczyła w oczach mieszkańców powierzchni wyłącznie śmierć.

Mogę udać, że się poddam. Quentel i pozostali wiedzą, że zaginęłam, z pewnością spróbują mnie odszukać.

- Poddaję się - powiedziała w prostym języku ludzi.

Halisstra pozwoliła głowie opaść na brzeg strumienia i zamknęła oczy. Poczula, jak ktoś sadza ją, ściąga z niej kolczugę i brutalnie zawiązuje ręce za plecami. Przez cały czas umyślnie ignorowała swoich prześladowców, zajmując umysł odmawianiem wyczerpujących litanii do Lolth, których musiała się nauczyć jako nowicjuszka.

- Musi być kimś ważnym. Spójrzcie na ten pancerz. Chyba nigdy nie widziałem takiego cacka.

- Mamy tu lirę i kilka różdek - wymamrotał tropiciel ze złamaną ręką, przeglądając jej dobytek. - Ostrożnie, chłopcy, może być bardką. Powinniśmy ją zakneblować dla własnego bezpieczeństwa.

- Przynieś mi ten eliksir uzdrawiający, szybko. Fandar umiera.

Halisstra zerknęła na wojownika, któremu strzaskała biodro. Kilku mieszkańców powierzchni klęczało w śniegu i błocie nad wijącym się z bólu towarzyszem, usiłując go uspokoić. Obserwowała tę scenę nieobecna duchem, który znajdował się tysiące mil dalej.

- Przeklęta wiedźma. Bogom niech będą dzięki, że nie wszystkie potrafią tak walczyć.

Tuż przed nią stanął elfi mag, jego przystojna twarz była ściągnięta gniewem.

- Załóżcie jej kaptur - nakazał pozostałym. - Nie powinna wiedzieć, gdzie jest.

- Gdzie mnie zabieracie? - zapytała Halisstra.

- Nasz pan chce się dowiedzieć kilku rzeczy - odparł czarodziej. Uśmiech miał zimny i niechętny, spojrzenie ostre jak sztylet. - Z doświadczenia wiem, że większość drowów jest tak zajadła, że raczej zadławią się własną krwią, niż zrobią coś sensownego albo użytecznego, więc podejrzewam, że z tobą będzie tak samo. Lord Dessaer zada ci kilka pytań, ty wyzwiesz go w nieuprzejmy sposób, a my zabierzemy cię na tyły pałacu i wypatroszymy jak rybę. To i tak o wiele lepszy los niż ten, jaki spotyka naszych jeńców z waszych rąk.

Kaptur zakrył Halisstrze twarz i zacisnął się ciasno wokół jej szyi.

ROZDZIAŁ 12

Ryld przyczał się w cieniu wielkiego drzewa o pniu tak grubym i wysokim, że mogło być w tym lesie Narbondelem. Rozpruwacz wisiał mu na plecach, prawie nieużywany w ostatniej walce. Wychylił się nieco i uważnie spojrzął na skąpane w plamkach księżycowego blasku poszycie lasu, szukając celu. Razem z Pharaunem czekali w ciszy, osłaniając odwrót drużyny. Mieli nadzieję, że uda im się zastawić pułapkę na elfy i ludzi nękających ich od tak dawna. Po kilku mężnych próbach wciągnięcia drowów w bezpośrednią walkę, elfy z powierzchni i ich ludzcy sprzymierzeńcy nauczyli się szanować umiejętności i zajadłość drużyny mrocznych elfów. Wkrótce toczyli w mroku niespieszną i ukradkową bitwę na strzały, przerywaną od czasu do czasu szybkimi zasadzkami i jeszcze szybszymi ucieczkami.

W ciemności świsnęła strzała. Ryld szarpnął się w tył w samą porę, by zobaczyć białe opierzone drzewce przelatujące tak blisko pnia drzewa, że lotki musnęły korę. Gdyby całkowicie zdał się na osłonę drzewa, precyzyjnie wypuszczona strzała wbiłaby mu się w oko.

- Nie ma sensu dłużej czekać - wyszeptał Pharaun.

Czarodziej przyjął wydany przez Quenthel rozkaz zastawienia pułapki z wyraźnym brakiem entuzjazmu i był szczęśliwy, mogąc uznać próbę za nieudaną i dołączyć do reszty drużyny. Wymruczał przykre dla ucha sylaby zaklęcia i wykonał kilka tajemnych gestów, koncentrując się.

Po chwili czarodziej wyprostował się i skinął na Rylda.

- Chodź. Stworzyłem obraz, który zmyli naszych przeciwników, każąc im myśleć, że wciąż stoimy tu na straży, choć będziemy dla nich niewidzialni. Idź za mną szybko i trzymaj się blisko.

Ryld kiwnął głową i zaczął się skradać zaraz za czarodziejem. Po raz ostatni rzucił okiem na opuszczony las za plecami, zastanawiając się czy sztuczka czarodzieja zadziała.

Halisstra gdzieś tam jest, pomyślał. Najprawdopodobniej martwa.

Mieszkańcy powierzchni nie byli zainteresowani braniem jeńców i logiczna część umysłu Rylda spisała Halisstrę na straty. Uznał ją za ofiarę walki, tak jak uczyniłby z każdym poległym przedwcześnie użytecznym towarzyszem. Przez lata stoczył dość walk, by wiedzieć, że wojownicy umierają, ale pomimo tego strata Halisstry nie wiedzieć czemu wytrąciła go z równowagi.

Pharaun przystanął i obrócił się powoli dookoła, wypatrując reszty drużyny albo wrogów idących nadal ich śladem. Lekki wiaterek poruszał wierzchołkami drzew i szumiał w konarach nad ich głowami. Liście szeleściły, a gałęzie trzeszczały. W pobliżu szemrał strumyk, ale nie zauważył niczego, co mogłoby oznaczać niebezpieczeństwo - albo powrót Halisstry.

Głupotą jest mieć wciąż nadzieję, pomyślał.

- *Coś cię trapi?* - zapytał na migi Pharaun.

- *Nie, odparł fehmistrz.*

Czarodziej badał go przez chwilę wzrokiem, jego przystojna twarz połyskiwała w jasnym blasku księżyca.

- *Nie mów mi, że martwisz się o elfkę?*

- *Oczywiście, że nie, zapewnił Ryld. Niepokoję się tylko dlatego, że była cennym towarzyszem podróży i nie uśmiecha mi się bycie pozbawionym jej magii uzdrawiającej. Ale nic innego mnie nie martwi. Nie jestem głupcem.*

- *Coś za bardzo protestujesz, pokazał Pharaun. Ale to bez znaczenia.*

Miał już powiedzieć coś więcej, ale urwał, słysząc ciche szelest za plecami. Czarodziej i fehmistrz obrócili się jednocześnie. Ryld sięgnął dłonią do rękojeści Rozpruwacza, drugą mierząc z kuszy, ale z cieni wyłonił się nagle Valas Hune. Z całej drużyny Bregan D'aerthe wydawał się prawie równie biegły jak mieszkańcy powierzchni w wymagającej cierpliwości zabawie w kotka i myszkę.

- *Widzieliście gdzieś naszych wrogów?* - zapytał zwiadowca.

- *Nie, ale ktoś zauważył Rylda na tyle dobrze, żeby posłać mu strzałę, odpowiedział Pharaun. Skoro domyślali się, się gdzie jesteśmy, zostawiliśmy im iluzję i przyszliśmy do ciebie.*

- *Ani śladu Halisstry?* - zapytał Ryld.

- *Nie. Więc wy też jej nie widzieliście?*

- *Może pół godziny temu dobiegły nas z tyłu odgłosy walki. Trwały kilka minut. To mogła być ona,* pokazał Pharaun.

- *A zatem nie żyje - wymamrotał Valas pod nosem. - Chodźcie. Pozostali czekają, a skoro nie jesteśmy w stanie wciągnąć naszych wrogów w zasadzkę, równie dobrze możemy ruszać dalej. Im dłużej*

nas tu zatrzymują tym większe prawdopodobieństwo, że pokaże się ich tu jeszcze więcej.

Zwiadowca poprowadził ich pomiędzy drzewami i zaroślami, poruszając się szybko i bezszelestnie. Pharaun i Ryld nie potrafili maszerować tak bezgłośnie jak on, ale zakłęcie maga okazało się sprytnym wybiegiem, bo nie napotkali już więcej ukrytych łuczników ani oszczepników. Po kilkuset jardach dotarli do niewielkiego, strome go jaru, dobrze osłoniętego gąszczem zarośli i wielkimi głazami. Tam znaleźli Quenthel, Danifae i Jeggreda, którzy czujnie wypatrywali jakichkolwiek oznak ponowionego ataku.

- Zaskoczyliście łuczników? - zapytała Quenthel.

- Nie. Szybko nas wypatrzyli i uniknęli walki - odparł Ryld. Przeciągnął dłonią po porośniętej szczecinie czaszce i westchnął. - To nie jest korzystne pole walki dla nas. Nie jesteśmy w stanie wciągnąć elfów w bezpośrednie zwarcie, nie przy przewadze, jaką mają na tym terenie, ale jeśli nic nie zrobimy, w końcu otoczą nas i naszpikują strzałami.

Valas kiwnął głową i dodał:

- Starają się nas znaleźć i zejść z boku. Możemy tu zostać kilka minut, ale wkrótce będziemy musieli ruszać dalej albo walczyć. Dziesięć minut albo nawet mniej.

- Niech przyjdą - zagrzmiał Jeggred. - Niecałą godzinę temu zabiliśmy kilkunastu z nich, kiedy podeszli nas od tyłu. Teraz, kiedy wiemy, że tam są, urządzimy im krwawą łaźnię.

- Następny atak będzie zapewne polegał na zasypaniu nas gradem strzał wypuszczonych przez łuczników, których nawet nie zobaczymy - powiedział Valas. - Wątpię, by mieszkańcy powierzchni chcieli pójść nam na rękę i dali się pozabijać. A co będzie, jeśli tropiciele poślą po pomoc? Następny atak może nadejść o świcie i być dwa, trzy razy liczniejszy. Nie uśmiecha się mi się perspektywa zostania zasypanym strzałami i zakłęciami, kiedy słońce wzejdzie i nasi przeciwnicy nagle zaczną widzieć o wiele lepiej od nas.

- Świetnie - burknął Jeggred. - Co w takim razie proponujesz?

- Uciekać - odpowiedział za zwiadowcę Ryld. - I to jak najszybciej. Przy odrobinie szczęścia wymkniemy się naszym prześladowcom przed wschodem słońca, a może uda nam się znaleźć jakąś dobrą kryjówkę.

- Może dotrzemy na terytorium kontrolowane przez Jaelre - dodał Valas.

- Co może się okazać jeszcze bardziej niebezpieczne niż zabawa w kotka i myszkę z naszymi przyjaciółmi elfami - zauważył Pharaun. - Jeśli Jaelre nie przepadają za gośćmi...

- To nie ma znaczenia - ucięła Quenthel. - Przybyliśmy tu, żeby rozmawiać z kapłanem i porozmawiamy z nim, nawet jeśli będziemy musieli w tym celu walczyć z połową domu.

- Twoja propozycja nie brzmi zbyt zachęcająco, mistrzu Hune - odezwała się Danifae. Krwawiła obficie z rany w prawej ręce, gdzie strzała przebiła jej się przez kolczugę i przeszła na wylot przedramię. Mówiąc, drugą ręką starała się niezdarnie obwiązać ranę. - A jeśli nie uda nam się wymknąć naszym wrogom? Jak na razie z powodzeniem udaje im się dotrzymać nam kroku w tych przeklętych lasach.

- Chwileczkę - powiedział Ryld. - A co z panią Melarn? Została gdzieś w tyle.

- Najprawdopodobniej już nie żyje - odparł Valas. - Albo dostała się do niewoli.

- Czy nie powinniśmy się upewnić, zanim ją zostawimy? - zapytał fehmistrz. - Jej pieśni to jedyna magia uzdrawiająca, jaka nam pozostała. Zdrowy rozsądek podpowiada...

- Zdrowy rozsądek podpowiada, żeby nie tracić czasu i krwi na trupa - przerwała mu Quenthel. - Mnie nikt nie szukał, kiedy...

Urwała, a potem wstała i podeszła do Danifae, żeby pomóc jej zawiązać bandaż.

- Cel naszej misji znajduje się przed nami, nie za nami - dodała mistrzyni Arach-Tinilith. - Misja jest ważniejsza niż którekolwiek z nas.

Ryld potarł twarz dłonią i spojrzał po towarzyszach. Valas odwrócił wzrok, zajmując się jakimś nieistotnym zapięciem pancerza. Pharaun wpatrywał się w Quenthel z wyrazem twarzy niepozostawiającym żadnych wątpliwości co do tego, że zauważył hipokryzję kapłanki. Bądź co bądź, w Ched Nasad spędziła więcej czasu na próbach opróżnienia magazynów Baenre z ich dóbr, niż na odzyskaniu względów Lolth.

Danifae, z twarzą ściągniętą niepokojem, wbiła wzrok w las za nimi, ale najwidoczniej nie chciała przekonywać reszty towarzyszy o konieczności ratowania jej pani.

W końcu Quenthel zwróciła się do Pharauna:

- Może nasz utalentowany mag zna jakieś zakłęcie, które mogłoby powstrzymać tych przeklętych

wielbicieli światła przed deptaniem nam po piętach?

Pharaun pogładził podbródek i zamyślił się.

- Główna trudność polega na tym - powiedział w końcu mistrz Sorcere - że nasi przeciwnicy potrafią wykorzystać ten teren na naszą niekorzyść. Gdyby nagle wybuchł pożar lasu, dym i płomienie...

Valas roześmiał się i przerwał mu:

- Obawiam się, że niewiele wiesz o lasach na powierzchni, mistrzu Mizzrym. Te drzewa są za mokre, żeby dało się je podpalić. Spróbuj ponownie za kilka miesięcy, kiedy wysuszy je lato.

- Och - odparł czarodziej. - Masz na myśli zwykły ogień.

- Nie będziesz w stanie powstrzymać płomieni przed ogarnięciem nas - zauważył Ryld z niepokojem.

- Nie mogę mieć pewności, że tego nie zrobię, ale mój pożar będzie się palił tak, jak ja sobie zażyczę - rzekł Pharaun. - Jak zauważył mistrz Hune, drzewa są na tyle wilgotne, że nie zajmą się ogniem, jeśli nie dotknę ich bezpośrednio moim zaklęciem. My, rzecz jasna, mamy tę przewagę, że będziemy wiedzieć, jak i gdzie wybuchł pożar.

- Bardzo dobrze, możesz zaczynać - powiedziała Quenthel po chwili zastanowienia.

Ryld poczuł ściskanie w gardle. Odsunął się od towarzyszy, szybko odzyskując panowanie nad sobą.

Mistrz Sorcere wstał i sięgnął do sakwy przy pasie, z której wydobyl jedwabny woreczek. Wysypał jego zawartość na dłoń. W świetle księżyca zaśnił czerwony pył. Pharaun przyjrzał się lasowi, odwrócił, aby ustalić kierunek wiatru i szybko wymówił zaklęcie, wyrzucając proszek w powietrze. Pośród opadającego pyłu pojawiły się jaskrawoczerwone iskry, których z każdą chwilą robiło się coraz więcej, Kolejnym gestem Pharaun rozproszył palące się drobinki po wielkim, szerokim łuku lasu przed sobą.

Każdy najdrobniejszy pyłek w chwili, w której spadł na ziemię, ożywał, zmieniając się w pająkowaty kształt wielkości ludzkiej dłoni. Spowite szkarłatnym płomieniem ogniste pająki rozbiegły się po ziemi, zapuszczając się pomiędzy drzewa.

Wszystko, czego dotknęły, najpierw zaczynało się tlić, a potem stawało w płomieniach. Las rzeczywiście był mokry, a ogień bardzo dymił i rozprzestrzeniał się powoli, ale Pharaun wyczarował setki pająkowatych stworów. Żywe drobinki ognia wydawały się dopadać pni drzew z wyjątkowo zajadłą dzikością, jak gdyby obecność takiej ilości drewna wzbudzała w nich niszczyielski szał.

- Dobrze, dobrze - mamrotał Pharaun. - Lubią drzewa... naprawdę je lubią.

- Ogień pali się zbyt wolno, nie zatrzyma naszych prześladowców - zauważyła Quenthel.

- Jeszcze nie słyszałem o leśnym elfie, który pozwoliłby takiemu pożarowi palić się w jego cennym lesie - odpowiedział Pharaun z uśmiechem. - Przez jakiś czas będą zajęci ściganiem moich pająków i gaszeniem płomieni.

Quenthel przyglądała się pożodze jeszcze przez chwilę, a potem uśmiechnęła się.

- Może być - powiedziała. - Mistrzu Hune, prowadź. Chcę dotrzeć do domu Jaelre, zanim mieszkańcy powierzchni znów zaczną się nam naprzykrzać.

* * *

Kaanyr Vhok założył umięśnione ramiona na piersi i zmarszczył brwi.

- Ilu tym razem? - zapytał.

Kaanyr oglądał pole bitwy stoczonej przez tanarukków z jego awangardy z ogromnym fioletowym robakiem, mięsożernym olbrzymem mierzącym ponadto sto stóp. Robak był martwy, zarąbany przez kilkudziesięciu żołnierzy półdemonów, ale kilku tanarukków z oddziałów Dzierżącego Berła zostało zmiażdżonych i zmasakrowanych tego przez potwora.

- Siedmiu, panie, ale zabiliśmy bestię, jak widzisz.

Kapitan tanarukków o imieniu Ruinfist opierał się na swoim wielkim toporze zbryzganym ohydłą posoką stwora. Lewa dłoń półorka-półdemonów została okaleczona w jakiejś bitwie i tkwiła w żelaznej rękawicy, która stanowiła lepszą broń niż ułomna dłoń, którą osłaniała.

- Wojownicy usłyszeli go w skałach - ciągnął Ruinfist - ale przedostał się przez strop i spadł na nich.

- Nie sprowadziłem was tutaj po to, żebyście zabijali bezrozumne robaki - rzekł Kaanyr. - Nie

sprowadziłem tu wojowników, żeby służyli za karmę potworom, które akurat się tu znalazły. Tej walki należało unikać, Ruinfist. Tych siedmiu wojowników nie będzie z nami, kiedy będziemy walczyć z mrocznymi elfami, prawda?

- Tak, mój panie - warknął tanarukk. Pochylił głowę. - Powiem dowódcom patroli, żeby starali się unikać niepotrzebnych starć.

- Dobrze - powiedział Kaanyr. Uśmiechnął się szorstko do tanarukka i poklepał go po ramieniu. - Oszczędzaj topór na drowy, Ruinfist. Wkrótce ich dopadniemy.

Oczy tanarukka zapłonęły pożądliwością, półork podniósł głowę. Warknął na znak zgody i oddalił się truchtem, szukając reszty dowódców.

- Nie ukarałeś go? - zapytała Aliisza, wysuwając się z cienia. - Litość nie jest jedną z cech, do których mnie u siebie przyzwyczyłeś, ukochany.

Lord odwrócił się w stronę nadchodzącej kochanki.

- Czasem - odparł - jedno łagodne słowo wystarczy zamiast dwóch surowych. Sztuka dowodzenia polega na tym, żeby wiedzieć, kiedy co wybrać. - Kaanyr szturchnął jednego z martwych wojowników stopą i uśmiechnął się. - Poza tym, jak mogę się gniewać na taką demonstrację ducha walki, którego z takim trudem starałem się wpoić mojemu Znękanemu Legionowi? W naturze tanarukków leży chęć zabić wroga, często okupiona własną śmiercią.

Aliisza spojrzała na purpurowego robaka i wzdrygnęła się.

- To chyba największy robak, jakiego w życiu widziałam - wymamrotała.

Siedziba półdemona w ruinach starożytnego Ammarindaru znajdowała się ponad dwieście pięćdziesiąt mil na południowy wschód od Menzoberranzan, a Mroczne Zammio stanowiło przeszkodę na ich drodze. Na szczęście tanarukowie byli szybcy, krzepcy i potrafili znieść forsowny marsz nie jedząc zbyt wiele. Krasnoludy zamieszkujące starożytny Ammarindar wytyczyły przez swoje królestwo wielkie podziemne gościńce, szerokie tunele o gładkim podłożu, biegnące wiele mil przez niekończący się mrok. Kaanyra niepokoił nieco fakt, że ogromna pieczara Mrocznego Zammiora znajduje się pod jego stopami, ale stara krasnoludzka droga stanowiła najlepszą trasę prowadzącą w okolice Menzoberranzan. Nawet jeśli zdarzały się na niej wygłodniałe potwory, cóż, każda inna też miała jakieś wady.

Otrząsnął się z zadumy i ruszył w stronę długiego szeregu swoich wojowników, mijających podwójną kolumną scenę walki.

- Opowiedz mi coś więcej o tym Nimorze - poprosił Kaanyr. - Świetnie rozumiem motywy kierujące Horgarem Steelshadow. Szare krasnoludy i mroczne elfy stoczyły na przestrzeni wieków wiele wojen. Nie rozumiem tylko, co może na tym zyskać ten skrytobójca?

- Z tego, co wiem - odparła Aliisza - nienawidzi wielkich domów Menzoberranzan do tego stopnia, że gotów jest obrócić miasto w perzynę, byle doprowadzić do ich upadku.

- Podobna czystość intencji jest rzadka u mrocznego elfa. Zdajesz sobie chyba sprawę, że cię okłamał.

Kaanyr jak zwykle podejrzewał, że Aliisza zachowała niektóre szczegóły spotkania z Nimorem dla siebie. Była w końcu alu-demonem, córką sukkuba, a jej metody i oręż były oczywiste.

- Okłamał? - zażartowała. - Mnie?

- Chcę tylko zauważyć, że powinno się strzec mrocznych elfów przynoszących dary - odparł Kaanyr. - Mógł przekonać cię, że w moim najlepszym interesie leży ściągnięcie tu mojej armii, ale nawet przez sekundę nie miałem wątpliwości, że twój tajemniczy skrytobójca może na tym zyskać więcej niż ja.

- To rozumie się samo przez się - odparła. - Skoro o tym wiesz, dlaczego zgodziłeś się przyprowadzić swoją armię pod Słupy Żalu?

- Ponieważ coś ma się tam wydarzyć - odpowiedział Kaanyr. - Moje ambicje sięgnęły granic starego Ammarindaru i nie chcę na tym poprzestać.

Półdemon patrzył niewidzącym wzrokiem na maszerujących obok niego wojowników, pochłonięty mrocznymi wizjami.

- Dotrzemy tam z góry i ze wschodu - rzekł Kaanyr - dzięki czemu będziemy mieć świetną pozycję do zaatakowania z flanki sił próbujących bronić Słupów przed zbliżającą się armią Gracklstugh. Dlatego Horgar Steelshadow i jego drow skrytobójca chcą mnie tam widzieć. Ale może się okazać, że wygodniej im będzie siedzieć w wąwozie i czekać, aż drowy zdziesiątkują moich żołnierzy, zanim spróbują zdobyć przełęcz. Znalezienie się po tej samej stronie przeszkody co nasz wróg pociąga za sobą zobowiązania, ale daje również możliwości. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby Horgar wymyślił jakąś chytrą wymówkę dla

wytłumaczenia spóźnienia, tylko po to, by moi tanarukowie wzięli na siebie główny ciężar walk.

Aliusza przytuliła się do niego i wymruczała:

- Dopóki nie dojdzie do bitwy, wciąż nie opowiedziałeś się po żadnej ze stron, ukochany. Mroczne elfy mogą zapłacić i to dobrze, jeśli pomożesz im w krytycznej chwili. Nawet jeśli ta pomoc ograniczy się do niezrobienia niczego, żeby pomóc szarym krasnoludom.

Kaanyr Vhok obnażył zęby w kwaśnym uśmiechu.

- To prawda - przyznał. - A więc dobrze. Zobaczymy, co się stanie, kiedy staniemy pod Słupami Żalu.

* * *

Halisstra, zakneblowana, w kapturze na głowie i z rękami związanymi na plecach, została zmuszona do marszu przez las. Elfy uleczyły jej ranę w łydce, żeby nie osłabiała tempa marszu, ale nie zadały sobie trudu wyleczenia reszty odniesionych przez nią obrażeń. Choć zdjęty z niej kolczugę i zabrały tarczę, pozwoliły jej zostać w kaftanie chroniącym przed nocnym chłodem, który najpierw dokładnie przeszukały, żeby nie przeoczyć żadnej ukrytej broni ani magicznych przedmiotów.

W końcu dotarli do miejsca, gdzie leśne poszycie pod stopami przeszło w kamień, a wokół siebie słyszała szmery i szepty wielu osób. Powietrze ociepliło się, a posępne płomienie paleniska przenikały przez kaptur na oczach.

- Lordzie Dessaer - powiedział jakiś głos tuż obok niej - to jeniec, o którym wspominał Hurmaendyr.

- Widzę. Zdejmijcie jej kaptur, chcę jej spojrzeć w twarz - odezwał się gdzieś z przodu głęboki, zamyślony głos.

Elfy zerwały jej kaptur głowy. Halisstra zmrużyła oczy w jasnym świetle rozlewającym się we wnętrzu eleganckiej komnaty wyłożonej drewnem o srebrzystej barwie. Wokół słupów i belek wiły się kwitnące pędy winorośli, a z jednej strony na dużym palenisku żarzył się ogień. Kilku bladych elfów przyglądało jej się uważnie - byli to pewnie strażnicy, odziani w srebrzyste kolczugi i uzbrojeni w miecze i włócznie.

Lord Dessaer był wysokim półelfem o złotych włosach i bladej skórze o lekko brązowym zabarwieniu. Był dobrze umięśniony, jak na mężczyznę, prawie tak rosły jak Ryld i nosił pięknie zdobiony złoty napierśnik.

- Wyjmijcie jej knebel - polecił władca elfów. - Inaczej niewiele nam powie.

- Ostrożnie, mój panie - odezwał się człowiek stojący obok niej, który okazał się czarnobrodym mężczyzną, z którym walczyła w lesie. - Zna się trochę na sztuce bardów i może wypowiedzieć zaklęcie nawet ze związanymi rękami.

- Zachowam konieczną ostrożność, Curnilu. - Władca pałacu podszedł bliżej, wpatrując się w zadumie w czerwone jak krew oczy Halisstry i zapytał: - A więc, jak mamy cię nazywać?

Halisstra milczała.

- Należysz do domu Auzkovyn czy Jaelre? - zapytał Dessaer.

- Nie jestem z domu Jaelre - odpowiedziała. - Nie znam drugiego domu, który wymieniłeś.

Lord Dessaer i jego doradcy wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Należysz zatem do trzeciego stronnictwa?

- Podróżowałam z kilkoma towarzyszami z misją handlową - odrzekła. - Nie szukaliśmy zwady z mieszkańcami powierzchni.

- W tych stronach podchodzimy do słów drowów z pewną rezerwą - odparł Dessaer. - Skoro nie należysz do Auzkovyn ani Jaelre, co w takim razie sprowadziło cię do Cormanthoru?

- Już mówiłam, misja handlowa.

- Czyżby? - zapytał przeciągle Dessaer - Cormanthor nie został zupełnie opuszczony podczas Odwrotu i moi ludzie starają się przeciwstawić drowom próbującym zawładnąć naszą dawną ojczyznę. Chciałbym wiedzieć, kim dokładnie jesteś ty i twoi towarzysze, i co robicie w naszym lesie.

- To nasza sprawa - odparła Halisstra. - Nie mamy wrogich zamiarów wobec mieszkańców powierzchni i zamierzamy opuścić to miejsce, kiedy tylko załatwimy nasze sprawy.

- Więc powinienem po prostu puścić cię wolno, czy tak?

- Nie zaszkodziłoby ci to w żaden sposób.

- Moi wojownicy codziennie staczają bitwy z twoimi pobratymcami. Nawet jeśli twierdzisz, że nie

masz nic wspólnego z Jaelre ani Auzkovyn, nie oznacza to, że nie jesteś naszym wrogiem. Nie prosimy drowów o litość i nie mamy dla nich litości. Jeśli nie wyjaśnisz mi w przekonujący sposób, dlaczego miałbym cię oszczędzić, zostaniesz stracona.

- Mamy interes do domu Jaelre - powiedziała Halisstra. Wyprostowała się na swoją pełną wysokość pomimo związanych rąk. - To nie ma nic wspólnego z leśnymi elfami. Jak już mówiłam, nie chcemy sprawić kłopotu wam, ani waszym ludziom.

Lord Dessaer westchnął, po czym skinął na strażników Halisstry.

- Odprowadźcie panią do jej celi - polecił - i zobaczymy czy zechce współpracować, kiedy będzie miała czas na przemyślenie swojej sytuacji.

Strażnicy założyli jej z powrotem kaptur, zakrywając znowu oczy. Stała beczynn timer i pozwalała im na to, nie protestując. Jeśli strażnicy przywykną do jej uległości, zawsze mogą popełnić błąd i dać jej szansę uwolnienia się z więzów.

Strażnicy wyprowadzili ją z komnaty i za drzwi. Czuła chłód powietrza i nawet przez kaptur wyczuwała, że niebo robi się coraz jaśniejsze. Świt był blisko, noc umykała przed nadchodzącym słońcem. Zastanawiała się czy zamkną ją w jakiejś otwartej klatce, gdzie ciekawscy i malkontenci będą mogli z niej szydzić i torturować ją, ale zaprowadzano ją do innego budynku, gdzie zeszli w dół po krótkich kamiennych stopniach.

Brzęknęły klucze, ciężkie drzwi otworzyły się ze zgrzytem i została wprowadzona do środka. Rozwiązano jej ręce, ale tylko po to, żeby zaraz założyć na nie ciężkie żelazne kajdany.

- Posłuchaj uważnie, drowko - powiedział jakiś głos. - Zdejmiemy ci kaptur i wyjmemy knebel z rozkazu lorda Dessaera. Jednak przy pierwszej próbie rzucenia czaru założymy ci stalowy kaganiec i zawiniemy głowę tak mocno, że będziesz walczyć o każdy oddech. Nie maltretujemy więźniów, ale za każdy kłopot, jaki nam sprawisz, odpłacimy ci po trzykroć. Jeśli będziemy zmuszeni połamać ci kości i strzaskać szczękę, zrobimy to.

Zdjęto jej kaptur. Halisstra zamrugła - stała w jasnej celi, oświetlonej gorącym snopem światła słonecznego wlewającym się przez zakratowane okienko w rogu. Kilku uzbrojonych strażników przyglądało jej się uważnie w obawie, że będzie próbować jakichś sztuczek. Zignorowała ich i osunęła się po ścianie na podłogę. Ręce miała ciasno związane, a kajdany były przykute łańcuchem do haka w suficie, który nie zostawiał żadnego luzu.

Strażnicy zostawili jej pół bochenka jakiegoś twardego, złocisto-brązowego chleba i bukłak chłodnej wody, po czym wyszli z celi. Drzwi były wykonane z żelaznej płyty, najwyraźniej zamknięte i zaryglowane z drugiej strony.

I co teraz? - zastanowiła się, wpatrując w przeciwległą ścianę.

Z tego, co udało jej się zobaczyć na powierzchni, wnosiła, że jej towarzysze mogliby wydrzeć ją stąd bez specjalnego trudu.

Mało prawdopodobne - wymamrotała do siebie.

Była bezdomną wygnanką, której użyteczność nie zmieniała faktu, że jako najstarsza córka szlacheckiego domu stanowiła w drużynie najgroźniejszą rywalkę Quenthel. Mistrzynie Akademii musiała nie posiadać się z radości, mogąc pozostawić Halisstrę swojemu losowi.

Kto mógł wstawić się za mną u Quenthel?

Danifae? - zastanawiała się Halisstra.

Pozwoliła głowie opaść na pierś i zaśmiała się cicho i gorzko.

Muszę być naprawdę zrozpaczona, skoro liczę na współczucie Danifae.

Kiedyś sama pojmana w niewolę, Danifae uznałaby tę sytuację za pyszną ironię losu. Wiążący Danifae czar nie pozwalał jej podnieść ręki na swoją panią, ale bez konkretnych instrukcji branka nie musiała jej szukać.

Nie mając do roboty nic oprócz gapienia się w ścianę, Halisstra postanowiła zamknąć oczy i odpocząć. Od obrażeń poniesionych podczas rozpaczliwej próby obrony wciąż bolała ją łydka, tors i szczęką. Choć pragnęła użyć pieśni bae'qeshel, aby się uzdrowić, nie śmiała tego zrobić. Musiała znieść ból. Stosując proste ćwiczenie umysłowe, oddaliła się od swego ciała, bólu i zmęczenia, osuwając się w Zadumę.

* * *

Siedzący w sali audiencyjnej Dessaer patrzył, jak jego żołnierze odprowadzają mroczną elfkę,

głaszcząc w zamyśleniu brodę.

- A więc, Seyll - odezwał się. - Co o tym myślisz?

Zza ukrytej kotary wysunęła się smukła postać w zielonej haftowanej spódnicy i kurtce. Była pełnej krwi elfką, szczupłą i zgrabną - ale była też drowką, o skórze czarnej jak atrament i uderzająco czerwonych źrenicach. Przynęła się bliżej do Dessaera i odprowadziła wzrokiem żołnierzy odchodzących razem z zakapturzoną więźniarką.

- Myślę, że mówi prawdę - powiedziała. - A przynajmniej nie należy ani do Jaelre, ani Auzkovyn.

- Co mam z nią zrobić? - zapytał władca. - Zabiła Harvaldora i o mały włos nie uśmierciła Fandara.

- Z łaską Eilistraee przywrócę Harvaldora do życia i ulecę Fandara - odparła drowka. - A poza tym czy patrol Curnila nie zaatakował jej i jej towarzyszy bez ostrzeżenia? Po prostu się broniła.

Dessaer, zaskoczony, spojrzał na Seyll.

- Zamierzasz przekazać jej przesłanie swojej bogini?

- To mój święty obowiązek - odrzekła Seyll. - W końcu, zanim je otrzymałam, byłam bardzo podobna do niej.

Ruchem głowy wskazała nieobecną więźniarkę.

- To dumna przedstawicielka jakiegoś szlachetnego domu - rzekł Dessaer. - Wątpię, by chciała wysłuchać słów Eilistraee.

Oparł rękę na ramieniu kapłanki.

- Bądź ostrożna, Seyll. - Ona powie i zrobi wszystko, żebyś zmylić twoją czujność, a wtedy zabije cię, jeśli staniesz pomiędzy nią a jej wolnością.

- Jak by nie było, mój obowiązek jest dla mnie jasny - odpowiedziała Seyll.

- Wstrzymam się z wydaniem osądu na dziesięć dni - oznajmił pan Elfiego Drzewa - ale jeśli nie zechce wysłuchać twojego przesłania, będę musiał postąpić tak, aby ochronić mój lud.

- Wiem - rzekła Seyll. - Nie zawiodę cię.

ROZDZIAŁ 13

Domy Menzoberranzan przygotowywały się do bitwy. Z kilkunastu zamków i pałaców, pieczar i twierdz, ciągnęli nieprzerwanym strumieniem szczupli mężczyźni we wspaniałych czarnych kolczugach, maszerujący w dumnych kolumnach lub kołyszający się w wysokich siodłach jaszczurów wierzchowych. Na ich lancach powiewały proporce. W normalnych okolicznościach każdy dom wysłałby do walki setki niewolników, zgrają koboldów, orków, goblinów i ogrów, którą rzuciłby na nieprzyjaciela przed wystawieniem cenniejszych oddziałów składających się z drowów, ale po powstaniu wywołanym przez alhoona rzadko widywało się uzbrojonych niewolników. Tysiące ostatnich humanoidów przetrwało rebelię i jej upadek, jak również straszliwe represje, jakie za sobą pociągnęła, ale wśród niewolnych ras największe straty ponieśli oczywiście wojownicy. Nawet tym, którzy się poddali, nie powierzano już broni.

Nimor siedział w siodle jaszczura bojowego i uśmiechał z satysfakcją, obserwując maszerujące przed nim siły domu Agrach Dyrr. Kompanie zbierały się na małym, trochę ciasnym placu niedaleko granicy między Zachodnią Ścianą a Narbondellynem, jak na ironię położonym w pobliżu posiadłości Faen Tlabbarów. Każdy żołnierz oprócz zbroi i oręża niósł lekki tobolek i tworzyło się już coś w rodzaju taboru, jako że każda kompania miała juczne jaszczury i czeladź. Przegląd wojsk przyszło obejrzeć wielu mieszczan, gdyż była to największa mobilizacja wojsk, jaką matki opiekunki zarządziły od czasu nieszczęsnego ataku na Mithrilową Halę.

- Domyślałem się, że spotkanie Rady dobrze poszło - rzekł Dyrr stojący przy strzemieniu Nimora. Nieumarły mag nie ukazał się, rzecz jasna, w swojej prawdziwej postaci, nie przybrał nawet postaci wiekowego starca, w jakiej poruszał się po własnym domostwie. Obecnie wyglądał jak jakiś czarodziej domu Agrach Dyrr, młody i krzepki, odziany w wytworne szaty swojego domu.

- Twoja matka opiekunka została dobrze pouczona - odparł Nimor. Zniżył głos, choć w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ich podsłuchać. - Połowa żołnierzy w mieście szykuje się do walki.

- Yasraena okazała się użyteczną przykrywką - zauważył licz. - Znałem kilkanaście albo i więcej matek opiekunek Dyrr, i od czasu do czasu moje krewniaczki przeciwstawiają się mojej... wyjątkowej pozycji w domu. Yasraena zabiłaby mnie, gdyby mogła, to jasne, ale wie, że dom Agrach Dyrr upadłby, gdyby przytrafiło mi się jakieś nieszczęście. Uświadomiłem jej istnienie pewnych wieloletnich układów, żeby zniechęcić ją do prób zaskoczenia mnie.

Nimor zachichotał sucho.

- Podejrzewam, że rzadko dajesz się zaskoczyć, lordzie Dyrr.

- Sukces jest rezultatem przygotowań, młody Nimorze. Uznaj to za lekcję na dzisiejszy dzień. - Iluzoryczne rysy twarzy licza rozciągnęły się w uśmiechu, a on sam odsunął się od wierzchowca Nimora. - Życzę powodzenia, kapitanie.

Nimor obrócił jaszczura, kiedy minął go koniec kolumny.

- Jeszcze jedno - powiedział, odwracając się w siodle do czarodzieja. - Dziesięć dni temu Narbondel został podświetlony z wielogodzinnym opóźnieniem, ale od tamtej pory codziennie zapala się o właściwej porze, a po mieście chodzą słuchy, że mistrzowie Sorcere pozbyli się arcymaga.

Dyrr uśmiechnął się i rozłożył ręce.

- Jako że arcymag Baenre może być nieosiągalny przez pewien czas - powiedział licz - ucieszyłaby mnie wieść, że mistrzowie Sorcere sami ustalili, który spośród nich powinien zająć jego miejsce.

- Czy matka opiekunka Baenre i Rada nie będą miały niczego do powiedzenia w tej kwestii?

- Nie, jeśli zgromadzeni mistrzowie uświadomią sobie, jaką władzę teraz posiadają - rzekł Dyrr. - Nie jestem, rzecz jasna, członkiem Akademii, ale należy do niej kilku młodzików z mojego domu i dzięki nim jestem dobrze poinformowany. Mistrzowie dyskutują czy jest to odpowiedni czas na zerwanie z tradycją i wybranie własnego arcymaga, ale połowa z nich stara się wyeliminować każdego czarodzieja na tyle sprytnego i śmiałego, by objąć to stanowisko, podczas gdy druga połowa zastanawia się, czy nie wrócić do własnego domu i nie rządzić tam. Zerwanie z Radą w taki sposób oznaczałoby wojnę domową, a ci nieliczni mistrzowie, którzy nie zdają sobie sprawy, że wojna już trwa, upierają się przy pozostaniu przy status quo w obawie przed powrotem Lolth. W każdym razie Sorcere jest całkowicie sparaliżowane nieobecnością Grompha.

Licz obrócił się, opierając ciężko na lasce i oddalił z suchym, skrzekliwym śmiechem.

Nimor uniósł brew, spoglądając na odchodzącego licza i rozważając jego słowa, po czym ruszył

truchtem za kolumną.

- Poruczniku Jazzt! - zawołał.

Od maszerującej kolumny wojowników domu Agrach Dyrr odłączył się i podjechał do Nimora drobny mężczyzna o twarzy pokrytej bliznami. Żołnierze maszerujący na wojenną wyprawę bardzo dobrze wiedzieli, że „kapitan Zhayemd” nie należy wcale do ich domu, ale wytłumaczono im, że dowódca posterunku cieszy się całkowitym zaufaniem matki opiekunki Yasraeny i został mianowany jednym z dowódców ich starożytnego klanu, co było częstą praktyką wśród elfów wysokiego rodu. Nimor nie wątpił, że Jazzt Dyrr, drugi kuzyn samej matki opiekunki, otrzymał dodatkowe i ścisłe rozkazy dotyczące okoliczności, w których miał ignorować polecenia Nimora, ale ponieważ Nimor zamierzał trzymać się skrupulatnie warunków umowy zawartej z Agrach Dyrrami, miał pewność, że Jazzt nie będzie robił żadnych problemów.

- Tak, kapitanie? - zapytał Jazzt.

Starł się nie zdradzać żadnych uczuć, po prostu przyglądał się Nimorowi z uprzejmym zainteresowaniem zaprawionego w bojach weterana.

- Sformuj tamtą kompanię, obok kontyngentu Baenre. Powiedz ludziom, żeby przygotowali się do długiego marszu. Chcę wyruszyć w ciągu godziny.

- Tak, kapitanie - odparł Jazzt.

Porucznik odsunął się i zaszalutował gwałtownie, po czym odwrócił się i zaczął wydawać rozkazy żołnierzom. Nimor skierował wierzchowca na bok i podjechał przez plac do niewielkiego namiotu, w którym uwijała się gromada drowów. Zebrali się tam szlachetnie urodzeni oficerowie i dowódcy kontyngentów różnych domów, którym większości towarzyszyli sierżanci i gońcy. W tym samym czasie toczyły się tu spory na wszelkie możliwe tematy - od kolejności w marszu, najlepszego miejsca na postój pod koniec dnia, po najszybszą drogę do Słupów Żalu.

Nimor zeskoczył z bojowego jaszczura, podał wodze stojącemu w pobliżu niewolnikowi i wszedł w sam środek zamieszania, przepychając się do wydzielonej części pawilonu. Musiał pokazać swoje insygnia, aby zostać wpuszczonym do środka. Wewnątrz grupa kapitanów i oficerów różnych domów prowadziła jednocześnie kilka rozmów. Mobilizacja armii i wymarsz na wojnę sprawiły, że zapomniano o dawnych rywalizacjach i wendettach, przynajmniej na jakiś czas. Zamiast pojedynkować się na ulicach, zawiadający młodzieńcy pragnęli przyćmić pozostałych bohaterskimi czynami i bezwzględnością na polu bitwy.

Nimor przyjrzał się dowódcom, odnotowując insygnia sześciorożca z ośmiu wielkich domów i pół tuzina odznak najsilniejszych i największych z tych pomniejszych. Jego wzrok padł na mężczyznę noszącego insygnia domu Baenre, który podniósł ręce i głos, aby zwrócić na siebie uwagę pozostałych oficerów.

- Wracajcie do swoich kompanii i zajmijcie się taborem - rozkazał Andzrel Baenre, fechmistrz domu Baenre. - Chcę otrzymać od każdego z was listę jucznych zwierząt i furgonów w waszym taborze, a także ogólny spis zaopatrzenia. Wróćcie w ciągu godziny. Nasze krewniaczki będą z pewnością omawiać wiele ważnych kwestii strategicznych, ale nam przypadnie opieka nad taborem i ustalenie sygnałów podczas walki, a wciąż mamy jeszcze sporo do przedyskutowania.

Andzrel był wysokim, szczupłym drowem w zbroi płytowej z czarnego mithralu i ciemnym płaszczu. Na jego ryngrafie dumnie lśniły insygnia domu Baenre, a z oczu wyzierała żelazna dyscyplina, bezpośredniość i stanowczość, cechy niezwykle u drowa wysokiego rodu czy to kobiety, czy mężczyzny. Dowódcy wyszli z namiotu i rozproszyli się, kierując do swoich oddziałów. Nimor pozwolił im wyjść. Podchodząc do fechmistrza Baenre, skrytobójca wymamrotał zaklęcie.

- Mistrzu Baenre - zagadnął Nimor, wymawiając ostatnie sylaby zaklęcia.

- Tak - powiedział fechmistrz, mrugając. - Ja... och...

Nimor uśmiechnął się, widząc efekt, jaki czar wywarł na drowie, i wiedząc, że przez długi czas on i Andzrel Baenre będą bardzo bliskimi przyjaciółmi.

- Skądś znam twoją twarz, ale chyba nie mieliśmy przyjemności się poznać - powiedział Andzrel. - Nosisz insygnia Agrach Dyrrów.

- Jestem Zhayemd Dyrr i dowodzę kompanią mojego domu - odparł Nimor. - Czy wiesz może, kiedy kapłanki raczą do nas dołączyć, a przynajmniej pozwolą nam wyruszyć w drogę?

- Wydaje mi się, że matki opiekunki jeszcze nie zdecydowały, która z nich ma poprowadzić wyprawę - odparł Andzrel, który wyglądał już, jakby doszedł do siebie. - Żadna z nich nie ufa pozostałym

na tyle, żeby z własnej woli opuścić teraz miasto, ale wszystkie uważają, że ktoś powinien mieć nadzór nad mężczyznami.

Nimor roześmiał się na te słowa.

- Potrafisz mówić otwarcie, sir. - Powiódł wzrokiem po pozostałych oficerach w pawilonie i dodał: - Zakładam, że wiesz, które domy są tu obecne i ilu żołnierzy, i jakiego typu, wystawił każdy z nich? Kapłanki będą chciały to wiedzieć, poza tym dobrze byłoby ustalić, kto maszeruje obok kogo.

Oczywiście przychodziły mu do głowy inne sposoby wykorzystania tych informacji, ale nie musiał przecież o tym wspominać.

- Oczywiście - odparł Andrel. Wskazał stół ustawiony w zewnętrznej części namiotu, gdzie kilku oficerów Baenre studiowało mapy i raporty. - Poproszę cię o padanie tym dowódcem liczebności twojego kontyngentu, liczby pieszych i Zammdnych, a także informacji o taborze. Potem chciałbym ci zadać kilka pytań o trasę marszu i miejsce, w którym mamy wydać bitwę armii duergarów. Rozumiem, że znasz ten teren, podobnie jak skład i taktykę sił duergarów.

Nimor poprawił kirys i kiwnął skwapliwie głową.

- Oczywiście - zapewnił. - Dobrze je znam.

* * *

Halisstrę wyrwał ze snu dźwięk otwieranych drzwi do celi. Podniosła wzrok, zastanawiając się czy mieszkańcy powierzchni postanowili po prostu oddać ją katu.

- Nie mam waszemu panu nic więcej do powiedzenia - oznajmiła, choć przemknęło jej przez myśl, że sprzedanie towarzyszy było lepsze niż śmierć na torturach, zwłaszcza jeśli mogła odzyskać w zamian wolność.

- W porządku - odparł kobiecy głos. - Mam nadzieję, że zgodzisz się porozmawiać ze mną.

Smukła postać wśliznęła się przez uchylone drzwi, które zostały za nią zamknięte i zaryglowane. Okryty długą, ciemną opończą gość zatrzymał się, by przyjrzeć Halisstrze, a potem podniósł ręce czarne jak węgiel i zsunął z głowy kaptur, spod którego ukazała się twarz czarna jak heban i oczy czerwone jak krew.

- Jestem Seyll Auzkovyn - powiedziała drowka - i przyszedłam przekazać ci przesłanie mojej pani: „W Krainach Ponad, w Ziemi Wielkiego Światła, czeka na ciebie zasłużone miejsce. Przybывaj w pokoju i żyj znów pod słońcem, gdzie rosną drzewa i kwiaty”.

- Kapłanka Eilistraee - mruknęła Halisstra. Słyszała, oczywiście, o jej kulcie. Pajęcza Królowa gardziła słabą, idealistyczną wiarą w Mroczną Dziewicę, której wyznawcy śnili o odkupieniu i akceptacji w Świecie Ponad. - Rzeczywiście, przybyłam w pokoju i wygląda na to, że znalazłam swoje zasłużone miejsce w tej schludnej celi. Przypuszczam, że zaraz za kratami okna kwitną cudowne kwiaty i bardzo się cieszę, że po trzykroć przekłute słońce nie zagląda głębiej do mojego więzienia. - Roześmiała się gorzko. - Nie wiedzieć czemu, święte przesłanie twojej głupiutkiej, roztańczonej bogini brzmi dzisiaj jakby fałszywie. A teraz odejdz i pozwól mi wrócić do tak ważnego zajęcia, jakim jest przygotowywanie się do tortur, którym bez wątplenia zostanę poddana, kiedy tak zwany władca tej cuchnącej wiochy straci do mnie cierpliwość.

- Mówiłam to samo, kiedy po raz pierwszy usłyszałam przesłanie Eilistraee - odrzekła Seyll. Podeszła bliżej i usiadła na ziemi obok Halisstry. - Tak jak ty, byłam kapłanką Pajęczej Królowej, która wpadła w niewolę leśnego ludu. Choć mieszkam tu już od kilku lat, światło słoneczne wciąż mnie razi.

- Nie pochlebiaj sobie, heretyczko - warknęła Halisstra. - W niczym cię nie przypominam.

- Możesz się zdziwić - ciągnęła Seyll z niewzruszonym spokojem. - Czy kary wyznaczane przez Pajęczą Królową kiedykolwiek wydały ci się niepotrzebne i zbyteczne? Czy kiedykolwiek przestałaś pielęgnować przyjaźń w obawie przed zdradą? Może kiedyś patrzyłaś, jak dziecko z twojego własnego ciała, własnego serca, zostaje zniszczone, ponieważ nie przeszło bezsensownej próby i wmawiałaś sobie, że było zbyt słabe, żeby żyć? Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, czy rozsądne i wyliczone okrucieństwo, które zatruwa naszą rasę, ma sens?

- Oczywiście, że ma sens - odparła Halisstra. - Ze wszystkich stron otaczają nas bezwzględni wrogowie. Gdybyśmy nie doprowadzali naszych ludzi do ostateczności, zostalibyśmy niewolnikami. Nie, gorzej, stalibyśmy się rothe.

- I czy wyroki Lolth rzeczywiście uczyniły cię silniejszą?

- Oczywiście.
- W takim razie udowodnij to. Podaj przykład. - Seyll przyglądała się jej, a potem nachyliła się w jej stronę i powiedziała: - Pamiętasz niezliczone próby i bitwy, to jasne, ale nie możesz udowodnić, że uczyniły cię silniejszą. Nie wiesz, co by się stało, gdyby nie poddano cię tym torturom.
- Semantyka. To oczywiste, że nie mogę udowodnić, że jest inaczej niż jest.

Halisstra spojrzała na heretyczkę spode łba, rozsierdzona nie na żarty. W najlepszym wypadku uznałaby tę rozmowę za irytującą i nieistotną, ale z rękami i stopami zakutymi w łańcuchy, oparta o zimną, twardą ścianę kamiennej celi, przez której okienko wpadało rażące słoneczne światło, była bliska wybuchu. Jednak poza nią nie miała prawie czym zająć myśli i istniała znikoma szansa, że okazanie entuzjazmu dla wiary Seyll może pomóc jej uzyskać zwolnienie warunkowe. Lolth nie tolerowała odszczepieńców, ale pozorne przyjęcie innej wiary w celu odzyskania wolności i zdradzenia zaufania prześladowców... Pajęcza Królowa podziwiała tego rodzaju przebiegłość. Sztuczka polegała oczywiście na tym, żeby nie wydać się zbyt chętną, a jednocześnie na tyle niepewną, by Seyll i jej przyjaciele mogli mieć nadzieję na prawdziwą przemianę w jej sercu.

- Denerwujesz mnie - powiedziała do Seyll. - Zostaw mnie samą.
- Jak sobie życzysz - odparła Seyll. Wstała z gracją i obdarzyła Halisstrę uśmiechem. - Rozważ moje słowa, i odpowiedz sobie, czy może w nich być trochę prawdy. Jeśli twoja wiara w Lolth jest tak silna, jak myślisz, z pewnością wytrzyma małą próbę. Niech Eilistraee cię błogosławi i pokrzepi twoje serce.

Z powrotem narzuciła kaptur na głowę i cicho wysunęła się z celi. Halisstra odwróciła twarz, by Seyll nie zobaczyła okrutnego uśmiechu, który wykrzywił jej rysy.

* * *

Tylna straż, rozmyślał Ryld, jest widać pozycją, jaką Quenthel przeznacza osobie, którą w danej chwili uważa za najmniej przydatną.

Stanął, żeby wsłuchać się w odgłosy otaczającego go lasu, próbując wychwycić dźwięki mogące oznaczać nadejście wroga. Słyszał tylko miarowe bębnienie zimnego deszczu. Ogniste pająki Pharauna zdołały rozpalić za nimi dymiący pożar, ale deszcz przeszkodził mu w spaleniu większej połaci lasu. Fechmistrz spojrzał w niebo, pozwalając zimnym kroplom rozpryskiwać się na twarzy i odnotowując posępny srebrzysty blask zza chmur.

Przynajmniej deszcz zaciera nasze ślady, pomyślał.

Po forsownym marszu poprzedniej nocy i przeleżeniu długiego słonecznego dnia w gęstwinie zarośli, podjęli wieczorem wędrowkę i wkrótce po wyruszeniu złapała ich ulewa. Poszycie lasu zmieniło się w błotnistą breję.

Ryld poprawił starannie kaptur i ruszył dalej, starając się za bardzo nie spieszyć. Niewielki byłby z niego pożytek, gdyby podszedł zbyt blisko pozostałych, ale z drugiej strony ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było pozostanie daleko w tyle, przegapienie miejsca, gdzie ślad skręcał i zabłądzenie w bezkresnej puszczy. Skoro nie warto było wracać po Halisstrę, nie miał złudzeń co do tego, że nie będą go szukać, jeśli odłączy się od drużyny. Przez jakiś czas szedł przed siebie, zatrzymując co kilkanaście jardów, żeby wsłuchać się w ciszę i omieść wzrokiem las.

Wkrótce dotarł do niego głośniejszy i bardziej natarczywy odgłos płynącej wody - rwącego leśnego potoku, ciemnego i szerokiego, płynącego błotnistym korytem zarośniętym głógami i jeżynami. Nad strumieniem przerzucono zwalony pień, którego wierzch spiłowano, aby tworzył w miarę bezpieczną kładkę. Quenthel i pozostali czekali przy nim, w milczeniu obserwując otoczenie. Ryld zauważył kusze wymierzone w jego stronę i napięcie towarzyszy. Ściganie się po lesie z mieszkańcami powierzchni nauczyło ich ostrożności.

- Nie strzelajcie - zawołał cicho. - Tu Ryld.
- Mistrzu Argith - powiedziała Quenthel. - Zaczynałam się zastanawiać czy zgubiłeś nasz ślad.

Ryld uklonił się przed Quenthel i dołączył do pozostałych. Usiadł na chwilę na pieńku, szukając w kieszeniach płaszczki duergarskiej brandy. Normalnie nie ryzykowałby zamroczenia zmysłów alkoholem, ale po wielu godzinach marszu w zimnym deszczu miał kompletnie przemoczone ubranie i przemarzył na kość. Jeden porządny łyk sprawił, że po jego ciele rozlało się przyjemne ciepło.

- Czy to twoja rzeczka? - zapytał Pharauna.

- Tak - odparł bez wahania mag. - Tutaj przekroczymy potok i skęcimy na południe, idąc w górę jego biegu. Od domu Jaelre dzieli nas tylko kilka mil.

Wskazał Rylda palcem i wymamrotał magiczną sylabę. Flaszka wyleciała z dłoni fehmistrza i podskakując w powietrzu, podleciała do czarodzieja, który pociągnął z niej porządnego łyka.

- Dziękuję - powiedział Pharaun. - Szare krasnoludy może i są odrażające, ale destylują dobrą brandy.

- Nie pijcie za dużo - powiedziała Quenthel. - Jaelre mogą zacząć strzelać na nasz widok. Masz być czujny i rozgarnięty czarodzieju. Mistrzu Argith, od tej pory trzymaj się blisko nas. Bardziej martwi mnie to, co przed nami, niż za nami.

- Jak sobie życzysz, pani - rzekł Ryld.

Wyciągnął rękę do Pharauna, który wypił jeszcze łyżka i odrzucił flaszkę Ryldowi. Fehmistrz wstał, założył plecak i ruszył przez kładkę. Powierzchnia pnia była śliska i nierówna, i z pewnością sprawiłaby kłopot niezdarnemu krasnoludowi albo ofermowatemu człowiekowi, ale mroczne elfy przeszły po nim z łatwością.

Po drugiej stronie odkryli zarośnięte pozostałości starej kamiennej drogi, popękanej i porośniętej przez poskręcane korzenie niezliczonych drzew oraz setki lat mrozów i odwilży. Bloki gładkiego białego kamienia, po mistrzowsku dopasowane, wskazywały na robotę pradawnych leśnych elfów zamieszkujących niegdyś te lasy. Ryld nie był aż tak źle wykształcony, by nie słyszeć o Cormanthorze, wielkim leśnym imperium elfów czy o upadłej chwale jego legendarnej stolicy, Myth Drannor. Lecz oprócz nazw wiedział bardzo niewiele o budowniczych leśnego imperium i ich losach.

Drużyna posuwała się naprzód tyralierą, powoli i ostrożnie, gotowa w każdej chwili odeprzeć ewentualny atak. Po przejściu starą drogą nieco ponad milę, tak jak powiedział Pharaun, dotarli do ruin starych murów i obwarowań okalających starożytną twierdzę. Fortyfikacje były pokryte zielonymi pnączami, rosnącymi bujnie pomimo zimowej pory, ale same mury były potrzaskane i podziurawione w wielu miejscach. Przerdzewiała żelazna brama leżała na ziemi tam, gdzie była niegdyś wprawiona w ścianę przeszkoda, która od dawna stała się bezużyteczna. Za obwarowaniami wznosił się mały kamienisty pagórek zwieńczony dużą pięciokątną twierdzą z białego kamienia. Początkowo Ryld myślał, że jest cała i nienaruszona, ale kiedy przyjrzał się jej uważnie, odkrył, że szczyty wież są dziurawe, a kilka łuków przyporowych łączących położone na zewnątrz baszty z główną twierdzą zawaliło się. Zielone pnącza wplątały korzenie w rozłupany kamień, pokrywając ruiny żywym kobiercem.

- Ruiny - warknął z obrzydzeniem Jeggred. - Twoje bezsensowne czary zawiodły cię, czarodzieju albo umyślnie sprowadziłeś nas na manowce. Może jesteś w zмовie ze zdrazieckim zwiadowcą?

- Moje czary nie zawodzą - odparł Pharaun. - To miejsce, którego szukamy. Jaelre są tutaj.

- Więc gdzie są? warknął draegloth. - Jeśli...

- Cisza, obydwaj - burknął Valas. Odszedł kilka kroków od bramy, cicho jak skradający się lampart i nałożył strzałę na cięciwę. - To miejsce nie jest wcale takie opuszczone, na jakie wygląda.

Ryld skrył się za starą chwiejącą się kolumną, kładąc dłoń na rękojeści Rozpruwacza. Danifae i Pharaun zrobili to samo po drugiej stronie drogi, wpatrując się uważnie w zrujnowaną fortecę. Jedna Quenthel postanowiła nie ruszać się z miejsca.

Zamiast tego stanęła pewnie na środku ścieżki i zawołała:

- Wy z domu Jaelre! Chcemy natychmiast rozmawiać z waszymi przywódcami!

Z tuzina kryjówek wyłoniły się nagle ukryte wcześniej kształty w ciemnych opończach mamiących wzrok poprzez naśladowanie otoczenia noszącej go osoby, z różdkami i łukami wymierzonymi w Menzoberranzańczyków. Jedna z postaci, elfka uzbrojona w obosieczny miecz, odrzuciła z głowy kaptur i przyglądała się drużynie z zimną pogardą.

- Jesteście nędznymi sługusami pajaków - wysyczała. - Co takiego macie, czego moglibyście chcieć władcy domu Jaelre, oprócz waszych trupów naszpikowanych naszymi strzałami?

Quenthel opanowała się, ale opuściła jedną dłoń na trzonek bicia. Rzemienie wiły się powoli, głowy zmij kłapały zębiskami z podniecenia.

- Jestem Quenthel Baenre, mistrzyni Arach-Tinilith i nie przywykłam wyklócać się ze zwykłymi strażnikami. Ogłoście nasze przybycie swoim panom, żebyśmy mogli schronić się przed tym przeklętym deszczem.

Kapitan Jaelre zmrużyła oczy i skinęła na żołnierzy, którzy zmienili pozycje i złożyli się do strzału. Valas potrząsnął głową i opuścił łuk, robiąc szybki krok naprzód z ręką w powietrzu.

- Zaczekajcie - powiedział. - Jeśli jest wśród was nadal kapłan Tzirik, powiedzcie mu, że jest tu Valas Hune. Mamy dla niego propozycję.
- Wątpię, by nasz wysoki kapłan chciał wysłuchać waszych propozycji - rzekła kapitan straży.
- Przynajmniej dowie się, dlaczego przebyliśmy tysiąc mil z Menzoberranzan, żeby z nim pomówić
- odpowiedział Valas.

Kapitan zmierzyła Quenthel niechętnym spojrzeniem.

- Opuście broń i zaczekajcie tu. Nie ruszajcie się, bo moi ludzie zaczną do was strzelać, a jest nas więcej niż myślicie.

Valas kiwnął głową i położył łuk na ziemi. Zerknął na pozostałych i usiadł na brzegu sypiącej się starej fontanny. Reszta poszła w jego ślady, tylko Quenthel nie zniżyła się do zajęcia miejsca. Założyła ręce na piersi i czekała z władcym niezadowoleniem wypisanym na twarzy. Ryld rozejrzał się po dziedzińcu pełnym wrogich wojowników i potarł głowę z westchnieniem.

- *Quenthel potrafi zrobić wrażenie, co?* - dyskretnie pokazał na migi Pharaun.
 - *Te kobiety*, odparł Ryld równie dyskretnie.
- Ostrożnie odchylił połę płaszcza i znów wyciągnął flaszkę brandy.

ROZDZIAŁ 14

Najbardziej dotkliwą torturą dla uwięzionej osoby, uznała Halisstra, jest nuda, zwykła, najzwyczajniejsza w świecie nuda. Jak większość jej wyjątkowo długowiecznych pobratymców kapłanka prawie nie zauważała upływu godzin, dni, a nawet tygodni, kiedy coś zaprzętało jej umysł. Jednak pomimo mądrości i cierpliwości swoich dwustu lat, kilkugodzinne zamknięcie w celi wydawało jej się bardziej uciążliwe niż miesiące surowej dyscypliny, jaką musiała znosić w młodości.

Godziny wlekły się w nieskończoność, a całe jej ciało domagało się odpoczynku pomimo rażącego światła wpadającego do środka przez przekłete okienko. Tymczasem popadała ze skrajności w skrajność, to modląc się o powrót towarzyszy, którzy mieliby ją uratować, to wymyślając najohydniejsze i najbardziej bolesne tortury, jakie była sobie w stanie wyobrazić dla każdego z nich, aby ukarać ich za pozostawienie jej w niewoli.

W końcu pogrążyła się w Zadumie, z umysłem oczyszczonym z nowych planów i starych wspomnień, a świadomością tak przyćmioną i odległą, że rzeczywiście mogłaby spać. Wyczerpanie wreszcie ją dopadło, nie tylko zwykłe fizyczne wyczerpanie spowodowane długimi tygodniami pełnej niebezpieczeństw podróży przez pustynię, cienie, Podmrok i las, ale rodzaj umysłowego znużenia głęboko zakorzonego w żalu noszonym wciąż po utracie Domu, którym miała kiedyś rządzić. Halisstra mogła nie pozwalać sobie na opłakiwanie Ched Nasad, ale gorzka prawda o jej położeniu dziwnym trafem zawsze wypływała na wierzch jej myśli, zatruwając je zimną, pozbawioną nadziei niewiarą, którą trudno było odrzucić. Długie godziny uwięzienia dawały jej możliwość napawania się tą nieznośną sytuacją i kontemplowania utraty pozycji, bogactw i poczucia bezpieczeństwa, aż jej straszliwa fascynacja została wreszcie nasycona.

O zmierzchu strażnicy przynieśli jej świeże jedzenie, miskę mdłego, acz pożywnego gulaszu i następne pół bochenka chleba. Halisstra była głodna jak wilk i pochłonęła posiłek, nie biorąc nawet pod uwagę możliwości, że jest w nim trucizna albo narkotyk. Wkrótce po tym, jak skończyła, drzwi do celi otworzyły się skrzypiąc i do środka znów wśliznęła się Seyll Auzkovyn.

Kapłanka zrzuciła z siebie długi, ciężki płaszcz. Miała na sobie elegancki kobiecy strój do jazdy konnej, spódnicę do kolan, haftowaną zieloną kurtkę narzuconą na kremową bluzkę i wysokie buty pasujące do kurtki. Widok drowiej kapłanki odzianej jak elfka wysokiego rodu wydał się Halisstrze wysoce niestosowny.

- Czy to władca elfów kazał ci się tak ubrać? - zadrwiła z czcicielki Eilistraee. - Wyglądasz w tym stroju jak bezbronna szlachcianka przeklętych słonecznych elfów.

- A jak mam się ubierać? - zapytała Seyll. - Jestem tu wśród przyjaciół i nie muszę nosić pancerza. Poza tym motywy czaszek i pajaków na noszonych przeze mnie strojach niepokoiły mieszkańców powierzchni. - Gestem poleciła strażnikom więziennym zamknąć za sobą drzwi. - A zresztą - dodała - nie ma tu słonecznych elfów.

- Dla mnie to wszystko jedno - powiedziała Halisstra.

- Kiedy poznasz ich lepiej, będziesz w stanie odróżnić ich z łatwością.

- Nie mam ochoty poznawać ich lepiej.

- Jesteś tego taka pewna? Zawsze dobrze jest znać swoich wrogów... zwłaszcza jeśli nie muszą nimi być.

Seyll uklękła na podłodze obok Halisstry. Była młoda, nie mogła mieć więcej niż sto lat, i dość ładna na swój sposób, ale coś w jej sposobie bycia było nie tak. W jej spojrzeniu nie dostrzegała chciwej ambicji ani zimnej kalkulacji, jaką przyzwyczaiła się widzieć w otaczających ją twarzach. Można było pomylić cierpliwy wyraz twarzy Seyll ze swego rodzaju uległością, brakiem silnej woli, a jednak emanowała spokojną pewnością siebie, która wskazywała na trzymaną w ryzach siłę.

Wzrok Halisstry padł na dłonie Seyll, kiedy kapłanka wygładzała fałdy stroju. Były silne i zgrubiałe jak u fehmistrza.

- Miałam dziś okazję przyjrzeć się znakom heraldycznym na twojej zbroi. Melarn jest jednym z pierwszych domów Ched Nasad, prawda?

- Był - odparła Halisstra.

Natychmiast pożałowała tego potknięcia. Skoro mieszkańcy powierzchni nie wiedzieli, jaki los spotkał Ched Nasad, nie musiała im tego mówić. Musiała ustalić cenę na wszystko, co im wyjawi.

- Zostałaś pokonana w wojnie pomiędzy domami?

Było to ze strony Seyll rozsądne przypuszczenie, jako że większość drowich domów, które zniknęły, traciły pozycję albo upadały. Działo się tak wskutek działań innych domów.

- Niezupełnie.

Kapłanka Eilistraee czekała długą chwilę, aż Halisstra powie coś więcej, a kiedy tego nie zrobiła, zmieniła taktykę.

- Ched Nasad leży daleko od Cormanthoru. Przynajmniej sześćset, siedemset mil, a pomiędzy nimi znajduje się wielka pustynia Anauroch i nawiedzane przez faerimmów Pogrzebane Krainy. Lord Dessaer jest ciekaw, co sprowadza wysokiej rangi córkę potężnego domu Ched Nasad do jego krainy. Szczerze mówiąc, ja też jestem tego ciekawa.

- Więc to będzie nowa metoda przesłuchań, tak? - zapytała Halisstra. - Udawane współczucie mające wydobyc z mnie odpowiedzi na pytania zadawane w pozorowanej przyjaźni?

- Musisz wyjaśnić jakoś przyczyny swojego pobytu w Cormanthorze, jeśli lord Dessaer ma cię wypuścić za moim poręczeniem. Skoro twoje zamiary są tak niewinne, jak twierdzisz, nie musisz tkwić w więzieniu.

- Wypuścić mnie? - Halisstra śmiała się długo i cicho. - Widzę, że pomimo apostazji nie wyzbyłaś się skłonności do okrucieństwa. Czy twoi przyjaciele z powierzchni poprosili cię, żebyś wykorzystwała nadzieje więźniarki, oferując jej wolność w zamian za współpracę, czy sama podsunęłaś im tę taktykę? Naprawdę myślałaś, że jeden dzień w tej przeklętej celi skłoni mnie do chwytania się iluzorycznych nadziei?

- Nadzieje, które ci proponuję, nie są iluzoryczne - rzekła Seyll. - Powiedz nam, co tu robisz, udowodnij nam, że nie jesteś wrogiem spokojnego ludu Cormanthoru, a odzyskasz wolność.

- Nie sądzisz chyba, że w to uwierzę.

- Jestem tu, czyż nie? - odpowiedziała Seyll. - Niektórzy nasi pobratymcy nauczyli się żyć w pokoju z mieszkańcami powierzchni.

- To jasne, że nie masz się czego obawiać z ich strony - odparła Halisstra. - Twoja mdła, roztańczona bogini jest zbyt słaba, by stanowić dla nich zagrożenie.

- Jak już mówiłam, byłam kapłanką Lolth, kiedy mnie schwytano - powiedziała Seyll. Złożyła dłonie w geście suplikacji, rytualnej pozycji dobrze znanej Halisstrze i w języku planów otchłani, gdzie mieszkała Lolth, wymówiła słowa tajnej modlitwy: - Wielka Bogini, Matko Ciemności, niech krew moich wrogów będzie mym napojem, a ich żywe serca mym posiłkiem. Niech wrzaski ich młodych będą moją pieśnią, bezradność ich mężczyzn moim nasyceniem, niech bogactwo ich domów będzie moim łóżem. Przez tę niegodną ciebie ofiarę oddaję ci cześć, Królowo Pająków, i błagam cię o siłę, która pozwoli mi zwyciężyć moich nieprzyjaciół.

Piekielne słowa wydawały się trzeszczeć od mrocznej mocy, każda ostra sylaba wydawała się naładowana złą energią, która rozlewała się po celi jak plama trucizny. Seyll wykonała dłonią gest imitujący wyciągnięcie sztyletu, pokazując jak należy go dzierżyć i opadła z powrotem na pięty.

Przechodząc na elfi, zamknęła oczy i rzekła:

- Wiele nieszczęsnych dusz zginęło od mojego noża, a jednak odnalazłam tu spokój i odkupienie. Czy to samo czeka ciebie, nie potrafię powiedzieć, ale sama jestem dowodem na to, że można przemierzać te lasy w pokoju, jeśli tylko się tego pragnie.

Halisstra wpatrywała się w Seyll, jak gdyby zobaczyła ją po raz pierwszy. Miała już po raz kolejny potępić kapłankę, nazywając ją słabeuszem, zdrajczynią jedynej prawdziwej bogini drowów, ale słowa zamarły jej na ustach. Tylko wysokie rangą kapłanki uczono odprawiać ten rytuał, a jednak Seyll postanowiła odwrócić się od Lolth. Mało tego, wciąż żyła i wydawała się zadowolona z podjętej decyzji. Przez lata szkoleń Halisstrę uczono traktować herezję i apostazję jak najohydniejszy rodzaj zbrodni. Ale przez lata poświęceń i poniżania się przed Pajęczą Królową jeszcze nigdy nie spotkała prawdziwej apostatki. Och, wysuwała przeciwko niektórym rywalkom fałszywe oskarżenia, zarzucając im odwrócenie się od Pajęczej Królowej, ale siedzieć w towarzystwie kogoś, kto dopuścił się ostatecznej zdrady bogini i - przynajmniej do tej pory żył, by móc o tym opowiadać...

- Chcę postawić przed tobą pewne wyzwanie - powiedziała Seyll. - Wierzę, że nie brak ci potrzebnej do tego inteligencji i wyobraźni, ale zobaczymy. Wyobraź sobie przez chwilę, że żyjesz w miejscu, gdzie możesz chodzić po ulicach bez obawy, że w plecy wbije ci się sztylet skrytobójcy. Wyobraź sobie, że twoi przyjaciele prawdziwi przyjaciele nie chcą od ciebie niczego, prócz przyjemności przebywania z tobą, że twoje siostry cieszą się z twoich osiągnięć, zamiast zazdrościć ci sukcesów, a

twoje dzieci nie są mordowane za przypadkowe uchybienia. Wyobraź sobie, że twoi kochankowie kochają cię za to, kim jesteś, a nie za twoją pozycję czy wpływy. Wyobraź sobie, że twoja bogini chce, abyś sławiła ją swoją radością, a nie przerażeniem.

- Nie ma takiego...

- Odpowiadasz zbyt szybko. Prosiłam cię, żebyś to sobie wyobraziła, jeśli zdołasz - powiedziała Seyll. Wstała i odsunęła się, odwracając do Halisstry plecami. - Zaczekam.

- Nie jestem w stanie wyobrazić sobie podobnej bzdury. To czczya fantazja, która nic nie znaczy. Nie jesteśmy stworzeni do takiego życia, nikt nie jest - ani mroczne elfy, ani elfy światła, ani nawet mdli ludzie. Tylko głupiec żyje marzeniami.

- Ale gdyby podejść do tej kwestii czysto teoretycznie czy nie byłoby to przyjemne? - zapytała przez ramię Seyll. - Na pewno sama masz jakieś marzenia. Mają je wszystkie myślące stworzenia. Może marzysz o zdobyciu władzy nad swoimi wrogami albo o kochanku, którego nie mogłaś zdobyć, a może zajęciu stanowiska, na które sobie zasłużyłaś.

Halisstra prychnęła mocno poirytowana i potrząsnęła rękami w kajdanach.

- Jeśli jesteś w stanie wyobrazić sobie jednoczesną zagładę wszystkich twoich wrogów - naciskała Seyll - z pewnością potrafisz wyobrazić sobie wiernego przyjaciela albo boginię ucieszoną twoją wiernością, a nie ofiarami, jakie poniosłaś.

- Wszyscy bogowie domagają się ofiar. Łudzisz się, jeśli sądzisz, że Eilistraee jest inna. Może jesteś po prostu zbyt słaba, żeby to zrozumieć. Znowu udało ci się mnie znudzić. Możesz już iść.

Kapłanka podeszła do drzwi. Stuknęła raz w zardzewiałe żelazo i czekała, odwróciwszy się znowu twarzą do Halisstry.

- A jeśli udowodnię ci, że się mylisz? - zapytała miękko. - Jutro w nocy tańczymy w lesie dla przyjemności Eilistraee. Zabiorę cię tam i sama zobaczysz, czego wymaga od nas nasza bogini.

- Nie będę brać w tym udziału - warknęła z rozdrażnieniem Halisstra, zapominając o postanowieniu udawania niechętnego nawrócenia na mdłą wiarę mieszkańców powierzchni.

- Twoja wiara w Pajęczą Królową jest tak słaba, że nie jesteś w stanie obejrzeć naszych tańców? - zapytała Seyll. - Słuchaj, obserwuj i oceń sama. Tylko o to proszę.

* * *

Wieczna czarna wichura szalejąca na pionowych ulicach zrujnowanego Chaulssin przywitała powrót Nimora serią podmuchów tak potężnych, że nawet jego wytrąciła na chwilę z równowagi. Z białymi włosami łopoczącymi na wietrze jak dzika aureola, Namaszczone Ostrze zatrzymał się na chwilę, czekając aż wiatr ucichnie.

Nie mógł pozostać długo w Mieście Wężowych Cieni, nie, kiedy armia Menzoberranzan wyruszyła na wojnę, a kontyngent Agrach Dyrów maszerował bez niego, ale nie spieszyło mu się aż tak bardzo, żeby nie mógł zatrzymać się na chwilę w ukrytej cytadeli swojego sekretnego domu. Nimor Imphraezl był, bądź co bądź, księciem Chaulssin, a wspaniałe ruiny piekielnej cytadeli jego władztwem. Nie urodził się tu, rzecz jasna, nie spędził też dzieciństwa w nawiedzonym przez cienie mieście. To miejsce było zbyt niebezpieczne dla młodych, więc Jazred Chaulssin wychowywało swoich książąt w kilkunastu pomniejszych domach w tyłach miastach Podmroku. Jednak od chwili, gdy osiągnął dorosłość i nabył prawa przysługujące mu z urodzenia, Nimor traktował wietrzne ruiny jak własny pałac.

Podmuch ustał - przynajmniej na tyle, na ile mógł ustać poryw wiatru w czarnej czeluści otaczającej zamek - i skrytobójca ruszył dalej. Od Menzoberranzan dzieliła go godzina drogi przez Plan Cieni, więc Nimorowi łatwo było wymyślić jakąś wymówkę, żeby wytłumaczyć odłączenie się od kolumny. Nawet jeśli pod jego nieobecność Andzrel Baenre wezwał dowódców na nagłą naradę wojenną, nie ryzykował wiele, oddalając się na tak krótko. Armia przemieszczała się szybko, ale nie było nic podejrzanego w tym, że szlachcic zabawił nieco dłużej w mieście przed wyruszeniem na wyprawę wojenną.

Dotarł do wielkich spiralnych schodów przecinających serce skalnej fortecy i wbiegł po nich na górę, przeskakując po dwa stopnie. W wielkiej sali na ich szczycie zebrani znowu ojcowie opiekunowie, zbici w dwu- i trzyosobowe grupki, wymieniali informacje i knuli spiski mające na celu wywyższenie ich domu w obliczu otwierających się przed nim wielkich możliwości. Kiedy skrytobójca wszedł do środka, dziad Mauzzkyl odwrócił się i zmierzył go swoim budzącym trwogę spojrzeniem.

- Znów kazałeś nam na siebie czekać - rzekł.
- Błagam o wybaczenie, czcigodny opiekunie - odparł Nimor. Razem z pozostałymi stanął w kręgu i skłonił się lekko. Wichry wiejące za murami komnaty wyły w oddali. - Zostałem wezwany na naradę wojenną, której zlekceważenie uznałem za nierozsądne.
- To samo można powiedzieć o tym spotkaniu - zauważył ojciec opiekun Tomphael. Nimor uśmiechnął się z przymusem.
- Od pewnego czasu pracuję nad wyrobieniem sobie pozycji wśród obrońców Menzoberranzan, aby skłonić ich do powierzenia mi pewnych obowiązków, Tomphaelu. Tego rodzaju wysiłków nie należy odrzucać lekką ręką. Dopóki czcigodny dziad nie udzieli mi innych wskazówek, każę wam na siebie czekać, kiedy tylko będzie to konieczne dla ochrony naszego spisku przed...
- Wystarczy, Nimorze - zagrział Mauzzkyl. - Jak wygląda sytuacja w Menzoberranzan?
- Doskonale, czcigodny opiekunie. Księżę Horgar Steelshadow z Gracklstugh maszeruje na Menzoberranzan z prawie pięciotysięczną armią duergarów. Matki opiekunki postanowiły wyjść im na spotkanie, zamiast czekać na oblężenie, ponieważ obawiają się wojowniczych zapędów innych krain Podmroku. Jednak dzięki moim staraniom armia księcia uprzedziła Menzoberranzanów, dowodzę też kontyngentem, który w odpowiednim momencie może przechylić szalę zwycięstwa na naszą stronę. Wreszcie, zdołałem przekonać Kaanyra Vhoka, aby on również wystawił swą armię tanarukków przeciwko Menzoberranzanom, choć nie jestem pewny Znękanego Legionu. Vhok może się pojawić lub nie, a jeśli nawet się pokaże, nie ma zbyt wielu powodów, żeby popierać naszą sprawę.
- A więc zamierzasz zetrzeć siły Menzoberranzan na proch - zauważył opiekun Xorthaul. Kapłan w czarnej zbroi pogładził brodą. - A jeśli Menzoberranzanzy okazażą się bardziej wytrzymali, niż przypuszczasz i pobiją armię duergarów? Albo Kaanyr Vhok zwróci się przeciwko nam? Lepiej byłoby zwabić w sidła mniejsze siły. Twoje zagranie jest zbyt ryzykowne.
- Gdybym przedstawił duergarów jako mniejsze zagrożenie, matki opiekunki kusiłoby, żeby w ogóle je zignorować. W obecnej chwili bitwa Gracklstugh z Menzoberranzan może zakończyć się na trzy sposoby. Mogą wygrać duergarowie, może dojść do remisu, mogą też zwyciężyć drowy. Robimy, co możemy, aby armia Menzoberranzan wpadła w ręce księcia, ale nawet jeśli krasnoludy nie zdołają zmiążyć od razu wyznawców Lolth, istnieje duże prawdopodobieństwo, że mocno ich poszarpią - w tym wypadku mogą osłabić naszego wroga do tego stopnia, że sami damy radę go obalić. W najgorszym przypadku, jeśli Gracklstugh zostanie rozgromione, cóż... oprócz tego, że nasz plan się nie powiedzie, niewiele tracimy.
- Pamiętaj, opiekunie Xorthaul, że nasza strategia wobec Menzoberranzan jest strategią małych kroków - odezwał się Mauzzkyl. - Miasto jest zbyt silne, żeby padło od jednego ciosu, musimy więc wykrwawić je na śmierć.
- Czarodzieje Menzoberranzan z pewnością odkryją obecność tak wielkiej armii tak blisko miasta - zauważył opiekun Tomphael, który sam był czarodziejem. - Matki opiekunki odwołają swoje siły, albo wciągną duergarów w zastawioną przez nich zasadzkę.
- Nasi sojusznicy z domu Agrach Dyrz zajęli się tą kwestią - rzekł Nimor. - Gromph Baenre zniknął. Mistrzowie Sorcere wypróbują nawzajem swoją stanowczość i pomysłowość, aby zdecydować, kto będzie następnym arcymagiem.
- Domom służy wielu potężnych czarodziejów, Nimorze - odrzekł Tomphael. - Nadarzająca się w Sorcere okazja nie odwróci całkowicie ich uwagi. Nimor skinął z żalem głową.
- To prawda, ale jak dobrze wiemy, czarodzieje spędzają mnóstwo czasu na próbach wyśledzenia słabości innych domów. Jak dotąd nikt nie zakwestionował wersji wydarzeń, jaką przedstawiłem Radzie.
- Myślę, że rozsądniej byłoby układać plany z założeniem, że twoje knowania mogą zostać wykryte w najbardziej nieodpowiednim momencie - stwierdził patron Xorthaul. - Co zrobisz, jeśli jakiś świeżo upieczony adept z drugorzędnego domu wykryje nadejście armii księcia, a matki opiekunki odwołają swoich żołnierzy? Oblężenie może trwać w nieskończoność.
- Teraz rozumiecie - powiedział cierpliwie Nimor - dlatego złożyłem domowi Agrach Dyrz propozycję sojuszu, a także podjąłem ryzyko wprowadzenia do gry Kaanyra Vhoka. Potrzebujemy piątego domu właśnie ze względu na taką możliwość: aby wpuścił armię Horgara albo Znękanego Legion do miasta, jeśli okaże się to konieczne.

Mauzzkyl założył ręce na piersi i spuścił płomienny wzrok.

- W każdym przypadku wygrywamy - powiedział czcigodny dziad, a jego rysy wykrzywił uśmiech ponurej satysfakcji. - Jeśli Kaanyr cię zdradzi, wciąż masz Agrach Dyrre. Jeśli zdradzi cię Agrach Dyrre, masz Kaanyra. Zakładam, że Dyrre i Vhok nic o sobie nie wiedzą?

- Uznałem, że będzie najlepiej, czcigodny opiekunie, jeśli zachowam w zanadrzu przynajmniej jedną niespodziankę dla każdego z moich rzekomych sojuszników. Uznałem, że rozsądnie będzie mieć jak najdłuższą jak najwięcej możliwości do wyboru.

- Doskonale. Jak możemy ci pomóc?

Namaszczone Ostrze zastanowił się nad odpowiedzią. Kusiło go, żeby odpowiedzieć, że nie potrzebuje pomocy i przypisać sobie całą chwałę przysłego zwycięstwa, ale wiedział, że w najbliższym czasie jego zdolność do przemieszczania się z miejsca na miejsce zostanie ograniczona przez rolę, jaką odgrywa w armii Menzoberranzan, a potrzebował pomocy, żeby poradzić sobie z Kaanyrem. Poza tym, jeśli Dzierzący Berło go zdradzi, będzie mógł za to winić osobę wysłaną do półdemonów.

- Powinniśmy zebrać nasze siły i być gotowi do ataku, gdy nasi sojusznicy odegrają swoją rolę w osłabieniu Menzoberranzan - rzekł.

- Nie rozporządzamy dużą liczbą zbrojnych - stwierdził Mauzzkyl. - Nie zgodzę się na udział Jazred Chaulssin w otwartej bitwie.

- Rozumiem, czcigodny opiekunie. - Gdyby zebrali wszystkie swoje siły w jednym miejscu, sekretny dom ledwo dorównywałby liczebnością pomniejszemu domowi Menzoberranzan, choć Jazred Chaulssin mogło mieć wpływ nieproporcjonalny do swojej liczebności. - Jeden z moich braci powinien dołączyć do Znękanego Legionu Kaanyra Vhoka i pokierować półdemonem. Moje obowiązki wobec armii Menzoberranzan oraz próby sterowania Horgarem i czarodziejem renegatem nie pozwalają mi zająć się Vhokiem tak dobrze, jak bym chciał.

Mauzzkyl skinął głową.

- Bardzo dobrze. Zammzt, nic już nie trzyma cię w Ched Nasad. Chcę, żebyś udał się do Kaanyra i był naszym głosem w jego obozie. Zrób, co będzie konieczne, aby nie wystąpił z sojuszu przeciwko Menzoberranzan, ale będziesz odpowiadał przed Nimorem.

- Oczywiście, czcigodny opiekunie - odparł skrytobójca o pospolitej twarzy.

Spojrzał na Nimora, ale jego mina nie zdradzała o czym myśli.

- Zbliżyłem się do Dzierzącego Berło przez jego kochankę, Aliiszę - powiedział Nimor do Zammzta. - Jest alu-demonem i biegłą czarodziejką. Wie, że reprezentuję jakieś stowarzyszenie albo bractwo, nie będzie więc zaskoczona wizytą któregoś z nas.

Choć wątpię, czy przyjmie cię równie serdecznie jak mnie, pomyślał.

- Kiedy twoim zdaniem Menzoberranzańczycy natkną się na armię Horgara?

- Myślę, że za cztery dni.

- Zrób, co w twojej mocy, by zasiać niepewność i wątpliwości, Namaszczone Ostrze - polecił Mauzzkyl. - Czas wybiegów i forteli dobiega końca. Jazred Chaulssin wychodzi z cienia. Zniszcz armię matek opiekunek i jak najszybciej poprowadź sprzymierzonych duergarów na Menzoberranzan. Tam spotkamy się z tobą i przekonamy czy Pan w Masce nam sprzyja.

Nimor znów się uklonił, a potem odwrócił i opuścił zebranych ojców opiekunów. Czuł, że coś w jego planach pójdzie na opak, musiało pójść na opak. Przy doprowadzeniu do kolizji tak wielu różnych sił nie można było uniknąć wykruszenia się niektórych elementów. Ale z tego co widział, bractwo Jazred Chaulssin było przygotowane. Im dłużej zdoła zachować w tajemnicy manewry swoich sojuszników i własnego domu, tym większe ma szanse na sukces.

Może zachęcę Andzrela, żeby mianował mnie dowódcą zwiadu, pomyślał Nimor. Nie ma przecież sensu niepokoić Baenre nieistotnymi raportami o przemieszczających się armiach.

* * *

Mroczone elfy z domu Jaelre okazały się podejrzliwymi i nieuprzejmymi gospodarzami. Ryld spodziewał się, że zaprowadzą ich do sali audiencyjnej, gdzie spotkają się z matriarchinią klanu i przekupią, zastraszą lub przekonają ją, żeby pozwoliła im spotkać się z kapłanem Tzirikiem. Jednak nic takiego się nie wydarzyło. Ponieważ odmówili oddania broni, drowy Jaelre zaprowadziły drużynę do małej, nieużywanej strażnicy broniącej kiedyś głównej bramy zrujnowanego zamku.

- Zaczekacie tu, dopóki Tzirik nie zgodzi się was przyjąć - oznajmiła drowka dowodząca strażą. -

Jeśli spróbujecie opuścić to pomieszczenie, uznamy to za oznakę wrogich zamiarów i natychmiast was zaatakujemy.

- Jesteśmy ważnym poselstwem z potężnego miasta - odpowiedziała Quenthel. - Traktując nas źle, narażacie się na niebezpieczeństwo.

- Jesteście niewolnikami Pajęczej Królowej, najprawdopodobniej szpiegami i sabotażystami - odparła kapitan. - Lolth nie ma tu żadnej władzy, czcząc pająki dziwko.

Zamknęła i zaryglowała żelazne drzwi, zanim Quenthel zdobyła się na stosowną odpowiedź, choć gwałtowne wzburzenie jej wężowego bicza świadczyło o trzęsącej nią wściekłości.

- Zostaniemy tu, jak jakaś hołota zamknięta za długi? - warknął Jeggred. - Mam ochotę...

- Jeszcze nie, Jeggred - sprzeciwiła się Quenthel.

Zaczęła chodzić gniewnie tam i z powrotem, poruszając ustami w niemej furii. Głucha wściekłość napelniała ją niezmordowaną energią. Zamknięcie w małym pomieszczeniu przy rozsadzającej ją złości będzie dla nich wszystkich trudnym doświadczeniem.

Danifae przyglądała jej się przez chwilę, a potem spróbowała ją uspokoić, kładąc jej delikatnie dłoń na ramieniu.

- O co chodzi, niewolnico? - burknęła Quenthel.

- Twój zapal jest godny podziwu, pani - powiedziała Danifae - ale proszę, bądź cierpliwa. - Osłoniła rękę najlepiej jak potrafiła i dodała na migi: - *Pamiętaj, możemy być obserwowani.*

- Ona ma rację, droga Quenthel - odezwał się Pharaun. Nie chcesz chyba wszczynać walki z ludźmi, z którymi przybyliśmy się spotkać. Twoje ostre słowa i dumny sposób bycia sprawdzają się lepiej w Arach-Tinilith niż na progu domostwa innego boga.

Quenthel zmierzyła czarodzieja spojrzeniem pełnym tak zimnej nienawiści, że Danifae podniosła rękę, aby ją uspokoić. Sama posłała Pharaunowi jadowite spojrzenie, a jej piękne rysy wykrzywiła wzgarda.

- Milcz, Pharaunie - warknęła branka. - Twoja arogancja i wieczne zaczepki sprawdzają się lepiej w Sorcere. Mistrzynie ma przynajmniej siłę swych przekonań, ty masz tylko cynizm.

Danifae spojrzała Quenthel w twarz i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Zachowaj swój gniew na później, mistrzyni - powiedziała miękko branka. - Bogini będzie z pewnością bardziej zadowolona, jeśli ukarzesz niewiernych po tym, jak ich wykorzystasz, zamiast zniszczyć narzędzia, które mają jej służyć.

Quenthel rozluźniła się. Wzięła głęboki oddech i usiadła przy prostym drewnianym stole, na którym stała karafka wody.

- Dobrze więc - wysapała. - Zaczekamy.

Ryld przypuszczał, że to wszystko, na co stać Quenthel w ramach przyznania się do błędu. Nie mając nic więcej do roboty, towarzysze usiedli, gotowi czekać tak długo, jak Jaelre uznają to za konieczne.

Mijały godziny. Noc przeszła w pochmurny poranek, który zmienił się w szare, deszczowe popołudnie.

Przyglądając się przez wąskie szczeliny okien widocznej części zamku, Ryld uznał, że twierdza Minauth nie jest wcale aż tak zrujnowana, jak wygląda na pierwszy rzut oka. Jaelre sprytnie naprawili sporą część starej budowli, pozostawiając prawie bez zmian jej wygląd zewnętrzny.

W końcu, gdy wydawało mu się, że czekanie nigdy się już nie skończy, usiadł oparty plecami o ścianę i zapadł w lekki trans, trzymając Rozpruwacza na kolanach na wypadek, gdyby nagle go potrzebował.

Z Zadumy otrząsnął się o zmroku, kiedy żelazne drzwi komnaty zadudniły nagle od trzech mocnych uderzeń. Przekrecono klucz w zamku i do środka weszła spotkana poprzedniej nocy kapitan straży, a za nią kilku strażników Jaelre.

- Zostaliście wezwani przed wysokiego kapłana Tzirika - powiedziała. - Musicie zostawić tutaj broń. Czarodziej musi pozwolić związać sobie kciuki, a draegloth zostanie zakuty w kajdany.

- Nie ma mowy - warknął Jeggred. - Nie jesteśmy waszymi więźniami, żebyście wlekli nas przed oblicze waszego pana w łańcuchach. Dlaczego mamy zrobić dla was to, do czego sami nie macie nas siły zmusić?

- To wy przyszliście do nas, mieszańcu - odpowiedziała kapitan.

- Pani? wyszeptwała Danifae.

Nie odrywając oczu od twarzy kapitan, Quenthel wyciągnęła bicz z za pasa. Zważyła go w dłoni, jak gdyby walczyła z samą sobą, po czym cisnęła go w kąt pokoju.

- Yngoth, pilnuj naszej broni - zwróciła się do jednej z syczących żmij. - Macie zabić każdego, kto zechce pod naszą nieobecność dotknąć naszego dobytku. Jeggred, pozwolisz się związać. Pharaun, ty też.

Ryld westchnął i rzucił Rozpruwacza na ziemię, kopniakiem posyłając go w kąt obok bicia Quenthel, tak by znalazł się w zasięgu żmij. Valas też pozbył się kukrisów. Pharaun z grymasem niesmaku wystąpił naprzód, wyciągając ręce. Drowy Jaelre związały mu ciasno kciuki, co miało mu uniemożliwić wykonywanie skomplikowanych gestów koniecznych przy rzucaniu wielu zaklęć. Górne ramiona Jeggreda, większe, dłuższe i zakończone groźnymi pazurami, zostały zakute w kajdany, ale mniejsze humanoidalne ręce miał wolne.

Z gardła draeglotha wydobył się pomruk.

- Spokojnie, siostrzeńcze - powiedziała Quenthel, po czym zwróciła się do kapitana Jaelre: - Zaprowadź nas do kapłana.

Kapitan straży skinęła na żołnierzy, którzy dobyli mieczy i stanęli wokół Menzoberranzańczyków w ciasnym szyku. Wyprowadzili drużynę ze strażnicy i powiedli w głąb twierdzy. Zaprowadzono ich do dużej sali czy może galerii, w której mieścił się przybytek Vhaerauna, Pana w Masce. Ryld rozglądał się po świątyni z zainteresowaniem. Nigdy nie postawił stopy w przybytku innego bóstwa niż Lolth. Na końcu sali, naprzeciwko wejścia, ze ściany spoglądała wielka półmaska rozmiarów tarczy. Symbol wykonano z bitej miedzi, dwa czarne dyski symbolizowały oczy.

Czekało na nich dwóch mężczyzn. Pierwszy był młody, odziany w czarny skórzany pancerz ukazujący fragment dobrze umięśnionej klatki piersiowej. Za pas zatknął zakrzywiony kukris, a wokół ramienia owinęła mu się mała zielona żmijka.

Poruszał się sztywno, a jego lewą nogą okrywała dziwna uprzęż z żelaza i skóry. Drugi był niezwykle niski i krępy, miał muskularne ramiona i łysą czaszkę, nosił napierśnik z czarnego mithralu, a twarz miał przykrytą obrzędową zasłoną z czarnego jedwabiu.

- Goście, panie - oznajmiła kapitan straży.

Kapłan przyglądał się im. Nie sposób było odczytać wyrazu jego twarzy ukrytej za zasłoną.

- Na mą duszę, Valas Hune - powiedział w końcu. - To dopiero niespodzianka. Nie widziałem cię ponad pięćdziesiąt lat. - Zawahał się przez chwilę, a potem podszedł śmiałym krokiem i poklepał zwiadowcę Bregan D'aerthe po ramieniu. - Zbyt długo, stary przyjacielu. Jak się masz?

- Tzirik - rzekł Valas. Odpowiedział uśmiechem, a na jego ponurej twarzy pojawiło się niecodzienne zadowolenie. Uścisnął mocno rękę kapłana. Rozejrzał się po komnacie. - Widzę, że wreszcie udał wam się Powrót, o którym tyle mówiliście. Jeśli chodzi o mnie, potrzebne będą dłuższe wyjaśnienia.

Tzirik przyglądał się uważnie towarzyszom.

- Mistrz Sorcere - rzekł kapłan - i mistrz Melee-Magthere.

- Mistrz Pharaun Mizzrym, znakomity czarodziej - odparł Valas - i mistrz Ryld Argith, doskonały fechmistrz.

- Panowie, skoro Valas za was rączy, jesteście mile widzianymi gośćmi w twierdzy Minauth - oświadczył kapłan. Kiedy spojrzał na pozostałych, rysy jego twarzy stwardniały, łagodność ustąpiła surowej ocenie.

- Draegloth nazywa się Jeggred - ciągnął Valas - i jest potomkiem domu Baenre. Niższą rangą kapłanka to Danifae Yauntyrr, szlachetnie urodzona pani z Eryndlynu, ostatnio branka. Naszą drużyną dowodzi...

- Wysoka kapłanka Quenthel Baenre - przerwała mu Quenthel - mistrzyni Arach-Tinilith, mistrzyni Akademii, mistrzyni Tier-Breche, pierwsza siostra domu Baenre z Menzoberranzan.

- Ach - westchnął Tzirik. - Rzadko mamy do czynienia z tak elokwentnymi gośćmi, nie mówiąc już o kapłankach posiadających tyle imponujących tytułów.

- Posiadam nie tylko tytuły, kapłanie - odparła Quenthel.

Tzirik zbladł.

- Lolth może rządzić waszymi podziemnymi miastami - rzekł - ale tu, nocą świata na powierzchni, panem jest Vhaeraun. - Odwrócił się i skinął na stojącego za nim kalekę. - Grzeczność nakazuje, abym przedstawił wam mojego kuzyna Zammza z domu Jaelre.

Młodszy mężczyzna przykuśtykał do przodu.

- Jesteście daleko od domu, Menzoberranzańcy - powiedział chrapliwie. - To, bardziej niż cokolwiek innego, uratowało wam życie. Czyciele pajaków, z którymi walczyliśmy, pochodzą z Maerimydry, kilka mil na południe stąd, ale od dłuższego czasu nie spotkaliśmy nikogo z Menzoberranzan.

Zaśmiał się cicho z jakiegoś niezrozumiałego dla nich żartu. Tzirik też się uśmiechnął, ale jego uśmiech nie sięgał oczu.

- Zammz ma na myśli to, że sami jesteśmy Menzoberranzańczykami, a przynajmniej nimi byliśmy, dawno, dawno temu. Prawie pięćset lat temu mądra i wielkoduszna opiekunka Baenre kazała zniszczyć nasz dom za podwójne wykroczenie, jakim było oddanie władzy mężczyznom i czczenie Pana w Masce. Wielu moich pobratymców skonało w mękach w lochach pałacu Baenre. Z tych, którym udało się uciec, wielu zginęło podczas długich, ciężkich lat wygnania na pustkowiach Podmroku. Musicie zrozumieć, jaka to ironia losu, że córka domu Baenre z własnej woli oddała się w nasze ręce. Nawet jeśli nie uda nam się załatwić sprawy, z jaką tu przybyliście, Valasie, będę ci za to wdzięczny. - Przynurzył się bliżej i założył na piersi muskularne ramiona. - Co cię do mnie sprowadza, Baenre?

Quenthel zachowała beznamiętny wyraz twarzy.

- Chcemy, żebyś porozumiał się z Vhaeraunem - powiedziała - i zadał swojemu bogu kilka pytań w naszym imieniu. Jesteśmy gotowi zapłacić ci za fatygę, i to zapłacić dobrze.

Tzirik uniósł brwi.

- Naprawdę? A dlaczego miałbym to dla was zrobić?

- Dowiesz się, co nas tu sprowadza i co na ten temat wie twój bóg.

- Mogę poddawać was przez kilka lat torturom i dowiedzieć się tego samego - rzeki kapłan. - Albo zgodzić się zadać Panu w Masce wasze pytania, a potem nie podzielić się z wami odpowiedziami, jakich mi udzieli.

- Być może - odrzekła Quenthel - choć myślę, że może się okazać, że nie jesteśmy wcale tacy bezbronni, chociaż naszą broń zostawiliśmy w strażnicy. Zanim się o tym przekonamy, może najpierw spróbujemy dojść do porozumienia?

- Błefuje - stwierdził Zammz. - Po co zadawać się z tymi jadowitymi stworzeniami? Oszczędź swojego przyjaciela, jeśli chcesz, ale zabij natychmiast kapłanki.

- Spokojnie, młodzieńcze. Na to zawsze znajdzie się czas - powiedział Tzirik. Odszedł kilka kroków, a potem spojrzał na Quenthel. - Czego chcesz się dowiedzieć?

Quenthel ściągnęła łopatki i spojrzała kapłanowi prosto w oczy.

- Chcemy wiedzieć, co się stało z Lolth - odparła. - Bogini odmawia nam zaklęć i to już od wielu miesięcy. Ponieważ nie mamy dostępu do magii, którą zwykle nas obdarza, nie możemy jej o to zapytać.

- Wasza niestała bogini poddaje was próbie - powiedział Tzirik ze śmiechem. - Odmawia wam czarów, żeby przekonać się, jak długo pozostaniecie jej wierne.

- Tak też początkowo myślałyśmy - powiedziała Quenthel - ale minęły już prawie cztery miesiące i sądzimy, że jej wolą jest, abyśmy same znalazły odpowiedź.

- Po co pytać kapłana Vhaerauna? - zapytał Zammz. - Chyba można było przekonać kapłanki z sąsiedniego miasta, żeby wstawiły się u bogini w waszym imieniu?

- One również straciły kontakt z boginią - odpowiedziała Danifae. - Przybyłam z Ched Nasad, gdzie doświadczyłyśmy tego samego milczenia co kapłanki z Menzoberranzan. Mamy powody, by sądzić, że wszystkie miasta drowów w całym Podmroku znalazły się w podobnej sytuacji. Lolth nie odzywa się do nikogo, ani do drowów, ani do niższych ras.

- To tłumaczyłoby odwrót domu Maerimydra - powiedział cicho Zammz do Tzirika. - Skoro ich kapłanki są bezsilne, są zbyt zajęci własnymi problemami, żeby wchodzić nam w drogę.

- Brzmi logicznie - przyznał Tzirik. - A co z waszymi sławnymi czarodziejami? - zwrócił się do Pharauna. - Czy nie mogą wezwać demonów lub diabłów i przesłuchać ich na okoliczność tajemniczego milczenia waszej bogini albo użyć czarów wieszczących?

- Odkryliśmy, że moce piekielne wiedzą niewiele więcej od nas - odparł Pharaun. - Wygląda na to, że Lolth odgrodziła się od sąsiednich poziomów Otchłani, zamykając granice swojego królestwa przed innymi mocami. - Podniósł dłonie ze związanymi kciukami i uczynił nimi lekceważący gest. - W każdym razie tyle dowiedziałem się z raportów kolegów badających tę sprawę. Nie robiłem tego osobiście, ponieważ arcymag zakazał mi wzywania podobnych istot pod karą wyjątkowo paskudnej śmierci.

Tzirik przez chwilę badał Menzoberranzańczyków wzrokiem, a potem odszedł naradzić się z

Jazzem. Dwaj Jaelre rozmawiali przyciszonymi głosami, a Menzoberranzańscy czekali. Ryld ukradkiem przyjrzał się stojącemu w pobliżu strażnikom, zastanawiając się, którego z nich zdoła rozbroić, jeśli okaże się to konieczne. Wciąż miał na sobie krasnoludzki napierśnik i był przekonany, że uda mu się wyrwać jednemu ze strażników halabardę, zanim zostanie nią przebity, choć gdyby rzeczywiście doszło do walki, lepszym posunięciem byłoby raczej rozcięcie więzów Pharauna ukrytym za pasem nożem.

Snucie planów przerwał mu powrót Tzirika i Zammza.

- Wstawię się za wami u Vhaerauna - rzekł wysoki kapłan Jaelre - także dlatego, że sam chciałbym wiedzieć, co knuje Lolth. Uważam jednak, że sprawiedliwie byłoby oczekiwać odwzajemnienia przysługi, a ponieważ to wy zwróciliście się do mnie z prośbą, a nie na odwrót, zapytam o radę Vhaerauna tylko pod warunkiem, że wypełnicie wyznaczone wam zadanie.

- Doskonale - wycodziła Quenthel. - Co mamy dla was zrobić?

- Trzy dni drogi na zachód stąd leżą ruiny Myth Drannor, niegdyś stolicy dawnego królestwa elfów, Cormanthoru - rzekł Tzirik. - Badając ruiny, nabraliśmy podejrzeń, że w pogrzebanej w ruinach wieży czarodzieja sekretnej bibliotece znajduje się księga zawierająca potężną i tajemną wiedzę - Geildirion z Cimbaru. Zawarte w niej wiadomości są nam potrzebne, ponieważ pomogą nam opanować starożytne magiczne osłony, które nasi polegli kuzyni z powierzchni wznieśli w swojej krainie. Niestety, ruiny roją się od demonów, diabłów i wszelkiego rodzaju plugastwa, zaś w samej wieży ma siedzibę wyjątkowo potężny mag-beholder. Wysłaliśmy do wieży dwie wyprawy, ale beholder bez trudu rozgromił lub przegnał naszych zwiadowców. Nie chcę ryzykować życia moich kolejnych poddanych, ale bardzo zależy mi na tej księdze. Ponieważ wyglądacie na kwiata rycerstwa Menzoberranzan, może wam uda się dokonać tego, czego nie zdołali dokonać nasi wojownicy. Przynieście mi Geildirion, a ja poproszę Vhaerauna, żeby wyjaśnił przyczyny milczenia Lolth.

- Zgoda - odparła Quenthel. - Daj nam przewodnika, a my zdobędziemy dla ciebie księgę.

Jezz zaśmiał się cicho.

- Nie zgodzilibyście się tak szybko, gdybyście wiedzieli, jak niebezpieczny jest beholder. Z pewnością zasłużycie na naszą pomoc.

ROZDZIAŁ 15

O zmroku Seyll przyszła po Halisstrę w towarzystwie młodej drowki i jeszcze młodszej bladej elfki. Kapłanka Eilistraee założyła pod zieloną opończę kolczugę, przy boku miała miecz, a na nogach wysokie buty. Pod jednym ramieniem niosła jakiś tobolek.

- Pada - powiedziała, wchodząc do celi - ale nasza starsza kapłanka twierdzi, że później, kiedy wszędzie księżyc, przejaśni się. Dziś w nocy pójdziemy oddać cześć naszej bogini.

Halisstra poruszyła się w łańcuchach i wstała.

- Nie oddam czci Eilistraee - oświadczyła.

- Nie musisz brać udziału w obrzędach. Daję ci tylko możliwość obserwowania i wyciągnięcia własnych wniosków. Zażądałaś, abym udowodniła, że moja bogini nie jest okrutna ani zazdrosna. Jestem gotowa udowodnić to.

- Z pewnością zamierzasz zauroczyć mnie jakimiś zaklęciami - powiedziała Halisstra. - Nie myśl, że dam się tak łatwo omamić.

- Nikt nie będzie próbował cię zaczarować - zapewniła Seyll. Położyła tobolek na ziemi i rozwinęła go. W środku znajdował się duży skórzany pokrowiec, buty i płaszcz bardzo podobny do jej własnego. - Przyniosłam ci twoją lirę w nadziei, że zechcesz zaszczycić nas swoją pieśnią, jeśli poczujesz taką ochotę.

- Wątpię, by pieśni bae'qeshel przypadły wam do gustu - zauważyła Halisstra.

- Zobaczymy - powiedziała kapłanka. - Spędziłaś w zamknięciu trzy dni i daję ci szansę na opuszczenie celi.

- Tylko po to, żeby przyprowadzić mnie tu z powrotem, kiedy już skończysz zanudzać mnie pogadankami o swojej bogini.

- Jak już mówiłam, wystarczy, że wyjaśnisz lordowi Dessaerowi, co tu robisz, a odzyskasz wolność - powiedziała Seyll. Wyjęła pęk kluczy i zadzwoniła nim przed nosem Halisstry. - Xarra i Feliane mają mi pomóc odprowadzić cię bezpiecznie na miejsce naszej dzisiejszej ceremonii, ale obawiam się, że musimy ci związać ręce.

Halisstra spojrzała na dwie pozostałe kobiety. One również nosiły pod płaszczami kolczugi, a przy pasie miecze. Nie miała najmniejszej ochoty oglądać jakichś pozbawionych sensu obrzędów na cześć Eilistraee, ale Seyll dawała jej szansę opuszczenia celi. W najgorszym przypadku Seyll zachowa czujność i nie trafi jej się żadna okazja ucieczki, ale i tak nic wtedy nie traci. W najlepszym wypadku Seyll i dwie kleryczki popełnią błąd, który Halisstra może wykorzystać.

W obu wypadkach będzie miała przynajmniej możliwość przyjrzeć się miastu i otaczającym go lasom, co mogło się przydać, gdyby możliwość ucieczki trafiła się później, a mogła się trafić zawsze.

- A więc dobrze - powiedziała.

Seyll odpięła kajdany i pomogła kapłance Melarn wdziać zimowe odzienie i płaszcz, który przyniosła. Związała jej ręce mocnym srebrzystym sznurem, po czym trzysobowa grupka opuściła pałacowe lochy i wyszła w zimną deszczową noc.

Elfie Drzewo nie było miastem, posterunkiem ani obozem, ale czymś pośrednim. Jego teren przecinały zrujnowane mury z białego kamienia, które wytyczały zarys istniejących tu kiedyś obwarowań i rozległych placów średnich rozmiarów miasta, ale większość z nich sypała się ze starości. Z wielu budynków pozostały tylko zewnętrzne ściany, ale część z nich została przywłaszczona przez obecnych mieszkańców, którzy przykryli je drewnianymi kratownicami lub namiotami, zmieniając stare dumne budowle w skromne, tymczasowe domostwa leśnych ludzi. Wielkie powykręcane drzewa wyrastały ze splekanych posadzek starożytnych dziedzińców, a wiele budynków stało wysoko nad ziemią, w ich potężnych konarach, połączone ze sobą wiszącymi kładkami ze srebrnych lin i białych desek. Garstka oryginalnych budowli wciąż stała nienaruszona.

Halisstra zobaczyła, że była więziona u stóp starej wieży strażniczej. Po drugiej stronie placu wznosił się między drzewami wspaniały pałac oświetlony miękkim blaskiem setek latarni. Pałac lorda Dessaera, domyśliła się. W powietrzu unosiły się dobiegające z oddali odgłosy śpiewu i zabawy.

Kapłanki Eilistraee poprowadziły Halisstrę starym bulwarem, który szybko wyprowadził je z miasta i zagłębił się w ciemny, mokry od deszczu las. Maszerowały tak przez jakiś czas, a nocną ciszę zakłócał tylko dźwięk cichych kroków na leśnym poszyciu i nieustający plusk deszczu, który rzeczywiście zauważalnie zelżał, ustępując częściowemu zachmurzeniu, przez które co jakiś czas widać

było gwiazdy.

Halisstra miała już wyżej uszu Świata Ponad, ale zajęła się rozsupływaniem więzów, jednocześnie obserwując uważnie pilnujące ją kapłanki w nadziei, że na chwilę zmniejszą czujność. Xarra, drowka, szła przodem, a Feliane zamykała pochód. Seyll trzymała się przez cały czas blisko Halisstry, tuż przed nią albo tuż za nią.

- Dokąd mnie zabieracie? - zapytała Halisstra, kiedy wędrownka zaczęła jej się trochę dłużyć.
- Do miejsca, które nazywamy Kamieniem Tańców - odrzekła Seyll. - To święte miejsce Eilistraee.
- Jak dla mnie cały ten las wygląda tak samo - powiedziała Halisstra. - Jak odróżnicie jedną część od drugiej?

- Znamy ten szlak bardzo dobrze - odparła Seyll. - Jesteśmy teraz niedaleko miejsca, gdzie po raz pierwszy spotkał się ciebie i twoich towarzyszy. Opuścili cię i nie widziano ich od tamtej nocy.

Halisstra podniosła do ust butelkę, żeby ukryć uśmiech, który przemknął jej przez twarz. Renegacka kapłanka popełniła błąd i nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Skoro znajdowały się niedaleko od miejsca, gdzie została schwytana, było logiczne, że kierując się stąd słowami wizji Pharauna ma szansę odnaleźć drowy Jaelre. Bez względu na to, co osiągnęła tej nocy, warto było tu przyjść.

Doszły do głośnego, rwącego potoku o korycie usianym wielkimi głazami. Xarra przeszła przez niego pierwsza, przeskakując lekko z kamienia na kamień i weszła w las po drugiej stronie, wypatrując niebezpieczeństw. Seyll szła za nią, kilka kroków przed Halisstrą, ze wzrokiem wbitym w niepewne podłoże. Halisstra ruszyła za nią. Rwąca woda rozbijała się na kamieniach z głośnym pluskiem, choć potok był płytki i dość wąski. Księżyc schował się za chmury, na chwilę pogrążając las w ciemnościach. Halisstra zwietrzyła okazję.

Szybko przeskoczyła dwa głazy i zatrzymała się, jak gdyby zastanawiała się nad następnym krokiem. Zamiast tego niskim głosem rozpoczęła pieśń bae'qeshel, którą zagłuszył szum strumienia. Seyll przeskakiwała z kamienia na kamień, a elfka Feliane przystanęła za Halisstrą, czekając, aż ta przekroczy potok.

Trudno jej było czarować nawet z tak luźno związanymi rękami, ale moc zaklęcia tkwiła w głosie Halisstry, nie jej dłoniach. W momencie, w którym Feliane straciła cierpliwość i przyskoczyła do niej, żeby jej pomóc, Halisstra obróciła się i wbiła czerwone spojrzenie w bladą twarz dziewczyny.

- Angardth xorr feleal - wysyczała. - Droga Feliane, czy mogłaś dobrać miecza i oswobodzić mnie z tych kłopotliwych więzów? Boję się, że upadnę.

Zaklęcie z łatwością zawładnęło młodą kapłanką. Z pustym wyrazem twarzy dobiła miecza.

- Oczywiście - wymamrotała elfka nieobecny głosem.

Przeciągnęła ostrym jak brzytwa ostrzem przez sznury na nadgarstkach Halisstry. Halisstra zerknęła przez ramię na Seyll i przesunęła się ostrożnie, aby osłonić własnym ciałem robotę Feliane.

- Co się stało? - zawołała Seyll.

- Nie odpowiadaj - szepnęła Halisstra do dziewczyny. Trzymając ręce razem, odwróciła się twarzą do kapłanki. - Chwilę! - zawołała. - Boję się zrobić następny krok ze związanymi rękami. Następny głaz wygląda na śliski.

Seyll rzuciła okiem na potok i zawróciła, przeskakując z kamienia na kamień, aby wrócić do Halisstry i Feliane. Halisstra obróciła się nieznacznie, żeby spojrzeć na Feliane, która stała za nią z mieczem w dłoni.

- Droga Feliane - powiedziała słodko - czy mogę pożyczyć na chwilę twój miecz?

Dziewczyna zmarszczyła lekko brwi, być może świadoma w głębi zmaconego zaklęciem umysłu, że coś jest nie tak, ale wyciągnęła rękojeść miecza do Halisstry. Po raz kolejny osłaniając ruch ciałem, Halisstra wzięła klingę do ręki.

- Już - powiedziała Seyll. Kapłanka Eilistraee dotarła do następnego głazu i stanęła na nim ostrożnie, wyciągając rękę. - Złap mnie za rękę, nie pozwolę ci upaść.

Halisstra obróciła się z szybkością kota i zatopiła miecz Feliane pod wyciągniętym ramieniem Seyll. Kapłanka krzyknęła w szoku, ześliznęła się z głazu i wpadła niezgrabnie w lodowatą wodę. Zsunęła się po omszałym głazie i zatrzymała oparta oniego plecami, siedząc po pas w rwącej wodzie.

Halisstra wyciągnęła miecz i odwróciła się do Feliane, która wpatrywała się w nią jak oniemiała.

- Seyll została ranna, dziewczyno - warknęła Halisstra. - Szybko, biegnij z powrotem do Elfięgo Drzewa i sprowadź pomoc! No już!

Błada elfka skinęła niepewnie głową, okręciła się i pobiegła. Halisstra przeskoczyła nad Seyll i

pomknęła dalej. Z zalesionego brzegu wychynęła nagle Xarra, młodsza kapłanka, która wróciła, żeby sprawdzić, co zatrzymało pozostałe elfki. Trzeba jej było przyznać, że ogarnęła sytuacją jednym spojrzeniem. Uniosła kuszę i wycelowała.

Halisstra rzuciła się w bok, skręcając ciałem w pół skoku. Biełt Xarry przeleciał ze świstem tak blisko jej piersi, że poczuła, jak zawadza o płaszcz.

- Chybiłaś, dziewczko - warknęła Halisstra.

Xarra odrzuciła kuszę i sięgnęła po miecz. Umarła, zanim ostrze wysunęło się do końca z pochwy, z gardłem przebitym mieczem. Halisstra wyprostowała się i z bijącym mocno sercem spojrzała na leżące pod nogami ciało. Strumień szumił głośno, powietrze pachniało deszczem i mokrymi liśćmi.

Co teraz? - pomyślała.

Jej cenną kolczugę, buzdygan i kuszę zatrzymał lord Dessaer w Elfim Drzewie, a choć bardzo chciała odzyskać swoje rzeczy, wiedziała, że nie uda jej się to bez pomocy Menzoberranzańczyków. Najlepsze, co mogła zrobić, to uzbroić się w co się dało, zabrać prowiant znaleziony przy Seyll i Xarze i ruszyć na poszukiwania Jaelre. Przy odrobinie szczęścia odszuka ich, zanim znajdą ją tropiciele Dessaera. Halisstra przełożyła miecz przez pas i wróciła po kamieniach do miejsca, gdzie leżała Seyll, żeby sprawdzić czy nie znajdzie przy niej czegoś użytecznego. Z pluskiem wskoczyła do zimnego potoku obok kapłanki Eilistrae, chwyciła ją pod ramiona i wciągnęła z powrotem na kamienną płytę, żeby przyjrzeć się lepiej jej rynsztunkowi. Pancierz był z pewnością magiczny, podobnie jak tarcza przewieszona przez ramię i miecz za pasem. Halisstra zaczęła odpinać kolczugę, chcąc ściągnąć ją z ciała Seyll.

Seyll zamrugnęła i jęknęła:

- Halistro...

Halisstra cofnęła się gwałtownie, przede wszystkim wystraszona, a także nieco zniesmaczona faktem, że plądruje trupa kogoś, kto nie jest jeszcze do końca martwy. Spojrzała na kamień i przyjrzała się strumyczkowi krwi spływającemu z boku Seyll w spienioną wodę potoku. Oddech kapłanki był mokry i płytki, na jej wargach pojawiły się jasne plamki krwi.

- Mam nadzieję, że mi wybaczysz, Seyll, ale potrzebny mi twój rynsztunek, a ty i tak zaraz umrzesz - powiedziała Halisstra. - Postanowiłam nie przyjąć uprzejmego zaproszenia na wasze obrzędy, ponieważ mam pilne sprawy do załatwienia w innej części lasu.

- Po... zostało? - wydyszała Seyll.

- Xarra miała na tyle przyzwoitości, żeby umrzeć szybko i bez wdawania się w niezręczne rozmowy. Elfkę z powierzchni zaczarowałam i wysłałam w las.

Halisstra rozpięła sprzączkę pasa, na którym wisiał miecz Seyll i ściągnęła go, odkładając daleko poza zasięg umierającej drowki. Zabrała się za mocowanie kolczugi.

- Choć podziwiam determinację, z jaką próbowałaś ocalić mnie przed samą sobą, Seyll, nie wierzę, że nie przewidziałaś tego jakże prawdopodobnego rezultatu prób nawrócenia mnie.

- To... ryzyko... które wszystkie... jesteśmy gotowe... podjąć - zdołała wydusić Seyll. - Każdy może zostać odkupiony.

Wybelkotała coś jeszcze i wyciągnęła ręce, żeby przeszkodzić Halisstrze, ale kapłanka Melarn tylko je odtrąciła.

- A zatem jesteście głupie. Lolth ukarała cię za niewierność moją ręką, apostatko - powiedziała Halisstra. Zzuła kapłance buty z nóg i zdjęła nogawice. - Powiedz, czy warto było pójść drogą, która skończyła się zimną i bezsensowną śmiercią w tym nędznym lesie?

Ku zaskoczeniu Halisstry, Seyll uśmiechnęła się resztkami sił.

- Warto? Na... mą... duszą, tak. - Odchyliła głowę do tyłu i spojrzała Halisstrze w twarz. - Wciąż... mam... nadzieję... co do ciebie - wyszeptowała. - Nie... przejmuj się... mną. Zostałam... odkupiona.

Jej oczy zamknęły się po raz ostatni, a mokry oddech ustał.

Halisstra przerwała zajęcie. Spodziewała się gniewu, nienawiści, może nawet strachu lub wzgardy, ale wybaczenia? Jaką władzę miała Mroczna Dziewica nad swoimi czcicielkami, że umierały, błogosławiąc swych wrogów?

Seyll odwróciła się od Pajęczej Królowej, przekonywała samą siebie, a przeze mnie Pajęcza Królowa wywarła na niej zemstę.

A jednak Seyll umarła w pogodzie ducha, jak gdyby w chwili śmierci wymknęła się Lolth ostatecznie i nieodwołalnie.

- Niech Pajęcza Królowa weźmie twoją duszę - powiedziała do martwej kapłanki, ale jakoś sama w

to nie wierzyła.

* * *

- Szybki marsz to najpewniejsza droga do zwycięstwa - powiedział Andzrel Baenre, zwracając się do zgromadzonych kapłanek.

Nimor stał z boku i przyglądał się fehmistrzowi Baenre, jednemu z nielicznych mężczyzn zaproszonych na naradę. Wszystkie wielkie domy i nie mniej niż szesnaście pomniejszych, było reprezentowane przez pospiesznie zebraną Armię Czarnego Pajaka, która wzięła swoją nazwę od sztandarów, pod którymi maszerowała. Prawie trzydzieści wysokich kapłanek - przynajmniej jedna z prawie każdego domu, a w niektórych przypadkach kilka wysokich kapłanek z tego samego domu - wypełniających wielki pawilon dowództwa dostarczony przez kontyngent Baenre przyglądało się Andzrelowi jak drapieżne kotki, na wpołleżąc, siedząc lub stojąc zgodnie z zajmowaną rangą. Nimor i kilku pozostałych mężczyzn stało, rzecz jasna. Żadnemu mężczyźnie nie wolno było siedzieć w obecności stojącej kapłanki.

- Prowadzimy do walki około czterech tysięcy drowów oraz dwa i pół tysiąca niewolników. Wszystkie raporty wskazują na to, że armia duergarów ma zbliżoną liczebność i maszeruje ku nam z południa, ale oczywiście nie zamierzamy zmierzyć się z nimi w uczciwej walce. - Słowo „uczciwej” wywołało w całym namiocie falę chichotów. Andzrel wskazał smukłą buławą wielką mapę wyrysowaną inkaustem na papierze welinowym ze skóry rothe. - Możemy zatrzymać armię znacznie silniejszą od naszej, jeśli wybierzemy właściwe pole bitwy. Miejsce, w którym zatrzymamy pochód duergarów, znajduje się tutaj, przy Słupach Żalu.

- Jeśli ja zadecyduję, że twój plan ma jakąś wartość - wycedziła Mez'Barris Armgo z domu Barrison Del'Armgo. - Triel Baenre może polegać na twojej ocenie sytuacji, chłopcze, ale ja zamierzam myśleć za siebie.

Wysoka potężna elfka, matka opiekunka drugiego domu, była najwyższą rangą kapłanką wśród obecnych i nominalnie dowodziła całą wyprawą. Każdy z domów wystawił kilka kapłanek, które miały dowodzić swoimi kontyngentami w walce, od niepełnej krwi akolitek, po pierwsze córki i matki opiekunki. Fehmistrzowie tacy jak Andzrel i mężczyźni łącznie z Nimorem odgrywającym Zhayemda Dyrra dowodzili poszczególnymi oddziałami, kompaniami, szwadronami kawalerii i zajmowali się niekończącymi się szczegółami organizacyjnymi.

- Mój kuzyn przedstawia stanowisko domu Baenre - wychrypiała Zal'therra Baenre. - Opiekunka Triel aprobuje plan bitwy fehmistrza.

Pierwsza z kuzynek Triel Baenre, Zal'therra w niczym nie przypominała drobniutkiej matki opiekunki domu. Była wysoką i barczystą, mocno zbudowaną kobietą o ogromnej sile fizycznej i szorstkim, onieśmielającym sposobie bycia. Ona i Mez'Barris były podobne z wyglądu, jednak matka opiekunka domu Del'Armgo charakteryzowała się występłą przebiegłością, która nie była dominującą cechą charakteru kapłanki Baenre. Mez'Barris wbiła spojrzenie czerwonych oczu w młodszą kobietę, ale nie odpowiedziała.

Andzrel wiedział, że nie należy się odzywać, kiedy dwie kobiety spierają się ze sobą. Odczekał więc chwilę, zanim podjął przemowę.

- Oto Dylemat Rhazsta - rzekł - gdzie kapitan Zhayemd z domu Agrach Dyrr widział wczoraj awangardę duergarów. Leży około dwudziestu pięciu mil na południe od Słupów Żalu, u dolnego wylotu wąwozu. Możemy się spodziewać, że w najgorszym wypadku duergarowie zdobędą posterunek dziś po południu, może jutro, jeśli będziemy mieli szczęście. Duergarowie to krzepcy żołnierze, którzy potrafią maszerować cały dzień, ale są wolni, a ich armia jest obciążona długimi taborami i ciężkimi machinami oblężniczymi. Pokonanie wąwozu zajmie im sporo czasu. W najgorszym wypadku zdołają dotrzeć do Słupów w pięć dni, choć jest bardziej prawdopodobne, że w siedem albo osiem.

- Skąd wiesz, że krasnoludy nie zdobyły jeszcze placówki? - zapytała kapłanka Tuin'Tarl.

- Nie wiemy tego, pani Tuin'Tarl. Duergarscy czarodzieje i klerycy uniemożliwiają nam śledzenie otoczenia, co jest powszechną praktyką przy tego rodzaju działaniach wojennych. - Andzrel skinął na Nimora i dodał: - Właśnie dlatego tak istotne jest wysłanie na miejsce doświadczonych zwiadowców, którzy rozpoznają teren, którego nie mogą zobaczyć czarodzieje. Dowodzenie nad naszym zwiadem objął Zhayemd z domu Agrach Dyrr.

Andzrel odczekał chwilę, żeby upewnić się, że kapłanki nie mają więcej pytań i ciągnął dalej.

- W każdym razie nasze wojska podróżują szybciej niż armia szarych krasnoludów i mamy o wiele łatwiejszą trasę. Spodziewam się, że nasza awangarda dotrze do Słupów Żalu za trzy, cztery dni. Jeśli zajmiemy górny wylot wąwozu, duergarowie nigdy nie przełamią naszej obrony. Jak widzicie, jest to swego rodzaju wyścig, powinniśmy zatem działać jak najszybciej.

- Jaki jest twój plan bitwy, Zal`therro? - zapytała kapłanka dowodząca kontyngentem domu Xorlarrin.

Nimor uśmiechnął się, słysząc to pytanie. Zal`therra została z pewnością poinstruowana przez Triel, by planując bitwę zdać się na fehmistrza ich domu, ale wysoka kapłanka zachowywała się tak, jak gdyby Andzrela w ogóle tam nie było.

- Przedstawi go Andzrel - odparła kapłanka Baenre, jak gdyby właśnie skończyła mu wszystko objaśniać i pozwalała teraz podzielić się ze wszystkimi jej geniuszem.

Jeśli fehmistrz zauważył ten afront, nie dał po sobie nic poznać.

- Stworzymy silny, dobrze umocowany front w poprzek wylotu wąwozu. Kilkuset żołnierzy powinno wystarczyć, ale wyślemy tysiąc. Resztę naszych sił będziemy trzymać w rezerwie i zabezpieczymy różne mniejsze przejścia i pobliskie jaskinie.

Andzrel odłożył buławę i z beznamiętnym wyrazem twarzy stanął przodem do zebranych kapłanek, tylko oczy błyszczały mu determinacją.

- Zamierzam pozwolić duergarom natrzeć na nas i złamać ich pomiędzy Słupami Żalu. Kiedy znudzą się daremnymi próbami szturmowania, pogonimy ich w dół wąwozu i urządzimy im i ich niewolnikom krwawą łaźnię.

- A jeśli duergarowie nie zdecydują się szturmować Słupów? - zapytała Mez`Barris, zwracając się bezpośrednio do Andzrela.

- To duergarowie najeżdżają nasze ziemie, matko opiekunko, więc do nich należy inicjatywa. Jeśli postanowią nie zdobywać Słupów, przeczekamy ich. Nasze linie zaopatrzeniowe są znacznie krótsze. Za kilka dni będą musieli wybierać pomiędzy atakiem a odwrotem.

Mez`Barris spojrzała na mapę, rozważając odpowiedź Andzrela.

- Bardzo dobrze - powiedziała. - Chcę sprawdzić, jak szybko uda nam się dotrzeć do miejsca, o którym mówisz. Jeśli dotrzemy do Słupów Żalu w trzy dni, zdążymy odpocząć przed bitwą. Chcę, żeby nasze najszybsze oddziały ruszyły natychmiast ku Słupom, tak na wszelki wypadek. Nie mam nic przeciwko temu, żeby kilkuset naszych zwiadowców znalazło się u szczytu wąwozu za półtora dnia. A teraz, jeśli nam wybaczyacie, chcę omówić z innymi kapłankami, jak najlepiej wykorzystać nasze talenty w nadciągającym konflikcie.

Andzrel skłonił się lekko i wyszedł z pomieszczenia. Nimor dołączył do fehmistrza Baenre i wraz z garstką innych dowódców opuścili czarny pawilon. Namiot stał w dużym tunelu o zaokrąglonych ścianach pełnym żołnierzy i jucznych jaszczurów. W jedną i drugą stronę, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się proporce różnych domów.

- Zhayemdzie - odezwał się Andzrel - chcę, żebyś objął dowodzenie nad naszą strażą przednią, jak sugerowała matka opiekunka Del'Armgo. Weź swoją kawalerię i pędź tam co jaszczur wyskoczy. Niepokoi mnie brak informacji o armii duergarów. Przydzielę ci jeszcze jeźdźców z innych oddziałów, żebyś mógł bronić przełęczy, gdyby doszło do najgorszego.

- Muszę to omówić z naszą wysoką kapłanką - odparł Nimor, choć nie miał wcale zamiaru tego robić. Fehmistrz, wciąż znajdujący się pod wpływem potężnego i długotrwałego zaklęcia, i tak musiał mu zaufać. - Wierzę jednak, że poprze tę propozycję.

- Świetnie - powiedział Andzrel, dochodząc do obozu Baenre. Poklepał Nimora po ramieniu. - Jeśli zauważysz duergarów gdzieś, gdzie nie powinno ich być, natychmiast nas o tym powiadom. Nie popełnij głupiego błędu. Jesteś oczyma naszej armii.

Nimor uśmiechnął się i rzekł:

- Nie martw się, Andzrelu. Nie zamierzam zdać się na los.

* * *

Jezz Kulawiec skulił się niezdarnie w cieniu zrujnowanego muru, patrząc na oddaloną o rzut kamieniem dużą okrągłą basztę, wznoszącą się po drugiej stronie niewielkiego placu.

- Tam - powiedział. - Wieża beholdera. Schody prowadzą do drzwi, które, jak odkryliśmy, są

otwarte, acz strzeżone śmiertelnie groźnymi magicznymi pułapkami. Na wyższych poziomach zauważycie kilka małych okienek, przez które drobny drow zdołałby się może precyzyjnie. Nie próbowaliśmy jednak tego robić.

Ryld, który kucnął tuż za Jaelre, wychylił się, żeby samemu spojrzeć na wieżę. Wyglądała mniej więcej tak, jak opisał ją - Zammz, a otaczały ją rozległe ruiny Myth Drannor. Pharaun użył magii, aby skrócić podróż do dawnej elfiej stolicy i po kilkugodzinnym odpoczynku drużyna spędziła większość nocy na przedzieraniu się przez ruiny.

Myth Drannor było teraz wielkim rumowiskiem z białego kamienia porośniętym drzewami i pnączami, ale kiedyś było czymś więcej. Dawne miasto elfów mogło nie być tak wielkie jak Menzoberranzan czy wspaniałe jak Ched Nasad, ale charakteryzowało się elegancją i pięknem, które dorównywały, o ile nie przewyższały, najlepszym przykładom drowiej architektury.

Ryld omiół dachy budynków uważnym spojrzeniem.

- Ani śladu diabłów - powiedział. - Może zabiliśmy ich tyle, że postanowiły już się nam nie narzucać.

- Mało prawdopodobne - prychnął Zammz. - Wycofały się, żeby przygotować kolejny atak i poczekać na przybycie potężniejszych demonów, zanim znów się na nas rzucą.

- W takim razie powinniśmy wykorzystać ich chwilową nieobecność i zrobić to, co mamy do zrobienia - stwierdziła Quenthel. Ona też przysunęła się bliżej, żeby przyjrzeć się wieży. - Nie widzę nic, co zachęcałoby mnie do zmiany planów. Pharaun, rzucaj swoje zaklęcie.

- Jak sobie życzysz, droga Quenthel - zaczął czarodziej - choć muszę przyznać, że nie do końca zgadzam się z...

Gniewne spojrzenia wszystkich pozostałych członków drużyny uciszyły Pharauna, zanim dokończył protest. Westchnął i machnął ręką.

- No dobrze.

Czarodziej wyprostował się i starannie wymówił słowa zaklęcia, potężne sylaby rozbrzmiewające magiczną mocą. Nad Ryldem i resztą przeląła się niematerialna fala. Fehmistrz poczuł, jak siła i szybkość uchodzą z niego, Rozpruwacz robi się cięższy, a jego lśniący klinga nagle matowieje. Ryld nie był czarodziejem, ale jak każdy wysoko postawiony drow przez lata otoczył się różnymi magicznymi zaklęciami, które zwiększały jego szybkość, wytrzymałość zbroi i śmiertelne działanie broni. Zaklęcie Pharauna na pewien czas uchylało całą magię w ich otoczeniu, pozbawiając Rylda wzmacniających go zaklęć i wywierając podobny wpływ na inne drowy. Najdziwniejszym jego efektem był nagły bezwład, jaki ogarnął straszliwy bicz Quenthel. W jednej chwili zmięły się i wiły się, czujne i zjadłe, a w następnej zwisały jak martwe z trzonka bata.

- Trzymajcie się blisko mnie, jeśli chcecie pozostać w zasięgu zaklęcia - polecił Pharaun.

Obliznął nerwowo wargi. Wewnątrz strefy antymagii, którą właśnie stworzył, nie mógł rzucać czarów, a jego wspaniała kolekcja magicznych przedmiotów i amuletów była bezużyteczna. Czarodziej wyjął kuszę i poluzował sztylet w pochwie.

- Czuję się, jakbym szedł na smoka z nożem kuchennym - wymamrotał.

Ryld poklepał go po ramieniu i wstał. Schował Rozpruwacza do pochwy i wyciągnął kuszę.

- Tak, ale twoje zaklęcie wyrwie smokowi zęby - powiedział.

- Ruszajmy - rozkazała Quenthel.

Sama wyglądała na mocno podenerwowaną. Najwidoczniej jej nieruchoma i milcząca broń napawała ją niepokojem. Nie czekając, przemknęła przez dziedziniec i wbiegła po schodach prowadzących do drzwi wieży. Pozostali ruszyli za nią, mrugając w świetle nadchodzącego świtu. Ryld postarał się omieść wzrokiem zrujnowane ulice i mury za ich plecami, wypatrując powrotu potwornych mieszkańców Myth Drannor. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali, była banda opętanych żądzą krwi diabłów, napadająca na nich, kiedy wyrzekli się własnej magii.

Przy drzwiach Quenthel przepuściła Jeggeda. Zwalisty draegloth podszedł do nich, otworzył je gwałtownym szarpnięciem i wskoczył do środka. Obmurowanie pękło i na kamienne stopnie posypał się gruz. Quenthel skoczyła za Jeggedem, za nią Danifae i Valas. Ryld rozejrzył się ostatni raz i zauważył, że Zammz został z tyłu.

- Nie idziesz? - zapytał.

- Zamierzam się tylko przyglądać - odparł Jaelre. - Pokonanie beholdera to wasze zadanie, nie moje. Jeśli przeżyjecie, dołączcie do was.

Ryld skrzywił się, ale wskoczył do środka. Stali w swego rodzaju przedsionku oświetlonym ukośnymi snopami przyćmionego światła, które wpadały przez dziury w murze. W przeciwnym końcu pomieszczenia znajdowały się drugie drzwi. Kiedyś przedsionek mógł być wspaniałym i imponującym westybuliem, ale kafle posadzki były popękane i rozsądzone głębokimi zielonymi szczelinami, zaś z dumnych proporców i arrasów wiszących na ścianach pozostały tylko postrzępione szmaty.

Pharaun stał tuż obok, przyglądając się zawilemu symbolowi wyrytemu wyraźnie na jednej z kamiennych płyt posadzki. Cały znak był nieco większy od jego dłoni i stanowił wielce skomplikowaną płataninę zakręconych linii i liter.

- Symbol niezgody - oznajmił czarodziej. - Gdyby nie chroniło nas pole antymagii, rzucilibyśmy się na siebie w morderczym szale... ale do tego nie są nam potrzebne żadne symbole, nieprawdaż?

- Następne pomieszczenie? - zapytał Ryld.

Jeggred był już przy drzwiach. Draegloth otworzył je i wskoczył, a za nim pozostali, do okrągłej komnaty przypominającej dno studni. Kilka wyższych pięter już dawno się zawaliło, zasypując parter gruzem, z którego wystawały wielkie drewniane belki. Poruszanie się utrudniały wyższe od drowa sterty kamiennych bloków.

Ryld zapatrzył się w otwartą przestrzeń nad głową, szukając oznak bytności potwora, który miał się tu czaić. Pozostali zrobili to samo, ale wszystko było nieruchome.

- Nie widzę żadnego beholdera - stwierdził Jeggred.

Ryld miał już coś odpowiedzieć, kiedy coś nad nimi odezwało się okropnym, skrzeczącym głosem:

- Oczywiście, że nie, głupcy. Nie życzę sobie, by mnie widziano!

Sekundę później stwór zaatakował. Gdzieś z wysoka, spod szczytu zrujnowanej wieży, pomknęło ku drowom kilka jaskrawych snopów magicznej energii śmiertelnych promieni, które potrafiło wystrzelić każde z oczu potwora, aby ranić, paraliżować, zaczarować, a nawet unicestwić wrogów a za nimi ogromny błękitny grom wyczarowany przez niewidoczne monstrum. Ryld nie widział źródła magii. Promienie i trzeszczący słup elektryczności zniknęły nagle nad głowami drowów, zniesione przez strefę antymagii Pharauna. Stwór podjął jeszcze jedną próbę, strzelając w nich innymi promieniami i intonując głębokim, brzęczącym głosem jakieś straszliwe zaklęcie, ale i tym razem na nic się to nie zdało.

Ryld wycelował z kuszy w górę szybu i zgadując, z którego miejsca posypały się na nich pioruny, wypuścił z wypraktykowaną wprawą bełt. Skrzek bólu nad głową powiedział mu, że jego domysły okazały się trafne. Valas, Danifae i Pharaun poszli w jego ślady, zaś Jeggred chwycił w jedno z bojowych ramion kawał cegły i cisnął nią w ciemność z zaskakującą szybkością. Część pocisków oczywiście chybiła. Nawet gdyby beholder był widoczny, jego chitynowy pancerz był odporny na ataki, a trafienie w stwora okrytego zaklęciem niewidzialności było wyjątkowo trudne. Jednak kilka bełtów trafiło w cel.

Mag-beholder bardzo szybko rozgryzł naturę osłony chroniącej drużynę. Zamiast starać się trafić bezpośrednio w mroczne elfy, zwrócił swój zabójczy wzrok ku zrujnowanym górnym piętrům. Promieniem wystrzelonym z jednego oka przepalił podstawę ciężkiej drewnianej belki wystającej ze ściany wieży, a innym uchwycił ją za pomocą telekinezy i cisnął nią w Valasa, który ostrzeliwał go z łuku, osiągając całkiem przyzwoite efekty. Zwiadowca rzucił się w bok w samą porę, by uniknąć zmiżdżenia przez masywną belkę, ale stracił równowagę i wpadł w rumowisko. Powietrze wypełnił kurz i odgłos pękających kamieni. Beholder natychmiast zajął się kolejną belką, jednocześnie przechodząc od buczącej inkantacji do następnego zaklęcia.

- Musimy dostać się wyżej - powiedziała Quenthel. - Stwór znajduje się poza zasięgiem czaru Pharauna.

- Mam podskoczyć? - zapytał ironicznie Pharaun. Uchylił się przed kawałem muru wielkości głowy, który zleciał z góry i znów wymierzył z kuszy. - Chroniąca nas antymagia uniemożliwia nam również latanie czy lewitację, co...

- Na miłość Lolth! - zawołał Ryld. - Na migi!

Valas pośliznął się i zgramolił ze sterty gruzu, szukając lepszego miejsca. Zwiadowca naciągnął starannie krótki łuk i wypuścił następną strzałę. Beholder wydał z siebie przeraźliwy pisk. Wysyłane przez jego oczy promienie zamigotały i zniknęły, a z góry przestał się sypać gruz.

- Beholder wycofał się na następne nietknięte piętro, pokazał Valas. Musimy dostać się na górę, żeby go dorwać.

Ryld przyjrzał się uważnie wewnętrznym ścianom zrujnowanej wieży. Czterech niższych pięter

brakowało, ale pozostawały przynajmniej dwa lub trzy nad sufitem najwyższego poziomu, który widzieli. Na oko było to jakieś sześćdziesiąt stóp wspinaczki, a mury były stare i zniszczone. Wprawny wspinacz mógł wykorzystać kikuty belek, które wcześniej podtrzymywały stropy niższych pięter, ale sam nie miał na to ochoty.

- *Nie mam ochoty się wspinać*, odparł na migi.

- *Ja też nie*, dodała Danifae. *Stwór wie, że chroni nas pole antymagii. Czyżby oczekiwał, że rozproszymy je, żeby się do niego dostać?*

- To możliwe - powiedział Pharaun. Widząc surowe spojrzenie Rylda, przeszedł na język migowy. - *Może powinniśmy byli dogłębniej przestudiować sytuację, zanim zgodziliśmy się na zadanie wyznaczone nam przez Jaelre.*

Pharaun, podobnie jak pozostali, przesuwiał się ostrożnie po podłodze, wpatrując się w górę.

Czarodziej odchylił głowę do tyłu i zawołał:

- Hej, beholderze! Ponieważ utknęliśmy w martwym punkcie, może zgodzisz się na pertraktację?

Quenthel naburmuszyła się.

- Mówisz w naszym imieniu, czarodzieju?

Ze szczytu wieży znów rozległ się głęboki, chrapliwy głos:

- Pertraktować? A to czemu? Wtargnęliście do mojej siedziby, bezczelni głupcy.

- Pharaun... - zaczęła Quenthel.

- Posiadasz księgę, na której nam zależy - odparł czarodziej, ignorując wysoką kapłankę. - Nazywa się chyba Geildirion z Cimbaru. Oddaj ją nam, a nie będziemy cię już niepokoić.

Beholder umilkł, najwyraźniej rozważając propozycję. Quenthel rzuciła magowi mordercze spojrzenie, ale tak jak pozostali, czekała na odpowiedź beholdera.

- Księga jest niezwykle cenna - powiedział w końcu stwór. - Nie oddam jej tylko dlatego, że żąda tego ode mnie drowie szczenię. Odejdźcie, a ja zgodzę się was oszczędzić.

Quenthel prychnęła.

- Można się było tego spodziewać. - Nieznacznym gestem skinęła na pozostałych i pokazała na migi: - *Na trzy Pharaun rozproszy zakłęcie. Danifae i Ryld - razem ze mną polecicie w górę szybu. Pharaun, kiedy znajdziemy się w połowie drogi, teleportujesz siebie i Jeggrede na wyższe piętro i weźmiecie potwora z zaskoczenia. Valas, ty zostaniesz tutaj i będziesz nas osłaniał, ostrzeliwując potwora z łuku. Kiedy już znajdziemy się na piętrze, sam wespnij się jak najszybciej na górę. Baenre nie zaczęła na uwagi dotyczące jej planu, tylko natychmiast rozpoczęła odliczanie.*

- *Raz, dwa... trzy!*

Pharaun wykonał krótki gest i rozproszył zakłęcie antymagii. Ryld poczuł, jak magiczna moc pasa, rękawic i miecza z powrotem wypełnia jego członki. Dobył Rozpruwacza i zaczął wznosić się w górę szybu, korzystając z czaru lewitacji, którym nasycone były jego insygnia Melee-Magthere. Wierzył, że jeśli będzie miał szczęście, zdolność miecza do odbijania zakłęcia osłoni go przed najgorszym.

Quenthel i Danifae wznosiły się obok niego, trzy czarne, wdzięczne postacie sunące w górę w ciemności. Pharaun przysunął się do Jeggrede i obserwował ich z jedną ręką na porośniętym białą sierścią ramieniu draegloth.

Po jednej stronie stropu znajdował się okrągły otwór przysłonięty nieco szczątkami starej klatki schodowej, która kiedyś prowadziła na szczyt wieży. Ryld spojrział w otwór, spodziewając się w każdej chwili rozżarzonej śmierci.

Beholder nie rozczarował go.

W powietrzu zmaterializował się nagle jaskrawozielony promień, który pomknął w stronę fechmistrza. Odbił go Rozpruwaczem i poczuł mrowienie w rękojeści, gdy wielki miecz unicestwił zdradliwą błyskawicę. Obok niego Danifae pisnęła i rzuciła się w bok, uciekając przed kolejnym straszliwym piorunem, który pozostawił w powietrzu swąd osmalonego drewna i zapach ozonu.

W górę pomknęły ze świstem strzały wystrzelone przez Valasa w niewidocznego wroga. Ryld warknął i siłą woli zaczął się wznosić jeszcze szybciej. Kolejne zakłęcie trafiło w Quenthel - jakiś czar rozprasający, który uniemożliwił jej lewitację. Kapłanka zamachała rozpaczliwie rękoma i runęła w dół. Ryld wyciągnął do niej rękę, ale Baenre była po prostu za daleko. Przeleciała czterdzieści stóp i grzmotnęła w ziemię na dnie szybu. Zwaliła się na stertę gruzu, jak spadający meteor i zniknęła w tumanie kurzu.

- Nie zatrzymuj się! - krzyknęła Danifae. - Jesteśmy już prawie na górze!

Beholder musiał dojść do tego samego wniosku. Chwilę później w otworze w stropie pojawiła się tafla litego lodu, która odgrodziła wyższe piętra i uwięziła drowy pod spodem.

- Cholera! - zaklął Ryld.

W tym momencie na dole komnaty pojawił się Zammz Kulawiec. Obrócił się i cisnął przez drzwi jakimś zaklęciem, po czym zatrzęsął je za sobą.

- Cokolwiek robicie, skończcie to - zawołał Zammz. - Diabły ściągnęły posiłki!

Ryld spojrział na taflę lodu zakrywającą wylot szybu, a potem z powrotem na usłaną gruzem posadzkę. Quenthel leżała nieruchomo na wpółzakopana w rumowisku. Nad jego głową zahuczało od zaklęć - pewny znak, że Pharaun i Jeggred dopadli wroga, ale bariera stworzona przez stwora podzieliła drużynę na dwie części. Rezygnując z prób dostania się na piętro, dawali potworowi szansę rozprawienia się z pojedynczymi członkami drużyny, ale w dole leżała Quenthel, martwa albo ranna.

- W górę - zdecydował Ryld. - Nie ma sensu wracać. Valas, Zammz, pomóżcie Quenthel.

Znalazł się pod lśniącym białym sklepieniem i wyrznął w lodową ścianę Rozpruwaczem, korzystając z rozpraszającej zaklęcia właściwości miecza. Z miejsca, w które uderzył, poleciały ostre jak brzytwy kawałki lodu, ale miecz nie zdołał zniweczyć magii beholdera. Ryld zaklął i spróbował jeszcze raz, znów nadaremnie.

Pod nimi drzwi prowadzące do wieży zatrzęsły się pod ciężkim uderzeniem. Valas szybko zarzucił łuk na ramię i pomknął co sił w nogach przez sterty gruzu i kamieni do miejsca, gdzie upadła Quenthel.

Jezz Kulawiec warknął coś i rzucił zaklęcie, zatykając przedsionek wieży lepкими sieciami. Wymówił słowa kolejnego czaru i uniósł się w powietrze, zostawiając Valasa i Quenthel na dnie szybu.

- Zapomnij o kapłance - zawołał do Valasa. - Chodź, jeśli ci życie miłe!

Zwiadowca wykrzywił się z wściekłością.

- Nie mogę się wspinać z nią na plecach! - burknął, kiedy drugi cios rozszczylił deski i wygiął żelazne zawiasy.

Drzwi nie mogły wytrzymać następnego uderzenia. Valas spojrział w górę, potem na Quenthel i odpiął z ramienia kapłanki insygnia domu Baenre. Jej bicz zakończony głowami węży poruszył się niespokojnie, a Yngoth kłapnęła szczękami, ale Valas odsunął się w tył i przypiął broszę do tuniki.

- Próbuje ratować waszą panią- warknął do bicza.

Zwiadowca przysunął się bliżej, chwycił Quenthel pod ramiona i dzięki mocy broszy zaczął unosić się w górę.

Tymczasem Ryld mierzył wzrokiem lodową barierę przed sobą.

- No dobrze - wymamrotał.

Cofnął się, zaparł nogami o ścianę szybu i uniósł Rozpruwacza do najpotężniejszego ciosu, na jaki potrafił się zdobyć. Z okrzykiem wściekłości wyrznął z całej siły w barierę. Ostrze Rozpruwacza rozplatało magiczny lód, a fehmistrza ogarnęła fala przeraźliwego zimna. Zignorował ból i zamachnął się jeszcze raz, i jeszcze raz - tafla lodu pękła w kilkunastu miejscach i spadła na posadzkę w dole. Nie czekając na pozostałych, Ryld wpadł do kryjówki beholdera.

ROZDZIAŁ 16

Nie minął jeszcze od dzień od zabicia Seyll, a Halisstra już zaczynała się zastanawiać czy nie wysłaby lepiej na pójściu za kapłanką Eilistraee i udaniu przejścia na jej wiarę. Nie było to może wyjście, które pozwoliłoby jej połączyć się ponownie z towarzyszami, ale oznaczało schronienie, pożywienie i możliwość odzyskania cennego rynsztunku, zamiast niekończącego się marszu przez mroźny las. Gdy zaczęło świtać, nie udało jej się znaleźć lepszego schronienia niż małe, wilgotne zagłębienie terenu otoczone wysokimi głazami i nagimi drzewami. Trzęsąc się z zimna, zrzuciła z pleców skradziony plecak i przeszukała go starannie, mając nadzieję, że jakimś cudem przeoczyła jakiś ważny przedmiot albo odrobinę jedzenia.

Seyll i dwie kapłanki nie przewidywały, że zostaną w lesie dłużej niż kilka godzin. Nie zabrały ze sobą więcej rzeczy niż wzięłaby Halisstra, wybierając się do dobrze znanej jaskini oddalonej o milę czy dwie od Ched Nasad. Z pewnością nie pakowały się, mając na uwadze wygodę zbiegłej więźniarki.

Uzbrojona w kuszę zabraną Xarze i pieśni bae'qeshel, miała spore szanse upolowania napotkanej zwierzyny, ale podczas wielogodzinnej wędrówki nie zauważyła niczego większego od ptaka. Nawet gdyby zdołała zabić jakieś zwierzę na kolację, nie miała jak go ugotować i zaczynała już podejrzewać, że cały las jest przeciwko niej.

Była prawie pewna, że po ucieczce przed heretyczkami utrzymywała zachodni kierunek. Jeśli Seyll nie kłamała, twierdząc, że znajdują się niedaleko miejsca, gdzie pojmano Halisstrę, kapłankę Melarn dzieliły od opisanej przez Pharauna rzeczki nie więcej niż noc, może dwie noce marszu. Ponieważ rzeczka płynęła z południa na północ, trudno było ją przeoczyć tak długo, jak kierowała się na zachód.

Halisstra starała się mieć zachód słońca i księżycy przed sobą i trochę z lewej, ponieważ o tej porze roku przesuwali się one nieco na południe - tak przynajmniej wywnioskowała, obserwując Valasa prowadzącego ich przez las przez ostatnich kilka dni. Oczywiście nie mogła wiedzieć czy ma iść w dół czy w górę rzeczki, kiedy już do niej dotrze, ponieważ nie mogła mieć pewności, że natknęła się na nią w miejscu przewidzianym przez Pharauna. Szczerze mówiąc, nie mogła być nawet pewna czy znalazła właściwy potok. W ciągu półtora dnia przekroczyła już kilkanaście strumyków, lecz jej zdaniem żadnego z nich nie można było nazwać rzeczką, ale po prostu miała zbyt małe doświadczenie ze światem na powierzchni.

- Mam nadzieję, że od kilku godzin nie chodzę w kółko - wymruczała.

Możliwe, że najsensowniej byłoby w ogóle zrezygnować z prób odszukania Jaelre i wydostać się z lasu najkrótszą wybraną drogą. Prędzej czy później uda jej się może natknąć na ślady cywilizacji i wyłagać, pożyczyć albo ukraść jedzenie i inne zapasy, bądź też rzucić urok na kogoś, kto zaprowadzi ją do Jaelre.

Zamknęła oczy, usiłując odtworzyć w umyśle obraz Cormanthoru i otaczających go ziem. Znajdowała się we wschodniej części lasu, to wiedziała, więc może najlepszym kierunkiem był wschód? Po tamtej stronie znajdowało się niewiele osad oprócz ludzkiego osiedla Harrowdale, jeśli dobrze pamiętała lekcje geografii. A może lepiej ruszyć na południe? Po tamtej stronie leżało więcej dolin, więc szansa trafienia na ślady cywilizacji była większa, nawet jeśli oznaczało to dłuższą drogę do granic lasu. Północ wykluczyła na samym początku, ponieważ była przekonana, że gdzieś tam leży Elfie Drzewo. W którąkolwiek stronę się zwróciła, odwracała się plecami do Jaelre i swojej misji, przynajmniej na jakiś czas.

- Byłoby mi łatwiej, gdyby bogini raczyła odpowiedzieć na moje modlitwy - zaburczała.

Kiedy uświadomiła sobie, co właśnie powiedziała, rozejrzała się z przestrachem dookoła i zakryła usta dłonią. Lolth nie traktowała życzliwie malkontentów.

Spędziła zimny, mokry i żałosny dzień skulona pomiędzy kamieniami na dnie swojej kryjówki, to zapadając w Zadumę, to otrząsając z niej. Kilka razy zbesztła się w duchu za to, że nie kazała Feliane zaprowadzić się do Jaelre albo przynajmniej oddać sobie plecak i płaszcz, zanim dziewczyna uciekła w panice. Tropiciele lorda Dessaera wpadli już zapewne na jej ślad i wiedziała, że jeśli dostanie się w ich ręce, tym razem nie okażą jej litości. Mimo to zaczynała dochodzić do wniosku, że wolałaby szybką egzekucję z rąk elfów niż powolną i samotną śmierć z głodu w tym bezkresnym lesie.

O zmroku wstała, zebrała swoje rzeczy i wygramoliła się z kryjówki. Stała w lesie, spoglądając w kierunku, który uznała za zachodni, potem na południe i znów na zachód. Na południu miała większe szanse trafić na ludzkie lub elfie osiedla, ale nie potrafiła pożegnać się z nadzieją dołączenia do

towarzyszy. Lepiej spróbować pójść na zachód, a jeśli przed świtem nie odnajdzie Pharauna, może pomyśleć o daniu za wygraną.

- A więc na zachód - powiedziała sama do siebie.

Szła przez kilka godzin, starając się mieć księżyc po lewej ręce, choć bardziej go wyczuwała niż widziała. Noc była zimna, a po niebie mknęły rzadkie chmury, gnane dzikimi podmuchami wiatru, przed którymi osłaniały ją drzewa. Las był zimny i nieruchomy, a według standardów mieszkańców powierzchni było w nim pewnie ciemno choć oko wykol, ale Halisstrze rozproszony blask księżyca wydawał się zalewać las morzem lśniących srebrzystych cieni. Zatrzymała się, żeby spojrzeć w niebo, próbując ocenić czy ruch przesuwającego się księżyca nie ma zbyt wielkiego wpływu na kierunek jej wędrówki, kiedy usłyszała słaby dźwięk szemrzającej wody.

Ruszyła ostrożnie naprzód, biegnąc miękko przez las i wyłoniła się na brzegu szerokiego, płytkiego strumienia płynącego z pluskiem kamienistym korytem. Był szerszy niż dotychczas napotkane potoki, mierzył co najmniej trzydzieści, czterdzieści stóp wszerz i płynął z jej lewej strony w prawą.

- Czy to ten? - wyszeptła.

Wydawał się wystarczająco duży i znajdował się mniej więcej tam, gdzie spodziewała się go znaleźć - półtora dnia drogi od miejsca, gdzie została pojmana. Halisstra ukucnęła i patrzyła na rwącą wodę, zastanawiając się. Jeśli podejmie złą decyzję, idąc wzdłuż strumienia zabłądzi w opuszczonej i niezamieszkannej części lasu i umrze samotną śmiercią z głodu i zimna. Z drugiej strony, bez względu na to, co zrobi, perspektywy miała i tak niewesołe. Halisstra prychnęła i ruszyła w lewo. Co miała do stracenia?

Po przejściu kolejnej mili nocna wędrówka i ziąb sprawiły, że zgłodniała do tego stopnia, iż nie była już tego w stanie dłużej znieść. Postanowiła więc zatrzymać się i zjeść to, co jej zostało. Zrzuciła plecak z ramion i zaczęła się rozglądać, kiedy w powietrzu rozległ się dziwny furkot. Halisstra bez namysłu rzuciła się plackiem na ziemię - znała ten dźwięk aż nadto dobrze.

Dwa małe bełty przeleciały obok niej, jeden wbił się w pień pobliskiego drzewa, drugi odbił od jej opancerzonego ramienia. Halisstra przetoczyła się za drzewo i szybko wyśpiewała zaklęcie niewidzialności w nadziei, że uda jej się wymknąć napastnikom, kiedy jej wzrok padł przypadkiem na bełt. Był mały i czarny, z czerwonym pierzyskiem - bełt z ręcznej kuszy drowa.

Kilku napastników skradało się w jej kierunku przez las. Na ich obecność wskazywał tylko od czasu do czasu cichy szelest liści i niskie gwizdy. Halisstra wstała ostrożnie, wciąż kryjąc się za drzewem.

- Nie strzelajcie - zawołało cicho. - Zabiłam kapłankę Eilistraee noszącą tą zbroją. Służę Pajęczej Królowej.

W jej głosie pobrzmiwała nuta pieśni bae'qeshel, przydająca jej niezaprzeczalnej szczerości.

Kilku drowów podkradło się bliżej, ich stopy zaszeleściły w poszyciu. Halisstra dostrzegła ich, przyczajonych mężczyzn w zieleni i czerni, którzy poruszali się po skąpanym w księżycowej poświacie lesie jak polujące pantery. Wpatrywali się w ciemność, szukając jej, ale zaklęcie skrywało ją przed ich wzrokiem.

Położyła dłoń na rękojeści miecza Seyll i zmieniła nieco pozycję, żeby mieć w pogotowiu tarczę, gdyby znaleźli sposób na rozproszenie jej niewidzialności.

Jeden z drowów przed nią przystanął na chwilę i rzekł:

- Szukaliśmy cię.

- Szukaliście mnie? - zapytała Halisstra. - Chcę zostać wysłuchana przez kapłana Tzirika. Możecie mnie do niego zaprowadzić?

Wojownicy Jaelre zatrzymali się. Ich palce poruszały się szybko, gdy porozumiewali się na migi. Po chwili wojownik, który do niej przemówił, wyprostował się i opuścił kuszę.

- Twój czczący pająki towarzysze przybyli do twierdzy Minauth trzy dni temu - powiedział. - Zostaliście rozdzieleni?

W nadziei, że Quenthel i pozostali nie zrobili nic, by poróżnić się z Jaelre, Halisstra postanowiła odpowiedzieć szczerze.

- Tak - powiedziała.

- A więc dobrze - odparł nieznajomy. - Wysoki kapłan Tzirik kazał nam cię odszukać, więc zaprowadzimy cię do niego. Dlaczego i co cię tam czeka, zależy od niego.

Halisstra rozproszyła zaklęcie niewidzialności i kiwnęła głową. Drowy Jaelre otoczyły ją i ruszyły

w szybkim tempie na południe, trzymając się strumienia. Nie miała pojęcia, gdzie są, ale Jaelre wydawali się dobrze znać te lasy. W niespełną godzinę dotarli do zrujnowanej twierdzy, której białe mury lśniły w blasku księżyca. Strumień przepływał rzut kamieniem od fortecy.

Znalazłam właściwy strumień, odkryła ze zdumieniem Halisstra.

Wyglądało na to, że przez dwie noce szła w dobrym kierunku i zboczyła tylko kilka mil w prawo. Pomyślała, co by było, gdyby przekroczyła strumień i poszła dalej. Na myśl o tym wzdrygnęła się.

Zwiadowcy Jaelre zaprowadzili Halisstrę w głąb zrujnowanej twierdzy, mijając czujnych strażników skulonych w swoich kryjówkach i obserwujących otaczające fortecę lasy. Odkryła, że warownia jest w o wiele lepszym stanie, niż wydawało się z zewnątrz. Jej strażnicy odeskortowali ją do skromnej sali, której jedynym wyposażeniem było duże palenisko i kolekcja myśliwskich trofeów, w większości stworzeń zamieszkujących powierzchnię, których Halisstra nie rozpoznawała. Czekala długo, robiąc się coraz bardziej głodna i spragniona, ale w końcu pojawił się niski, mocno zbudowany mężczyzna w średnim wieku z twarzą przesłoniętą czarną ceremonialną zasłoną.

- Szczęściarz ze mnie - odezwał się głębokim głosem. - Dwa razy w ciągu trzech dni słudzy Pajęcej Królowej odwiedzili mój dom i poprosili o widzenie się ze mną. Zaczynam się zastanawiać czy Lolth nie życzy sobie, abym przemyślał moje oddanie wobec Pana w Masce.

- Nazywasz się Tzirik? - zapytała Halisstra.

- Owszem - potwierdził kapłan, zakładając ramiona na piersi i przyglądając się jej. - A ty musisz być Halisstra.

- Jestem Halisstra Melarn, pierwsza córka domu Melarn, drugiego domu Ched Nasad. Rozumiem, że są tutaj moi towarzysze.

- W rzeczy samej - odparł Tzirik. Uśmiechnął się zimno. - Ale po kolei. Widzę, że nosisz zbroję i broń kapłanki Eilistraee. Jak je zdobyłaś?

- Jak już mówiłam twoim wojownikom, pięć dni temu, niedaleko stąd, moja drużyna została zaatakowana przez elfy z powierzchni. Moim towarzyszom udało się uciec, ale ja zostałam pojmana i zabrana do miejsca zwanego Elfim Drzewem. Tam elfka Seyll Auzkovyn odwiedziła mnie w celi i próbowała mnie indoktrynować, namawiając do przejścia na wiarę w Eilistraee.

- Dość naiwny pomysł - zauważył Tzirik. - Mów dalej.

- Pozwoliłam jej wierzyć, że uda się mnie przekonać - podjęła Halisstra. - Zaproponowała, że zabierze mnie na obrzędy, które miały obchodzić w lesie dwie noce temu. W drodze na ceremonię trafiła się okazja do ucieczki.

Spojrzała na noszoną przez siebie kolczugę i oręż. Naiwność elfki wciąż zadziwiała Halisstrę. Seyll nie wyglądała na głupią drowkę, a jednak popełniła fatalny błąd, źle ją oceniając.

- W każdym razie - dokończyła - pozwoliłam sobie pożyczyć kilka rzeczy, które Seyll nie były już potrzebne, ponieważ poczciwi mieszkańcy Elfiego Drzewa skonfiskowali moją broń i pancerz.

- A teraz chciałabyś dołączyć do swoich towarzyszy?

- Pod warunkiem, że nie są martwi lub uwięzieni - odparła.

- Nic podobnego - rzekł kapłan. - Poprosili mnie o wyświadczenie im przysługi, więc wymyśliłem zadanie, które mogli dla mnie wykonać w ramach rekompensaty za mój czas i fatygę. Jeśli im się powiedzie, powinni wrócić za dzień lub dwa. Pytanie brzmi czy ty wciąż tu będziesz, aby ich powitać?

Halisstra zmrużyła oczy, ale milczała. Wysoki kapłan podszedł do paleniska i wziął ze stojącego obok stojaka pogrzbacz. Szturchnął nim trzaskające polana.

- Towarzysze, którzy zostawili cię wśród leśnych elfów, opowiedzieli mi niezwykłą historię - powiedział kapłan. - Z pewnością myślisz sobie: „Skąd mam wiedzieć, ile opowiedzieli Tzirikowi?”. Nie możesz wiedzieć, rzecz jasna, więc najrozsądniej będzie opowiedzieć mi wszystko.

- Kiedy moi towarzysze wrócą, może im się to nie spodobać - stwierdziła Halisstra.

- Twoi towarzysze nigdy się nie dowiedzą, że tu byłaś, jeśli nie zaspokoisz mojej ciekawości, pani Halisstro - rzekł Tzirik. Odłożył pogrzbacz i usiadł w fotelu naprzeciw paleniska. - Może zaczniesz od początku?

* * *

Ryld skulił się w gęstym kłębie śmiercionośnej, kwaśnej mgły, starając się nie oddychać, choć w płucach zaczynało mu już brakować powietrza. Skóra paliła go, jakby całe ciało oblano mu płynnym ogniem, a w miejscach, gdzie jego hebanowa skóra stykała się z powietrzem powstawały paskudne

pęcherze. Pozostanie w tym miejscu oznaczało powolną, bolesną śmierć, ale opar przyłgnął do jego członków niczym miękkie białe ręce, utrudniając każdy ruch. Przeklęty beholder czał się gdzieś w komnacie, ale gdzie?

Oślepiający piorun rozorał mgłę, rozświetlając biały mrok i rozdzielił się na kilkanaście trzaskających błyskawic. Fechmistrz rzucił się w bok i zaczął powoli opadać na podłogę. Mgła zamortyzowała upadek, kiedy potężny grzmot zatrzęsł ścianami komnaty. Ryld poczuł w czaszce grzechot własnych zębów.

- Pharaun! - krzyknął. - Gdzie ten przeklęty...?

Natychmiast pożałował, że otworzył usta - nozdrza i gardło wypełniły mu igiełki gorącego bólu.

- Pod wschodnią ścianą! - odkrzyknął skądś czarodziej.

Mistrz Sorcere rozpoczął natychmiast kolejne zaklęcie, starając się wymówić je jak najszybciej. Tymczasem beholder monotonnie wyśpiewywał swoją straszliwą magiczną pieśń, mamrocząc słowa sześciu zaklęć naraz. Znów błysnęło, rozległ się wizg wyczarowanych pocisków mknących do celu, a potem krzyki, wrzaski i przekleństwa jego towarzyszy.

Ryld wreszcie opadł na podłogę, gdzie znalazł się pod wygiętą w łuk kamienną ścianą, jedynym punktem odniesienia, jaki był w stanie zobaczyć w tej strasznej mgle. Nie namyślając się, ruszył jak najszybciej naprzód, usiłując wydostać się z kwaśnego oparu zanim wypali mu całą twarz.

Bogini, ale bajzel! - pomyślał, rozcinając Rozpruwaczem grube pasma mgły.

Beholder zaczął, aż użyją magii, żeby dostać się na górę szybu, po czym zasypał drużynę wszystkimi zaklęciami, jakimi rozporządzał.

- Ścigają nas diabły! - krzyknął Zammz gdzieś zza obłoku palącej mgły. - Skończcie szybko z tym czymś, zabierajcie księgę i zmykajmy stąd!

Skończcie szybko z tym czymś, powtórzył w myślach Ryld, krzywiąc się. To dopiero oryginalny pomysł.

Skoczył naprzód i nagle znalazł się poza zasięgiem zabójczej, oblepiającej mgły. W pobliżu nie widział nikogo, choć za plecami słyszał walczących towarzyszy.

- Cholera jasna! - wymamrotał.

Po wydostaniu się z trującego obłoku odkrył, że całe piętro stanowiło niegdyś zespół komnat urządzonych z ładu królewskim przepychem. Gruba czerwona warstwa kurzu na podłodze mogła być kiedyś pluszowym dywanem, zaś ściany były wykończone wzorem z pomarańczowych i złotych płytek układających się w obraz lasu, którego zielone normalnie liście były, nie wiedzieć czemu, oddane w czerwieniach, oranżach i żółciach. Ryld rozkaszał się, z podrażnionych szkodliwymi oparami oczu pociekły mu łzy. Najwidoczniej wszedł po omacku do innej komnaty, ale po jej przeciwnej stronie znajdowały się kolejne drzwi.

- Gdzie ja, u diabła, jestem?

Z przodu coś wrzasnęło z wściekłości, a następne pomieszczenie za drzwiami rozbłysło jasnomagicznym płomieniem. Ryld uniósł Rozpruwacza i wpadł do następnego pomieszczenia, trafiając w sam środek zażartej walki.

Danifae i Zammz ścierali się z dwoma chudymi, pokrytymi łuską diabłami mającymi prawie dziesięć stóp wzrostu. Straszliwe czarty o ogromnych skrzydłach walczyły ostrymi jak brzytwy biczami i ogonami zakończonymi kolcami ociekającymi zieloną trucizną. Kilka pomniejszych diabłów syczało i biegało za ich plecami, co i rusz przyskakując bliżej i starając się włączyć do walki.

- Dopadły nas diabły! - zawołał Zammz.

Jaelre trzymał w jednej dłoni zakrzywiony nóż, drugą spowijał mu śmiercionośny magiczny płomień. Jeden z większych diabłów przyskoczył do niego i zdzielił go żelaznym łańcuchem, obalając na ziemię. Stwór pochylił się nad oszołomionym Jaelre i sięgnął mu do gardła.

Ryld rzucił się naprzód, wysokim zwodem zmylił diabła, który osłonił twarz, po czym przysiadł i odrąbał mu nogę w kolanie. Ogromny czart zaryczał z bólu i runął jak długi, trzepocząc niezdarnie skrzydłami. Ze straszliwej rany bryznąła czarna posoka. Ryld przyskoczył bliżej, chcąc wykończyć leżącego potwora, ale ten odpowiedział gradem ciosów i kłapaniem zębów, wymachując kolczastym ogonem tak szybko, że tylko krasnoludzki napierśnik uchronił fechmistrza przed nabiciem się na żądło rannego diabła.

Ryld zaciekle odbijał ciosy, walcząc o życie, otaczany ze wszystkich stron przez kolejne diabły, tym razem grupę złożoną ze stworów ludzkich rozmiarów, z których ciała wystawały szpikulce

przypominające noże. Ich pyski o sterczących kłach wykrzywiła piekielna radość.

- Mroczne elfy do pożarcia! - triumfowały. - Drowie serca do zjedzenia!

- Musimy się stąd wydostać! - zawołała Danifae. - Nie uda nam się ich powstrzymać!

Z siłą i wprawą zamachnęła się morgensternem, walcząc z drugim wielkim diabłem i kilkoma mniejszymi, które starały się dopaść ją z boku.

- Nie ma dokąd - warknął Ryld. - Za nami jest beholder!

Czuł zabójcze zakłęcia miotane w komnacie za ich plecami, pogłos grzmotów i przenikający do szpiku kości chłód zabójczych czarów, od których dostawał gęsiej skórki.

To na nic, pomyślał. Podzieliliśmy się na dwie grupy walczące z dwoma niebezpiecznymi wrogami.

Musimy się przegrupować i skoncentrować na jednym albo drugim wrogu, albo w ogóle zrezygnować z walki i spróbować później. Zakładając, rzecz jasna, że mieszkańcy Myth Drannor pozwolą nam się wycofać. Najprawdopodobniej zginiemy tu wszyscy, otoczeni i zmiażdżeni przez niezliczone hordy krwiożerczych demonów. Quenthel i Valas już pewnie nie żyją.

Dość tego, - zganił sam siebie. - Nie przebyliśmy tak długiej drogi, żeby dać się teraz pokonać.

Zaatakował ze zdwojoną siłą, znalazł się w zasięgu wielkiego diabła i wbił sztych Rozpruwacza w pokrytą łuską szyję stwora. Czart zamachnął się na niego gwałtownie, ale umierał, konwulsyjnie złościąc szponami bruzdy w posadzce i orząc nimi powietrze, zamiast dosięgnąć Rylda. Fehmistrz przeskoczył nad jego ciałem, nacierając na mniejsze diabły ruszające już w jego stronę.

Jezz włączył się z powrotem do walki, wyciągając zza pasa zwój i szybko odczytując czar odpychania, który przeniósł kilka mniejszych diabłów z powrotem do piekielnych krain, z których się dostały.

Dwa następne natychmiast zajęły miejsce wypędzonych towarzyszy.

- Musimy się stąd ruszyć! - zawołał Jaelre. - Naszym wrogiem jest beholder. Diabły mają tylko odwrócić naszą uwagę!

Ryld znów się skrzywił. Jeśli spróbują uciec, zostaną zaatakowani od tyłu. Zaczął się jednak przesuwac w stronę drzwi prowadzących do sąsiedniej komnaty, gdzie znajdował się beholder, modląc się, żeby stwór ich nie zauważył. Wycofywał się niechętnie, nie chcąc wplątać się w kolejną walkę, skoro toczył już jedną.

Ku jego zaskoczeniu jeden z diabłów po drugiej stronie komnaty zniknął, a drugi wrzasnął, gdy bat zakończony węzowymi łbami wbił mu kły w kark. Oczom fehmistrza ukazali się Valas i Quenthel, przedzierający się przez zastępy diabłów. Zwiadowca podtrzymywał poważnie poranioną kapłankę, osłaniając ją z jednej strony kukrisem, kiedy ona smagała i chłostała demony śmiercionośnym biczem.

Danifae i Ryld skorzystali z chwilowej przewagi i natarli na najbliższych wrogów. Quenthel osunęła się na ścianę, poruszając przy swoim boku uzdrawiającą różdżką Halistry, zaś Valas dobył drugi nóż i rzucił się w wir walki, siekąc i dźgając diabły od tyłu.

- Spieszcie się! - wydyszała Quenthel. - Zaraz za nami jest demon otchłani i kilkanaście pomniejszych diabłów.

Ryld uśmiercił następnego czarta z kolczastym ogonem, a Danifae oburęcznym ciosem morgensterna rozbryznęła na ścianie komnaty mózg kolejnego. W kilka chwil mroczne elfy oczyściły pomieszczenie z diabłów. Zammz wyciągnął następny zwój i szybko odczytał zakłęcie zamykające drzwi za Valasem i Quenthel iskrzącą się taflą żółtej energii.

- Zatrzyma stwory tylko na chwilę - ostrzegł.

Baenre rozejrzała się po komnacie. Upadek w dół szybu musiał być bardzo bolesny. Głowę częściowo miała oblepioną skrzeplą krwią i trudno jej było skupić wzrok. Jedno ramię zwisało jej bezwładnie wzdłuż boku, ale trzymała się prosto.

- Gdzie beholder - zapytała - Pharaun i Jeggred?

Ryld wskazał ruchem głowy drzwi za ich plecami. Powietrze przeszył grzmot kolejnego zakłęcia.

- Gdzieś tam - odparł. - Beholder...

Przerwał, odurzony nagłą, przyprowadzającą o mdłości świadomością, że do bariery wzniesionej przez Zammza zbliża się jakaś przytłaczająca istota, od kroków której drżały kamienne mury baszty.

- Nadchodzi demon otchłani - wydyszała Danifae z oczyma rozszerzonymi przerażeniem.

- Idziemy - zarządziła Quenthel, machnięciem zdrowej ręki nakazując im ruszać dalej.

Mroczne elfy bez słowa ruszyły do drugiego wyjścia i wpadły do następnej komnaty, nie zważając

na zderzające się w niej z hukiem zaklęcia.

* * *

Triel Baenre stała na wysokim moście domu Baenre, spoglądając w stronę Narbondelu. Pierścień blasku wspinający się powoli po potężnej kamiennej kolumnie odmierzał w Menzoberranzan upływ czasu. Pierścień znajdował się już blisko szczytu filaru, co oznaczało, że dzień ma się już ku końcowi. Nie po raz pierwszy dostrzegała ironię losu w tym, że rasa wypędzona ze świata światła niemal dziesięć tysięcy lat temu odnosi jakakolwiek korzyść z oznaczania upływu dni i nocy na modłę mieszkańców powierzchni, skoro w Podmroku panowała wieczna i niezmienna noc, ale na przestrzeni lat pamiętanie o niekończącym się upływie dni w Świecie Ponad okazało się użyteczne. Pomagało prowadzić interesy z tymi, którzy byli do tego przyzwyczajeni, na przykład z kupcami przywożącymi do Miasta Pajęczej Królowej egzotyczne i pożądane dobra z powierzchni.

Nie żeby wielu kupców odwiedzało ostatnio Menzoberranzan. Wojna nie sprzyjała handlowi.

Drugie pytanie, jakie nasunęło się Triel, kiedy spoglądała na Narbondel i miasto w dole, było nieco mniej abstrakcyjne: kto pojawi się za godzinę lub dwie, aby rzucić zaklęcie odnawiające płomienny pierścień Narbondelu? Stanowisko arcy maga wciąż należało do jej brata Grompha, który zaginął bez wieści już ponad dziesięć dni temu, ale mistrzowie Sorcere nie mogli pozwolić, żeby jego miejsce pozostało dłużej puste. Dowiedziała się, że kilku ambitniejszych magów już się do niego przymierza. Bez wątplenia należałby do nich Pharaun Mizzrym, gdyby tylko pozostał w mieście, ale na szczęście dzięki wyprawie do Ched Nasad bohatera chwili nie było w Menzoberranzan w momencie, w którym mógł zrobić najlepszy użytek ze zdobytej sławy. Odwróciła głowę w bok i odezwała się przez ramię do wiernych gwardzistów Baenre, którzy stali w pewnej odległości za nią.

- Poślijcie po Nauzhrora - poleciała. - Powiedzcie mu, że chcę, aby doradził mi w ważnej sprawie. Może do mnie dołączyć w świątyni.

Triel ruszyła do wielkiej świątyni Lolth położonej w sercu Wielkiego Kopca Baenre. Nie oglądała się na boki, gdyż jej umysł zaprzętała bez reszty problemy, jakie spadły na miasto w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Była niemal wdzięczna duergarom za dostarczenie jej pretekstu do zebrania Rady, a poprzez nią dziesiątków pomniejszych domów składających się na siłę Menzoberranzan. Zwycięstwo w tunelach na południe od miasta mogło się walenie przyczynić do przywrócenia dominacji domu Baenre.

Z drugiej strony kolejna porażka mogła mieć katastrofalne konsekwencje. Nawet gdyby Baenre pozostali najzamożniejszym i najpotężniejszym domem, Rada mogła uznać za stosowne odebranie mu tytułu pierwszego domu. Żaden z nich z osobna, może nawet dwa sprzymierzone ze sobą, nie miały szans pokonać Baenre, ale gdyby cała siódemka pozostałych domów zasiadających w Radzie uznała, że czas obalić najsilniejszy z nich?

- Lolth uchowaj - wymamrotała Triel i zadrżała ze strachu.

Pozostałe domy zawsze posiadały dość żołnierzy, magicznej mocy i bogactw, by zniszczyć dom Baenre, gdyby postanowiły zjednoczyć się przeciwko niemu. Jednak bogini nigdy nie pobłogosławiłaby czegoś równie niestosownego. Ale nawet gdyby Pajęcza Królowa znów zainteresowała się Menzoberranzan i zniszczyła wszystkie domy od drugiego do ósmego za ich zarozumiałstwo dzień po tym, jak te unicestwiły dom Baenre, cóż, Baenre na wiele by się to nie zdało. W chwili, gdy gniew Lolth nie powstrzymywał ambicji pozostałych wielkich domów, grupowy atak przeciwko pierwszemu domowi wydawał się tylko kwestią czasu.

Sztuka polega na tym, rozmyślała Triel, jak powstrzymać pozostałe domy przed rozwiązaniem spornych kwestii takich jak ta, który dom zostanie pierwszym po upadku Baenre i skusić niektóre pomniejsze domy obietnicą zajęcia miejsc tych większych.

Gdyby dało się przekonać takie domy jak Xorlarrin lub Agrach Dyrn że mogą więcej zyskać popierając Baenre przeciwko sojuszowi Barrison Del'Armgo i Faen Tlabbar niż zwracając się przeciwko pierwszemu domowi, wówczas dom Baenre mógł przeciwstawić się prawie wszystkim zagrożeniom ze strony pomniejszych sąsiadów.

Zatrzymała się przed drzwiami kaplicy, rozważając tę kwestię z wyraźnym niesmakiem. Czy naprawdę czuła, że dom Baenre potrzebuje sojuszników? Poprzednia matka opiekunka Baenre nie potrzebowała niczyjej zgody, żeby rządzić. Władza miastem ponieważ była tak silna, że nikt nie ośmielił się sprzeciwić jej woli.

Triel sposepniała i skinęła na strażników świątynnych, którzy otworzyli jej drzwi i skłonili się

przed nią.

W świątyni czekała na nią jej siostra Sos'Umptu. Dorównywała ona wzrostem Quenthel, ale odziedziczyła po Triel powściągliwość, czego nie można było powiedzieć o samowolnej Quenthel czy jej nieopłakiwanej siostrze Bladen'Kerst. Sos'Umptu cechowała wykalkulowana, rozmyślna złośliwość, którą trzymała w ryzach, nigdy nie wszczynając sporu, którego nie mogła wygrać. Spuściła wzrok, co było minimalną oznaką szacunku, jakiego wymagała pozycja Triel i wyprostowała się.

- Żadnych wieści od armii, najstarsza siostrze? - zapytała łagodnym głosem.

- Jeszcze nie. Zal'thera przekazała mi, że Mez'Barris wysłała przodem niewielkie siły, które mają zająć strategiczną przełęcz na drodze armii duergarów, co wydaje się dość sensowne. Reszta Armii Czarnego Pajaka podąża za nimi najszybciej, jak to możliwe.

- To trudna sytuacja. Zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej, gdybyś osobiście poprowadziła wojska.

Triel zmarszczyła brwi. Nie była przyzwyczajona do bycia krytykowaną, ale skoro nie potrafiła znieść krytyki ze strony rodziny, jak mogła mieć nadzieję, że uda jej się zastraszyć inne matki opiekunki?

- Biorąc pod uwagę niezwykłość sytuacji - odparła Triel - uznałam, że rozsądniej będzie pozostać blisko miasta.

- Być może. Sprawa jest prosta - jeśli armia zostanie pokonana, winą naturalnie zostaniesz obciążona ty. Jeśli odniesie triumf, cały splendor spadnie na Mez'Barris Del'Armgo.

- Jak również na Zal'therę i Andzrela - zauważyła Triel. - Przyznaję, że mam więcej do stracenia niż zyskania, ale teraz nic już nie zmienię.

Rozejrzała się po kaplicy, spoglądając na wielką magiczną podobiznę Królowej Pajaków. Ponieważ Sos'Umptu obserwowała ją, Triel złożyła przed nią zdawkowy ukłon.

- Przez kilka ostatnich tygodni nie oddawałaś czci bogini tak pilnie, jak byś mogła - zauważyła Sos'Umptu.

Bogini nie zwraca na nas uwagi od znacznie dłuższego czasu, pomyślała Triel.

Natychmiast odepchnęła od siebie bluźnierczą myśl, przerażona, że podobna bezbożność mogła się zrodzić w jej głowie. Zachowała jednak zewnętrzny spokój z łatwością będącą wynikiem długiej praktyki i z powrotem skupiła się na siostrze.

- Czeką nas jeszcze jedno wyzwanie - oznajmiła Triel. - Mistrzowie Sorcere domagają się wyznaczenia następcy Grompha. Dom Baenre od setek lat sadzał arcymagów na tronie Sorcere według własnego uznania, ale tym razem rozważam poparcie kandydata innego domu. Mogłoby to być... korzystne.

Żrenice Sos'Umptu rozszerzyły się o grubość ostrza sztyletu.

- Pytasz mnie o radę?

- Jako że Gromph przepadł, a Quenthel jest daleko stąd, zaczyna mi brakować dzieci mojej potężnej matki. Bardzo niewiele kobiet, i jeszcze mniej mężczyzn, zrozumiało lekcję, jakiej nam udzieliła - prychnęła Triel z irytacją. - Dotyczy to nawet naszego rodzeństwa. Bladen'Kerst ceniła wyłącznie siłę i okrucieństwo, a Vendes była zwyczajną morderczynią. Potrzeba mi bystrego, subtelnego umysłu, wyszkolonego przez moją matkę i wydaje mi się, że pozwoliłam ci tkwić zbyt długo w tej świątyni. - Triel zbliżyła się o pół kroku, wyraz jej twarzy stwardniał. - Zrozum, że doradzasz mi za moim przyzwoleniem i nie pomyśl rozważę z niezdecydowaniem. Nie ścierpię poddawania w wątpliwość mojego prawa do rządów.

Sos'Umptu kiwnęła głową.

- Doskonale. Uważam, że powinniśmy zakładać, iż Gromph został zamordowany. Nie porzuciłby tak lekkomyślnie swoich obowiązków, a istnieją przynajmniej dwa powody, dla których ktoś mógł go zabić. Albo ktoś chciał uderzyć w samego maga, albo w pierwszego czarodzieja domu Baenre. W pierwszym przypadku, cóż, ktokolwiek zostanie następnym arcymagiem, będzie albo winowajcą, albo następną ofiarą. Po co mamy powierzać to stanowisko magowi Baenre słabszemu niż Gromph, skoro istnieje możliwość, że stracimy awansowaną osobę?

- Nie zachwyca mnie perspektywa oddania tak ważnego stanowiska innej rodzinie, ale jeszcze mniej podoba mi się utrata kolejnego uzdolnionego czarodzieja - zastanawiała się Triel. - Zwłaszcza że może uda nam się związać bliżej z innym domem, pozwalając mu awansować swojego kandydata, który później stanie się celem kogoś, kto był na tyle silny, aby zabić Grompha.

- Nie rozumiem - odparła Sos'Umptu. - Szukasz sprzymierzeńców?

- Wydaje mi się, że nie zaszkodziłby nam sojusz z wielkim domem średniej rangi, może dwoma powiedziała Triel. - Będzie to solidne zabezpieczenie na wypadek, gdyby drugi i trzeci dom próbowały zwrócić pozostałe domy przeciwko nam.
Sos'Umptu pogładziła podbródek.
- Uważasz, że sytuacja jest aż tak groźna? Matka nigdy by się na to nie zgodziła.
- Matka żyła w innych czasach - odparła Triel. - Nie porównuj mnie z nią w przyszłości.
Triel wpatrywała się w siostrę, dopóki ta nie spuściła oczu. Sos'Umptu była sprytna, ale nie była silna. Gdyby połączyła siły z Quenthel albo koterią bardziej zaradnych kuzynek takich jak Zal'thera, stanowiłaby dla Triel zagrożenie, ale na razie można jej było zaufać w granicach rozsądku, rzecz jasna.
- A jeśli zabójstwo Grompha było atakiem na dom Baenre - zapytała Triel - a nie sposobem na usunięcie arcymaga?
- W takim razie powinniśmy powierzyć zarządzanie Sorcere innemu Baenre. W przeciwnym wypadku wydamy się słabe, a jeśli inne domy uznają, że jesteśmy bezbronni, mogą spróbować zrobić to, czego się obawiasz.
- Twoja odpowiedź nie dodała mi otuchy, Sos'Umptu - wycodziła Triel. - Poza tym jestem zaniepokojona, nie przerażona.
- Jest jeszcze jedna możliwość - powiedziała Sos'Umptu. - Graj na zwłokę. Utrzymuj jak najdłużej się da, że Gromph jest nadal arcymagiem Menzoberranzan. Rozgłoś bajeczkę, że wysłałaś go ze specjalną misją, i że nie wróci przez jakiś czas. Im dłużej będziemy zwlekać, tym większe prawdopodobieństwo, że wyjaśni się okoliczności jego zniknięcia. Jeśli Armia Czarnego Pajaka odniesie zwycięstwo w tunelach na południu, twoja pozycja może się wzmocnić na tyle, że postąpisz jak zechcesz ze stanowiskiem arcymaga.
Triel kiwnęła głową. To była rozsądna rada. Choć musiała z niechęcią przyznać, że jeśli Lolth będzie jej nadal odmawiać czarów, może spotkać się z próbą przejęcia zwierzchnictwa nad domem, więc nie zaszkodziłoby popracować nad wzmocnieniem więzi z Sos'Umptu. Potrzebowała wsparcia jak największej liczby sióstr.
- Drzwi do świątyni skrzypnęły i do środka wszedł pulchny drow odziany w wytworne czarne szaty. Przypominał przekarmionego domowego kocura zadowolonego z własnej wyższości. Nauzhror Baenre był jej kuzynem pierwszego stopnia, synem jednej z siostrzenic jej matki. Na ramieniu usadowił mu się chowaniec, włochaty pająk równie pękaty jak on sam. Nauzhror, uznawany za mistrza Sorcere, był jedynym członkiem domu Baenre, oprócz Grompha, noszącym ten tytuł i cieszył się opinią zdolnego specjalisty od magii odpychań. Był młodszy od Grompha, a z jego twarzy nigdy nie schodził beztroski uśmiezek, przez co trudno było stwierdzić o czym myśli. Choćby nie wiem jak się starała, Triel nie była w stanie wyobrazić go sobie w szatach arcymaga Menzoberranzan.
- Przysłałaś po mnie, matko opiekunko?
- Zamierzam ogłosić - oświadczyła Triel - że mój brat Gromph bierze udział w bardzo ważnej i sekretnej misji, a w odpowiednim czasie powróci, aby dalej pełnić funkcję arcymaga Menzoberranzan. Tymczasem pozwolę mistrzom Sorcere wyznaczyć zastępcę, który przejmie jego obowiązki. Poprzesz najlepszego kandydata z domu Xorlarrin albo Agrach Dyrr.
Uśmiezek zniknął z twarzy Nauzhrora.
- M... matko opiekunko - wyjąkał. - M... myślałem, że może ja obejmę...
- Czy dorównujesz Gromphowi, kuzynie?
Wygląd maga świadczył być może o słabości, ale jego oczy zdradzały bystrość i wyrachowanie - a także pragmatyzm.
- Gdybym mu dorównywał, matko opiekunko, już dawno rzuciłbym mu wyzwanie. - Zamyślił się na chwilę, głaszcząc siedzącego na ramieniu pająka. - Z czasem może dorównam mu, a może nawet przewyższę go umiejętnościami, ale muszę studiować Sztukę przez wiele lat, zanim będę mógł uznać, że jestem mu równy.
- Tak jak myślałam. Rozważ więc następującą kwestię - powiedziała Triel. - Ktokolwiek spowodował zniknięcie Grompha, szybko pozbędzie się ciebie, jeśli obwołasz się arcymagiem Menzoberranzan. Być może przyjdzie dzień, kiedy zrealizujesz swoje ambicje, kuzynie, ale musisz jeszcze poczekać.
Nauzhror bez wahania pochylił głowę i odpowiedział:
- Tak, matko opiekunko. Zrobię, jak każesz.

- Od tej chwili pełnisz obowiązki domowego czarodzieja domu Baenre, Nauzhrorze. Jeśli okaże się, że mój brat nie żyje, faktycznie obejmiesz to stanowisko, ale teraz potrzebuję twoich zaklęć i porad. Na razie załatw swoje sprawy z Sorcere. Chcę, żebyś przeniósł się tutaj.

Nauzhror ukląkł.

- Dziękuję za zaufanie pokładane w moich umiejętnościach, matko opiekunko.

- Zaufanie pokładane w twoich umiejętnościach, kuzynie, ogranicza się do zalecenia: Nie daj się zabić - sprowadziła go na ziemię Triel. - Od tej chwili każdy mężczyzna o jakichkolwiek predyspozycjach magicznych jest twoim uczniem. Potrzebujemy kadry wyszkolonych adeptów sztuki tajemnej, którzy dorównywaliby magom służącym Del'Armggo albo Xorlarrinom.

- Takiej kadry nie sposób wyszkolić z dnia na dzień, matko opiekunko. Minie wiele lat, nim dorównamy w tym względzie Xorlarrinom.

- Więc najlepiej zacząć od razu.

Przyglądając się temu korpulentnemu czarodziejowi, Triel przyłapała się na tym, że ma nadzieję, iż przyszłość jej domu nie spoczywa w jego tłustych rękach.

- I jeszcze jedno, Nauzhrorze - powiedziała, kiedy mag zaczął się oddalać. - Potraktuj to jako pierwsze zadania domowego czarodzieja. - Triel podeszła bliżej i wbiła w niego wzrok, sprawdzając czy nie uśmiechnie jej się w twarz. - Dowiesz się, co przytrafiło się mojemu bratu.

* * *

Ryld pędził krótkim, wygiętym korytarzem, Zammz i Valas następowali mu na pięty. Danifae pomagała Quenthel kuśtykać za nimi. Fehmistrz skręcił w korytarz z prawej i znalazł się w wielkiej komnacie czy może sali balowej. Unosił się w niej mag-beholder, ogromny potwór mający postać kuli o średnicy sześciu stóp. Z pokrytego chitynowym pancerzem kadłuba wyrastały wijące się czułki zakończone oczyma, które miały zaklęciami w Pharauna i Jeggreda. Czarodzieja otaczała sfera magicznej energii, jakiś rodzaj zaklęcia obronnego, które chroniło go podczas walki z potworem. Jeggred stał nieruchomo, z wykrzywionym pyskiem i wyszczerzonymi zębami, usiłując zrzucić z siebie jakieś fatalne zaklęcie.

- Natrętne robaki - warknął beholder na widok Rylda i pozostałych. - Zostawcie mnie w spokoju!

Stwór wymknął się przez otwarte drzwi, wycofując się w głąb swojej kryjówki.

Pharaun odwrócił się ze znużeniem w stronę pozostałych. Jedna strona jego ubrania była upstrzona dymiącymi dziurami, gdzie poparzył go jakiś kwas. Mag trząsał się ze zmęczenia.

- Widzę, że moi czcigodni towarzysze wreszcie raczyli do mnie dołączyć - zauważył. - Wspaniale! Obawiałem się, że może was ominąć przyjemność utraty życia lub kończyny w starciu z morderczym wrogiem.

- Co z Jeggredem? - zdołała wydyszeć Quenthel.

- Omotał go jakiś czar unieruchamiający, a ja zużyłem już w pojedynku wszystkie zaklęcia rozpraszające magię. Jeśli potraficie go uwolnić, zróbcie to, proszę. Nie chciałbym wyjść na samoluba i zachować beholdera dla siebie.

- Zamknij się - wysapała Danifae. - Musimy skończyć z beholderem i to szybko. Zaraz za nami jest demon otchłani i z tuzin innych diabłów. Zaraz znajdziemy się między młotem a kowadłem.

Czarodziej skrzywił się. W jego oczach pojawił się niebezpieczny błysk, kiedy spojrzał na Danifae, a potem na Zammza Kulawca.

- Jeśli twoją magiczną księgę tak trudno zdobyć, może powinniśmy ją zatrzymać dla siebie - zauważył mistrz Sorcere.

- Tzirik nie powie wam, co udało mu się wywieszczyć, jeśli nas zdradzicie - odparł po prostu Jaelre.

- Zdecydujcie, co jest dla was ważniejsze, czcicielu pajaków, i to szybko.

- Pharaun, przestań - powiedział Ryld.

Podszedł do zastygłego Jeggreda i przyłożył do jego ciała miecz, aby złamać wiążący go czar. Półdemon zamrugał oczami i spojrzał na niego zezem, prostując się.

- Po kolei - podjął Ryld. - Czy macie zaklęcia, które powstrzymają diabły na tyle długo, żebyśmy zdążyli pokonać beholdera?

- Nie - odparł czarodziej - zaraz tu wpadną. To dopiero będzie widowisko. Hej, zaczekajcie chwilę, mam pomysł. Nie będziemy zatrzymywać diabłów. Wręcz przeciwnie wpuścimy je.

W pomieszczeniu za nimi trzeszczała i skwierczała piekielna moc.

- To demon otchłani niszczy moją zaporę - wyjaśnił Zammz.

- Wytłumacz szybko, Menzoberranzańczyku.

Pharaun zaintonował zaklęcie, wykonując dłońmi tajemne gesty konieczne do kształtowania i kontrolowania magii.

- Nie stawiajcie oporu - polecił pozostałym. - O, już. Okryłem wszystkich zasłoną iluzji. Teraz wszyscy wyglądamy jak diabły.

Ryld spojrział na siebie i nie zauważył niczego, ale kiedy podniósł wzrok, odkrył, że otacza go grupa diabłów o ogonach zakończonych kolcami. Wzdrygnął się i zauważył, że pozostałe diabły też się wzdrygnęły. Niewyraźnie, jak gdyby były spowite przezroczystą gazą, dostrzegł pod łuskowatą powierzchnością prawdziwe postacie pozostałych mrocznych elfów.

- Widzę przez tę twoją iluzję - ostrzegł.

- Tak, ale spodziewałeś się tego - odezwał się diabeł stojący tam, gdzie wcześniej stał Pharaun. - To powinno wywołać zamieszanie wśród naszych wrogów, ale musimy działać szybko. Chcemy, żeby diabły zaatakowały nas, kiedy będziemy walczyć z beholderem.

Czarodziej przemknął przez komnatę w ślad za beholderem, a reszta drużyny pospieszyła za nim. W korytarzu za ich plecami rozległo się wycie ścigających ich czartów. Wspięli się po spiralnych schodach i znaleźli czekającego na nich beholdera w pomieszczeniu, które wyglądało jak duża sala tronowa. Potwór zawahał się, kiedy do środka wtargnęła drużyna spowita iluzją upodabniającą ich do diabłów.

- Mrocznych elfów tu nie ma - wychrypiął beholder. - Przeszukajcie resztę wieży. Musicie ich odnaleźć!

- Obawiam się, że jesteś w błędzie - roześmiał się Pharaun i cisnął w stwora piorunem, który wypalił w jego chitynowym pancerzu dziurę wielkości talerza.

W tej samej chwili Valas wystrzelił kilka strzał, które zatopiły się w jego opancerzonym ciele, zaś Ryld, Jeggred i Danifae rzucili się do ataku.

Stwór otrząsnął się z zaskoczenia z niewiarygodną szybkością i ostrzelał drowy gradem zabójczych promieni i zaklęć. Jeggred przeleciał przez całą długość komnaty ciśnięty telekinetycznym promieniem, a Danifae musiała paść plackiem na podłogę, aby uchylić się przed rozżarzoną promieniem dezintegrującym. Ryld zdołał przebiec zaledwie trzy kroki, gdy nie mniej niż trzy czułki obróciły się w jego stronę i rzuciły w niego kolejnymi zaklęciami. Na fehmistrza spadł grad żarzących się snopów energii, które uderzyły go w pierś z siłą krasnoludzkiego młota bojowego. Ryld stęknął z bólu, zachwiał i padł na ziemię.

W tej samej chwili ze schodów za ich plecami wypadła gromada diabłów. W ciągu dwunastu uderzeń serca na polu bitwy zapanował kompletny chaos - diabły tłoczyły się w komnacie, mierząc beholdera gniewnymi spojrzeniami, albo po prostu przystawały, zaskoczone, że w komnacie jest już tak wielu ich towarzyszy.

Leżąca na podłodze Danifae wskazała beholdera i pisnęła:

- Beholder jest w zмовie z mrocznymi elfami! Zabić go! Pożreć jego oczy!

Diabły zawahały się wystarczająco długo, by beholder zdążył przeczesać ich przednie szeregi zabójczymi zaklęciami. Rzuciły się na niego, siekąc i tnąc pazurami. Te trafione promieniami stwora eksplodowały od ognia białych błyskawic lub zmieniały się w martwe kamienie.

Ryld miał się już zerwać z ziemi i znów natrzeć na potwora, ale zauważył ostrzegawczy gest Pharauna i udał, że jest ranny. Strategia czarodzieja była genialna - pozwolić beholderowi i diablom walczyć ze sobą, aż ich wrogowie pozabijają się nawzajem.

- Głupcy słabi na umyśle! - syknął Beholder. - Mroczne elfy oszukały was!

Wciąż jednak siał swoimi zaklęciami i promieniami straszliwe spustoszenie, usiłując odeprzeć ataki diabłów. Powietrze wypełnił swąd spalonego mięsa i niesamowita aura zabójczej magii.

Uchwytne doznanie zła ścisnęło serce Rylda i do pokoju wspiął się ogromny demon otchłani. Potężny diabeł dwukrotnie przewyższał wzrostem drowy, na piersi falowały mu mięśnie, a wielkie czarne skrzydła okrywały go niczym hebanowy płaszcz. Ogarnął scenę złym, szacującym spojrzeniem i Ryld zamarł, gdy zdał sobie sprawę, że iluzja Pharauna nie zwiodła ani trochę potężnego demona.

Jednym gestem, jak gdyby od niechcienia, olbrzymi diabeł wyczarował wielką, wrzącą kulą czarnego ognia i cisnął nią w Pharauna. Ciemna plama wybuchła rozbryzgiem piekielnych płomieni,

wstrząsając basztą aż po fundamenty i odrzucając poparzonego okropnie maga na dwanaście stóp do tyłu. Pomniejsze diabły i drowy przewracały się jak kręgle.

- Są tutaj! - zagrział stwór głosem przypominającym ryk płomieni w piecu hutniczym. - Zabić mroczne elfy!

Demon otchłani zaczął przywoływać kolejny piekielny wybuch, lecz Jeggred - wciąż spowity iluzją - rzucił się potężnemu diabłu do boku, szarpiąc i drapiąc pazurami. Wielki diabeł zaryczał z wściekłości, chwając się pod atakiem draeglotha.

- Słodka Lolth - wymamrotał Ryld.

Kto był bardziej niebezpieczny - beholder czy demon otchłani? Beholder nadal raził promieniami każdego diabła w zasięgu wzroku, bez względu na to czy był to rzeczywiście diabeł, czy drow i większość sług demona otchłani zdążyło już polec. Piekielny władca zasypywał Jeggreda gradem ciosów, ale draegloth nie pozostawał mu dłużny, dając z siebie wszystko.

Fechmistrz wodził wzrokiem od jednego wroga do drugiego, wahając się przez chwilę i podjął decyzję. Cicho jak strzała przeszywająca mrok podniósł się z ziemi i skoczył na beholdera, zamierzając się na niego Rozpruwaczem. Beholder spostrzegł go od razu i posłał w jego stronę błyskawicę, ale fehmistrz uchylił się i nadal biegł w stronę potwora. Kolejne oko wpiło się w niego, a buczenie beholdera stało się jeszcze bardziej przeraźliwe. Zamiast czekać i przekonać się, jaki czar rzuci na niego tym razem, Ryld wyskoczył w powietrze i uciał zakończony okiem czulek lśniącem ostrzem Rozpruwacza.

Buczenie beholdera przeszło w przeszywający skowyt. Potwór obrócił się w stronę Rylda z rozdziawioną paszczą, ale fehmistrz wymierzył dokładnie i odrąbał kolejny czulek, po czym przysiadł i wgramolił się pod rozdęte cielsko unoszącego się w powietrzu monstrum. Żadne z oczu beholdera nie było w stanie zajrzeć pod własny kadłub.

Uklękawszy na jedno kolano, Ryld chwycił Rozpruwacza poniżej rękojęści i wraził wielki miecz w chitynowe podbrzusze potwora. Po ostrzu popłynęła gęsta czarna posoka, wielki potwór zadygotał i znowu wrzasnął.

- Dobra robota! - zawołał Zammz.

Renegat Jaelre zaczął wykrzykiwać tajemne słowa, kreśląc dłońmi magiczne wzory. Wyczarował kipiącą plamę kwasu, wypalając kolejne oko beholdera, który zwinął się z bólu.

Ryld wyrwał miecz i odtoczył się w bok w samą porę, by uniknąć zmiżdżenia przez potwora, który postanowił przygnieść go swoim ciężarem. Fehmistrz znalazł się dokładnie naprzeciw stwora, gdzie niegdyś z opancerzonego cielska spozierało wielkie środkowe oko. Teraz był to tylko pusty oczodoł.

Fechmistrz przypomniał sobie starą lekcję: beholder, który chciał nauczyć się magii, musiał się najpierw oślepić.

Zakończone mniejszymi oczkami czułki wiły się i skręcały, starając skupić się na Ryldzie. Fehmistrz dostrzegł okazję i cel w tej samej chwili. Jednym susem dopadł stwora i wbił Rozpruwacza niczym włócznię w sam środek pustego oczodołu i głęboko w mózg stwora. Z ponurą determinacją ciął mieczem na boki, wyjmując go i wbijając raz po raz w rozbryzgach krwi płynącej z ohydnej rany.

Beholder zadygotał, kłapnął szczękami, a jego falujące czułki te, które mu pozostały - obwisły bezwładnie. Potwór osunął się powoli na ziemię.

Ryld podniósł wzrok i zobaczył, że zbliża się do niego kolejny diabeł, który najwyraźniej rozpoznał jego prawdziwą postać pod zasłoną iluzji, dobył więc krótkiego miecza, żeby wypatroszyć demona, gdy ten rzucił się na niego. Diabeł przewrócił go na ziemię, zalewając fehmistrza swoją obmierzłą krwią. Ryld zachłysnął się z obrzydzenia i strząsnął z siebie drgającego trupa, prawą ręką wyrwijąc miecz z brzucha czarta, a lewą Rozpruwacza z oczodołu beholdera. Potrząsnął głową, strząsając z powiek krew wrogów.

Przy wejściu do komnaty Jeggred runął na ziemię powalony kolejnym straszliwym czarem demona otchłani - ryczącym słupem ognia, który osmalił futro draeglotha i byłby go spopielił, gdyby nie wrodzona odporność półdemonów na ogień.

Jeggred wrzasnął i przetoczył się po posadzce, starając się zdusić płonące węgle, ale kiedy demon otchłani znów się na niego zamierzył, wyrosła przed nim Danifae, która wyrznęła go z całej siły w kolano. Diabeł zachwiał się i załopotał skrzydłami, starając się utrzymać równowagę, a Valas zatopił w jego plecach trzy strzały, które zagłębiły się pomiędzy łopatkami demona aż po lotki.

Ryld ruszył ostrożnie naprzód, chcąc osobiście natrzeć na władcę diabłów, ale z miejsca, gdzie przygwoździła go do ziemi kula ognista, poparzony i dymiący, podźwignął się Pharaun, który zaatakował demona salwą tęczowych pocisków, kiedy ten obrócił się w stronę zwiadowcy. Zielony promień wypalił w samym środku piersi demona głęboką, czarną, wrzącą ranę, zaś jadowicie żółty eksplodował trzeszczącymi łukami energii, ocierając się o jego biodro. Potwór zatoczył się dwa kroki do tyłu i dymiąc, zwałił na ziemię, martwy. Gdy przebrzmiały echa jego upadku, w komnacie zapadła cisza.

Pharaun podniósł się ostrożnie z ziemi, troskliwie przyciskając ramię do ciała. Jedna ręka i część jego twarzy były pocętkowane i różowe, otarte straszliwie przez przelotne muśnięcie dezintegrującego promienia beholdera, a jego szaty dymyły pod wpływem zderzenia z mroczną kulą ognistą wyczarowaną przez demona otchłani. Z pozostałych drowów powoli opadało napięcie - rozglądały się dookoła, jak gdyby zaskoczone, że przy życiu nie został już żaden przeciwnik, i że żadne z nich nie odniosło groźnych dla życia obrażeń. Quenthel pogmerała przy pasie i wyciągnęła zza niego różdżkę Halisstry, którą zaczęła uzdrawiać własne rany, szepcząc po cichu modlitwy.

- To - odezwał się Pharaun - nie było proste. Powinniśmy byli zażądać od Jaelre czegoś więcej w zamian za nasze usługi.

- To wy przyszliście do nas, czcicielu pajaków - powiedział Zammz.

Kuśtykając, zbliżył się do trupa beholdera rozciągniętego na stopniach wiekowego podwyższenia. Valas i Danifae podeszli za nim, nie spuszczać oczu ze schodów za plecami.

- Rozproście się i poszukajcie księgi - poradził Jaelre. - Musimy odszukać Geildiriona i wycofać się, zanim zwałą się na nas wszystkie diabły Myth Drannor.

Jezz zastosował się natychmiast do własnej rady i zaczął przetrząsać zakurzone ławy i zawalone zwojami regały po drugiej stronie komnaty beholdera.

Ryld usiadł na stopniu i zaczął zeskrobywać zaschniętą krew z klingi Rozpruwacza. Był wyczerpany. Za to Jeggred rzucił się w wir poszukiwań, odrzucając na bok ciężkie nieużywane meble i zrzucając na ziemię zawartość regałów. Ryldowi przyszło do głowy, że jest mało prawdopodobne, by beholder ukrył cenną księgę pod szczątkami starej zakurzonej kanapy, ale przynajmniej półdemon miał jakieś zajęcie. Ryld postanowił nie wchodzić draeglothowi w drogę.

- Nie ruszajcie się! - powiedział ostro Pharaun.

Czarodziej wymówił zaklęcie i zaczął się powoli obracać dookoła, przyglądając się uważnie całemu pomieszczeniu. Reszta drużyny, łącznie z Jazzem, przerwała pospieszne poszukiwania i wpatrywała się w niego niecierpliwie. Pharaun minął wzrokiem Jeggreda, Valasa i zatrzymał się twarzą do pustej ściany. Uśmiechnął się drapieżnie, najwyraźniej zadowolony z siebie.

- Przejrzałem osłony naszego pokonanego przeciwnika - oznajmił. - Ta ściana jest iluzją przesłaniającą niszę.

Wykonał jakiś gest i część ściany obok Rylda nagle zniknęła, odsłaniając dużą wnękę pełną rozklekotanych regałów zawalonych różnymi starymi księgami i zwojami. Zammz przyskoczył niezdarnie do jednego z regałów i zaczął przeglądać tytuły, wrzucając je do torby przy pasie.

- Ryld, Jeggred, stańcie na straży - rozkazała Quenthel. Trzymała się już prosto, przestała też wodzić mętłym wzrokiem, ale chowając różdżkę do tobołka, zmarszczyła brwi. - Valas, zabierz złoto i kosztowności beholdera. Nie ma sensu zostawiać tu łupu, nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać. - Spojrzała na czarodzieja Jaelre, który trzymał w ręku opasły tom oprawny w zieloną łuskę. - Panie Zammz czy to księga, którą pragnąłeś odzyskać?

Jezz zdmuchnął kurz z oprawy i przesunął smukłymi palcami po szorstkiej skórce. Uśmiechnął się, a jego przystojną twarz wykrzywiła radość.

- Geildirion - wyszeptał. - Tak, to ta księga. Mam to, po co tu przybyliśmy.

- To dobrze - powiedziała Quenthel. - Zbierajmy się stąd, dopóki to możliwe. Nie mam ochoty zostać tu ani chwili dłużej.

ROZDZIAŁ 17

Halisstra siedziała na okiennej ławce, sama w przydzielonym jej apartamencie, dla zabicia czasu trącając struny liry ze smoczej kości. Przebywała tu od dwóch dni i zamknięcie coraz bardziej ją niecierpliwiło.

Bez względu na to, czego się dowiem podczas tej wyprawy, obiecała sobie, już nigdy nie dam się zamknąć.

Podczas przesłuchania spodziewała się tortur, magicznego przymusu albo jeszcze czegoś gorszego, ale Tzirik widocznie uwierzył jej na słowo. Wielu drowów skorzystałoby z okazji do poddania więźniarki torturom, bez względu na to czy mówiła prawdę, czy kłamała, co nasunęło Halisstrze przypuszczenie, że kapłan czeka na wiadomość od Quenthel i pozostałych, zanim zrobi coś, co może ich rozgniewać. Halisstra nie sądziła, by mistrzyni Arach-Tinilith i jej towarzysze zdołali zastraszyć cały dom, ale było całkiem prawdopodobne, że Tzirik woli nie szukać kłopotów bez wyraźnego powodu.

Wyjrzała przez wąskie, zakratowane okno. Dniało. Na wschodzie niebo robiło się już boleśnie jasne, choć słońce jeszcze nie wzeszło. Halisstra widziała bezkres zielonej puszczy - Cormanthoru falującej łagodnie aż po horyzont.

Z zadumy wyrwało ją pukanie do drzwi, po którym rozległ się szcęk kluczy w zamku. Rozejrzała się i wstała, a do komnaty wszedł Tzirik odziany w olśniewającą czerwono-czarną szatę z wysokim kołnierzem.

- Pani Melarn - odezwał się, kłaniając przed nią - wrócili twoi towarzysze. Jeśli pójdziesz ze mną, przekonamy się czy mieli rzeczywiście powody, żeby zostawić cię samą sobie w dzikich ostępach Świata Ponad.

Halisstra odłożyła lirę.

- Udało im się?

- Tak i dlatego zamierzam zwrócić ci wolność. Gdyby ponieśli porażkę, planowałem użyć cię jako zakładniczki, aby zmusić ich do kolejnej próby.

Prychnęła z rozbawieniem, a kapłan wyprowadził ją z pokoju. Powiódł ją przez urządzone ze smakiem blade sale i korytarze twierdzy Minauth. Za nimi szło dwóch wojowników Jaelre w pancerzach pofarbowanych na zieleń i brąz, i z krótkimi mieczami u boku. Dotarli do niewielkiej kaplicy ozdobionej barwami Vhaerauna, gdzie czekali na nich Quenthel, Danifae i reszta drużyny.

- Widzę, że przeżyliście pobyt w Myth Drannor i wróciliście, aby o nim opowiedzieć - powitał ich Tzirik. - Jak widzicie, wygląda na to, że znalazłem coś, co do was należy, tak jak wy znaleźliście coś, co należy do mnie.

Halisstra po wejściu powiodła wzrokiem po twarzach dawnych towarzyszy. Na większości z nich malowało się pewne zdziwienie uniesione brwi, wymiana spojrzeń. Ryld uśmiechnął się do niej ciepło, zanim spuścił oczy i przestąpił nerwowo z nogi na nogę, zaś Danifae podeszła do niej i uścisnęła jej dłoń.

- Pani Melarn - powiedziała. - Myśleliśmy, że zginęłaś.

- Bo zginęłam - odparła Halisstra.

Była zaskoczona ulgą, jaką odczuła, gdy znalazła się znów wśród dawnych towarzyszy, choć byli intruzami z wrogiego miasta, i swojej spiskującej branki. Danifae nie była już może ozdobą Halisstry, ale wiążące ją zaklęcie wciąż działało, czyniąc z niej jedynego sojusznika, jaki pozostał jej na tym świecie.

- Gdzie się podziewałaś? - zapytała Quenthel.

- Przez kilka dni próbowano mnie nawrócić na wiarę w Eilistraee, jeśli jesteście w stanie w to uwierzyć - odparła Halisstra. - Lolth pozwoliła mi zabić dwie kapłanki Eilistraee i zbiec.

Choć duma rozsadzała jej pierś z tego powodu, Halisstra była nieco rozczarowana efektami swojej zdrady. Mroczna sztuka występku nie była jej obca, ale wyglądało na to, że zrobiła tylko to, czego się po niej spodziewano.

- Leśne elfy z pewnością wypuściły cię tylko po to, żeby przekonać się, co knujesz - powiedziała Quenthel. - To stara sztuczka.

- Też tak myśleliśmy - rzekł Tzirik. - Zbadaliśmy jednak opowieść pani Halisstry i okazała się prawdziwa. Naiwność naszych sióstr czczących Eilistraee jest prawie komiczna. - Przerwał i potarł dłonią o dłoń. - Jak by nie było, Zammz przekazał mi, że pomogliście mu odzyskać potrzebną nam księgę.

- My pomogliśmy jemu? - warknął Jegged.

- Miał za zadanie odzyskać księgę - odparł Tzirik - a nie wdawać się w bijatykę z mieszkańcami Myth Drannor.
- Macie swoją księgę - powiedziała Quenthel. Ignorując pomruk Jeggreda, założyła ręce na piersi i wbiła wzrok w Tzirika. - Czy jesteś gotowy wypełnić swoją część umowy?
- Już to zrobiłem - odrzekł kapłan. Spojrzał na brązową podobiznę wysoko na ścianie i skłonił się nieznacznie. - Nawet gdyby nie udało wam się powrócić, zamierzałem porozumieć się z Panem w Masce i dowiedzieć, co powstrzymuje Lolth. Wasza opowieść wzbudziła moją ciekawość.
- Quenthel zgrzytnęła zębami z irytacji.
- Czego się w takim razie dowiedziałeś? - zdołała wykrztusić.
- Delektując się swoją wiedzą, Tzirik odpowiedział znaczącym uśmieszkiem, po czym oddalił się od drużyny i zasiadł na małym podwyższeniu z boku kaplicy.
- Złączył dłonie czubkami palców i rzekł:
- Wasza opowieść jest rzeczywiście prawdziwa. Lolth nie obdarza swych kapłanek czarami, nie odpowiada też na żadne błagania.
- Tyle wiedzieliśmy już wcześniej - zauważył Pharaun.
- Ale ja nie - odparł kapłan. - W każdym razie wygląda na to, że Lolth zabarykadowała się w swoim piekielnym władztwie. Odmawia kontaktu nie tylko swoim kapłankom, ale również wszystkim innym istotom, czy to śmiertelnym, czy boskim, co wyjaśniałoby, dlaczego przyzwane przez was demony, które miały dowiedzieć się czegoś o Pajęczej Królowej, nie były wam w stanie pomóc.
- Menzoberranzańscy stali w milczeniu, rozważając odpowiedź. Tzirika. Także Halisstrę zbiła ona z pantafyku.
- Dlaczego bogini miałaby zrobić coś podobnego? - zastanawiała się na głos.
- Wyznam wam szczerze, że Vhaeraun albo sam tego nie wie, albo nie chce, żebym ja się tego dowiedział - odrzekł Tzirik. Wbił swoje zimne spojrzenie w Halisstrę. - Na razie kaprys bogini jest równie dobrym wytłumaczeniem jak każde inne.
- Czy ona... żyje? - zapytał cicho Ryld. Quenthel i pozostałe kapłanki spojrzały gniewnie na fechmistrza, ale on zlekceważył je i ciągnął dalej: - Chciałem przez to zapytać czy wiedzielibyśmy, gdyby została zabita przez innego boga, otruta lub uwięziona wbrew własnej woli?
- To byłoby zbyt piękne - powiedział Tzirik ze śmiechem. - Nie, Lolth wciąż żyje, cokolwiek to oznacza dla bogini. Ale czy sama schroniła się w Pajęczynie Demonów, czy też została tam uwięziona przez inną moc, Vhaeraun mi nie powiedział.
- Kiedy to się skończy? - zapytała Halisstra.
- Raz jeszcze odpowiadam: Vhaeraun albo nie wie, albo nie chce powiedzieć - odparł Tzirik. - Może lepiej zapytać czy w ogóle się skończy? Odpowiedź brzmi: tak, kiedyś, ale zanim pokrzącie się tą myślą, muszę wam przypomnieć, że bogini może mieć zupełnie inne spojrzenie na to, co my określilibyśmy rozsądnym okresem czasu. Pan w Masce mógł wspominać o czymś, co wydarzy się jutro, w przyszłym miesiącu, przyszłym roku, a może za sto lat.
- Nie możemy tak długo czekać - wymamrotała Quenthel. Wyraz twarzy miała nieobecny, skupiony na wydarzeniach w dalekim Menzoberranzan. - Musimy wkrótce podjąć decyzję.
- Przejdźcie na wiarę w jakieś bardziej troskliwe bóstwo - podsunął Tzirik. - Jeśli was to interesuje, będę zachwycony, mogąc wyczerpująco omówić zalety Pana w Masce.
- Quenthel nastroszyła się, ale zdołała utrzymać język za zębami, co u kapłanki Baenre było szczytem samoopanowania.
- Odmawiam - powiedziała. - Czy Pan w Masce ma dla nas jeszcze jakieś rady?
- Owszem - odparł Tzirik. Poprawił się na krześle, pochylając w stronę Quenthel. - To jego dokładne słowa, więc słuchajcie uważnie. „Dzieci Pajęczej Królowej powinny ją odszukać, aby otrzymać odpowiedzi”.
- Przecież właśnie to zrobiliśmy - zawołała Halisstra. - Wszyscy, ale ona nas nie słucha.
- Chyba nie to miał na myśli - odezwała się Danifae. - Myślę, że Vhaeraun sugeruje, że nie dowiemy się niczego więcej, jeśli sami nie udamy się do Pajęczyny Demonów, aby osobiście przebłagać boginię.
- Tzirik milczał, spoglądając na Menzoberranzańczyków. Quenthel chodziła w kółko, rozważając ten pomysł.
- Pajęcza Królowa wymaga od swoich kapłanek pewnej inicjatywy i samodzielności - powiedziała

mistrzynie Arach-Tinilith - ale wymaga również posłuszeństwa. Niepokoić ją w jej boskiej siedzibie, oczekując odpowiedzi... Lolth nie pochwała podobnej bezczelności.

Halisstra zamilkła, rozważając zawzięcie słowa Tzirika. Wyprawy na inne plany istnienia nie były niczym niezwykłym. Koniec końców, zakłęcie Pharauna przeniosło drużynę przez Plan Cieni, a istniało przecież o wiele więcej wszechświatów, do których mógł się dostać śmiertelnik uzbrojony w odpowiednią magię, całe mnóstwo nieb i piekieł, cudów i potworności poza granicami fizycznego świata, ale pomysł wyruszenia w taką podróż bez wyraźnego zaproszenia Lolth przerażał Halisstrę.

- Kara za opaczne zrozumienie woli bogini będzie bardzo surowa - stwierdziła Halisstra.

- Czy nie usłyszeliśmy właśnie woli bogini? - zapytała Danifae. - Przyproceedziła nas w to miejsce poprzez swoje milczenie tak pewnie, jak gdyby umieściła rozkaz w naszych sercach. Może się rozgniewać, jeśli jej nie posłuchamy.

Halisstra przywykła do uczucia pewności, kiedy miała zinterpretować pragnienia Pajęczej Królowej. Zanim na kapłanki Lolth spadło boskie milczenie, znała rzadki dotyk podszeptów bogini. Nie zdarzało się to często, rzecz jasna - była tylko jedną kapłanką, a Lolth służyły nieprzeliczone tysiące - ale wiedziała, jakie to uczucie rozumieć do głębi swej duszy, czego życzy sobie Pajęcza Królowa i jak może tego dokonać. Halisstra nie czuła niczego. Najwyraźniej Lolth chciała, by sama do tego doszła.

Halisstra podniosła oczy na brązową maskę Vhaerauna wiszącą nad czarnym ołtarzem. Obcość tego miejsca była prawie namacalna, wyrażała wszystko, co utraciła. Zamiast stać przed starożytnym ołtarzem w dumnej świątyni domu Melarn, gdzie boska pewność przenikała całą jej duszę, gdy składała ofiary i dokonywała rytuałów samoponizania, których żądała Pajęcza Królowa, stała samotna i zagubiona, intruzka w świątyni samozwańczego boga, starając się na oślep zrozumieć zamiary, jakie Lolth miała wobec niej.

Wyobraziła sobie, że stoi przed Lolth, z duszą obnażoną przed boginią, z oczyma oślepiionymi widokiem jej mrocznej chwały, uszami ogłuszonymi dźwięcznym głosem Pajęczej Królowej. Być może było bezczelnością z jej strony oczekiwać, że Lolth rozwieje jej wątpliwości, udzieli odpowiedzi na pytania i ukoji zranione serce, ale Halisstra odkryła, że nie obchodzi ją to. Jeśli Lolth postanowi ją odrzucić, ukarać, jej wola, ale w takim razie po co zniszczyła Ched Nasad i dom Melarn, jeśli nie po to, by Halisstra stanęła przed nią i przedstawiła jej swoją prośbę?

- Zgadzam się z Danifae - powiedziała w końcu. - Nie rozumiem, jaki sens miałyby to wszystko, jeśli nie taki, żeby wezwać nas przed tron bogini. Tam znajdziemy wszystkie odpowiedzi.

Quenthel kiwnęła powoli głową.

- Odczytuję jej wolę w ten sam sposób. Musimy udać się do Pajęczyny Demonów.

Ryld i Valas wymienili zatroskane spojrzenia.

- Wyprawa na sześćdziesiąty szósty poziom Otchłani - powiedział Pharaun. - Śniłem o tym miejscu. Ciekaw jestem czy rzeczywistość dorównuje mojemu snowi sprzed wielu lat, choć muszę powiedzieć, że nie zachwyca mnie perspektywa osobistego spotkania z Lolth. Zmełła moją duszę na kawałki, kiedy miałem tę wizję. Powrót do siebie zajął mi wiele miesięcy.

- Może powinniśmy wrócić do Menzoberranzan i zdać raport z tego, czego się dowiedzieliśmy, zanim podejmiemy jakąś pochopną decyzję? - zapytał Ryld, wyraźnie zaniepokojony perspektywą wyprawy do piekielnych krain.

- Teraz, kiedy zrozumiałam wolę bogini, nie zamierzam zwlekać z jej wypełnieniem - rzekła Quenthel. - Pharaun może skorzystać z zakłęcia przesyłającego, żeby powiadomić Grompha o naszych zamiarach.

- A tak w kwestii konkretów - odezwał się Valas - jak dostać się do Pajęczyny Demonów?

- Czcić Lolth przez całe życie - odparła Quenthel, której spojrzenie nabrało posępnego wyrazu - a potem umrzeć.

Halisstra spojrzała na wysoką kapłankę, a potem na zwiadowcę i powiedziała:

- Gdyby bogini nie odmawiała nam swoich zaklęć, nie byłoby w tym nic trudnego. Bez nich nie jest to już takie proste. Pharaunie?

Czarodziej rozłożył ręce.

- Nauczę się odpowiednich czarów przy pierwszej możliwej okazji - odparł. - Będę musiał zlokalizować uzdolnionego czarodzieja, który zna odpowiednie czary i przekonać go, żeby się nimi ze mną podzielił.

- To nie będzie konieczne, mistrzu Pharaunie - odezwał się Tzirik. Wstał z krzesła i zszedł z

podwyższenia, potężny i pewny siebie. - Tak się składa, że mój bóg nie uznał za stosowne pozbawić mnie zakłąć. Sam chciałbym się przekonać, co się dzieje we władztwie Lolth. Możemy wyruszyć już dziś wieczorem, jeśli zechcecie.

* * *

Kompania za kompanią, Armia Czarnego Pajaka wmaszerowywała dumnie do jaskini rozpościerającej się za Słupami Żalu. Była niczym w porównaniu z ogromną pieczarą mieszczącą Menzoberranzan czy niepojętą zatoką Mrocznego Zammiora, ale równina u wylotu wąwozu nadal robiła ogromne wrażenie - asymetryczna przestrzeń mierząca pół mili wszere, której strop znajdował się kilkaset stóp wyżej. Podpierały go niezliczone kolumny, a ze wszystkich stron wiły się boczne jaskinie przypominające majaczące w mroku gościńce.

Nimor rozejrzył się po pieczarze z grzbietu swojego bojowego jaszczura, obserwując wielkie domy Menzoberranzan wkraczające do środka i formujące lśniące kwadraty pod kilkunastoma różnymi sztandarami. Miał ponad dwa dni na rekonesans po różnych szczelinach, jaskiniach i tunelach prowadzących do wielkiej pieczary. Przewaga strategiczna Słupów Żalu była oczywista. Tylko jedna droga biegła od nich na południe wijącym się wąwozem, zaś w miejscu, w które przyprowadził drowy, spotykało się kilka tuneli wiodących do Mrocznego Władztwa Menzoberranzan.

- Doskonałe miejsce na bitwę - powiedział, kiwając głową z zadowoleniem.

Jego wierzchowiec, złośliwa i tępa bestia, chyba wyczuwał nieuniknione starcie. Syczał i grzebał łapą w zasypanej drobnymi kamyczkami ziemi, potrząsając ogonem ze zdenerwowania.

Nimor czekał mniej więcej na środku linii zwiadowców broniących luki pomiędzy Słupami, dowodząc ponad setką Zammdnych domu Agrach Dyrr. Ci spośród jego zwiadowców, którzy należeli do innych domów, leżeli pośród skał i rozpadlin wąwozu w dole, gdzie Nimor i jego ludzie wyróżnili ich co do nogi wkrótce po dotarciu do Słupów.

Nimor miał wielką ochotę wyjechać na spotkanie Mez'Barris Armgo, Andzrelowi Baenre oraz reszcie dowódców i kapłanek. Widział już ich pawilon wznoszący się na środku jaskini.

Kłopot ze zdradą obejmującą całe pole bitwy polega na tym, pomyślał, że nie można być jednocześnie we wszystkich miejscach, aby rozkoszować się bez reszty tą chwilą.

Zauważył chudego jaszczura wyścigowego mknącego spod pawilonu dowództwa w kierunku jego kompanii.

- Wygląda na to, że mnie potrzebują, chłopcy - zawołał do czekających za nim żołnierzy Agrach Dyrr. - Wiecie, co robić. Czekajcie na sygnał. Gdy się rozlegnie, uciekajcie stąd.

Nimor uderzył jaszczura piętami i wyjechał na spotkanie gońców. Jeźdźcem był młodzieniec w barwach domu Baenre z pewnością darzony specjalnymi względami siostrzeniec albo kuzyn, któremu przydzielono stosunkowo proste zadanie, żeby mógł upuścić trochę krwi, sam nie ponosząc zbyt wielkiego ryzyka. Nie nosił hełmu, pozwalając włosom rozwiewać się za nim jak grzywa. Przy jego siodle łopotał jasnoczerwony sztandar.

- Kapitan Zhayemd? - zawołał, osadzając jaszczura, żeby przywitać Nimora.

- To ja.

- Jesteście natychmiast proszeni do namiotu dowództwa, panie. Opiekunka Del'Armgo chce wiedzieć, gdzie są szare krasnoludy i jak najlepiej rozstawić oddziały.

- Rozumiem - odparł Nimor. - Wracaj zatem i powtórz jej, że zaraz tam podjadę.

- Z całym szacunkiem, sir, mam...

Spomiędzy Słupów rozległo się trzykrotne granie rogu, dwa razy krócej i raz dłużej, rozbrzmiewając echem tak głośnym, jak gdyby sama skała wydobyła z siebie to wołanie. Posłaniec urwał w pół słowa i obrócił wierzchowca, mijając Nimora, żeby spojrzeć ku Słupom.

- Na gniew Lolth, co to było? - zapytał.

- To - odpowiedział Nimor - był sygnał do ataku duergarów.

Z głębi wąwozu za Słupami Żalu dobiegł ich wstrząsający ziemią łoskot przemierzającej się armii. Poniżej linii zwiadowców Nimora setki duergarskich jeźdźców wynurzyły się nagle spod starannie ułożonych płacht maskujących i popędziły prosto w wyrwę, której mieli bronić ludzie Nimora. Za kawalerią duergarów biegła szereg za szeregiem piechota, wznosząc swe nieokrzesane okrzyki bojowe i potrząsając uniesionymi wysoko młotami i toporami. Zammdni Agrach Dyrr wskoczyli na siodła, aby zablokować szarżę pomiędzy olbrzymimi skalnymi kolumnami, po czym jednocześnie obrócili się i

umknęły na boki, otwierając linię frontu.

- Agrach Dyr! Zdradzili nas! - krzyknął goniec z przerażeniem i zdumieniem na twarzy.

Zawrócił wierzchowca, ale Nimor wychylił się w siodle i przebił go mieczem. Chwiejąc się, młody Baenre przycisnął dłoń do rany i zwałił się na ziemię. Nimor klepnął mieczem zad jego jaszczura, który puścił się pędem w głąb głównej jaskini, wlekąc za sobą martwego gońca, któremu stopa wplątała się w strzemień.

Nimor spał wierzchowca i wbiegł na nierówną skalną półkę jakieś piętnaście stóp nad poziomem dna jaskini, z której roztaczał się widok na Słupy. Z tego miejsca widział prawie całą pieczarę.

- Świetny widok na bitwę, mości książę! - zawołał. - Cóż za wspaniały dzień na triumf!

- Za kwadrans powiem ci czy zwyciężymy, czy nie.

Z cienia w tyle występu wyłonił się Horgar Steelshadow. On i jego gwardia przyboczna byli spowici iluzją i niewidoczni dla nikogo z dołu, chyba że ktoś wiedział dokładnie, gdzie ich szukać.

- Nie podchodź bliżej, Nimorze - odezwał się książę. - Nie chcę, żeby ktoś w dole zauważył, że znikasz w ścianie i zaczął się zastanawiać, gdzie się podziałeś.

- Chcesz chyba wziąć udział w bitwie, książę Horgarze. Wiem, że nie brakuje ci męstwa.

- Wezmę udział w walce, kiedy będę miał pewność, że nie muszę już wydawać rozkazów, Nimorze. Za kilka chwil nie usłyszysz jak ktoś będzie ci wrzeszczał do ucha.

Nimor z powrotem skupił się na bitwie. Jazda Agrach Dyr, która zdążyła się już oddalić od Słupów, okrążyła jaskinię szalonym łukiem, omijając trzon armii Menzoberranzan. Miała za zadanie dostać się na jej tyły i pomóc piechocie domu zablokować tunel, którym dostała się tu Armia Czarnego Pajaka.

Duergarska kawaleria wlewała się do jaskini luką pomiędzy kolumnami, przekraczając linię, na której miała zostać zatrzymana. Kilka drowich kontyngentów znajdujących się w awangardzie kotłowało się bezładnie, zaskoczonych faktem, że znalazły się nagle na otwartej przestrzeni naprzeciw nadciągającej szarży, zamiast zastać wroga szykującego oblężenie i rozbijającego obóz za silną linią obrony.

Inne domy odpowiedziały na nagły atak ze zręcznością i odwagą. Wielki kontyngent Baenre wznosił dziki okrzyk bojowy i popędził naprzód, aby zająć przełęcz, zanim zdąży ją przekroczyć więcej duergarów.

- Śmiałe posunięcie, Andzrelu - powiedział Nimor nie bez podziwu. - Niestety, obawiam się, że jest już zbyt późno, żeby zakorkować butelkę.

Nimor trzepnął wodzami bojowego jaszczura i odjechał w bok, żeby mieć lepszy punkt do obserwacji środka jaskini. Spodziewał się szaleństwa, widoku opancerzonych szeregów pędzących naprzód, żeby miażdżyć i cofać się niczym krwawy przybój na żelaznym morzu, ale bitewny zgiełk był nieznośny.

Ryki, krzyki i szcęk broni uderzającej o tarcze, zwielokrotnione przez skały otaczające walczących ze wszystkich stron, stały się zupełnie nie do odróżnienia, przechodząc w jeden grzmiący dźwięk, który narastał i narastał, w miarę jak coraz więcej wojowników włączało się do walki.

- Hałas nam sprzyja - zawołał przez ramię do Hogara, choć sam nie słyszał własnych słów. - Dowódcy Armii Czarnego Pajaka muszą zdecydować, co robić i wydać stosowne rozkazy.

- Tak - odpowiedział monarcha krasnoludów. Nimor musiał wyteńczyć słuch, żeby go zrozumieć. - Środek walki nie jest najlepszą chwilą na opracowanie planu bitwy!

Oślepiająca błyskawica wdarła się pomiędzy szeregi duergarów, a zaraz po niej rozległ się grzmot, który wybił się ponad odgłosy walki. Nad polem bitwy zaczęły przelatywać eksplodujące kule ognia i kłuszące ściany płomienia, gdy czarodzieje obu stron postanowili się ujawnić.

Nimor zmarszczył brwi. Garstka potężnych czarodziejów mogła rozstrzygnąć o wyniku starcia, nawet w obliczu wściekłego ataku duergarów i zdrady domu Agrach Dyr, ale wśród krasnoludów również byli czarodzieje, w większości przebrani za zwykłych Zammdnych lub piechurów. Atakując nacierające szare krasnoludy, magowie drowów zdradzili swoje pozycje. Czarodzieje duergarów odpowiedzieli na każdą błyskawicę i każdą kulę ognistą tym samym, i wkrótce pieczarę wypełniły rozbłyski oślepiającego światła i rdzawego ognia, a powietrze zrobiło się gorące i kwaśne od potężnej magii przerzucanej z jednej strony na drugą.

Choć bardzo się starał, Nimor nie był w stanie przewidzieć, czyja magia weźmie górę, gdy cała straszliwa scena walki pogryzła się w chaosie. W ciągu kilku uderzeń serca Menzoberranzańscy samą swoją masą powstrzymali początkowy pęd duergarów i dwie armie rozciągnęły się w długiej linii wijącej

po dnie jaskini przez setki jardów. Sztandary chwiały się i upadały, jaszczury bojowe stawały dęba i rzucały na przeciwników, a wielka szarża rozsypała się na tysiąc indywidualnych pojedynków.

Rozpędzone kolumny ciężkozbrojnych duergarów przeciskały się przez szczeliny między kontyngentami poszczególnych domów, otaczając walczącego rozpaczliwie wroga. Nimor uśmiechnął się ponuro. Mroczne elfy nie miały pojęcia, jak zespolić swoje kompanie, żeby armia działała jak jeden organizm, ale każdy kontyngent składał się z małej armii zaprawionych w bojach weteranów. Szturm duergarów rozbił Armię Czarnego Pająka na dwadzieścia mniejszych oddziałów, które roily się i kasały jak przewrócony kopniakiem koszyk skorpionów.

- Nasze zwycięstwo wciąż stoi pod znakiem zapytania, Nimorze - zawołał z góry Horgar. - Przekłęci magowie powstrzymali nasz pierwszy atak.

- Tak, ale zdobyliście Słupy, nieprawdaż? - odrzyknął Nimor. - Myślałem, że początkowe uderzenie złamie Menzoberranzańczyków, ale jak widać nie tak łatwo roznieść ich wojska.

Przyglądając się bitwie, Nimor doszedł do wniosku, że szare krasnoludy mające przewagę zaskoczenia będą w stanie pokonać domy Menzoberranzan, ale rozbicie sił mrocznych elfów zajmie im cały długi dzień. Dom Baenre zdołał chwilowo zamknąć lukę pomiędzy Słupami, a im dłużej Andrel utrzyma przełęcz, tym większe szanse miały mroczne elfy.

Na szczęście Nimor przygotował się na taką ewentualność. Menzoberranzańczycy zajadle odpierali ataki szarych krasnoludów u wylotu wąwozu. Nadszedł czas, żeby wbić sztylet w żebra drowów, kiedy ich miecze były związane.

- Teraz, Aliiszo - rzucił w oszalały harmider.

Obrócił wierzchowca, dobył miecza i zmusił bojowego jaszczura do rzucenia się w wir walki. Mez'Barris Armgo i Andrel Baenre znajdowali się mniej więcej na środku pola bitwy i miał zamiar dopilnować, żeby nie umknęli przed zagładą, jaka czekała ich armię.

* * *

Niespełna pół mili stamtąd, ściśnięta w małym tunelu opadającym ze wschodu ku górnej części pola bitwy naprzeciwko Słupów Żalu, stała z zamkniętymi oczami Aliisza, skoncentrowana na zakłęciu, które pozwalało jej śledzić Nimora. Magia, której używała, pozwalała jej słyszeć każde jego słowo, jak gdyby wypowiadał je wyraźnie w cichym pokoju. Otrząsnęła się i pozwoliła zakłęciu opaść.

- Już czas - powiedziała do Kaanyra Vhoka.

- To dobrze - powiedział hegemon i obnażył spiczaste zęby w dzikim uśmiechu, wietrząc bitwę. Zerknął na stojącego w pobliżu skrytobójcę Zammzta. - Cóż, renegacie, to chyba twój szczęśliwy dzień. Rzucę moich wojowników przeciwko mrocznym elfom, a nie sprzymierzonym z tobą duergarom.

Zammzt pochylił głowę i odparł:

- Zapewniam cię, że nie będziesz tego żałował, hegemonie. Rozgrom tę armię, a Menzoberranzan będzie leżało przed tobą otworem.

Kaanyr minął alu-demona i mrocznego elfa, podchodząc do swoich chorążych.

- Zagrać do ataku! - zawołał.

Natychmiast kilkunastu niedźwieżuków uderzyło w bębny, odgrywając trzy razy prostą trzytaktową pobudkę. Stłoczeni w tunelu tanarukkowie Kaanyra Vhoka zawyli i ruszyli naprzód gnani żądzą krwi, tupiąc i potrząsając toporami. Kaanyr dobył miecza i dołączył do szarżujących żołnierzy, a za nim jego gwardziści i chorąży. Na ten widok Aliisza wstrzymała oddech i wzbiła się w powietrze, lecąc za sztandarem Kaanyra. Taka bitwa nie zdarzała się w końcu codziennie.

Przed szarżującymi tanarukkami jedna ze ścian jaskini na skrzydle Armii Czarnego Pająka zamigotała i znikła zniemacka, ukazując wylot tunelu ukryty wcześniej za sprytną iluzją. Wrzeszcząca horda śliniących się tanarukków wylała się z ukrytego korytarza, zachodząc armię drowów od tyłu, gdy tymczasem wielkie domy ścierały się z jazdą duergarów napierającą zza Słupów Żalu. Aliisza zauważyła czerwony sztandar Kaanyra powiewający dumnie nad czołem jego wojska i Znękany Legion rzucił się w wir walki.

Tylko kilka pomniejszych domów stanęło na drodze rozpędzonej zgrai. Fala krwiożerczych półdemonów ogarnęła je, wbijając się głęboko w bok armii niczym włócznia z rozgrzanego do czerwoności żelaza. Aliisza przyłapała się na tym, że pokrzykuje z uniesienia i zgrozy, pochłonięta bez reszty straszliwym spektaklem i niezdolna wyrazić w inny sposób swojego podniecenia. Armia Czarnego

Pajaka była beznadziejnie uwikłana w bitwę, której nie chciała stoczyć, ścierając się na otwartym terenie z połączonymi armiami Gracklstugh i Kaanyra Vhoka. Niczym wysepki w kotłującym się morzu wrogów, pojedyncze domy Menzoberranzan stawiały samotny opór przyptywowi stali i zakłęb, walcząc o życie.

Alu-demon usiadła na zakończonym tępo stalagmicie, spoglądając na toczącą się w dole bitwę. Ach, Nimorze, pomyślała. Jakże wielkiej i straszliwej rzeczy dokonałeś!

* * *

Nimor Imphraezl, Namaszczone Ostrze Jazred Chaulssin, szedł przez pole bitwy, którego nie potrafiłyby sobie wyobrazić wszystkie diabły wszystkich piekieł. Krew kilkunastu szlachetnie urodzonych drowów zmieszała się na jego rapierze i zbryzgała jego czarny pancerz. Jego jaszczur bojowy nie żył już od dawna, spalony błyskawicą ciśniętą przez czarodzieja z domu Tuin'Tarl. Członki bolały go ze zmęczenia i od kilkunastu pomniejszych ran, ale uśmiechał się dziko, odurzony efektami swojej śmiercionośnej działalności.

- I kto coś osiągnął, czcigodny Mauzzkylu? - zaśmiał się w głos. - Zammzt może i oddał Ched Nasad w twoje ręce, ale ja doprowadziłem do upadku ulubionego miasta Pajęczej Królowej!

Zaciekła walka toczyła się już od kilku godzin. Zamiast bronić niewzruszenie łuki pomiędzy Słupami Żalu, Armia Czarnego Pajaka została osaczona ze wszystkich stron przez wrogów, którzy wybrali miejsce i moment uderzenia. Rozbita armia, niczym wielka, tępa bestia ugodzona śmiertelnie w brzuch, mogła oczywiście umierać bardzo długo, miotając się w konwulsjach, nim skończyła z upływu krwi. W bitwach w Świecie Ponad pokonane drowy odrzuciłyby może broń, licząc na litość zwycięzców. W bezwzględnym rachunku zysków i strat w Podmroku nie znano litości i nie proszono o nią. Szare krasnoludy nie miały zamiaru pozostawić przy życiu nawet jednego mrocznego elfa. Wojownicy Menzoberranzan wiedzieli o tym i walczyli do końca.

Kilka mniejszych domów zostało rozbitych i rozproszone po jaskini dwójki i trójki drowów starały się sprzedać drogo swoje życie. Grupki pijanych mordem duergarów, niedźwieżuków, ogrów i innych żołnierzy wiernych księciu Gracklstugh przemierzały jaskinię, polując na przeklęte drowy, których kompanie poszły w rozsypkę. Niektóre domy broniły nieugięcie swoich pozycji w jaskini, walcząc zaciekle, w miarę jak przytyły duergarów podnosił się coraz wyżej, napierając na nie ze wszystkich stron, inne zaś trzymały się razem, usiłując utorować sobie drogę na zewnątrz w nadziei, że uda im się umknąć przed widmem spektakularnej porażki.

Żołnierze domu Barrison Del'Armgo zostali wtłoczeni w kręty boczny tunel i zepchnięci z pola bitwy. Wycofując się korytarzem szerokim na zaledwie dwadzieścia stóp, dumni wojownicy drugiego domu odpierali powtarzające się ataki duergarów. Mez'Barris została odcięta od pozostałych domów, a jej zapasy żywności spłonęły wraz z resztą taboru podpalonego przez piechotę Agrach Dyr, która zamykała pochód drowich wojsk. Del'Armgo czekał długi marsz do domu.

Kompania Xorlarrinów dysponująca potężnymi czarodziejami, z których słychać ich dom, broniła się na środku jaskini, z dala od jakiegokolwiek miejsca, które mogło uchodzić za stosunkowo bezpieczne. Magom Xorlarrinów przez większość dnia udawało się utrzymać pięciokrotnie liczniejsze siły duergarów na odległość wyciągniętego ramienia, wznosząc ściany ognia i lodu lub rażąc krasnoludy słupami niszczącej energii, ale czarodzieje byli już zmęczeni i kończyły im się czary. Setki duergarskich lansjerów dosiadających jaszczurów bojowych czekało na szansę rozjechania Xorlarrinów, gdy tylko zawiodą ich magiczne osłony.

Dumna kompania domu Baenre, licząca ponad pięciuset zbrojnych, trwała niczym skała, gdy wokół niej rozszarpywano i dobijano mniejsze domy. Zgodnie z przewidywaniami Nimora, Andzrel Baenre był zmuszony oddać Słupy Żalu wkrótce po ich zdobyciu, a jego siły powoli przedzierały się przez jaskinię w stronę wylotu tunelu, przez który zaledwie kilka godzin wcześniej wmaszerowała Armia Czarnego Pajaka. Baenre skupili całą swoją uwagę na Agrach Dyrach, którzy blokowali tamtą drogę ucieczki. W powietrzu było aż gęsto od bełtów, oszczepów i zabójczych zakłęb, którymi ostrzeliwały się dwa walczące ze sobą żarcie domy. Choć Baenre mieli nad zdradzieckimi Agrach Dyrami ponad dwukrotną przewagę liczebną, usiłujący przedrzeć się przez wrogie wojska wojownicy pierwszego domu musieli odpierać ataki ze wszystkich stron.

Nimor szedł w sam środek walki, mijając martwych i umierających. Na szczęście przygotował

zawczasu kilka czarów niewidzialności, w przeciwnym wypadku raz po raz drogę zastępowałyby mu szalejący tanarukowie lub ponurzy duergarowie gotowi zabić każdego napotkanego drowa. Przed nim setki kamiennych gwardzistów potykały się z piechotą Baenre, podczas gdy Agrach Dyrrowie zabarykadowali wylot głównego tunelu po przeciwnej stronie. Nimor ostrożnie obszedł walczących, obserwując Andzrela i Zal`therę pod sztandarem Baenre.

Dowódcy domu Baenre prowadzili swoich żołnierzy w sam środek bitwy przeciwko Agrach Dyrrom, powoli, acz pewnie wyrabując sobie drogę przez wojowników zdradzieckiego domu. Otaczał ich zwarty pierścień obrońców.

Skrytobójca uśmiechnął się, wyczuwając okazję. Dowódcy Baenre rzucili się w wir walki. Gdyby zdołał ich pokonać, odciąłby głowę kontyngentowi Baenre, a gdyby ich siły poszły w rozsypkę, istniały wielkie szanse, że z Armii Czarnego Pajaka nie ocaleje nikt.

Nimor dostrzegł Jazztę Dyrę, który nie brał udziału w walce, tylko wydawał rozkazy swoim żołnierzom. Szlachcic przyciskał rękę do krwawiącej rany na żebrach. Skrytobójca pospieszył do jego boku i rozproszył zakłęcie niewidzialności.

- Dobra robota, krewniaku - krzyknął do Jazztę. - Nie pozwólcie Baenre przedrzeć się na drugą stronę, a gwardziści księcia zetrą ich na pył.

Jazztę podniósł oczy. Znużenie i ból zniknęły z jego twarzy, gdy ogarnął wzrokiem walkę.

- Łatwiej powiedzieć, niż zrobić - stwierdził. - Baenre walczą jak demony, a wielu naszych chłopców nie wróci już do domu. - Wyprostował się i podał Nimorowi rękę. - Miałem co do ciebie wątpliwości, Zhayemdzie, ale twój plan wydaje się przynosić spodziewane efekty. Powiedziałbym, że przydałbyś nam się tutaj, ale z twojego wyglądu wnoszę, że też nie próżnowałeś.

- Wielkie domy wciąż stawiają opór na środku jaskini, ale w tym miejscu rozstrzygnie się bitwa - odparł Nimor. Wzrok miał wbity w sztandar Baenre. - Daj mi tyłu swoich ludzi, ilu możesz. Chcę zabić dowódców Baenre.

Nimor dobył rapier i sztylet, a za nim ustawili się w miarę świeży zbrojni. Starcie przesunęło się w ich stronę, w miarę jak Baenre torowali sobie drogę ucieczki. Widział ich sztandar powiewający w samym centrum walki. Sam Andzrel walczył w pierwszej linii, otoczony najlepszymi wojownikami domu Baenre, zaś Zal`thera kuśtykała kilka kroków za nim. Kapłanka zmagająca się z paskudną raną w biodrze i idąc naprzód, wspierała się na innej kapłance.

Nimor zaczekał, aż idący na przodzie Baenre znajdą się w zasięgu rzutu oszczepem od jego żołnierzy i krzyknął:

- Na nich, chłopcy!

Wojownicy Agrach Dyrę wybiegli z ochryłym wrzaskiem z kryjówek. Niektórzy strzelali do Baenre z kusz, zanim zamienili je na miecze. U wylotu tunelu zaświstały bełty. Część odbiła się od zbroi gwardzistów i kapłanek, ale inne trafiły w cel. Gwardziści przygotowali się na atak Agrach Dyrę najlepiej jak potrafili. Zal`thera przykuśtykała pod jedną ze ścian tunelu i broniła się wielkim czarnym dwuręcznym biczem, bojąc się zaufać rannej nodze na tyle, by rzucić się w wir walki, ale daleko jej było do bezbronnej, o czym przekonał się żołnierz Agrach Dyrę, którego z wprawą wywróciła, po czym strzaskała mu czaszkę. W jednej chwili korytarz wypełnił szcęk żelaza uderzającego o żelazo i ohydny odgłos ostrzy zagłębiających się w ciele, któremu towarzyszyły wrzaski, stękania i przekleństwa walczących.

Andzrel, w przeciwieństwie do swojej krewniaczki, walczył w pierwszym szeregu, rąbiąc z ogromną wprawą obusiecznym mieczem i wymierzając wrogom brutalne kopniaki, którymi obalał ich na ziemię, gdy parowali ciosy jego lśniące klingi. Nimor obserwował z podziwem przesuwającą się to w przód, to w tył linię starcia, po czym wysunął się przed swoich ludzi i podszedł do fehmistrza Baenre.

- Witam, Andzrelu - zawołał. - Dowódca twojego zwiadu spieszy donieść, że duergarowie przedarli się przez linię obrony przy Słupach Żalu i stanowią teraz znaczące zagrożenie dla Armii Czarnego Pajaka.

Andzrel Baenre znieruchomiał, walczący minęli go. Pod maską opanowania dowódca kipiał z wściekłości.

- Zhayemd - prychnął. - Popeliłeś poważny błąd, zbliżając się do mnie. Rozsądniej byłoby cieszyć się owocami swojej zdrady z daleka.

- Zobaczymy - odpowiedział Nimor.

Skoczył naprzód, chcąc pchnąć Baenre w sam środek piersi, ale Andzrel był na to przygotowany.

Fechmistrz wywinął się w bok i uniósł miecz w wirującej paradzie, odbijając ostrze Nimora, po czym zgrabnym piruetem wśliznął się bliżej i wyrzwał opancerzonym łokciem w bok głowy skrytobójcy. Gdyby Nimor był wątlm drowem, na jakiego wyglądał, cios niechybnie zmiażdżyłby mu czaszkę, a tak tylko mocno nim potrząsnął. Obrócił się natychmiast w drugą stronę i ukradkowym cięciem sztyletu dźgnął Andzrela pod napierśnik. Fechmistrz zrobił pół kroku do tyłu, wyskoczył w powietrze i wyrzwał butami w żebra skrytobójcy, ale Nimor stęknął tylko i odrzucił go ze wzgardą.

Andzrel przetoczył się po ziemi i zerwał na równe nogi z uniesionym mieczem i wytrzeszczonymi oczami.

- Czym ty jesteś, na wszystkie piekła bogini?

Zanim Nimor zdobył się na stosowną odpowiedź, fechmistrz sięgnął do cholewy buta i cisnął nożem prosto w jego szyję. Skrytobójca zasłonił twarz ramieniem i ostrze wbiło mu się w lewe przedramię. Warknął i wyrwał je, obryzgując krwią pokrytą pyłem ziemię.

Andzrel oczywiście nie czekał. Rzucił się na przeciwnika, próbując ugodzić go szybkim sztychem. Nimor przeskoczył nad fechmistrem, podkulając nogi i wylądował po drugiej stronie. Kiedy Andzrel obrócił się, Nimor wbił mu rapier w napierśnik, raniąc głęboko w bok. Andzrel stęknął i zatoczył się, tracąc równowagę. Przewrócił się na ziemię u stóp Nimora, przykrywając ciałem własny obosieczny miecz leżący płasko na ziemi.

- Niezła próba - skwitował Nimor, unosząc miecz, żeby skończyć z Baenre.

Zanim zdołał uderzyć, otoczyła go kula bursztynowej energii. Magiczna siła powstrzymała jego cios tak pewnie, jak gdyby usiłował przebić Narbondel, stawiając też opór jego nożowi.

- Co u licha? - rozsierdził się Nimor.

Skrytobójca warknął z wściekłości, jednocześnie zdając sobie sprawę, że odgłosy walki w tunelu przybrały trzykrotnie na sile. Wyrzwał poza sferę, starając się ustalić, co oznaczają te odgłosy i skąd dochodzą.

Na zewnątrz do walki dołączały dziesiątki nowych żołnierzy Baenre wybiegających z tunelu na tyłach Agrach Dyrrow, przez co Jazzt i jego piechurzy znaleźli się pomiędzy młotem a kowadłem. Ci blokujący tunel zostali szybko odepchnięci lub zabici, otwierając drogę ucieczki kontyngentowi domu Baenre. Nimor z zimną furią obserwował, jak sznur Baenre mija jego magiczne więzienie, udzielając wsparcia osaczonym pobratymcom. W ciągu kilku minut bitwa przetoczyła się obok niego i powróciła do głównej pieczary.

Nimor zerknął w dół tunelu i dojrzał wysokiego, okrągłego czarodzieja w barwach domu Baenre, który obserwował bursztynowy glob z uśmiechem satysfakcji. Zal`therra i Andzrel też wpatrywali się w przybysza.

- Nuzhror - powiedziała kapłanka. Broczyła krwią z rany na biodrze. - Twoje wyczucie czasu jest bez zarzutu.

- To raczej szczęśliwy zbieg okoliczności - mruknął czarodziej. - Matka opiekunka kazała mi zdobyć wieści z pola walki, więc śledząc armię, dostrzegłem toczącą się bitwę i zauważyłem wasze problemy. Wykorzystałem bardzo cenny zwój, aby wznieść portal i sprowadzić pomoc. - Odwrócił się przyjrzał Nimorowi uwięzionemu w kuli energii. - Czy ten zajadły wojownik to nie kapitan Zhayemd z domu Agrach Dyr?

- Tak w każdym razie twierdzi - zgrzytnął Andzrel. - Czy możesz uśmiercić go, dopóki tkwi w tej sferze?

- Nie od razu. Kula po prostu zamyka ofiarę na jakiś czas, otaczając ją nieprzeniknioną tarczą siły magicznej. Wkrótce opadnie, a wtedy będziesz mógł go zabić.

- A zatem później - rzekł Andzrel, zapominając chwilowo o schwytanym w pułapkę Nimorze.

Jedną ręką chwycił przytroczoną do pasa fiołkę - eliksir uzdrawiający, domyślił się Nimor - i wypił jej zawartość. Spojrzał znów na walczących i z beznamiętnym wyrazem twarzy przyglądał się zażartej walce.

Zal`therra przykuśtykała do niego i powiedziała:

- Przygotuj się do ataku. Z posiłkami Nauzhrora możemy jeszcze pokonać tych przeklętych duergarów i tanarukków. - Rzuciła okiem na czarodzieja. - Ilu żołnierzy sprowadziłeś?

- Obawiam się, że tylko jedną kompanię. Matka opiekunka nie chciała ryzykować utraty większej liczby żołnierzy w przegranej bitwie, jeśli sprawy przybiorą niekorzystny obrót.

Zal`therra zaczęła protestować, ale Andzrel położył jej rękę na ramieniu.

- Nie - powiedział - matka opiekunka miała rację. Teraz, kiedy zabezpieczyliśmy sobie drogę odwrotu, musimy wycofać z walki te domy, które się da. Duergarowie i tanarukkowie odnieśli dziś zwycięstwo.

Żrenice Nauzhrora rozszerzyły się.

- Jest aż tak źle?

- Jeśli będziemy działać szybko - odparł Andzrel - zdołamy jeszcze ściągnąć z pola bitwy sporą część żołnierzy. Kiedy wyciągniemy ważne domy z jaskini, możemy walczyć, cofać się aż do samego Menzoberranzan, jeśli będzie to konieczne. Nie mamy czasu do stracenia, jeśli chcemy ocalić domy Xorlarrin i Tuin'Tarl. Fey Branche prawie w całości poległ. Nie mam zielonego pojęcia, co z Barrison Del'Armgo, a Duskryn i Kenafin zostały zmiecione przez tanarukków. Menzoberranzan nie może już sobie pozwolić na większe straty.

- Wasz odwrót tylko opóźni nieuniknione - odezwał się Nimor. - Nie jesteście już w stanie temu zapobiec.

Andzrel oparł się na swoim obosiecznym mieczu i rzucił Nimorowi ponure spojrzenie.

- Po namyśle - rzekł fechmistrz - zostawię tu kilku chłopców, żeby poczekali aż sfera zaniknie. Nie widzę powodu, żeby pozwolić mu żyć choć chwilę dłużej, niż muszę. - Odpowiedział na spojrzenie Nimora lodowatą miną. - Twój dom pożałuje dnia, w którym zdradziłeś swe miasto, zdrajco.

Nimor spróbował znów wydostać się ze sfery, lecz na próżno. Andzrel, Zal'thera i czarodziej Baenre odwrócili się i wraz ze swoimi żołnierzami znów rzucili się do walki, a kilku gwardzistów wróciło i zajęło pozycje wokół sfery mocy.

- Do zobaczenia w Menzoberranzan - obiecał Nimor.

Namaszczone Ostrze przywołał moc swojego pierścienia i zniknął, przenosząc się w przyjazne cienie.

ROZDZIAŁ 18

Cztery godziny później drużyna stała znów pod brązową maską Vhaerauna w przybytku twierdzy Minauth. Powgniatane, brudne kolczugi zostały pieczołowicie wyczyszczone, zerwane ogniwa naprawione, tuniki wyprane. Ci, którzy stracili sakwy podróżne, posłania i inne elementy ekwipunku, zastąpili je zakupami zrobionymi u kupców Jaelre. Po raz pierwszy od opuszczenia Gracklstugh Halisstra czuła się czysta, wypoczęta i w miarę dobrze przygotowana do następnego etapu podróży. Srodze doskwierał jej brak pancerza, który nosiła jako pierwsza córka domu Melarn i grzmiącego buzdyganu otrzymanego od matki wiek temu, ale wciąż miała lirę, a kolczuga i miecz Seyll Auzkovyn też nie były zupełnie bezużyteczne.

Zwłaszcza miecz był wyjątkowo misternej roboty. Niósł potężny ładunek świętości, przez co w dłoni mrocznej elfki wywoływał nieprzyjemne uczucie mrowienia. Halisstra przypuszczała, że jego ostrze jest zabójcze dla każdej plugawej istoty, która poczuje jego ukąszenie. Ponieważ zamierzała zstąpić do Otchłani, gdzie drużynę mogły zaatakować całe chmary podobnych istot, gotowa była na razie znosić jego odstręczającą moc.

Tzirik przywdział czarną zbroję płytową z mithralu ozdobioną groteskowymi postaciami demonów i złotymi żłobieniami. Przy pasie kapłana zwisał buzdygan najeżony paskudnymi kolcami, a na głowie miał wielki hełm w kształcie czaszki demona. Emanował pewnością siebie i energią, jak gdyby długo czekał na okazję służenia swemu bogu w tak ważnej sprawie.

- Jak wiecie - odezwał się kapłan - istnieje wiele sposobów opuszczenia tego planu egzystencji i przeniesienia się w inne wymiary. Zbadałem dogłębnie tę kwestię i postanowiłem, że będziemy podróżować w postaci astralnej. Teraz, jeśli...

- To oznaczałoby pozostawienie naszych uśpionych ciał tutaj, podczas gdy nasze duchy powędrowałyby do Otchłani - przerwała mu Quenthel. - Skąd pomysł, że mogłabym się na to zgodzić?

- Zdrada - zagrział Jeggred. - Każę swoim kamratom poderznąć nam gardła, kiedy nasze niezamieszkałe ciała będą tu leżeć.

Draegloth zrobił krok w stronę kapłana Vhaerauna, obnażając kły.

- Zdecydowałem się na podróż w postaci astralnej z dwóch powodów, mistrzyni Baenre - wyjaśnił Tzirik, ignorując Jeggreda. - Po pierwsze, jest to nieco bezpieczniejsze, bo jeśli czyjś duch zostanie przypadkiem zabity podczas wizyty w Otchłani, osoba ta nie umrze naprawdę - obudzi się tu, nietknięta. Bądź co bądź, trudno jest unicestwić ducha. Po drugie, z tego co wiem, nie mamy żadnej alternatywy. Próbowałem już przenieść się do Pajęczyny Demonów, ale zakłęcie zawiodło. Uważam, że bariera lub plomba, o której wspominał Pan w Masce, uniemożliwia bezpośrednie przeniesienie fizycznego ciała w dziedzinę Lolth.

- A jednak wierzysz, że będziesz w stanie przenieść tam nasze postacie astralne, mimo tego, że władztwo jest wciąż zabezpieczone? - zapytała Halisstra.

- Znam tylko dwa sposoby przeniesienia was do Pajęczyny Demonów i jeśli jeden okaże się nieskuteczny, drugi musi zadziałać - powiedział Tzirik, wzruszając ramionami. - Sam Pan w Masce polecił mi was tam zabrać, musi więc istnieć jakiś sposób. Jednak jeśli znacie jakieś trwałe portale lub bramy prowadzące do Otchłani lub samej Pajęczyny, myślę, że moglibyście z nich skorzystać.

- Udowodnij, że podróż fizyczna jest niemożliwa - powiedziała Quenthel.

- Zbliżcie się - rozkazał Tzirik spod maski z niejakim rozbawieniem w głosie - i podajcie mi ręce.

Drowy podeszły bliżej i podały sobie dłonie, tworząc krąg. Tzirik zajął miejsce pomiędzy Quenthel i Danifae, kładąc lewą rękę na ich złączonych dłoniach, ale prawą miał wolną, aby móc wykonywać gesty konieczne do rzucenia zaklęcia. Zebrał się w sobie, a potem wyskandował potoczystą, pełną mocy modlitwę, której bluźniercze słowa wypełniły powietrze niemal namacalną ciemnością.

Halisstra przyglądała mu się uważnie, żeby mieć pewność, że rzuca zakłęcie we właściwy sposób, ale z tego, co zaobserwowała, tak właśnie było. Przez chwilę myślała, że czar zadziała, gdy świątynia Jaelre wokół nich rozmazała się i zblakła, a jej ciało jakby osunęło się ze świata, nie ruszając się nawet o cal - ale potem w jakiś nadprzyrodzony sposób wyczuła przeszkodę, barierę, która uniemożliwiła drużynie ponowne zmaterializowanie się w nowym miejscu i prawie wypchnęła ich z powrotem do twierdzy Minauth. Zatoczyła się jak pijana, gdy zakręciło jej się w głowie.

- To samo przydarzyło mi się ostatnim razem - oświadczył Tzirik.

Quenthel spochmurniała, ale zdołała zachować spokój, wyjmując dłoń z dłoni Danifae i opierając

się na Jeggedzie.

- Pharaunie - powiedziała wysoka kapłanka - co zaobserwowałeś?

Czarodziej uniósł brew, być może zaskoczony tym, że Baenre pyta go o zdanie i odpowiedział:

- To dość wiarygodne. Jeśli wyślemy nasze duchy na Plan Astralny, nie przeniesiemy się bezpośrednio z tego planu egzystencji do Otchłani. Przemierzmy astralne morze i zbliżymy się do władztwa Lolth jako duchy. Możliwe, że tajemnicza bariera, która nas zatrzymała, tym razem nam nie przeszkodzi. - Czarodziej wygładził fałdy szat, zastanawiając się. - To może tłumaczyć, dlaczego przyzwane przez nas demony nie zdołały się tam dostać. Nie podróżują pomiędzy planami jako astralne projekcje, ponieważ nie mają dusz.

Quenthel wymamrotała coś do samej siebie, założyła ramiona na piersi i zwróciła się do Tzirika:

- Zgoda - powiedziała w końcu. - Przekonałeś mnie. Gdzie mamy zostawić nasze ciała?

Tzirik podszedł do jednej ze ścian świątyni i wcisnął ukrytą dźwignię, a ich oczom ukazała się sekretna komnata ukryta do tej pory za maską Vhaerauna. Nie była duża, ale ustawiono w niej w ciasnym kręgu osiem starych sof - sprzętów mogących pamiętać czasy, gdy pałac służył za siedzibę elfom z Cormanthoru - wezglówkami razem, nogami na zewnątrz.

- Tylko garstka moich ludzi wie o istnieniu tego pomieszczenia - rzekł kapłan - a im nakazałem nie niepokoić nas tak długo, jak okaże się to konieczne. Nie musicie się tu niczego obawiać.

Ryld, który stał nieco za Jeggedem, odwrócił się od Tzirika i subtelnie pokazał na migi Pharaunowi i Halisstrze:

- *Więc jeśli nasze dusze zostaną pokonane na Planie Astralnym, powrócimy do naszych ciał. Co czeka nasze dusze, jeśli ktoś wbije nóż w nasze ciała?*

- *Śmierć*, odparł Pharaun. *Ktoś ostrożny upewniłby się, że jego ciało znajduje się w bezpiecznym miejscu i jest strzeżone przez zaufaną osobą, zanim wysłałby duszę na inny plan.*

Ryld skrzywił się, ale nic nie powiedział.

Towarzysze weszli za Tzirikiem do komnaty. Halisstra wpatrywała się z niepokojem w starą kanapę przed sobą, wiedząc, że się trzęsie, ale nie była w stanie odwrócić wzroku. Nie tylko ona przyglądała się sofom jak kolekcji trumien. Quenthel musiała myśleć o tym samym.

Przeniosła wzrok z sofy na Tzirika i oznajmiła:

- Zostawimy tu strażnika. Ktoś, komu ufam, będzie pilnował naszych ciał do mojego powrotu, podobnie jak ktoś, komu ty ufasz, będzie pilnował ciebie.

- Ach - westchnął Tzirik. - Jesteś rzeczywiście mroczną elfką. Zrób, jak uważasz.

- Może rozkazać wszystkim mieszkańcom zamku napaść na tego, kogo postanowimy tu zostawić - warknął Jegged. - Najlepiej zostawmy dwie, może trzy osoby.

- Jedynym obowiązkiem naszego strażnika, jeśli zostanie napadnięty, będzie poderżnięcie Tzirikowi gardła - powiedział Pharaun. - Pytanie brzmi, kto zostanie?

Quenthel spojrzała na Rylda, a potem jej spojrzenie przesunęło się powoli na Halisstrę. Halisstra przez chwilę obawiała się, że Quenthel zamierza ją zostawić, aby uniemożliwić jej wyczekiwane spotkanie z Lolth, ale kiedy serce waliło jej w piersi z niepokoju, uświadomiła sobie, że ostatnią rzeczą jakiej pragnęła Baenre - jeśli rzeczywiście widziała w Halisstrze zagrożenie - było zostawienie przytomnej Melarn sam na sam z jej bezradnym ciałem. Oczy Quenthel zwęziły się, gdy rozważała te same argumenty, a potem jej wzrok padł na Jeggeda.

- Musisz tu zostać - powiedziała do draeglotha.

Jegged skrzywił się w spazmie wściekłości.

- Nie zamierzam siedzieć tu, gapiąc się na wasze żywe trupy, kiedy wy będziecie stawiać czoła niebezpieczeństwu krainy bogini! Matka kazała mi cię strzec. Jak mam to zrobić, skoro chcesz mnie tu zostawić?

- Będziesz mnie strzegł - powiedziała Quenthel. - W postaci astralnej nie może przydarzyć mi się nic złego. To tutaj będę bezbronna, a nikomu innemu nie ufam tak, jak tobie. To musisz być ty, Jeggedzie.

Draegloth zamachał wszystkimi czterema rękami na znak protestu.

- Ty najlepiej ze wszystkich wiesz, co czeka was w Otchłani, mistrzyni. Będziesz potrzebować mojej siły.

- Skończ z tym natychmiast - rozkazała mistrzyni Arach-Tinilith. Oczy jej błysnęły, a bicz zafalował, gdy warknęła: - Nie ty będziesz kwestionował moje decyzje, siostrzeńcze. Spełnisz swoje

zobowiązania w sposób, jaki ja uznaję za stosowny.

Jeggred zapadł w posępne milczenie. Z odrazą odwrócił się i rzucił na kamienną posadzkę, zsuwając plecak i bandolet. Quenthel spojrzała na pozostałych i skinieniem głowy wskazała sofę.

- Chodźcie - powiedziała. - Bogini czeka.

Tzirik zaczękał, aż Menzoberranzańczycy wybiorą sofę i wyciągną się na nich wygodnie. Podeszedł do ostatniej, usiadł i spojrzął na Jeggred.

- Jeśli tu zostaniesz, półdemonie, powinieneś wiedzieć, że kilku moich pobratymców będzie ci towarzyszyć. Nie niepokój ich, a z pewnością będą szczęśliwi mogąc zostawić cię w spokoju.

Jeggred odpowiedział szyderczym grymasem, zaś Tzirik ułożył się niezgrabnie w zbroi płytowej, kładąc buzdyan obok siebie.

Halisstra leżała pomiędzy Ryldem a Danifae. Zerknęła na fechmistrza. Ryld miał napięty i zdenerwowany wyraz twarzy. Najwyraźniej on również nie miał wielkiego doświadczenia w podróżach po planie astralnym.

- *Skoro to nasze dusze podróżują, po co nam broń?* - zapytał na migi.

- *Jest częścią ciebie*, odparła. *Twoja świadomość włącza należące do ciebie przedmioty w twoją definicję siebie. Dlatego kiedy twoja dusza uwalnia się z ciała, twój umysł wyobraża sobie astralną kopię wszystkiego, co zostawiłeś pod ręką.*

- Weźcie się za ręce - polecił Tzirik. - Złapcie się mocno. Nie chcę zostawić nikogo w tyle.

Kapłan znów zaczął skandować zaklęcie melodyjnym głosem. Halisstra wbiła wzrok w sufit, prawą rękę wyciągnęła do Danifae, a lewą do Rylda.

- Może powinienem wyobrazić sobie jakiś dobry, mocny trunek, - zauważył Ryld.

Wyciągnął rękę i mocno chwycił dłoń Halisstry, zanim ta zdążyła odpowiedzieć.

Za nią, niewidoczny po drugiej stronie kręgu, Tzirik recytował dalej zaklęcie, wypowiadając pewnie i z łatwością ostre słowa magii. Ciałem Halisstry targnął impuls elektryczny, który przeszedł od ręki do ręki, gdy magia zaczęła działać, łącząc ją z Ryldem i Danifae poprzez dziwne mrowienie. Ogarnęło ją poczucie oderwania, jak gdyby nagle stała się nieważka. Czuli się tak, jak gdyby uniosła się poza samą siebie, przyciągana przez jakąś nieodpartą siłę ciągnącą ją w kierunku, którego nie była w stanie określić jako prawo ani lewo, dół ani góra. Kamienny sufit zafalował i zmętniał, oddalając się od niej coraz szybciej i szybciej.

I już jej nie było.

* * *

Triel Baenre kroczyła wzdłuż szeregów swoich poturbowanych żołnierzy, na jej pozbawionej wyrazu twarzy malowała się jedynie żelazna determinacja. Wyczerpani zbrojni starali się stać przed nią na baczność w wąskim tunelu. Poleciała Nauzhrorowi przenieść się natychmiast na miejsce odwrotu, aby na własne oczy ocenić ogrom porażki Menzoberranzan i to, co widziała, wcale jej się nie podobało. Wcale a wcale.

Tunel miał ponad dziesięć mil długości i stanowił jedną z głównych tras biegnących od skrzyżowania dróg przy Słupach Żalu do płataniny krętych korytarzy i dzikich jaskiń znanych jako Mroczne Władztwo Menzoberranzan. Wyglądało na to, że co drugi, trzeci żołnierz jest ranny - obandażowany tors tutaj, ręka na temblaku tam, drow stojący pod ścianą i opierający się na złamanym drzewcu włóczni jak na kuli. Ranni nie martwili jej jednak. Prawdziwie niepokojące było znużenie i przygnębienie żołnierzy. Oczywiście, spodziewała się, że będą zmęczeni - Andzrel zmusił armię do całodziennego marszu, nie zatrzymując się nawet, by ocalić jakiegokolwiek zapasy żywności z porażki pod Słupami Żalu - ale nie spodziewała się, że jej żołnierze będą tak... pokonani. Zostali pobici i wiedzieli o tym.

Andzrel szedł o krok za matką opiekunką, nie ośmielając się przemówić niezapytany.

- Jak poważne są straty? - zapytała w końcu, nie patrząc na swojego fechmistrza.

- Coś pomiędzy jedną czwartą a jedną trzecią wszystkich naszych sił, matko opiekunko. Niektóre domy poniosły o wiele większe lub mniejsze straty, zależnie od tego, jak powiodło im się w walce.

- A kontyngent domu Baenre?

- Dziewięćdziesięciu martwych, czterdziestu czterech ciężko rannych - odparł Andzrel. - Około jednej czwartej ludzi.

- Mieliliśmy szczęście, że udało nam się tylu ocalić, matko opiekunko - dodała Zal'thera. - Niektóre

domy zostały wyrżnięte co do nogi...

- Ciebie nie pytałam - ucięła Triel.

Założyła ramiona na piersi, usiłując nie dać po sobie poznać przerażenia, które skręcało jej trzewia.

To będzie cud, jeśli Rada nie powstanie otwarcie przeciwko mnie, myślała. Bogini niech będą dzięki, że Mez'Barris gdzieś przepadła, a dom Fey-Branche jest tak bardzo osłabiony. Byrtyń Fey musi uważać na to, co mówi, gdy straciła połowę armii, a ja mam trochę czasu do namysłu, zanim będę musiała stawić czoła Mez'Barris, jeśli tylko Lolth pozwoli.

A zresztą, pomyślała, kto z Rady pozostał? Faen Tlabbar, trzeci dom, znalazł się w rękach niedoświadczonej dziewczyny, a Yasraena Dyrz raczej nie planowała pojawić się na następnym spotkaniu, nieprawdaż? Ona i cały jej plugawy dom zabarykadował się w swoim zamku, czekając na przybycie swoich duergarskich sprzymierzeńców i wyraźnie był przygotowany na oblężenie.

Pozostawała Zeerith q'Xorlarrin, Miz'ri Mizzrym i Prid'eesoth Tuin, jedyne matki opiekunki, którymi powinna się przejmować.

Aby oderwać się od tych nieprzyjemnych rozmyślań, Triel odwróciła się do Andzrela i Zal'therry. Bardziej niż cokolwiek innego pragnęła ukarać fehmistrza i kuzynkę za wprowadzenie armii w katastrofalną pułapkę, ale z tego, co widziała, to właśnie umiejętności Andzrela i zdecydowanie Zal'therry uchroniły Armię Czarnego Pająka przed straszliwą rzezią. Armia Menzoberranzan ucierpiała, ale nadal istniała.

- Gdzie są teraz duergarowie? - zapytała.

- Jakies trzy mile na południe od nas - odparł Andzrel. - Dom Mizzrym stanowi teraz naszą straż tylną, chociaż posłałem im prawie setkę naszych ludzi, żeby wzmocnić obronę. - Triel zrozumiała, co Andzrel miał naprawdę na myśli posłał tam żołnierzy Baenre, żeby dopilnować, aby nie doszło do podobnej zdrady, jaką zaaranżował dom Agrach Dyrz.

- Znękany Legion okrąża nas od wschodu. Nie możemy stawić oporu duergarom w tym tunelu, bo tanarukkowie zdążą nas wyprzedzić.

- Wystarczyłoby zaledwie stu żołnierzy, aby zatrzymać w tym tunelu prawie każdą siłę, prawda? - zapytała Triel.

- Tak, ale duergarowie mają w swoich szeregach tylu czarodziei i dysponują taką liczbą maszyn oblężniczych, że nasza straż tylna nie zdoła ich długo zatrzymać.

- Mimo to spróbuj - wycodziła Triel. - Wykorzystaj niewolników i zostaw z nimi tylu oficerów, by mieć pewność, że nie rzucą się do ucieczki. Potrzebujemy czasu, fehmistrzu, i właśnie do tego służy straż tylna.

Andzrel nie próbował jej przekonywać, więc Triel odeszła kilka kroków, aby zebrać myśli. Zbuntowane drowy, powstania niewolników, wojska duergarów, nikczemna zdrada, zaginiony arcymag i hordy tanaruków - sytuacja nie mogła już chyba wyglądać gorzej. Jak miała się w ogóle zabrać za rozwiązywanie tych problemów? Napaść na dom Agrach Dyrz, skoro kapłanki były pozbawione magicznej mocy? Zatrzymać marsz duergarów w jakimś innym miejscu i pozwolić tanarukom prześliznąć się bokiem?

- Jak do tego doszło? - wymamrotała na głos.

- Agrach Dyrrowie byli w zмовie z wrogami miasta - odparła Zal'thera. - Znaleźli sposób, by stworzyć straż przednią naszej armii i zamiast bronić Słupów Żalu przed duergarami, wprowadzili nas w pułapkę. Muszą zginąć za swoją zdradę.

- Nie mówiłam do ciebie - warknęła Triel, która tym razem nie zdołała się powstrzymać.

Wiedziała, że Zal'thera nie ponosi winy za tą katastrofalną porażką, ale musiała kogoś uderzyć. Spoliczkowała dziewczynę tak mocno, aż ta się zatoczyła, choć była wyższa od opiekunki o prawie stopę i ważyła trzydzieści funtów więcej.

- Musisz zacząć podejrzewać zdradę, ty łatwowierna idiotko! - krzyknęła. - Dlaczego wśród zwiadowców nie było żadnych żołnierzy Baenre? Dlaczego nie zweryfikowałaś raportów, którymi karmili cię Agrach Dyrrowie? Gdybyś wykazała choć odrobinę ostrożności, nasza armia nie zostałaby rozbita.

Zal'thera cofnęła się.

- Matko opiekunko, wszystkiemu zaaprobowaliśmy plany Andzrela...

- Andzrel jest orężem, Zal'therro. Armia naszego domu jest orężem. A ty dzierzysz ten oręż

przeciwko naszym wrogom. Posłałam cię, żebyś podejmowała decyzje, używała własnego rozumu i myślała!

Triel obróciła się, żeby nie uderzyć ponownie Zal`therry. Gdyby to zrobiła, mogłaby się już nie opanować, a czy się jej to podobało czy nie, Zal`therra była najprawdopodobniej najbardziej obiecującą z jej kuzynek. Triel nie mogła żyć wiecznie, a musiała pozostawić domowi Baenre przynajmniej kilka kompetentnych kapłanek, na wypadek gdyby nadszedł dzień, kiedy będzie musiała zamordować swoje siostry.

- Matko opiekunko - zdołała wykrztusić dziewczyna, a oczy miała wielkie z przerażenia - przepraszam za mój błąd.

- Nigdy nie oczekiwałam przeprosin, dziewczyno, a Baenre nigdy nie powinna przepraszać - burknęła matka opiekunka - ale dam ci możliwość udowodnienia, że masz jednak jakieś zalety. Obejmiesz dowodzenie nad strażą tylną.

Triel wskazała południe. Było wielce prawdopodobne, że wysłała kuzynkę na śmierć, ale musiała się przekonać, czy Zal`therra ma dość oleju w głowie i stanowczości, by zostać przywódczynią domu Baenre, a gdyby zdołała ująć z życiem i wykonać wyznaczone jej zadanie, Triel mogła rozważyć pozostawienie jej przy życiu.

- Niech duergarowie walczą o każdy krok - dodała Triel. - Twoje przetrwanie zależy od tego, czy uda ci się ich zatrzymać. Jeśli opuścisz tunel przed upływem trzech dni, każę cię ukrzyżować.

Zal`therra skłoniła się i oddaliła pospiesznie. Triel odwróciła się do fehmistrza.

- Zrozum, że ty też nie jesteś bez winy - powiedział cicho. - Ty byłeś autorem naszej wielkiej strategii, a ja poręczyłam całą mocą i prestiżem domu Baenre za twój plan bitwy, który doprowadził nas do katastrofy, jakiej nie widzieliśmy od czasu Mithrilowej Hali. W innych okolicznościach wrzuciłabym cię z poprzecinanymi ścięgnami do dołu pełnego głodnych stonóg, ale... nadeszły niezwykle czasy i istnieje nikła szansa, że twoje zdolności i umiejętność planowania strategicznego jeszcze nam się przydadzą w nadchodzących dniach. Nie zawieź mnie znowu.

- Tak, matko opiekunko - odparł Andzrel, kłaniając się nisko.

- A więc - ciągnęła - gdzie zatrzymamy duergarów i ich sojuszników?

- Nie zrobimy tego, matko opiekunko - odparł bez wahania fehmistrz. - Zważywszy na straty, jakie już ponieśliśmy, radzę wycofać się do Menzoberranzan i przygotować do oblężenia.

- Nie podoba mi się ta opcja - burknęła Triel. - Cuchnie porażką, a im dłużej ich armia będzie sterczeć u naszych bram, tym bardziej prawdopodobne, że wzmocni ją przybycie jakiegoś innego wroga, beholderów albo łupieżców umysłów.

- To oczywiście możliwe - odpowiedział Andzrel, starając się zachować neutralny ton głosu - ale szarym krasnoludom nie tak łatwo będzie oblegać Menzoberranzan setki mil od własnego miasta. Nie wydaje mi się, żeby mogli oblegać nas dłużej niż kilka miesięcy, a wątpię, by byli dość liczni, aby wziąć miasto szturmem. Najlepszym rozwiązaniem będzie zmuszenie duergarów do oblężenia i wtedy przekonamy się, jakie zagrożenie rzeczywiście stanowią. W międzyczasie mogliśmy zgnieść dom Agrach Dyr.

- Boisz się stawić czoła duergarom w kolejnej bitwie? - wychrypiła Triel.

- Nie, matko opiekunko, ale nie będę doradzał posunięcia, które uzależnia losy miasta od wyniku bitwy, do której nie jesteśmy przygotowani, chyba że nie będziemy mieli innego wyboru. To jeszcze nie ten moment. - Urwał, a po chwili dodał: - Zawsze możemy zebrać nasze siły w mieście i zrobić za kilka dni zbrojny wypad, jeśli będzie taka potrzeba i nadarzy się okazja.

Triel rozważała radę fehmistrza.

- Wrócę do Menzoberranzan i przedstawię sprawę Radzie - powiedziała w końcu - ale dopóki nie otrzymasz innego rozkazu, kontynuuj odwrót. Rozkażę dowódcom w mieście przygotować się do oblężenia.

* * *

Halisstra otworzyła oczy i odkryła, że unosi się w bezkresnym srebrzystym morzu. Miękkie szare obłoki przesuwają się powoli w oddali, zaś na niebie skręcały się gwałtownie dziwne ciemne smugi, zakotwiczone tak daleko, że nie była w stanie zobaczyć ich końca, a ich środkowe części obracały się gniewnie, jak kawałek sznurka skręcany w palcach przez dziecko. Spojrzała w dół, zastanawiając się, co ją podtrzymuje, ale nie zobaczyła niczego oprócz osobliwie perłowego nieba pod stopami i wszędzie

dookoła.

Wciągnęła gwałtownie powietrze, zaskoczona tym widokiem i poczuła jak płuca wypełniają jej się czymś słodszy i może nieco bardziej stałym od powietrza, ale zamiast zadławić się lub zakrztusić tym czymś, odkryła, że jest do tego przyzwyczajona. Wszystkie jej członki przebiegł elektryczny dreszcz, gdy zahipnotyzował ją zwykły akt oddychania.

Uniosła dłoń do twarzy w nieświadomym pragnieniu przysłonięcia oczu i zauważyła, że ma nadnaturalnie wyostrzony wzrok. Każde ogniwo kolczej rękawicy było idealnie symetryczne, miało wyraziste kontury, a skóra rękawic lśniła odrębnymi warstwami oliwy i płam.

Zabrakło jej słów.

- Nie byłaś tu nigdy wcześniej, pani Melarn? - odezwał się gdzieś za jej plecami głos Tzirika.

Halisstra odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć, ale natychmiast cała panorama jak gdyby obróciła się jednym szybkim, płynnym ruchem, ukazując jej oczom unoszące się w powietrzu postacie jej towarzyszy. Kapłan Vhaerauna stał - nie, unosił się było właściwym określeniem - kilkanaście jardów od niej w płaszczu falującym lekko na wietrze, którego Halisstra nie czuła. Mówił cicho, a jednak jego głos niósł się z cudowną czystością i wyrazistością, jak gdyby stał na wyciągnięcie ramienia.

- Myślałem, że dla kapłanki twojej rangi kraina astralna nie jest niczym obcym - dodał kapłan.

- Wiem, czego się spodziewać, ale nie miałam nigdy okazji podróżować na inne plany - odparła. - Moja znajomość tego miejsca jest czysto... teoretyczna.

Zauważyła, że każdy z jej towarzyszy wydaje się równie wyraźnie zarysowany, namacalny i rzeczywisty jak Tzirik. Z jakiegoś miejsca, które trudno jej było dostrzec - może ze środka pleców, a może karku - tryskała cienka, lśniąca nić srebrnego światła.

Halisstra sięgnęła ręką do tyłu i dotknęła własnej nici. Ciepła, pulsująca arteria wibrowała energią, a kiedy musnęła ją palcami, jej piersią targnął potężny wstrząs, jak gdyby właśnie dotknęła struny własnej duszy. Cofnęła rękę, postanawiając nie dotykać więcej nici.

- Twoja srebrna nić - wyjaśnił Tzirik. - Niemal niezniszczalna więź łącząca twoją duszę z właściwym dla niej miejscem - twoim ciałem, znajdującym się w Minauth. - Kapłan uśmiechnął się okrutnym uśmiechem. - Musisz na nią uważać. Tylko nieliczne istoty są w stanie przerwać nić podróżnika przez plan astralny, ale gdyby do tego doszło, podróżnik natychmiast by zginął.

Halisstra patrzyła, jak Ryld dotyka własnej struny. Jego oczy rozwarły się szeroko i cofnął rękę równie szybko jak ona.

- Jak długie są te nici? - zapytał fechmistrz.

- Są nieskończone, mistrzu Argith - rzekł Tzirik. - Nie martw się, kilka stóp od twojej skóry robią się niematerialne, więc nie będziecie się o nie potykać. Prawdę mówiąc, same starają się nie wchodzić w drogę podróżnikowi, więc nie musicie się tym kłopotać.

Halisstra spojrzała po towarzyszach, którzy starali się przystosować do nowego środowiska. Ryld i Valas poruszali powoli kończynami, jak gdyby starali się brnąć przez wodę. Quenthel trzymała się sztywno jak klinga, z rękami przyciśniętymi do ciała, zaś Danifae unosiła się ospale w powietrzu, a jej długie białe włosy rozwiewały się za nią na wietrze. Pharaun tylko czekał, a w jego oczach migotało rozbawienie, gdy przyglądał się wysiłkom towarzyszy. Tzirik rozejrzał się, oglądając ich otoczenie, po czym kiwnął głową.

- To coś w rodzaju miejsca poza czasem - powiedział - ale czas tu upływa, więc powinniśmy wyruszyć w naszą podróż. Idźcie za mną, trzymajcie się blisko. Może wam się wydawać, że widzicie stąd w nieskończoność, ale łatwo tu zniknąć we mgle.

Nie poruszając się, zaczął sunąć naprzód z rękami założonymi na piersi i płaszczem łopoczącym na wietrze.

Iść za nim? - zastanawiała się Halisstra, obserwując oddalającego się kapłana, ale jakimś sposobem samo pragnienie pozostania blisko niego sprawiło, że skoczyła naprzód tak raptownie, iż następny impuls kazał jej krzyknąć głośno, nawet jeśli tylko w duchu: „Stój!”

I rzeczywiście, zatrzymała się, tak szybko i tak niespodziewanie, że jej umysł znów kazał ruszyć naprzód, jak gdyby próbowała zbyt gwałtownie zahamować w biegu. Zdążyła wykonać koło, zanim zupełnie się zatrzymała. Na szczęście nie tylko ona miała problemy.

Danifae usiłowała w ogóle dokąś się ruszyć, zaś Ryld i Valas wpadli na siebie i stali razem, obawiając się ponownie zaufać próżni.

- Na miłość bogini! - warknęła Quenthel, przypatrując się im. - Po prostu oczyśćcie umysły i

myślcie o tym, dokąd chcecie iść.

- Z całym szacunkiem, mistrzyni, a dokąd chcemy iść? - zapytał Valas, wyplątując się z objęć Rylda.

- Skupcie się na podążaniu za kapłanem - odparła Baenre. - To on rzucił zaklęcie, więc będzie potrafił odnaleźć portal prowadzący do Otchłani. Może to trwać wiele godzin, ale przekonacie się, że czas dziwnie tu płynie.

To powiedziawszy, kapłanka ruszyła za Tzirikiem.

Halisstra zamknęła oczy, wzięła głęboki oddech i skupiła się na podążaniu za kapłanem w dogodnej odległości. Zbliżyła się do niego szybko i płynnie, ale tym razem nie zareagowała paniką. Wkrótce reszta towarzyszy płynęła obok niej, trzymając blisko siebie w miarę jak przyzwyczajali się do obcości Planu Astralnego. Halisstra pozwoliła sobie na kilka eksperymentów z nowym rodzajem przemieszczania się. Najpierw ułożyła się poziomo, niczym ptak lecący przez perłową próżnię, a potem stanęła twarzą do kierunku podróży, jak gdyby szła szybko bez przebiegania nogami.

Jak się okazało, to, co robiła z własnym ciałem, nie miało znaczenia tak długo, jak jej umysł pozostawał skupiony na trzymaniu się blisko towarzyszy. Wreszcie zaczynała pojmować prawdziwą naturę niematerialności astralnego morza. Była tylko duchem, nieważkim, idealnym, a jednak była w miejscu, gdzie duchy stawały się namacalne. Gdzieś poza bezkresną perłową przestrzenią, którą widziała, leżały krainy zamieszkałe przez bogów, tysiąc nieskończonych planów istnienia, gdzie boskie istoty rządzące losami Faerunu - wszystkich światów - miały swoje siedziby. Mogła spędzić tysiąc żywotów drowa, badając dziedziny graniczące z astralnym morzem i nawet nie zobaczyć ich wszystkich.

Ta myśl sprawiła, że poczuła się mała, niemal pozbawiona znaczenia, ale odepchnęła ją od siebie. Lolth nie wezwała jej do Otchłani, żeby onieśmieliła ją srebrzysta próżnia Planu Astralnego. Wezwała Halisstrę i pozostałych, aby stanęli przed nią, kompetentni i pewni siebie, i wyznali jej swą wiarę i uwielbienie. Z jakiego innego powodu bogini mogła uczynić to, co uczyniła, odbierając swą moc swoim wyznawczyńiom, pozwalając Ched Nasad upaść, narażając pierwszą córkę domu Melarn na trudy i znoje?

Musi istnieć jakiś powód, powiedziała sobie Halisstra, powód, który wkrótce stanie się dla mnie jasny, jeśli moja wiara pozostanie silna i niezachwiana.

Królowa Pajęczyny Demonów doprowadziła nas tak daleko. Doprowadzi nas jeszcze troszkę dalej.

ROZDZIAŁ 19

Halisstra nie potrafiła powiedzieć, jak długo trwała ich podróż przez Plan Astralny. Nigdy nie zdawała sobie sprawy, w jaki dużym stopniu zwykle procesy fizjologiczne wpływają na postrzeganie upływu czasu. Jej astralna postać nie odczuwała głodu ani znużenia, pragnienia ani żadnych dolegliwości. Bez drobnych czynności polegających na troszczeniu się o potrzeby ciała - pociąganiu z bukłaka, kiedy była spragniona, postojem na posiłek w czasie całodziennego marszu czy nawet pogrążenia się w głębokiej Zadumie, aby skrócić sobie jasne godziny dnia - po prostu traciła rachubę czasu.

Od czasu do czasu widzieli zjawiska inne niż perłowe chmury i skręcające się szare smugi na otaczającym ich niebie. Na astralnym morzu unosiły się dziwne fragmenty materii. Kilka razy minęli głązy lub skalne pagórki, które wisiały w przestrzeni niczym miniaturowe światy, niektóre prawie tak wielkie jak góry, inne mierzące tylko kilka jardów w poprzek. Niektóre z nich wieńczyły dziwaczne, opustoszałe ruiny, siedziby astralnych podróżników lub mieszkańców, którzy dawno temu je opuścili. Najdziwniejszą rzeczą, na jaką się natknęli, były wirujące sadzawki koloru, obracające się powoli w astralnym medium. Barwy przechodziły od jasnego, lśniącego srebra do najczarniejszej czerni poprzecinanej pasmami wściekłej purpury.

- Nie zbliżajcie się do tych kolorowych sadzawek - ostrzegł Tzirik. - Jeśli wejdziecie w jedną z nich, zostaniecie przeniesieni na inny plan egzystencji, a ja nie mam ochoty zapuszczać się w jakieś dziwne światy w poszukiwaniu nieostrożnych towarzyszy podróży.

- Skąd będziemy wiedzieć, która prowadzi do Otchłani? - zapytał Valas Hune.

- Nie martw się, przyjacielu, zakłęcie, jakie otrzymałem od Vhaerauna, pozwala mi również rozpoznać cel podróży, jaki wyznaczyłem, przenosząc swoją duszę na ten plan i prowadzę nas najkrótszą drogą do najbliższej sadzawki, która posłuży naszym celom.

- Jak długo będziemy jeszcze podróżować? - zapytała Quenthel.

- Jesteśmy już blisko - odpowiedział kapłan. - Tutaj trudno to precyzyjnie określić, ale zgaduję, że za cztery, pięć godzin dotrzemy na miejsce. Podróżujemy już od prawie dwóch dni.

- Dwóch dni? - zdziwiła się Halisstra. Wydawało jej się, że znacznie krócej.

Myślała o tym, co mogło się wydarzyć przez te dwa dni w Faerunie. Czy Jeggred wciąż strzegł ich nieruchomych ciał? Nie mógł całkowicie zaniedbać swoich obowiązków, skoro wszyscy nadal żyli, ale ile jeszcze dni minie, zanim dotrą do celu, wyblagają posłuchanie u bogini i zdołają wrócić na swój rodzinny plan?

Pochłonięta przez większość podróży własnymi rozmyślaniami, nie zauważyła nawet, że jej towarzysze zachowują się tak samo. Była zaskoczona, kiedy Tzirik zaczął zwalniać, po czym zatrzymał się zupełnie, twarzą do czarnego wiru poprzecinanego srebrnymi smugami, który powoli kotłował się w astralnej przestrzeni w niewielkiej odległości od podróżników.

- Wejście na sześćdziesiąty szósty poziom Otchłani - oznajmił kapłan Vhaerauna. - Jak dotąd nasza podróż przebiegała bez zakłóceń, ale kiedy tylko znajdziemy się we władztwie Lolth, to się zmieni. Jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości co do tej wyprawy, mistrzyni Baenre, pora je wyjawić.

- Nie mam powodów, by obawiać się Pajęczyny Demonów - prychnęła Quenthel. - Zamierzam zrobić to, po co tu przybyłam.

Nie czekając na kapłana, podплыnęła bliżej i rzuciła się w wirującą, atramentową plamę. W mgnieniu oka jej lśniąca astralna postać znikła im z oczu, pochłonięta przez wir.

- Ale niecierpliwa - zauważył Tzirik.

Wzruszył ramionami i sam wkroczył w kolorową sadzawkę. Podobnie jak w przypadku Quenthel, Halisstra wyczuła w tym ruchu stanowczość i nie zamierzała pozwolić, by jakieś wątpliwości ściągnęły ją z obranego kursu. Wkroczyła w sadzawkę kłębiącej się nocy uderzenie serca po Tziriku, szczerząc zęby w buntowniczym grymasie.

Z początku nic nie poczuła, choć w chwili, w której zanurzyła się w sadzawce, przestała cokolwiek widzieć. To medium bardzo przypominało resztę Planu Astralnego - nieważką, idealną nicość - ale wirujący prąd kotłującej się sadzawki porwał ją od razu, ciągnąc z jakąś dziwną bezwymiarową siłą przyciągania lub przyspieszenia, które wlekło jej psychiczną postać w kierunku, którego nie była nawet w stanie pojąć. Doznanie to nie było bolesne, ale tak obce, tak niepokojące, że Halisstra jęknęła w szoku, drżąc gwałtownie w objęciach astralnego malstromu.

Bogini, pomóż mi! - błagała w ciszy własnego umysłu, wymachując ramionami i usiłując

wyplątać się z wirującej masy. Jeszcze jedna długa chwila niedającego się opisać ruchu i...

Była po drugiej stronie.

Halisstra zatoczyła się jak pijana, czując znów siłę grawitacji i próbując odzyskać równowagę. Otworzyła oczy i odkryła, że stoi na czymś srebrzystoszarym, stromej rampie albo szczycie muru, który nikł w nieprawdopodobnej oddali. Reszta drużyny stała nieopodal, rozglądając się w milczeniu, rozcierając nerwowo członki i chwytając nerwowo za broń.

Zewsząd otaczała ich czarna, duszna pustka mroczniejsza i bardziej odpychająca niż najczarniejsza czeluść Podmroku. Nozdrza Halisstry wypełnił ohydny, kwaśny odór. Spojrzała w otchłań po swojej lewej ręce i zobaczyła tam coś lśniącego, matowe srebrne pasmo oddalone o kilka mil, które opadało w ciemność. Mniejsze pasma przecinały się w nierównych odległościach, a kiedy podążyła wzrokiem za jednym z nich, zauważyła, że wspinają się wyżej i łączą z rampą czy przyporą, na której stała. Gorący, śmierdzący powiew przybrał na sile, wprawiając olbrzymią nić w lekkie kołysanie.

- To pajęczyna - wymruczał Ryld. - Gigantyczna pajęczyna.

- To cię dziwi? - zapytał Pharaun z sardonicznym uśmiechem.

Danifae zrobiła kilka kroków w dół pasma. Cała nić miała z pewnością trzydzieści, czterdzieści jardów średnicy, ale ponieważ w przekroju była okrągła, nie można było odejść dalej niż kilkanaście stóp od jej środka. Uklękła, musnęła palcami powierzchnią nici i skrzywiła się.

- Lepka, ale nie niebezpieczna, a my znów wydajemy się mieć ciała. - Wyprostowała się i przeciągnęła ospale. - Czy mam teraz dwa ciała? Jedno tutaj, a drugie w zamku Jaelre?

- Istotnie - potwierdził Tzirik. - Po opuszczeniu astralnego morza i wkroczeniu na inny plan, podróżujący duch konstruuje dla siebie fizyczne ciało, jakiego się spodziewa. Można powiedzieć, że wasze dusze musiały przejść coś w rodzaju kondensacji, aby podjąć fizyczny byt na innym planie. Kiedy opuścicie to miejsce, wasz duch powróci na Plan Astralny, zaś ta powłoka, którą dla siebie stworzyliście, obróci się w nicość.

- Widzę, że podróże po różnych planach to dla ciebie nie pierwszyna - zauważyła Halisstra.

- Vhaeraun kilkakrotnie kazał mi sobie służyć na planach innych niż Faerun - przyznał Tzirik. - Prawdę mówiąc, byłem już kiedyś w Pajęczynie Demonów. Mieszkają tu wszyscy bogowie naszej rasy, każdy we własnym władztwie. Moje poprzednie sprawy nie przywiodły mnie jednak do krainy Lolth, poza tym było to wiele lat temu.

Quenthel spojrzała na niego spode łba.

- Cała Pajęczyna Demonów to władztwo Lolth, heretyku. Lolth jest królową całego tego poziomu Otchłani, a inni tak zwani bogowie naszego ludu istnieją tu tylko dlatego, że toleruje ich obecność.

- Jestem pewny, że powtarzasz jak papuga dogmaty swojej wiary odnośnie tej kwestii, więc nie będę się z tobą spierał, kapłanko Lolth. Dla naszych celów dokładne stosunki pomiędzy bóstwami panteonu nie są istotne.

Tzirik odwrócił się do Quenthel plecami i ogarnął wzrokiem czarną otchłań otaczającą drużynę. Machnął ręką szerokim gestem.

- Gdzieś niżej znajdziemy coś w rodzaju bramy lub granicy oznaczającej miejsce, gdzie otwiera się wejście do władztwa Lolth, które, z tego co wiem, wygląda podobnie jak reszta Pajęczyny, tyle że podlega każdej jej zachciance i kaprysowi.

- Skoro ten plan jest nieskończony, miejsce, którego szukamy, może się znajdować nieskończenie daleko - zauważył Pharaun. - Jak się tam dostaniemy?

- Gdybyśmy zmaterializowali się w jakimś losowym punkcie tej rzeczywistości, miałbyś rację, czarodzieju - odrzekł Tzirik. - Jednak zaklęcie astralne sprawia, że nie podróżujemy na chybił trafił. Jesteśmy niedaleko miejsca, którego szukamy - może godzinę, może dzień marszu, ale nie dalej. Ponieważ wiemy, że władztwo Lolth leży w samym nadirze tego miejsca, wystarczy zejść w dół tego pasma i kierować się w dół za każdym razem, kiedy dojdziemy do skrzyżowania nici. A tymczasem zachowajcie czujność.

- Będą tu inni - dodała Quenthel. - Dusze niedawno zmarłych. Jeśli rozpoznacie jakichś wyznawców Pajęcznej Królowej, pójdziemy za nimi.

O ile Lolth wciąż wzywa ich do domu, pomyślała Halisstra.

Pozostali najwyraźniej myśleli o tym samym.

Opancerzony kapłan Jaelre ścisnął mocniej buzdygan, poprawił tarczę i z wyprostowanymi plecami ruszył w dół gigantyczną szarą nicią. Menzoberranzańscy wymienili spojrzenia, ale ruszyli za

nim, schodząc po opadającym stromo słupie pajęczej nici.

Chodzenie po powierzchni nici okazało się zaskakująco proste. Nic była lepka, a nie klejąca i składała się z szorstkich włókien dających stopom pewne oparcie. Była też na tyle sprężysta, by amortyzować kroki podczas schodzenia w dół.

Początkowo Halisstra myślała, że jest tu równie pusto jak w srebrzystych morzach Planu Astralnego, gdyż ogromne odległości pomiędzy poszczególnymi pasmami pajęczyny sprawiały, że cała ta przestrzeń wydawała się bezkresną pustką. Jednak im dalej szła, tym wyraźniej uzmysławiała sobie wrogość wiszącą w powietrzu, jak gdyby całe to miejsce przyglądało się intruzom i kipiało ze złości. Wraz z cuchnącymi wyziewami z dołu unosiły się dziwne, chrapliwe szelesty i owadzie chichoty, groźne odgłosy odległych poruszeń i złowrogiej działalności.

Czasem Halisstra zauważała jakiś ruch na sąsiednich niciach, choć obwisłe szare pasma były oddalone o wiele mil. Tu i ówdzie udało jej się wypatrzeć jakąś frenetyczną aktywność, ale stwory lub przedmioty za nią odpowiedzialne znajdowały się zbyt daleko, by potrafiła odgadnąć, czym mogą być. Kilka razy wyczuła w powietrznej próżni w pobliżu ich nici obecność plugawych istot unoszących się na cuchnących podmuchach z dołu, które podływały do podróżujących drowów, jak gdyby oceniały łakomy kąsek.

Co pewien czas zaczęli mijać trupy ogromnych monstrów stanowiących połączenie najgorszych cech pajaków i demonów. W chitynowych pancerzach potworów ziały wielkie szarpane rany, ich kończyny były powykręcane, a z włochatych kadłubów sączyła się zielona ropa. Skrzydlate sępo-demony leżały w stertach brudnych piór, z wstrętnymi dziobami rozwartymi w śmiertelnym grymasie. Odęte, przypominające żaby istoty zwisały z włókien nici, kołysane powoli gorącymi, smrodliwymi podmuchami. Niektóre demony wciąż jeszcze żyły. Zbyt pokiereszowane, by zdobyć się na coś więcej niż drzenie czy chrypienie, czasem skrzekliwym głosem obrzucały pogroźkami starające się je ominąć drowy.

- To miejsce to kostnica demonów - wymruczał Ryld, osłaniając dłonią nos i usta. - Zawsze tak tu wygląda?

- Nie zauważyłem niczego podobnego, kiedy byłem tu poprzednim razem - odparł Tzirik. - Co to oznacza, nie wiem, ale nie chciałbym spotkać tego czegoś, co rozszarpuje demony.

- Ja też nie przypominam sobie niczego podobnego - odezwała się Quenthel. Minę miała posępną, głos cichy i napięty. - Zmiana jest esencją chaosu, a chaos jest aspektem Lolth.

- Istotnie - przyznał Pharaun. Wydelikacowany czarodziej zakrywał nos chustką i starał się obejść wielkiego trupa pajaka, którego pękaty brzuch pękł, zalewając nic swoją zawartością. - Jest całkiem możliwe, że same to sobie zrobiły. Demony są, bądź co bądź, gwałtownymi istotami. Pod nieobecność potężnej, władczej istoty, często zwracają się przeciwko sobie.

- Pod nieobecność... - powtórzyła Halisstra. Zmarszczyła brwi, przyglądając się rzezi. - Nie ma tu żadnych ciał drowów.

Zeszli już dość nisko i sąsiednie pasma znajdowały się teraz bliżej i częściej krzyżowały. Halisstra widziała coraz więcej zmasakrowanych kształtów czepiających się postrzępionych nici. Bitwa, która się tu rozegrała, musiała obejmować kilkanaście nici i całe mile ziejącego mroku.

- Pajęcza Królowa... - powiedziała Halisstra. - Opuściła mieszkańców własnego planu, tak jak opuściła nas. Podobnie jak my w Ched Nasad, demony tej krainy powybiły się nawzajem. - Zamknęła oczy, usiłując pozbyć się sprzed nich paskudnego widoku. Smród napelniał jej żołądek goryczą i przyprawiał o zawroty głowy. - Bogini, w jakim celu? - wyszeptła.

- Pajęcza Królowa wyjaśni, jaki ma w tym cel, jeśli uzna to za stosowne - odparła Quenthel. - Możemy tylko błagać, aby znów obdarzyła nas swoimi względami i ufać, że znajdziemy w jej oczach aprobatę.

- Możemy też iść trochę szybciej i przestać się gapić - zawołał Valas Hune. Szedł na końcu pochodu ze strzałą nałożoną na cięciwę podwójnie wygiętego łuku. Zwiadowca stał odwrócony i spoglądał w górę nici z zafrasowaną miną. - Przepraszam, że przerywam, ale mamy towarzystwo. Coś idzie za nami w dół nici.

Halisstra podążyła wzrokiem za spojrzeniem zwiadowcy, chwiejąc się na boki wskutek utraty równowagi. Nie zdawała sobie sprawy, jak daleko zaszli, dopóki nie spojrzała za siebie na masywną nic wznoszącą się stromo w górę i znikającą w ciemności. Coś podążało za nimi, horda maleńkich, przypominających pajaki postaci rojących się na całym obwodzie nici, nie dbając o to czy czepiają się jej

góry, boków czy spodu. Wciąż znajdowały się wiele setek jardów od drużyny, ale nawet z tej odległości Halisstra widziała, że są to potwory wielkości ogrów, a skwapliwość, z jaką ich ścięły, z pewnością dobrze nie wróżyła.

- Nie podoba mi się to - stwierdził Ryld.
- Ani mnie - zgodziła się Quenthel. - Pharaunie, masz przygotowany jakiś czar, który zagroziłby im drogę?

Mistrz Sorcere potrząsnął głową.

- Obawiam się, że ryzykowałbym uszkodzeniem nici, a jakoś zupełnie nie mam na to ochoty. Mógłbym rzucić zaklęcie latania na każde z nas, żebyśmy mogli przenieść się na inne pasmo, ale możemy po prostu opuścić się na nią pod nami za pomocą lewitacji.

Wskazał wąską, cienką jak wierzbowa witka nić nisko w dole i nieco z boku.

- Zostaw swoją magię na później - zdecydowała Quenthel. - Może być tamta nić. Ty i Ryld, zanieście Valasa i Danifae.

Zsunęła się po bocznej powierzchni wielkiej nici, na której stali i odepchnęła się od niej, spadając w ciemność. Pozostali poszli w jej ślady. Halisstra zaryzykowała jeszcze jeden rzut oka na pędzące za nimi potwory i pospieszyła za kapłanką Baenre. Zgramoliła się w dół obłego boku gigantycznej nici i wyskoczyła w mrok.

* * *

Trzy dni po odniesieniu zwycięstwa pod Słupami Żalu i dwadzieścia mil bliżej Menzoberranzan, Nimor stał w cieniu u wylotu Lustrum, fantastycznie bogatej kopalni mithralu. W pobliżu wejścia klinowata komnata miała setki stóp wysokości, a jej ściany oddalały się od siebie w miarę jak wspinały się w górę, ale dno jaskini było ciasne i zasłane potrzaskanymi szczątkami wielkich gładów. Górnicy - niewolnicy i żołnierze domu Xorlarrin, a przynajmniej tak mu się wydawało - porzucili narzędzia i domy w obliczu zbliżającej się armii duergarów, wynosząc tyle rudy, ile udało im się unieść. Nimor spojrzał na wąską czarną rozpadlinę nad sobą.

Kopalnia mithralu była interesująca, ale stanowiła tylko jeden z powodów, dla których się tu zjawił. Lustrum leżało pomiędzy armią Gracklstugh a armią Kaanyra Vhoka. Duergarowie znajdowali się po lewej i zbliżali do Menzoberranzan od południowego zachodu, podczas gdy tanarukowie skręcili w prawo i podchodzili do miasta z południowego wschodu. Wojska drowów wycofywały się przed nimi, uciekając co sił w nogach do obiecującego im złudne bezpieczeństwo miasta. Płaszcz Menzoberranzan - wielka aureola krętych jaskiń i korytarzy otaczających miasto pierścieniem - oferowała armiom najeźdźców tysiące dróg, którymi mogli dotrzeć do miasta.

Oczywiście matki opiekunki nie zrezygnowały zupełnie z obrony granic swojego władztwa. Nimor spojrzał w dół na zielone skorupy jednego z osławionych jadeitowych pajaków, wielkich magicznych automatów broniących dostępu do miasta. Ze szczątków konstruktów leżącego u jego stóp wciąż unosiły się kłęby kwaśnego dymu - efekt bomb zapalających, które zniszczyły go przed kilkoma godzinami. Były to sprytne i śmiertelne urządzenia, ale bez wsparcia władających magią kapłanek ciskających przeróżnymi klątwami i plagami na najeźdźców, jadeitowe pajaki nie były w stanie powstrzymać dwóch zbliżających się armii.

- Ile jeszcze czasu minie, nim wielkie pałace Menzoberranzan legną w gruzach tak jak ten automat?
- zastanawiał się Nimor.

Z zamyślenia wyrwał Namaszczone Ostrze tupot krasnoludzkich butów i wściekle skrobanie żelaza na kamieniach. Nadlatywał opancerzony dyliżans księcia Horgara Steelshadow, eskortowany przez podwójny szereg Kamiennej Gwardii. Nimor skrzywił się, słysząc rozbrzmiewający echem szcęk ryszunka duergarskich żołnierzy.

Pomyślałby kto, że w swoim mieście nie dość się nasłuchali huku młotów i hałasu, pomyślał.

Wyglądził tunikę i wyszedł na spotkanie sojusznikowi.

- Co za spotkanie, książę Horgarze. Cieszę się, że przyjąłeś moje zaproszenie na pertraktacje.

Władca duergarów otworzył opancerzone drzwi z boku żelaznego powozu i wyszedł z niego na zewnątrz. Marszałek Borwald szedł krok za nim, jego pobliznioną twarz osłaniał wielki żelazny hełm.

- Szukałem cię, Nimorze Imphraezlu - odparł Horgar. - Zniknąłeś po wprowadzeniu naszej straży przedniej w ten labirynt tuneli. Jakież to sprawy okazały się pilniejsze od naszego ataku na Menzoberranzan?

Pod wpływem zwycięstwa uparty pesymizm księcia zmienił się w dziką żądzę kolejnych zwycięstw, a postawa Horgara udzieliła się jego możnowładcom. Choć przedtem panowie Gracklstugh na widok skrytobójcy rzucali mu ponure spojrzenie i mamrotali coś pod nosem, teraz kwitowali jego obecność szorstkimi kiwnięciami głów i otwartą zazdrością wobec jego sukcesów.

- Ależ księżę, moje sprawy dotyczyły zbliżającego się natarcia - odpowiedział Nimor ze śmiechem. Kopnął na bok jedną z jadeitowych skorup zniszczonego automatu. - Kiedy już pokazałem twoim ludziom, jak unieszkodliwić te istoty, wydawało mi się, że twoja armia panuje nad sytuacją, więc pozwoliłem sobie zdać raport moim przełożonym i sprawdzić, jak mają się sprawy w mieście.

Księżę duergarów zmarszczył brwi, zastanawiając się nad czymś.

- Pozwoliłeś sobie na ryzykowne pertraktacje z armią tanarukków - powiedział Horgar. - Mogli się zwrócić przeciwko nam z taką samą łatwością, z jaką zwrócili się przeciwko Menzoberranzańczykom.

- W normalnych okolicznościach, być może, ale coś wisi w powietrzu. Ja to wyczuwam, Kaanyr Vhok to wyczuwa i ty chyba też. Stoimy na progu wielkich wydarzeń, które mogą zmienić oblicze naszego świata.

- Czcze frazesy, Nimorze - warknął szary krasnolud.

Założył grube ramiona na piersi i wbił wzrok w ciemność, czekając. Po krótkiej chwili z ciemności dobiegło ich szuranie i pryhanie, a potem szybkie, ciężkie kroki.

Niosąc na włochatych ramionach palankin rozmiarów niewielkiej kanapy, do pieczary wbiegło dwudziestu tanarukków o bydlęcych ślepiach płonących nienawiścią, ściskających w potężnych łapskach topory i buzdygany. Szare krasnoludy i półdemony obrzuciły się niechętnymi spojrzeniami, mamrocząc coś nerwowo i łapiąc za broń.

Drzwi palankinu otworzyły się, skrzypiąc i z fotela powoli zszedł Kaanyr Vhok. Półdemon wyglądał olśniewająco w karmazynowo-złotym pancerzu, a jego pokryta drobną łuską skóra i wyraziste rysy twarzy znamionowały powierzchowność i charyzmę, z którymi grubiaństwo i podejrzliwy sposób bycia Horgara, tak charakterystyczny dla duergarów, nie mogły się równać. Za nim z palankinu wyszła Aliisza, rozprostowując skrzydła. W końcu z powozu hegemon wygramolił się Zammzt.

- Przybyłem - oznajmił potężnym głosem Kaanyr. Przyjrzał się uważnie zgromadzonemu szarym krasnoludom, a potem Nimorowi. - Rozbiliśmy siły mrocznych elfów i zmusiliśmy je do powrotu do miasta. Jak dokończymy dzieła? I, co ważniejsze, jak podzielimy łupy?

- Podzielimy łupy? - wychrypiął Horgar. - Nie sądzę. Nie dostaniesz nawet części mojej nagrody po tym, jak moja armia odwaliła większość czarnej roboty pod Słupami Żalu. Zostaniesz hojnie wynagrodzony za pomoc, ale nie ośmielaj się rościć sobie praw do mojego zwycięstwa.

Przystojne czoło Kaanyra zmarszczył gniewny grymas.

- Nie jestem żebrakiem proszącym o jałmużnę, krasnoludzie - rzekł hegemon. - Gdyby nie moja armia, wciąż przedzierałbyś się w stronę Menzoberranzan, krok po kroku.

Horgar miał już udzielić mu jakiejś gniewnej odpowiedzi, ale Nimor stanął szybko pomiędzy szarym krasnoludem a półdemonem i uniósł ręce do góry.

- Panowie! - zawołał. - Jedynym sposobem, w jaki Menzoberranzan może was pokonać, jest skłócenie was. Jeśli będziecie współpracować, jeśli połączycie wasze wysiłki w inteligentny sposób, miasto upadnie.

- Otóż to - potwierdził Zammzt. Skrytobójca o pospolitej twarzy stał obok palankinu Vhoka, owinięty ciemnym płaszczem. - Dzielenie łupów nie ma sensu, skoro nie zdobyliście jeszcze miasta. Jeszcze mniej sensu ma pozwolenie na to, żeby kłótnia o podział łupów przeszkodziła w upadku miasta.

- Możliwe - przyznał Kaanyr, zakładając potężne ramiona na szerokiej piersi - ale nie pozwolę o sobie zapomnieć, kiedy miasto będzie plądrowane. Ty mnie tu sprowadziłeś, skrytobójco.

- Mnie również - huknął Horgar - a także dom Agrach Dyr. Podejrzewam, że twój sekretny dom będzie miał kłopot z dotrzymaniem obietnic wszystkim trzem swoim sojusznikom. Ciekaw jestem, którego z nas zamierzasz zdradzić?

Nimor po raz pierwszy zaczął się zastanawiać czy przypadkiem nie zebrał jednocześnie zbyt wielu wrogów Menzoberranzan. Taka była w końcu natura dyplomacji w Podmroku. Żaden sojusz nie trwał dłużej niż był użyteczny, nawet o uderzenie serca.

Ku jego zaskoczeniu uratowała go Aliisza.

Alu-demon uwiesiła się na ramieniu Kaanyra i rzekła:

- Niedotrzyma obietnic danyh żadnemu z was, dopóki miasto nie jest zdobyte. Jak miałby to

zrobić? Wszyscy wrócimy do domów z pustymi rękami, jeśli nie zdołacie dojść do porozumienia.

Nimor skłonił głowę z wdzięcznością, starając się nie wpatrywać zbyt długo w Aliiszę, kiedy stała obok Kaanyr Vhoka. Jakoś wąpił, że podzieliła się ze swoim panem dokładnymi szczegółami swojego pobytu w Gracklstugh, a on nie chciał dać półdemonowi żadnych powodów do ciekawości.

- Mądrość pani Aliiszy jest równie wielka jak jej uroda - rzekł. - Aby uniknąć sporu, oto, co proponuję: dla Horgara, pięć dziesiątych bogactw, ludności i terytorium Menzoberranzan, dla Kaanyr Vhoka trzy dziesiąte, a dla mojego własnego domu, dwie dziesiąte, z czego podzielę się z domem Agrach Dyrr. Wszystkie ustalenia podlegają ostatecznym renegocjacom i poprawkom, kiedy Menzoberranzan będzie już nasze, rzecz jasna.

- Moja armia jest ponad dwa razy większa od wojsk Dzierżącego Berło, więc dlaczego jego udział wynosi ponad połowę mojego? - zapytał Horgar.

- Ponieważ jest tutaj - odparł Nimor. - Zabierz swoją armię do domu, jeśli chcesz, Horgarze, ale rozejrzyj się, zanim zawrócisz. Stoimy przed Lustrum, kopalnią mithralu domu Xorlarrin. Menzoberranzan kontroluje dziesiątki podobnych kopalni, a jego pałace i skarbcie pełne są bogactw gromadzonych przez pięć tysięcy lat. Jeśli nie będziesz walczył, twój udział nie wyniesie nic.

To był drugi powód, dla którego Nimor wybrał Lustrum na miejsce pertraktacji. Służyło za nęcące przypomnienie prawdziwej nagrody, jaka na nich czekała.

Oczy Horgara pociemniały, ale księżę obrócił się, żeby przyjrzeć się rozpadlinie i pobliskim sztolniom. Marszałek Borwald nachylił się ku niemu i powiedział mu coś do ucha, a pozostali możnowładcy szepotali między sobą. Po chwili Horgar położył grube dłonie na pasie i odchrząknął.

- A więc dobrze. Podlegają ostatecznym renegocjacom, zgoda. Jak zamierzasz zdobyć miasto?

- Wy zmiażdżycie Menzoberranzan między swoimi dwiema armiami - powiedział Nimor. - Zważywszy na zwycięstwo odniesione pod Słupami Żalu, czciciele Lolth będą z pewnością czekać na wasz atak w mieście, ale dzięki temu labiryntowi korytarzy otaczającemu jaskinię nie mogą wiedzieć, skąd ów atak nadejdzie. To oznacza, że ich siły będą musiały się znaleźć gdzieś w środku miasta, żeby móc bronić zagrożonego punktu. Znękany Legion posłuży za zagrożenie, a kiedy zwiążemy Menzoberranzańczyków w bitwie, armia Gracklstugh rozpocznie atak i wdrze się do miasta.

- To nie jest zły plan - stwierdził Kaanyr. - Jednak w obecnej sytuacji właśnie tego będą się po nas spodziewać Menzoberranzańczycy. Zastanowią się, zanim wyślą wszystkie siły w jedno miejsce.

- To prawda - potwierdził Horgar. - Jak wyciągniemy ich na zewnątrz, kiedy już nauczyłeś ich ostrożności pod Słupami Żalu?

Nimor uśmiechnął się. Nie umknęło jego uwadze, że Horgar i Kaanyr zajęli się taktycznymi kwestiami pokonania Menzoberranzan, zamiast klócić się o to, co mają do zyskania.

- Moi bracia i ja możemy być pomocni w tym względzie - rzekł. - Nie jest nas wielu, ale jesteśmy dobrze rozmieszczeni i, moi panowie, zapomnieliście o Agrach Dyrrach.

Horgar i Kaanyr wymienili skinienia głów, a nawet uśmiechy.

Przygotuj się dobrze, Menzoberranzan, pomyślał Nimor. Nadchodzę.

* * *

- Nigdy w życiu nie wyobrażałem sobie tylu demonów - stęknął Ryld. Opierał się ciężko na Rozpruwaczu, obserwując wielki, odęty kształt ze skrzydłami nietoperza, który spadał po spirali w dół, na próżno usiłując lecieć na skrzydłach uszkodzonych ciosami wielkiego miecza fechmistrza. Wyprostował się i otarł czoło wierzchem dłoni. - I robi się coraz cieplej. Mam nadzieję, że jesteśmy już blisko tego, czego szukamy.

Halisstra i reszta towarzyszy stali w pobliżu, trzęsąc się ze zmęczenia lub chwiejąc od mdłości wywołanych otoczeniem i wysiłkiem, na jaki musieli się zdobyć. Od wielu godzin walczyli z demonami, przenosząc się z nici na nic. Czasem opuszczali się kilka mil w dół, mijając nici puste lub takie, na których widać było tylko trupy, ale coraz częściej napotykali demony, które były żywe i głodne. Większość piekielnych istot rzucało się na łeb na szyję do walki, jak gdyby całkowicie opuścił je zdrowy rozsądek, ale niektóre zachowały na tyle rozumu, żeby używać w walce z intruzami swoich potężnych magicznych zdolności.

Kłębem, pazurem, żądłem i bluźnierczą magią mieszkańcy Pajęczyny Demonów razili i haratali drużynę drowów. Towarzyszą wcale nie pomagali fakt, że Quenthel zakazała Pharaunowi marnować

zakłęk, więc musieli odpowiadać na każdy atak żelazem, obywając się bez magii czarodzieja.

- Oszczędzaj oddech, mistrzu Argith - powiedziała Quenthel. Sama powoli wyprostowała się z bojowego przysiadu. Jej bicz był zbрызany posoką kilkunastu demonów. - Musimy ruszać dalej.

Towarzysze nie przeszli nawet kolejnych czterdziestu jardów, gdy nic zadygotała i spod spodu ukazała się olbrzymia szponiasta łapa. Przesuwając się po niewidocznej spodniej stronie pajęczyny, ogromny demon z łbem bizona, którego ramiona i plecy porastało ohydne, zmierzwiłone futro, wdrapał się na wierzch nici i ryknął wyzywająco.

- Goristro! - krzyknął Pharaun. - Co on tu robi, u diabła?

- Zapewne ulubieniec Lolth, który wyrwał się na wolność - odparł Tzirik.

Kapłan Vhaerauna zaczął skandować zakłęk, a pozostali rzucili się do walki. Zanim potwór zdążył stanąć na nogi, Valas wbił w niego przynajmniej trzy strzały, których czarne drzewca sterczały mu z ramion i grubego karku jak wbite w poduszczykę igły. Goristro parsknął z bólu i wściekłości, chwytając ogromnym łapskiem leżącego w pobliżu trupa jakiegoś pomniejszego demona. Cisnął nim w Valasa, trafiając zwiadowcę, gdy ten szukał w kołczanie strzał. Valas zachwiał się, zatoczył i zsunął w bok nici, przeklinając w kilku językach.

Ryld runął naprzód z wzniesionym Rozpruwaczem i Quenthel u boku, zaś Halisstra i Danifae starały się okrążyć bestię, ostrożnie wymijając ją na wąskiej nici.

Tzirik skończył zakłęk i wykrzyczał głębokie, melodyjne słowo mocy. Tuż przed torsem potwora zmaterializował się wielki wirujący dysk obracających się ostrzy, które wgryzły się w ciało. Trysnęła krew, ale goristro wciąż szedł naprzód.

- Co powstrzyma tego cholernego stwora? - zawołała Halisstra. - Czy ma jakieś słabości?

- Jest głupi - odparł Pharaun. - Trudno go właściwie uznać za rozumne stworzenie. Nie wdawaj się w bezpośrednią wymianę ciosów.

Czarodziej zaczął gestykulować i poraził potwora błyszczącym zielonym promieniem energii, który wgryzł się w pierś goristro, zaś Tzirik stanął za Ryldem i Quenthel, żeby im pomóc. Fechmistrz i wysoka kapłanka skoczyli, siekąc stwora przez brzuch i tors, jednocześnie uchylając się przed ciężkimi ciosami jego ogromnych pięści. Jeden z bocznych ciosów dosięgnął Quenthel, powalając ją na kolana, ale zdołała mu się wywinąć, nim z nią skończył.

- Neeeeee głuuuuupiiii! - zaryczał goristro.

Uniósł jedną zakończoną kopytem nogę i wyrzucił ją w nic z tak zdumiewającą siłą, że cała wielomilowa struna brzdęknęła jak coś żywego. Wstrząs wyrzucił wszystkie drowy w powietrze, ale goristro nie przewidział, że to samo spotka również jego. Monstrualny demon wylądował niezdarnie na boku i zaczął się ześlizgiwać z nici, ale udało mu się chwycić jedną łapą jej wierzchniej powierzchni. Gramolił się i kopał, a jego szamotanina jeszcze bardziej trzęsła nicią.

Quenthel podniosła się z drżącej powierzchni i minęła ramię bydlaka, aby spojrzeć mu w twarz. Precyzyjnym ruchem smagnęła go biczem przez paciorkowate oko i wybiła mu je w obrzydliwym rozbryzgu krwi. Goristro zawył z bólu, szarpnął się do tyłu, puszczając nici i runął w przepaść. Jego wściekle ryki, coraz cichsze w miarę jak spadał coraz niżej, słyhać było jeszcze przez długi czas.

- Wstawać - warknęła. - Tracimy czas.

Halisstra podniosła się i rozejrzała wokoło. Zobaczyła Valasa, który gramolił się w górę po niebezpiecznej stromiźnie nici. Danifae też już wstała. Raz jeszcze ruszyli szybkim tempem za mistrzynią Arach-Tinilith, która prawie biegła w dół nici. Halisstra była zbyt zmęczona, by wytrzymać tak forsowne tempo dużo dłużej, ale miała jeszcze mniej ochoty na spieranie się z upartą kapłanką, zacisnęła więc tylko zęby i szła dalej.

Dotarli na sam dół - prawie.

Od pewnego czasu widzieli, że nici zbiegają się coraz bliżej tej, po której szli i Halisstra wiedziała już, co jest tego powodem. Wielki pierścień pajęczyny kilkanaście razy grubszy od któregokolwiek z szarych pasm wisiał pod nimi, łącząc końce wszystkich nici. Jego obwód był tak wielki, że Halisstra z ledwością dostrzegła wygięcie w ogromnym łuku pierścienia. W jego środku coś się znajdowało - gigantyczna czarna budowla albo coś w rodzaju wyspy zawieszanej w potężnej pajęczynie. Drowy przystanęły, przyglądając się temu czemuś, aż w końcu ciszę przerwał Valas.

- Czy to to? - zapytał cicho.

- Wejście do władztwa Lolth - odparł Tzirik - znajduje się wewnątrz tego pierścienia.

- Jesteś pewien? - zapytał Ryld.

- Ja jestem - odpowiedziała za niego Quenthel.

Nie rozglądając się na boki, bez wahania ruszyła dalej tym samym forsownym tempem.

W miarę jak nic zbliżała się do centralnego pierścienia, przestawała opadać tak stromo i robiła się grubsza, więc po raz pierwszy od wielu godzin i mil towarzysze wreszcie szli po czymś, co przypominało płaską powierzchnię, zamiast schodzić po stromym sznurze. Pojawiło się więcej trupów demonów i pajaków, niektórych na wółpogrzebanych w nici, jak gdyby spadły w nią z niebotycznej wysokości co najprawdopodobniej im się przytrafiło.

Podróżnicy dotarli do grubego pierścienia i przeszli jeszcze jeden odcinek poskręcanej pajęczej nici, odkrywając, że budowla na środku jest czymś w rodzaju ogromnej kamiennej świątyni, barokowym budynkiem z lśniącego czarnego obsydianu o średnicy wielu mil. Najeżone kolcami kamienne przypory unosiły się nad bezdenną otchłanią, łącząc budowlę z otaczającym ją pierścieniem. Rozległe mroczne place z gładkiego kamienia, dość wielkie, by zmieściły się na nich całe miasta, przylegały do boków świątyni. Towarzysze bez słowa ruszyli ku jednemu z kolosalnych łuków przyporowych, zmierzając ku celowi podróży.

Halisstra odkryła, że się trzęsie - nie z wyczerpania, ale z mieszaniny przerażenia i ekstazy - gdy uświadomiła sobie, że wkrótce będzie musiała wytrzymać badawcze spojrzenie Lolth.

Jestem godna, powiedziała sobie. Muszę być.

Demony, które nękały ich podczas podróży przez pajęczynę, nie wykazywały zainteresowania czarną świątynią. W każdym razie żadne potwory nie ścigały ich już, kiedy pozostawili pajęczynę za plecami. Przez dłuższy czas po prostu szli przed siebie, przemierzając wielkie zewnętrzne place i zbliżając się coraz bardziej do murów świątyni ukazujących swoje mroczne szczegóły.

Quenthel kierowała się ku ostrej wyrwie w gigantycznym murze, ogromnej szczelinie, która musiała stanowić portyk świątyni. Od czasu do czasu mijali dziwne, nieruchome kształty wielkich, przypominających pajaki istoty, które wyglądały jak wyrzeźbione z płynnego czarnego kamienia. Co dziwne, skamieniałe postacie robiły się coraz mniejsze w miarę jak zbliżali się do szczeliny. Halisstra postanowiła nie zaprzętać sobie głowy tą tajemnicą, koncentrując się wyłącznie na tym, co ją czeka.

W końcu znaleźli się przed frontem świątyni i spojrzeli na wejście do niej. Patrzyła na nich ogromna twarz, twarz okrutnie pięknej mrocznej elfki o rysach spokojnych, jak gdyby zatopionych w kontemplacji. Idealnie czarny kamień, ociosany na kształt oblicza Pajęczej Królowej, bronił wstępu do środka.

Tylko jej oczy przykryte opuszczonymi do połowy powiekami wykazywały jakieś ożywienie. Spoglądające w dół na stojących pod nią błagalników, puste oczy Lolth lśniły wściekłą, piekielną radością, skupioną wyłącznie na kryjących się za nimi myślach.

Towarzysze stali wpatrując się w nią z podziwem i zgrozą. Quenthel padła plackiem przed wizerunkiem bogini, a Halisstra i Danifae natychmiast do niej dołączyły, płaszcząc się przed boginią na czarnym zimnym kamieniu. Nawet mężczyźni położyli się twarzami do ziemi i odwrócili wzrok. Tzirik, jako kapłan Vhaerauna, ukląkł na jedno kolano i opuścił z szacunkiem oczy. Nie służył Królowej Pajęczyny Demonów, ale on i jego współwyznawcy uznawali jej boskość.

- Wielka Królowo! - zawołała Quenthel. - Przybyliśmy z Menzoberranzan, aby zaklinać cię, byś znów obdarzyła swe kapłanki względami! Nasi wrogowie wtargnęli do twego świętego miasta i grożą mu zniszczeniem. Pokornie błagamy, byś podpowiedziała nam, co mamy uczynić, aby znaleźć uznanie w twoich oczach. Uzbrój nas znów w twą świętą moc, a my będziemy ścigać twoich wrogów, aż ich krew wypełni Podmrok, a ich dusze twój żołądek.

Twarz nie odpowiadała.

Quenthel czekała długo, wciąż leżąc na ziemi, a potem oblizła usta i zmówiła jeszcze jedną modlitwę. Halisstra i Danifae poszły w jej ślady i wszystkie trzy razem błagały i zaklinały ją każdą modlitwą, każdą inwokacją, każdą litanią, jakiej kiedykolwiek się nauczyły, korząc się i płaszcząc przed bramą świątyni. Mężczyźni tylko czekali, wciąż rozciągnięci na czarnych kamiennych płytach. Po pewnym czasie Tzirik oddalił się nieco i usiadł plecami do twarzy bogini, komunikując się z własnym bogiem. Halisstra zignorowała go i dalej zanosila swoje supliki.

Twarz nadal nie odpowiadała.

Wydawało się, że trzy kapłanki zanoszą swe modły przez wiele godzin, ale w końcu Quenthel podniosła się i spojrzała prosto w twarz Lolth.

- Wystarczy, siostry - oznajmiła mistrzyni Arach-Tinilith. - Bogini wyraźnie nie zamierza

odpowiedzieć nam tym razem.

- Może to niewłaściwe miejsce - podsunął Pharaun. - Może powinniśmy pójść jeszcze dalej, żebyście mogły ofiarować Lolth swoje modlitwy.

- Nie możemy pójść dalej - odparł Tzirik, dołączając do drużyny. - Vhaeraun powiedział mi, że to jedyne wejście prowadzące do władztwa Lolth przez Otchłań. Skoro nie chce was wysłuchać tutaj, nie wysłucha was w żadnym innym miejscu na tym planie.

- Ale dlaczego wciąż nas lekceważy? - zapytała żałośnie Halisstra. Podniosła się z ziemi z sercem przepelnionym tęsknotą. Po tym wszystkim co się wydarzyło - upadku jej domu, zniszczeniu miasta, trudach podróży - nie mieściło jej się w głowie, że stanęli przed świątynią Lolth i zostali zlekceważeni. - Co jeszcze musimy zrobić?

Tzirik wzruszył ramionami.

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

- Najwyraźniej Lolth również - powiedziała Halisstra.

Zlekceważyła dezaprobatę i strach, jakie przemknęły przez twarz Quenthel i rozgniewana podeszła na wyciągnięcie ramienia do wielkiej twarzy.

- Wysłuchaj mnie, Lolth! - zawołała. - Odpowiedz mi! Co uczyniliśmy, żeby zasłużyć na twoje niezadowolenie? Gdzie jesteś?

- Więcej szacunku! - syknęła Quenthel z oczyma rozszerzonymi zgrozą.

Ryld zadrżał, ale zdołał znaleźć w sobie dość siły, żeby zrobić kilka kroków naprzód.

- Pani Melarn... - powiedział. - Halisstro, odejdz stamtąd. Nic dobrego...

- Lolth! - wrzasnęła Halisstra. - Odpowiedz mi, do cholery!

Uderzyła zimny kamień twarzy pięściami, z wściekłością i bezradnością. Obrzucała boginię klątwami, bijąc w beznamietną twarz, aż jej posiniaczone dłonie zaczęły spływać krwią. Po jakimś czasie skuliła się pod zimnym kamieniem, szlochając, z potłuczonymi i okaleczonymi dłońmi. Niczym zagubione dziecko, płakała z głębi swojego zboląłego serca.

- Dlaczego? Dlaczego? - to było wszystko, co potrafiła wykrztusić przez targający nią szloch. - Dlaczego nas opuściłaś? Dlaczego nas nienawidzisz?

- Błuznisz - powiedziała Quenthel twardym głosem pełnym dezaprobaty. - Czy zupełnie utraciłaś wiarę, Halisstro Melarn? Bogini przemówi, kiedy przyjdzie jej czas.

- Naprawdę wciąż jej wierzysz? - wymamrotała Halisstra.

Odwróciła twarz i pogrzyżyła się we łzach, nie przejmując się już tym, co pomyśla sobie Quenthel, Danifae i inni. Ona już otrzymała odpowiedź od Lolth.

- Słabeusz... - usłyszała szept Quenthel.

- To by chyba było na tyle - rzekł Tzirik stojący w pewnej odległości od pozostałych. - Lolth nie uznała za stosowne przerwać dla was milczenia, więc teraz ja uczynię to, co uczynić muszę.

Uniósł ramiona, którymi wykonał skomplikowany szereg gestów, mamrocząc słowa mocy. Powietrze zaczęło trzeszczeć od energii. Quenthel zrobiła wielkie oczy, rozpoznając zaklęcie wypowiedziane przez kapłana.

- Powstrzymajcie go! - wrzasnęła, obracając się w jego stronę.

Ruszyła ku niemu, unosząc śmiertelny bicz, ale gdy mijała Danifae, ta złapała ją za rękę.

- Ostrożnie! - syknęła Danifae. - Nasze ciała wciąż znajdują się w Minauth.

- On otwiera portal! - warknęła Quenthel. - Tutaj!

- Co robisz, Tziriku? - zapytał Pharaun z niepokojem w głosie.

Czarodziej cofnął się o krok i przygotował zaklęcie obronne, ale ostrzeżenie Danifae wystarczyło, by zawahał się go użyć.

Ryld i Valas też stali nieruchomo, niepewni, co się stanie, jeśli zranią kleryka, którego zaklęcie przywiodło ich na próg świątyni Lolth. Fechmistrz i zwiadowca dobyli broni, ale nic więcej nie zrobili.

- Pharaunie, co mamy zrobić? - zapytał Ryld.

Zanim czarodziej zdążył odpowiedzieć, Tzirik skończył zaklęcie. W powietrzu obok kapłana Jaelre pojawiła się z ogłuszającym trzaskiem ogromna czarna szczelina.

- Jestem tutaj, mój panie! - krzyknął w głąb szczeliny. - Stoję przed Twarzą Lolth!

A z głębi ciemności wewnątrz rozpadliny odpowiedział mu głos o niewysłowionej mocy i straszliwej potędze:

- Dobrze. Nadchodzę.

Ciemność drgnęła, a z rozpadliny wyszła istota rozmiarów i kształtów smukłego drowa, która była jednak w oczywisty sposób czymś więcej. Odziany w czarną skórę przybysz, noszący na twarzy purpurową maskę, emanował potęgą i indywidualnością. Jego postać niemal drżała od zawartego w niej potencjału. Nawet Halisstra, pochłonięta własną niedolą i odwrócona do wszystkich plecami, obróciła głowę, wyczuwając przybycie istoty. Przybysz omiół władczym spojrzeniem równinę z czarnego kamienia i czarną świątynię.

- Jest tak, jak przypuszczałem - zwrócił się do Tzirika, który padł przed nim plackiem na ziemię. - Udało ci się sprowadzić mnie w miejsce, do którego zabroniono mi wstępu.

- Zrobiłem tylko to, co kazałeś mi zrobić, Panie w Masce - odpowiedział Tzirik, wstając powoli.

- Tziriku - wykrztusiła Quenthel zduszonym głosem - co zrobiłeś?

- Otworzył dla mnie bramę - odpowiedziała z okrutnym uśmiechem istota, która mogła być tylko bogiem. - Nie rozpoznajesz syna własnej bogini, kapłanko Lolth?

- Vhaeraun - wyszeptała Quenthel.

Bóg założył ramiona na piersi, przepłynął obok drużyny Menzoberranzańczyków i stanął przed idealnym kamiennym obliczem, nie poświęcając już śmiertelnikom więcej uwagi. Wykonał lewą ręką drobny odganiający gest i Halisstra, wciąż skulona przed twarzą, została gwałtownie odrzucona w bok. Koziołkując, przeleciała w powietrzu przynajmniej trzydzieści jardów i wylądowała twardo na czarnych kamiennych płytach.

- Droga Matko - rzekł Vhaeraun, zwracając się do twarzy - byłaś głupia, pozostawiając się w takim stanie.

Bóg zaczął nagle rosnąć, a jego blask przybierał na sile, w miarę jak robił się wyższy od sztormowego olbrzyma, aby przygotować się do czekającego go zadania. Wyciągnął rękę i nagle pojawił się w niej czarny, lśniący miecz wykonany z cienia, dostosowany do jego ogromnych rozmiarów.

O rzut oszczepem dalej Halisstra jęknęła i podniosła oczy znad zimnych kamieni, na które spadło jej obolałe ciało. Menzoberranzańczycy stali sparaliżowani niezdecydowaniem. Tzirik natomiast obserwował z satysfakcją, jak Vhaeraun, z mieczem w dłoni, lewituje w górę, by spojrzeć Lolth prosto w twarz. W uważny, przemyślany sposób, Pan w Masce wznosił miecz z cieni, a jego twarz wykrzywiła nienawiść.

I Vhaeraun z całą swą boską siłą uderzył w Twarz Lolth.

ROZDZIAŁ 20

Huk miecza Vhaerauna walącego w wielką kamienną barierę wstrząsnął całym planem. Każdy cios sprawiał, że wielka czarna świątynia na środku pajęczyny drżała z siłą trzęsienia ziemi, a rozchodzące się z centrum wibracje wprawiały w pulsowanie ogromne szare nici niknące w bezkresnej nocy. Choć każde uderzenie obalało ją z powrotem na zimne kamienne płyty, Halisstra zdołała dowlec się do towarzyszy, którzy, podobnie jak ona, zataczali się z boku na bok, usiłując zachować równowagę w obliczu ataku Vhaerauna.

Tzirik stał z boku, wciąż urzeczony chwałą objawienia się bóstwa, lekceważąc spustoszenie czynione przez Pana w Masce. Jakimś cudem nie zwracał uwagi na wstrząsy, które przepływały przez niego bez większego efektu. Za każdym ciosem drobna siateczka żarzących się zielonych pęknięć w Twarzy Lolth wydawała się jeszcze bardziej rozszerzać. Pomimo nieobliczalnej siły każdego uderzenia klingi boga, oblicze Pajęcznej Królowej wydawało się niemal, ale nie do końca, niewrażliwe na jego ataki. Bogini nie odpowiada, pomyślała Halisstra z bezgranicznym zdumieniem. Nie obchodzi jej to.

Opadła na ziemię pośród towarzyszy, którzy nie zwracali na nią uwagi, oszołomieni gniewnym atakiem Vhaerauna. Ryld klęczał zasłonięty Rozpruwaczem, odwracając wzrok i ze stoickim spokojem znosząc karzące ciosy. Valas podskakiwał ze wzburzeniem, wymachując ramionami i podnosząc nogi w górę i w dół, jak pająk nabity na szpilkę. Zwiadowca nie wiedział czy ma patrzeć, biec czy uciekać i wyglądał, jak gdyby próbował robić te trzy rzeczy jednocześnie. Pharaun lewitował kilka stóp nad ziemią, aby uniknąć wstrząsów, osłonięty jakimś zaklęciem, a jego oczy biegały od towarzyszy do boga i Tzirika, a potem z powrotem do Vhaerauna. Danifae, która skuliła się obok niego, pomimo wstrząsów utrzymywała się na nogach i obserwowała każdy cios dzikim wzrokiem. Quenthel stała sztywno jak posąg, z ramionami splecionymi na piersi, jak gdyby chciała opanować w ten sposób targającą ją rozpacz. Przypatrywała się całemu zajściu z chorą fascynacją, niezdolna zrobić nic innego.

Pharaun zdołał w końcu przerwać to niezdecydowanie. Podpłynął do Quenthel i chwycił ją za jedno ramię.

- Co tu się dzieje? - wykrzyczał jej do ucha. - Co on robi?
- Baenre zgrzytnęła zębami ze złości.
- Nie wiem - przyznała. - Wszystko jest nie tak. Jest inaczej. Nie ma tu żadnych dusz.
- Jakich dusz? - zapytał mag. - Powinniśmy się wtrącić?
- Ryld i Valas spojrzeli na niego oszołomieni.
- On jest bogiem - zdołał wykrzyzczeć Ryld przez ogłuszający hałas. - Co proponujesz?
- Więc dobrze. Zostajemy i przyglądamy się czy opuszczamy to miejsce? Nie wydaje mi się bezpieczne - odparł Pharaun.

Kolejny wstrząs zachwiał towarzyszami, a tarcza osłaniająca czarodzieja rozbłysła jasnym światłem.

- Nie jestem pewien czy to możliwe, nawet gdybyśmy chcieli - zauważył Ryld. Ruchem głowy wskazał Tzirika, który obserwował całą scenę z wyrazem ponurej radości na twarzy. - Czy on nie jest nam potrzebny?

- Czy nie powinniśmy stąd odejść, żeby przynajmniej ocalić siebie? - zapytał Valas. - Zostaniemy uznani za winnych... temu. - Zwiadowca osłonił oczy przed widokiem zmagają Vhaerauna. - Co się stanie, kiedy wtargnie do świątyni? Pani, co wtedy będzie? Czy Lolth tam jest?

Quenthel zawyła z rozpaczą.

Danifae padła Quenthel do stóp.

- Pani czy już tu byłaś? Byłaś już kiedyś?
- Nie wiem! - wrzasnęła mistrzyni Arach-Tinilith.

Wyrwała rękę z uścisku Pharauna i pobiegła w stronę Tzirika, zataczając się za każdym razem, gdy ziemia drżała pod jej stopami. Chwyciła go rękami za napierśnik i obróciła w swoją stronę, odrywając go od mrocznej adoracji boga.

- Dlaczego on to robi? - zapytała. - Co ty zrobiłeś, heretyku?

Tzirik zamrugnął i potrząsnął głową, widoczne za maską oczy kapłana były wciąż pełne chwały objawienia.

- Nie wiesz, czego jesteś świadkiem, kapłanko Lolth? - zapytał Tzirik. Roześmiał się na cały głos. - Masz rzadką okazję bycia świadkiem uśmiercenia twojej bogini. - Oderwał ręce Quenthel od swojej zbroi

i zrobił krok w tył, a jego głos uniósł się triumfalnie. - Chcesz wiedzieć, co się tu dzieje, czciicielko Lolth? Powiem ci. Pan w Masce zamierza usunąć twoją Pajęczą Królową i obalić na zawsze jej ponurą tyranię! Nasz lud zostanie wreszcie uwolniony spod jej jadowitego wpływu, a ty i reszta twoich pasożytniczych pobratymców również zginiecie!

- Nie dożyjesz tego! - warknęła z furią Quenthel.

Chwyliła za bicz i uniosła rękę, żeby zetrzeć triumf z twarzy Tzirika, ale zanim zdążyła go nim smagnąć, Vhaeraun - oddalony o strzał z łuku, obrócony plecami do towarzyszy i walący wciąż mieczem w rosnącą szczelinę w kamiennej twarzy - machnął lewą ręką, nawet się nie odwracając. Spod stóp Quenthel wystrzelił słup wrzącej czarnej magmy, wyrzucając ją na kilkadziesiąt stóp w powietrze z niszczącą siłą. Tzirik, stojący na wyciągnięcie ramienia od niej, pozostał nietknięty, ale reszta towarzyszy rozproszyła się, uciekając przed gorącymi, gruchoczącymi kamienne uderzeniami okrągłych grud płynnej skały.

Bóg nawet na chwilę nie przestał rąbać mieczem w maskę. Walił w nią raz po raz, niczym młotem, kiedy Quenthel spadła na kamienne płyty placu, wrzeszcząc z bólu. Grudy piekielnych skał przykleiły się jej do ciała i paliły żywym ogniem. Valas i Ryld pospieszyli jej na pomoc. Danifae skuliła się, ale nie odrywała wzroku od nacierającego boga.

Pharaun przyglądał się całemu zajściu i potrząsał głową.

- To szaleństwo - wymamrotał.

Wykonał dłonią osobliwy gest i zniknął, zapewne teleportując się w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Halisstra widziała, jak znika i przez dłuższą chwilę wpatrywała się w puste miejsce, dopóki huk kolejnego ciosu miecza Vhaerauna nie przewrócił jej na ziemię. Leżała tak, pokonana, a Quenthel wrzeszczała i wiła się z bólu.

- Ach - szepnęła Vhaeraun. Bóg odsunął się od twarzy, którą przecinała jarząca się na zielono blizna biegnąca przez środek czoła, czubek nosa, usta, aż do dołka w podbródku. - Matko, nawet teraz nie masz mi nic do powiedzenia? Umrzesz w milczeniu?

Twarz nadal nie wyrażała niczego, blask w zwróconych ku wnętrzu oczach nie zmienił się, ale po raz kolejny coś jakby rozdarło materię kosmosu z potwornym rozdzierającym trzaskiem. W powietrzu obok twarzy pojawiła się czarna szczelina, z której wyszła następna boska postać.

Podczas gdy Vhaeraun był smukły i pełen niesamowitego wdzięku, przybysz wyglądał koszmarnie. Półpajak i półdrow, ścisnął w sześciu umięśnionych ramionach miecze i buzdygany, a każde z jego chitynowych odnóży kończyło się szponiastymi kleszczami. Twarz, jak na ironię, miał przystojnego drowa.

- Odejdź, Zamaskowany - rozkazał bóg-pajak zboliałym, bulgoczącym głosem. - Nie masz wstępu do tego miejsca.

- Nie próbuj stawać pomiędzy mną a moim przeznaczeniem, Selvetarmie - warknął Vhaeraun.

Monstrualny bóg-pajak Selvetarm nie czekał dłużej, tylko pomknął naprzód z błyskawiczną szybkością, wymachując sześcioma ostrzami w nieodpartym ataku, który mógł rozczłonkować tuzin olbrzymów w ciągu dwóch uderzeń serca.

Vhaeraun odskoczył w bok, uchylając się przed gradem ciosów, jak gdyby to on usiłował osiągnąć kling Selvetarma a nie na odwrót, parując ciosy, przed którymi nie chciało mu się uchylać i odpowiadając na nie z nadprzyrodzoną zwinnością. Kiedy oręż bogów zderzał się ze szczęką, ziemią wstrząsały gromy.

Halisstra podniosła się na kolana, wpatrując w nich ze zdumieniem. Mogła tak stać jak skamieniała w nieskończoność, ale Ryld złapał ją za łokieć.

- Potrzebne nam twoje uzdrawiające pieśni - syknął. - Quenthel jest poważnie poparzona.

- Jakie to ma znaczenie? - pomyślała Halisstra.

Podniosła się jednak i podeszła do leżącej kapłanki. Quenthel wiła się, sycząc przez zaciśnięte zęby, usiłując bezskutecznie zapanować nad bólem. Lekceważąc toczący się za jej plecami nieprawdopodobny pojedynek dwóch bóstw, Halisstra skoncentrowała się na obrażeniach Baenre i zaintonowała nieharmonijną pieśń bae'qeshel. Położyła dłonie na oparzeniach Quenthel i zaczęła tkąć najlepiej jak potrafiła, odnajdując chwilowy spokój w wykorzystaniu swych talentów w pilnym i konkretnym celu. Quenthel przestała się rzucać i za chwilę otworzyła oczy. Rzuciwszy zaklęcie, Halisstra osunęła się z powrotem na ziemię i wbiła wzrok w walczących bogów.

- Co mamy zrobić? - wyszeptała. - Co możemy zrobić?

- Wytrzymać - odparł Ryld. Ścisnął jej rękę w żelaznym uścisku i spojrzał w oczy. - Czekać i patrzeć. Coś się wydarzy.

On też spojrzał z powrotem na Vhaerauna i Selvetarma.

Siedzący obok Quenthel Valas wstał i podszedł do Tzirika, przysiadając, żeby utrzymać równowagę przy każdym wstrząsie.

- Tziriku! Co będzie z tym miejscem, z nami, jeśli Vhaeraun pokona Selvetarma i zniszczy twarz? Potrafisz nas stąd wydostać?

- To, co stanie się z nami, nie ma znaczenia - odpowiedział kapłan.

- Może dla ciebie nie ma, ale dla mnie ma, i to duże - mruknął Valas. - Sprowadziłeś nas tutaj tylko po to, żeby umrzeć, Tziriku?

- Nie ja was tu sprowadziłem, najemniku, tylko wy mnie - odparł kapłan, poświęcając Valasowi tylko ułamek swej uwagi. - Nikt oprócz kapłanek Pajęczej Królowej nie mógł dostać się tak blisko jej świątyni, nawet Pan w Masce. A co wydarzy się, kiedy Vhaeraun pokona Selvetarma, cóż, przekonamy się.

Kleryk skupił całą uwagę na potykających się bogach.

Pan w Masce i Rycerz Lolth walczyli zaciekle. Z kilku czarnych ran w chitynowym pancerzu półpająka ciekła posoka, zaś z kilku cięć mieczem, które dosięgły zwinnego Vhaerauna, sączył się czarny cień. Bogowie potykali się zarówno w płaszczyźnie fizycznej, wymieniając ciosy w tempie przyprawiającym o zawrót głowy, jak również magicznej i psychicznej. Zaklęcia o straszliwej mocy przelatywały między nimi, jeszcze bardziej zabójcze niż sześć wirujących kling Selvetarma. Wpili się w siebie wzrokiem w pojedynku, którego potęga szarpała tym, co zostało z rozumu Halisstry, choć stała sto jardów dalej. Chybione ciosy i odbite uderzenia siały straszliwe spustoszenie wokół dwóch bóstw, żłobiąc wielkie kratery w murach świątyni i kamiennych płytach placu, a kilka razy przez czysty przypadek były bliskie unicestwienia śmiertelnych gapiów.

- Zdradziecki szakalu! - warknął Selvetarm. - Twoja perfidia nie zostanie nagrodzona!

- Naiwny głupcze. Oczywiście, że zostanie - odparł Vhaeraun.

Skoczył pomiędzy siekące ostrza i wbił swój miecz głęboko w wydęte podbrzusze boga-pająka. Rycerz Lolth wrzasnął i cofnął się, ale zaraz potem chwycił kostkę Vhaerauna w kleszcze i szarpnięciem obalił boga na ziemię. Szybko, jak kot, zasypał Pana w Masce gradem śmiercionośnych ciosów.

Vhaeraun w odpowiedzi przywołał kolosalny słup płonącego cienia, który spadł na nich obu z niewyobrażalnej wysokości i skąpał ich w czarnym ogniu. Selvetarm ryknął z bólu, nie przestając jednak zasypywać Vhaerauna razami.

Ze straszliwym zgrzytem, który przeniknął Halisstrę i pozostałych do szpiku kości, kamienny plac pękł pod ich stopami.

Wciąż splecione we wściekłym pojedynku, oba bóstwa runęły w ziejącą w dole czarną otchłań. Ich gniewne ryki i wstrząsający ziemią szczęk broni robił się coraz cichszy, w miarę jak opadały coraz niżej.

- Zniknęli - oznajmił z odrętwieniem Ryld oczywisty fakt.

- Co teraz?

Nikt nie potrafił mu odpowiedzieć, towarzysze wpatrywali się w prowadzący w nicość szyb rozmiarów zamku, który zostawili za sobą bogowie. Daleko w dole wciąż błyskały słabo rzucane przez nich zaklęcia. Przez kilka minut drowy nie robiły nic, w milczeniu podnosząc się z ziemi. Tzirik założył ramiona na piersi i czekał.

- Czy pozabijali się nawzajem? - odważył się w końcu zapytać Valas.

- Wątpię - odparła Danifae.

Spojrzała z zadumą na jarzącą się zieloną szczelinę w twarzy Lolth, ale nie powiedziała nic więcej.

- Skoro Lolth nie raczyła odpowiedzieć na atak Vhaerauna, wątpię, by miała nam coś do powiedzenia - stwierdził Ryld. - Powinniśmy się stąd wydostać.

Fechmistrz odwrócił się w stronę Tzirika i odkrył, że kapłan jest czymś całkowicie pochłonięty i wpatruje się w nicość z uwielbieniem na twarzy.

- Tak, Panie - wyszeptał. - Tak, spełnię twój rozkaz.

W chwili, w której Ryld zrobił krok w jego stronę, kapłan Jaelre wykonał ręką gest i zmówił bluźnierczą modlitwę. Wirujące pole tysięcy ostrych jak brzytwy kling, które użył przeciwko goristro,

pojawiło się w niewielkiej odległości od niego, odgradzając go cylindryczną ścianą żelaza.

Ryld zaklął i odskoczył w tył, poza zasięg morderczych ostrzy.

Tzirik zignorował fehmistrza, kontynuując zadanie, jakie powierzył mu Vhaeraun. Wyciągnął zza pasa futerał, z którego wyjął zwój, rozpostarł go i zaczął odczytywać na głos jego treść, rozpoczynając kolejne potężne zaklęcie, chroniony przed Menzoberranzańczykami zabójczą barierą.

Halisstra spojrzała na niego z tępym zdumieniem, próbując rozpoznać zaklęcie, które rzucał. Trudno jej było zmusić się do tego, żeby zależało jej na czymkolwiek.

W chwili, w której Halisstra pogrążyła się w rozpacz i apatii, w Quenthel znów rozgorzała wola walki. Skoczyła na równe nogi, chwytając za bicz.

- To następny portal! - krzyknęła. - Nie pozwólcie mu skończyć tego zaklęcia!

* * *

Kilkaset jardów dalej, spowity ciemnością i dryfującymi w powietrzu oparami, na twardych kamiennych płytach siedział ze skrzyżowanymi nogami Pharaun, pospiesznie kończąc zaklęcie. Patrzył, jak dwaj bogowie walczą i staczają się poza zasięg wzroku, ale był pochłonięty tym, co robił i nie zamierzał przestać. Czar przesłania nie można było rzucać szybko, a nadmierny pośpiech mógł go zupełnie zniweczyć. Ta część jego umysłu, która nie była zaabsorbowana kształtowaniem magii, zastanawiała się z niepokojem czy boska wszechwiedza jest na tyle wszechogarniająca, by zauważyć jego obecność, to, że rzuca zaklęcie, domyślić się, dlaczego to robi - i czy bogowie zechcą go powstrzymać. Jednak z tego co widział z tej odległości, Vhaeraun i Selvetarm byli pochłonięci zażartą walką i raczej nie poświęcali mu większej uwagi.

Zakończył rzucanie zaklęcia i wyszeptał wiadomość, którą miało przenieść przez niezmierny bezkres czasu i przestrzeni:

- *Jegged. Grozi nam śmiertelne niebezpieczeństwo. Natychmiast zabij ciało Tzirika. Wrócimy jak najszybciej, ale pilnuj nas do tej pory. To rozkaz Quenthel.*

Pharaun westchnął i wstał z zamyślnym wyrazem twarzy. Na zaklęciu przesłania można było polegać, ale nie wiedział, czy powiedzie się próba wysłania go z innego planu egzystencji. Nie wiedział też, jak długo zajmie jego słowom dotarcie do Jeggeda w Minauth i czy draegloth spełni jego polecenie, nawet jeśli wydał je w imieniu Quenthel... ani czy przekłety półdemon był w ogóle żywy i zdolny do zabicia wysokiego kapłana.

Mistrz Sorcere dobrze wiedział, czego może się spodziewać, jeśli wszystko pójdzie po jego myśli. Była to tylko kwestia czasu i to niedługiego.

- Tylko nie upieraj się tym razem, Jeggedzie - wymamrotał Pharaun, chociaż wiadomość została już wysłana. - Choć raz zrób bez pytania to, o co proszę.

Ostrożnie zaczął się skradać ku odległej rozpadlinie w masywnym murze świątyni.

* * *

Otoczony ścianą wirujących ostrzy, Tzirik stał w pewnej odległości od towarzyszy, szybko i z wprawą odczytując na głos treść zwoju. Nie zadał sobie nawet trudu wytłumaczenia Menzoberranzańczykom, co rozkazał mu Vhaeraun, ani dlaczego to robi. Czytał dalej, jak gdyby ich tam wcale nie było, choć na wszelki wypadek otoczył się barierą ochronną, żeby mu nie przeszkadzali.

Ryld i Valas stali blisko zabójczych, kręcących się brzytw, obserwując bezradnie mamroczącego monotonna kapłana. Danifae i Quenthel przykucnęły nieco dalej, równie bezradne, a ich postanowienie zrobienia czegoś walczyło z nieumiejętnością stwierdzenia, co właściwie mogłyby zrobić. Halisstra też przyglądała się klerykowi, ale tylko czekała na to, co przyniesie jej los.

- Tziriku, przestań! - zawołał Valas. - Naraziłeś nas już dziś na dość niebezpieczeństw. Nie pozwolimy ci na nic więcej.

- Zabij go, Valasie - powiedziała Danifae. - I tak nie posłucha i nie przestanie czarować.

Zwiadowca stał jak sparaliżowany, do ostatnich, triumfalnych nut wyśpiewanych przez czarodzieja. Ramiona opadły mu z rezygnacją. A potem, bez żadnego ostrzeżenia, Valas uniósł łuk i wystrzelił.

Pierwszą strzałę odbiło jedno z magicznych ostrzy, ale druga przemknęła między nimi i wbiła się

w urękawiczoną dłoń Tzirika. Kapłan krzyknął z bólu i upuścił zwój, który upadł na kamienne płyty, niewykorzystany.

Jaelre obrócił się ku Valasowi, w jego osłoniętych maską oczach płonęła nienawiść.

- Wciąż jesteś chłopcem na posyłki tych dziwek, Valasie? Nie widzisz, że jesteś dla nich tylko dobrze wytresowanym psem? Dlaczego jesteś wciąż wierny Pajęczej Królowej, skoro mógłbyś uznać za swojego boga Pana w Masce i zaznać prawdziwej wolności?

- Lolth postąpi jak uzna za słuszne - odpowiedział Valas.

- Ja zaś jestem wierny Bregan D'aerthe i mojemu miastu. Nie możemy pozwolić tobie, ani nawet twojemu bogowi, żeby przeszkodził nam w naszej misji, Tziriku.

Kapłan sposepniał.

- Ty i twoi towarzysze nie sprzeciwiacie się woli Vhaerauna. Nie pozwolę na to.

Kucnął i uniósł tarczę, wykrzykując gniewnie słowa kolejnego zaklęcia objawień. Valas znów strzelił, ale jego strzały odbiły się rykoszetem od tarczy kapłana. Tzirik skończył zaklęcie i przyłożył zranioną dłoń do ziemi. Potężne drgania zatrzęsły placem i Menzoberranzańczykami, wyrzucając ich w powietrze jak lalki i rozrywając wielkie szczeliny w materii kamiennej równiny, szczeliny prowadzące w całkowitą ciemność poniżej.

Valas zatoczył się do tyłu i w przód, usiłując zachować równowagę, gdy kamienne płyty trzaskały i wybrzuszały się pod jego stopami. Danifae, której udało się ustać, wystrzeliła z kuszy. Bełt przeleciał między ostrzami i wbił się z brzękiem w napierśnik Tzirika, ale rozpadł się na kawałki w zderzeniu z nim. Quenthel rozpaczliwym susem zdołała uchronić się przed upadkiem w ziejącą czeluść. Przetoczyła się niezdarne w bok i zerwała z ziemi z krótką żelazną różdżką w dłoni. Wysoka kapłanka wykrzyzczała słowo-rozkaz i wystrzeliła w kapłana białą sferę jakiejś magicznej, żrącej substancji, ale wirujące ostrza Tzirika rozdarły lepką kulę na kleiste pasma.

- Wstawaj, Halisstro - syknęła Quenthel. - Twoje siostry cię potrzebują!

Przy pierwszej próbie podniesienia się potężny wstrząs znów obalił Halisstrę na ziemię. Potrząsnęła głową i spróbowała jeszcze raz.

Moje siostry mnie potrzebują? - pomyślała. Dziwne, przecież najwyraźniej żadne z nas nie są potrzebne naszej bogini. Skoro Lolth postanowiła odwrócić się do mnie plecami, odtrącając ze wzgardą moją wierność i oddanie, mogę jej odpłacić tym samym.

Przez całe swoje życie Halisstra chętnie wstępowała w szeregi swoich najgorszych wrogów, najzacieklejszych rywali, gdy coś zagrażało absolutnej władzy jaką ona i jej siostrzane kapłanki sprawowały nad społeczeństwem drowów. Wpatrując się w bezkresną, pustą przestrzeń Pajęczyny Demonów, odkryła, że nie robi już ani kroku w imieniu Lolth.

- Niech robi, co chce - powiedziała do Quenthel. - Lolth nauczyła mnie, żeby się tym nie przejmować. Gdyby udało nam się dziś ocalić istnienie Lolth, myślicie, że byłaby nam wdzięczna? Gdybym wyrwała sobie serce i położyła je na ołtarzu Pajęczej Królowej, myślicie, że ucieszyłaby ją moja ofiara?

Gorzki śmiech wezbrał w jej gardle i Halisstra poddała mu się. Wstrząsy wywołane przez Tzirika uspokoiły się. Jej serce rozdzierał ból, który mógłby rozedrzeć świat na dwoje, ale ona nie potrafiła go wysłować.

Quenthel wpatrywała się w nią ze zgrozą.

- Bluźnierstwo - zdołała wyszeptać.

Mistrzynie Arach-Tinilith chwyciła za bicz i zwróciła się przeciwko Halisstrze, ale zanim zdążyła ją nim smagnąć, Tzirik rzucił kolejne zaklęcie, uderzając w całą drużynę płachtami płomieni, które przetaczały się przez kamienną równinę tam i z powrotem, jak woda przelewająca się na talerzu. Halisstra padła plackiem na ziemię i krzyknęła z bólu. Pozostali klęli i wrzeszczeli, na próżno usiłując się gdzieś ukryć.

- Zostawcie mnie! - rozkazał Tzirik z wnętrza klatki wirujących ostrzy.

Schylił się i podniósł zwój, a Menzoberranzańczycy zaczęli się podnosić z dymiących kamieni.

Ryld wstał powoli z poparzoną twarzą i rękoma, patrząc, jak kleryk znów zaczyna rzucać zaklęcie. Fehmistrz obserwował przez chwilę obracające się ostrza otaczające kapłana, po czym z szybkością wielkiego kota podkulił nogi i skoczył w barierę, zwijając się w jak najciaśniejszą kulę. Czerwone kropelki trysnęły na kamienie wokół, gdy wirujące magiczne ostrza przecięły krasnoludzki pancerz fehmistrza, raniąc go do krwi - ale mistrz Melee-Magthere przedostał się na drugą stronę.

Zachwiał się na nogach, stękając z bólu i trzymając krzywo Rozpruwacza w pociętych rękach, ale zdołał natrzeć na Tzirika sztychem wielkiego miecza. Kleryk po raz kolejny musiał upuścić zwój. Sparował pchnięcie tarczą i odpowiedział ciosem buzdyanu.

Ryld uchylił się przed ciosem, odskakując w tył i znalazł się tak blisko wirujących ostrzy, że z jego ramion sygnął się deszcz iskier, gdy brzytwy musnęły mu plecy. Utrzymał równowagę i znów natarł na kleryka Jaelre, zawijając śmiertcionośnym mieczem.

Valas, stojący poza kręgiem wirujących ostrzy, podniósł rękę do dziewięcioramiennej gwiazdki na piersi i dotknął jej. W mgnieniu oka zniknął, pojawiając się za plecami Tzirika wewnątrz bariery. Opuścił łuk i dobył kukrisów, ale Tzirik zaskoczył go.

Odwracając się placami do Rylda, mocarny kapłan przyskoczył do zwiadowcy w trzech wielkich krokach i wyrzucił go ciężką tarczą. Z rykiem wściekłości pchnął Valasa na zasłonę zabójczych ostrzy i posłał go na drugą stronę. Bregan D'aerthe wrzasnął z bólu, gdy ostrza wgrzyły mu się w ciało.

Kapłan musiał za to zapłacić - Ryld przypadł do niego i ciął go przez pierś oburęcznym ciosem, który obrócił nim dookoła, ale zbroja płytowa wytrzymała cios. W odpowiedzi Tzirik przyskoczył do Rylda, zasypując go gradem paskudnych ciosów i zmuszając go do cofania się.

Ryld zebrał się do kolejnego ataku, ale w tej chwili także Quenthel rzuciła się na drugą stronę barykady. Jedno z ostrzy rozcięło jej głęboko łydkę, przez co wywróciła się po drugiej stronie i upadła na jedno kolano z jękiem, blokując drogę Ryldowi. Tzirik cofnął się poza zasięg bicia Baenre i szybko wykrzyknął zakłęcie. Ryld zamarł w miejscu, usidlony przez kapłana, który zmroził jego wolę i sparaliżował mięśnie.

Szybko jak wąż Tzirik zwrócił się przeciwko Quenthel i obalił ją na ziemię, gdy próbowała stanąć na zranionej nodze. Unikając syczących węzowych łbów, kopniakiem posłał jej bicz poza barierę ostrzy i obrócił się, żeby zgruchotać czaszkę bezbronnego fehmistrza. Brązowy buzdyan wznosił się do zabójczego ciosu - i Tzirik poleciał w tył, odrzucony od niedosłej ofiary potężnym wybuchem dźwięku. Halisstra, stojąca zaraz po drugiej stronie bariery, zaczęła kolejną pieśń bae'qeshel, ponownie rażąc nią kapłana. Nie chciała już walczyć dla Lolth, ale chciała walczyć dla swoich towarzyszy, a zwłaszcza Rylda.

- Nie zabijajcie kapłana! - krzyknęła do towarzyszy. - Potrzebujemy go, żeby wrócić do domu!

- Więc co proponujesz? - burknęła stojąca obok Danifae. - Jemu wyraźnie zależy na zabicu nas!

- Zgadza się - potwierdził Tzirik.

Kapłan Jaelre doszedł do siebie i rzucił własne zakłęcie, przywołując z czarnych niebios słup purpurowego ognia, który spadł na Halisstrę i Danifae. Kleryk obrócił się w stronę Quenthel, która właśnie miała mu skoczyć na plecy. Uniósł buzdyan.

- Mordowanie kapłanek Pajęczej Królowej sprawia mi ogromną przyjemność - rzekł Tzirik. - Kiedy obudzicie się znów w Minauth, zabiję was jeszcze raz.

Z błyskiem w okrutnych oczach zbliżył się do kuśtykającej niezdarnie Quenthel, która usiłowała uchylić się przed nieuniknionym ciosem.

Napierśnik Tzirika po prostu zniknął. Kleryk zatrzymał się z konsternacją i spojrzał w dół. Wszystkie pozostałe części jego pełnej zbroi płytowej pozostały na swoim miejscu, ale potem powoli - jego kaftan również zniknął, ukazując gładką, czarną pierś.

- Co się dzieje, u licha? - wymamrotał, podnosząc wzrok w samą porę, żeby zasłonić się przed Danifae, która strzeliła mu z kuszy prosto w serce, tak że bełt wbił się w jego tarczę. Jego zdumienie przeszło gwałtownie w czystą zgrozę. - Nie! - wrzasnął. - N...

Jakaś niewidoczna siła rozdarła pierś Tzirika i jedno po drugim zaczęła wyrywać z drżącego torsu okrwawione zebra. Krew i odłamki kości rozsypały się wokoło, ale kleryk trzymał się na nogach, patroszony żywcem na oczach zaskoczonych Menzoberranzańczyków.

Halisstra, która widziała wiele okropieństw na ołtarzach Lolth, cofnęła się z przerażeniem. Zimną, odległą częścią umysłu odnotowała, że ciało i kości wyrwane z Tzirika po prostu zniknęły, tak jak jego zbroja.

To nie dzieje się tutaj, pomyślała. Tzirik jest mordowany, ale w Minauth.

Ostatni obrzydliwy cios chwycił zawartość klatki piersiowej Tzirika i dosłownie rozrzucił ją dokoła. Kapłan Jaelre osunął się na kolana i wywrócił oczami. Z jakiejś niezmiernie odległości pojawiła się lśniąca srebrna struna przyczepiona do karku kapłana. Cofnęła się gwałtownie w jego astralne ciało z psychiczną mocą, która targnęła duszą Halisstry i Tzirik zniknął, jak gdyby nigdy nie

istniał.

- Bogowie... - zdołał wydusić Valas i zaraz potem stęknął wstrząśnięty.

Wszyscy poczuli to w tej samej chwili - gwałtowne szarpnięcie w ich psychice, które rozszczepiło kamienną równinę i czarną świątynię na tysiąc srebrzystych odłamków.

Halisstra otworzyła usta, w jej gardle wezbrał się okrzyk przerażenia, ale zanim zdążyła wziąć następny oddech, wróciła do świadomości.

* * *

Halisstra obudziła się gwałtownie ze snu i usiadła prosto na starej zatęchłej sofie w tajemnej komnacie Tzirika. Długą chwilę zajęło jej zrozumienie, że żyje. Nie miała najmniejszej ochoty powtarzać doświadczenia, jakim było przeciągnięcie jej duszy z Pajęczyny Demonów do Faerunu w chwili, w której zginął Tzirik. Jeszcze dłuższą chwilę zajęło jej zrozumienie, że nie odczuwa żadnego fizycznego bólu.

Ale bolało ją serce. Wielka, gorąca rana pulsowała bólem w samym centrum jej jestestwa, żal tak dotkliwy, że Halisstra nie była w stanie wyobrazić sobie niczego, co mogłoby go utulić.

Przycisnęła dłoń do piersi, jak gdyby chciała ukoić ból odczuwany pod mostkiem i rozejrzała się powoli. Pozostali członkowie drużyny też podnosili się z sof, wszyscy oszołomieni i odurzeni doświadczeniem powrotu. Po jej prawej ręce na kanapie leżało zmasakrowane ciało Tzirika. Ściany komnat były zbryzgane krwią, a ohydne szczątki kleryka Jaelre walały się po podłodze. Obok okaleczonego trupa kapłana siedział Jeggred, zlizujący krew z białego futra. W pobliżu leżało dwóch wojowników Jaelre z rozszarpanymi gardłami.

- Pani? - zapytał Quenthel draegloth. - Co się stało? Czego się dowiedziałas?

Wzrok Quenthel padł na trupa Tzirika i strażników Jaelre, kapłanka skrzywiła się.

- Co ci strzeliło do głowy? - zapytała draegloth. - Dlaczego go zabiłeś?

- Strażników? Nie spodobało im się to, co chciałem zrobić z heretykiem.

- Nie, nie ich - sprostowała kapłanka. - Tzirika!

Żrenice Jeggreda zwęziły się, z jego gardła wydobył się niski pomruk. Póldemon wyprostował się i obchodząc kanapy ruszył w stronę Pharauna z zaciśniętymi łapami.

- Czarodzieju, jeśli przez ciebie sprzeniewierzyłem się moim obowiązkom wobec...

- Pharaun... - powiedziała Quenthel, marszcząc brwi i starając się zebrać myśli. Coś jej się przypomniało i kapłanka zmierzyła Pharauna wściekłym spojrzeniem. - Opuściłeś nas w samym środku Pajęczyny Demonów, kiedy potrzebowaliśmy cię najbardziej. Wyjaśnij mi to!

- Uznałem, że to konieczne - rzekł Pharaun. - Groziło nam śmiertelne niebezpieczeństwo, ale nie mogliśmy uciec bez pomocy Tzirika, a wydało mi się jasne, że Tzirik nie ma najmniejszego zamiaru nigdzie się ruszać. Najlepszy sposób ucieczki, jaki zdołałem wymyślić, polegał na wysłaniu do Jeggreda wiadomości nakazującej mu zabić materialne ciało Tzirika. Ponieważ to kapłan rzucił zaklęcie umożliwiające astralną podróż, jego śmierć oznaczała jej koniec dla nas wszystkich - może trochę gwałtowniejszy niż bym sobie życzył, ale nie mogłem wymyślić niczego innego. Powiedziałem Jeggredowi, że to twój rozkaz, ponieważ nie byłem pewny, czy zabije kleryka tylko dlatego, że go o to poproszę.

- Twoje tchórzostwo wyszarpnęło nas z jedyne miejsca, gdzie mogliśmy uzyskać odpowiedzi na nasze pytania - warknęła Quenthel.

- Nie - zaprzeczyła Halisstra. - Dzięki roztropności Pharauna uciekliśmy z sytuacji bez wyjścia w jedyny możliwy sposób.

- Jaki sens miała ucieczka, skoro nie wypełniliśmy naszej misji? - zapytała Baenre.

- Odpowiedzi? Nie otrzymalibyśmy żadnych odpowiedzi, Quenthel - odparła Halisstra. - Mogłyśmy korzyć się przed nią po kres czasu, a Pajęczą Królową i tak nic by to nie obchodziło. Misja nie miała sensu - zresztą nigdy nie byłaś przekonana o jej powodzeniu. A może w Otchłani były jakieś magazyny, które można było obrabować?

- Pozwoliłam, by twoje bluźnierstwa i pycha uszły ci na sucho w Otchłani, dziewczyno, ale więcej na to nie pozwolę - ostrzegła Quenthel. - Jeśli jeszcze raz odezwiesz się do mnie w ten sposób, każę ci wyrwać język. Zostaniesz ukarana za brak wiary, Halisstro Melarn. Pajęcza Królowa podda cię niewyobrażalnym torturom za ten brak szacunku.

- Przynajmniej oznaczałoby to, że wciąż żyje - odparła Halisstra.

Wstała i zaczęła zbierać swoje rzeczy. W kamiennych salach na zewnątrz ich komnaty rozległy się

okrzyki i zbliżający się tupot wielu stóp. Nie zwracała na to uwagi.

- Nadchodzą Jaelre - powiedziała Danifae. - Może nie przypaść im do gustu wypatroszenie ich kapłana.

- Wolałbym nie musieć torować sobie drogi na zewnątrz mieczem - stwierdził Ryld. - Na dzisiaj mam już dość walki.

Quenthel z gniewnym pomrukiem oderwała wzrok od Halisstry i rozejrzała się po komnacie. Przygryzła wargę, jak gdyby walczyła z myślą, która wcale jej się nie podobała, wymamrotała pod nosem jakieś przekleństwo i zwróciła się do Pharauna.

- Masz jakiś czar, który może nas stąd wydostać?

Pharaun uśmiechnął się z afektacją, wyraźnie zadowolony, że Quenthel musi zwracać się do niego o pomoc zaraz po tym, jak potępiła jego decyzję.

- Będzie to wymagało wysiłku, ale chyba dam radę teleportować nas wszystkich naraz. - Dokąd chcemy się udać? Mogę przenieść nas bezpiecznie do Podmroku, ale...

- Wszędzie, byle nie tutaj - odparła Quenthel. - Potrzebujemy czasu, żeby rozważyć to, co widzieliśmy, czego się nauczyliśmy i co mamy teraz zrobić.

- Wylot jaskini, do której prowadził portal z Labiryntu - podsunął Valas. - To kilka dni marszu stąd, niezbyt uczęszczaną drogą.

- W porządku - burknęła Quenthel. - Zabierz nas tam.

- Złapcie się za ręce - polecił Pharaun.

Położył ręce na dłoniach Rylda i Halisstry i wymówił krótką frazę w chwili, w której Jaelre zaczęli się dobijać do sekretnych drzwi. W mgnieniu oka znaleźli się na zimnej, porośniętej mchem ziemi u wylotu jaskini na leśnej polanie. Niebo na wschodzie było perlowo szare, a wokół ich stóp trawa była ciężka od rosy. Górską dolina wydawała się pusta i ponura jak za pierwszym razem, kiedy drużyna tu obozowała, nieco ponad dziesięć dni temu. Większość śniegu stopniała i strumyczki lodowatej wody wpływały w lej i znikwały gdzieś pod wzgórzem.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył czarodziej. - Teraz, jeśli nikt nie ma nic przeciwko, zamierzam znaleźć sobie jak najwygodniejsze miejsce i zasnąć jak przeklęty człowiek.

Zaczął schodzić po śliskich skałach, nie czekając na odpowiedź.

- Odpoczniesz później, czarodzieju - zawołała za nim Quenthel. - Musimy ustalić, co mamy teraz zrobić, co oznaczają rzeczy, jakie widzieliśmy...

- To, co widzieliśmy, nie ma żadnego znaczenia - powiedziała Halisstra - a to, co zrobimy, jest nieistotne. Idę do Pharauna.

Zebrała w sobie resztki sił i przeskakując lekko z głazu na głaz, zagłębiła się w pokrzepiającą i znajomą ciemność jaskini.

Za jej plecami Quenthel nastroszyła się, a z gardła Jeggreda dobył się niezadowolony pomruk, ale Ryld i Valas zarzucili na ramiona plecaki i zeszli za Pharaunem do wnętrza pieczary. Danifae odwróciła się do kapłanki Baenre i położyła jej dłoń na ramieniu.

- Wszyscy jesteśmy zaniepokojeni tym, co widzieliśmy - powiedziała branka - ale jesteśmy wyczerpani. Będzie nam się lepiej myślało, jeśli odpoczniemy i może wtedy wola bogini stanie się dla nas jaśniejsza.

Quenthel niechętnie skinęła głową i reszta drużyny zeszła w głąb jaskini. Halisstra i Pharaun zdążyli się już ułożyć na pokrytej drobnymi kamykami ziemi kilkadziesiąt jardów od wejścia, zrzuciwszy z siebie sakwy i oparłszy się o ściany. Reszta Menzoberranzańczyków wybrała miejsca dla siebie, opadając na ziemię tam, gdzie się zatrzymali.

Zakrwawiona zbroja Seyll wydawała się Halisstrze nieznośnie ciężka, a rękojeść miecza czcicielki Eilistraee wbijał jej się boleśnie w żebra. Była zbyt zmęczona, żeby znaleźć lepszą pozycję.

- Nikt nie opowie mi, co wydarzyło się w Pajęczynie Demonów? - zapytał Jeggred. - Czekałem w pustej kamiennej komnacie wiele dni, strzegąc wiernie waszych ciał. Zasluguję na wyjaśnienia.

- Otrzymasz je - odparł Valas. - Później. Żadne z nas nie wie, co o tym sądzić. Pozwól nam odpocząć i przemyśleć to wszystko.

- Odpocząć? - pomyślała Halisstra.

Czuła się tak, jak gdyby mogła zasnąć nieprzytomnym i bezbronnym snem ludzi na wiele dni, a i tak nie zdołałaby zrzucić z siebie zmęczenia, jakie ją ogarnęło. Jej umysł nie chciał już zastanawiać się, dlaczego Lolth ją opuściła, jednak coś w jej sercu domagało się zbadania, smutek, który nie pozwalał jej

szukać ucieczki w Zadumie, dopóki nie znalazła jakiegoś sposobu wyrzucenia go z siebie.

Z westchnieniem przyciągnęła do siebie swój tobolek i otworzyła go, wyjmując skórzany pokrowiec na lirę. Ostrożnie wydobyła zeń swoje dziedzictwo, przesuwając palcami po pokrytym runami gryfie, dotykając idealnych strun z mithralu.

Przynajmniej to mi pozostało, pomyślała.

W ciszy leśnej groty Halisstra zagrała mroczną pieśń bae'qeshel, śpiewem dając upust swojemu nieutulonemu żalowi.